Thomas Costain

Srebrny Kielich

Przełożyła Irena Wyrzykowska

Od autora

Od czasu ukazania się “Srebrnego Kielicha”, w lipcu ubiegłego roku, wiele było domysłów co do tego, czy moja opowieść oparta jest na historii Kielicha z Antiochii, będącego obecnie w posiadaniu Metropolitan Museum w Nowym Jorku i wystawionego na pokaz w Cloisters Museum w tym mieście. Ten słynny, będący tematem wielu dyskusji, przedmiot wykonany w starożytności, został znaleziony w 1910 r. w ruinach starej Antiochii i wysłany do Stanów Zjednoczonych tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej. W końcu znalazł się w posiadaniu rodziny Kouchakji. Fahim Kouchakji z Nowego Jorku, przekonany o szczególnym znaczeniu Kielicha, zwrócił się o wydanie opinii do dr. Gustavusa Augustusa Eisena, szwedzkiego uczonego, będącego autorytetem w zakresie sztuki chrześcijańskiej. Po dziewięciu latach badań, prowadzonych przy pomocy grona pomocników, dr Eisen napisał książkę wydaną w dwóch dużych tomach pod tytułem “Wielki Kielich z Antiochii”, w której przedstawiona jest hipoteza, że wewnętrzna część kielicha może być naczyniem użytym podczas Ostatniej Wieczerzy. Przed trzema laty Metropolitan Museum nabyło Kielich za fundusze ofiarowane przez Johna D. Rockefellera juniora.

“Srebrny Kielich” jest utworem powieściowym i przedstawia jedynie moją własną koncepcję dziejów Kielicha Ostatniej Wieczerzy, książka została więc wydana bez żadnego powoływania się na opracowanie dr. Eisena. Ponieważ jednak wielu czytelników zastanawia się nad jej koncepcją, wydaje się właściwe powtórzenie tego, co było wielokrotnie przeze mnie publikowane gdzie indziej, że to Kielich z Antiochii natchnął mnie do napisania tej opowieści. Pragnę dodać, że jestem dłużnikiem dr. Eisena, którego praca, finansowana przez Fahima Kouchakjiego, dostarczyła mi wielu informacji o samym Kielichu.

Thomas B. Costain

Prolog

1

Powszechnie uważano, że najbogatszym człowiekiem w Antiochii jest handlarz oliwą, Ignacjusz. Jego plantacje ciągnęły się jak okiem sięgnąć we wszystkich kierunkach. Mieszkał w jednym z marmurowych pałaców przy Kolumnadzie. Urodził się w tej samej pizydiańskiej wiosce co Teron, który utrzymywał swoją rodzinę ze sprzedaży atramentu i piór z rozszczepionych końców trzciny. Nie był to złotodajny interes i Teron z trudem wiązał koniec z końcem, żyjąc ze swą rodziną w jednoizbowym domku położonym daleko od Kolumnady.

Pewnego upalnego dnia, kiedy nikt nie miał ochoty zajmować się handlem, a tym bardziej kupowaniem piór, wielki bogacz dotarł pieszo aż do niszy w murze, gdzie siedział Teron ze swym nie wzbudzającym zainteresowania towarem. Teronowi trudno było uwierzyć, że dostąpił tak wielkiego zaszczytu, i nie od razu odwzajemnił pozdrowienie: “Pokój tobie”.

Handlarz oliwą, z lekka zaczerwieniony na policzkach i z trudem łapiąc oddech, wszedł do środka, aby ukryć się przed słońcem, które prażyło ulicę z całą furią czyśćcowych ogni. Przysiadłszy obok dawnego przyjaciela od razu przystąpił do wyjawienia celu swej wizyty.

- Teronie, masz trzech synów. Ja nie mam żadnego.

Teron skinął głową. Zdawał sobie sprawę, że jest szczególnie wyróżniony mając trzech synów, którzy wyszli cało z chorób wieku dziecięcego.

- Czy pamięć o mnie ma zaginąć tylko dlatego, że nie miałem dzieci? - zaczął żalić się Ignacjusz. - Czy mój duch ma po śmierci błądzić, nie mając do kogo powrócić, jak ćma, która leci do płomienia?

Onieśmielenie, jakie na początku odczuwał Teron, powoli ustępowało miejsca swobodzie dawnej zażyłości. Przecież on i ten otyły kupiec wychowali się w podobnych, wiejskich domach. Przecież razem podkradali owoce i łowili ryby w tym samym strumyku.

- A nie myślałeś o przysposobieniu syna? - zapytał sprzedawca piór.

- Mój stary druhu - odparł Ignacjusz - jeśli się zgodzisz, kupię jednego z twoich synów i wychowam jak swego własnego. Będzie miłowany tak, jakby był zrodzony z moich lędźwi. Kiedy przyjdzie mi pora umierać, odziedziczy wszystko, co posiadam.

Serce Terona podskoczyło radośnie, ale starał się nie okazywać podniecenia, które go opanowało. Jakaż to wspaniała szansa dla jego pierworodnego! Stać się człowiekiem majętnym, mieć bogactwa, jadać na złotych i srebrnych półmiskach, pić wino chłodzone śniegiem z północnych gór! A może to na młodszego syna spłynęła łaska wielkiego kupca?

- Masz na myśli Teodora? - zapytał. - Mój pierworodny jest dobrze zbudowany. Wyrośnie

na silnego mężczyznę.

Ignacjusz potrząsnął głową.

- Tak, twój Teodor wyrośnie na wielkiego chłopa i będzie brzuchaty jeszcze przed trzydziestką. Nie, to nie Teodor.

- A więc to Dionizy! Mój drugi syn jest wysoki i przystojny. To posłuszny i pracowity młodzieniec.

Bogaty kupiec po raz drugi potrząsnął głową. Zamarło serce Terona, kiedy dotarła do niego myśl: "A więc to mój dobry, mały Ambroży!" Ambrożemu szło właśnie na dziesiąty rok. Żył w swoim własnym, pełnym zadumy świecie, najszczęśliwszy wówczas, kiedy mógł lepić figurki z gliny albo rzeźbić kawałki drewna. Sprzedawca piór zawsze miał słabość do najmłodszego syna. Myśl o jego utracie była jak pchnięcie sztyletem.

W propozycji Ignacjusza nie było nic niezwykłego. Mężczyźni nie posiadający synów uciekali się czasem do tego sposobu. Jeśli chodzi o dziedziczenie, to wyłożone w Dwunastu Tablicach prawo nie robiło różnicy między rodzonymi a przybranymi synami. Niezwykłe jednak było to, że słynny bogacz myślał o związku z kimś tak biednym, jak sprzedawca piór. Ignacjusz mógłby z łatwością znaleźć kandydata w każdej z najlepszych rodzin Antiochii. A jednak Teron gorączkowo szukał jakiejś wymówki, aby odrzucić propozycję, mówiąc do siebie: "Jakie smutne byłoby życie, gdybym musiał rozstać się z moim małym, dobrym Ambrożym!"

Po chwili milczenia potrząsnął głową.

- Mój trzeci syn na pewno by ci nie odpowiadał. Ten mój Ambroży to marzyciel. Nie ma głowy do cyfr. To zdolny chłopiec i nie ukrywam, że zawsze go wyróżniałem, ale widzę zarówno jego wady, jak i zalety. Marzy tylko o jednym: o robieniu figurek z gliny, kredy i drewna. - Teron potrząsnął zdecydowanie głową, jakby chciał zakończyć sprawę. - Nie, mój Ambroży nie jest dla ciebie.

Kupiec był człowiekiem krępej budowy, o barach szerokich jak u nosiwody. Głowę miał kwadratową, a rysy twarzy nieregularne. Człowiek, który dorabia się na handlu i zgromadzi w końcu wielki majątek, więcej musi wojować niż żołnierz, bo życie jest dla niego jedną wielką bitwą, pełną potyczek, wysiłku, znoju, knowania i intryg. Brak w nim przyjemnych chwil wytchnienia, jakie miewa żołnierz, kiedy zasiada pośród towarzyszy przy obozowym ognisku z bukłakiem wina pod ręką i snuje swobodnie chełpliwe opowieści. Ignacjusz nie miał żadnych blizn na ciele, ale gdyby można było obejrzeć jego duszę, jak się przegląda odzienie wyjęte z kufra, odkryłoby się na niej same czarne sińce, blizny i narośla pokryte pręgami i tak zgrubiałe, jak kolano pokutnika.

Pochylił się do przodu i położył rękę na przedramieniu sprzedawcy piór. Gdyby Teron nie

był tak przejęty zagrożeniem własnego szczęścia, mógłby dostrzec, że wielki kupiec gotów jest go błagać o spełnienie swej prośby.

- Właśnie dlatego, przyjacielu mojej młodości, właśnie dlatego pragnę go mieć. - Ignacjusz zsunął brwi w zafrasowaną zmarszczkę. Teraz właśnie powinien wyłożyć swoje argumenty, ale nie miał pewności, czy potrafi to zrobić w sposób przekonujący. - Naród grecki był wielki, kiedy miał artystów tworzących posągi z marmuru i budujących piękne świątynie z kamienia. Wydał ludzi, którzy zapisywali szlachetne myśli i opowiadali dzieje naszego narodu w płonących żarem słowach. Czyż nie tak?

Teron skinął głową.

- To prawda. - Sam pocieszał się takimi myślami, gdy troski gromadziły się nad jego głową, gdy nikt nie chciał kupować piór, a matka jego trzech synów nazywała go niedorajdą.

- Teraz - ciągnął Ignacjusz - jesteśmy kupcami, handlarzami bydłem, zbożem, kością słoniową i oliwą. Język koine stał się językiem światowego handlu. Sądzę, że dzisiaj, kiedy ludzie myślą o Grecji, to myślą przede wszystkim o ludziach takich jak ja. - Jego oczy, zwykle cofnięte w głąb i przenikliwe, nabrały blasku. - To źle, mój Teronie, to trzeba zmienić! Grecja musi znów wydać myślicieli, pisarzy i wielkich artystów. A leży to w mojej mocy i ludzi takich jak ja.

Teron słuchał i patrzył na niego ze zdumieniem. Czy to możliwe, żeby tak właśnie mówił Ignacjusz, postrach rynków, kantorów, składów, które stoją tak gęsto wzdłuż całego nabrzeża, że przesłaniają widok na przycumowane okręty?

- Kiedy umrę - ciągnął kupiec z pewną dumą - zostawię dużą fortunę. Moi następcy nie będą musieli nadal pomnażać pieniędzy i majętności. Chcę mieć wówczas na swoje miejsce człowieka, który będzie myślał tak samo, jak ja i będzie wiedział, jak spożytkować moje bogactwo dla wskrzeszenia choć części pierwotnej sławy Grecji.

Teron poczuł się teraz jak dowódca broniący fortu, którego wysokie mury obronne rozsypują się w gruzy.

- Ale - obstawał, usiłując znaleźć oparcie, aby utrzymać swą ostatnią pozycję - wszak nic nie wiesz o moim trzecim synu! Skąd masz pewność, że takiego właśnie ci potrzeba?

- Nigdy nie robię posunięcia, dopóki nie wiem dokładnie, czego pragnę - stanowczo odpowiedział Ignacjusz. - Widziałem twego syna tylko raz, ale wiem o nim dużo. Dopilnowałem, żeby się wywiedziano, co i jak. Pewnego razu przechodziłem przez Dzielnicę Handlu i wtedy go zobaczyłem. Było tam z tuzin chłopców, podskakujących, tarmoszących się i wszczynających bójki, i był jeden, siedzący pod murem, który dłubał nożem w kawałku drewna. Zacząłem się mu przyglądać. Był inny niż jego rówieśnicy. Zauważyłem, że ma szerokie, ładnie zarysowane brwi. Chłopcy próbowali wciągnąć go do zabawy, ale on na nic nie zwracał uwagi. Wtedy jeden z nich

podszedł i wyrwał mu ten kawałek drewna. Chłopak zerwał się w mgnieniu oka i ruszył do ataku, żeby go odzyskać. Dobrze się bił! Pomyślałem sobie: “Trzyma się na uboczu i pragnie, aby go zostawiono w spokoju, ale gotów jest walczyć o to, co jest dla niego ważne”. A potem powiedziałem sobie: “Oto chłopiec, którego chcę mieć za syna”. Byłem uszczęśliwiony, bo już od długiego czasu czyniłem poszukiwania. Zapytałem jednego z chłopców, kto to taki, a on odparł: “Jego ojcem jest Teron, który potrafi wychylić niejedną butelkę. Handluje barwnikiem z kopcia, nazywając go atramentem”. A więc, Teronie, mój dawny druhu, przyszedłem dziś do ciebie, żeby omówić warunki.

Sprzedawca piór westchnął ciężko.

- Otworzyłeś przede mną serce, Ignacjuszu. Pragnę ci dorównać. - Rozłożył ręce gestem niechętnej rezygnacji. - Mój szlachetny mały Ambroży jest światłem mego życia. Kocham go tak bardzo, że bez niego dom mój będzie pusty. Ale cóż to za ojciec, który stawia swoje szczęście na drodze szczęścia swego syna? Będzie tak, jak sobie życzysz. - I natychmiast zdecydowanie przeszedł do targów, jakby chciał szybko załatwić interes ze względu na męczący upał.

- Musi być pięciu świadków.

- Oczywiście. - Handlarz oliwą zdawał sobie sprawę z udręki, jaka zapanowała w umyśle Terona i przemówił łagodnie: - Wszystko odbędzie się zgodnie z prawem i dokładnie tak, jak trzeba. Trzy razy w obecności pięciu świadków powiesz, że chcesz sprzedać mi swojego syna i za każdym razem jeden z nich uderzy w mosiężne szalki ołowianą sztabką. Wszystko odbędzie się według przepisów prawa tak, aby twój syn - nie, teraz trzeba już mówić mój syn - żył wraz ze mną i moją żoną Persis w pełnym szczęściu i w końcu wszedł w posiadanie całego mego bogactwa.

Teron z trudem mógł mówić, gdyż wzruszenie ścisnęło mu gardło.

- Bardzo wysoko cenię sobie mego syna. Będę się z tobą twardo targował, Ignacjuszu.

Stosownie do tego układu wezwano pięciu świadków, aby wysłuchali Terona po raz pierwszy w życiu ubranego w białą nieskalaną togę (jego skąpa żona ostro protestowała z powodu tej ekstrawagancji), wyrażającego uroczyście zgodę na sprzedaż swego syna, Ambrożego, Ignacjuszowi, synowi Bazylego. Trzy razy jeden z pięciu świadków, Hiram z Sylenu, uderzył w szalki. Hiram był właścicielem niewielkich gajów oliwnych i dochody swoje mnożył naśladując wspaniałego Ignacjusza; czuł się ogromnie zaszczycony tym, że występuje w takim charakterze. Na zakończenie nowy ojciec powiedział:

- Nazwę mego syna Bazylim, po własnym ojcu. To największy zaszczyt, jakim go mogę obdarzyć, gdyż ojciec mój był wielkim człowiekiem.

- Szczęśliwy jest syn - powiedział zasmucony Teron - którego może napawać dumą osoba ojca. I szczęśliwy jest ojciec, który może wzbudzać taką dumę.

Ignacjusz, który każde zamierzenie doprowadzał do końca, nie tylko wręczył Teronowi pełną sumę, jaką uzgodniono, lecz oświadczył mu, że załatwił dla niego i jego rodziny przeniesienie na południe, do miasta Sydon, gdzie znaleziono dla niego o wiele bardziej dochodową pracę. Teron od razu przyznał, że było to rozsądne posunięcie. Odcięty od wszystkiego, co miało związek z jego poprzednim życiem, chłopiec o wiele łatwiej przystosuje się do nowego otoczenia.

- Lepiej będzie, jeśli więcej o mnie nie usłyszysz - powiedział Ignacjuszowi. - Im szybciej pamięć o domu zatrze się w umyśle chłopca, tym lżej będzie nam wszystkim. Bądź dla niego dobry, stary przyjacielu.

Jedyną skazą ceremonii była nieobecność chłopca. Uprzednio zdecydowano, że zaraz po transakcji przekaże się go pod opiekę nowych rodziców. Został dokładnie wyszorowany i ubrany w białą, dostarczoną specjalnie dla niego tunikę, a wokół stanu opasany pięknym skórzanym pasem ze sprzączką. Przez krótką chwilę chłopiec był dumny ze swego wyglądu, ale kiedy Teron zbierał się do wyjścia, na jego twarzy pojawił się wyraz bólu, którego nie umiał ukryć. I nagle okazało się, że najważniejsza postać całej transakcji znikła bez śladu. Ojciec poszedł sam do napawającego lękiem białego pałacu za czterema rzędami kolumn na Wielkiej Kolumnadzie, podczas gdy matka chłopca i jego dwaj starsi bracia (wszyscy podnieceni i zdecydowani pokonać wszelkie trudności, byleby tylko otrzymać piękną sumę pieniędzy, która miała przypieczętować układ) udali się na poszukiwania. Znaleziono go dopiero późnym popołudniem, przykucniętego za stosem chrustu w nadbrzeżnym składzie, z twarzą czarną od sadzy i poznaczoną łzami. Nie próżnował, kiedy przebywał w ukryciu. Z bryłki gliny ulepił karykaturę człowieka, do domu którego miał pójść; podobieństwo było uderzające, chociaż nadał nosowi sępi, haczykowaty kształt i powiększył uszy, żeby znamionowały wielką chciwość.

Teron wrócił do domu na niepewnych nogach, z plamą od wina na białej todze. Język mu się plątał, kiedy mruczał:

- Sprzedaję rzetelny atrament... Nigdy nie dałem klientowi zwykłego barwnika z kopcia... I nigdy się nie upijam.

- Wino wycieka ci teraz uszami - oznajmiła jego żona.

W każdym razie Teron był na tyle trzeźwy, że zniszczył małe popiersie, zanim zaprowadził chłopca do jego nowego domu.

2

Bazyli - będziemy bowiem nazywali go imieniem, jakim miał być zwany przez resztę swego życia - nigdy nie był w żadnym z tych kamiennych pałaców, skupionych w sąsiedztwie

posągu Apollina, wzniesionego na szczycie Omfalosu, gdzie stała również świątynia Jupitera z kopułą pokrytą złotem. Oczy miał szeroko otwarte ze zdumienia, kiedy prowadzono go do środka pod kunsztownie rzeźbioną aliją, wystającą nad głównym wejściem. Posadzka, po której stąpał w przedsionku, była z żółtego kamienia, a na widok grających barwami gobelinów na ścianach nie mógł się powstrzymać od okrzyku podziwu i zachwytu. Wysoki na dwa piętra dom wznosił się wokół rozkosznie zielonego ogrodu, ale wszystkie okna z szybkami ujętymi w ramki były zamknięte z racji wielkiego upału. Do ogrodu nie docierały z ulicy żadne odgłosy; słychać było tylko plusk wody w fontannie i od czasu do czasu śpiew ptaka. “To na pewno jest raj” pomyślał chłopiec.

Teron pożegnał się z synem, przybierając wyraz godności.

- Będziesz żył w wielkim splendorze - powiedział. - Ale, kiedy o mnie wspomnisz, synku, nie odczuwaj wstydu.

Potem oddał syna pod opiekę urodziwego ochmistrza z najeżonymi czarnymi bokobrodami. Nazywał się Kastor, a w jego zachowaniu było nieco protekcjonalności, ponieważ wiedział, że Bazyli urodził się i wychował w Dzielnicy Handlu.

- Chodź, chłopcze - powiedział. - Mam cię zaraz zaprowadzić do pana. Pan jest bardzo bogaty i ma wielką władzę. Niejedna rzecz może cię tu zadziwić.

Pokora była cechą szybko wybijaną z głowy chłopcom żyjącym po drugiej stronie Kolumnady.

- Jedyną rzeczą, która mnie tutaj dziwi - warknął Bazyli - jest to, że eunuch ma czelność odzywać się w ten sposób do syna pana tego domu.

Kastorowi podobała się ta riposta. Uśmiechnął się do Bazylego i powiedział:

- Myślę, że będziemy się z sobą zgadzali.

W chłodnych salach domu panował ruch, kiedy ochmistrz prowadził chłopca szerokimi schodami aż na samą górę. Służba w kosztownych ubiorach wnosiła półmiski z jedzeniem, dzbany z winem i czasze wypełnione kawałkami lodu; szeptali coś, kiedy się mijali - szeptali o nim. Bazyli zrozumiał to od razu, ponieważ widział dużo spojrzeń rzucanych przez ramię w jego stronę i kiwanie głowami.

- Plugawe nasienie! - powiedział Kastor, poprawiając z wielką rozkoszą bat u swego pasa. - Niech tylko któryś z nich pozwoli sobie choćby na uśmieszek, a poczują smagnięcia na swych tyłkach!

Bazyli wstrzymał oddech ze zdumienia, kiedy weszli na taras. Były tu zadziwiające mechanizmy, które miały zapewnić wygodę mieszkańcom tego domu. Rury z wodą biegły wzdłuż parapetów, a cieniutkie strumyczki tryskały z otworków w metalu, rozpryskując się na wszystkie

strony. Chłodna, przyjemna mgiełka wypełniała powietrze, dając wrażenie ciągłego powiewu. W samym końcu sali, pod udrapowanym baldachimem z żółtego jedwabiu, stał stół w kształcie podkowy zastawiony srebrem, szkłem i nieskończoną rozmaitością naczyń stołowych wykończonych cudowną, błękitną emalią. Światło było tu przyćmione i w pierwszej chwili chłopiec nie dostrzegł pięknej pani, spoczywającej u szczytu stołu.

Natomiast oczy jego przykuła przestrzeń wewnątrz stołu, gdzie czwórka dziewcząt w przezroczystych muślinowych szarawarach tańczyła na wielkich, szklanych kulach. Z niewiarygodną zręcznością przeskakiwały z kuli na kulę, jak puszki ostu, odtrącając stopami jedną kulę, wskakując na drugą, utrzymując te wszystkie błyszczące ciała sferyczne w ciągłym ruchu. Miały roześmiane oczy, a ich nagie ramiona pląsały w takt muzyki, dochodzącej z głębi sali pogrążonej w mroku. Przy każdym zderzeniu szklane kule dzwoniły czystym, ostrym dźwiękiem i toczyły się w czarodziejskim rytmie po gładkiej, gipsowej posadzce.

Potem chłopiec uświadomił sobie obecność pani i zaczął się jej uważnie przyglądać. Miała bardzo jasne włosy i była ślicznie ubrana w biel i złoto. Zauważył też, że nie zwraca uwagi na wesołe tancereczki na wirujących kulach. W tym samym czasie dostrzegł to również otyły mężczyzna, który spoczywał na sofie obok niej. Usiadł i z rezygnacją potrząsnął głową.

- Nie patrzysz, ukochana moja - powiedział. - Bardzo dużo mnie kosztowało wynajęcie ich dla twojej rozrywki. Pochodzą z najdalszych krain Wschodu.

- Nie - odpowiedziała pani omdlałym głosem - nie przyglądam się tancerkom. Bardziej interesuje mnie ten chłopiec, który, jak sądzę, jest naszym synem.

Ignacjusz nie zauważył przybycia Bazylego. Natychmiast odwrócił się z uśmiechem i skinął na chłopca. Bazyli wiedział, że to jego pierwsza, wielka próba. Pani w złocie i bieli bacznie mu się przyglądała i wyczuł od razu, że jego szansa na szczęśliwe życie w tym zdumiewającym domu zależy od tego, czy zdobędzie jej sympatię. Rzucił szybkie spojrzenie w jej stronę i zdecydował, że łatwo będzie ją polubić. Była wysmukła, co zrobiło na nim wielkie wrażenie, gdyż był przyzwyczajony do matczynych kształtów, obfitych i obwisłych. Miała łagodny sposób bycia i miękki głos, on zaś był przyzwyczajony do ostrego tonu i mocnych razów stwardniałej ręki.

Instynkt, wyrobiony przez warunki życia w jego dzielnicy, podpowiadał mu, żeby śmiało do nich przystąpić i przemówić swobodnie. A jednak jeszcze głębszy instynkt szeptał, że może to być źle przyjęte, że powinien być cichy, pełen szacunku i niewiele mówić o sobie. Posłuszny tej drugiej myśli pozostał na miejscu, z głową pochyloną, szurając nerwowo nogami.

- Nie bój się nas - odezwała się pani łagodnym głosem. - Podejdź bliżej, żebym ci się mogła lepiej przyjrzeć.

Pokonując pragnienie, by się odwrócić i czmychnąć, Bazyli postąpił do przodu, czując, że

nogi ma jak z ołowiu. Natychmiast jednak okazało się, że oględziny wypadły pomyślnie, bo wysmukła pani skinęła głową i powiedziała:

- Sądzę, że będzie z ciebie udany syn. - Potem zwróciła się do śniadego Ignacjusza. - Dobrze wybrałeś.

Szczere oblicze kupca natychmiast się rozjaśniło. Skinął na Bazylego, by zajął miejsce na łożu u jego boku.

- Bardzo się nam dzisiaj poszczęściło, mój synu, tobie i mnie - powiedział. - Nie spodziewałem się, że tak szybko będziesz zaakceptowany. Niełatwo zadowolić twoją nową matkę. Zabiegałem o jej przychylność przez całe dwa lata. Ty dokonałeś tego w dwie minuty.

Bazyli, który dotychczas siedział w kucki na podłodze i jadł bez żadnych ceremonii, czuł się zakłopotany, kiedy trzeba było wyciągnąć się na posłaniu i wziąć udział w uczcie w pozycji półleżącej. Jednak obfity i smaczny posiłek sprawił, że poczucie niezwykłości sytuacji szybko minęło. NIe trzeba było liczyć ani dzielić grubych plastrów zimnej baraniny, mógł zajadać do syta dojrzałe daktyle i miodowe ciasteczka. Wino, ochłodzone w głębokim dzbanie z lodem, miało rozkoszny smak, więc popijał je z wolna. Obserwował swą nową matkę i naśladował jej zachowanie, przez co uchronił się od wielu błędów.

Po posiłku młody Rzymianin wezwał pana domu na naradę z jakimiś przybyszami. Bazyli poznał, że to Rzymianin, miał bowiem szybkie ruchy, a jego mowa była miękka i przeciągła, kiedy mówił po grecku. Kupiec wstał niechętnie i rzekł:

- Doprawdy, Kwintusie Anniuszu, jestem jedynym niewolnikiem w tym domostwie, a ty jesteś moim nadzorcą.

- Nie wierzę, żeby ten twój Kwintus Anniusz kiedykolwiek jadł albo spał - powiedziała pani Persis obojętnym tonem. - Ten młodzieniec jest taki zapracowany!

Niebo było teraz usiane gwiazdami i Bazyli zaczął się zastanawiać, jak z takiej wysokości wygląda świat w nocy. Spojrzał na panią Persis, która po obfitej kolacji była nieco senna i zapytał pełnym uszanowania głosem:

- Czy wolno mi wyjrzeć przez balustradę?

Usiadła i zwilżyła oczy perfumowaną wodą z ozdobionego klejnotami szklanego naczynia, przyniesionego przez niewolnicę.

- Ale bądź ostrożny - powiedziała, patrząc na niego oczami krótkowidza. - Jesteśmy tak wysoko nad ziemią, że nigdy nie mam odwagi spojrzeć stąd w dół, bo kręci mi się w głowie.

Bazyli, który bawił się w chowanego na płaskich dachach swojej ubogiej dzielnicy, skacząc z jednego domu na drugi, nie widział żadnego ryzyka w obserwowaniu świata z korzystnej pozycji swego nowego domu. Czarodziejski widok Antiochii po zapadnięciu zmroku natychmiast

zachwycił małego artystę. Wszystkie rodziny w tej uprzywilejowanej dzielnicy spędzały wieczory na dachach domów. Mógł teraz zobaczyć, że jedli równie sute kolacje przy zapalonych lampach, które mrugały do niego jak świętojańskie robaczki. Na sąsiednim dachu profil pani o pięknym, greckim nosie, z nimbem puszystych, czarnych włosów, znalazł się wprost w polu jego widzenia, kiedy zmieniła swą pozycję. Potem znów znikła w cieniach mroku, chociaż wciąż jeszcze mógł widzieć jej palce bawiące się kiścią winogron. Na dalszym dachu mężczyzna śpiewał akompaniując sobie na cytrze. Bez wątpienia był zawodowym artystą, gdyż miał pewny i dobrze ustawiony głos. Zerwał się lekki wietrzyk, który przyniósł rozkoszne wonie z położonych niżej ogrodów. Bazyli spojrzał w górę, na niebo, i nie mógł się oprzeć wrażeniu, że gwiazdy są tutaj większe i jaśniejsze niż gdziekolwiek indziej. Potem pomyślał o duszącym upale, w jakim będą nadal żyli jego rodzice i bracia, i opuściło go dobre samopoczucie. Chodziło mu zwłaszcza o ojca. “Na pewno się smuci - myślał - bo mnie już tam nie ma.”

Niewolnice wynosiły jadło. Zauważył, że jedna z nich, zaledwie o rok lub dwa starsza od niego, była bardzo ładna. Obserwowała go ukradkiem, jej oczy wciąż się ku niemu zwracały, kiedy wypełniała swe obowiązki. Raz, gdy Kastor się odwrócił, uśmiechnęła się do Bazylego. Pozwolił sobie na lekkie drgnięcie warg w odpowiedzi. Zachęcona tym podsunęła się dość blisko do parapetu, aby szepnąć do niego:

- Kastor wychłostałby mnie, gdyby wiedział, że przemówiłam do ciebie. Ale nie dbam o to. Często mnie bije, a ja go wtedy drapię i kopię. To potwór.

Po paru minutach, zadowolona ze swojego osiągnięcia i z tego, że nie zostało ono wykryte, znów się przybliżyła, wdzięcznie kołysząc szczupłymi biodrami. Z trudem powstrzymując chichot szepnęła:

- Myślę, że jesteś ładnym chłopcem.

Tym razem się nie udało. Pani Persis wstała z posłania i powiedziała ostro:

- Zajmuj się swoją pracą, dziewczyno! Czy chcesz, żebym doniosła Kastorowi o twoim zuchwalstwie?

Dziewczyna szybko znikła z tarasu, a pani domu przywołała do siebie Bazylego, by go pouczyć, jaką postawę ma przyjąć wobec niewolników. Nie wolno mu się spoufalać z nimi, zwłaszcza z dziewczynami, których jest prawie tuzin.

- Nigdy nie zadawaj się z żadną z nich - napominała - to zawsze sprowadza kłopoty. A jeśli chodzi o nią, to bezwstydna dziewucha. Dostaliśmy ją w zamian za dług, ale jestem pewna, że popełniliśmy błąd przyjmując ją do siebie. Nigdy się do niej nie odzywaj, bo zaraz to sprytnie wykorzysta.

Przez kilka następnych dni, tak ekscytujących i pełnych niespodzianek, że nie miał czasu na

tęsknotę za domem, Bazyli zawsze wyczuwał obecność tej pełnej tupetu dziewczyny wśród służby zatrudnionej w domu. Miała na imię Helena, a czarne okrągłe oczy dodawały jej dużo uroku. Nigdy się do niego nie odzywała, ale wiedział, że ona również odczuwa jego obecność i że tylko strach przed długim, czarnym batem Kastora powstrzymuje ją od prób większego spoufalenia. Potem znikła. Przez szereg tygodni nie było jej widać, aż wreszcie Kassandra, czarna jak węgiel niewolnica, która się zajmowała wyłącznie strojami pani Persis, powiedziała mu, że odesłano dziewczynę do pracy w magazynach. Czasami wysyłano tam niewolników, skąd później wracali poskromieni. Nazywano to "oswajaniem". Kiedy Helena wróciła po miesiącu, Bazyli zdobył się na odwagę i zapytał Kastora, czy została oswojona.

- Oswojona? - Kastor skrzywił się, a jego gładkie, czarne wąsy podniosły się pod sam nos. - Nie ona. Jej nic nie ujarzmi.

Pokój Bazylego znajdował się na piętrze pod dachem domu. Była to wysoka, chłodna komnata, z wanną wpuszczoną w posadzkę i wspaniałym łożem, które jednak pod fantazyjnymi nakryciami okazało się dość twarde. Następnej nocy było tak gorąco, że sen stał się niepodobieństwem. Kiedy się tak przewracał z boku na bok, odniósł wrażenie, że słyszy głos z balkonu o piętro niżej, wymawiający jego imię.

- Bazyli!... - rozległ się ponownie głośny szept. Był pewien, że to Helena, która wdrapała się tu z kwatery niewolników po ogrodowej kracie.

Pomny na ostrzeżenia swej nowej matki, nie odpowiedział od razu. Potem przyszło mu na myśl, że dziewczyna potrzebuje pomocy. Usiadł na brzegu posłania i zastanawiał się, co robić. "Czy będziesz tchórzem?", zadał sobie pytanie. Wreszcie zdecydował, że musi zaryzykować. Wstał i podszedł na palcach do drzwi, które wychodziły na wewnętrzny korytarz. Wtedy właśnie usłyszał jakiś szelest i skrzypienie. Widocznie schodziła tą samą drogą, jakiej użyła wspinając się na balkon. Wyszeptał jej imię, ale odpowiedzi nie było. Później już nic nie mąciło ciszy nocnej, ale chłopiec nie mógł spać. Był z siebie niezadowolony. "Chyba mi brakuje odwagi", pomyślał po raz dziesiąty.

Nazajutrz usłyszał, że dziewczyna uciekła. Kiedy zapytał o to Kastora, ten warknął:

- Bardzo bym chciał wiedzieć, dokąd uciekła ta mała flądra! Jakżebym chciał dostać ją w swoje ręce. Zostawiłbym pręgi na tych białych plecach, z których jest tak dumna!

Wyjął bat, który miał zawsze przy sobie jako oznakę swego urzędu i trzasnął z niego ze złością.

- Jednego jestem pewien: teraz nie służy już jednemu panu. Będzie co noc służyła innemu aż do końca życia. Taka będzie przyszłość tej leniwej odnogi piekła!

Bazyli szybko się przyzwyczaił do nowych obyczajów i stwierdził, że życie w zbytku, wśród czekającej na każde jego skinienie służby, jest zupełnie przyjemne. Bardzo się przywiązał do swego nowego ojca. Nieraz, kiedy Ignacjusz rozmawiał z innymi mężczyznami o interesach - co się odbywało w przeznaczonej na ten cel wysokiej, okrągłej sali wychodzącej na ogród - głos jego brzmiał ostro i władczo. Nigdy jednak nie używał takiego tonu wobec żony i nowego syna. Zwykł był podchodzić do łoża, na którym spoczywała Persis (wyglądało na to, że nigdy nie mogła się zdobyć na pozycję siedzącą) i gładząc jej włosy pytał:

- Czy moje piękne, szare kociątko czuje się dziś trochę lepiej?

Jej zwykła odpowiedź brzmiała, że czuje się gorzej. Wyciągała dłoń, by dotknąć rękawa jego tuniki, a przy tym geście jej wysmukła ręka obnażała się aż po ramię, ukazując biel ciała i czystość linii. Mówiła, że nie wolno mu się martwić brakiem poprawy jej zdrowia, bo ona pogodziła się już ze swoim złym losem. Z szerokiego, śniadego oblicza kupca znikało niezadowolenie. Wzdychał ciężko i siadał na najbliższej sofie, skąd przyglądał się jej z wielką troską.

Bazyli polubił również swoją nową matkę. Starał się być pod ręką, żeby jej usłużyć, i nigdy nie omieszkał zapytać o samopoczucie. Wynagradzała go czasem uśmiechem, a nawet, w paru rzadkich wypadkach, wyznawała szeptem, że z powodu jego serdeczności czuje się odrobinę lepiej.

Kiedy chłopiec przeżył już dwa lata w białym pałacu, tak się przyzwyczaił do nowego życia, że coraz rzadziej wspominał swój rodzinny dom. Nawet twarz jego prawdziwego ojca zatarła mu się w pamięci. Przestał pytać o Terona.

Najwięcej czasu spędzał w aliji nad wejściem do pałacu, skąd rozciągał się widok na obie strony Wielkiej Kolumnady. Mógł stąd obserwować życie miasta w czasie największego ruchu: oto urzędnik rzymski kroczy dumnie, w todze przerzuconej przez lewe ramię albo z brzękiem przejeżdża rydwanem; oto mieszkaniec pustyni na pięknym, białym syryjskim wielbłądzie w szkarłatnej, obramowanej frędzlą uprzęży, na której kołysze się czarodziejski amulet; Żyd ze zwitkiem pergaminu na czole, zwanym filakterium, na którym zapisano święte teksty; żeglarz - Fenicjanin, który wrócił spoza Słupów Heraklesa, paraduje teraz z mosiężnym pierścieniem u nosa i włosami zwiniętymi w naoliwione pukle.

Codziennie widywał bogatych sąsiadów (choć żaden nie dorównywał majątkiem Ignacjuszowi), jak wyruszali na przejażdżki po mieście. Najpierw podnoszono w górę flagę nad bramą, potem rozlegało się głośne bicie w gongi i bębny. Brama się otwierała i dwa potężne konie wychodziły tanecznym krokiem, a uśmiechnięty woźnica trzymał lejce w mocnych, czarnych pięściach. Za końmi pojawiał się zaskakująco mały powozik z ozdobnym białym baldachimem, pod którym siedzieli stłoczeni członkowie rodziny.

Czasami był świadkiem widowiska, które burzyło krew w jego żyłach. Takie wrażenie robił na nim zawsze maszerujący oddział żołnierzy rzymskich. Umiał odróżnić, czy była to parada, czy też szli wziąć udział w wojnach granicznych; w tym drugim przypadku mieli na sobie sagum, nakładaną na stalową kolczugę, szorstką, szarą opończę, służącą również nocą zamiast koca. Kiedy przyglądał się rytmicznie maszerującym żołnierzom w spiczastych umbryjskich hełmach na głowach, jego nozdrza drżały, a oczy płonęły ogniem. Nie pragnął zostać żołnierzem, ale posmak wojny działał na niego jak gorączka.

Pewne wydarzenie, które miało miejsce na ulicy, tuż pod jego punktem obserwacyjnym, pozostało mu na zawsze żywo w pamięci. Sprzedawca słodyczy nadszedł od strony Omfalosu, niosąc swą tacę na głowie. Było w nim coś szczególnego, jakaś otwartość spojrzenia i dobrotliwość w rysach twarzy, co zdawało się być w niezgodzie z wykonywaną pracą. Bazyli wyczuwał ten kontrast i bacznie się przyglądał temu człowiekowi, zastanawiając się nad nim i nad jego narodowością. Kiedy sprzedawca doszedł do punktu znajdującego się bezpośrednio pod Bazylim, zatrzymał go jakiś klient. Patrząc z góry wprost na nich, chłopiec był świadkiem czegoś, co bardzo go zdziwiło. Ręka sprzedawcy, wzniesiona rzekomo dla wybrania czegoś z tacy, zatrzymała się nagle, aby wyciągnąć kawałek papieru spod słodyczy. Papier przeszedł z rąk jednego mężczyzny do drugiego i zniknął w rękawie kupującego tak szybko, że żadna para oczu, z wyjątkiem tej, która obserwowała ich z góry, nie mogłaby spostrzec, co się dzieje. Drobna miedziana moneta została podana i przyjęta, a ci dwaj rozeszli się, aby natychmiast zniknąć w gęstym tłumie ulicznym. “Jestem pewien, że to chrześcijanie” - powiedział Bazyli w duchu.

Przypomniał sobie, że kiedy miał sześć lat, wybrał się ze swoim prawdziwym ojcem do synagogi w tej części miasta, która nazywa się Ceratium. Świątynia była kiedyś pięknie udekorowana i głoszono tam otwarcie dziwną wiarę opartą na nauczaniu pewnego Żyda nazywanego Chrystusem. Właśnie wówczas, gdy Teron, wiedziony ciekawością, zabrał tam swego najmłodszego syna, władze rzymskie zmieniły swój stosunek do chrześcijan. Chłopiec, który widywał tłumy ludzi z nakrytymi głowami, pochylone przed wielkimi posągami bogów z brązu w ogrodach Dafne, był zdziwiony widząc, że chrześcijanie trzymają głowy wysoko, tak jakby obserwowali coś nieskończenie cudownego w powietrzu nad nimi. Śpiewali razem proste melodie o miłości i przebaczeniu, a oczy ich wypełniało tak wielkie ukontentowanie, że Teron szepnął do syna:

- To dziwni ludzie... Ale to taka dziwność, o której powinniśmy wiedzieć coś więcej.

Przemawiał do nich niewysoki mężczyzna z krótką, szeroką brodą; czasem głos jego był przenikliwy, jak nawoływanie trąbki, czasem głęboki, jak uderzenie fal o kamienną rafę, zawsze jednak przyciągał do siebie słuchaczy. Jego głęboko osadzone oczy zdawały się widzieć te

cudowne rzeczy, o których mówił. Najwyraźniej nie pochodził z Antiochii, ponieważ w jego mowie więcej było zlewających się dźwięków niż u Rzymian. Wśród zebranych rozchodziły się szepty, łączące imię Pawła z miastem Tarsus.

Kiedy przemawiał, w komnacie było tak cicho, jak w grobie wykutym wśród skał. Teron stał nieporuszony, ani jeden włos nie drgnął na jego głowie, pokrytej gęstą czupryną. Tylko raz jego ręka zacisnęła się na ramieniu chłopca:

- Synu mój, czyż to możliwe, że jest tylko jeden Bóg i że jest on Bogiem łagodności i światła?...

Przemówienie było jednak za trudne dla sześcioletniego chłopca. Jego uwagę przykuł drugi mężczyzna, który stał na uboczu. Miał szerokie brwi, łagodne oczy, a jego uśmiech miał w sobie tyle dobroci, że każde pasemko gęstej rudej brody zdawało się skręcać w uprzejmości. Przyglądał się zebranym, jakby chciał poznać wszystkie nowe twarze.

Teron był bardzo przejęty tym, czego byli świadkami. Kiedy wrócili do zatłoczonej izby w Dzielnicy Handlu, będącej domem dla jego potomstwa, powiedział:

- Słyszałem wielkiego człowieka, głoszącego najbardziej zadziwiające posłanie. - Jego oczy wciąż jeszcze były zadumane i jakby nieobecne.

Żona natychmiast stłumiła ten entuzjazm.

- Chrześcijanie! - odezwała się z pogardą. - To trujące ziele. Widziałam w mojej rodzinnej wiosce jak ukamienowano jedną taką na śmierć. Ja sama rzuciłam kamieniem. Oto, co się dzieje z ludźmi, którzy stają się chrześcijanami!

- Ale ten człowiek, Jezus, dokonywał cudów - zaprotestował Teron. - Ci, którzy idą za Nim, również potrafią wypędzać złe duchy i sprawiają, że chromy chodzi, a ślepy widzi.

- Cuda! - szydziła jego żona. - Twarz tej kobiety sczerniała, kiedy rzuciłam kamieniem. Dlaczego nie zdarzył się cud, który by ją uratował? Jest taki Szymon Mag, który również potrafi czynić cuda. Wszystko to sprytne sztuczki.

Nigdy już nie wrócili do synagogi, ale Bazyli wciąż pamiętał twarz mężczyzny o rudawej brodzie. Wyraźnie rysowała się w jego pamięci nawet wtedy, kiedy twarz jego rodzonego ojca stała się zamglona i niewyraźna. To, co sprawiło, że pozostała w pamięci, napomykało o możności widzenia rzeczy niewidzialnych dla innych ludzi, słyszenia dźwięków, może muzyki, w najcichszym powietrzu.

To “coś” było również w twarzy sprzedawcy słodyczy.

Ręce Bazylego nigdy nie próżnowały, kiedy tak siedział w aliji i przez okienka obserwował obfitujące w wydarzenia widowisko na dole. Posługiwał się kawałkami drzewnego węgla, którymi szkicował na papirusie albo na odrzuconych skrawkach tkaniny, oddając kilku zręcznymi

pociągnięciami dumne fałdy togi bądź dostojeństwo biało-czerwonego turbanu nomadów, ukradkowe spojrzenie zarośniętego żebraka, bądź zwierzęcy wdzięk gladiatora z amfiteatru zbudowanego przez samego Cezara. Później zanosił te szkice do swego pokoju i na wzór tych najlepszych modelował figurki w mokrej glinie.

Pewnego razu przyszedł do niego Ignacjusz i przepraszając przysiadł na kolorowych kafelkach podłogi. Przyglądał się szkicom, które leżały dokoła, mlaskał i cmokał, co miało oznaczać uznanie.

- Mój synu - powiedział, podnosząc się, żeby dokładniej obejrzeć figurę wyrzeźbioną w drewnie, przedstawiającą leniwego złodzieja o kabłąkowatych nogach - posiadasz dar, którym bogowie tak rzadko obdarzają ludzi. W tej rzeźbie widać rękę, która przywodzi na myśl dzieła wielkiego Skopasa. Czasami widziałem w twoich pracach łatwość i wdzięk Praksytelesa, ale ta rzeźba to cały Skopas. Dlatego bardzo mi się podoba. A przecież nigdy nie widziałeś żadnego dzieła tych naprawdę wielkich ludzi. - Przerwał i pozwolił sobie na uśmiech, widząc zdziwienie na twarzy chłopca. - Nie zdawałeś sobie sprawy, jak wiele wiem o tej wspaniałej sztuce naszego narodu. Słyszysz, jak wyrzekam i rzucam gromy w tej mojej komnacie okrągłej, jak księżyc w pełni, i widujesz mnie przy posiłkach obciążonego trudnymi sprawami powszedniego dnia. Ach, synu, sława, którą nasz naród już prawie utracił, częściej zaprząta mój umysł niż cena oliwy! - Pokiwał głową w zamyśleniu po dłuższej chwili milczenia. - Kiedyś będziesz musiał zapoznać się z interesami kupca Ignacjusza, żebyś nie czuł się zagubiony, kiedy wodze przejdą w twoje ręce. Ale mamy jeszcze przed sobą dużo czasu. W tej chwili jest moim gorącym pragnieniem, żebyś robił to, co teraz robisz.

Potem nastąpiła długa cisza, a Bazyli czuł, że jego ojciec ma coś więcej do powiedzenia, ale z trudem mu to przychodzi. Wreszcie kupiec zapytał, a zwięzłość jego pytań wskazywała na ich obronny charakter:

- A jeśli chodzi o ciebie, synu, czy jesteś tutaj szczęśliwy?

Chłopiec odpowiedział bez wahania.

- Tak, jestem bardzo szczęśliwy... - Potem dodał, używając tego słowa po raz pierwszy od czasu, jak zamieszkał w białym, wysokim pałacu: - Tak, ojcze.

Ignacjusz kilkakrotnie pokiwał głową i było oczywiste, że jest bardzo wzruszony.

- Jesteś dobrym chłopcem, mój Bazyli - powiedział. - Sądzę, że będziesz godzien imienia, które ci nadałem. Mój ojciec był prawdziwie wielkim człowiekiem. Kiedy będziesz starszy, opowiem ci o nim i wtedy zrozumiesz, jaki to zaszczyt dla ciebie, że nosisz jego imię. Tak, mój synu, będziemy dużo ze sobą rozmawiali.

Pewnego razu, kiedy Bazyli brał kąpiel, do komnaty wszedł kupiec i zaczął mu się

przyglądać. Chłopca wprawiał w zakłopotanie fakt, że nie wolno mu było kąpać się w samotności. Zawsze byli przy tym obecni służący i dziewczyny służebne, które trzymały ręczniki i kawałki mydła (nigdy nie przestała go radować wielka ilość mydła, które tak obficie się pieniło i tak ponętnie pachniało), a on musiał zrzucić tunikę i lnianą przepaskę noszoną bezpośrednio na ciele, a potem wejść nago do wody, bacznie obserwowany przez te wszystkie pary oczu. Kiedy Ignacjusz złożył mu wizytę, w pokoju było czworo usługujących.

Kupiec przyglądał mu się w milczeniu przez kilka chwil, a potem potrząsnął głową.

- To jasne, że nie masz powodu, mój synu, by chełpić się swą muskulaturą - powiedział. Chyba był z tego powodu niezadowolony, bo dopiero po paru chwilach dorzucił: - Ale nie wybierałem ciebie na miotacza dyskiem. To twój duch mi się podobał. Dlaczegóż teraz miałbym się martwić tym, że jesteś chudy jak szczapa? Będziesz podobny do mego ojca, który nigdy nie był silnym mężczyzną. - Zdawało się, że go opuszcza uczucie pomniejszonej wartości. - Tak, będziesz wysoki, a właśnie to ma znaczenie. Myślę, że będziesz wyższy od synów wszystkich moich przyjaciół.

4

Dzień swych siedemnastych urodzin Bazyli poświęcił na wykończenie upominku dla ojca. Miał to być wspólny dar od matki i Bazylego. Persis włożyła mu do ręki piękny rubin i zaproponowała, żeby zaprojektował oprawę pierścienia. Na wąskiej obrączce wyrył widoki Akropolu i bardzo się starał, żeby kamień jak najlepiej się prezentował. Płatek czerwonawego złota, w którym miał być osadzony, przykrył kawałeczkiem aksamitu o barwie ciemnego wina i na nim dopiero umieścił rubin, co sprawiło, że zapłonął niezwykłym blaskiem. Bardzo zadowolony ze swego pomysłu, powiedział do matki:

- Żaden król na świecie nie nosi na palcu pierścienia, który mógłby temu oto dorównać.

Ale ten dar nie wzbudził w Ignacjuszu takiego zadowolenia i radości, jakiej się spodziewali oboje ofiarodawcy. Tak długo spoglądał nań w milczeniu, że Bazyli oderwał oczy od kamienia, żeby zbadać, o co chodzi. Zobaczył, że kupiec ma twarz ściągniętą i poszarzałą, a jego szyja, przedtem tak okrągła i mocna, jak kamienna kolumna, jest teraz zwiotczała.

- Czyś chory, ojcze? - zapytał z nagłym niepokojem.

- Ślepcem byłem! Ślepcem! - powiedział kupiec z goryczą, jakby mówił do siebie. - Byłem głupi, mój synu. Chciałem, żebyś poświęcał cały swój czas na tworzenie pięknych rzeczy, takich jak ta, sądząc, że w odpowiednim czasie nauczę cię tego, co będzie ci potrzebne, kiedy zajmiesz moje miejsce. Ale czy będzie na to czas? Odczuwam ból, który rozdziera mi bok jak rozgrzane żelazo i lękam się, że grozi mi śmierć. Co ty wiesz o uprawie gajów oliwnych, co wiesz o żegludze,

o prowadzeniu rachunków? Byłem ślepy, choć zdawało mi się, że wiem, co robię! A teraz może być już za późno!

W dwa dni później już nie żył. Biały, marmurowy pałac pogrążył się w milczeniu. Żaden dźwięk nie dochodził z kwater niewolników; nikt nie chodził po salach. Czyjaś rozważna ręka zakręciła wodę, płynącą w rurociągach, więc nie było słychać nawet cichutkiego szemrania fontann. Odźwierni pozamykali wszystkie drzwi i stanęli na straży w cieniu portali. Kiedy Bazyli szedł, by czuwać przy zwłokach ojca, szuranie jego filcowych napiętków rozlegało się w pustych komnatach, jakby jakiś duch, który znalazł się na wolności, biegał teraz po domu.

Podszedł do katafalku z uczuciem strachu. Zanim Ignacjusz wydał z siebie ostatnie tchnienie, rozkazał, by nie balsamować jego zwłok. Powiedział, że nie chce, aby wyciągano jego mózg przez nozdrza; uważał, że to był dobry mózg i chciał, żeby pozostał tam, gdzie było jego miejsce, wewnątrz czaszki, gdyż może go jeszcze potrzebować w tym nie znanym kraju, do którego zmierzał. Zgodnie z jego życzeniem obmyto ciało i natarto wonnymi korzeniami z Dalekiego Wschodu, a potem owinięto w nawoskowane całuny tak starannie, że każdy palec u ręki i nogi owinięty był oddzielnie.

Zatroszczono się o dobro jego duszy. U wezgłowia katafalku zapalono wysoką świecę, która paliła się jasnym i równym płomieniem. Spryskano całuny solą w nadziei oszukania wszelkich złych duchów, mogących się czaić wokół, gdyż sól potrzebna była tylko żywym. Zaciśnięta pięść miała moc odstraszania demonów, toteż szczelnie owinięte palce zgięto razem.

Z biegiem lat Bazyli przywiązał się do ojca. Widok pobladłych rysów twarzy nad ciasno owiniętą bandażami szyją wycisnął łzy z jego oczu: łzy litości nad sobą, ponieważ utracił tak łagodnego rodzica i tak dobrego przyjaciela. Znamienity kupiec był za życia pełen krzepy i werwy, ale śmierć użyczyła godności rysom jego twarzy, obdarzając go cząstką tego piękna, którym jego naród obdarzył kiedyś cały świat.

Bazyli znów przeszedł przez upiorny bezruch domu do swego pokoju, gdzie dał upust niepohamowanemu żalowi. Znalazła go tam Persis, która o własnych siłach pokonała drogę ze swoich rozległych komnat. Był to niezwykły wyczyn, gdyż cielesne upośledzenie, jakie tak długo udawała przez zwyczajną bierność, stało się w końcu prawdziwe. Bazyli patrząc na nią oczami niemal oślepionymi przez łzy, zauważył, że jeszcze bardziej zeszczuplała.

- Mój synu - powiedziała głosem, w którym wyczuwało się ton prośby - rozumiem twój ból. To był dobry człowiek, łagodny mąż i ojciec. Ale mnie również potrzebna jest odrobina współczucia.

Młodzieniec podniósł głowę i zdziwił się, widząc wyraz jej twarzy. Nigdy przedtem tak nie wyglądała. Wyczytał w niej niepewność, a nawet lęk. Co dziwniejsze, ten lęk miał związek z jego

osobą.

- Moja miła matko! - zaprotestował. - Przecież wiesz, jak bardzo cię kocham.

- Tak - odparła z wielką skwapliwością. - Wiem o tym. Ale... ale teraz, mój synu, rzeczy będą wyglądały inaczej. Ty zostaniesz panem domu. Czy twojej miłości wystarczy, żebyś pozostał dla mnie łaskawy? Tak łaskawy, jakim był on?

- Jak może być inaczej? Zawsze będę taki.

- Łatwo mówić takie rzeczy. - Podniosła głos, prawie krzyczała. - Ale mężczyźni bardzo szybko się zmieniają, kiedy całe bogactwo i władza znajdą się w ich rękach. Widziałam to już nieraz. Taki był mój własny ojciec, a potem mój brat. Byłam naprawdę szczęśliwa, kiedy znalazłam uznanie w oczach mego męża i tym sposobem umknęłam spod kurateli mego starszego brata. A teraz... teraz... jaką mogę mieć pewność?

Bazyli nie mógł pojąć jej niepokoju. Dlaczego miałaby się obawiać, że on może się zmienić? Poślubiając Ignacjusza wniosła jakiś własny majątek. Jako wdowa po nim z pewnością będzie miała udział w spadku. Jaką władzę może teraz sprawować nad nią Bazyli?

Postanowił rozważyć to z Kwintusem Anniuszem. Rzymianin znał się naprawdę na wszystkim, tak że jego pracodawca powiedział o nim kiedyś: “Ten młody człowiek wie więcej, niż wszyscy poeci razem wzięci. Czasami myślę, że on wie wszystko”. Kwintus był zawsze zbyt zajęty, by poświęcać więcej czasu rozmarzonemu synowi pryncypała, ale obaj zdawali sobie sprawę z instynktownej sympatii do siebie.

Zastał sekretarza w pokoiku, który mu służył do pracy. Pokoik miał niekrępujące wejście wprost ze wspaniałej, okrągłej sali, w której Ignacjusz przyjmował interesantów. Wokół kamiennych ścian biegły półki zapełnione zwojami papirusu i zapisanych rejestrów. Nieduży stół z marmurowym blatem był pusty, leżało na nim tylko parę dokumentów. Chyba po raz pierwszy od czasu podjęcia swoich obowiązków Kwintus był bezczynny. Ku swemu zdumieniu Bazyli również w jego twarzy dostrzegł niepewność i lęk, jak u matki.

- Ty także! - wykrzyknął. - Czy trzeba się mnie tak bardzo obawiać? Właśnie rozmawiałem z matką, która zdaje się sądzić, że będę teraz domowym tyranem. A teraz i ciebie podejrzewam o te same myśli.

- Czemu się dziwisz? - zapytał sekretarz. - Czy nie wiesz, jaki los spotyka wdowy żyjące zgodnie z prawem Dwunastu Tablic? Nie uznaje się ich za istoty ludzkie posiadające prawa. Jeśli nawet wdowa ma własny majątek, przechodzi on natychmiast pod kuratelę nowej głowy rodziny. Może on rozporządzać jej majątkiem według własnego uznania. Może jej odmówić prawa do ponownego małżeństwa, gdyby wyraziła takie pragnienie. Z drugiej zaś strony może wybrać dla niej drugiego męża i uprzykrzyć jej życie, jeśli odmówi. Podobno w niektórych krajach Wschodu

jest zwyczaj palenia żywcem wdów na stosach pogrzebowych ich zmarłych mężów. Brzmi to barbarzyńsko, ale czasem się zastanawiam, czy nie jest to lżejszy los niż ten, który gotuje wdowom nasze prawo.

Bazyli usiadł po drugiej stronie stołu i zmarszczywszy czoło spoglądał zatroskany na swego towarzysza. Upał tego dnia był duszący i jego fizyczne złe samopoczucie równe było rozterce duchowej, jaką odczuwał.

- Słyszałem coś niecoś o tych sprawach, ale przyznam się, że nie zastanawiałem się nad nimi głębiej - powiedział. Zamoczył ręce w stojącej obok stołu misce z wodą i wolno obmył twarz. - Zaczynam rozumieć, Kwintusie, że wiele muszę się nauczyć.

- Naprawdę wiele, panie mój - odparł Kwintus. Było widoczne, że jakieś wahanie wstrzymuje go od dalszego rozważania tematu. Jednak po krótkiej zwłoce dodał: - Potrzebna ci jest porada. Są pułapki, których być może nie widzisz.

Legalnie zaadoptowany syn bogatej rodziny nigdy nie wątpił w swą przyszłość. Z pewnością istniały jakieś pułapki dla innych, ale jak mogły się one pojawić na jego starannie przygotowanej drodze?

Pochylił się do przodu i oparł przedramiona na chłodnym marmurze stołu.

- Co masz na myśli? - zapytał. - Czy spodziewasz się jakichś... trudności prawnych?

Kwintus ociągał się z odpowiedzią i Bazyli, którego umysł raz poruszony działał bystro i dociekliwie, zaczął rozumieć trudności, w jakich się znalazł pomocnik ojca. Jeśli wyłaniały się kłopoty prawne tego czy innego rodzaju, w interesie młodego Rzymianina byłoby związać się ze stroną wygrywającą. Czyż można ganić go za to, że myśli o swych własnych interesach?

Kwintus przesuwał w zamyśleniu końcem palca po wydatnym nosie; oczy miał wciąż spuszczone. Zastanawiał się głęboko nad sprawą. Kiedy wreszcie podniósł wzrok, jasne było, że powziął decyzję. Uśmiechnął się i pokiwał głową do towarzysza.

- Jesteś prawowitym spadkobiercą - oznajmił, a jego głos znów był opanowany i pełen przekonania. - Byłeś prawnie zaadoptowany w obecności pięciu świadków, według formuły ustalonej w Dwunastu Tablicach. Wiem, że twój ojciec uważał cię za swego syna. Jest moim obowiązkiem stać przy tobie i udzielić ci takiego poparcia, jakie leży w granicach moich możliwości... jeśli zajdzie taka potrzeba.

Bazyli podniósł się i zaczął chodzić po pokoju nerwowym krokiem. Tak jak to przepowiedział mu ojciec, wyrósł na wysokiego młodzieńca, pełne dwa cale ponad przeciętny wzrost; był jednak delikatnej budowy i biorąc pod uwagę siłę fizyczną, bardziej nadawał się do siedzącego trybu życia, jaki sobie wybrał, niż do czynnego działania, jakie obecnie na niego spadło. Wątpliwości, jakie Kwintus Anniusz zasiał w jego umyśle, wywołały głęboką bruzdę niepokoju na

jego kształtnym czole.

- Mówisz, że mnie podtrzymasz... jeśli zajdzie potrzeba - powiedział zatrzymując się przy stole i spoglądając z niepokojem na siedzącego przy nim Rzymianina. - Co przez to rozumiesz, Kwintusie Anniuszu?

- Jaką masz opinię o bracie swego ojca? - odpowiedział sekretarz pytaniem.

Ignacjusz miał tylko jednego żyjącego krewnego. Był nim jego brat Linus, młodszy od niego o dziesięć lat. Linus był we wszystkim zależny od głowy rodziny; to dzięki wskazówkom i pomocy finansowej Ignacjusza doszedł do pewnej pozycji w handlu morskim. W każdym razie Ignacjusz zdawał sobie dobrze sprawę, że adopcja Bazylego była dla Linusa wielkim ciosem.

- Gdyby można było obalić twoje roszczenia - ciągnął Kwintus cichym głosem - ten... nikczemny brat mego szlachetnego pryncypała sam by się stał głową rodziny.

- Ależ Kwintusie! - zawołał Bazyli, któremu przykro było tego słuchać. - Nie ma żadnych wątpliwości co do moich praw!

- Absolutnie żadnych. Dla mnie albo dla ciebie. Dla uczciwych i szlachetnych ludzi. Ale, panie mój, tak się składa, że z pięciu świadków trzech nie żyje. Czwarty, który miał na imię Krzysztof, a zwano go Kesterem z Zantu, opuścił Antiochię i nie wiadomo, gdzie teraz przebywa. Podobno udał się do Jerozolimy. W czasie ceremonii adopcji miał ponad pięćdziesiątkę. Czy możemy mieć pewność, że jeszcze żyje? Pozostaje nam tylko jeden z tych pięciu, a jest nim, niestety, Hiram z Sylenu. - Znów przeciągnął wskazującym palcem po garbie na nosie. - Hiram z Sylenu jest człowiekiem o bardzo wątpliwym charakterze. Jak słyszę, jego sprawy finansowe stoją bardzo źle. Gdyby Linusowi przyszło na myśl zakwestionować twe prawa, ten nikczemny Hiram mógłby się okazać bardzo niezadowalającym świadkiem. Można go namówić, żeby udawał zanik pamięci albo żeby pamiętał intencje twego ojca zupełnie opacznie.

- Kwintusie! - zawołał Bazyli. - Po co wzbudzasz to okropne zwątpienie?

- Pierwsza lekcja, jakiej musisz się nauczyć w świecie handlu, to branie pod uwagę wszystkich możliwości. Być może, niepokoję cię bez przyczyny. Obawiam się jednak, że jest powód. Nie zdziwiłbym się, gdyby Linus już rozpoczął jakieś skryte działania.

Bazyli wrócił na swoje miejsce i usiadł, ukrywając głowę w dłoniach. Był naprawdę szczęśliwy tylko wtedy, kiedy mógł się zajmować jedynie robieniem figur z gliny i rzeźbieniem srebrnych naczyń. Zmuszające do walki życie, w jakie został teraz pogrążony, wydało mu się tak obrzydliwe, że wprost nie mógł dalej prowadzić rozmowy.

- Co mogę zrobić? - zapytał wreszcie.

- Musisz przedsięwziąć środki bezpieczeństwa - szybko oznajmił Kwintus. Znalazł się teraz na dobrze mu znanym gruncie i odzyskał pewność siebie. - Musisz od razu zobaczyć się z

Hiramem z Sylenu i odświeżyć jego pamięć sowitą nagrodą, wyższą od tej, na jaką stać Linusa. To nie wszystko, są jeszcze urzędnicy. Ich przychylność będzie konieczna, jeśli Linus odwoła się do prawa. Natychmiast trzeba ich obdarzyć prezentami. Mogę to wszystko za ciebie załatwić, jeśli czujesz niechęć do takich spraw.

- Czy naprawdę muszę przekupywać ludzi, żeby mówili prawdę! - wykrzyknął Bazyli. Czuł, że wszystko się w nim buntuje przeciw konieczności rozpoczynania nowego życia od stosowania takich metod. - To nieuczciwe, niskie, brudne!

Sekretarz wyraźnie nie miał ochoty na wtajemniczanie niedoświadczonego młodzieńca we wszystkie niebezpieczeństwa jego sytuacji. Zrobił długą przerwę, zanim się odezwał.

- Ignacjusz cię kupił - powiedział wreszcie. - Jeśli Linus potrafi przekonać urzędników, że nie byłeś sprzedany w celu adopcji, to jaka była właściwie podstawa transakcji? No cóż, zostałeś sprzedany... jako niewolnik. - Kwintus wpatrywał się w oczy nowej głowy rodziny, a jego zaciśnięte usta tworzyły wąską, prostą linię. - Nie ma trzeciego wyjścia. Albo jesteś panem, albo niewolnikiem podległym rozkazom Linusa. Dobrze się nad tym zastanów! Byłby to błąd, okropny błąd nie powziąć wszelkich kroków, żeby się obronić przed... - naraz opanowanie go opuściło i pozwolił sobie na podniesienie głosu - przed chciwością tego człowieka, tego niegodnego brata, który przypomina ryj dzika albo kopyto chorego wielbłąda, który jest jak ropień na czaszce trędowatego!

5

Pełen bezsilnego gniewu, niedowierzania i gorzkiej udręki samooskarżania Bazyli wstał, aby opuścić salę sądu. Kiedy przechodził przez zatłoczoną salę, wszyscy odwrócili głowy. Nikt nie podniósł na niego wzroku ani nie kiwnął głową. Wyrok uczynił z niego wyrzutka, osobę, do której ludzie wolni nie zwykli się odzywać.

Jedna, jedyna myśl wypełniała jego umysł, odsuwając wszystko inne, nawet zastanawianie się nad tym, co teraz z nim będzie. Nie potrafił się uwolnić od obrazu twarzy urzędnika, który przewodniczył sądowi. Ta twarz stała się dla niego uosobieniem sił, które doprowadziły do jego zniszczenia, wcieleniem wszystkiego, co złe. Było w niej coś z pałającego żądzą satyra. Oczy tego złośliwego starca, utkwione w nim od chwili rozpoczęcia przesłuchania, pełne były szyderstwa i złej woli. Zdawały się mówić: “Jesteś najszczęśliwszym z ludzi, wyniesionym z rynsztoka Dzielnicy Handlu do niewypowiedzianego bogactwa. Wszystko ci sprzyja: jesteś spadkobiercą największej fortuny w Antiochii i ludzie nisko ci się kłaniają, zgadzają się ze wszystkim, co mówisz i głoszą, że jesteś piękny i utalentowany; możesz sobie dobrać przyjaciół i wybierać żony. Lecz ja, Mariusz Antoniusz, reprezentuję prawo, a ponieważ byłeś zbyt ślepy i zbyt wyniosły, żeby

szukać mojej życzliwości i zapłacić mi tyle, ile ona jest warta, w mojej leży mocy złamać twą dumę, zrzucić cię z wyżyn na samo dno. I to właśnie zamierzam zrobić z tobą, Bazyli, tak zwany synu Ignacjusza, który odtąd będziesz już na zawsze Bazylim synem Terona, sprzedawcy piór i atramentu."

Czy Bazyli przekonałby samego siebie, idąc za radą Kwintusa Anniusza, o konieczności przekupienia urzędników sądowych i jedynego ważnego świadka, tego on sam nigdy nie będzie wiedział. Linus, brat zmarłego kupca, zbyt szybko zaczął działać. Podczas gdy prawowity dziedzic rozważał jeszcze tę sprawę buntując się przed nieuczciwością, daleki od tych subtelności Linus zaczął działać, twierdząc, że on, Bazyli, nie jest wcale przybranym synem Ignacjusza.

Wystarczyło raz rzucić okiem na twarz Mariusza Antoniusza, którego zwano w mieście Workiem-$bez-$dna, aby prawowity spadkobierca nabrał przekonania, iż popełnił błąd. Wrogo nastawiony urzędnik zwracał się do niego kąśliwie, podczas gdy dla Linusa był bardzo uprzejmy. Od początku stronniczo formułował pytania, podpowiadając świadkom, kiedy wydawali się niepewni, jaką dać odpowiedź. Dusił w zarodku wszelką możliwość przychylnego świadczenia na rzecz Bazylego.

Hiram z Sylenu okazał się bardzo marnym świadkiem, jak to przewidział sekretarz. Niewiele pamiętał, a to, co mówił, było niekorzystne dla roszczeń przybranego syna. Twierdził, że nie uderzono w mosiężne szalki wagi ołowianą sztabką, więc sądził, że transakcja, której był świadkiem, nie stanowiła adopcji. Znajomi zmarłego Ignacjusza zaświadczyli, że nie uczynił on nic, aby obarczyć jakąś odpowiedzialnością człowieka, który utrzymuje, że jest jego przybranym synem, i że pozycja tego ostatniego wydawała się raczej pozycją kogoś korzystającego z wszelkich świadczeń, a zajętego jedynie rozwijaniem swych talentów. Kupcy związani z Ignacjuszem interesami przedstawiali swoje wrażenia z jego stosunku do rzekomego syna zawsze niekorzystnie dla Bazylego. Nie pozwolono Persis przybyć do sądu, a kiedy Kwintus Anniusz też się nie zjawił, nadzieje Bazylego zgasły. Wyglądało na to, że młody Rzymianin wolał w końcu pilnować własnych interesów.

Bazyli wiedział, że jego ojciec zamierzał zwołać kilku świadków i oświadczyć przed nimi, że on, Bazyli, jest jego adoptowanym synem. Niestety, zmarł za wcześnie i trzeba było teraz stanąć przed sądem, aby w końcu wysłuchać obłudnej formuły wyroku wygłoszonej przez przekupnego sędziego.

Doszedł do ulicy, gdzie słońce prażyło białe ściany wielkich budynków. "To świat okrutny i nieuczciwy" - powiedział do siebie, wpatrując się z napięciem w tłumy przechodzące wzdłuż Kolumnady. "Ja, który powinienem być najbogatszym człowiekiem w Antiochii, jestem teraz niewolnikiem. Niczego nie posiadam i nie mam żadnych praw."

Persis wystroiła się oczekując sprawiedliwego wyroku. Na spodniej tunice bez rękawów, uszytej z cienkiego, białego płótna, udrapowała swą najweselszą pallę barwioną tyryjską purpurą, a więc kolorem najbardziej cenionym, jedynym, który mógł jeszcze ożywić jej więdnącą urodę. Włosy miała ufryzowane i splecione, a na nich złoty wieniec wysadzany drogimi kamieniami na każdym listku, ostatni upominek od zakochanego w niej męża.

Ale kiedy szła na spotkanie Bazylego, ciągnąc za sobą długie draperie po marmurowej posadzce komnaty, jej wygląd uległ żałosnej przemianie. Włosy opadły na czoło w prostych, wilgotnych kosmykach. Twarz wyglądała na pomarszczoną i chudą.

- Mój biedny chłopcze, mój biedny chłopcze - wyszeptała przyciskając kostki zaciśniętych rąk do ust. - Co się teraz z tobą stanie? Co... co stanie się ze mną?

- Nie nadaję się, matko, na głowę rodziny - Bazyli przerwał i zdobył się na słaby uśmiech. - Nie wolno mi już tak ciebie nazywać. Sąd orzekł, że nie jestem twoim synem.

- Jesteś moim synem!

Wyglądało na to, że wreszcie nabrała sił. Z jej oczu zniknęło bezsilne zobojętnienie; wyciągnęła rękę, aby położyć dłoń na jego ramieniu. Ale była to tylko przelotna chwila i niemal natychmiast znów popadła w nastrój rezygnacji.

- On zawsze był ci niechętny - powiedziała głosem przyciszonym, jakby w obawie, że usłyszą to obce uszy. - Widziałam to po jego twarzy. Od samego początku zamierzał to zrobić. Szperał po księgach i przekupywał służących! - Oczy jej napełniły się łzami rozczulenia nad samą sobą. - Nienawidził mnie, ponieważ raz poskarżyłam się na niego do mego męża. Bazyli, mój Bazyli, czy nic nie możesz zrobić, żeby pomóc nam obojgu?

Wydziedziczony spadkobierca popatrzył na nią płonącymi oczami.

- Nie od razu, matko. Linus wygrał. On będzie tutaj panem. - Miał ręce tak mocno zaciśnięte, że czuł jak paznokcie wrzynają mu się w skórę. - Ale nie porzuciłem nadziei, matko. Będę z nim walczył. Jest jeszcze jedna szansa. Będę z nim walczył nawet... jeśli mnie za to zabiją!

Persis rozpłakała się na głos.

- Och, dlaczego mój mąż zostawił nie załatwione sprawy? Przecież tak dbał o wszystko. O Ignacjuszu, wróć do swojej bezradnej żony i do syna okradzionego ze swych praw i powiedz nam, co winniśmy robić!

Schodząc po schodach na główne piętro Bazyli kątem oka dostrzegł zaniepokojone twarze wyzierające zza węgła i z głębi mrocznych wejść. Cisza wielkiego strachu zawisła nad kwaterami niewolników. W niższym przedsionku wyszedł mu na spotkanie Kastor; z każdego cala jego przysadzistej postaci promieniowało oburzenie.

- Przyszedł tupiąc nogami, jakby miał to wszystko na własność - powiedział. - Kiedyś było

inaczej! Wtedy przychodził do mnie i ukradkiem szeptał: “Pomóż mi w tym, Kastorze”, albo: “Dostarcz mi te papiery, które dziś przyniesiono ze składów, jak mój brat już je przejrzy”. Był jak kot z posmarowanymi masłem łapami. A jak teraz przyszedł, to popatrzył na mnie, chrząknął po swojemu i powiedział: “Będziesz teraz otrzymywał rozkazy ode mnie, potężny ongiś Kastorze. Odłóż ten bat, gdyż ja zamierzam rządzić przy pomocy kija. Czy masz wrażliwe podeszwy, mój Kastorze?”

Ochmistrz przerwał nagle, jakby zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie mógł się narazić swoją szczerością. Kiwnął głową do Bazylego z taką dozą przyjaźni, na jaką zdołał się odważyć.

- Chcę cię natychmiast widzieć.

Kiedy wydziedziczony spadkobierca wszedł do okrągłej sali, nowy pan domu siedział w fotelu swego brata. Jego głowa, przedtem pokryta strzechą mocno skręconych ryżawych włosów, była ogolona na znak żałoby i przypominała dojrzałą dynię. Z powodu upału podwiązał część tuniki wokół bioder, a tłuste gołe nogi wyciągnął do przodu. W zaczerwienionych oczach widniał błysk tryumfu i złośliwości.

- Zostałeś sprzedany - oznajmił krótko - Sostenesowi z Tarsu, złotnikowi.

Bazyli spodziewał się tego i nie bardzo się przejął. Odesłanie z powrotem do Dzielnicy Handlu mogło być lepsze niż pozostanie tutaj. Słyszał jakieś odgłosy dochodzące z bocznego pokoiku zajmowanego przez sekretarza. “Kwintus zmienił front nie tracąc czasu”, pomyślał. “Życzę mu powodzenia przy nowym panu.” Jednak zdawał sobie w pełni sprawę z tego, że to nie młody, zdolny Rzymianin popełnił błąd, lecz on sam.

- Ten twój spryt w rękach - w głosie Linusa był ton lekceważenia - dodał ci trochę wartości. Wyciągnąłem, ile mogłem, ale mimo to niewiele za ciebie dostałem. Pójdziesz do swego pana natychmiast. Nie chcę mieć ciebie tutaj ani chwili dłużej, więc zabieraj się stąd, mój Ambroży, tak kiedyś dumny synu najbardziej leniwego w całej Antiochii sprzedawcy piór.

“Rzymianie by mnie ukrzyżowali, gdybym go teraz zabił”, pomyślał Bazyli. “Muszę przełknąć to wszystko, co on mówi i... czekać.”

- Chyba rozumiesz, że nic już teraz nie posiadasz? Nie zabierzesz ze sobą nic, oprócz tego, co masz na sobie. Zdarłbym z ciebie wszystko do gołej skóry i wyprawił cię w drogę ubranego w worek, ale gdybym tak zrobił, znaleźliby się ludzie, którzy mieliby mi to za złe. Narzędzia, których używałeś i te błahostki, jakie zrobiłeś, już nie są twoje. Należą do mnie. Zostały zebrane i schowane.

- One są moje! - Bazyli po raz pierwszy spojrzał na nowego pana domu. - Znam się trochę na prawie i mogę dowieść...

Linus odrzucił głowę do tyłu i ryknął głośnym śmiechem.

- Ach, więc chcesz mieć jeszcze do czynienia z prawem, co? Z Mariuszem Antoniuszem? Ty głupi bydlaku, znikaj stąd, zanim ja sam nie odwołam się do prawa. Niewolnik nie ma żadnych praw w sądzie rzymskim. Myślę, że twoja głupota przewyższa twoją dumę. - Podniósł szeroki rękaw swojej tuniki i otarł pot z czoła. - Ostrzegam cię. Nie wolno ci się widywać z żadnym członkiem tej rodziny, a zwłaszcza z panią Persis. Nie wolno ci porozumiewać się z nią w żaden sposób. Zrozumiałeś, niewolniku? Jeżeli tu przyjdziesz pod jakimkolwiek pozorem, każę cię obić i wypędzić jak złodzieja!

Księga pierwsza

Rozdział I

1

Wielka Kolumnada ze swymi czterema rzędami kolumn, stojącymi jak rzymscy żołnierze na paradzie, na dwa lata odcięła Bazylego od wszystkiego, co wydawało się mieć jakąś wartość w życiu. Zamieszkał na Ulicy Złotników, wąskiej i wulgarnej, o każdej porze pełnej targów i kłótni. Tutaj siedział w dusznej dziurze przy tylnym okienku poddasza, pracując przez cały dzień, a często i do późna w nocy, ze swymi młotkami i narzędziami do cyzelowania, garnuszkami wosku i knotami do lutowania. Był narażony na złe humory swego pana, który się zwał Sostenes z Tarsu, i na zapalczywe usposobienie swej pani, która wciąż żądała, by wytwarzał coraz więcej i więcej.

Ze swego okna widział wierzchołki Wielkiej Kolumnady, a nawet kawałek balustrady, która, jak mniemał, była częścią domu należącego kiedyś do Ignacjusza, a obecnie naprawdę do niego.

Sostenes był mały i czarny, a w swym fachu szybki i zręczny. Na początku pomagał Bazylemu. Przyglądał się jak pracuje, a potem nagle potrząsał głową i brał narzędzia z rąk chłopca.

- Nie, nie! - mówił, a jego głos się podnosił, przypominając skrzek. - Nie w ten sposób. Na Zeusa, na Apolla, na Pana! Na wszystkich bogów! Patrz, głupcze. Rób to tak. I tak.

Mimo wielkiej sprawności w posługiwaniu się narzędziami pracy, mały człowieczek nie miał wyczucia piękna, i to, co wyrabiał, było martwe i bez polotu. Sprzedawał to za marne pieniądze w swoim sklepiku na dole. Zmieniło się to, kiedy Bazyli poznał arkana rzemiosła. Wtedy wszystko zajaśniało pięknem. Korzystając ze szkiców, jakie porobił w aliji, rzeźbił popiersia i figurynki, które go coraz bardziej zadowalały, choć nigdy całkowicie, gdyż nadal był ogromnie krytyczny w stosunku do siebie. Klientom bardzo się podobały. Wszystko, co zrobił, sprzedawano szybko i za dobrą cenę.

Nigdy nie wychodził z domu. Z początku nie chciał się pokazywać dawnym przyjaciołom w przyodziewku niewolnika, ale w miarę upływu czasu pojawił się ważniejszy powód, żeby pozostawać w ukryciu. Zdał sobie sprawę, że od tego zależy jego bezpieczeństwo. Linus wiedział, że ma przeciw sobie opinię publiczną. Cała Antiochia pamięta, że okradł prawowitego spadkobiercę swego brata. Nie trzeba specjalnej wiedzy o tym, jak działa nieczyste sumienie, by mieć pewność, iż Linus nie zazna spokoju, dopóki samo istnienie Bazylego będzie niezbitym dowodem, w jak haniebny sposób wszedł w posiadanie majątku.

Linus nie tylko powiększał bogactwa zostawione przez Ignacjusza, ale uzyskał duże wpływy polityczne. Szedł ręka w rękę z władzami rzymskimi. Rozpowiadano, że ma wielkie plany, że kupuje okręty i organizuje coraz więcej karawan, że ma wszędzie swoich agentów. Wkrótce

będzie mógł narzucać swą wolę wszystkim.

Bazyli żył w lęku przed Linusem od dnia, kiedy niewielka kartka dotarła do jego rąk na Ulicę Złotników. Jakiś obcy mężczyzna wsunął ją w rękę Agnes, małej Żydóweczki, niewolnicy podobnie jak on pracującej u złotnika. Obcy szepnął w pośpiechu:

- Doręcz to Bazylemu, synowi Ignacjusza. - Agnes bez namysłu podjęła ryzyko, choć czekała ją chłosta, gdyby wydał się jej udział w tej sprawie. Była drobną, wątłą dziewczynką o zapadniętej piersi, z nienaturalnymi rumieńcami na policzkach. Czekała aż przyjdzie pora, żeby zamieść jego pokoik po zakończonym dniu pracy. Było już ciemno i Bazyli siedział przy otwartym oknie. Był w nastroju najwyższego przygnębienia i nie zwracał na nią uwagi, zanim nie wyszeptała:

- Spójrz, to dla ciebie.

Jednocześnie podsunęła mu miotłę z mocnych wierzbowych gałązek. W łozinę wetknięty był kawałek pergaminu. Bazyli szybko sięgnął po kartkę. Było na niej kilka zdań bez podpisu, napisanych po grecku obcym charakterem pisma:

“Głowa uzurpatora nie wypoczywa leżąc na poduszce. Rozmyśla nad tym, jak pozbyć się tego, kogo skrzywdził. Nie wychodź na ulicę. Nie rozmawiaj z obcymi. Nie będziesz bezpieczny, dopóki przebywasz w Antiochii.”

Bazyli nie wiedział, kto mu przysłał to ostrzeżenie. Był pewien, że nie przyszło od jego przybranej matki. Słyszał, że jej zdrowie coraz bardziej się pogarsza, a zresztą nigdy nie miała w sobie tyle energii, by podjąć taki krok. Wreszcie doszedł do wniosku, że kartka pochodzi od Kwintusa Anniusza, który mógł najlepiej znać zamiary Linusa. Może sumienie młodego Rzymianina popchnęło go do tego jedynego wysiłku na jego rzecz?... Jakikolwiek był motyw jego postępowania, Bazyli uwierzył, że naprawdę zagraża mu niebezpieczeństwo. Jeśli pragnął żyć (czasami już o to nie dbał), musiał próbować ucieczki.

Posiłki przynosiła mu żona Sostenesa. Miała na imię Eulalia, co znaczy “krasomówczyni”, a więc najmniej stosowne ze wszystkich imion dla tej dwulicowej kobiety. To ona była rzeczywistą głową domu, a rządziła mężem tak samo ostro, jak dwojgiem niewolników. Zawsze pojawiała się w sklepie, kiedy przychodził klient, i trzeba było żelaznej woli, aby się od niej odczepić bez dokonania zakupu. Wszystkie pieniądze przechodziły natychmiast w jej ręce, a w Dzielnicy Handlu dowcipkowano, że Sostenes nigdy, jak rok długi, nie ma przy sobie ani grosza.

W domu tym były dwa posiłki dziennie, nadzwyczaj skromne, pierwszy o dziesiątej rano, drugi o piątej po południu. Eulalia zanosiła poszczerbioną tacę na górkę do Bazylego, żeby zaoszczędzić czas, jaki by mu zajęło schodzenie i wchodzenie po schodkach, znajdujących się na zewnątrz domu. Stawała obok i przyglądała się, kiedy jadł, wodząc oczami za każdym kęsem od

miski do ust, jakby mu go żałowała. Jadło zawsze było jak najprostsze. Mięso pojawiało się tylko dwa razy w tygodniu. Zazwyczaj dostawał jarzyny, owoce, ser i gruboziarnisty chleb. Wino, cienkie i kwaśne, wydzielano mu w ilościach do trzech i pół kwaterki na tydzień.

- Nagroda za pilność - powtarzała niezmiennie, zabierając tacę. - Takie obfite posiłki będziesz dostawał tak długo, jak długo nie będziesz opieszały w robocie.

Nazajutrz, po otrzymaniu kartki, zatrzymał ją pytaniem, zanim z pustymi naczyniami doszła do drzwi:

- Czy sprzedajesz wszystko, co zrobię?

Eulalia już wyciągnęła rękę, chcąc otworzyć drzwi, a była to ręka tak cienka i zwiędła, że przypominała łodygę słonecznika, którą mróz wkrótce pochyli ku ziemi. Natychmiast się cofnęła.

- A czy to twój interes? - zapytała ostro.

Bazyli skinął głową. Nigdy jej się nie bał i z tej racji zyskał pewną dozę niechętnego respektu.

- Tak, to mój interes. Czy chcielibyście, żeby moja praca przynosiła wam znacznie więcej pieniędzy? - Odczekał chwilę, zanim dodał:

- Jest taka możliwość.

Postawiła tacę tak gwałtownie, że resztka koziego mleka wylała się na podłogę, i wróciła, żeby stanąć przed nim z rękami wspartymi na biodrach, wpatrując się w niego swymi czarnymi oczami jak jastrząb, który dojrzał pod sobą słabe bicie skrzydeł ofiary.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała. - Jesteś niewolnikiem. Wszystko, co wykonasz, należy do nas - do mnie, ponieważ to ja trzymam kasę. Czy nie wykonywałeś swojej pracy najlepiej jak potrafisz? Czy właśnie to chcesz mi powiedzieć?

Bazyli potrząsnął głową.

- Nie. Pracuję najlepiej jak potrafię.

Wyciągnął przed siebie ręce dłońmi do góry. Nie były już białe i miękkie jak kiedyś, w czasach beztroskiego życia, kiedy pielęgnowali go niewolnicy, obmywając z wielką dbałością i nacierając kosztownymi maściami. Teraz były poplamione kwasami i stwardniałe od ciężkiej pracy. Brud wżarł się w skórę i nie można go było usunąć, rozporządzając skąpym kawałkiem mydła, jaki mu wydzielano.

- Te ręce muszą się tak wiele nauczyć! Gdybym miał środki na szkolenie, jestem pewien, że byłbym w stanie tworzyć takie rzeczy, jakich jeszcze w Antiochii nie widziano. Nie wierzysz mi? Zapytaj tych bogaczy, którym sprzedajesz to, co teraz robię. Oni ci otworzą oczy. - Opuścił ręce na kolana. - Tutaj niczego już się nie nauczę. Jeśli tu zostanę, nie będę mógł pracować lepiej niż teraz.

- Twój pan wszystko ci pokazuje... - zaczęła.

Bazyli zignorował wzmiankę nauczenia się czegoś więcej od Sostenesa z Tarsu.

- On mi nie może pokazać rzeczy, które muszę poznać. Już go wyprzedziłem. On o tym wie, a ty także, równie dobrze jak ja. Wyślijcie mnie do jednego z wielkich złotników w Atenach lub w Rzymie. Zawrzyjmy umowę: wy w określonym czasie zwrócicie mi wolność, a ja do końca życia będę wam płacił udział, wysoki udział, ze wszystkiego, co zarobię. Przyrzekam wam: będziecie bardzo bogaci. Znacznie bardziej niż możecie to sobie wyobrazić.

Z pełnego namiętnej chciwości wyrazu twarzy kobiety wyczytał, że widzi możliwości, jakie daje jego propozycja. Ciężko dyszała, rozważając to w myślach. W końcu jednak potrząsnęła głową, z wyraźnym trudem odrzucając taką perspektywę, zanadto przekonana o jej stronach ujemnych, aby wyrazić zgodę.

- Takie ryzyko! - zawołała. - Jeśli pozwolimy ci odejść, możemy już nigdy cię nie zobaczyć. Nie, nie, nie! Skąd mogę wiedzieć, jakie intrygi wylęgają się w twojej mózgownicy? Ty jesteś mądrala. Chytry jak lis. Próbujesz uciec, ot co. Mogę to wyczytać z twojej twarzy. Nie, nie, nie! Nie wolno mi słuchać twoich przebiegłych słów. - Widać było, że wpada w jeden ze swoich ataków wściekłości, bo nie może przyjąć propozycji, która obiecuje tak wysokie dochody. - Niewiele dostajemy za to, co robisz. Możesz sobie myśleć inaczej, ale to nieprawda. - Potrząsnęła głową gwałtownie i gniewnie. - Dopilnuję tego, niewolniku, żebyśmy od tej pory mieli z ciebie większy pożytek. Widzę jasno, że stać cię na lepszą robotę. Koniec z wymigiwaniem się. Możesz sobie wybić z głowy te pomysły albo powiem memu mężowi, żeby to zrobił. - Roześmiała się piskliwie. - Chcesz jechać do Rzymu, co? Mogę ci powiedzieć, jak się obchodzą z zarozumiałymi niewolnikami w Rzymie. Wieszają ich na krzyżu. Przybijają ich gwoździami do krzyża głową w dół.

Złapała gniewnie tacę, wylewając resztę mleka na podłogę i wyszła tupiąc nogami.

W czasie dwóch lat jego pobytu w domu Sostenesa nigdy się nie zdarzyło, żeby ta okropna sekutnica, która nim rządziła, nie była w stanie zanosić mu posiłków. A jednak, szczęśliwym trafem, następnego dnia po tej rozmowie choroba przykuła ją do łóżka. Wieczorem Agnes musiała zanieść tacę na górę. Weszła dumnie, niosąc ją nad głową. Postawiła jedzenie na ławie obok niego i zaczęła mówić przyciszonym głosem:

- Myślę, że to jakiś nowy szatan, rua ra-a, opanował panią - powiedziała. - Miota się na posłaniu, jęczy i zdaje mi się, że głos ma zmieniony, może to rua ra-a przez nią mówi. Ona na pewno zawsze miała w sobie diabła. A może to ten sam, tylko się pogorszył. - Zamilkła na chwilę i patrzyła jak Bazyli przeżuwa kawałek owczego sera. - Czy chcesz wiedzieć, co ja myślę o tym diable? Myślę, że ona weszła w cień księżyca pod drzewem akacji. Tam zawsze przebywa rua ra-a. Jak tylko weszła pod akację, diabeł wskoczył jej do gardła. Jeśli w niej pozostanie, będzie dla nas

jeszcze bardziej okrutna.

Bazylego bardziej interesowało to, co mówiła, niż jedzenie. Odsunął na bok tacę z większą częścią swojej kolacji.

- Och, Bazyli, nie masz apetytu! - zawołała Agnes. Zbierało jej się na płacz. - Musisz więcej jeść. Nabawisz się choroby, tak jak ja, jeśli nie będziesz jadł. Przecież to, czego nie zjesz dzisiaj, dostaniesz znów jutro, nieświeże i bez smaku. Tak się dziś starałam szykując ci kolację!

Przyglądał się jej z litością, widząc zapadnięte policzki i niezdrowe rumieńce. Kaszlała bez przerwy. Znów zaczął jeść, żeby jej zrobić przyjemność.

- Bazyli - powiedziała dziewczyna krzątając się przy nim z zatroskaniem, które zdumiewało całkowitym brakiem egoizmu u kogoś, kto sam tak bardzo potrzebował pomocy - jaki ty jesteś nieszczęśliwy! Płaczę, jak tylko o tobie pomyślę. Mój biedny Bazyli! Chcę ci pomóc. I mogę ci pomóc, jeśli mnie posłuchasz. - Z przejęciem potrząsnęła głową i zadała mu pytanie. - Czy wiesz coś o aniołach?

- Nie - odparł. - To dla mnie nowe słowo. Co ono znaczy?

- Tak myślałam. Nie jesteś Żydem. Jesteś Grekiem, a Grecy nic nie wiedzą o prawdzie. - Powiedziała to, jako rzecz oczywistą, bez żadnego zamiaru okazywania swej wyższości. - Mój ojciec i matka byli tak ubodzy, że musieli sprzedać mnie jako niewolnicę. Bardzo byli nieszczęśliwi z tego powodu, a moja matka płakała cały czas, zanim odeszłam, ale moi mali bracia nie mieliby co jeść, gdyby mnie nie sprzedali. Moja matka powiedziała mi wiele rzeczy, o których mam zawsze pamiętać. Nie wolno mi nigdy zapomnieć, że pochodzę z rasy żydowskiej, i że dzieci Izraela są narodem wybranym wielkiego Jahwe. I opowiedziała mi wszystko o aniołach. - Przerwała, żeby wcisnąć mu do ręki łodyżkę szczypiorku, jędrną i świeżutką; z pewnością nie było łatwo zachować ją dla Bazylego. - Matka mi opowiadała, że aniołowie to wspaniałe istoty, które siedzą obok Jahwe i spełniają Jego rozkazy. Mówiła, że sama je widziała. Mają piękne oblicza i skrzydła, żeby móc latać tam i z powrotem, między niebem a ziemią. Kiedy odchodziłam, jeszcze bardziej się rozpłakała i powiedziała: “Moja biedna, mała córeczko, zawsze pamiętaj, że Mefatiel jest tym aniołem, do którego modlą się niewolnicy. On jest Wielkim Odźwiernym.”

To, co Bazyli słyszał o Żydach i ich dziwnej wierze, bardzo go zainteresowało, ale opowieść o aniołach przekraczała wszystko, co przedtem słyszał. Jeśli jest tylko jeden Bóg, jak mówią Żydzi, łatwo sobie wyobrazić, że potrzebuje całego zastępu pomocników do wykonywania rozkazów. Bazyli z gotowością uznał istnienie tych pięknych, uskrzydlonych istot.

- Agnes, są drzwi, które muszą się przede mną otworzyć - powiedział poważnie. - Czy myślisz, że twój Mefatiel mi pomoże?

- Och, tak! Naturalnie, że ci pomoże. On może otwierać więzienia. Może przebijać zbocza

górskie. Jeśli go będziesz prosił, a on wysłucha, otworzy każde drzwi, jakie zechcesz. Nawet... - obróciła się i spojrzała na wejście do pokoiku - nawet drzwi tego domu.

- Agnes, będę się modlił do Mefatiela każdego wieczoru. Może są jeszcze inni, którzy mogliby mi pomóc? Czy jest anioł pamięci?

Szybko kiwnęła głową, zachwycona, że mogła mu przyjść z pomocą.

- Tak, jest nim Zachariel. To bardzo potężny anioł, bo gdyby ludzie nie pamiętali, nie byliby wierni jednemu Bogu. Najważniejsza ze wszystkiego jest pamięć o Bogu i Jego Prawie, toteż Zachariel siedzi tuż obok Jahwe. Matka mi mówiła, że on jest zawsze po prawicy Boga.

- Może on będzie zbyt zajęty, aby mnie wysłuchać, kiedy zacznę się do niego modlić.

Przez chwilę zastanawiała się nad tym.

- To bardzo zapracowany anioł - przyznała. - Ale możesz spróbować.

- Lepiej już idź - powiedział, pomny, że czas szybko mija. - Żona naszego pana nie lubi, jak rozmawiamy ze sobą.

- Wykręci mi ramię, żebym powiedziała, o czym mówiliśmy. Ale nie powiem! - Dziewczynka potrząsnęła buńczucznie głową. - Często tak robiła, ale nigdy jej się nie poddałam. Niczego ze mnie nie wydobędzie.

Tej samej nocy, zgodnie z otrzymanymi wskazówkami, których mu udzieliła mała niewolnica, Bazyli podszedł do otwartego okna, osunął się na kolana i zwrócił oczy w kierunku gwiazd.

- O, Mefatielu! - powiedział. - Nie mam prawa zwracać się do ciebie, gdyż jesteś aniołem Żydów, a ja nie jestem Żydem. Jestem Grekiem. Skoro jestem Grekiem, może mój głos do ciebie nie dotrze. Ale jeśli mnie słyszysz, o najlepszy z aniołów, chcę ci powiedzieć, że wpadnę w ręce najgorszego wroga, jeżeli nie otworzą się przede mną drzwi. Drzwi muszą się otworzyć natychmiast, bo inaczej będzie za późno. Jeśli spojrzysz w dół i zobaczysz mnie takim, jakim jestem, pomyślisz, że nie zasługuję na twoją pomoc. Lecz pamiętaj, Mefatielu: jestem niewolnikiem i mam na sobie odzież, w jakiej tu przyszedłem przed dwoma laty. Nie jestem żebrakiem u bram miasta. Możesz zapytać, czy zasłużyłem na poratowanie? O, szlachetny Odźwierny, tego nie wiem. Mogę ci tylko powiedzieć, że posiadam dar wykonywania niezwykłych rzeczy swoimi rękami i to ci przyrzekam: jeśli otworzą się drzwi mojego więzienia, będę bardzo usilnie pracował i będę się starał uchronić ten dar od zbrukania. A ty, o Zacharielu - ciągnął dalej - o którego wielkości właśnie się dowiedziałem, zrób coś dla człowieka, który nigdy przedtem do ciebie się nie modlił. O, Aniele Pamięci, nie pozwól mi zapomnieć o tych, którzy byli dla mnie dobrzy i o tych, którzy podjęli wielkie ryzyko, aby mi pomóc, kiedy potrzebowałem pomocy. O to cię proszę, gdyż nie chcę okazać się niewdzięczny. Uważam to za wielkie przewinienie, choć tak

łatwe do popełnienia.

Przejęcie, z jakim wypowiedział ostatnie słowa modlitwy, świadczyło o głębi jego uczuć.

- Proszę cię, żeby moja pamięć pozostała tak jasna, abym nie zapomniał żadnego zła, jakie mi wyrządzono. Zachowaj we mnie pamięć o moich nieszczęściach, abym mógł odrobić zło wyrządzone mnie i tym, którzy na mnie polegali. Niech pamięć ożywia wolę zemsty na mych wrogach, kiedy nadejdzie odpowiednia pora. O to cię proszę, Zacharielu, Aniele Pamięci.

2

Minęły trzy noce. Sostenes i jego żona wdrapali się na swój maleńki dach, dokąd ponad miejskim zgiełkiem docierał lekki powiew znad morza, przesycony zapachami miasta. Było ciemno, kiedy nadszedł ten obcy człowiek, pytając o pana domu. Agnes zauważyła tylko, że był stary i miał bardzo długą brodę.

- Do pana? - powtórzyła. - Czy to sprawa do omówienia właśnie z nim?

- Tak. Mam do niego sprawę.

- A może chodzi o podjęcie jakiejś decyzji?

Przybysz uśmiechnął się, rozbawiony jej naleganiem.

- W samej rzeczy, chodzi o podjęcie decyzji.

- Wobec tego - oznajmiła dziewczynka - lepiej będzie, jak powiem pani, żeby tu zeszła. Jak trzeba coś zdecydować, to ona decyduje.

Starzec roześmiał się i pogładził ją po głowie.

- Bystra jesteś, moje dziecko. Jak widzę, ty też będziesz sama decydowała, kiedy dorośniesz i staniesz się kobietą.

Agnes potrząsnęła głową i westchnęła.

- Och, nie... Jestem chora, więc nie doczekam wieku dojrzałego.

Przybysz podszedł bliżej, aby zobaczyć jej twarz w świetle małej lampki, którą trzymał w ręku. Popatrzył na nią uważnie i powiedział ze smutkiem równym jej smutkowi:

- To prawda, moje dziecko, nie jesteś zdrowa. Nie wydobrzejesz, jeśli będziesz nadal żyła w tym zatęchłym i gorącym miejscu. Potrzeba ci dużo świeżego powietrza, odpoczynku, dobrego jedzenia i czułej troski, moje dobre dziecko.

Agnes odpowiedziała po prostu, nie zabiegając o jego sympatię:

- Jestem niewolnicą. Niewolnica nie ma takich możliwości. Muszę żyć tutaj, z moim panem i panią.

Starzec jeszcze bardziej się zasmucił.

- Na świecie jest wiele niesprawiedliwości, a niewolnictwo to dla ludzi najgorsza krzywda.

Kiedyś, moje dziecko, nastąpi na świecie wielka zmiana. Z niebios na ziemię zejdzie jaśniejąca postać, a potem nie będzie już ani niegodziwości, ani niewolnictwa, ani chorób. Mam nadzieję, że to się wkrótce wydarzy, może nawet w porę, aby uratować ciebie od... od wszelkich zmartwień, jakie mogą cię spotkać.

Eulalia schodziła po zewnętrznych schodach, a za nią wyrzekający Sostenes.

- A cóż takiego chcecie? - zapytała. - Czy macie zamiar coś kupić?

Gość zawahał się, wreszcie rzekł:

- Tak, myślę, że jest coś, co chciałbym kupić. Ale nie będziemy omawiali tego tutaj. Czuję, że ciemności mają uszy i że ciekawość napiera na nas równie mocno, jak upał nocy.

- Proszę do środka - powiedziała z uśmiechem Eulalia, licząc na to, że uda się coś sprzedać.

Poszła przodem do sklepu na parterze i zapaliła zwisającą z sufitu lampę. W jej skąpym świetle widać było, że gość jest w podeszłym wieku. Miał dobre, pełne wyrozumiałości oczy, ale była w nich również stanowczość, która wykazywała jasno, że nie da sobie nic wmówić. Szybko obrzucił wzrokiem sklepik, przy czym nie omieszkał dostrzec tandetnych rzeczy przeznaczonych na sprzedaż, wschodnich masek, sztyletów i mieczy z brązu, lampek z kadzidłem i szkatułek na klejnoty. Potem przyjrzał się uważnie właścicielowi sklepu i jego żonie.

- Muszę wam zadać kilka pytań - powiedział. - Macie u siebie niejakiego Bazylego, który pracuje w srebrze i złocie. To pewnie on wykonał bez niczyjej pomocy i sugestii posążek Ateny, sprzedany greckiemu bankierowi Jabezowi, który kolekcjonuje dzieła sztuki? Czy tak?

Sostenes już miał odpowiedzieć, gdy ostry łokieć żony nakazał mu milczenie.

- Tak - powiedziała. - Jest niewolnikiem i naszą własnością. To on zrobił ten posążek.

- I srebrną wazę z głową Tezeusza, którą ma szczęście posiadać jeden z urzędników miejskich?

- To również jego praca.

- I plakietkę wysadzaną kamieniami księżycowymi, którą pewien kupiec żydowski nabył od was na upominek dla żony?

Eulalia skinęła głową.

- Tak, to on ozdobił tę plakietkę. Czy chcesz panie, żeby zrobił coś dla ciebie? Możemy przyrzec, że będziesz w pełni zadowolony.

Gość nadal im się przyglądał, gładząc dłonią pasma swej długiej, jedwabistej brody.

- Nie będę kupował przedmiotów, które on wykonał - odezwał się w końcu. - Tu chodzi o jego wolność. Zaproponujcie jakąś rozsądną cenę.

Kobieta zaczęła chichotać.

- Ta suma przekroczyłaby twoje możliwości, starcze. Ja i mój mąż mamy swoje własne

zdanie o wartości tego niewolnika. To wysoka suma, bardzo, bardzo wysoka.

Gość skinął potakująco głową.

- Moglibyście zażądać bardzo wysokiej ceny, gdybyście nie brali pod uwagę przyszłości. Ale co będzie jutro? Czy będzie ona równie wysoka jutro albo pojutrze? Musicie sobie zdawać sprawę, że ten młodzieniec może stracić całkowicie wartość, jeśli będziecie zbyt długo zwlekać.

Teraz Sostenes włączył się do rozmowy.

- Starość zmąciła ci rozum - powiedział ostro; owładnęło nim uczucie obrazy. - Cóż to za pomysł, zdziecinniały starcze, przychodzić do nas z taką sprawą? Czy uważasz nas za tak głupich, jak kuropatwy, które bez większego zachodu mnożna zabić pałką? W twoim wieku nie przystoją żarty!

- Znam cenę, jaką zapłaciliście za chłopca - gość mówił teraz tak cicho, że żadne ucho poza obrębem tego dusznego i nagrzanego pokoju nie mogłoby go usłyszeć. - Linus umyślnie ją obniżył, ponieważ pragnął większego pohańbienia ofiary swych knowań. Teraz żałuje, że w ogóle sprzedał tego młodzieńca. A dlaczego żałuje? Bowiem niczego tak nie pragnie, jak usunąć swoją ofiarę raz na zawsze ze swojej drogi. Dopóki Bazyli jest przy życiu, Linus nie będzie się czuł pewnie. Ma dużą władzę, a prawo przytakuje jego rozkazom. - Nastąpiła chwila ciszy, gość odczekał akurat tyle, aby pełne znaczenie jego słów zapadło w ich samolubne, zachłanne umysły. - Gdyby ten młodzieniec został zabity dzisiejszej nocy albo jutrzejszej, jakie odszkodowanie wypłaciłby wam Linus? Czy mielibyście odwagę odwołać się do sądu, oskarżając go o mord? Czy też raczej będziecie na tyle mądrzy, żeby pogodzić się z losem i nic nie robić?

Zapanowała niezmącona cisza. Gospodarze dyszeli ciężko, a w ich oczach widać było walkę między strachem a chciwością.

- Jedno jest pewne - ciągnął dalej starzec. - Jeśli chłopiec pozostanie w zasięgu najemników Linusa, nie będzie go wśród żywych najdalej za tydzień od dziś.

- Skąd masz takie wiadomości? - spytała Eulalia szeptem.

- Chcę, żeby Linusowi nie powiódł się jego zamysł. Czy trzeba sięgać głębiej? - Gość znów się rozejrzał, a potem zajął miejsce u szczytu stołu, na którym w ciągu dnia wystawiano większość przedmiotów na sprzedaż.

Spomiędzy fałdów swojej śnieżnobiałej tuniki wydobył kałamarz i trzcinowe pióro, a potem arkusz pergaminu z jakimś napisem. - Spójrzcie - powiedział podnosząc pergamin. - Oto zlecenie wypłaty od Jabeza, bankiera. Będzie zrealizowane, jak tylko mu je przedłożycie, nawet dziś wieczór, o ile potrzeba posiadania pieniędzy ciąży na waszych umysłach. Opiewa na dwukrotnie większą sumę niż ta, jaką zapłaciliście Linusowi za tego młodzieńca.

Twarze złotnika i jego żony wydawały się w półmroku pokoju tak wykrzywione i

groteskowe, jak maski taneczne wiszące na ścianach. Spomiędzy przymrużonych powiek świdrowali przybysza spojrzeniami ostrymi jak ostrza mieczy ustawionych za kratą w rogu izby.

- Za godzinę - mówił dalej spokojnie gość - kiedy sen ogarnie waszych sąsiadów i nie będzie żadnych uszu ani oczu w ciemnościach, wymknę się razem z chłopcem. Nie zobaczycie więcej ani jego, ani mnie.

Sostenes odciągnął żonę na bok i wyszeptał w rozpaczliwym pośpiechu:

- Bylibyśmy szaleni, gdybyśmy go posłuchali... Czy wiesz, co zrobi Linus, kiedy się dowie, że wypuściliśmy chłopca?...

Żona popatrzyła na niego z pogardą.

- Ty barania głowo! Rano pójdziemy do władz i powiemy, że cenny niewolnik uciekł od nas w nocy... Zażądamy pomocy w poszukiwaniach...

Powiedziała to tak cicho, że gość w żadnym razie nie mógł słyszeć jej słów. Mimo to odezwał się w tej samej chwili, co świadczyło o tym, że dobrze wiedział, o czym mówili.

- Żebyście się nie ważyli iść do władz z żadną taką opowieścią. Musicie dzisiaj podpisać pełne uwolnienie, zwracając mu wolność bez żadnych zastrzeżeń. W dokumencie, który dam wam do podpisu, będzie podane, że zwalniacie go ze wszystkich zobowiązań obsequium i officium i że nie wyrażacie sprzeciwu wobec natychmiastowego przywrócenia mu obywatelstwa, którym się przedtem cieszył.

Eulalia była przez chwilę zbyt zaskoczona, żeby zrobić jakiś ruch. Dopiero po chwili odciągnęła męża na bok i zaczęła mu szeptać do ucha:

- Musimy tak zrobić, musimy podpisać ten papier i wziąć pieniądze. Potem pójdziemy do Linusa i powiemy, że byliśmy do tego przymuszeni.

- Czy nie wiecie - zapytał starzec - że słyszę każde słowo przez was wymawiane? Mogę nawet czytać wasze myśli. Radzę ci, fałszywa kobieto, zaniechaj tym razem swoich niegodziwych knowań.

- Nie zastraszysz nas! - zawołała.

- Myślisz, że nie mogę dokonać tego, o czym mówię? - Przygwoździł ją wzrokiem, tak, że nie mogła ani odwrócić oczu, ani się odsunąć. - Niech to, co powiem, posłuży za dowód. Myślisz o tym, że jak dostaniesz pieniądze, włożysz je do mosiężnej kasy i schowasz na dnie nie używanej studni w waszej piwnicy. Studnia jest tak dobrze ukryta, że nikt nie podejrzewa jej istnienia. Myślisz też o kawałku ziemi poza murami miasta, o małym gospodarstwie zwanym “Trzy Grusze”, które kupisz za otrzymane złoto.

Eulalia dyszała ciężko ze zdumienia i trwogi.

- Mężu! - zawołała - podpisujmy i bierzmy pieniądze! Musimy zrobić to, czego chce ten

starzec. Boję się go!

3

Bazyli zaciągnął zasłonę na okienku, aby powstrzymać owady brzęczące w ciemnościach na zewnątrz. Powiew wiatru ustał i zasłona zastygła w bezruchu. W pokoiku było gorąco, jak w piekarskim piecu.

Siedział nieruchomo na drewnianej ławie, na której spędzał długie godziny pracy. Jego ciało stało się bierne, lecz umysł pracował gorączkowo. Zastanawiał się, kiedy Linus go zaatakuje i co może zrobić, żeby się uratować.

“Jeśli zechce mnie zabić - rozmyślał - to wyśle swych ludzi górą, po szczytach dachów. Przetną Ulicę Wytwórców Żagli i wejdą na dachy nad Bazarem. Przyjdą do tego okienka.” Rozejrzał się wokół siebie. “Mógłbym ich powstrzymać od wtargnięcia tutaj, gdybym miał jakąś broń. Tu jest bardzo ciasno.” Po dłuższym namyśle postanowił zejść na dół, kiedy Sostenes zaśnie i wziąć największy miecz z brązu. Miecze nie miały ostrych krawędzi, były za to ciężkie.

Tak był przejęty grożącym mu niebezpieczeństwem, że nie od razu dostrzegł nikłe światło rzucone na przeciwległą ścianę przez kogoś, kto stanął w drzwiach ze świecą przysłoniętą ręką. Nie wiedział, że ma gościa, dopóki nie usłyszał jego głosu:

- Czy mogę wejść, mój synu?

W pierwszej chwili pomyślał, że ten nieoczekiwany przybysz został przysłany przez Linusa. Skoczył na równe nogi, szukając po ciemku na warsztacie największego noża.

- Przestraszyłem cię - powiedział przybysz. - Powinienem był cię pozdrowić, wchodząc po schodach. Nie zrobiłem tego, lepiej bowiem nie zwracać uwagi sąsiadów.

Dopiero teraz Bazyli zobaczył, że przybysz ma czcigodny wygląd. Coś znajomego było w twarzy tego starca. Przemknęło mu przez myśl, że stał się cud, na który tak bardzo czekał.

- Wiem, kim jesteś - odpowiedział z przejęciem. - Jesteś aniołem Mefatielem. Przyszedłeś w odpowiedzi na moje modły. Jesteś, jesteś... Wielkim Odźwiernym.

Dobrotliwy uśmiech rozjaśnił twarz przybysza.

- Nie, mój synu. Nie jestem aniołem Mefatielem. Ale cieszy mnie, żeś się do niego modlił. Dobrze jest się pomodlić, kiedy troski siadają człowiekowi na karku, a sen nie przychodzi. Zawsze jest dobrze się modlić, nawet wtedy, kiedy nie ma trosk i nie musimy o nic prosić. Nie jestem jednak aniołem. Jestem zwyczajnym człowiekiem, a moje imię nic ci nie powie. Nazywają mnie Łukasz. Znam się trochę na ziołach i leczeniu chorób. Z tej racji niektórzy nazywają mnie Łukaszem Lekarzem.

Wspomnienie odżyło w pamięci Bazylego. To on był tym wysokim, dobrotliwym

mężczyzną, który stał obok zebranych w synagodze, kiedy jego prawdziwy ojciec zabrał go do Ceratium. Nie rozpoznał go od razu, bowiem jego broda, podówczas ogniście ruda, była teraz biała jak śnieg.

- Jesteś chrześcijaninem - powiedział Bazyli. - Widziałem cię raz jeden, przed wielu laty. Mój ojciec, mój prawdziwy ojciec, imieniem Teron, był sprzedawcą piór. On mnie zabrał do pięknej świątyni, żeby usłyszeć Pawła z Tarsu przemawiającego do ludzi. W owym czasie nie mogłem mieć więcej, jak siedem lat. Ale ciebie zapamiętałem na zawsze.

- Tak, jestem chrześcijaninem. - Przybysz wszedł do pokoju i postawił świecę na warsztacie. - Czekałeś na cud. Nie jestem cudotwórcą, mój synu. Niekiedy, przekazując słowa mego Mistrza, słyszę głos, który wskazuje mi drogę, ale w tym, co dzieje się potem, jestem już tylko narzędziem, zwyczajnym człowiekiem. Moim głównym obowiązkiem jest pisanie o tym, co inni ludzie, o wiele ode mnie więksi, czynią, aby szerzyć prawdę. Nie przemawiam do tłumów. Moje ręce nie mają mocy uzdrawiania. Nad moją głową nigdy nie ukazał się płomień, nie otrzymałem też daru mówienia wieloma językami. Ludzie, którym całkowicie ufam, mówili mi, że widzieli anioły. Ale muszę być z tobą szczery. Ja, Łukasz Lekarz, nigdy nie widziałem anioła na własne oczy.

Usiadł na ławce i gestem wskazał Bazylemu, aby zrobił to samo. Kładąc dodającą otuchy dłoń na ramieniu młodzieńca, ciągnął dalej:

- Ale być może dzisiejszego wieczoru odegraliśmy swoje role w wydarzeniu, które można nazwać cudem. Skąd mogę wiedzieć, że moje odwiedziny nie są wynikiem modlitwy, jaką skierowałeś do anioła Mefatiela? Sądziłem, że ten zamiar powstał w moim własnym umyśle, lecz równie dobrze anioł mógł mi to podsunąć. W ten sposób, mój synu, rodzi się najwięcej cudów. Nie jest konieczny ognisty grom z nieba czy też dźwięk niebiańskiego Głosu. Cuda zdarzają się ciągle, we wszystkich godzinach dnia i nocy, a nadchodzą cichutko, może właśnie wtedy, kiedy dwóch ludzi rozmawia ze sobą w przyciemnionym pokoju, podczas gdy na zewnątrz świat jest uśpiony. Mogę ci w każdym razie oznajmić: przyszedłem, żeby cię stąd zabrać.

- Więc jesteś aniołem! - zawołał Bazyli w radosnym porywie ducha. - Jesteś Mefatielem w przebraniu. Mówisz, że tak nie jest, ale ja jestem tego pewien... Jesteś Wielkim Odźwiernym.

- Nie mam skrzydeł u ramion. - Łukasz uśmiechnął się tak ciepło, że serce Bazylego zaczęło lgnąć ku niemu. Opuściło go uczucie lęku i niepokoju. Po raz pierwszy od chwili otrzymania kartki z ostrzeżeniem poczuł się bezpieczny.

- Nie mam czasu, aby ci opowiedzieć wszystko - ciągnął Łukasz - ale przynajmniej to powinieneś wiedzieć. Pewien bardzo sędziwy człowiek, posiadający nieprzebrane bogactwa, ma wnuczkę, która jest źrenicą jego oczu. Ten szlachetny starzec pragnie przed śmiercią ofiarować jej swoją podobiznę wykonaną w srebrze. Wiedząc, że Antiochia słynie z wyrobów sztuki, przysłał

wiadomość Łukaszowi Lekarzowi, że pragnie zatrudnić najlepszego rzemieślnika w srebrze, jakiego można zdobyć. Słyszałem już przedtem o tobie, a dziś wieczór spotkałem się z twoim panem. Wykupiłem od niego twoją wolność, abyś mógł tam podążyć i wykonać zamówienie tego najwspanialszego ze starców. Oto dokument, który zwraca ci wolność.

Bazyli nie mógł wprost uwierzyć, że nie tylko odzyskał wolność, lecz również możliwość wydostania się spod władzy Linusa.

Prowadzili rozmowę w koine, potocznym języku greckim, powszechnie używanym w Antiochii. Łukasz zapytał, czy Bazyli zna jakiś inny język, a ten odparł, że mówi po aramejsku. Czytał trochę klasyków greckich i liznął nieco łaciny.

- Bardzo niewiele - dodał z uśmiechem.

- Tam, dokąd masz jechać, będziesz używał aramejskiego. To szczęście, że znasz ten język.

- Zanim przyszedłeś, mój dobroczyńco - powiedział Bazyli - pewny byłem, że już nigdy nie ujrzę świata. Teraz jednak niczego się nie obawiam. Myślę, że miałbym odwagę pójść do tej okrągłej komnaty, gdzie zwykł był przebywać mój ojciec, a którą teraz zajmuje Linus i powiedzieć mu, żeby zrobił ze mną, co zechce.

Był tak podniecony, że nie mógł usiedzieć spokojnie. Chciał wyjść na zewnątrz, w ciemność dachów, i krzyczeć światu, że oto jest wolny i że droga do sławy i fortuny leży u jego stóp.

- Będę uporczywie pracował, żeby okazać się godnym twojego wyboru - ciągnął dalej. - I będę ci wdzięczny przez całe życie, żeś mi dał taką szansę. - Zamilkł, zdając sobie sprawę, że nie wolno mu nużyć swego nowego przyjaciela. Ogromnie był ciekawy zadania, jakie przed nim postawiono.

- Czy wolno mi zadać jedno pytanie?

- Chcesz wiedzieć, dokąd będziesz wysłany? Do Jerozolimy.

- Jerozolima! - Bazyli był coraz bardziej podniecony. Słowo “Jerozolima” miało w sobie szczególną moc. Ani piękna Antiochia, ani wszechwładny Rzym nie działały tak na wyobraźnię ludzi, jak to stare miasto na wzgórzach Izraela. Bazyli miał prócz tego inny powód do radości: będzie mógł odwiedzić miasto skupione wokół złotej kopuły Świątyni Jedynego Boga. To właśnie do Jerozolimy skierował się Kester z Zantu po opuszczeniu Antiochii - ten jedyny świadek, który mógł unieważnić werdykt, pozbawiający go majątku.

Łukasz wstał.

- Powinniśmy ruszać. Wiele musimy zrobić, zanim słońce wstanie.

Bazyli się zawahał.

- Przykro mi, że muszę odejść zostawiając tu moją towarzyszkę, niewolnicę. Czy widziałeś

na dole dziewczynkę imieniem Agnes? Była dla mnie bardzo dobra, tak dobra, że się zastanawiam, czy jest w twojej mocy uczynić coś i dla niej.

Łukasz spoważniał.

- Widziałem to dziecko. Jest bardzo chora. Muszę ci powiedzieć, że nie ma przed sobą długiego życia. Obawiam się, że nie przeżyje nawet roku. Zawładnęła nią ciężka choroba wyniszczająca ciało i już nic nie można dla niej zrobić. - Mówił dalej z wyraźną niechęcią. - Takie przypadki zdarzają się na całym świecie. Choćbyśmy bardzo chcieli im zaradzić, nie leży to w naszej mocy. Dobry przyjaciel w Jerozolimie jest człowiekiem bogatym, ale obecnie zbyt dużo od niego żądamy. Nie mogę obarczać go sprawą tego biednego dziecka. Wykupienie twojej wolności kosztowało o wiele więcej, niż można było przypuszczać.

- Jej wolność można wykupić za znikomą sumkę - nalegał Bazyli. - Mogłaby wtedy mieć odpowiednią opiekę tak długo... tak długo, jak będzie żyła. Wiem, że za wiele żądam. Ale doprawdy, ciężko mi opuścić to miejsce, wiedząc, że ona tu zostanie. A może stanie się cud?

- Módlmy się o cud. - Lekarz gładził w zamyśleniu swą długą brodę. - Mogę ci tylko obiecać, że pomówię o niej, kiedy przyjadę do Jerozolimy. Człowiek, o którym wspomniałem, ma dobre serce. Być może da się przekonać i spełni twoje pragnienie. - Pokiwał z wolna głową. - A teraz, czyś gotów, mój synu?

Bazylego nie trzeba było długo namawiać.

- Nic nie mam do zabrania - powiedział zrywając się na nogi. - Niewolnik niczego nie posiada. Żałuję, że nie zdążę porządnie się umyć. Nie miałem tutaj możliwości dbać o czystość.

- Tam, dokąd ciebie zaprowadzę - powiedział Łukasz - będzie gorąca kąpiel i świeża płócienna tunika. - Wziął świecę i podniósł ją nad głowę, aby lepiej się przyjrzeć temu młodzieńcowi, na którego padł jego wybór. Wyglądało, że jest zadowolony z tego, co zobaczył. - Sądzę, że ów szlachetny starzec w Jerozolimie pochwali to, co zrobiłem, aczkolwiek była to raczej kosztowna transakcja.

Bazyli podszedł do okna i odciągnął zaskorupiałą od brudu zasłonę.

- Bezpieczniej będzie wyjść dachem - powiedział.

W przybyszu zaszła wyraźna zmiana. Wyprostował się. Znikła dobrotliwość z jego oczu. Teraz nabrały głębi i tajemniczości. Zaprzeczał, że jest w kontakcie z aniołami, ale w tej chwili wyglądał tak, jakby się oblekł w strój posłańca ze świata duchów.

- Wysłuchaj mnie, synu - powiedział. Ton jego głosu również się zmienił, zabrzmiał głęboko i rozkazująco. - Nie musimy uciekać przed niebezpieczeństwem. Zejdę po schodach i wyjdę drzwiami na ulicę, a ty masz iść za mną. Jeżeli ten niegodziwiec, Linus, ustawił zabójców pod domem, żeby ci zrobić krzywdę - nie ma to znaczenia. Przejdziemy wśród nich bez szwanku,

jak Daniel, kiedy się znalazł w jaskini lwów.

Położył rękę na ramieniu chłopca i skierował go ku drzwiom.

- Nie obawiaj się. Nie idziemy sami. Pan jest z nami.

Rozdział II

1

Na drodze do Aleppo panował wielki upał, a jednak wyczuwało się w nim dziwną łaskawość, jakby to palące słońce sprzyjało dzisiaj wszystkim żywym stworzeniom, nawet ludziom. Niby jakieś szafranowe danie na półmisku, stare miasto widniało w oddali, wyciągając życzliwie do wędrowca spiżowe ręce bogów tych wzgórz. Przy bliższym poznaniu miasto okazało się zawiłym labiryntem wąskich uliczek z zadziwiającymi bazarami, które można by porównać jedynie z Czasem, nie mającym początku ani końca. Nawet Bazyli, dziecko Dzielnicy Handlu, zabłądził w tych bezmiarach i tylko dzięki pomocy jakiegoś żebraka, którego ropiejące rany były prawdziwe, zapóźniony i zawstydzony odnalazł powrotną drogę do wielkiego hanu * wewnątrz Bramy Antiocheńskiej.

Han - zajazd (przyp. tłum.)

Znalazł się tam w samą porę. W chwilę potem pojawił się spóźniony Adam ben Aszer, do którego byli skierowani. Ten ostatni okazał się typowym przykładem połączenia przeciwstawnych cech. Figurę miał brzuchatą, ale mięśnie jak stal; skóra mu poczerniała od słońca pustyni; brwi były nad podziw krzaczaste, zaś bardzo żywe i niespokojne oczy miały niezwykły odcień szarości. Jego ubiór również składał się z kontrastów. Do powłóczystej tuniki z czerwonym oblamowaniem, oznaczającym przybysza z pustyni, nosił wysoko sznurowane sandały, z których byłby dumny grecki elegant, i pas, który mógł pochodzić tylko z dalekiego i bajecznego kraju Sin. Mówił ostrym głosem zawodowego recytatora opowieści, gestykulując przy tym jak handlarz wielbłądów. Wpadał we wściekłość i natychmiast uspokajał się tak łatwo, jak aktor odgrywający rolę. Nie przestawał mówić, a to, co mówił, było kolejno zabawne, szydercze i pochwalne. Nie ulegało wątpliwości, że jest przyjacielem każdego, kto znalazł się na karawanowych szlakach.

Przemierzył dziedziniec zajazdu, witając donośnym głosem Łukasza Lekarza. Szturchaniec w piersi zachwiał równowagę starca, ale natychmiastowe grzmotnięcie między łopatki uratowało go od upadku.

- Wyglądasz tak świeżo, jak śniegi Araratu - wyrecytował Adam. - Jaka sprawa cię tu sprowadza? Czy idziesz przygotować drogę dla Dzielnych Głosów przy zdobywaniu Bawilu? *

Bawil - miejscowość w Mezopotamii, późniejszy Bagdad (przyp. red.).

Łukasz przyjął kuksaniec bez obrazy, zaprotestował jednak na słowa Adama.

- Przykro mi, kiedy mówisz w ten sposób - powiedział.

- Dlatego, że nazywam Pawła, Piotra i twych pozostałych przyjaciół Dzielnymi Głosami? A jak mam ich nazywać? Ja wyznaję dawną wiarę i Prawo Mojżeszowe. Nie mogę się zmusić do

nazywania tych wyznawców Nazarejczyka apostołami. O cóż więc chodzi? Nazwa Dzielne Głosy jest tak samo dobra, jak każda inna. Może jest w niej zbyt mało szacunku, wskazuje jednak na to, że twoi chrześcijańscy przywódcy mają odwagę. Czy możesz się spodziewać, że uczyniłbym coś więcej? - Ryknął głośnym śmiechem. Nagle umilkł i zadał Łukaszowi pytanie: - Co cię sprowadza do Aleppo?

- Przyprowadziłem do ciebie tego chłopca - odpowiedział Łukasz. - Ma jechać do Jerozolimy, a Józef z Arymatei wyraża życzenie, aby odbył tę drogę w twojej karawanie.

Jasne oczy nomada o mahoniowej skórze zwróciły się w stronę Bazylego. Lustrował każdy szczegół jego wyglądu, młodzieńczą szczupłość i szerokie czoło. Zwrócił również uwagę na kolobium o krótkich rękawach, znamionujące wolnego człowieka, które Bazyli z taką radością nosił.

- Kim on jest? - zapytał Adam ben Aszer nie zniżając głosu. - Myślę, że jest za młody, aby być jednym z Dzielnych Głosów, ale oczy jego podejrzanie błyszczą. Jest w nich coś takiego, co budzi we mnie niepokój. Co to jest?

- Adamie ben Aszer - powiedział Łukasz stanowczo - lepiej będzie, jeśli przestaniesz krzyczeć na całe gardło. Ten młodzieniec pochodzi z Antiochii. Jest artystą i ma wykonać zamówienie dla Józefa z Arymatei.

Dowódca karawany z jeszcze większą uwagą przyjrzał się Bazylemu. Teraz już nie był jowialny, lecz skupiony i krytyczny.

- Nie mam najlepszego zdania o artystach - zaznaczył. - Za wielu ich było na świecie, malowali na ścianach i rzeźbili bożki w kamieniu. A więc ten chłopak jest artystą i ma pracować dla Józefa z Arymatei... Całe moje życie pracuję dla Józefa z Arymatei, więc ta sprawa również mnie dotyczy.

W dobrotliwych oczach Łukasza pojawił się lekki cień znużenia.

- Mój przyjacielu - powiedział - tu chodzi o rzecz bardzo drobną. To ciebie w żaden sposób nie dotyczy.

Ta dziwnie dobrana trójka usiadła razem w rogu dziedzińca, postawiwszy między sobą miedziane naczynie napełnione ryżem i mięsem jagnięcia, z różnymi niespodziankami w rodzaju warzyw, orzechów i przypraw z Dalekiego Wschodu. Bazyli zajadał z wielkim apetytem typowym dla młodego wieku. Adam ben Aszer pałaszował fantastyczne ilości jadła, wycierał ręce w serwetkę za każdym razem, kiedy sięgnął do naczynia, nie zwracając na razie uwagi na usta i policzki. Łukasz jadł niewiele, wybierając upatrzone kąski.

- Ty i ja, Łukaszu - oznajmił Adam wkładając wskazujący palec do półmiska - jesteśmy bardzo do siebie podobni. Nie zaliczają cię do najmężniejszego wśród Dzielnych Głosów, lecz

zauważyłem, że polegają na tobie we wszystkich sprawach. To ty organizujesz spotkania, ty rozmawiasz z urzędnikami, ty dbasz o zaopatrzenie w żywność. Kiedy potrzeba pieniędzy, ty się udajesz do Józefa z Arymatei. To ty rozmawiasz z kapitanami okrętów, dozorcami więzień, właścicielami zajazdów i poborcami podatków. Zastanawiam się, czy byłoby dzisiaj tak wielu wyznawców, gdyby nie cicha praca pewnego Łukasza, który w tej chwili siedzi obok mnie i marszczy brew, nie godząc się z tym, co wygaduję... Ty, drogi przyjacielu, jesteś dla nich niezbędny, a co masz w nagrodę? Stałeś się... Koniem Pociągowym Chrześcijaństwa! - Przywódca karawany odrzucił do tyłu głowę pokrytą czarną strzechą włosów i ryknął śmiechem, ciesząc się z własnego dowcipu. - A teraz spójrzmy na tę drugą stronę. Ten mądry starzec w Jerozolimie, Józef z Arymatei, jest uważany za wielkiego kupca. Ale w ciągu ostatnich dziesięciu lat ja, Adam ben Aszer, wykonuję dużą część pracy. To ja kupuję, ja sprzedaję, ja walczę, ja planuję. Ja prowadzę karawany, ja docieram na Wschód aż do Indii. Pracuję od wschodu do zachodu słońca. Jestem Tytanem Szlaków, Pielgrzymem do Pe-$lu. Józef z Arymatei rozdziela bogactwa hojną ręką, aby Dzielne Głosy mogły wyruszać w drogę i nauczać, ale to Adam dostarcza denarów.

Bazyli skończył posiłek i przysłuchiwał się tym słowom z wielkim zainteresowaniem. W tym momencie Adam zamilkł, żeby raz jeszcze przyjrzeć się bacznie młodzieńcowi.

- A więc ten chłopak jest artystą! - powiedział wreszcie. - Wierzę ci, Łukaszu, bo nie mógłby być nikim innym ze swoimi bezużytecznymi rękami. Ale cóż ten geniusz ma zdziałać dla Józefa z Arymatei?

- Twój pan jest już bardzo starym człowiekiem - powiedział Łukasz - a jego wnuczka, mała Debora...

- Mała Debora - przerwał Adam z głośnym i niecierpliwym prychnięciem - ma lat piętnaście. Stosowny wiek do zamęścia.

- Czy jej wiek ma tu jakieś znaczenie? - zapytał Łukasz. - Chodzi o to, że Debora chce mieć podobiznę Józefa w srebrze, którą mogłaby na zawsze zachować. Zwrócono się do mnie, żebym znalazł najlepszego w Antiochii artystę pracującego w srebrze i wybrałem tego oto młodzieńca.

Adam ben Aszer zakończył swój posiłek. Zamoczył obie ręce w misce z wodą, poklepał nimi twarz i obtarł policzki, żeby usunąć ślady posiłku. Prychał przy tym jak potwór morski. Kiedy skończył, wsparł łokcie na kolanach i znów zaczął przyglądać się Bazylemu.

- Ile czasu zajmie ta głupota? - spytał, zwracając się po raz pierwszy bezpośrednio do młodzieńca.

- Parę tygodni - odpowiedział Bazyli niepewnie. Nietrudno było wyczytać brak przychylności w bystrym spojrzeniu tego dziwnego człowieka. - Być może, nieco dłużej. To zależy, jak mi się uda. Czasem pierwsze próby nie wychodzą.

Adam zwrócił się do Łukasza.

- Czy nie można było wybrać kogoś, kto za pierwszym razem zrobiłby dobrze? Czy wysyłasz do Jerozolimy jakiegoś niewprawnego czeladnika? Gdzie on będzie mieszkał?

- Będzie mieszkał w domu Józefa. To jest konieczne. Dzięki temu przyjrzy się dobrze jego twarzy.

- I wielu innym rzeczom. Mój czcigodny przyjacielu, czy uważasz, że ten młodzik robi dobre wrażenie?

- Cieszy się moją życzliwością.

Przywódca karawany znów spojrzał na Bazylego marszcząc twarz. Zmienił pozycję, rzucił jeszcze jedno spojrzenie i znów się skrzywił z niesmakiem. Wreszcie oznajmił gderliwym tonem:

- Jak już powiedziałem, nie mam wysokiego mniemania o artystach. To słabeusze. Mógłbym go wziąć w dwie ręce i złamać mu wszystkie żebra. Byłby to przyjemny sposób rozruszania moich mięśni. - Potem odwrócił się do Łukasza. - Dokąd się udajesz, kiedy zostawisz tego twórcę podobizn w moich rękach?

- Wracam, żeby się przyłączyć do Pawła - odparł lekarz. - Zbiera on grupę ludzi, jak pewnie słyszałeś. Zrobiono zbiórkę pieniędzy w Macedonii na potrzeby ubogich w Jeruzalem i Paweł ma je tam dostarczyć.

Błysk przebiegłości pojawił się w oczach dowódcy karawany.

- To tylko wymówka - oznajmił. - Paweł ma zupełnie inne powody.

Łukasz skinął głową.

- Masz rację. Paweł ma inne powody.

Skłoniło to Adama ben Aszera do długiej przemowy.

- Robi to zbyt pochopnie. Będą kłopoty, kiedy znów tam się zjawi. Bójki, rozlew krwi i mordy. - Położył rękę na ramieniu Łukasza i mocno nim potrząsnął, żeby zmusić do zwrócenia uwagi na to, co mówi. - Ty, Łukaszu, byłeś uzdrawiaczem ciał, a teraz się przemieniłeś w uzdrawiacza dusz. Jesteś miłosierny i nie ma w tobie egoizmu. Za to cię lubię. W niektórych sprawach zachowujesz się jednak jak dziecko w świecie nikczemników. Myślę, że nie masz pojęcia o tym, jak się naprawdę sprawy mają. Wiesz, że wszyscy kapłani Świątyni nienawidzą Pawła. Czy zdajesz sobie sprawę, o Uzdrowicielu Ludzi, że ogień niezadowolenia tli się w każdej żydowskiej duszy? Kiedy cały świat spoczywa spokojnie pod rzymskimi rządami, nadchodzi dzień, w którym Żydzi powstaną, aby zrzucić kajdany. Zeloci ostrzą swe noże i szepczą o rebelii. Chrześcijan nienawidzą, ponieważ Żyd, który uwierzy w słowa waszego Jezusa Chrystusa, staje się miłośnikiem pokoju. Nienawidzą Pawła, gdyż ten naucza o pokoju na całym świecie, o pokoju pod rządami Rzymu. Jeśli przybędzie do Jerozolimy, to zanim wypowie “Pokój z wami”, sztylet zeloty

przebije mu pierś.

- Paweł zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa - stwierdził Łukasz. - Sztylety zelotów towarzyszą mu, dokądkolwiek idzie.

- Powstrzymaj go! - zawołał Aszer. - Już i tak dość jest zamieszek. Bunt, który wybuchnie przez tego mistrza nierozwagi, Pawła z Tarsu, mógłby się stać początkiem rebelii przeciw Rzymowi. Jestem pobożnym Żydem, wierzę w Prawo Mojżeszowe, lecz nie chcę mieć nic wspólnego z zelotami. Wiem, jak łatwo Rzymianie skąpaliby we krwi żydowskiej każde ich powstanie.

- To ręka Jahwe przywołuje Pawła z powrotem do Jerozolimy.

- To Paweł tak mówi - oznajmił Adam z goryczą. - Jaką możemy mieć pewność, że ta ręka nie wskazuje mu, aby pozostał z dala? No cóż, on i tak przybędzie do Świętego Miasta, ale to będzie czarny dzień dla nas wszystkich.

Nagle, ku zaskoczeniu słuchaczy, przywódca karawany przeskoczył na inny temat.

- Zeszłej nocy był tutaj Szymon Mag. Zjawił się na targowisku i wszyscy mężczyźni w Aleppo przyszli zobaczyć jego sztuczki.

Łukasz podniósł oczy, twarz miał poważną.

- Wszędzie słyszę o tym Szymonie. Sprawia nam wiele kłopotu. Czy go widziałeś?

- Rzecz prosta, że go widziałem. - Adam z lubością przytaknął głową. - To największy magik na świecie. On sprawia, że cuda wydają się czymś dziecinnie łatwym. Pozwól, że ci to powiem, Łukaszu: wszędzie, dokąd idzie, zdobywa zwolenników i odbiera ich Nazarejczykowi. - Zatoczył szeroki gest ręką. - Czegóż możesz się spodziewać? Ludzie wierzą, że Jezus jest Mesjaszem, bowiem dokonywał cudów. Potem zjawia się Szymon Mag, który im mówi: “Patrzcie, ja też mogę czynić cuda. Mogę dokonać większych cudów niż on.” Więc, naturalnie, ludzie zaczynają się zastanawiać i mówią do siebie: “To prawda. Czemu mielibyśmy wierzyć w Nazarejczyka?”

Po każdym wymówionym przez Adama słowie Łukasz stawał się poważniejszy. Był zasmucony tak, jakby słuchał niemądrej paplaniny dzieciaka.

- Mój synu - powiedział - nie zostałeś jednym z nas i czasem się obawiam, że nigdy nim nie zostaniesz. Byłeś pod wpływami świątobliwego pana przez wszystkie lata swego życia. Znasz apostołów i słyszałeś, jak przemawiali. Możliwe nawet, że widziałeś kiedyś Jezusa.

Adam potrząsnął głową przecząco.

- Mój pan mnie przyjął jako poganiacza wielbłądów już po śmierci Jezusa. Wtedy słyszałem, że pochowano Go w grobowcu Józefa i przypuszczano, że powstał z martwych.

- To nie przypuszczenie, to prawda. Widziało Go po śmierci wielu Jego wyznawców.

- Jestem Żydem i żyję według Prawa Mojżeszowego - oznajmił Adam. Uśmiechnął się szeroko i postukał kostkami rąk w głowę. - Ta głowa jest twarda. Bardzo twarda.

- Boję się, że tak twarda, jak twoje serce.

- Jest równie twarde, jak grzbiet krokodyla - uzupełnił dowódca karawan.

Łukasz westchnął głęboko.

- Porównanie aż nazbyt trafne. Żadnemu z nas nie udało się trafić do twej duszy. - Milczał przez chwilę, a potem znów zaczął mówić z żarliwym przekonaniem. - Nie jesteś chrześcijaninem, więc nie możesz wiedzieć, że wiara w cuda Jezusa nie jest najważniejsza. Nie dostąpiłem zaszczytu widzenia Go na własne oczy, lecz dla mnie nie stanowiłoby różnicy, gdyby nie dokonał żadnego cudu. Chodzi o jego nauki, synu. On nam przyniósł tę podniosłą prawdę, że nasz Bóg jest Bogiem miłosierdzia i przebaczenia i że możemy być zbawieni i obmyci z naszych grzechów krwią przelaną na Górze Kalwarii. Kiedy jedziesz na swoim wielbłądzie, Adamie, to nie amulet wokół szyi zwierzęcia daje ci siły do przebycia drogi z Aleppo do Jerozolimy. Opowieści o cudach nie mają dla nas większego znaczenia niż dla ciebie - amulet.

- A dlaczego takie tłumy ludzi się gromadzą, aby zobaczyć Szymona? Dlaczego zaczynają mówić, że to on jest Mesjaszem, a nie Jezus z Nazaretu?

- Liczba odstępców jest niewielka. Żaden prawdziwy chrześcijanin nie zwraca uwagi na tego oszusta i szarlatana.

- Nie należy go lekceważyć. W tym, co on robi, może być coś więcej niż keszef. Ten Szymon to mądra sztuka. Jak myślisz, co on takiego zrobił wczorajszego wieczoru, że wszystkim oczy wychodziły z orbit? Wziął dziewczynę do pomocy na podeście. Tak, Łukaszu, wystawił ją na widok wszystkich z odsłoniętą twarzą. Śliczna dziewczyna z oczami jak gwiazdy, z włosami czarnymi jak noc. Jej kształty doprowadzały do szału kochliwych mężczyzn z Aleppo. Wydawało się na początku, że powstanie zamęt. Kobietom nie wolno pokazywać publicznie twarzy. Tymczasem już po kilku chwilach widać było, jak się oblizują i cieszą.

- Jego serce jest czarne od niegodziwości! - oznajmił Łukasz. - Dziwię się, że nie uderzy weń piorun zesłany gniewną ręką Jahwe.

- Dokąd, jak myślisz, podąża ten człowiek o czarnym sercu, z zamiarem przedstawienia swych sztuczek? Do Jerozolimy.

- Nie mogę w to uwierzyć! - zawołał Łukasz. - Szymon jest Samarytaninem. Nie pozwolą mu występować publicznie w Świętym Mieście.

- Nie jestem tego taki pewny. On chce umniejszyć znaczenie Jezusa z Nazaretu i bardzo możliwe, że kapłani Świątyni będą mu radzi. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby wielcy dostojnicy Świątyni pozwolili mu wykonywać jego sztuczki na wprost Bramy o Złotych Sztabach.

Łukasz potrząsnął głową z niepokojem.

- Wobec tego dobrze się składa - powiedział - że Paweł rusza do Jerozolimy. Trzeba coś zrobić na dowód, że ten Szymon, ten zły Samarytanin, to kuglarz i oszust.

W nocy, kiedy Adam zaczął wydawać przy chrapaniu dźwięki, podobne do powolnych uderzeń pięści w napięty bęben, Łukasz powiedział do wyciągniętego obok Bazylego:

- W drodze na spotkanie z Pawłem zatrzymam się w Antiochii i złożę oświadczenie w sądzie o twoim wyzwoleniu i jego warunkach. Jesteś bardziej wolny niż tego wymagają rzymskie prawa, jednak w Antiochii, podobnie jak w innych prowincjach cesarstwa, mogą nie respektować tego wyzwolenia. Następnie zażądam, zgodnie z nakazem postliminium, aby przywrócono ci prawa obywatelskie. Przypuszczam, że uda się to przeprowadzić bez przeszkód, bowiem według powszechnej opinii w mieście, zostałeś nikczemnie potraktowany. Wszyscy są zgorszeni przekupstwem Linusa, którego darzą teraz jedynie pogardą.

- Sądziłem, że to właśnie na wyzwoleńców ludzie patrzą z pogardą - powiedział Bazyli.

- Tak jest w Rzymie. W owym mieście żyje wielu byłych niewolników, a rdzennych Rzymian razi ich bogactwo i zuchwalstwo. Wciąż jeszcze mówią z oburzeniem o małżeństwie Druzylli, wnuczki Antoniusza i Kleopatry, z wyzwoleńcem z Judei - Feliksem. Mocno szemrzą, bowiem Neron powierza wielu wyzwoleńcom ważne stanowiska. Ale poza Rzymem jest inaczej. Czyś widział kiedykolwiek w Antiochii pileus * na głowie wyzwoleńca?

Pileus - filcowa czapka szczelnie przylegająca do głowy, będąca oznaką wolności u wyzwoleńców (przyp. red.).

- Nie sądzę - Bazyli potrząsnął głową.

- W Rzymie muszą go nadal nosić. - Łukasz przerwał i pogrążył się w myślach. - Z tobą będzie inaczej, bowiem urodziłeś się wolny, a twój ojciec był obywatelem Rzymu. Pewien jestem, mój synu, że możesz spać spokojnie, z pełnym zaufaniem, że nigdy nie będziesz musiał nosić pileusa!

2

Łukasz odjechał następnego dnia. Przez cały tydzień Adam ben Aszer handlował, kupował i sprzedawał, zaś Bazyli czekał. Po rozmowie między obu starszymi mężczyznami, której pilnie wysłuchał, Bazyli niechętnie myślał o długiej podróży do Jerozolimy, po gorących szlakach, w towarzystwie Adama, który tak źle o nim myślał.

- Spodziewam się, że masz mocne serce pod tymi chudymi żebrami - powiedział Adam, kiedy siedzieli razem przy swoim ostatnim, jak sądzili, wieczornym posiłku w Aleppo. - Co najmniej dwa tygodnie będziemy w drodze, a upału wystarczy do usmażenia jaszczurki na skale. -

Przełknął ostatni kęs jedzenia i obtarł usta szybkim ruchem ręki. - Ruszamy o świcie.

Nie wyruszyli jednak o świcie. Bazyli nocą dostał gorączki, być może z powodu niepokoju, w jakim ostatnio żył, albo z niedożywienia i przepracowania w ciągu dwóch długich lat. Przez trzy dni rzucał się na posłaniu nieprzytomny, z zamkniętymi oczami, z czołem rozpalonym i suchym. Adam ben Aszer, głośno wyrzekając na zwłokę i nieobecność Łukasza w tej potrzebie, podawał młodzieńcowi każdy lek, jaki mógł znaleźć. Rankiem czwartego dnia dojrzał ślad wilgoci na czole pacjenta.

- Łukasz nic lepszego by nie zrobił - mówił do siebie dowódca karawany z uczuciem dumy ze swego sukcesu. - Czy to sprawił ciemiernik czarny, czy też strąki świętojańskiego chleba, które kupiłem od tego starego Armeńczyka? Cokolwiek to było, będzie żył. - Pocierając ręką nie ogoloną szczękę, przyglądał się pacjentowi wciąż jeszcze nieprzyjaznym okiem. - Gdyby chorował jeszcze dzień dłużej, ruszyłbym w drogę bez niego. Łukasz musiałby znaleźć innego artystę i tym razem mógłby mieć tyle rozsądku, żeby wybrać człowieka w pełni dojrzałego z grubym brzuchem i łysą głową. Czułbym się spokojniejszy wprowadzając do domu Józefa kogoś, kto ma kaprawe oczy i niemiły oddech, a nie tego szczupłego, młodego żółtodzioba.

Następnego dnia, kiedy w powietrzu unosiła się świeżość brzasku, wsadzono Bazylego na grzbiet wielbłąda wyposażonego w musatę, posłanie, składające się z małego kwadratowego namiotu i wygodnego oparcia. Był jeszcze słaby i chory, ale za nic nie chciał, aby z jego powodu dowódca jeszcze bardziej opóźnił wymarsz karawany.

Adam przyglądał się, jak pomocnik przywiązuje pobladłego Bazylego do tylnych poduszek sznurami ze skręconego koziego włosia, na końcach których zwisały ozdobne chwasty, i dał znak do wymarszu. Człowiek szarpnął za wodze i ostro krzyknął: “Chich!” Wielbłąd stęknął, wysunął głowę do przodu i wolno podniósł się na kolanach. Bazyli poczuł, że się przechyla do przodu, kiedy zwierzę podnosiło swój zad. Nie mając siły, by się przytrzymać rękami, był pewien, że wypadnie z musaty. Ale w tym momencie wielbłąd podniósł jedną przednią nogę, postawił ją na ziemi i cały przód zwierzęcia zaczął się stopniowo podnosić. Wydawało się, że ta chwila trwa nieskończenie długo, wreszcie przy akompaniamencie wielu stęknięć i pojękiwań przód wielbłąda zrównał się z zadem, a chory jeździec odetchnął z ulgą.

- Chich! - zawołał nadzorca, przewodnik karawany, który podszedł bliżej, żeby wszystkiego dopilnować. Był to tęgi mężczyzna o brązowej twarzy. Spojrzał na Adama, kiedy wielbłąd ruszył do przodu powolnym, kołyszącym się krokiem, i zapytał:

- Powoli?

- Tak, powoli - potwierdził Adam. - Przez dwa następne dni. Gdybyśmy próbowali robić na początek więcej, jak dwadzieścia pięć mil, musielibyśmy wyprawić pogrzeb temu artyście.

Osobiście nie miałbym nic przeciw temu, ale starzec w Jerozolimie nie byłby zadowolony.

- Zdarza się - powiedział nadzorca - że rezygnujemy z własnych przyjemności przez wzgląd na starca z Jerozolimy. Ten młody worek kości jest mu do czegoś potrzebny.

- On ma jakieś zamiary co do tego młodego worka kości - wyjaśnił Adam.

Długa karawana wyszła już poza obozowisko, położone pod murami miasta, i wędrowała z wolna Drogą Jerozolimską, kiedy Adam podjechał na swoim wielbłądzie do Bazylego, uniósł zasłonę namiotu i zerknął na chorego.

- Jesteś żółty jak mumia - powiedział. - Masz zamiar znów zasłabnąć?

- Chyba nie - odpowiedział Bazyli, nie wysilając się, żeby odwrócić głowę. - Ale potrzebuję więcej powietrza.

- Podniosę zasłonę z tej strony, bo słońce tu nie pada. Patrz prosto przed siebie. Wkrótce przyzwyczaisz się do kołysania wielbłąda.

Przez parę chwil jechał w milczeniu, wreszcie zapytał:

- Co wiesz o Józefie z Arymatei?

- Nic o nim nie wiem.

- Józef - oznajmił Adam z wyraźną dumą - to człowiek bardzo bogaty. Niektórzy mówią, że to najbogatszy człowiek na świecie i to może być prawda. Czy trzeba ci mówić, że Żydzi to największy naród świata? Są zdolni i bystrzy, posiadają też dar rozumienia wielu rzeczy. Są również żądni zysku i mają wielkie fortuny, które czasem robią z niczego. Był kiedyś Żyd imieniem Job, tak bogaty, że posiadał sześć tysięcy wielbłądów oraz wielkie stada bydła i owiec, a jego koni wystarczyłoby dla całej rzymskiej armii. Ale to było przed tysiącem lat, a od tego czasu handel tak się rozwinął, że dziś Józef z Arymatei jest bogatszy niż pół tuzina Jobów razem wziętych. Jego stosunki są tak rozległe, że gdyby zbankrutował, rozpadłby się cały handel w Jerozolimie. Nie chełpię się, młody artysto. Powinieneś wiedzieć, kim jest wielki starzec, dla którego masz pracować w Jerozolimie.

- Józef ma jedną wadę - ciągnął dalej. - Jest chrześcijaninem. Został nim w dawnych czasach, kiedy to było naprawdę niebezpieczne. Józef był pewny, że jego interesy ucierpią, jeśli to wyjdzie na jaw, toteż nie uczestniczył w pochodach wyznawców bijących się w piersi i śpiewających hymny. Nie dlatego - dodał z naciskiem - żeby się bał. Po ukrzyżowaniu Jezusa poszedł do Poncjusza Piłata, tego mięczaka i zażądał wydania ciała. Umieścił je w swoim własnym grobowcu i zatoczył kamień, aby zamknąć wejście. Nie będę wyrażał własnego zdania o tym, co się stało później.

Bazyli słuchał z przejęciem, ale gdyby nawet odwrócił głowę, nie miałoby to znaczenia, bowiem Adam zaczął już opowieść i nic nie mogło go powstrzymać.

- Józef ma za sobą długie życie. Od przeszło trzydziestu lat jest głównym finansowym oparciem chrześcijan. Mówią, że ich Pan dokonuje cudów, ale na pewno nie sprawia, żeby szekle się rozmnażały w woreczkach Jego wyznawców. Są jeszcze inni, którzy wspomagają, ale kiedy się słyszy: "Wezwano Pawła do Macedonii", albo: "Piotr postanowił jechać do Rzymu", przychodzą z prośbą o pomoc do Józefa z Arymatei. On nigdy nie odmawia. - Adam przerwał dla złapania oddechu i westchnął z głębokim żalem.

- Niewiele życia ma przed sobą ten szlachetny starzec, a kiedy umrze, miejsce po nim zajmie Aaron, jego jedyny syn, ojciec Debory. Wszystko się wtedy zmieni. Na Boga, jak bardzo się zmieni! Jak to się mogło zdarzyć, że taki mężczyzna jak Józef, który całe swoje życie promieniował ciepłem, jak ognista kula na niebie, mógł spłodzić taki wyschnięty strąk, jak Aaron? Aaron nie musiał się uczyć arytmetyki. Przychodząc na świat, już umiał dodawać i mnożyć. Gdyby spisać wszystkie słowa wymówione przez dzieci Izraela w ciągu wieków, zliczyć je i ułożyć w słupki, to by się okazało, że nasz kochany, szczodrobliwy Aaron częściej wymawiał "nie" niż wszystkie inne słowa wzięte do kupy. Czy kiedykolwiek obozowałeś na płaskowyżu zimową nocą i czułeś, jak zimno zamienia cię w bryłę lodu? Serce Aarona jest jeszcze zimniejsze. Na równinach można zawsze rozpalić ogień wielbłądzim łajnem, ale nie można rozniecić płomienia w sercu Aarona. Kiedy Józef umrze, chrześcijanie nie dostaną ani pół szekla od tego człowieka o małej i wyschniętej duszy. - Jasne było, że Adam bez obawy wypowiada te słowa. - Po co ja ci to mówię o człowieku, który pewnego dnia zacznie mi wydawać rozkazy? To samo powiedziałem Aaronowi w oczy.

Opowiadał dalej o domownikach wielkiego kupca w Jerozolimie, lecz Bazyli przestał słuchać. Gorączka wróciła, a jego umysł zatracił się w dziwnych, nie powiązanych ze sobą snach.

3

Gorączka opuściła go całkowicie dopiero po dziesięciu dniach nieprzerwanej podróży. Minęli przez ten czas dolny kraniec Morza Galilejskiego i rozłożyli obóz przy brodzie Wadi Fara. Strumień wije się tu leniwie przez równinę, aby się połączyć z szybkimi wodami Jordanu. Bazyli spał dobrze, zbudził się z jasną głową i świeżą energią. Podziwiał wysokie wzgórza na zachodzie, za którymi, jak mu powiedziano, kryje się Samaria. Przyjemny był chłód poranka, powietrze napełniał śpiew ptaków w drzewach palmowych i morwowych, niebo olśniewało barwami.

- Jak się nazywa ten najwyższy szczyt? - zapytał.

- Góra Ebal - krótko odpowiedział Adam. - Nigdy mnie nie pytaj o przeklętą ziemię Kutejczyków. * Słuchaj: coś się dzieje po drugiej stronie brodu. Za chwilę zobaczysz coś godnego twojej uwagi.

Kutejczycy - pogardliwa nazwa Samarytan (przyp. tłum.).

Poprzedniej nocy duża grupa ludzi przybyła nad bród i rozłożyła obóz po przeciwnej stronie.

- Już prawie zakończyli swe modły - wyszeptał Adam z najwyższym szacunkiem. - Teraz przemówi Stojący Człowiek.

Po chwili na przeciwnym brzegu Jordanu zabrzmiał głos:

- Podnieście się! Pójdziemy do Syjonu i do Jahwe, naszego Boga!

Cała grupa posłusznie wstała i zaczęła śpiewać: “Rad byłem, gdy powiedzieli, pójdźmy do domu Jahwe”.

Dla Adama był to znany widok. O tej porze roku każdy z dwudziestu czterech okręgów, na jakie była podzielona Palestyna, wysyłał grupy ludzi do Jerozolimy pod nadzorem urzędnika, którego nazywano Stojącym Człowiekiem; zabierano ze sobą pierwsze płody ziemi na ofiarę Bogu. Było zwyczajem rolników wybierać wszystko, co najlepsze: najpiękniejsze kłosy, najdorodniejsze winne grona, najsoczystsze kiście daktyli; układali to w białych jak śnieg wiklinowych koszach, a nawet w naczyniach ze złota lub srebra, które zanoszono do Świątyni. Dla Bazylego wszystko to stanowiło nowość, więc przyglądał się z największym zainteresowaniem.

Grupa zbliżała się teraz do brodu, przy dźwiękach fletów, wyznaczających tempo marszu. Zaczęto śpiewać pierwszą z Pieśni Wejścia.

Adam z uczuciem dumy przyglądał się tej demonstracji niezmiennej wiary jego narodu. Z rozmachem szturchnął w ramię Bazylego i wskazał na rzędy przejętych mężczyzn schodzących ku wodzie.

- Popatrz na nich! - zawołał. - Oni wszyscy żyją według Prawa Mojżeszowego. W taki oto sposób szli za Joszuą na Paschę. Ci ludzie spali minionej nocy pod gołym niebem, aby uniknąć zbrukania, a niektórzy z nich czuwali przy pierwszych płodach ziemi. Teraz ze śpiewem wyruszają w długą drogę do Świętego Miasta. Czy ten widok nie rozgrzewa w tobie krwi? Oto ludzie, którzy wiernie zachowują wszystkie obyczaje swych ojców! Posłuchaj słów ich pieśni:

“Ten, który ufa Panu,
jakby na górze Syjonu zasiędzie,
nigdy się nie zachwieje.
Jak Jeruzalem otaczają góry,
tak Pan otacza lud swój
teraz i na wieki.”

*

Psalm 125 w przekładzie Anny Kamieńskiej (“Do źródeł. Psalmy i inne przekłady

poetyckie", "W drodze", Poznań 1988).

Oczy Adama błyszczały szczęściem.

- Kiedy zobaczę wzgórze, na którym stoi Świątynia, kapłani i lewici * wyjdą, aby ich powitać, a potem wszyscy razem będą się wspinali na wysokie schody, śpiewając pieśni ku chwale Jahwe. Tak robią każdego roku.

Lewici - niższa warstwa kapłańska wywodząca się z pokolenia Lewiego, syna Jakuba (przyp. tłum.).

Nadzorca dopilnował, aby tego dnia pracochłonne przygotowania do podróży rozpoczęto wcześniej niż zazwyczaj. Bazyli żywo wdrapał się do swojej musaty i zawołał do Adama:

- Czuję się na tyle dobrze, żeby zrobić dziś pięćdziesiąt mil!

Adam wciąż jeszcze przyglądał się procesji Pierwszych Płodów Ziemi.

- My, dzieci Izraela, mamy poważny stosunek do naszej religii - powiedział. - I jesteśmy jedynymi ludźmi na świecie, którzy to robią. Opowiem ci o tym.

Ciągnął dalej opowieść, jadąc obok Bazylego, kiedy karawana ruszyła z miejsca.

- Pewnego dnia - rozpoczął - kusiło mnie do popełnienia grzechu. Nie jakiegoś tam waszego drobnego grzeszku z rodzaju tych, jakie głupi, mali ludzie popełniają co dnia, lecz wielkiego czarnego, okropnego grzechu. Kiedy to rozważałem, poczułem nad głową rękę gotową do ciosu. To była ręka Mojżesza. Chociaż ten gniewny mąż nie żyje od tysięcy lat, to jednak żaden Żyd nie może popełnić dziś złego czynu z obawy, że Mojżesz osobiście go za to ukarze. To Mojżesz nauczył nas, że trzeba zachowywać szabat. Czy zauważyłeś, że moja lewa ręka jest od łokcia sztywna? Nie na wiele mi się przydaje. Kiedy byłem chłopcem, złamałem ją w dzień szabatu. Mój ojciec dopiero następnego dnia pozwolił, żeby coś przy niej zrobiono.

Zamilkł na chwilę, a później zaczął wygłaszać przemowę o zasługach swego narodu.

- Dla Żyda mieszkającego poza naszą ziemią Świątynia stanowi ośrodek całego duchowego życia. Ma swoją synagogę, ale zwraca się do Świętego Świętych w Jeruzalem. Tęskni do odprawianych tu modłów. Stało się u nas zwyczajem dawanie znaków z Jerozolimy, kiedy zaświeci tam księżyc paschalny. Odbywa się to za pomocą łańcucha ognisk zapalanych na szczytach wzgórz. Jak tylko księżyc podniesie swą bladą tarczę nad horyzontem, zapalają się ognie i po paru minutach Żydzi, nawet ci w dalekim Babilonie, wiedzą, że paschalne światło zalewa Święte Miasto. Wychodzą na dachy swoich domów i wyciągają ramiona w stronę Jerozolimy. Ogarnia ich wtedy wielki spokój i szczęście. A ci przeklęci Kutejczycy wiedzą o tym i zazdroszczą nam tego zwyczaju, w którym nie wolno im uczestniczyć. Próbują więc przeszkadzać. Zapalają inne ognie na szczytach wzgórz, oczywiście w niewłaściwym czasie. Kiedy to się zdarza, strażnicy świętych ogni są zbici z tropu i nie wiedzą, którym światłom wierzyć.

- Pewnego razu - ciągnął dalej z nutką satysfakcji w głosie - jechałem nocą z Damaszku. Otóż, patrząc w stronę góry Ebal, zobaczyłem światło zapalające się na szczycie wzgórza i już wiedziałem, że oni znów stroją sobie żarty. Wyjechałem z moimi ludźmi na wzgórze i tam zastaliśmy chyba ze dwudziestu szczerzących zęby Kutejczyków, dokładających drewno do ogniska, śmiejących się i skaczących dokoła. - Odrzucił głowę do tyłu i głośno się roześmiał. - Ściągnęliśmy ich ze wzgórza, złoili skórę i zadeptali ognisko. Potem daliśmy znać do ich kołtuńskich dolin, gdzie żyją w gnuśnej bezczynności, że jeżeli znów przeszkodzą w paleniu świętych ogni paschalnych, puścimy z ogniem Sychem i Sebaste. To im odebrało ochotę do żartów.

Zdawało się, że zapomniał o swoich słuchaczach, kiedy głosem nastawionym na ton oracji dawał wyraz chwalbie swego narodu. Recytował opowieści z Księgi Jaszer, gestykulując swoją jedyną zdrową ręką. Wciąż wracał do punktu, od którego wyszedł: że prawda przebywa tylko wśród Żydów, a wszystkie inne religie są jedynie czczymi słowami kierowanymi do bożków. To się ciągnęło dosłownie całymi godzinami. Był niezmordowany. Przy końcu każdej opowieści prostował się i spoglądał w niebo, na którym gorzało słońce i wykrzykiwał głośno wyznanie wiary, jakby na przekór światu. Wydawało się Bazylemu, który teraz pozostawał w tyle o sześć długości wielbłąda, że wszystko, co Adam ben Aszer mówił pomiędzy tymi wyznaniami, było gmatwaniną słów, w której mógł tylko rozróżnić tak często powtarzane zdanie:

- Słuchaj, o Izraelu! Pan nasz, Bóg, jest jedynym Bogiem!

Rozdział III

1

Każdy Żyd zwracał się twarzą do Świątyni przez cały czas przebywania poza domem. Tak więc ludzie musieli zważać na swoje kroki, chodzić i stać tak, aby wielka biała budowla była zawsze w polu widzenia. Nawet gdy szli w przeciwnym kierunku, oglądali się przez ramię.

Zachowanie tego zwyczaju nie było trudne w domu Józefa z Arymatei. Stał na krańcu zachodniego wzgórza, nad Doliną Serowarów. Stąd widać było dominujący nad horyzontem Dom Jedynego Boga na zboczu góry Moria, którego marmurowe ściany lśniły na tle turkusowego nieba. Jego dach kryty złotymi płytkami i wysokie szpice z cennego kruszcu głosiły bogactwo, moc i głęboką religijność narodu, który go wzniósł.

Dla kontrastu Dolina Serowarów była pasem nędzy, oddzielającym wzgórze Świątyni od życia górnego i dolnego miasta. Domki serowarów wspinały się na wzgórza, jeden za drugim, jakby usiłowały uciec od duszącego upału i smrodliwej niewygody. Były to maleńkie kamienne budyneczki o płaskich dachach, gęsto porośnięte mocną winoroślą. Łatwo było przejść z dachu na dach i wielu uciekinierów przed wymiarem sprawiedliwości ratowało się w ten sposób ucieczką, korzystając z pomocy mieszkańców tej dzielnicy. Do najbardziej uczęszczanych należała Kozia Droga. Można było dojść tędy do imponujących drzwi w murze z marmuru. Był to dom Józefa z Arymatei, najbogatszego człowieka w Jerozolimie, a według niektórych i na całym świecie. Ponieważ Józef w ciągu ostatniego dziesiątka lat nie przestąpił progu ciężkich drzwi nabijanych ozdobnymi ćwiekami z brązu, stał się mitem dla biedoty, której domki przywierały niepewnie do wzgórza jak strąki do łodygi fasoli. Chłopcy, którym zawsze brak stosownego uszanowania, wdrapywali się tu niekiedy hałaśliwymi grupkami i nawoływali chóralnie przed drzwiami:

- Hej, bogaczu, jesteśmy szczeniętami biednych serowarów; podziel się z nami swoim bogactwem!

Jeśli nie zdarzało się to zbyt często, ktoś uchylał drzwi i obdzielał ich czymś tak smakowitym, jak daktyle czy ciasteczka owsiane, a czasem dostawali nawet po miedziaku.

Do tych wspaniałych drzwi Adam ben Aszer przyprowadził rankiem Bazylego po ich przybyciu do Świętego Miasta. Gorące powietrze z Doliny Serowarów ostro grzało ich plecy, kiedy czekali na wpuszczenie. Adamowi najwyraźniej nie przeszkadzała ta dokuczliwość. Obrócił się tak, aby sycić oczy lśniącą bielą marmuru Świątyni na dalekim końcu przerzuconego nad doliną mostu, bacząc, aby nie dopuścić do swego pola widzenia zamku Antonia. Ten masywny gmach, na północno-zachodnim krańcu miasta, zbudowany został przez znienawidzonego Heroda, a obecnie stanowił główną kwaterę rzymskiego prokuratora, tak więc żadne żydowskie oko nie spoczywało

dobrowolnie na jego wysokich kamiennych blankach.

Zaprowadzono ich do chłodnego pokoju, do którego wchodziło się wprost z przedsionka, gdzie po paru minutach powitał ich Aaron. Pamiętając, co mu opowiadał Adam o synu tego domu, Bazyli nie zdziwił się, zobaczywszy mężczyznę w średnim wieku, wątłej budowy, o twarzy tak bezbarwnej, jak pustynne ziemie za Jordanem, i o rozbieganych oczach, które obrzuciły spojrzeniem każdego z nich, nie wyrażając chęci powitania czy zadowolenia.

- A więc wróciłeś - odezwał się do Adama. - Czy podróż się powiodła?

- Czyż nie otrzymałem polecenia? Czy nie jest więc rzeczą pewną, że wielbłądy przyniosły bogactwo na swych grzbietach?

- Możliwe - powiedział Aaron sucho. - To się zobaczy. - Obrzucił chłodnym spojrzeniem Bazylego. - A to kto?

- To jest artysta wybrany przez Łukasza Lekarza w Antiochii. Zgodnie z poleceniem twego ojca.

Aaron trzymał ręce za plecami i w tym momencie głośno strzelił palcami. Służący, który mu towarzyszył, stał z głową pochyloną tak nisko, że niemal nie było widać jego twarzy. Trzask palców najwyraźniej był jakąś informacją, gdyż natychmiast odwrócił się i opuścił pokój; wygięcie jego pleców i szyi upodabniało go do sępa.

- Ebenezer powie memu ojcu, że tu jesteście - oznajmił Aaron. - Jeśli okaże się, że jego samopoczucie jest dobre, prawdopodobnie zaraz was przyjmie. - Przyglądał się Bazylemu wzrokiem zimnym jak niebo między gwiazdami, a potem powiedział do Adama: - Jest bardzo młody. Czy starannie zbadano jego umiejętności, zanim został wybrany?

- Tak mi powiedział Łukasz. - W głosie Adama była szorstka nuta. - Czyż nie utrzymuje się, że niejaki Jezus prowadził dysputy z uczonymi doktorami, gdy miał dwanaście lat?

- Nie widzę żadnego związku - ostro odparował Aaron. Wskazał na przyległy pokój i zwrócił się do Bazylego. - Znajdziesz tam wodę, żeby umyć się po podróży. Zaraz przyniosą ci wino. A ty - te słowa skierowane były do Adama - masz bez wątpienia sprawy do załatwienia gdzie indziej.

- Kiedy mój pan umrze, ten niewdzięczny syn dobrego ojca nie zechce nadal korzystać z mych usług - wymruczał Adam po wyjściu Aarona.

Kiedy Bazyli został sam w bocznym pokoju, zaczął rozglądać się wokół uważnie, porównując dom Józefa z Arymatei z pałacem na Kolumnadzie w Antiochii. Wnętrze zrobiło na nim nieco dziwne wrażenie, chociaż zdawał sobie sprawę, że makaty cechuje delikatność barw, tkaniny dają poczucie niemal zmysłowej przyjemności, a dywany stanowią najwyższej jakości produkt wykonany przez tkaczy, których zręczne palce wytwarzały cuda. Wydawało mu się, że

celowo podkreślano tu atmosferę tajemniczości, natomiast dom Ignacjusza był otwarty i nieco hałaśliwy, a słoneczne światło zalewało każdy kąt i kącik. Domy różniły się jeszcze czymś innym. W Antiochii ornamentyka była czysta i oszczędna, tutaj szafowano nią do przesady.

Niebawem stało się jasne, co oznaczało strzelanie palcami przez Aarona: służący wrócił z dzbanem wina. Było to vinum acetum, cienkie i metaliczne w smaku. Bazylemu twarz się wykrzywiła i odstawił czarkę po pierwszym łyku.

Głosy dochodzące z wnętrza dziedzińca zwabiły go do okna. Był zdziwiony rozmiarami i pięknem podłużnego ogrodu, wypełnionego mnóstwem kwiatów i drzewek. W środku znajdowała się wspaniała fontanna, wyrzucająca w powietrze pył wodny, aż na wysokość pokratkowanych okien pierwszego piętra. Nadąsane ptaki o jaskrawym upierzeniu gnieździły się w zielonym listowiu i od czasu do czasu zwracały na siebie uwagę machnięciem szkarłatnych skrzydeł lub niezbyt melodyjnym skrzekiem. Bazyli musiał przyznać w duchu, że jeśli chodzi o ogrody, Jerozolima przewyższała znacznie Antiochię.

Na dziedziniec wszedł sędziwy starzec. Wsparty na ramieniu dziewczęcia posuwał się powolnym i chwiejnym krokiem. Pewny, że to jest właśnie ów wielki hebrajski kupiec, Bazyli przyglądał mu się uważnie. Czoło Józefa z Arymatei było niezwykle szerokie, a z jego głęboko zapadniętych oczu przebijała szlachetność i inteligencja. Była to piękna i wielkoduszna twarz. Bazylego swędziały palce, żeby natychmiast pochwycić swoje dobrze wyważone młotki i chłodną glinę do modelowania.

Tak się zajął rysami twarzy czcigodnego kupca, że nie zwrócił uwagi na towarzyszącą mu dziewczynę. Z pewnością było to przeoczenie, bowiem ta drobna postać w białej palli, sięgającej od szyi po stopy w sandałkach, zasługiwała, aby się jej przyjrzeć. Włosy, jak noc czarne, miała splecione w warkocze, spadające na ramiona; oczy były tak zajęte kierowaniem krokami dziadka, że dopiero kiedy przypadkowo spojrzała do góry, widać było ich blask pod delikatnie zarysowanymi brwiami.

Głosy tej pary docierały z ogrodu do pokoju, gdzie czekał przyjezdny; Bazyli zdał sobie sprawę, że są zajęci czułym przekomarzaniem się.

- Moje drogie dziecko! - mówił starzec. - Wyrastasz na takiego samego tyrana, jakim była twoja babka. Muszę robić to, nie wolno mi robić tamtego. Czy trzeba mnie strofować za to, że przy śniadaniu miałem dobry apetyt?

- Nie jesteś ani trochę lepszy od nieposłusznego chłopaczka - zaoponowała dziewczyna wysokim, ale miłym głosem. - Dlaczego, ach, dlaczego pozwoliłeś sobie na ogórek? Czyż ten uprzejmy lekarz, który był u ciebie nie dalej jak przed trzema dniami, nie powiedział ci, żebyś bardziej uważał? Kazał ci wystrzegać się ogórków. Odcierpisz to! I będziesz musiał przyjąć te leki,

które zostawił. Młodą cykutę i syrop z cebuli morskiej...

- Przyprawiają mnie o mdłości - skarżył się starzec. - Takie leki nie nadają się nawet dla dzikich psów!

- A teraz nalegasz, żeby się spotkać z tym artystą - ciągnęła dziewczyna. - Czy sądzisz, że dzisiaj masz na to dość sił? Jest mnóstwo czasu. Artysta może poczekać.

- On przybył aż z Antiochii, moje dziecko, na zaproszenie mego dobrego przyjaciela Łukasza. Są też inne powody, o których nie wiesz, aby okazać mu wielką uprzejmość.

W głosie dziewczyny od razu dało się wyczuć większe zainteresowanie.

- O czym nie powiedziałeś mi dotąd, dziadku? Musisz mi to teraz powiedzieć. - Nie czekając na odpowiedź ujęła go mocno pod ramię. - Więc pójdę z tobą. I dopilnuję, żeby ta rozmowa trwała krótko. Widzę, że jesteś zmęczony i potrzebna ci dłuższa, przyjemna drzemka.

Józef z Arymatei smętnie pokiwał potakująco swą śnieżnobiałą brodą.

- Tak, bardzo długa drzemka, moja mała Deboro.

Bazyli spojrzał wreszcie na dziewczynę i zachwycił się czystością jej rysów i blaskiem oczu. Nie miał zbyt wiele czasu na przyglądanie się jej postaci, bowiem podszedł do niego Adam ben Aszer i zapytał obcesowo:

- Podoba ci się?

- Tak, jeśli można wydawać sąd z tej odległości - odpowiedział Bazyli ostrożnie.

- Wydaje ci się taka powabna?

- Tak, naturalnie.

- Byłem tego pewien. Widziałem to po twoich oczach. - Adam utkwił spojrzenie w twarzy Bazylego. - Bardziej mnie obchodzi, co ona o tobie pomyśli. - Oddychał ciężko, co wskazywało na to, że jest bardzo przejęty. - Ostrzegam cię, młody złotniku. Zajmij się lepiej swoimi młotkami i narzędziami. Nie potrzebujemy tu żadnego popisywania się, pozowania i min.

Bazyli odwrócił głowę i utkwił w nim wzrok.

- Nie widzę powodu, żeby tłumaczyć się z mego postępowania przed tobą.

Zdawało się, że Adam wybuchnie.

- Znajdę taki powód - powiedział.

2

Troskliwość dziewczęcia o zdrowie dziadka przeważyła. Minęły dwie godziny, zanim wezwano Bazylego do sypialni pana domu. Józef siedział w ogromnym łożu, wydawał się drobny i chudy na tle śnieżnej pościeli, ale za to był wypoczęty i komunikatywny. Na stoliku obok niego stały na wpół opróżniony srebrny kielich i taca z resztkami lekkiego posiłku. Jego wnuczka

siedziała tuż obok. Rzuciła krótkie spojrzenie na Bazylego. Była najwyraźniej zdziwiona jego młodym wiekiem. Potem skromnie spuściła oczy.

- Jesteś jeszcze chłopcem - powiedział starzec głosem, który był wyjątkowo mocny i głęboki w porównaniu z kruchością jego ciała. Nie wyglądał jednak na zaniepokojonego jego młodością, gdyż od razu przeszedł do innego tematu. - Ufam, że zostawiłeś mego przyjaciela Łukasza w dobrym zdrowiu?

- Był zmęczony podróżą z Antiochii do Aleppo - odparł Bazyli. - Lecz po jednej nocy wypoczynku ruszył sam jeden z powrotem, żeby się przyłączyć do niejakiego Pawła z Tarsu. Przyjadą razem do Jerozolimy.

Józef z Arymatei skinął głową z powagą.

- Pisałem niedawno do Pawła i odradzałem mu podróż w te strony, nie oczekiwałem jednak, że będzie zważał na moje ostrzeżenie. Wyczuwa niebezpieczeństwo i zawsze śpieszy mu na spotkanie. - Jego oczy, świecące dobrotliwie w gąszczu zmarszczek, powróciły do młodego gościa. - Widzę, że przyniosłeś swój wosk. Zabierz się od razu do pracy. Jestem dzisiaj wypoczęty. Twój model jest tak stary, że musisz korzystać z każdej chwili.

Bazyli słuchał tej propozycji z uczuciem paniki. Zawsze miał trudności z rozpoczęciem nowej pracy. Obawiał się, że zdenerwowanie odbierze jego palcom zręczność, że nie zdoła uchwycić podobieństwa i utrwalić go w ciepłym wosku. Jeśli mu się nie uda, ten przenikliwy starzec w olbrzymim łożu może zadecydować, że Bazyli nie nadaje się do tego zadania. Co wtedy z nim będzie? Naturalnie, jest teraz wolnym człowiekiem. W pasie na swojej tunice przechowuje dokument świadczący o wyzwoleniu i nie można go cofnąć do dawnego stanu. Nieudana próba mogła go jednak pozbawić tej jedynej wielkiej szansy i wtedy na zawsze byłby skazany na źle płatną pracę w warsztacie wyrobnika.

Z wyraźną niechęcią zajął miejsce w nogach łoża i wprawił palce w ruch. Na początku jego najgorsze obawy zaczęły się sprawdzać. Twarz, która się wyłaniała spod jego poszukujących, nerwowych rąk, miała niewielkie podobieństwo do twarzy Józefa z Arymatei. “Nie uda mi się!” - myślał w panice. “Odeślą mnie z powrotem w niełasce. Obciążą odpowiedzialnością Łukasza, zaś Adam ben Aszer, bardzo z tego zadowolony, będzie się ze mnie naśmiewał.”

Druga próba wypadła lepiej. Zarysowało się szlachetne czoło, a pod nim w zmęczonych oczach pojawiło się życie. Głębokie uczucie ulgi opanowało chłopca, docierając aż do czubków jego wrażliwych palców. Zaczął pracować z prawdziwym przejęciem i pełnym skupieniem.

Był tak pochłonięty pracą, że prawie nie zwracał uwagi na rozmowę prowadzoną przez Józefa i wnuczkę. Rozprawiali o Pawle i jakiejś bardzo pilnej sprawie, która sprowadzała go do Jerozolimy. Wymieniali również inne osoby, których imiona nic mu nie mówiły: Jakub, Filip i Juda.

Z rozmowy wynikało, że Józef ma zastrzeżenia do postawy, jaką przyjmą ci ludzie, kiedy przybędzie nie chciany, ale nieustraszony Paweł. Wszystko to nie miało większego znaczenia dla Bazylego. W każdym razie w porównaniu z gorączkowym pragnieniem przeniesienia cech szlachetnej głowy starca na rozgrzany materiał, jaki miał w rękach.

Nagle zorientował się, że w komnacie zapadło milczenie. Dziewczyna opuściła miejsce przy łożu, niknąc z pola widzenia. Dopiero kiedy usłyszał za sobą jej głos, zdał sobie sprawę, że jest nadal w pokoju.

- To jest doskonałe! - zawołała. - Ach, dziadku, to naprawdę jesteś ty.

Bazyli odwrócił głowę i zobaczył, że dziewczyna stoi tuż przy nim i obserwuje jego pracę. Jej oczy rozszerzyły się z zachwytu, na widok tego, czego dokonał. Nie była piękna, ale kiedy jej twarz tak się rozjaśniła, pomyślał, że uroda tej dziewczyny jest bliska samej istocie piękna. Usta miała lekko rozwarte z podniecenia, a policzki nieco zaróżowione. Uśmiechnęła się do niego i powtórzyła:

- Myślę, że to doskonałe.

- To początek - powiedział Bazyli. Przyglądał się swemu dziełu krytycznym okiem i uznał, że chociaż miało wiele dobrych punktów, daleko mu było do doskonałości. Obrócił się na stołku, żeby jej to objaśnić.

- Uchwycenie podobieństwa, tej indywidualnej cechy człowieka, którą można rozpoznać na pierwszy rzut oka, zależy prawie zawsze od jednego szczegółu. Może to być odstęp między oczami albo tak drobna rzecz, jak kąt powieki. Zanim się nie wykryje, co to jest, twarz nie ma w sobie życia. W tym przypadku wiem, czego mi trzeba. Kluczem do podobieństwa jest nos. Twój dziadek ma godny uwagi nos. Nos panuje nad jego twarzą. Ach, żebym tylko mógł go dobrze oddać! Jeżeli to osiągnę, zobaczysz, że ta bryła wosku nagle ożyje na twoich oczach. Ale jeszcze mi się to nie udało. - Kiedy mówił, jego palce znów zaczęły pracować, zmieniając wosk na różne sposoby delikatnym dotykiem. Naraz się zatrzymał. - Myślę... Tak, udało się! Oto ten wspaniały nos. Nie zrobiłem nic więcej, tylko lekko zmieniłem jego wybrzuszenie o drobny ułamek. Teraz jest dobrze. Nareszcie uchwyciłem podobieństwo!

- Tak, tak! - zawołała dziewczyna.

Bazyli potrząsnął jednak głową.

- To jeszcze nie wszystko - powiedział tak swobodnie, jakby nikogo więcej nie było w pokoju. - To prawda, że uzyskałem podobieństwo. Ale pokazuję go takim, jakim jest dzisiaj. Muszę jeszcze przekazać ślad jego mocy z dawnych lat. Bez tego wizerunek będzie pusty. I znów sekret polega na oddaniu nosa, tego szlachetnego, walecznego i dumnego nosa. Będę musiał jeszcze usilniej popracować. Ale - jego głos nabrał ufności - to nastąpi później. Kiedy się osiągnie ten etap,

można być pewnym, że końcowy cel jest w zasięgu ręki.

- Jestem tego pewna - powiedziała wnuczka.

- Może wy, młodzi, przerwiecie swoją dyskusję, żebym i ja mógł zobaczyć - odezwał się Józef. - Wszak to moja twarz, o której tak swobodnie rozprawiacie. To mój nos zdaje się wywoływać takie zainteresowanie.

Wyciągnął rękę. Jego palce, niemal przezroczyste jak kość słoniowa, z lekka drżały. Wziął wosk od Bazylego i przyglądał mu się lekko mrużąc oczy, jak krótkowidz i niemal natychmiast wyraził swoje uznanie.

- Tak, Deboro, ten młodzieniec uchwycił moje podobieństwo. Myślę, że to, co wykona, będzie dobre, naprawdę bardzo dobre.

Tak pożądana pochwała z ust pracodawcy rozgrzała Bazylego. Opuściły go wszelkie wątpliwości. Czuł, że mu się powiedzie. Był tak tego pewny, że zabrał się znów do pracy z uczuciem pełnej wiary.

Debora powróciła na swoje krzesło obok łoża. Wyrażona pochwała zwiększyła zainteresowanie Bazylego jej osobą. Teraz zwrócił uwagę na wdzięk jej ruchów i piękną linię profilu. Ponieważ tyle rozprawiali o nosach, przyjrzał się baczniej jej noskowi. Był ładny i z lekka zuchwały, krótki i prosty, z ledwo dostrzegalnym wgłębieniem na końcu, które mu nadawało bardzo przyjemny wyraz.

- Jak możesz być tak obojętny, dziadku? - zapytała. - Sądzę, że jest wprost cudowny!

Spojrzenia dwojga młodych spotkały się. Jej oczy były wciąż szeroko otwarte z racji przyjemności, jaką jej sprawiało powodzenie jego wysiłku. Uśmiechnęła się do Bazylego tak ciepło, że zaczął się zastanawiać, czy powodowało nią wyłącznie zainteresowanie jego pracą. A może chciała mu pokazać, że jego osoba też była włączona w odczuwaną przez nią aprobatę?

Rozdział IV

1

W ciągu następnego tygodnia Bazyli nie zobaczył Józefa z Arymatei ani jego wnuczki. Dowiedział się, że Adam ben Aszer wyjechał z miasta. Trochę pracował z pamięci nad popiersiem z wosku, jednak dalsze wysiłki uznał za nierozsądne, bojąc się, że w końcu zgubi podobieństwo. Było to coś ulotnego, co łatwo zniszczyć nierozważnym muśnięciem palca.

Przydzielono mu pokoik po tej stronie domu, do której nie docierało świeże powietrze, dochodziły natomiast hałasy z magazynów i z ciemnej, wielkiej sieni, w której przez cały dzień roiło się od pracowników. Mył się razem ze służbą, czekając w długim szeregu na swoją kolej do strumyczka wody sączącego się leniwie z rury i korzystając ze wspólnego kawałka mydła. Od czasu do czasu chodził do otwartego i nieco smrodliwego rowu przy kwaterach niewolników. To traktowanie było tak odmienne od serdeczności powitania, że nie mógł go zrozumieć. Czyżby Józef po namyśle mniej był zadowolony z początku jego pracy? Czy też skąpy syn pana domu był odpowiedzialny za to nie najlepsze zakwaterowanie?

Posiłki jadał oddzielnie w małym, piwnicznym pokoiku oświetlonym lampką oliwną, zawieszoną tuż przy wilgotnym suficie. Zdrowe, ale bardzo proste pożywienie po trzech dniach stało się jednostajne. Przez otwarte drzwi miał widok na długą, ciemną komorę, w której domowi niewolnicy siadali do posiłków o tej samej porze. Zbierali się wokół stołu tak dużego, iż mogło się przy nim pomieścić czterdziestu albo i więcej. Przyglądał się im, kiedy jedli to samo, co on, i dziwił się ich wesołości. Stanowili barwną gromadę o różnych kolorach skóry, ale ubrani byli wszyscy bez wyjątku w zwykłe, szare tuniki i mosiężne naszyjniki - oznakę niewolnictwa. Wiele było żartów i śmiechu, a ponieważ przy stole zajmowali miejsca mężczyźni i kobiety, nie brakowało zalotnych spojrzeń i flirtów. Miejsce u szczytu stołu zajmował mężczyzna, bez wątpienia nadzorca, bo miał dyscyplinę wetkniętą za pas, który nosił na tunice. Był to nieco otyły osobnik, ale dość dobroduszny. Pozwalał sobie na przyciężkie, rubaszne dowcipy i często mrugał do kobiet.

Żywność przeznaczona dla służby była dostatecznie obfita; w każdym razie zawsze jeszcze coś z niej zostawało. Gdy tylko niewolnicy wychodzili z sali, otwierano tylne drzwi i wpuszczano żebraków, czekających tam w pogotowiu. Była to brudna, żarłoczna ciżba. Jedli z dzikim apetytem i kłócili się zawzięcie przy napełnianiu kielichów winem.

Bazyli spędzał poranki na wędrówkach po Świętym Mieście, które w tej porze roku było wyjątkowo ruchliwe, przepełnione ludźmi, którzy przybyli tu na Święto Tygodni. * Tłumy wypełniały ulice przez cały dzień, aż do późna w nocy. W każdym domu było mnóstwo gości.

Rozbijano namioty za murami miasta, żeby dać nocleg gorliwym mężczyznom i kobietom ze wszystkich krajów diaspory, * którzy pragnęli tylko dwóch rzeczy: spojrzeć na paschalny księżyc, wznoszący się nad Jeruzalem, i pochylić kornie głowy w Świątyni. W tych okolicznościach zbieranie informacji o Kesterze z Zantu nie było łatwe, ale mimo to nie pozwalał sobie na zniechęcenie.

Święto Tygodni - inaczej Święto Pierwocin albo Pięćdziesiątnica, ponieważ w tym dniu Jahwe nadał Mojżeszowi Prawo na górze Synaj, a stało się to w pięćdziesiąt dni od wyjścia z Egiptu (przyp. red.).

Diaspora - grec. "rozproszenie"; termin stosowany do gmin żydowskich, rozproszonych poza granicami Izraela (przyp. tłum.).

Jego pierwsza wyprawa zaprowadziła go w dół, do Doliny Serowarów, do bramy w południowym murze miasta. "To na pewno najruchliwsza ze wszystkich bram" - myślał, gdyż jej obite żalaznymi płytami skrzydła otwarte były na całą szerokość, żeby ułatwić tłumom przechodzenie. Jej użytkownikami byli przede wszystkim chłopi niosący do miasta leban, czyli zagęszczone mleko, które nie kwaśniało tak szybko i z tej racji używano go zamiast słodkiego mleka. Był to tłum o uwłosionych piersiach, ciemnoskóry, nieprzyjazny i hałaśliwy.

Pierwszy sprzedawca lebanu, do którego Bazyli skierował swe pytanie, spojrzał na niego dość przychylnie.

- Kester z Zantu? - powtórzył. - Nie, nie słyszałem o takim. Czym się zajmuje?

- Zajmuje się dostawami dla wojska rzymskiego.

Przychylność tubylca od razu zmieniła się w drwiny.

- Dostawca! Aj waj! Czyś ty postradał zmysły? Nawet Grek powinien wiedzieć, że Gnojna Brama to nie miejsce, gdzie można się dowiadywać o dostawcę dla wojska. - Wieśniak wskazał łokciem na północny zachód. - Tam idź ze swymi pytaniami. Idź do tej kamiennej zniewagi, którą Herod Przeklęty zbudował, żeby szydzić z dzieci Izraela!

Tak więc Bazyli udał się do twierdzy Antonia, wzniesionej na wielkim, kamiennym zboczu, z czterema wieżami srożącymi się wysoko nad miastem. Kiedy się wspinał po stopniach, słyszał gardłowe brzmienie wojskowych rozkazów i zgodne stąpanie nóg na placu otoczonym murami. Przy bramie zatrzymał go strażnik.

- Szukasz informacji o dostawcy wojskowym? - zapytał. - Masz szczęście, nierozgarnięty młodziku, że jestem łagodnym człowiekiem. Każdy, kto się tutaj zjawi, szukając informacji w sprawach wojskowych, zabierany jest do środka i poddawany przesłuchaniu wcale niemiłemu, którego taki jak ty chudeusz mógłby nie przeżyć. Wynoś się!

Nie lepiej mu się poszczęściło w okolicy Świątyni. Wszedłszy na Dziedziniec Pogan, z

którego mógł dojrzeć wewnątrz tylko wąski taras Hel, stanął twarzą w twarz z tablicą tej treści:

"Niech żaden obcy nie wchodzi poza balustradę i mur otaczający ten święty przybytek. Przyłapany może tylko siebie winić za niechybną śmierć."

Kolumnada wokół Świątyni o każdej porze była zatłoczona, głównie przez Żydów, którzy, jak się wydawało, nigdy nie chodzili w pojedynkę, lecz po dwóch albo w grupach i żywo rozprawiali. Oczy mieli zwykle utkwione wprost przed siebie, cmokali podczas szybkiej dysputy. Niemal się ocierali o niego, jakby mówiąc: "Zrób drogę, młody Greku, dla tych, których myśli znacznie przerastają twoje pojmowanie." Nie dostawszy odpowiedzi na swe pytanie, musiał ustąpić na bok ulicy przed szybkim przemarszem mężów Jerozolimy. Okolice Świątyni były przeznaczone dla kapłanów i zwolenników różnych szkół filozoficznych. Był to prawdziwy ul rojący się od rana do nocy. Bazyli z trudem zwracał na siebie uwagę przechodniów, aby zadać im swoje niezmienne pytanie. Wynik był zawsze ten sam.

- Kester z Zantu? - mówił zniecierpliwiony przechodzień. - Grek? NIc nie wiem o Grekach i nic mnie oni nie obchodzą.

Czasem odpowiedź była bardziej dosadna:

- Zabieraj się spod Domu Jedynego Boga, razem z twoimi pytaniami o cudzoziemców!

Przemierzał tam i z powrotem ulice Dmuchaczy Szkła, Skórników, Sprzedawców Mięsa, Złotników, Sprzedawców Przypraw Korzennych. Odwiedzał sąsiedztwo wielkiego pałacu Heroda; poszedł do Bramy Efraima, przez którą przechodziła większość ludzi przybywających z północy; sprawdzał rynek w dolinie zadając pytania każdemu, kogo mógł nakłonić do zatrzymania się na chwilę.

- Czy słyszałeś o niejakim Kesterze z Zantu? - Wciąż jednak bez rezultatu.

Mimo to, z niesłabnącym zapałem prowadził dalsze poszukiwania. Był tak wytrwały, że nawet w snach ścigał nieuchwytnego dostawcę zaopatrzenia wojskowego. "Gdzie jest niejaki Kester z Zantu? Błagam was, powiedzcie mi, gdzie on teraz jest?"

2

Ostatniego dnia tygodnia, po zjedzeniu południowego posiłku, Bazyli miał już wychodzić przez jadalnię niewolników, kiedy zobaczył Józefa w towarzystwie Debory. Powrócił od razu do swego pokoiku, w którym spożywał upokarzające, samotne posiłki i przygotował się do obserwacji. Goście stanęli obok nadzorcy i uśmiechali się do pełnych uszanowania, ale i nieco wylęknionych twarzy wokół stołu. Było widoczne, że oczekiwano od pana domu kilku grzecznościowych słów, a kiedy tego nie zrobił, Bazyli zrozumiał, że starzec nagle utracił jasność myśli. Jego twarz nabrała zmęczonego i nieprzytomnego wyrazu. Wargi poruszały się bezgłośnie.

Debora podprowadziła go do kamiennej ławy na uboczu i wygodnie usadowiła. Potem wróciła do szczytu stołu.

- Wasz pan nie czuje się dziś dobrze - powiedziała. - Ja wam powiem to, co on miał zamiar powiedzieć. Przyglądał się pracy domowników, sprawdził rejestry magazynów i uważa, iż wypełniacie swą służbę jak najlepiej. On wam za to dziękuje. Chce być pewny, że jesteście szczęśliwi i zadowoleni, że jesteście dobrze karmieni i odziani i że daje się wam dość czasu na wypoczynek i rozrywkę. - Przemawiała swobodnie. Bazyli przyglądał się jej bardzo uważnie. - Mój dziadek chce, żebyście wiedzieli, iż możecie przyjść do niego, jeśli chcecie na coś się poskarżyć i żebyście mieli pewność, że nie będziecie za to ukarani. Ponieważ... ponieważ dziś tak źle się poczuł, lepiej będzie, jeśli z zażaleniami przyjdziecie do mnie. Będę wiedziała, jak je załatwić.

“Ona jest bardzo mądra” - pomyślał Bazyli. - “Jestem pewien, że wiedziałaby, co trzeba zrobić.”

Debora zawahała się, zanim zaczęła mówić dalej, widocznie trudno jej było wyrazić to, co miała na myśli.

- Nadchodzi czas... - zaczęła i rozejrzała się niepewnie wokół. - Nie wiem, jakby mój dziadek to wyraził. Ale... ale... nie traćcie otuchy.

Co miała na myśli? Bazyli był pewny, że przekazywała jakąś obietnicę, ale jej istota była poza jego wiedzą. Zebrani nie mieli żadnych wątpliwości co do tych słów. Zgodnie powstali i zaczęli śpiewać z uniesieniem. Wszyscy się włączyli, nawet nadzorca, który wyszarpnął bat zza pasa i rzucił go na podłogę. Józef z Arymatei, otrząsnąwszy się ze swego milczącego nastroju, zaczął śpiewać wraz z innymi, przytrzymując się mocno ramienia wnuczki. Melodia była prosta, a słowa mówiły o dobroci, o miłości i miłosierdziu. Bazyli słuchał z uczuciem zdziwienia, które go ogarniało zawsze, kiedy był świadkiem cudzych przeżyć religijnych. Jaka była tajemnica ich głębokiego przekonania? Dlaczego wiara przynosiła im tyle szczęścia?

W połowie hymnu oczy Debory po raz pierwszy zwróciły się w jego stronę. Wyraz zaskoczenia na jej twarzy zmienił się od razu w zakłopotanie. Widać było, że zrozumiała, jak go potraktowano. Policzki jej spłonęły i spuściła oczy.

Po godzinie Aaron przyszedł do pokoiku Bazylego. Jak zwykle towarzyszył mu milczący sługa. Rozejrzał się wokół, zanim przemówił.

- Nic złego tu nie widzę - powiedział. - Lecz wniesiono zażalenie, więc trzeba coś z tym zrobić.

Pstryknął jak zwykle ukrytymi z tyłu palcami, co spowodowało, że służący zebrał wszystkie rzeczy Bazylego, zgarniając narzędzia i tworzywo w kwadratową płachtę. Wychodząc z pokoju z tłumokiem na pochylonych plecach niewolnik był tak bardzo podobny do sępa, że można było

oczekiwać, iż rozwinie skrzydła i natychmiast pofrunie. Aaron skinął na Bazylego, żeby szedł za nim.

Poszli do obszernej komnaty na drugim piętrze. Z dwóch stron znajdowały się okna z widokiem na miasto, a na ścianach wisiały kosztowne makaty.

Na podwyższeniu zasłanym cennym dywanem stało zbytkowne łoże, zaś na stole obok niego lampa oliwna i srebrna misa z otworami po bokach, z których tryskała woda. Zimne mięsiwo, bochenek chleba i taca z wysoką stertą owoców stały na drugim stole. W pokoju czuło się powiew powietrza, przynoszący natychmiastową ulgę po przygniatającym upale na dole.

Aaron rozejrzał się wokół, a jego nozdrza drgały z irytacją.

- To ma być twój pokój - powiedział. - Wydaje mi się to niepotrzebnie zbytkowne i podejrzewam... no cóż, na razie jest twój. - Pstryknięcie palcami sprawiło, że służący położył tłumok na podłodze i zniknął w przedsionku. - Mój ojciec jest bardzo słaby, więc nakazuję ci, żebyś możliwie szybko zakończył tę pracę.

3

W południe dnia następnego wezwano Bazylego do sypialni Józefa. Debora spotkała go u drzwi.

- Czy nam wybaczyłeś? - zapytała szeptem. - Nic o tym nie wiedziałam!

Starzec zawołał z łoża utyskującym tonem:

- Ty nie czytasz, moje dziecko!

- O tej porze dziadek zawsze drzemie - wyszeptała. - A ja mu czytam. Pomyślałam sobie, że może będziesz chciał przyjrzeć się jego twarzy w czasie odpoczynku.

Wróciła na swoje miejsce obok łoża i czytała dalej z pergaminu ogromnych rozmiarów. Starzec westchnął z zadowoleniem, a miarowy rytm jego oddechu świadczył o tym, że niemal natychmiast zapadł w drzemkę.

Młody artysta nie marnował czasu, aby w pełni wykorzystać tę sposobność. Jego palce w gorliwym pośpiechu formowały wosk, poprawiając to, co wykonał przy pierwszej próbie. Chociaż był pochłonięty pracą, docierało do niego to, o czym czytała dziewczyna. Były to dzieje młodego pasterza pojmanego i sprzedanego bogatemu kupcowi do krainy leżącej w pobliżu Babilonu. Tak go to zainteresowało, że przerwał pracę, aby zadać pytanie.

- Z czego o tym czytasz?

- To Księga Jaszer. - Debora odpowiedziała takim samym jednostajnym tonem. - Jest bardzo, bardzo stara i składa się z opowieści o dawnych bohaterach hebrajskich.

- Czy te wszystkie opowieści są prawdziwe?

- Nie wiem. Ale jest czytana od stuleci i nikt nie odmawia jej prawdy. - Podniosła oczy znad pergaminu, żeby się uśmiechnąć do Bazylego siedzącego z drugiej strony łoża. - Co dzień o tej porze czytam dziadkowi do snu. Od razu zasypia, ale jak tylko przerwę, zaraz się budzi.

- Czy nigdy nie czujesz się zmęczona?

- Ależ nie! Ale trochę go oszukuję. On zawsze chce, żebym mu czytała z Tory, z jakichś prawniczych dokumentów. To nieciekawe, więc jak tylko spokojnie uśnie, biorą coś, co mnie samą bardziej interesuje. Jak to. - Znów rozjaśniła uśmiechem twarz. - Czasem się budzi i przyłapuje mnie na tym, a wtedy bardzo się na mnie złości. Bo widzisz, jemu się zdaje, że nie śpi i że słucha każdego słowa.

Śpiący poruszył się i zmienił pozycję odwracając twarz profilem do uważnych oczu Bazylego, który przyglądał się mu, zadziwiony pięknem kształtu czoła i nosa.

- Ma tak wspaniałą głowę! - wyszeptał. - Obawiam się, że nigdy nie potrafię oddać jej piękna.

Czytanie trwało bez przerwy przez następne dziesięć minut. Opowieść nabierała tempa, ponieważ młody niewolnik został wysłany do walki z najeźdźcami doliny, w której leżały posiadłości jego pana i powrócił obsypany zaszczytami. Bazyli przerwał pracę, aby zadać więcej pytań.

- Może mnie już tutaj nie będzie, kiedy skończysz czytać - powiedział. - Czy ten niewolnik odzyskał wolność?

Debora skinęła głową.

- Tak. I dostał kawałek ziemi, i owce, i bydło. I własny dom wśród wzgórz.

- A czy poślubi córkę swego pana?

Lekki ślad rumieńca wystąpił na biel policzków dziewczyny.

- Tak, poślubi Tabitę. Ale nie od razu. Prosi o jej rękę, jednak ojciec mu odmawia. Wraca więc na wzgórza i zastanawia się, co ma począć. Potem pewnej nocy zjeżdża z gór do domu jej ojca, bierze ją w ramiona i zabiera ze sobą. Ona jedzie z nim na koniu, siedząc z tyłu i obejmuje go w pasie ramionami.

- Więc jedzie z własnej chęci?

- Och, tak! Tabita bardzo go kocha. Potem on posyła wiadomość do jej ojca tej treści: “Tabita jest moją żoną i jeżeli przybędziesz, żeby ją zabrać, oboje będziemy z tobą walczyli na śmierć i życie”. Jej ojciec idzie sam do domu wśród wzgórz i pyta swą córkę, czy to prawda. Ona odpowiada, że kocha swego męża. Wtedy ojciec mówi: “Więc zostań z nim, lecz nigdy się nie spodziewaj żadnej schedy po mnie, skoro nie usłuchałaś moich rozkazów”. Lecz kiedy ojciec umiera, oni mają prawie taki sam majątek jak on, więc nie ma to znaczenia, że Tabita nic nie

dziedziczy. To piękna opowieść, prawda?

Śpiący znów się poruszył, podniósł głowę, usiadł i pogroził palcem.

- Znów wyczyniasz swoje sztuczki. Czytasz z Księgi Jaszer. Czy wciąż muszę powtarzać, że nie podobają mi się takie lekkie opowieści?

- Dziadku, ile razy musimy do tego wracać? Wszak wiesz, że zabieram się do czytania czegoś innego, jak tylko zaśniesz. Czy nie wszystko jedno, co ci czytam, jeśli tylko sam dźwięk mego głosu trzyma cię w uśpieniu?

- Otóż nie - zaprotestował starzec. - Słyszę każde wymawiane przez ciebie słowo, mówiłem ci to dziesiątki razy. Wygląda na to, że się robisz bardzo samowolna.

- I to również mówiłeś mi wiele razy, dziadku.

Naraz zdał sobie sprawę z obecności trzeciej osoby.

- Kto to jest, moje dziecko?

- To ten artysta. Prosiłam, żeby przyszedł i przyjrzał się twoim rysom, kiedy odpoczywasz.

- Mam nadzieję, panie, że nie uznasz mnie za zbyt pewnego siebie - powiedział Bazyli składając swoje przybory. - To mi bardzo pomogło.

Wzywano go o tej samej porze przez kilka kolejnych dni i praca posuwała się szybko, a wraz z nią jego znajomość z Deborą. Czwartego dnia, kiedy uciskał poszukującymi palcami wosk wokół linii ust, zdał sobie sprawę, że dokonał pożądanej, oczekiwanej zmiany wyrazu twarzy. Szybko oderwał ręce od wosku.

- Skończone - powiedział po chwili.

Debora upuściła pergamin i podbiegła, by stanąć przy nim. Biały rękaw palli dotykał jego ramienia. Czuł jej przyśpieszony oddech.

- Tak, tak! - wykrzyknęła. - Nie dotykaj już tego więcej, Bazyli, boję się, że każda zmiana może być tylko na gorsze. Teraz jest doskonale.

- Nie tknę już tego nawet opuszkiem palca - mówił uszczęśliwiony. - Jest skończone i gotowe do robienia odlewu.

Mówili podnieconymi głosami. Józef usiadł.

- O co chodzi? - zapytał ostrym tonem, jaki zawsze przybierał tuż po obudzeniu. Bazyli odkrył już, że nie należy się bać tego tonu, że ten ton nic nie oznacza. Starzec ubóstwiał swą wnuczkę i uważał, że jest doskonała pod każdym względem.

- Skończyłem - oznajmił rzeźbiarz z dumą. - Czy mogę ci pokazać moje dzieło, panie?

Józef przyjrzał się uważnie, potem pokiwał głową. - Jestem bardzo zadowolony - powiedział. - Jutro dotrze tutaj Łukasz, a potem będę miał ci coś do powiedzenia.

Bazyli był tak rozradowany aprobatą swego dzieła, że z początku nie zwrócił uwagi na

wiadomość o swym dobroczyńcy. Dopiero po chwili odezwał się:

- Jestem rad, że Łukasz tu przybędzie. Bardzo mi go brakowało.

- Paweł i jego wyznawcy dotarli do Cezarei przed kilkoma dniami i zatrzymali się w domu Filipa. Zmierzają teraz do Jerozolimy i przybędą dziś wieczór. Posłałem mu wiadomość, nalegając usilnie, żeby po cichu wśliznęli się do miasta, ale to może się nie udać. Bardzo się obawiam, że ci, którzy są mu przeciwni, równie dobrze jak ja wiedzą o jego zamysłach. Tej nocy może być niespokojnie. - Oczy Józefa wróciły do glinianego popiersia. - Zgadzam się z moją wnuczką. To jest doskonałe.

Księga pierwsza (c.d.)

Rozdział V

1

Tego popołudnia Debora złożyła wizytę w jego komnacie na górnym piętrze. W ręku trzymała duże metalowe kółko z mnóstwem kluczy. Towarzyszyły jej trzy służebne. Zatrzymawszy się w drzwiach podniosła kółko w górę.

- Mam dla ciebie wiadomość. Oczywiście, mogłam ją przesłać przez służącą. Pomyślałam jednak, że dobrze by było na własne oczy przekonać się, czy jest ci tu wygodnie. Tak więc - uśmiechnęła się - postanowiłam osobiście to sprawdzić, żeby mieć pretekst do złożenia ci wizyty.

- To uprzejmie z twojej strony, że okazujesz mi tyle zainteresowania. Jak widzisz, żyję w największym komforcie i zbytku.

Po chwili milczenia podniosła oczy.

- Wiem o tobie wszystko - powiedziała cichym głosem. - Wiem, że obrabowano cię z twojej spuścizny, wiem, jak źle cię potraktowano. Uważam, że byłeś... byłeś bardzo dzielny. - Potem, jakby zorientowawszy się, że pozwoliła sobie na okazanie zbyt wielkiego zaangażowania uczuciowego, zmieniła ton. - Dziadek chciałby, żebyś zjadł z nami kolację dziś wieczór. O piątej.

Bazyli poznał już trochę zwyczaje domu. Wiedział, że Aaron jadał codziennie obiad o godzinie piątej i że miał zwyczaj gromadzić wokół stołu grono notabli, urzędników rzymskich, znakomitych bogatych kupców oraz członków Sanhedrynu, * czyli wielkiej żydowskiej rady. Mówiono, że robił to, aby umniejszyć znaczenie powszechnie znanej przynależności Józefa do chrześcijan. Aaron przyjmował gości bardzo wystawnie. Kiedy syn obiadował z pompą, jego ojciec i córka wieczerzali razem, cicho i radośnie, w pokoju przylegającym do sypialni Józefa.

Sanhedryn - najwyższa władza religijna i sądownicza w Jerozolimie (przyp. tłum.).

- Będę zaszczycony - powiedział Bazyli.

Dziewczyna znów się zawahała.

- Jeśli masz ochotę pójść teraz ze mną, na dole jest ktoś, kto ma dla ciebie wiadomość. Powiedział mi o tym przed moim wejściem na górę. To jeden z ludzi dziadka. Ma na imię Beniamin, ale wszyscy nazywają go Beni Plotkarz. Zaraz zrozumiesz dlaczego.

Beni Plotkarz czekał na nich w ciemnym pomieszczeniu w skrzydle magazynu. Był drobnej budowy, żylasty, wokół głęboko osadzonych oczu miał kręgi jak u sowy. Trzymał w ręku czarkę owsianego sorbetu, który rzekomo gasił pragnienie podczas upału.

Wypił łyk ciepławego napoju, przyglądając się bystro Bazylemu znad krawędzi czarki.

- Wiem o wszystkim, co się dzieje w Jerozolimie - oznajmił. - A to dużo znaczy w tych czasach. Niewiele brakuje do wybuchu buntu przeciw rzymskim rządom. Czy wiedziałeś o tym?

- Nie. Z przykrością wyznam, że niewiele wiem o tych sprawach.

- Tak też myślałem.

- Beniamin to zbieracz wiadomości - wyjaśniła Debora.

- O, pani tego domu, jestem czymś więcej! - zawołał Beniamin. Zaczął mówić z elokwencją, która niemal dorównywała elokwencji Adama ben Aszera. - Jestem też specjalistą od urabiania opinii. Ujadam na faryzeuszów na otwartych zebraniach, jestem jak cierń w ciele saduceuszy. Ryję pod powierzchnią, sięgam do wielu ciekawych źródeł informacji. Starszyzna tego miasta darzy mnie zaufaniem, a jednocześnie należę do bractw w najniższych kręgach. Tak, tak, są takie bractwa, zapewniam cię! Spotykają się w ciemnych piwnicach na Ulicy Rybnej i w dusznych ruderach pod murami Gimnazjonu. Jedno zbiera się w magazynie, gdzie powietrze cuchnie oliwą i kamforą. Wysłuchuję wiadomości o spisku zelotów. Radzą się mnie w sprawach sporów religijnych. I mogę powiedzieć, nie chełpiąc się: żadne drzwi w Jerozolimie nie są przede mną zamknięte.

Debora uśmiechała się, widząc zakłopotanie, z jakim słuchał Bazyli.

- Teraz, kiedy już opowiedział o sobie, przekaże ci wiadomość, jaką ma dla ciebie.

- Jesteś, pani, jak twój dziadek - utyskiwał Beni. - Zawsze chcesz od razu przystąpić do rzeczy. - Przysunął się na drewnianym stołku i zaczął mówić wprost do Bazylego. - Zastanowiło mnie - bo powinienem znać wszystkie takie sprawy - że spędzasz ranki wędrując po mieście i zadając pytania każdemu, kto przystanie. A raczej jedno pytanie, i zawsze to samo. Postanowiłem więc, poradziwszy się naszej obecnej tu pani, wziąć twoje poszukiwania na własne barki i zobaczyć, czego zdołam się dowiedzieć o owym nieuchwytnym Kesterze.

- I czego się dowiedziałeś? - zapytał Bazyli skwapliwie.

- Dowiedziałem się wszystkiego, co o nim wiadomo - oznajmił niewielki człowieczek pompatycznie. - Przybył do Jerozolimy przed siedmiu laty, interesowały go kontrakty dla armii. Był bardzo czynny w ciągu trzech lat i stale utrzymywał kontakt z urzędnikami rzymskimi w twierdzy Antonia. Wzbogacił się i we właściwym czasie postanowił, że powinien szukać szerszego pola działania. Pojechał do Rzymu.

Zaciekawienie Bazylego było tak silne, że nie mógł się oprzeć, aby zapytać:

- Czy jesteś tego pewny? Byłem już bliski rezygnacji. Nie udało mi się znaleźć nikogo, kto kiedykolwiek słyszałby jego imię.

- Nigdy się nie mylę, młodzieńcze. Nie może być wątpliwości, że twój zaginiony świadek udał się do Rzymu przed czterema laty. Był przy życiu, wciąż w Rzymie i wciąż czynny, nie dalej jak przed trzema miesiącami. Wtedy właśnie napisał list do starego przyjaciela, który mieszka tutaj, w Jerozolimie... Ja ten list widziałem - dodał z ważną miną.

- Do kogo był wysłany? - Bazyli położył natarczywą dłoń na owłosionym przegubie ręki małego człowieczka. - Czy będę mógł go zobaczyć?

- Jestem pewny, że uda mi się uzyskać zgodę człowieka, który go dostał. Ale co ci z tego przyjdzie, że zobaczysz kilka linijek nabazgranych niewprawną ręką? Ten list dowodzi tylko, że ów człowiek był przy życiu, kiedy go napisał. - Beni przerwał na chwilę dla wywołania większego efektu. - Otrzymał go tutaj niejaki Dionizos z Samotraki. On też zajmował się dostawami dla wojska i jeśli wyciągam poprawne wnioski z pewnych wzmianek w liście, Kester jest nadal czynny, na drobną skalę, w tym interesie. Ten Dionizos jest tak zwiotczały jak gąbki, które sprowadza ze swojej ojczystej wyspy. Ale nie pomyl się co do tego człowieka. Jeśli chodzi o charakter, jest on bliskim krewnym ryby płaszczki - pokiwał głową. - Spotkanie z tym człowiekiem nie wyszłoby ci na dobre. Jestem pewien, że na jego widok ogarnęłoby cię uczucie wstrętu. Oto moja rada: trzymaj się od niego z dala. Mógłby podstępnie wyciągnąć z ciebie coś ważnego i kazać to przesłać Linusowi.

Obraz Dionizosa, wyłaniający się z tego opisu, skutecznie osłabił w Bazylim chęć zawierania z nim bliższej znajomości.

- Czy byli wspólnikami? Jakiego więc rodzaju człowiekiem jest Kester z Zantu?

- Wszystko, co ci mógę powiedzieć - odparł Beni - to tyle, że zostawił tu reputację człowieka uczciwego, a to jest rzecz nadzwyczajna u dostawcy dla wojska.

Bazyli odetchnął z ulgą. - Moja przyszłość będzie zależała od tego, ile z tej uczciwości w nim pozostało.

Zamilkł na chwilę i widać było, że ogarnęło go nagłe zakłopotanie. Beni Plotkarz oddał mu z własnej woli wielką przysługę i teraz trzeba było jakoś go wynagrodzić. Ale jak wypłacić nagrodę z pustej kieszeni?

Kiedy o tym myślał, uświadomił sobie, że coś wpadło mu w dłoń. Coś okrągłego i zimnego. Ostrożnie rozwarł palce i zerknął w dół. Była to moneta, a co więcej, złota moneta. Debora stała obok niego i najwidoczniej przekazała mu pieniądz w sposób niewidoczny dla obu mężczyzn. Celowo patrzyła w drugą stronę, więc nie mógł pochwycić jej wzroku, aby wyrazić swą wdzięczność.

- Będę na zawsze twym dłużnikiem - rzekł do Plotkarza, wyciągając do niego monetę. - Czy przyjmiesz to ode mnie?

- Złoto! - zawołał Beni. Pochwycił moonetę i podrzucił ją wysoko w powietrze. - Najrzadsza i najpiękniejsza ze wszystkich materialnych rzeczy na świecie. Ono tworzy i gubi cesarstwa. Jest niebezpieczne, prowadzi ludzi do podejmowania niegodziwych zamierzeń, psuje ich dusze. Lecz jednocześnie - oznajmił - muszę przyznać, że kiedy leży na dłoni, jest nadzwyczaj

przyjemne w dotyku. Przyjmuję z wdzięcznością. I mam nadzieję, że pewnego dnia, jeśli uczciwość Kestera wytrzyma próbę, zasiądziesz wygodnie, sprawując władzę na podobieństwo króla Midasa, mając obok siebie ustawione całe kolumny tego najcudowniejszego z kruszców. Kolumny wysokie jak Świątynia wzniesiona pod niebo przez Heroda, kiedy lud Jerozolimy nalegał, by zbudował ją na fundamentach Świątyni Salomona.

- Jeśli taki dzień nadejdzie - powiedział Bazyli z uśmiechem - jedna z tych kolumn będzie twoja.

- Zadowolę się kolumną takiej wysokości, na jaką wielbłąd może podnieść tylną piętę. - Pokiwał głową z wdzięcznością. - Obyś zawsze jadał na talerzu ze złota i odmawiał modły przed złotą kapliczką. Obyś nosił u pasa złoty miecz.

Zakłopotanie wróciło, kiedy Bazyli opuścił pokoik w towarzystwie Debory.

- Masz bystre oczy i jesteś bardzo uprzejma. Już od dwóch lat nie posiadam żadnych pieniędzy. Od czasu, kiedy mnie sprzedano jako niewolnika, mam puste kieszenie.

- Czy Łukasz nie dał ci pieniędzy, kiedy opuściłeś Antiochię? Mój dziadek myślał, że wysłał wystarczająco dużo.

- Wykupienie mnie na wolność kosztowało więcej niż się spodziewano - wyjaśnił Bazyli. - Mój właściciel i jego żona to zachłanna para i Łukasz musiał się twardo targować. Po dokonaniu transakcji zostały mu tylko dwa miedziaki.

Oczy dziewczyny rozwarły się szeroko ze zdumienia.

- Jak więc dotarliście do Aleppo na spotkanie z Adamem?

- Łukasz wcale się tym nie przejmował. Powiedział, że Pan zabezpieczy nasze potrzeby. I tak było w istocie. Pierwszej nocy zatrzymaliśmy się w małej wiosce, w domu pewnej wdowy. Mój dobroczyńca rzekł do niej: “Chrystus zmartwychwstał”, a ona dała mu odpowiedź równie dziwną, ale mającą znaczenie dla niego...

Debora przerwała cichutko:

- Myślę, że odpowiedziała: “Siedzi po prawicy Boga.”

- Dokładnie te słowa. To, zdaje się, wystarczyło do obopólnego porozumienia.

- Pełnego porozumienia, jestem pewna.

Bazyli, nie zadając żadnych pytań, ciągnął dalej opowieść o podróży do Aleppo.

- Więc przenocowaliśmy w domu wdowy. To samo zdarzyło się następnej nocy, kiedy weszliśmy do domu kołodzieja, skromnego człowieka z siedmiorgiem dzieci. Mimo to przyjął nas jak mógł najlepiej.

Rozstali się w przedsionku i Bazyli wrócił do swej komnaty. Przepełniała go wdzięczność za okazaną przez nią hojność i takt, jednak wkrótce inne rozważania przykuły jego uwagę. Kester z

Zantu żyje. On, Bazyli, musi jak najszybciej dostać się do Rzymu. Jak zdoła pokonać tak daleką drogę? Przyszło mu na myśl, że być może Józef okaże się szczodry i wyśle go w drogę z listami do ludzi w Rzymie. Mógłby też przyłączyć się do załogi okrętu płynącego do stolicy świata. Bardzo niechętnie by to zrobił, wiedząc, że los żeglarza jest niewiele lepszy od losu niewolnika. Nie kwapił się do ponownego włożenia rąk w okowy.

2

Okazało się, że tego wieczoru Józef nie był w stanie spożywać żadnego jadła i jakaś krewna zajęła jego miejsce przy okrągłym stole. Była wielka i tęga. Bazylemu wydawało się, że spogląda nań nieprzyjaźnie.

- To kuzynka - szepnęła Debora z trudem powstrzymując uśmiech. - Jej imię brzmi Hazzelelponi, ale wszyscy ją nazywają Starą Gęsią. Lubi dużo jeść i na nic innego nie będzie zwracała uwagi.

Komnata była przestronna, miała okna od północy i wschodu, a przy suficie wachlarze kołyszące się bezgłośnie tam i z powrotem. Służący w nieskazitelnej bieli stał gotów do usługiwania.

- Odłożyłem trzy przepiórki z kuchni na dole - służący Abraham pochylił głowę nad ramieniem Debory, żeby wyszeptać tę wiadomość. - Są duszone w winie i bardzo smaczne, tuczono je twarogiem i młodymi pasikonikami.

Debora, której policzki zabarwiły się lekko, jakby to było wydarzenie dużej wagi, skinęła głową z aprobatą. Potem zapytała:

- Jaką masz dla nas rybę?

Kąciki ust Abrahama opadły.

- Nie przygotowano żadnej. Może mógłbym dostać trochę cefali, które podano na dole. Czerwone cefale w rakowym sosie. Nadzwyczaj smaczne, pani.

Debora potrząsnęła głową.

- Wolałabym nie polegać wyłącznie na okruchach ze stołu mego ojca. Co przygotowano dla nas?

Wkrótce się okazało, że przygotowano wspaniałą kolację. Kiedy kostki mięciutkich przepiórek zostały obrane do czysta, podano półmisek z koźlęciną na ryżu, posypaną kaszą perłową, z kopczykiem kaparów pośrodku i młodą, drobno posiekaną lebiodą wokół brzegów półmiska. Po tym daniu podano gotowane na twardo jajka w kminkowym sosie, kozi ser z konfiturą z pigwy i kopiasty półmisek świeżych brzoskwiń. W ciągu całego posiłku ich kielichy były wciąż napełniane doskonałym miodowym winem zwanym mulsum.

O apetycie trzeciej osoby siedzącej przy stole była już wzmianka, nie trzeba więc chyba wspominać, że w pełni doceniła tak wyśmienite przysmaki. Zarówno Debora, jak i Bazyli mieli pojemność żołądków odpowiednią do młodego wieku i nie pozostawali za nią w tyle. Dużo czasu upłynęło, zanim podano ostatnie danie, a potem przyniesiono gorącą wodę i ręczniki. Hazzelelponi, która w miarę następujących po sobie dań przycichła, nie chciała przyłączyć się do nich, kiedy zajęli miejsca przy północnym oknie, skąd można było zobaczyć ostatni odblask zachodzącego słońca na dachu Świątyni. Dźwięk szofarim, rogów, którymi kapłani oznajmiali nadejście nocy, dochodził do nich z zadziwiającą czystością.

- Słyszę go co wieczór przez całe życie, a jednak wciąż robi na mnie wrażenie - odezwała się Debora, słuchając z napięciem. - Znasz nasze obyczaje?

- Muszę z przykrością przyznać, że nie bardzo...

- Kapłani używają rogów barana, ale są one podgrzewane i prostowane, żeby je wydłużyć i uzyskać lepszy ton. Nigdy ich nie widziałam. Nikt ich nie ogląda. Kapłani zawsze je czymś przykrywają, nawet wtedy, kiedy wychodzą, aby oznajmić trąbieniem, że dzień minął. Wszystkie święte przedmioty w Świątyni są zakryte. Czy wiesz, że arcykapłan ma przytwierdzone na szacie dzwoneczki, żeby ludzie wiedzieli, kiedy się zbliża i mogli odwrócić głowy? To wszystko jest takie tajemnicze.

- Zdaję sobie sprawę - powiedział Bazyli - że jest jedno pytanie, którego nikt nie stawia.

Twarz dziewczyny od razu spoważniała.

- Nie obawiam się dać na nie odpowiedzi. Chodzi ci o to, czy jestem chrześcijanką? Tak, tak! Urodziłam się w tej wierze. Wychowano mnie, abym wierzyła w Jezusa Chrystusa. Moja matka, która zmarła, kiedy byłam maleńka, nauczyła mnie wymawiać słowo Jezus, jako najpierwsze ze słów, nawet przed abba (tata) czy imma (mama), a potem przyprowadziła mnie, żeby mój dziadek to usłyszał. Nawet wtedy wydawał mi się bardzo stary. Miał białą brodę, a wokół oczu te wszystkie zmarszczki dobroci. Kiedy usłyszał, jak mówię “Jezus”, łzy zrosiły jego policzki.

- On i moja matka byli bardzo sobie bliscy - ciągnęła dalej. - Pamiętam, jak się przejmowali stanem duszy mego ojca. - Westchnęła głęboko. - Kocham mego ojca, ale jestem teraz pewna, że on nigdy nie ujrzy światła. Dla niego religia to tylko sprawa formalna. - Rozejrzała się wokół, żeby się upewnić, iż w pokoju nie ma nikogo ze służby i że kuzynka nie nadstawia uszu. - Dzisiejsi goście ojca to starszyzna Świątyni. Jest tam arcykapłan i wielu mężów stojących najbliżej niego. Myślę, że rozprawiają nad tym, co powinni robić, kiedy Paweł dotrze do Jerozolimy. Czy to nie dziwne, że takie rozmowy toczą w domu Józefa z Arymatei?

Mówiła z wielkim przejęciem, a teraz umilkła na chwilę. Oparłszy brodę na złożonych rękach spoglądała na niego z uśmiechem.

- Jesteśmy bardzo poważni, prawda? Zawsze jesteśmy tacy poważni. Czy wiesz, że nigdy nie widziałam cię uśmiechniętego?

- Czy jestem aż tak ponury?

- Nie, nie ponury. Myślę, że jesteś poważny. I nic w tym dziwnego, jeśli się zważy to wszystko, co przeszedłeś.

Przyglądał się jej twarzy, tak bardzo młodej, o niezmąconych oczach i świeżych barwach wczesnej młodości. Wyglądała teraz uroczo i była ładniejsza niż mu się przedtem wydawało.

- Ty też nieczęsto się uśmiechasz.

Od razu przytaknęła głową.

- Chyba zawsze byłam trochę za poważna. Ale widzisz, byłam jeszcze małą dziewczynką, kiedy dziadek postanowił wycofać się z handlu. Potem zmarła moja matka i od tej pory polega tylko na mnie. Zresztą nigdy nie mogłam bawić się lalkami, nawet kiedy byłam bardzo mała. Nigdy nie miałam przyjaciółek. Nie znałam żadnej dziewczynki w moim wieku. Może to jest powodem... Chyba jesteśmy parą ponuraków, prawda?

Tak poważnie traktowała swoją sytuację, że bez żadnego świadomego wysiłku Bazyli uśmiechnął się do niej. Odwzajemniła uśmiech z wielką gotowością.

- No, proszę! - zawołała. - Właśnie się do mnie uśmiechnąłeś. Pierwszy raz. Bardzo ładnie się uśmiechnąłeś. To mi się podobało.

Zdała sobie sprawę, że chyba zanadto jej się podobało. Patrząc na niego przy oknie pomyślała: “Ma bardzo delikatną twarz. Uważam, że to jest twarz piękna. Jest taka subtelna i pełna wyrazu.”

- Myślę, że powinniśmy zawrzeć układ, ty i ja! Że będziemy o wiele więcej się uśmiechali. Co o tym sądzisz? Jak często? Raz na pół godziny?

- Może to byłoby dosyć, jak na początek. Gdybyśmy się lepiej poznali, moglibyśmy się uśmiechać o wiele częściej. Moglibyśmy się nawet śmiać.

- Tak, moglibyśmy się nawet śmiać.

Skinęła głową i tak ładnie się uśmiechnęła, że cała jej twarz pojaśniała.

- Jestem pewna, że wszystko pięknie się ułoży!

- Jakaż to urocza scenka - odezwał się głos od drzwi.

Był to Adam ben Aszer, zakurzony, a nawet nieco zmęczony, co było czymś wprost niezwykłym, gdyż jego wytrwałość zdawała się nie mieć granic. Wszedł sztywno do pokoju, wpatrując się w nich swymi głębokimi szarymi oczami.

- Można by nawet pomyśleć, że jesteście cichą grupką rodzinną, jak tak siedzicie z głowami blisko pochylonymi ku sobie, a Stara Gęś wciąż jeszcze trawi dobrą kolację. - Przeszedł przez

pokój i stanął nad nimi.

- Omawialiście bez wątpienia dzieło, które ten młody geniusz wykonuje dla naszego pana.

- Nie - odpowiedziała Debora. - Nie było o tym wzmianki.

- Aj! Odpoczynek po trudach. Spodziewałem się tego. Ci Grecy to miłośnicy odpoczynku i, jak się wydaje, zawsze w towarzystwie pięknych kobiet.

- Popiersie jest ukończone i gotowe do odlewu - oznajmił Bazyli ze złością.

- To doskonała wiadomość. - Adam obrócił się, żeby spojrzeć na Deborę. - Czy możesz dostatecznie oderwać myśli od tego, co mówił do ciebie ten niedożywiony Apollo, żeby wysłuchać, co zrobiłem? Przywiozłem do Jerozolimy kogoś ważnego.

- Wiem - powiedziała Debora. - To Paweł.

- Nie kto inny, tylko Paweł. Wielki nauczyciel pogan. Żarliwy Żyd, który tak usilnie stara się zniszczyć Prawo Mojżeszowe. Miał jak zawsze pełne ognia spojrzenie i niepohamowany zapał, ale był nieco mniej rozmowny. Przywiozłem go z Cezarei. Był tam, żeby się widzieć z Filipem, ale wydarzyło się coś, co przyhamowało jego wymowność. - Adam odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. - I mnie pozwolono się odezwać, co jest dziwne, kiedy w pobliżu znajduje się Paweł. On, naturalnie, nie słuchał tego, co ja mówiłem.

Chociaż Adam się śmiał tak głośno jak zawsze, było jasne, że go to nie bawi. Jego spojrzenie wędrowało od Debory do Bazylego, strając się odgadnąć, jakie stosunki ich łączą. W oczach czaił się gniew i zawód. Kiedy patrzył na Bazylego, nabierały jeszcze głębszego wyrazu i zdawały się mówić: Próbowałeś jakichś sztuczek, mój młody poganinie!

- Czyś go przyprowadził tutaj? - zapytała Debora.

Adam ben Aszer głośno prychnął.

- Byłbym równie skory przyprowadzić stado głodnych lwów do tego domu. Zdaje się, że on ma swoje własne plany. Znikł, jak tylko weszliśmy przez bramę miasta. Jakiś skromnie wyglądający osobnik podszedł do wielbłąda, na którym jechał wielki Paweł i zaczęli ze sobą szeptać. Nie zauważyłem, kiedy Paweł zsunął się z grzbietu wielbłąda i znikł bez słowa. Jego towarzysze również wmieszali się w tłum. Na szczęście, bo już po paru minutach pełno było wokół nas sług ze Świątyni, dopytujących się o niego. Bardzo ich interesowało miejsce pobytu mistrza Pawła. Gdyby pozostał ze mną, związaliby go i odstawili na przesłuchanie przed prokuratorem.

Dopiero teraz Adam zdał sobie sprawę, że nieobecność Józefa wymagała zainteresowania. Zapytał z niepokojem:

- Czy Józef... mój dobry pan, jest tak poważnie chory, że nie mógł przyjść na kolację?

- Nie - odparła Debora. - Nie jest chory. Leży, lecz zjadł dobrą kolację.

Adam klepnął się po udzie i wybuchnął głośnym śmiechem.

- To znaczy, że mamy dziś tutaj towarzystwo ze Świątyni. Powinienem się już nauczyć, że nasz dobrotliwy pan zawsze jest niedysponowany, kiedy starszyzna przychodzi wieczerzać z Aaronem. Od dziesięciu lat ich wzrok na nim nie spoczął. Aj, aj, on wciąż jest najbardziej szczwanym lisem z nich wszystkich! - Jeszcze głośniejszy wybuch śmiechu miał świadczyć o jego zadowoleniu z przebiegłości pracodawcy.

- Więc mogę go zobaczyć dziś wieczór? Mam wiele nowin, przeznaczonych dla jego uszu.

- Naturalnie, będzie chciał ciebie zobaczyć.

Służący Abraham powrócił, żeby zebrać naczynia ze stołu. Był czymś bardzo wzburzony. W pewnej chwili przewrócił kielich na wpół wypełniony winem. Debora rzuciła na niego niespokojne spojrzenie i zobaczyła, że jest bardzo blady.

- Czyś chory? - spytała.

Służący się wyprostował i zaczął uważniej zbierać resztki kolacji.

- Nie, pani, nie jestem chory. - Potem wymienił dzbanek mulsum na stole i zapytał gniewnie. - Czy to słuszne, żeby wpuszczano do tego domu Samarytanina? Jednego z tych przeklętych Kutejczyków? Czy to słuszne, żeby syn pana domu kazał postawić dla niego krzesło przy stole? Tak jak dla wielkiego pana, a nie dla śmiecia pod naszymi nogami!

Adam podszedł do stołu.

- Samarytanin? Któż to taki, Abrahamie?

Sługa odpowiedział z niechęcią w głosie, jakby nie chciał odsłonić całej hańby.

- To Szymon Mag. Nie było go tu na kolacji. Przyszedł później, a oni powiedzieli, że mamy go przyprowadzić. Teraz wszyscy razem rozmawiają i szepczą z głowami blisko przysuniętymi do siebie.

- Czy arcykapłan jest tam z nimi?

Służący skinął głową.

- Siedzi tam w swojej zdobionej klejnotami ippudzie, * tuż przy tym Kutejczyku. - Jego głos przycichł i pojawił się w nim ochrypły ton lęku. - Wszystkie diabły i złe duchy przyszły z nim do tego domu. Wyczuwam to w powietrzu.

Ippuda - czyli efod, naramiennik będący oznaką urzędu arcykapłańskiego (przyp. red.).

- Zdaje mi się, że wiem, co ci starzy ludzie z żelaza knują tam na dole wraz z Szymonem Magiem - wymamrotał Adam. - Mam nadzieję, że Mojżesz ich słyszy. On tego nie pochwali.

Rozdział VI

1

Następnego ranka, siedząc przy jednym z okien, Bazyli czekał na wezwanie od Józefa z Arymatei. Patrzył na most przerzucony przez Dolinę Serowarów, biegnący prosto jak strzała do Świątyni. Był nie mniej okazały niż Świątynia, zbudowany z białego kamienia, o długości co najmniej czterystu stóp i tak szeroki, że mogło po nim jechać pięć rydwanów w jednym rzędzie. Bazyli przechodził po nim wiele razy podczas swych porannych wędrówek i zwykł był przyglądać się wspaniałościom nagromadzonego w górze marmuru i złota, pozwalając, by nogi prowadziły go same. Było jednak coś, co psuło jego dobry nastrój - nędza doliny położonej o dwieście stóp w dole. Zdawał sobie sprawę, że nie ma powodu, aby martwić się tym zanadto. Mieszkańcy Jerozolimy, nawet skromni robotnicy, którzy żyli w tej dusznej i cuchnącej dolinie, zdawali się nie zastanawiać nad kontrastem między ich nędzą a wspaniałością wyżyny. A może dawali wyraz swemu niezadowoleniu tylko na tajnych zebraniach w piwnicach Ulicy Rybnej, na których bywał Beni Plotkarz?

Przyglądając się tego ranka mostowi, Bazyli zwrócił uwagę na trzech mężczyzn. Najwidoczniej odwiedzili już Świątynię, a teraz przechodzili mostem wracając do miasta. Szli obok siebie, a mężczyzna w środku był niższy od swych towarzyszy; miał niepozorną postać i kabłąkowate nogi widoczne spod tuniki sięgającej kolan. To on prowadził rozmowę. Nawet z takiej odległości Bazyli mógł dostrzec dobitne kiwanie głową i częste wznoszenie rąk z emfazą. Towarzysze szli obok niego zaabsorbowani i milczący, chłonąc każde jego słowo.

Mimo to Bazyli skoncentrował uwagę przede wszystkim na mężczyźnie, który szedł z prawej strony. Było coś znajomego w tej postaci, chociaż nie mógł jej sobie przypomnieć, aż wreszcie pewna osobliwość w sposobie poruszania się rozwiązała tę zagadkę. Był to Łukasz, sterany i nieco zaniedbany, zmęczony podróżami i z lekka powłóczący nogą. Bazyli podniósł się i wychylił przez okno, żeby lepiej widzieć. Zdał sobie sprawę, jak bardzo mu brakowało, od czasu rozstania w Aleppo, tego najserdeczniejszego z ludzi.

Jakiś mężczyzna przemierzający most w odwrotnym kierunku zatrzymał się, kiedy ci trzej go minęli. Stał nieporuszony przez kilka chwil, z oczami wlepionymi w ich plecy. Potem się obrócił i poszedł za nimi. Po paru chwilach drugi przechodzień zrobił to samo. Zanim obserwator w oknie zdał sobie w pełni sprawę z tego, co się dzieje, w ślad za drobnym człowieczkiem o kabłąkowatych nogach stąpało pół tuzina mężczyzn. Kiedy czoło pochodu doszło do końca mostu, było ich co najmniej czterdziestu. Teraz można już było rozróżnić głosy i Bazyli wyraźnie słyszał jedno słowo powtarzane od czasu do czasu: “Paweł - Paweł - Paweł”.

Więc to ów drobny mężczyzna był tym pełnym ognia ewangelistą, którego kazania doprowadziły do rozłamu wśród chrześcijan, a jego obecność w Jerozolimie miała wywołać wiele zamieszania. Bazyli usiłował przypomnieć sobie ów dzień, kiedy usłyszał Pawła nauczającego w Ceratium. Jednak okazało się, że upływ czasu zamazał w jego umyśle to wydarzenie.

Był głęboko poruszony, więc z ogromnym zaciekawieniem przyglądał się niepozornej postaci. Widoczne było, że Paweł zdaje sobie w pełni sprawę z podniecenia, jakie wywołuje i z tego, że orszak za nim stale rośnie, ciągnąc się jak ogon komety. Słychać było jego głos, głęboki, donośny i wyraźny. Nie brał już teraz udziału w rozmowie, lecz wygłaszał przemowę przeznaczoną dla tych, którzy szli za nim. Jego ruchy były przemyślane. Od czasu do czasu rzucał szybkie spojrzenie przez ramię do tyłu, jakby chciał ocenić efekt tego, co powiedział.

Kiedy powolny pochód doszedł do końca mostu i wylał się na wybrukowaną, wolną przestrzeń przed drzwiami domu Józefa, dołączyli do niego domownicy. Bazyli zdziwił się, widząc wśród przybyłych w pochodzie nikłą figurkę Beniego Plotkarza. W oknie z prawej strony dojrzał łysą głowę Aarona, wyglądającego ostrożnie, jakby nie chciał być widziany.

Łukasz szepnął coś Pawłowi do ucha. Ten wysłuchał uważnie i skinął potakująco głową. Wznosząc rękę do góry, przemówił wprost do tych, którzy szli za nim:

- Nie powinniśmy przeciągać naszej obecności przed domem odważnego i dobrego człowieka, którego jesteśmy dłużnikami - rozpoczął. Siedząc wysoko w swoim oknie Bazyli dokładnie słyszał każde słowo, gdyż głos Pawła był wyjątkowo donośny. - Rozejdźcie się teraz do swoich domów i do zajęć, dzięki którym macie chleb powszedni. Będzie sposobność w ciągu kilku następnych dni, abyśmy się zebrali razem. Wtedy usłyszycie to, co mam do powiedzenia o moim posłannictwie. Nie wiem, kiedy ani gdzie to nastąpi. Otacza nas nienawiść. Musimy być teraz ostrożni. Idźcie więc, czuwajcie i oczekujcie chwili, w której będziemy mogli się spotkać. - Apostoł przerwał i popatrzył na skupione twarze zebranych - Wtedy usłyszycie zadziwiającą opowieść, opowieść o świecie tęskniącym do prawdy, o polu dojrzałym do żniwa.

2

Bazyli spodziewał się, że będzie wezwany o godzinie dziesiątej. Około dwunastej Łukasz wszedł do jego pokoju. Zmęczenie, widoczne już z daleka, teraz dopiero można było w pełni ocenić. Duże, wymowne oczy lekarza miały posępny wyraz. Wszedł do pokoju na niepewnych nogach, ale zaraz ożywił się i położył ręce na ramionach Bazylego.

- Mój chłopcze - powiedział, a twarz rozjaśnił mu uśmiech - mają tu o tobie jak najlepszą opinię. Józef jest bardzo zadowolony z twojej roboty i równie zadowolony z ciebie. Mała Debora jest przekonana, że nie ma na świecie większego artysty. Nawet wszystkiemu niechętny Aaron nie

miał ci niczego do zarzucenia. Nie potrzebuję ci mówić, jak bardzo mnie to cieszy.

- Brakowało mi ciebie, panie - odparł Bazyli.

- Naprawdę, mój synu? - Uśmiech nabrał jeszcze większego ciepła. - Przebywałem w wielu miejscach, widziałem wiele dziwnych rzeczy od czasu naszego rozstania. Nieraz sobie powtarzałem, że chciałbym, abyś był ze mną. Zaprawdę, Jahwe nam towarzyszył i czuwał nad nami, zaś wiatry, które przygnały nasz okręt do Cezarei, napełniły zwój historii. Kiedyś zasiądę i zacznę spisywać to, co nam się przytrafiło i myślę, synu, że cały świat będzie się przysłuchiwał tej niezwykłej i zdumiewającej opowieści. - Po tych słowach jego nastrój uległ zmianie, potrząsnął głową z wyraźnym przygnębieniem.

- Natychmiast po przyjeździe trzeba było się rozproszyć i ukryć w najskromniejszych domach. Nawet Paweł uznał, że na razie należy pozostać w ukryciu. Powtarza jednak, że Pan nie wezwał go do Jerozolimy po to, aby się ukrywał w Dolinie Serowarów. Na pewno niedługo wystąpi i będzie wykrzykiwał swe orędzie, żeby go słyszało całe miasto. - Zmęczona głowa kiwała się powoli. - Co teraz nastąpi? Co przyniosą najbliższe dni?

- Widziałem przez okno, że Paweł przyszedł z tobą. Czy jest jeszcze tutaj?

Łukasz skinął głową.

- Przebywał przez dwie godziny z Józefem z Arymatei. Rada naszego wspaniałego, starego przyjaciela jest zawsze rozsądna i pożądana. Teraz nawet Paweł jej potrzebuje. Oddaliłem się na moment, żeby cię zobaczyć, mój synu, ale muszę już wracać. Myślę, że niedługo po ciebie przyślą. - Już miał wychodzić, kiedy znów się zatrzymał. - Powiedziałem Józefowi o tej dziewczynce w Antiochii. Zgadza się na wykupienie jej z niewolnictwa i dopilnuje tego.

Bazyli poczuł gorący przypływ wdzięczności dla obu starców: dla swego własnego dobroczyńcy, który pamiętał o tym, aby wstawić się za Agnes, i dla tego drugiego, pełnego hojności, który przyrzekł dopomóc.

- Dzięki ci, panie! - powiedział z gorącym uczuciem. W oczach, które spoczęły na Łukaszu, był uśmiech i łzy. - Staję się twoim coraz większym dłużnikiem. Czy zdołam się kiedyś odwdzięczyć?

- Tak - powiedział Łukasz. - Myślę, że nawet bardzo szybko.

Wkrótce po wyjściu Łukasza po raz drugi pojawiła się Debora. Za nią stały jak zwykle służki; w ręku trzymała to samo kółko z kluczami, a na ustach miała ten sam przepraszający uśmiech. A jednak było coś nowego: u jej stóp stał pokornie chudy, kundelkowaty szczeniak.

Najpierw opowiedziała mu o psie. Mówiła po cichu, żeby nikt inny nie słyszał.

- Chcę być wesoła, więcej się śmiać, mieć trochę... trochę przyjemności. Pomyślałam więc, że powinnam mieć ulubieńca. Beni Plotkarz znalazł go dla mnie. To psiak zbłąkany w Miechach

Belzebuba. Teraz, kiedy ma dom, jest ogromnie wdzięczny. Oczywiście chciałam psa innego rodzaju. Chciałam mieć bardzo wesołego, małego pieska, który chętnie by się bawił i dużo szczekał. To biedaczysko jest psim ponurakiem.

Bazyli spojrzał na smutne oczy i spuszczony ogonek kundelka.

- Myślę, że widział dużo smutnych rzeczy - powiedział.

- I ja tak myślę. Może powinnam go nazwać imieniem jednego z dawnych proroków, tych, którzy zawsze uważali życie za coś ciemnego i pełnego grzechu, jak Jeremiasz, Sofoniasz albo Habakuk. Takie imię pasowałoby do niego. Ale nie zależy mi na tym. - Pochyliła się i pogłaskała łebek psa. - Już go polubiłam. Zatrzymam go.

Potem przeszła do innych spraw:

- Paweł jest u mego dziadka. Był tam cały ranek.

- Powiedziano mi, że szuka rady u twego dziadka.

Debora nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Może miał taki zamiar. Ale tak naprawdę to dziadek nie miał jeszcze możności udzielenia mu rady. To Paweł mówił cały czas - pośpieszyła skorygować swą wypowiedź. - Było to coś wspaniałego. Pozwolono mi zostać w pokoju i słuchać. Mówił porywające rzeczy. - Uśmiech znów rozjaśnił jej twarz. - Ale mówi bez przerwy i myślę, że już dość powiedział. Widziałam, że dziadek jest bardzo zmęczony. A i ciebie, Bazyli, musi niecierpliwić taka długa zwłoka.

- Trochę - przyznał.

- Mnie też niecierpliwi. Nie mam pojęcia, co dziadek ma zamiar ci powiedzieć. Pytałam go wczoraj wieczór i ponownie dziś rano. Ale był bardzo uparty. Tylko się uśmiechał i mówił, że to sekret. Gniewałam się na niego, ale to nie przyniosło żadnego skutku.

- Będziemy musieli poczekać nieco dłużej, Deboro. To nic trudnego.

Już się odwróciła, żeby odejść, ale słysząc jego słowa, przystanęła w drzwiach i oparła głowę o futrynę.

- Czy świadomie nazwałeś mnie po imieniu? To zabrzmiało tak miło! Może greckie głosy są bardziej melodyjne od naszych.

- A może powód leży w tym, że to bardzo ładne imię?

Debora się zawahała:

- Nie powinnam ci mówić, wiem jednak coś niecoś. Dość, aby mieć pewność, że to, co dziadek ma do powiedzenia, będzie ci się podobało.

Wezwanie nastąpiło po godzinie pierwszej, ale kiedy Bazyli wszedł do obszernej komnaty pana domu, rozmowa nie była jeszcze zakończona. Kiedy drzwi się przed nim otworzyły, od razu rozpoznał głęboki głos Pawła.

- Nie pójdę na żadne ustępstwa, Józefie! - mówił apostoł. - Przyszedłem do Jerozolimy z posłaniem. Posłaniem dla waszych hardych przywódców, bo takimi oni są po prawdzie. Chodzi o to, że pogan należy przyjmować, nie narzucając im naszych warunków, lecz przyjmując ich warunki. Nie wolno ich zmuszać do przyjmowania wszystkiego, co zawiera Prawo Mojżeszowe. Dobrze znamy to Prawo i według nas jest doskonałe. Urodziliśmy się według niego i w nie wierzymy. Ale dla pogan jest czymś obcym, przerażającym i odpędziłoby ich od Chrystusa. Jeśli się im powie, że muszą być obrzezani, zanim zostaną przyjęci - odwrócą się od wielkich prawd, jakie przekazał nam Jezus. Nie, nie, Józefie z Arymatei, muszę być stanowczy. Nie pozwolę na żadne zmiany w decyzji podjętej przed pięciu laty, kiedy to dano mi wolną rękę. Namysły, zastrzeżenia, które teraz napełniają umysły krzewicieli wiary, trzeba odłożyć na bok.

- Oto ten młody człowiek - odezwał się Józef, dając Bazylemu znak gestem ręki, aby wszedł.

Wchodząc do komnaty Bazyli zobaczył, że Józef jak zawsze spoczywa na łożu i że zarówno Łukasz, jak Debora są obecni, chociaż siedzą dalej. Paweł, usadowiony tuż przy Józefie, obrócił się i obdarzył go szybkim, lecz uważnym spojrzeniem.

Pierwsze badawcze spojrzenie tego nadzwyczajnego człowieka podziałało na Bazylego jak wstrząs. Był zdumiony, że wielki apostoł tak bardzo się postarzał. Jego włosy i broda zbielały, a zmarszczki skupione wokół oczu podkreślały zapadnięte policzki, na których wypisane było zmęczenie i przebyte cierpienia. Zdziwiło też młodzieńca, że zwrócona ku niemu twarz nie była sympatyczna. Surowe rysy zdawały się być wykute w najtwardszym granicie. A jednak zdawał sobie sprawę, że jest to twarz zniewalająca. Oczy pod prostymi, białymi brwiami miały kolor księżyca na dziennym niebie - dziwne oczy, niepokojące, a zarazem fascynujące.

Rzuciwszy jedno spojrzenie na tego kruchego starca w krótkiej, niczym nie ozdobionej wełnianej tunice, Bazyli uświadomił sobie, że ten człowiek jest najważniejszą postacią w pokoju.

Józef odchrząknął.

- Jak już powiedziałem, jestem zadowolony z tego, co ten młody człowiek dla mnie zrobił. Ale jest coś, czego wam nie powiedziałem - wskazał ręką na woskowe popiersie stojące na postumencie obok niego. - Sprowadziłem go tutaj, bowiem jest coś o wiele donioślejszego, co mógłby wykonać. To rzecz tak dużej wagi, że musiałem nabrać przekonania do artysty, który się jej podejmie. To - rzekł, wskazując na rzeźbę głowy - była tylko próba. Wywiązał się z niej tak dobrze, iż jestem pewny, że potrafi wykonać o wiele większe dzieło, które chcę mu teraz powierzyć.

- Dokonałem jeszcze innego sprawdzianu - ciągnął czcigodny pan domu. - Sprawność jego rąk to nie wszystko. Musiałem również upewnić się co do jego osoby, charakteru, lojalności, cierpliwości, nawet odwagi. Nie wiedział, jak sądzę, że znajduje się pod obserwacją. Pragnę teraz

powiedzieć, że zadowolił mnie pod każdym względem.

Bazyli zauważył, że Łukasz z uśmiechem kiwa do niego głową. Debora przechyliła się do przodu, jej wargi były lekko rozchylone w niecierpliwym oczekiwaniu.

- Młodzieńcze - powiedział Józef zwracając się bezpośrednio do Bazylego - muszę ci powiedzieć na samym początku, że zadanie, które mam na myśli, wymaga wnikliwej obserwacji. Będzie to niewypowiedzianie trudna praca. W razie potrzeby musisz jej poświęcić całe lata życia. Musisz podróżować, bo trzeba będzie zobaczyć wielu mężów, których podobizny, równie dobre jak moja, musisz wykonać. Musisz się liczyć z trudnościami, a nawet z niebezpieczeństwem.

- Będę szczęśliwy podejmując się tego - oznajmił Bazyli - i poświęcając temu cały mój czas. Niepokoi mnie tylko obawa, czy zdołam was zadowolić. - Zamilkł na chwilę, a potem zapytał: - Dokąd miałbym pojechać?

- Myślę, że do Cezarei. Do Efezu. Może do Rzymu.

Bazyli z trudem się pohamował, żeby nie krzyknąć z uniesieniem: “Pojadę!” Podróż do Rzymu to wystarczający powód, żeby się natychmiast zgodzić. Odpowiedź na pytanie, które najbardziej go gnębiło, znalazła się sama. Dotrze do Rzymu i znajdzie Kestera z Zantu!

Teraz nadeszła pora na wyjaśnienie sprawy. Józef rzucił spojrzenie na Pawła, a potem na Łukasza.

- Przed kilku laty pewien przedmiot znalazł się w moim posiadaniu - powiedział. - Było to coś takiego, że drżałem przed odpowiedzialnością, jaka na mnie spadła. Obawa, że może ulec uszkodzeniu bądź też... ach, sama myśl o tym napełnia mnie przerażeniem... że może zostać skradziony czy zaginąć, tak obciążała mój umysł, że kazałem zbudować specjalną skrytkę. Od tej pory jest tak dobrze ukryty, jak w świętym miejscu. Dzisiaj, po raz pierwszy, zamierzam otworzyć tę skrytkę.

Paweł słuchał wyjaśnienia z zainteresowaniem, ale i z pewnym zniecierpliwieniem. Czuł się urażony, kiedy przerwano mu wywód dotyczący jego poglądów.

- Mój dobry Józefie, cóż to za tajemniczy przedmiot? - zapytał.

- Pozwól mi najpierw powiedzieć - odparł Józef - jak trafił w moje ręce. Przyniosła mi go pewna kobieta, skromna kobieta, która go ukryła nie mając pewności, jak ma w tej sprawie postąpić. Obawiała się, że może trafić w niepożądane ręce, więc czekała. Powierzyła go mnie, przestrzegając bardzo uroczyście. Miałem go przechowywać tak długo, dopóki się nie upewnię, co trzeba dalej począć. Była bardzo uboga, ale nie muszę wam mówić, że nie przyjęła żadnego wynagrodzenia.

Józef usiłował podnieść się z łóżka, ale potrzebna mu była pomoc, żeby stanąć na nogi. Z Deborą podtrzymującą go z jednej strony i Bazylim - z drugiej, zaczął iść przez pokój.

- Jestem już stary - powiedział wzdychając. - Stary i zesztywniały. Czy mogę coś ci wyznać, Pawle z Tarsu, i tobie, mój dobry przyjacielu Łukaszu? Posiadanie tego świętego przedmiotu było tak wielkim zaszczytem, że świadom jestem, iż byłem tego niegodny.

Doszedł powoli do odległej ściany i wyciągnął rękę, szukając sprężyny schowanej za starą skrzynią z drzewa akacji. Pod naciskiem jego palców płyta w ścianie odsunęła się. Za nią była mała, nie oświetlona przestrzeń, zaledwie kilka stóp kwadratowych.

- Przynieś tu lampę, moje dziecko - zwrócił się do Debory.

Debora przyniosła lampę i oświetliła nią wnętrze ciemnego pomieszczenia, a wtedy ujrzeli, że jest tam skrzynka z drewna sandałowego ustawiona na marmurowym postumencie. Józef sięgnął ręką do wnętrza i podniósł nabijane złotem wieko skrzynki. Wyjął z niej srebrny kielich, mały i zupełnie zwyczajny, o jajowatym kształcie. Jego krawędź była wywinięta na zewnątrz w sposób prymitywny i pozbawiony wszelkiej ornamentacji. Z pewnością długo musiał służyć, bo brzegi miał powyginane i powgniatane.

Wyciągnął do nich kielich, żeby go obejrzeli, a ręce drżały mu z przejęcia.

- To jest Kielich, z którego pił Jezus, a potem podał go swoim oddanym Apostołom podczas Ostatniej Wieczerzy - wyszeptał.

3

Józef podał Kielich Łukaszowi, ten zaś, ze łzami płynącymi po policzkach, wziął go do rąk.

- Tak często się zastanawiałem, w czyim jest posiadaniu. Myślałem, że gdzieś zaginął...

Podał go z kolei Pawłowi, lecz ten, zamiast go przyjąć, upadł na kolana.

- Najcięższym ciosem, jakiego w życiu doznałem - rzekł wielki Apostoł - jest to, że nigdy nie widziałem Jezusa. Zgłębiałem Jego słowa. Szczerze starałem się poznać wszystko, co o Nim wiadomo. Słyszałem Jego głos na drodze do Damaszku. Nie widziałem Go jednak. - Wyciągnął rękę i końcami palców dotknął krawędzi Kielicha. - Tego miejsca - wyszeptał - Jezus dotknął swoimi ustami.

Zapadło milczenie. Trwali w pełnej uniesienia ciszy wobec tej najświętszej relikwi. Łukasz, Józef i Debora płakali niepowstrzymanie. Paweł, chociaż nie pozwalał sobie na okazywanie wzruszenia, nie odrywał pełnego przejęcia wzroku od świętego Kielicha i Bazyli widział, że drżą mu ręce. Stojąc za nimi obserwował tę manifestację wiary ze zdziwieniem.

“Doprawdy - myślał - to dziwni ludzie. Bardzo musieli kochać tego Jezusa, jeżeli są tak przejęci.” Oczy jego najczęściej zwracały się w kierunku Pawła, bowiem przyciągała go siła tego władczego człowieka. Jak zwykle, miał przy sobie trochę wosku i teraz wprawił palce w ruch, żeby utrwalić niezwykłe rysy Apostoła Pogan.

Pierwszym, który się wyzwolił spod uroku chwili, był Paweł.

- Co zamierzasz uczynić? - zapytał mocnym głosem.

- Należy zaprojektować do niego odpowiednią oprawę - odparł Józef. - Powinna być otwarta, tak aby Kielich był widoczny. Może trzeba zrobić ornament z liści wokół postaci Jezusa i tych, którzy byli Mu najbliżsi?

Paweł skinął głową z aprobatą.

- Ten Kielich będzie przechowywany aż do dnia, kiedy Jahwe przyjdzie w pełnej chwale - powiedział. - Oprawa winna być precyzyjnie wykonana, a każda rzeźba musi wiernie oddawać rysy twarzy, aby ci, którzy będą żyli po nas, wiedzieli, jak wyglądał Jezus i każdy z Jego uczniów. Może się stać głównym symbolem wiary chrześcijańskiej. - Teraz mówił tonem naturalnym i, co było dla niego charakterystyczne, ujął sprawę w swoje ręce. - Tak, musimy przede wszystkim zapewnić mu pięknie wykonaną oprawę. Potem postanowimy, gdzie będzie przechowywany. - Zmarszczył czoło z namysłem. - Może już w następnym pokoleniu ludzie będą wierzyli w Jezusa. Jeśli tak się stanie, wtedy Kielich Ostatniej Wieczerzy powinien znaleźć się w Świątyni.

- Nie, nie! - zawołał Józef, czując instynktowny sprzeciw. - Poganie też powinni go zobaczyć, bo przecież im nigdy nie będzie wolno wchodzić do Świątyni.

Paweł potrząsnął głową z grymasem na twarzy.

- Nawet i ty, Józefie z Arymatei! - powiedział. - Dlaczego pozwalam sobie na zdziwienie, kiedy ludzie nie chcą odwrócić się od dawnych wierzeń? Oto nawet mój dobry i oświecony przyjaciel jeszcze się nie otrząsnął ze wszystkich tradycji, które przeważają w tym mieście. Tak, muszę to powiedzieć, w tym mieście, gdzie wiara wciąż szuka drogi po omacku. - Zmienił temat, znów zmarszczył czoło. Zaczął mówić rzeczowym, rozkazującym tonem. - Czy pomyślałeś o tym, którzy z uczniów Chrystusa mają być włączeni do tego grona?

- Chyba musimy włączyć tych, którzy podawali sobie Kielich w czasie Ostatniej Wieczerzy?

- To niekonieczne. - Twarz Pawła rozgorzała gwałtowną dezaprobatą. - Judasza! - zawołał. - Czy włączyłbyś tego, który zdradził Jezusa?

- Nie, nie Judasza - pośpieszie odparł Józef. - Przyznaję, Pawle, że niewiele o tym myślałem.

- Skoro Judasz ma być wyłączony - oznajmił Paweł - jesteśmy zmuszeni dokonać jakiegoś wyboru. Czy musimy włączyć wszystkich innych? Czy musimy udawać i nie pozwalać sobie na wyznanie tego, co myślimy o sprawie najwyższej dla nas wagi? Gdy zostanie spisane świadectwo tych dni i nowe księgi zebrane i ułożone w Testament Nowego Przymierza, jakie imiona będą najbardziej znane przyszłym pokoleniom, kiedy je będą czytały? Powiem ci to, Józefie z Arymatei:

Mateusz, Marek, Łukasz...

- Ja! - zawołał Łukasz. - Nie, nie! Ja jestem jednym z najmniejszych. Jestem uczniem, nie przywódcą. Ja doprawdy nic nie znaczę. Mnie moc nie była dana.

Paweł pominął jego sprzeciw.

- Ta wzniosła opowieść, którą napisałeś o życiu Chrystusa na tej ziemi, więcej zjedna wyznawców w przyszłości, niż dar oratorski. To, co obecnie przygotowujesz o głoszeniu Ewangelii, stanie się podstawą całej historii Kościoła chrześcijańskiego. Mój skromny przyjacielu, imię Łukasza będzie rozbrzmiewało przez wieki, zaś oblicze Łukasza powinno być uwiecznione na srebrnym Kielichu.

Widać było, że Józef nie zgadza się z wyborem dokonanym w ten sposób, ale nie dopuszczono go do głosu. Paweł szybko ciągnął dalej:

- Oczywiście, Piotr. Ta mocna dusza musi być pierwsza. I Jan, ukochany uczeń. Jakub, syn Zebedeusza, i Jakub, krewny Chrystusa. Uważam, że trzeba włączyć Filipa.

- Filip? - zaryzykował Józef. Przez chwilę nie mógł zebrać myśli, więc teraz był rad wysunąć jakąś sugestię.

Paweł zmarszczył czoło.

- Musimy mieć albo Filipa, albo Judę. Obaj są jednakowo czynni, jeśli chodzi o Kościół w kraju. - Powziął decyzję z wyraźnym oporem. - To musi być Juda. On przebywa tutaj, w Jerozolimie, obok krewniaka Chrystusa. To, że jego wymieniam, musi ci uzmysłowić Józefie, że usiłuję być bezstronny. Żywię w sercu wiele uczuć dla Filipa, on jednak przebywa w Cezarei i jest już bardzo stary.

Ponieważ Paweł zauważył, że palce Bazylego przez cały czas pracują, sięgnął po wosk i wziął go w swoje ręce. Wyraził aprobatę szybkim kiwnięciem głowy.

- Uchwyciłeś pewne podobieństwo. Ale są i błędy. Czoło jest za wysokie. Moi wrogowie, a mam ich wielu, mówią, że niskie czoło jest oznaką braku intelektu. Może mają rację. Zdaję sobie sprawę, że mój wygląd nie robi dobrego wrażenia. - Potem zwrócił się do Józefa. - Jak już ci powiedziałem, jutro będę przyjęty przez Jakuba i Judę w obecności starszyzny Jerozolimy. Pożądana byłaby obecność naszego młodego artysty, aby mógł od razu rozpocząć pracę.

- Zadbam o to, aby miał dobre miejsce.

- Jeśli zaś chodzi o Mateusza i Marka - ciągnął z ożywieniem Paweł - znajdzie ich w Antiochii. Jan jest w Efezie i to właśnie jego musi koniecznie zobaczyć. Żaden opis nie zdoła oddać rysów jego twarzy. Dotknęła go dłoń Jahwe i napełniają go wizje dziwnych rzeczy, które nadejdą. Bazyli musi go zobaczyć jak najprędzej. Piotr, ten dobrotliwy, a zarazem gwałtowny człowiek, jest teraz w Rzymie. Obawiam się, że ręce oprawcy unoszą się już nad nim, bowiem

Piotr tak przemawia, jakby rozmyślnie zabiegał o męczeństwo. Zalecałbym temu młodzieńcowi, aby jak najszybciej udał się do Rzymu... jeśli ma znaleźć tę głowę lwa, osadzoną na ramionach śmiertelnika.

- Chętnie pojadę - odezwał się Bazyli. Serce mu biło z podniecenia, gdy mówił do siebie w duchu: “Jakże chętnie pojadę! Ruszyłbym do Rzymu choćby za godzinę.”

Nagle zachowanie Pawła całkowicie się zmieniło. Przez kilka chwil nic nie miał do powiedzenia. Manipulował palcami przy tefilinie, * przymocowanym do czoła, i skórzanym rzemyku, który go przytrzymywał z tyłu głowy. Głosem pełnym zadumy przytoczył zdanie z tekstów spisanych na pergaminie, spoczywającym w skórzanym futeraliku: “I będzie ci służyć jako znak na twej głowie...”

Tefilin albo filakteria, małe pudełeczka z czterema fragmentami Tory, noszone przez pobożnych Żydów na czole i lewym ramieniu (przyp. red.).

W końcu powiedział:

- Nie tylko w przypadku Piotra trzeba się pośpieszyć. Zbliża się i mój koniec. Wszędzie, gdzie się zatrzymywałem podczas tej podróży, żegnałem się z przyjaciółmi wiedząc, że żadnego z nich już nie zobaczę. Wkrótce skrzydła śmierci dotkną mego czoła. Agabus od razu to wiedział. Przyszedł zobaczyć mnie, kiedy byłem u Filipa w Cezarei i poprosił o mój pas. Kiedy go zdjąłem i wręczyłem mu, związał nim swoje ręce i stopy i rzekł: “Tak oto Żydzi w Jerozolimie zwiążą tego, którego ten pas jest własnością i oddadzą go w ręce pogan.” Miał na myśli, że będę oddany w ręce Rzymian. - Paweł westchnął ze znużeniem, jakby droga, która ma się zakończyć w ten sposób, była długa i ciężka. - To stanie się tutaj w Jerozolimie. Zwiążą mnie Żydzi i oddadzą w ręce Rzymian. Zostało mi niewiele dni wolności, jeśli więc i ja mam być na Kielichu, trzeba mnie wykonać w pierwszej kolejności. - Jego oczy straciły blask, wydawały się martwe i zimne. - Niech więc twoje palce pracują pilnie, bowiem może to być ostatnia sposobność.

4

We wschodnim skrzydle domu, na poziomie pierwszego piętra, był kamienny balkon. W ciągu godziny przed wieczornym posiłkiem cicha grupka - Łukasz, Debora i Bazyli - siedziała w tym przyjemnym miejscu, gdzie trzcinowe zasłony nie dopuszczały owadów, ale i nie hamowały przewiewu. Powietrze było teraz rozrzedzone i czuło się słabą zapowiedź ochłodzenia.

Pod domem zbierał się hałaśliwy tłum, bo w mieście rozeszła się już wieść, że Paweł jest w domu Józefa z Arymatei. Mimo wrogich okrzyków na dole, siedząca na balkonie trójka słyszała głos Apostoła zwracającego się do służby domowej na dziedzińcu. Tylko paru osobom wolno go było słuchać. Ebenezer, służący Aarona, posłuszny tajnemu zleceniu wydanemu przez pstrykające

palce jego pana, dopilnował, aby większość ludzi odesłano do pracy w magazynie.

Prawie w tej samej chwili, kiedy róg barani zadźwięczał w Świątyni, na dole nastąpiła zmiana sytuacji. Rozeźleni obserwatorzy zaczęli się rozchodzić, wygrażając rękami i wydając obelżywe okrzyki. Po kilku minutach ulica opustoszała.

Łukasz, który wysunął głowę poza trzcinową matę, aby zobaczyć jak odchodzą, odwrócił się z uśmiechem do swych towarzyszy.

- To sztuczka Adama ben Aszera - wyjaśnił. - Miał się ukazać z kilku jeźdźcami u wejścia do magazynu i zabrać jednego z moich sług w kapturze na głowie. Jak widzicie, udało się. Szybko rozeszła się wieść, że usiłują zabrać Pawła. Ludzie poszli na drugą stronę.

- Będzie zamieszanie? - spytała Debora z niepokojem.

Łukasz był dobrej myśli. Wystarczy tylko parę minut, żeby Paweł zdołał uciec, a wtedy Adam będzie mógł udowodnić, że w jego karawanie nie ma Apostoła. W każdym razie będzie wiedział, co robić w razie gwałtownych zamieszek.

Ustał odgłos żarliwego nawoływania Pawła na dziedzińcu dla służby, a po paru chwilach dwie postaci nagle wynurzyły się z frontowych drzwi domu i przemknęły przez ulicę.

- Oto i on, w towarzystwie Beniego - powiedziała Debora, która podbiegła do parapetu razem z Bazylim. Kiedy stali oparci o kamienną krawędź, aby zobaczyć dwie uciekające postacie, ich łokcie zetknęły się, ale żadne nie cofnęło swego. - Paweł jest już bezpieczny - mówiła dalej - Beni zna każdy zakręt i zaułek w tym mieście.

Szybko zniknęli im z oczu. Beni Plotkarz prowadził Pawła drogą w dół, do Doliny Serowarów. Debora spojrzała na Bazylego z uśmiechem, rada, że fortel się udał.

- Adam dobrze tym pokierował - powiedziała.

Bazyli milczał, kiedy wrócił na miejsce. Rozmyślał nad tym, że on też chciałby tak łatwo i szybko wymknąć się do Jerozolimy. Pragnął jeszcze tej samej nocy wyruszyć w drogę do Rzymu. Zastanawiał się, jak wygląda miasto imperatora i gdzie znajdzie człowieka, którego pomoc miała tak wielkie znaczenie dla jego przyszłych losów.

- Bazyli!

Otrząsnął się ze swych rozmyślań i zauważył, że wnuczka Józefa przygląda się mu z niepokojem w oczach.

- Bazyli, jestem szczęśliwa, że wszyscy są tak radzi z tego, co zrobiłeś. Wiesz, jestem dumna, że właśnie tobie powierzono wykonanie Kielicha. Nikt na świecie nie mógłby tego tak dobrze zrobić jak ty. - Patrzyła na niego z niezwykłą powagą i zmarszczką zatroskania na białym czole. - Ale... jest coś, co muszę powiedzieć. Muszę ci wyznać, że jestem zaniepokojona.

- Zdaję sobie sprawę z trudności - odparł Bazyli.

- Zastanawiam się, co poczniesz, kiedy przyjdzie wykonać twarz Chrystusa. To będzie najcięższa próba. Bazyli, czy masz jakieś wyobrażenie o tym, jak On wyglądał?

Młody artysta potrząsnął przecząco głową.

- Będę musiał polegać na tym, czego się dowiem od innych. Czy możesz mi pomóc?

- Mój dziadek mówił mi o Nim setki razy - ożywiła się Debora. - Ach, gdybym tylko potrafiła ci pomóc, abyś ujrzał Go takim, jakim ja Go widzę. Nie przypominał innych ludzi. Był ciemnowłosy, ale Jego włosy nie były długie, jak sądzi większość ludzi. Nie dotykały ramion, kiedy po raz ostatni wjechał do Jerozolimy. Czoło miał bardzo szerokie, więc i oczy szeroko rozstawione, a nos prosty i niedługi. Usta, choć wrażliwe i czułe, nie miały w sobie ani śladu słabości. O nie, wyrażały moc i energię! Nie nosił brody, choć większość ludzi uważa, że ją miał.

Łukasz słuchał z największą uwagą, jego oczy przenosiły się z Debory na Bazylego. Po chwili powiedział:

- Taki właśnie Jego opis i ja słyszałem.

- Miał wspaniałe oczy! - zawołała Debora. - Zawsze potrafiłam je zobaczyć w wyobraźni. Łagodne, współczujące i tak bardzo, bardzo mądre!

- Zaczynam mieć jasny obraz - powiedział Bazyli kiwając do nich głową. - Myślę, że widzę czoło, nos, usta, ale nie widzę oczu. One mi się wymykają.

- Bazyli! - zawołała Debora z przejęciem, wyciągnęła ręce i dotknęła jego rąk. - Nigdy nie zobaczysz Jego oczu, jeśli nie uwolnisz swego umysłu od wszystkiego prócz pragnienia, żeby je zobaczyć. Musisz Go pokochać tak, jak my. Jeśli wzbudzisz w sobie taką miłość, On się wyłoni z ciemności i zobaczysz Go tak, jakby stał przed tobą.

Nastąpiła długa chwila milczenia, a potem przemówił Łukasz.

- Choć nic nie mówiłem, mój synu, nie byłem ślepy na stan twego ducha. To naturalne, że zachowujesz urazę, gdyż oszukano cię w haniebny sposób. Nie twierdzę, że nie należy pozwalać sobie na rozpamiętywanie nieszczęść, nawet jeśli to wypacza umysł i nie dopuszcza zdrowszych myśli.

- Czy wolałbyś, żebym nic nie robił? - spytał Bazyli nie patrząc na Łukasza. - Dopóki nie odpłacę Linusowi tą samą monetą, nie zaznam spokoju.

- Są sprawy, które mają w życiu większe znaczenie niż stanowisko, bogactwo i dobrobyt - oznajmił Łukasz. - Sprawy, które są pilniejsze nawet od zemsty. Nigdy ci nie mówiłem o tych innych sprawach, gdyż czułem, że nie chcesz o tym słyszeć. Może nie obrazisz się, jeśli powiem to teraz. Kiedy serce jest oddane Jezusowi, wszystko inne nie ma znaczenia. Prawdziwy chrześcijanin czuje się szczęśliwy, kiedy może wszystkiego poniechać i pójść za Nim. W wyrzeczeniu tym znajduje pokój i nagrodę. Gdybyś potrafił wierzyć razem z nami, udręki zsunęłyby się z twych

ramion. Byłbyś wolny i szczęśliwy jak nigdy dotąd. Mógłbyś nadal dążyć do naprawienia krzywdy wyrządzonej ci przez Linusa, lecz przestałoby to ciążyć ci na sercu.

- Ja nic nie wiem o Jezusie ani o tym, czego On nauczał - wtrącił Bazyli.

- Mój synu - odparł Łukasz - już ci przedtem powiedziałem, że rola, jaką mi wyznaczono, jest niewielka. To mi wystarcza. Tego wieczoru chciałbym jednak mieć moc dokonania jednego z cudów, o których słyszałeś. Chciałbym mieć moc uporządkowania twoich spraw jednym machnięciem ręki. Jakże byłbym szczęśliwy, gdybym mógł ci przynieść pocieszenie i odpędzić na zawsze te czarne myśli, które wywołują bruzdę na twym czole! Czuję się nieszczęśliwy, kiedy cię widzę tak zatroskanego. Ale teraz musimy porozmawiać o wykonaniu Kielicha.

Bazyli poruszył się z niepokojem, oczy miał wciąż utkwione w szary kamień posadzki. Jego umysłem zawładnęło niepokojące pytanie: “Czy to możliwe, że ta niewielka grupa ludzi ma rację, a cała reszta świata jest w błędzie?”

- Co mam robić? - zapytał po dłuższej przerwie. - Jaki ma być ten pierwszy krok?

- To dziecko wskazało ci pierwszy krok, mój synu - oznajmił Łukasz. - Uwolnij swój umysł od wszystkich innych myśli. Uwierz temu, co mówił starzec, który wiele w życiu widział: bogactwo to ciężar, który podsyca dumę, ze szkodą dla bardziej wartościowych rzeczy. Zemsta może się wydawać słodkim i uderzającym do głowy trunkiem, który po wypiciu jednym haustem jest tak szkodliwy, jak kielich cykuty.

- Mogę tylko przyrzec - powiedział Bazyli z powagą - że będę się starał. Będę się starał bardzo usilnie... żeby zobaczyć Jego oczy...

- Och, Bazyli, Bazyli! - zawołała rozradowana Debora. - O to tylko nam chodzi.

Rozdział VII

1

Tej nocy Bazyli przewracał się z boku na bok na swoim gorącym posłaniu. Te same myśli wciąż przebiegały mu przez głowę. Czy ci żarliwi ludzie posiedli sekret pokoju i szczęścia na ziemi? Czy powodzenie jego pracy nad srebrnym Kielichem będzie zależało od stanu umysłu, w jakim zabierze się do tego dzieła? Czy musi uwierzyć w Jezusa z Nazaretu, zanim zdoła stworzyć w wyobraźni Jego wizerunek i przelać go w trwałą formę?

Minęło sporo czasu, zanim zrozumiał, a nastąpiło to, kiedy utkwił wzrok w niebie, na którym gwiazdy zdawały się wisieć tak nisko, że wystarczyło sięgnąć po nie ręką. Ten Kielich to najważniejsza sprawa w jego życiu. Musi być zrobiony dla przyszłych pokoleń, a twarze Jezusa i Jego uczniów muszą spoglądać ze srebrnej oprawy, aby cały świat mógł je zobaczyć i poznać. Nie wolno dopuścić, by teraz zajmowało go cokolwiek innego. Musi zapomnieć o swoich osobistych sprawach. Musi się starać, aby osiągnąć taki stan umysłu, w którym mógłby zobaczyć oczy Jezusa. Doszedł do przekonania, że dzięki temu spłynie na niego szczęście.

Ogarnęło go uczucie spokoju. Świeży powiew wtargnął do komnaty i ochłodził jego gorące czoło. Ujrzał dobrotliwą twarz Łukasza uśmiechającego się do niego z aprobatą i coś znacznie głębszego w szeroko rozstawionych oczach Debory. Zapadł w sen.

Zbudził się wcześnie. Ranek był tak parny, jakby ciężką wilgotną derkę rozciągnięto na niebie, zaciemniając zarys Świątyni. Taka była martwota w powietrzu, że najmniejszy ruch wymagał dużego wysiłku.

O siódmej godzinie Beni Plotkarz był u jego drzwi, pełen wigoru i aż kipiący od nowinek.

- Zeloci rozeszli się po całym mieście zeszłej nocy - oznajmił z satysfakcją. - Szukali Pawła. Gdyby go znaleźli, miałby w ciele tyle sztyletów, ile jeż ma kolców. Uznano, że nie powinien wychodzić w dzień na ulicę, więc już przed świtem poszedł do sali, w której mają się zebrać prezbiterzy. Tak, jest tam w tej chwili, chodzi od ściany do ściany z wyzwaniem w oku. “Sprowadź na mnie moich nieprzyjaciół - mówi do siebie - a ja ich zniszczę”.

Plotkarz rozpromienił się w uśmiechu patrząc na Bazylego.

- Jestem dziś szczęśliwym człowiekiem. Polecono mi zabrać cię na to zebranie, więc i ja tam będę, kiedy powietrze napełni się gradem oskarżeń. Musimy wyruszyć, jak tylko coś zjesz.

Bazyli zaczął się obmywać w srebrnej misie.

- Nie odczuwam głodu w takim dniu jak dzisiejszy - powiedział polewając wodą ramiona. - Myślę tylko o jednym, żeby zacząć pracę.

- To źle - oznajmił Beni stanowczo. - Im dzień gorętszy, tym obfitszy posiłek. Taka jest

moja zasada. Dziś rano zjadłem melona, talerz winogron, kotlet z delikatnego koźlęcia, a nawet kawałek sera. Czuję się gotów do bitwy, jak Dawid przed walką z Goliatem, którego włócznia była gruba jak belka z warsztatu tkacza. Dobrze się najedz, młody artysto, a wtedy twoje palce odnajdą nową, magiczną moc.

W przedsionku spotkali Ebenezera, służącego Aarona. Kiedy szedł, plecy miał mniej pochylone, a jego twarz, zwykle bez wyrazu, nosiła ślady ożywienia. Bazyli był zaskoczony, kiedy ten najbardziej milczący z ludzi zatrzymał ich i zaczął mówić.

- Co ma nam do powiedzenia Beni? - zapytał głosem, który brzmiał ochryple, gdyż Ebenezer rzadko się odzywał. - Czy Paweł im nie ustąpi?

- Nie obawiaj się, druhu Ebenezerze - odparł Beni. - Jedynym celem przybycia Pawła do Jerozolimy jest walka. On się nie podda.

Pochylona głowa potaknęła z powagą.

- Będzie to jego ostatnia walka. Tak jest napisane.

Kiedy doszli do ulicy, gdzie słońce, przebiwszy się przez chmury, powitało ich nagłą furią upału, Bazyli spytał towarzysza:

- Czy to możliwe, że służący Aarona jest chrześcijaninem?

Beni przytaknął głową.

- Ebenezer to jeden z najbardziej pobożnych ludzi wśród nas. Jest poganinem z dalekiej północy, więc mocno wierzy we wszystko, czego Paweł naucza. - Spojrzał ostrzegawczo na Bazylego. - Aaron nie wie, że Ebenezer do nas należy.

Myśli Bazylego wciąż były przepełnione tym, co powiedzieli mu Łukasz i Debora. Fakt, że ten dziwny sługa, spędzający dni na wykonywaniu poleceń swego pana przekazywanych pstrykaniem palcami, jest też chrześcijaninem, zrobił na nim wielkie wrażenie.

- A inni niewolnicy? - zapytał.

- Wszyscy. Nawet nadzorca Asjel.

Wędrowali dość długo. Nie poszli do niedużej salki w murze Dawida, gdzie zbierali się przywódcy Kościoła, lecz w kierunku górnego miasta. Bazyli był już bardzo zmęczony upałem, gdy Beni zatrzymał się przed drzwiami magazynu na Ulicy Tkaczy. Wprowadzono ich do ciemnego, podobnego do pieczary pomieszczenia, które się wydało chłodne po wściekłych atakach słońca. Oślepieni nagłą zmianą stali przy drzwiach, dopóki nie usłyszeli:

- Tędy proszę.

Podążyli za białą tuniką człowieka, który do nich przemówił. Oczy Bazylego przyzwyczaiły się do mroku i wtedy zorientował się, że są w pomieszczeniu wypełnionym aż po sufit belami tkanin. Przeszli przez tylne drzwi i znaleźli się w przedsionku wewnętrznym, gdzie było jeszcze

ciemniej. Ich przewodnik przystanął znienacka i zapukał w coś, co wyglądało na gołą ścianę. A kiedy w murze ukazał się otwór, zobaczyli światło w głębi i usłyszeli szmer głosów.

- Kto tam? - zapytał człowiek stróżujący wewnątrz.

- Przychodzimy od Józefa z Arymatei - objaśnił Beni.

- Wejdźcie - powiedział dozorca i uchylił szerzej wąskie drzwi. Kiedy weszli do pomieszczenia, do którego światło wpadało przez sufit, Beni szepnął do towarzysza:

- To przemawia Paweł i, sądząc po jego głosie, wdział togę bojową.

Zaprowadzono Bazylego na miejsce za kotarą. Odwinął materiał, w który był zawinięty wosk i rozłożył w dogodnym porządku narzędzia, zanim jego oczy zaczęły chłonąć to, co go otacza. Wtedy odchylił się do tyłu i rozejrzał wokół.

Zobaczył, że nieduża sala urządzona była z uroczystym, choć dość już spłowiałym, przepychem, tak jakby w jakimś wcześniejszym okresie wysilono się, aby choć w małym stopniu dorównać surowej wspaniałości Świątyni. Ściany były zawieszone pięknymi niegdyś makatami, a w jednym końcu znajdowało się okazałe podium, na którym za pulpitem z pożółkłej kości słoniowej siedziała grupka mężczyzn, zachowując powagę.

Większa grupa, mniej dostojna i poważna, w której dostrzegł kilka kobiet, siedziała na ławach przed podium. Paweł stał wśród tej drugiej grupy i napełniał salę żarliwością swego głosu.

Beni ustawił się za Bazylim. Pociągnął artystę za ramię i szepnął:

- Dobrze się przyjrzyj tym dwóm po obu stronach kazalnicy. Jakub, po prawej, to krewny Jezusa. Ten po drugiej stronie to Juda.

Bazyli przyjrzał się obu mężczyznom, zwracając szczególną uwagę na twarz Judy: wysokie czoło, kształtny nos, broda, którą zdawał się najwyraźniej chełpić, gdyż była ufryzowana, natarta oliwą i rzeczywiście piękna. Palce Bazylego zabrały się gorliwie do pracy. W pewnej chwili powiedział:

- Twarz Judy łatwo będzie modelować w wosku. Czy zauważyłeś, jak jego nos się zagina? Oczy świadczą o pewnej arogancji. Takie cechy łatwo jest wydobyć.

- Już go uchwyciłeś - szepnął Beni. - Zajęło to nie więcej jak piętnaście minut. To doprawdy zdumiewające.

Bazyli odłożył gotowy model głowy Judy i wziął do rąk następną bryłę wosku.

- Ta bruzda na czole Jakuba z pewnością ułatwi mi pracę.

Wosk nabierał życia, kiedy wrażliwe palce przystąpiły do pracy. Beni przyglądał się bacznie, od czasu do czasu potrząsając głową, aby wyrazić swój zachwyt. Zagwizdał nawet cicho, widząc jak wprawne ręce jednym niemal gestem odtworzyły nos apostoła. Drugim ruchem Bazyli wyposażył go w zaokrąglony czubek, i to z powodzeniem mogło być ostatnie dotknięcie. Osiągnął

doskonałe podobieństwo.

Obaj byli tak zajęci, że niemal nie zwracali uwagi na Pawła. Pod tym względem byli jedynymi osobami w długiej, ciemnej sali, bowiem wszyscy inni znaleźli się pod urokiem jego zniewalającej siły, jakby zagarnął zebranych szczupłymi rękami koloru kości słoniowej. Wszystkie oczy były w nim utkwione. W głuchej ciszy jego głos podnosił się i opadał. Jakub i Juda byli teraz jedynie widzami.

Wielki Apostoł mówił o swoich poczynaniach. Opisywał w malowniczych słowach podróże po świecie pogan, po pogańskich miastach Greków, materialistycznych dominiach Rzymu, wrogich krajach pustynnych. Była to historia podboju, który okaże się pełniejszy niż zdobycze Rzymu osiągnięte przy pomocy potęgi jego legionów, podboju, który będzie trwał wieki. Wykazywał temu najbardziej krytycznemu audytorium, że ma rację. Nauki Jezusa należą do całego rodzaju ludzkiego, a nie tylko do tego narodu, w którym się urodził.

Paweł przestał mówić. Przez kilka chwil cisza panowała w długiej, ciemnej sali. Słowa jego były przekonujące i nikt już nie miał wątpliwości, że prezbiterzy zaaprobują to, co zdziałał. Juda słuchał z kamiennym wyrazem twarzy, nawet mu powieka nie zadrżała. Jakub nieco inaczej zareagował na wymowną obronę męża z Tarsu. To on przerwał milczenie.

- Bracie Saulu - powiedział - jasne jest dla nas wszystkich, że ciężko i długo się trudziłeś i że wiele zdołałeś dokonać. Ci z nas, którzy się z tobą dotąd nie zgadzali, nadal wierzą, iż powinno być możliwe rozciągnięcie granic wpływów Pana bez zbaczania ani na cal od słusznych praw, według których żyjemy. Wolelibyśmy iść do pogan z dwoma wielkimi darami w obu rękach: nauką Jezusa i Prawem Mojżesza.

- Ty jednak, który niosłeś Słowo do pogan, mówisz, że można to robić tylko na twój sposób. Jesteś o tym szczerze przekonany. Z bólem serca gotów jestem powiedzieć: rób więc jak chcesz, nauczaj w przyszłości tak, jak to robiłeś dotąd.

Mówca zamilkł i spojrzał na Judę, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Ogarnął szybkim spojrzeniem krąg prezbitrów, odczytując odpowiedź z ogólnego potakiwania głowami i chóralnego, gromkiego: “Tak!”

- Paweł wygrał!... - wyszeptał Beni, prawie podskakując z podniecenia. - Przekonał ich. Ach! Jakież to zwycięstwo!

A jednak nie było to pełne zwycięstwo. Jak się okazało, Jakub miał coś więcej do powiedzenia. Znów spojrzał, okazując pewne zakłopotanie, na niewzruszoną twarz Judy, a później przeniósł na chwilę wzrok w ciemny róg sali, gdzie siedział Mar, reprezentujący kłopotliwy odłam.

- To musi być powiedziane. - Szczupła postać Jakuba wyprostowała się w krześle, a głos jego stał się wysoki i nieco piskliwy. - Dotarły do nas wieści o twoim niewłaściwym postępowaniu,

bracie Saulu. Mówiono nam wielokrotnie, że przestałeś żyć według Prawa Mojżeszowego. Ten zarzut bardzo nas zaniepokoił.

- Oznajmiam, że to fałsz! - zawołał Paweł. - Oznajmiam wam, starszyzno Kościoła, że nie ma prawdy w tym, co moi nieprzyjaciele mi zarzucają. Nie złamałem Prawa.

- Przyzwalałeś jednak ludziom na rozluźnienie obyczajów - oznajmił Jakub. - Wielu naocznych świadków to zeznało. Tutaj, w Jerozolimie, ludzie zaczynają się ciebie bać.

- Jakubie, Jakubie! - zawołał Apostoł Pogan. - Siedzisz tutaj w kółku nie większym od złożonej w miseczkę dłoni dziecka. Czyż to możliwe, że więcej cię obchodzi paradny strój prawdy niż sama prawda?

- Znajdujemy radość żyjąc tak, jak żyli nasi ojcowie przed nami - powiedział Jakub.

- Lecz wasi ojcowie nic nie wiedzieli o nauczaniu Jezusa. - Głos Apostoła znów zabrzmiał oratorskim tonem. - Czy nie widzicie, że wszystko się zmieniło wraz z nadejściem Mistrza? Trzeba nauczać cały świat, jak nakazywał Jezus. Czy możemy być posłuszni temu nakazowi, jeśli wciąż wierzymy, że nie wolno nam dopuścić do żadnego odstępstwa od przepisów określających, na jaką głębokość możemy zanurzyć w wodzie ręce po zjedzeniu mięsa? Sól Sodomy może przylgnąć do daktyla, który spożywacie na pustyni, lecz jeśli wokół was zgromadzą się ci, którzy łakną Słowa, nie wolno zwlekać z głoszeniem Go, zanim nie zanurzymy rąk, aby je oczyścić.

Jakub powstał za kazalnicą z kości słoniowej. Widać było, że jest wychudzony i wyniszczony postami i że ręka, którą wskazywał oskarżycielsko na Apostoła Pogan, dotknięta jest bezwładem.

- Własnymi ustami podtrzymałeś oskarżenie! - zawołał. - Mówię ci, Pawle, musisz uznać swe postępowanie za błędne i oczyścić się publicznie.

Donośne, chóralne “Tak!” podniosło się z kręgu prezbitrów. Jeden z nich przemówił:

- Przyprowadziłeś ze sobą obcych, którzy domagają się pozwolenia na wejście do Świątyni poza Dziedziniec Pogan. Już sama myśl o tym jest bluźnierstwem!

- Całe życie byłem nazyrejczykiem - oznajmił Jakub. Wskazywały na to jego długie, białe włosy i miękkość brody, której nigdy nie dotknęły nożyce. - Ty, Pawle, któryś siedział u stóp Gamaliela, wiesz, że kodeks nazyrejczyków wzywa do oczyszczenia ciała i umysłu. *

Nazireat - związanie się z Bogiem przez ślubowanie wstrzymania się od picia wina i strzyżenia włosów (przyp. red.).

Beni nie mógł zapanować nad uczuciami.

- Nie, nie! - zawołał na głos. Było to tak nieoczekiwane, iż jego głos zdawał się wypełniać gorącą salę.

Zaskoczony Jakub spojrzał w kierunku źródła głosu.

- Żądam spokoju - powiedział z miną obrażonej godności.

Bazyli przerwał pracę i czekał, aż zapanuje spokój.

- Nigdy dotąd tak się nie zapomniałem - szepnął Beni, a po jego twarzy można było poznać, jakim wstrząsem była dlań własna odwaga. - Byłby to jednak fatalny błąd. Paweł stojący w Ławie Pokutniczej! Pośmiewisko każdego przechodnia - opluwany, lżony, wyśmiewany! Jaki dobry cel stanowiłby jego obnażony grzbiet dla sztyletów zelotów! Doszłoby do walk na ulicach Jerozolimy, a tego właśnie chce Rub Samuel, przywódca zelotów.

Nastąpiła szybka, podniecona dyskusja między starszyzną Kościoła, zakończona ogólnym kiwaniem głowami na zgodę.

Paweł siedział z opuszczoną głową. On nie naradzał się ze swymi zwolennikami i nawet na nich nie spojrzał, kiedy mówcy, jeden po drugim, nalegali na odprawienie pokuty. W łuku jego nachylonych pleców rysowało się upokorzenie, a w zarysie szczęki gorycz.

Kiedy ostatni z prezbitrów zakończył swoją mowę, Paweł zabrał głos:

- Niech więc tak będzie. Żyłem zgodnie z Prawem Mojżeszowym i nie jestem świadomy żadnych wykroczeń. Jeśli jednak jest to konieczne dla zachowania pokoju w Domu mego Pana, wypełnię wasz nakaz. Stanę obnażony i zhańbiony za grzechy, których nie popełniłem!

2

Czwartego dnia pokuty Pawła Bazyli przyszedł wcześnie do Szuszanu, Białej Bramy Świątyni, żeby zrobić poprawki na wykonywanym przez siebie popiersiu Apostoła. Pragnął wykończyć je, zanim ludzie się zejdą i zaczną patrzeć mu na ręce, robić głośne i nieprzychylne uwagi, dysząc mu prosto w kark. Dwudziestu śpiewaków, do których należało otwieranie ogromnych drzwi z brązu (mniejsza liczba nie zdołałaby tego zrobić), wciąż jeszcze zajmowało się tą pracą. Słyszał rozdzierające “Aj! - waj!” głównego odźwiernego, który ich zachęcał do większego wysiłku. Przyłączył się do głośnej pochwały widzów, kiedy zadanie zostało wykonane i brama, skrzypiąc i protestując metalicznym spazmem, wreszcie się rozwarła na obie strony, pozwalając dojrzeć, co się dzieje na wielkim wewnętrznym podwórcu.

Obnażony tors i surowa, pozbawiona uczuć twarz Pawła górowały nad odgrodzoną przestrzenią obok Dziedzińca Kobiet, gdzie nazyrejczycy odbywali zwykle ceremoniał oczyszczania.

Były to dla Apostoła cztery dni katuszy. Przepełniony uczuciem poniżenia miał oczy zamknięte. Starał się nie słuchać tryumfalnych uwag swych wrogów. Nienawiść otaczała go od pierwszej chwili i możliwe, że tego dnia uszedł jego uwadze groźniejszy hałas, który wypełnił powietrze. Myślał tylko o jednym, że musi pozostawać przez dalsze trzy dni tam, gdzie jest, a

potem kapłani obetną mu i spalą włosy. Ósmego dnia pójdzie, złoży ofiarę za winy w Sanktuarium Świątyni, zabierając ze sobą dwie synogarlice i jagnię.

Przez dwa dni Bazyli usiłował utrwalić cechy duchowe Pawła w podatnej glinie. Poprzedniego wieczoru, kiedy ciemności zmusiły go do przerwania pracy, czuł, że zrobił istotny postęp. Oczy zaczynały błyszczeć życiem, wystający garb nosa stał się wymagający, usta zastygły w grymasie elokwencji. Trzeba było jeszcze uchwycić półtony, nadać rozkazującemu nosowi cień tolerancji, a gorzkim ustom odcień czułości.

Tego ranka, kiedy Bazyli wychodził ze swymi przyborami w niebieskiej płóciennej torbie przerzuconej przez ramię, spotkał Deborę, która spytała go o postępy w pracy.

- Dzisiaj zrobię ostatnie poprawki.

- Czy mogę przyjść nieco później i popatrzeć, jak wykańczasz popiersie?

Uśmiechnął się do niej. Uśmiech przychodził mu coraz łatwiej. Teraz dość często wyrażał uczucia w ten sposób.

- Twoja obecność da moim rękom większą siłę - odparł. - Znajdziesz mnie tuż obok okratowania oddzielającego taras Hel.

Teraz rozejrzał się wokół, ale nigdzie jej nie było. Może ogromny upał skłonił ją do pozostania w domu. Był rozczarowany i praca nie szła mu już tak dobrze, jak się spodziewał. Nie zauważył, jak dziedziniec zapełnił się mężczyznami, którzy stali obok w milczących grupach z oczami utkwionymi w człowieka pod pokutnym pręgierzem. Nie byli to jednak ludzie, którzy przybyli tu na Święto Pięćdziesiątnicy. Tamci już odjechali na grzbietach wielbłądów bądź konno albo poszli pieszo z ożywioną w sobie wiarą, ale w duchu radzi, że się wydostają z kręgu ubóstwa, złych nastrojów i krążących po Świętym Mieście pogłosek o stosowaniu przemocy. Dopiero kiedy ktoś wykrzyknął przeszywającym, ostrym głosem jakiś rozkaz, młody artysta zwrócił uwagę na to, co się dzieje wokół. Spojrzał do góry w porę, żeby ujrzeć mężczyzn biegnących z triumfalnymi okrzykami ze wszystkich stron podwórca ku pręgierzowi, gdzie stał Paweł z zamkniętymi oczami.

W tym samym momencie w porannym słońcu błysnęły ostrza sztyletów. Rozległ się odgłos rozłupywanego drewna. Paweł, zbyt dumny, aby się opierać, z twarzą i nagimi ramionami, po których spływała krew, został zaciągnięty na Dziedziniec Pogan, gdzie sztylety miały dokończyć rozpoczęte dzieło.

Być może czyjeś baczniejsze oczy przewidziały, co się święci i dopilnowały, aby powzięto środki ostrożności, a może był to jedynie zbieg okoliczności. Tak czy inaczej, w tej samej chwili pojawił się na widowni oddział żołnierzy rzymskich. Przyciągnięci wrzaskiem wmaszerowali na dziedziniec, rozpędzając oszołomionych widzów z butą, jaką okupanci zawsze okazują podbitym narodom. Działali tak szybko, że zeloci nie zdołali dokończyć powziętego zamysłu. Przepędzono

skrytobójców jednym zorganizowanym szturmem. Paweł, oszołomiony i krwawiący, został zakuty w łańcuchy, które założono mu na ręce i nogi. Zabrano go natychmiast, torując przejście przez tłum za pomocą mieczy podobnych do toporów.

W tym momencie Bazyli zobaczył Deborę. Była na przodzie tłumu, który falował buntowniczo w ślad za oddziałem maszerujących żołnierzy. Łatwo było ją dostrzec, gdyż miała na głowie czerwoną chusteczkę. Nawet z daleka widział, że nie była to ta sama subtelna i posłuszna Debora, która tak spokojnie spędzała dni w domu dziadka. Jej zazwyczaj łagodne oczy płonęły teraz zapalczywie.

Usłyszał, jak zawołała:

- Czy nic nie zrobimy?!

Bazyli wrzucił swoje dłuto do torby z narzędziami. Zanosiło się na coś poważnego. Nurkując pośpiesznie w tłum usiłował ją dogonić, zanim zdoła zrobić coś bardziej nierozważnego. Czerwona chusteczka wciąż znacznie go wyprzedzała. Widział ją migającą to tu, to tam, wysuwającą się coraz bardziej na czoło skłębionego tłumu. Widział, że Debora jest bardzo podniecona. Zobaczył, jak podniosła do góry ramię.

- Czy pozwolimy go zabrać?! - zawołała donośnie i gniewnie.

A potem zrobiła coś, co go skłoniło do gorączkowej determinacji w pościgu. Podniosła kamień i rzuciła nim w zbrojny oddział otaczający zakutego w łańcuchy Apostoła. Chociaż kamień ześliznął się z pancerza jednego z żołnierzy nie czyniąc mu żadnej szkody, to jednak pocisk ten przepełnił miarę. Głos pomrukującego gniewnie tłumu stał się teraz głośnym rykiem rozgniewanego motłochu. Poleciało więcej kamieni. Rzymianie musieli zrobić zwrot i odeprzeć szydzących Judejczyków, nie szczędząc swych ciężkich mieczy.

Bazyli zorientował się, że nie tylko on toruje sobie drogę przez tłum. Za nim odezwał się rozkazujący głos:

- Pochwyćcie tę dziewczynę! To ona wszczęła bunt. - Pełen rozpaczy rzucił się do przodu, mówiąc do siebie: “Rzymianie jej nie oszczędzą, jeśli zostanie złapana!”

Dopadł do niej pierwszy. Zerwał czerwoną chustkę z jej głowy i rzucił pod nogi.

- Szybko! - zawołał. - Chodź ze mną!

Debora poznała jego głos.

- Bazyli? Nie mogę teraz odejść.

Pochwycił ją za ramię i odciągnął na bok.

- Musisz iść ze mną! - nalegał zrozpaczony.

- Czy myślisz, że jestem tchórzem? Nie chcę uciekać.

- Zachowujesz się głupio! - Potrząsnął nią z gniewem. Potem przyciągnął ją blisko do siebie

i szepnął do ucha. - Czy chcesz podsunąć Rzymianom pretekst do skonfiskowania wszystkiego, co jest w posiadaniu twego dziadka? Czy chcesz, żeby dożywał swych dni w zmartwieniu i smutku? A co do ciebie, jeśli teraz cię pochwycą, najlepszy los, jakiego możesz się spodziewać, to sprzedanie na targu niewolników.

Wtedy ustąpiła i poszła za nim, a on się przeciskał przez tłum w stronę wysokich słupów Portyku Salomona. Spostrzegł, że piesek, którego przygarnęła przed kilku dniami, biegł przy jej nogach.

Przeszli przez wielką bramę z białego marmuru. Byli teraz w dzielnicy na górze Moria, której nie znał. Rozejrzał się wokół z rozpaczą.

- Dokąd mamy iść? - zapytał.

- Chodź, znam drogę - powiedziała Debora.

Zaczęli biec, a pies żwawo podskakiwał za nimi. Znaleźli się teraz wśród zamkniętego obszaru domów dla nauczycieli, które ustawione były gęsto wokół Świątyni. Ponieważ przestrzeń na górze Moria była ograniczona, a ludności wciąż przybywało, domy zaczęto budować ciaśniej obok siebie, ciągnąc je w górę do nieba. W innych dzielnicach miasta mówiono, że na górze Moria przypada średnio jeden filozof na każdy pokój i że jedynym dobrem, którego tam nigdy nie braknie, jest erudycja. Tak było naprawdę. W glinianych dzieżach na żywność mogło brakować sera, miodu i chleba, a kamienne cysterny w piwnicach mogły wyschnąć, lecz usta każdej głowy domu zawsze dostarczały pereł mądrości.

Przy tego rodzaju zabudowie ulice nie mogły być wytyczone prosto, ale biegły zgodnie z ukształtowaniem górzystego terenu, co spowodowało, że stały się tak pokręcone, jak rogi używane w Świątyni przez kapłanów. Była to okoliczność pomyślna, bo ułatwiała im ucieczkę.

- Musimy zejść w Dolinę - powiedziała Debora ciężko dysząc. - Znam przez nią drogę.

Znajdowali się na krętej ulicy, która była niczym zwinięty w obręcz wąż, mogący ugryźć własny ogon. Kiedy doszli do miejsca, gdzie niski murek wyznaczał granicę z Dzielnicą Serowarów, Debora zwolniła kroku. Słyszeli wrzawę pogoni, ale nie było jeszcze widać żadnego ze ścigających. Dostrzegli wąską bramkę, a za nią jakąś kobietę.

- Chrystus zmartwychwstał - szepnęła do niej Debora.

Kobieta wyglądała na zaskoczoną, ale szybko odpowiedziała:

- Siedzi po prawicy Boga.

- Jest zamieszanie, musimy zejść do Doliny - szepnęła Debora.

Nie tracąc czasu na zadawanie pytań, kobieta zaprosiła ich gestem do środka i zamknęła furtkę.

Debora wzięła psa na ręce.

- Nie wolno teraz szczekać! - nakazała. - Nie wolno ci zdradzić twojej pani.

Znaleźli się na płaskim dachu małego, kamiennego domku, na samym wierzchołku całego ich ciągu, wspinającego się pokornie po stromym zboczu. Otwarta klapa poziomych drzwi wpuściła ich na dół do pojedynczej izby, wypełniającej cały domek. Kobieta wyciągnęła spod sterty odzieży powróz ze specjalnie zrobionymi węzłami.

- Szybko! Idźcie z Bogiem - powiedziała spuszczając jeden koniec powroza przez okno.

Na dachu niżej położonego domu mężczyzna o zniszczonej twarzy podniósł się z siennika wypchanego słomą.

- Chrystus zmartwychwstał - szepnęła Debora. Odpowiedział według zwyczaju i podszedł do powroza zwisającego nad parapetem. Zsunęli się w dół w wielkim pośpiechu, bo było słychać głosy przy bramie w kamiennym murze nad nimi. Bazyli trzymał psa pod pachą, co znacznie utrudniało mu swobodę ruchów. To samo powtarzało się przy każdym następnym domu. Debora mówiła:

- Ścigają nas, musimy się dostać do Doliny. - Za każdym razem pomoc była chętna i świadczona z gotowością. Nikt się nie wahał, nie rozważał ryzyka, nie zastanawiał się nad karą, jaka mu grozi za udzielenie pomocy zbiegom. Biegli, żeby otworzyć klapy drzwi dla uciekinierów, a potem ryglowali je przed nadchodzącymi żołnierzami i wciągali powrozy z węzłami; robili to zawsze chętnie i żegnali słowami: “Bóg z wami”.

Kiedy doszli do ostatniego domu i stanęli w skromnym ogródeczku, gdzie na murze wygrzewały się w słońcu jaszczurki, a drzewo figowe trapione swą samotnością usiłowało dostarczyć osłony drzwiom, Bazyli zapytał:

- Czy wszyscy serowarzy są chrześcijanami?

- Prawie wszyscy.

- Czy dlatego są tacy ubodzy?

- Być może - odpowiedziała z powagą. - Takie rzeczy nie mają znaczenia. Chrześcijanin myśli o życiu po śmierci, toteż ubóstwo w życiu doczesnym znosi bez użalania się nad sobą. Wszyscy są szczęśliwi, nawet ci najubożsi, którzy żyją w domkach na zboczu.

- Czy wiedzą, że mogą być za tę pomoc ukarani?

- Chrześcijanie zawsze żyją w zasięgu kary. Nigdy się jej nie boją. Zawsze grozi im niebezpieczeństwo. Właśnie teraz, ponieważ zeloci tak bardzo nas nienawidzą, jest gorzej niż kiedykolwiek. Napadają nas na ulicach, a czasem chodzą po mieście wypatrując ofiar. Pewnej nocy, nie tak dawno, wchodzili do wielu domów chrześcijan i niszczyli wszystko, co w nich było. Potem zabierali mężczyzn, wiązali im ręce, nakładali korony cierniowe na głowy i oprowadzali ich po mieście, chłoszcząc po drodze. Dwóch mężczyzn zmarło.

Słychać było, że pogoń z trudem podąża ich śladem. Debora rzuciła się w stronę ciemnego zaułka. Pies, jakby wyczuwając niebezpieczeństwo, biegł tuż za nią. Była tak szybka, że Bazyli z trudem za nią nadążał.

- Teraz i ty jesteś w to uwikłany, tak samo jak ja - rzuciła przez ramię. - Przykro mi, Bazyli. Działałam bez zastanowienia. Wielu ludzi popadnie w tarapaty. - Po chwili znów odwróciła głowę, żeby zapytać: - Czy zrobiłeś to, żeby ochronić dziadka?

- Zrobiłem to dla ciebie - zaoponował.

Pogoń dotarła do Doliny i rozsypała się we wszystkich kierunkach. Szukali uciekinierów w labiryncie ciemnych uliczek, wśród których Debora poruszała się jak w domu. Odgłosy pogoni z wolna słabły. Bazylemu, który czuł się jak ciężkostopy śmiertelnik przy nimfie leśnej, ledwie starczyło tchu, żeby zapytać:

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że Paweł jest najbezpieczniejszy w rękach Rzymian?

Jasne było, że tego nie rozumie.

- Oni go schwytali i prowadzili ze sobą.

- Oni go ochraniali przed sztyletami zelotów.

Szli teraz uliczką tak wąziutką, że jej mieszkanki mogły podawać sobie różne przedmioty nie schodząc z dachów. Debora mówiła dalej nie odwracając głowy:

- Więc ja pomagałam zelotom, kiedy rzuciłam tym kamieniem?

- Obawiam się, że tak było.

Stanęła i spojrzała mu w oczy.

- Nazwałeś mnie głupią i teraz widzę, że miałeś rację. To było prawdziwe szaleństwo.

Bazyli dotknął jej ręki.

- Szaleństwo, Deboro, ale odważne. Teraz, kiedy już jesteś bezpieczna, podziwiam cię za twój czyn.

Po chwili ich bezpieczeństwo stało się mniej pewne, gdyż pies podniósł głowę i głośno szczeknął, jakby się niepokoił i chciał, żeby ruszali dalej.

- Habi, Habi! - powiedziała Debora. - Sprowadzisz nieszczęście! - Schyliła się i wzięła psa na ręce przysłaniając mu pysk dłonią.

Doszli wreszcie do niskiego, kamiennego łuku, za którym było zupełnie ciemno. Wyciągnęła wolno rękę do tyłu i wzięła go za ramię mówiąc:

- Tutaj nie wolno nam się rozłączać.

Mężczyzna obnażony do pasa, z oczami wyglądającymi w mroku na rozszerzone, wynurzył się z ciemności, potrząsając brudną pięścią.

- Szu! Szu! - Nie zważając na jego żądanie, żeby się zabrali gdzie indziej, weszli głębiej w

mrok.

Brnęli poprzez stada świń i kóz, ostrożnie stąpali po omacku obok drewnianych niecek napełnionych ciepłym mlekiem, oddychali oparami fermentujących serów, spotykali coraz więcej dziwnych postaci, powtarzających przenikliwymi głosami: “Szu!” Wreszcie wyszli przez drugi kamienny łuk i zobaczyli przed sobą jasne światło słoneczne i mury otaczające targowisko. Doszli do górnego końca Doliny. Odgłosy pościgu ucichły.

- Teraz jesteśmy już całkiem bezpieczni - powiedziała Debora. Spostrzegła, że wciąż się trzymają za ręce i szybko zabrała swoją dłoń. Postawiła psa na ziemi.

Wspięli się na skarpę po drugiej stronie Doliny i szli górą, mijając wielki Dziedziniec Gołębi, gdzie Benaja, syn Bimbala, każdego tygodnia sprzedawał setkami te łagodne ptaki na ofiarę w Świątyni. Doszli wreszcie do bramy domu Józefa i nie mówiąc ani słowa przystanęli. Było samo południe. Zdawało się, że w rozgrzanym, migocącym powietrzu drżą zarysy budynków. Drzewa palmowe, pod którymi stali, były mizerne i dawały im nędzną osłonę przed słońcem. Drewniane sandały parzyły ich w stopy. Nawet biały przepych Świątyni wyglądał, jakby był rozgrzany do białości przez żar lejący się z nieba.

Ich spojrzenia się spotkały. Najpierw było to przyjemne uczucie ulgi, że przygoda pomyślnie się zakończyła. Później ich spojrzenia nabrały głębszego znaczenia. Każde z nich zdawało sobie sprawę, że rozprażona ziemia, na której stoją, może być przedsionkiem zaczarowanej krainy. Wpatrywali się w głębię swoich oczu tak długo, że stracili poczucie czasu. Wreszcie uśmiechnęli się jednocześnie.

Debora westchnęła.

- To było bardzo emocjonujące - odezwała się.

- Zawsze będę pamiętał wszystkie szczegóły tego wydarzenia, każde słowo i każdy gest - wyznał Bazyli.

Debora spoważniała.

- To było szaleństwo. Wielu ludzi ucierpi z tego powodu. Może i ty, i dziadek, może ludzie, którzy za moim przykładem zaczęli rzucać kamieniami w żołnierzy. Dobrzy chrześcijanie, którzy nam pomogli uciec w Dolinę. Niektórzy z nich mogą być ukarani. Ach, po co rzuciłam ten kamień!

- Zrobiłaś to bez zastanowienia.

Jej nastrój znów się zmienił, oczy zapłonęły tak samo gniewnie, jak wtedy, kiedy namawiała tłum do odbicia Pawła. Nie była to już cichutka pani domu z kluczami pobrzękującymi na kółku nałożonym na nadgarstek, cierpliwa towarzyszka wiekowego kupca. To była tamta Debora, po której przejęła imię, Debora, która przed wiekami, za dni Szamagara, zbuntowała lud Izraela przeciw Siserze i zastępom kananejskim.

- Zrobiłabym to jeszcze raz! Czyś widział jak maszerowali ci panowie stworzenia? Jakby mówili do siebie: “Jesteśmy Rzymianami. Precz z drogi, żydowski motłochu!” Czy widziałeś, ile buty mieli w oczach? I ta brutalność, z jaką torowali sobie mieczami drogę przez tłum? Nie mogłam tego znieść. Tak, jeszcze raz zrobiłabym to samo!

- Myślę, że wszyscy Żydzi muszą być w głębi duszy zelotami - powiedział Bazyli.

- Jesteśmy dumni. Było nas zawsze tak mało, a otaczali nas potężni sąsiedzi, którzy z nami wojowali. Ponieważ byliśmy tak dumni, usiłowali nas złamać, pozbawić naszych obyczajów i zmusić do czczenia swoich bogów. Uprowadzili nas w niewolę, spalili nasze świątynie i zburzyli mury naszych miast. Ale my nie zmieniliśmy się nigdy. Dlatego w głębi naszych serc jesteśmny zelotami. Wszyscy.

Ruszyli w stronę domu, lecz zanim doszli do bramy, Bazyli nagle przystanął i z gniewem uderzył dłonią w czoło.

- Wszystko zostawiłem! - zawołał. - Narzędzia, tworzywo i... i głowę Pawła. Co mam teraz począć?

Debora od razu okazała wielką skruchę.

- Tak mi przykro. To moja wina. Moja nieostrożność sprawiła to wszystko. - Jej oczy zaczęły napełniać się łzami. - Czy głowa była już ukończona?

- Tak. I byłem dość zadowolony z mojej roboty. Muszę natychmiast wracać, żeby ją odnaleźć.

Debora szybko potrząsnęła głową.

- To nie byłoby bezpieczne. Mogą tam na ciebie czekać. Nie, Bazyli, nic nie możemy zrobić. Myślę, że wysłanie tam kogokolwiek również byłoby niebezpieczne.

Rozdział VIII

1

Kiedy Bazyli znalazł się w pokoju, od razu przystąpił do pracy. Po chwili doszedł do przekonania, że zdoła wykonać kopię głowy Pawła. Wtedy właśnie w drzwiach stanął Beni Plotkarz.

- To podejrzane zajęcie - powiedział gość wchodząc do pokoju i zamykając za sobą drzwi. - Czy będziesz zdziwiony, kiedy się dowiesz, że głowa wykonana w glinie, zupełnie podobna do tej, którą tutaj lepisz, wpadła w ręce arcykapłana Ananiasza? Poszukują wszędzie artysty, który ją zostawił i zbiegł.

Bazyli szybko okrył płótnem swoją pracę.

- Czy byli tutaj? - spytał.

Beni potrząsnął przecząco głową.

- Ślad nie prowadził tak daleko. Na szczęście mała pani tego domu, która, jak się zdaje, nie zachowała dzisiaj zdrowego rozsądku, nie została rozpoznana. Naturalnie, jeśli im się uda wytropić artystę, będą mogli pochwycić również ważniejszą osobę w tym incydencie. Potężny Ananiasz cieszyłby się wielce, gdyby miał okazję zaatakować naszego pana.

Bazyli pośpiesznie oczyszczał ręce z gliny.

- Co chcesz, żebym zrobił? Chyba muszę stąd odejść...

Niski człowieczek zaprzeczył ruchem głowy.

- Tutaj będziesz bezpieczniejszy niż gdziekolwiek indziej. Ale musisz się ukrywać. Wygląda na to, że trzeba będzie pożegnać się z wygodami.

- A co z tą... z tą drugą osobą?

- Pani tego domu - odparł Beni - jest już w drodze do krewnej, mieszkającej na północ od Jerozolimy. Pojechała, choć wydawało się, że jest z tego powodu bardzo nieszczęśliwa. Miała straż złożoną ze służby, którą dowodził osobiście Adam ben Aszer. - Podszedł do drzwi i rzucił szybkie spojrzenie w obie strony korytarza. - Teraz można wyjść bezpiecznie. Twoje rzeczy zostaną przeniesione później. Ale zabierz ze sobą rzeźbę. Nie chcemy, żeby ją zobaczyły jakieś inne oczy.

Pomieszczenie, gdzie Bazyli znalazł ukrycie w parę chwil później, znajdowało się w magazynie. Najwyraźniej służyło do takich właśnie celów, gdyż wchodziło się do niego przez nisko umieszczony otwór ukryty za stosem worków na mąkę. Nie miało okna i aby je oświetlić Beni zapalił knot w cynowej miseczce napełnionej oliwą. Powietrze było ciężkie, ale przyjemnie pachniało ziarnem. Beni rozejrzał się wokół i mrugnął do Bazylego.

- Wszyscy domownicy będą wiedzieli, że jesteś tutaj, wszyscy z wyjątkiem Aarona.

Musimy ukrywać pewne rzeczy przed Aaronem. On nawet nie wie o istnieniu tej kryjówki.

- Czy można na nich polegać, że w tym przypadku dotrzymają sekretu? - spytał Bazyli z niepokojem.

Plotkarz przeplótł palce i zwarł mocno obie ręce.

- Będzie tak ściśle zachowany, jak to - powiedział, wskazując swoje dłonie. - Nie obawiaj się. Masz wielu przyjaciół wśród niewolników. Ebenezer mówi, że jesteś jak młody Dawid, tylko że zamiast harfy masz dłuto w ręce. Ale to już chyba przesada. - Misja Beniego była wykonana, ociągał się jednak z odejściem, chcąc podzielić się jeszcze paru informacjami o ostatnich wydarzeniach. - Paweł jest trzymany pod kluczem przez Rzymian. Podobno arcykapłan i Rub Samuel są wściekli, że uniknął gwałtownej śmierci, jaką dla niego wymyślili. Wściekają się też, że uciekła pewna młoda dama i młody artysta, który jej dopomógł w ucieczce.

- Co zrobią Rzymianie z Pawłem?

- Arcykapłan zażąda, żeby go zwolniono, a potem postawią go przed Sanhedrynem. Zostanie zamordowany z zimną krwią, jeśli potrafią przymilić się Lizjaszowi albo wymusić na nim wydanie Pawła. Ale ludzie mówią, że kiedy zamierzali wychłostać Pawła, ten powiedział Lizjaszowi: “Jestem obywatelem rzymskim.” Trybun teraz nie ośmieli się go wydać.

Niepostrzeżenie mijały godziny w ciemnościach kryjówki za workami. Bazyli miał jednak swój sposób na odgadywanie pory dnia według słabych odgłosów, dochodzących do niego z magazynu. Stosując tę metodę obliczania wywnioskował, że musiało już mijać popołudnie następnego dnia, kiedy Beni znów do niego przyszedł. Wyglądało na to, że jest zadowolony.

- Uspokoiło się - powiedział. - Arcykapłan Ananiasz nadal domaga się wydania mu Pawła, jednak, jak mówią, Lizjasz nie ustąpi. Skoro Paweł jest Rzymianinem, musi go sądzić rzymski sąd. Z całą pewnością Lizjasz nie narazi siebie i wyśle więźnia do Cezarei, choćby Ananiasz miał dostać ataku apopleksji z wściekłości. Mogę ci jeszcze powiedzieć, że pani tego domu dotarła bezpiecznie na miejsce przeznaczenia.

Bazyli odetchnął z ulgą.

- Więc najgorsze jest za nami.

- Jak słyszę - powiedział Beni przyglądając mu się bacznie - Ananiasz bardzo się interesuje głową Pawła. Nie jestem pewny, czy najgorsze za nami. - Przystanął w drzwiach i dodał: - Szymon Mag zjawi się za kilka dni w mieście. Ananiasz udzielił na to zgody, a nawet pozwolił mu wystąpić w Gimnazjonie Heroda. Doprawdy, nastały dziwne czasy, młody artysto.

2

Po dwóch dniach, spędzonych w mrocznym kącie magazynu, nastrój więźnia podupadł.

Powietrze stało się ciężkie, a migotanie światełka w cynowej lampie wywoływało ból oczu. Nie mógł ani pracować, ani spać; po dwóch dniach nie mógł już kontrolować swych myśli. Chodził w ciemności, z rękami skrzyżowanymi na plecach, po czterech krokach napotykając przeciwległą ścianę. Zaczął rozumieć straszną tęsknotę i rozpacz zwierzęcia w klatce. W głowie mu ustawicznie pulsowało.

Pomysł srebrnej oprawy już nabrał kształtu w jego wyobraźni. Zaprojektuje rozwartą spiralę z winorośli, w którą wplecie figury Apostołów i drobne przedmioty charakterystyczne dla owych czasów i indywidualnych cech wybranych Dwunastu Apostołów. Podstawą będzie kwiat lotosu o dwóch rzędach płatków. Widział to wyraźnie, a jego palce wyrywały się do pracy. Jednak, ku swemu przerażeniu, nie był zdolny skoncentrować się przez dłuższą chwilę. Inne, nieproszone myśli napełniały mu głowę.

Trzeciej nocy miał sen. Wówczas nie był pewien, czy to sen, gdyż zdawał się zbyt rzeczywisty. Przekonanie o jego nierzeczywistości przyszło znacznie później. Leżał na swym posłaniu, a światło lampy tak przygasło, że większość pomieszczenia była zaciemniona. Uświadomił sobie z nagłym zdziwieniem i bojaźnią, że tuż obok jest Ignacjusz i wpatruje się w niego pustymi, pełnymi smutku oczami.

- Ojcze! - zawołał siadając nago na skraju posłania. Chciał opowiedzieć temu przybyszowi spoza grobu, że został wyzuty ze wszystkiego, że nieuczciwy Linus okradł go ze spuścizny. Jednak w nieruchomym spojrzeniu, jakim przybrany ojciec wpatrywał się w jego twarz, było coś, co dawało pewność, że nie musi o tym opowiadać.

- Mój synu - powiedział duch człowieka, który był ongiś księciem kupców w Antiochii - przyszedłem, aby cię o coś prosić.

Bazyli poczuł, jak przenika go chłód. W mroku postać ojca rysowała się niewyraźnie, jakby była bezcielesna. Emanowało z niego zmęczenie, które nie świadczyło o wieczystym spokoju.

Ignacjusz mówił dalej, powoli i z namaszczeniem.

- Musisz odzyskać majątek, o który nie zadbałeś i który pozwoliłeś sobie ukraść. Majątek, który zdobyłem ciężką pracą całego życia, służy teraz mojemu bratu do niskich celów. Wszystko musi wrócić do ciebie i być użytkowane zgodnie z moją wolą. - Ignacjusz ciężko westchnął. - Jestem bardzo nieszczęśliwy, mój synu. Nie doznałem łaski z powodu życia, jakie prowadziłem. Sądzono mnie za to, że byłem chciwy i niesprawiedliwy w interesach. Zarzuca mi się, że byłem surowym panem dla moich niewolników. Na swoją obronę mam tylko tę jedną rzecz - cel, na który chciałem obrócić moje bogactwo. Z tej racji nie zostałem jeszcze całkowicie potępiony. Pozwolono mi przebywać w Domu Zawieszonego Sądu. Spis uczynków Ignacjusza, kupca oliwą w Antiochii, może świadczyć na jego korzyść tylko wtedy, jeśli postąpisz tak, jak ci nakazuję, jeśli odzyskasz to,

co po sobie zostawiłem i zużytkujesz tak, jak tego pragnąłem.

Blady przybysz wpatrywał się w Bazylego z taką miłością, połączoną z błaganiem, że ten ostatni poczuł żarliwe pragnienie zrobienia wszystkiego, co było w jego mocy.

- Ojcze, zobaczę się z Kesterem z Zantu, jak tylko dotrę do Rzymu.

Duch skinął głową.

- Znam twoje plany. Chcę ci powiedzieć, że Kester to człowiek uczciwy. Mogę czytać w jego myślach i wiem, że pamięta wszystko, co zaszło w dniu twojej adopcji. Ale jest już stary. Dopuszczono mnie do miejsca, które jest wysoko ponad niebem, gdzie opada piasek w klepsydrach, i wiem, że mało już go zostało w klepsydrze z imieniem Kestera z Zantu. Bazyli, Bazyli, musisz go zobaczyć natychmiast, zanim będzie za późno!

Teraz Bazyli był pewien, że to nie sen, że jego przybrany ojciec naprawdę przyszedł tu, do tej kryjówki. Podniósł się z posłania.

- Nie podchodź za blisko! - zawołał Ignacjusz. - To... to zabronione.

- Ojcze, muszę ci coś wyjaśnić - powiedział Bazyli. - Chcę zrobić to, co mi każesz, ale jest pewna trudność. Mam inne zadanie do wykonania. Powiedziano mi, że muszę je wykonać najpierw. Mam z tej racji być w Rzymie, a tam zobaczę się z Kesterem. Potem wrócę do Antiochii i zrobię użytek z tego, co mi Kester powie. Odbiorę moją własność Linusowi. Ale to wszystko będzie wymagało czasu.

Ignacjusz westchnął głęboko i potrząsnął głową.

- Wiem o tym drugim zadaniu. W Domu Zawieszonego Sądu wolno widzieć i słyszeć to, co się dzieje na ziemi. W tej chwili obserwujemy trzy wojny, króla umierającego od trucizny podanej mu przez umiłowaną żonę, trzęsienie ziemi w Chinach, które grzebie miasta i zmienia kształt imperium. Ale wszyscy wiemy, że to, co ty robisz, ma większe znaczenie. Jeśli ci się uda, czekają cię wielkie nagrody. Ale czy to mi pomoże? Nie, Bazyli, nie pomoże, jeśli piasek się przesypie w klepsydrze Kestera, zanim dotrzesz do Rzymu.

Bazyli czuł od początku, że nie są sami w pokoju, że jest tu jeszcze ktoś inny. Ktoś niewidzialny. W tym momencie trzeci głos włączył się do rozmowy, głos ostry i cierpki. Zdawał się dochodzić spoza niego, co było niemożliwe, bowiem posłanie dotykało ściany. Wydawało się Bazylemu, że ten głos pochodzi z tyłu jego własnej głowy.

- Ignacjuszu, nie możesz liczyć na tego niewdzięcznego syna - powiedział nieprzyjazny głos. - To zbyt wiotka trzcinka. Skąd o tym wiem? - Rozległ się śmiech gorzki i pogardliwy. - Wiem o tym, gdyż żyję z nim. Przebywam w jego wnętrzu. Wiem wszystko, co się dzieje w jego umyśle.

- Kim jesteś i dlaczego w ten sposób przemawiasz? - zapytał Ignacjusz, rozglądając się, by

ustalić miejsce przebywania właściciela głosu.

- Kim jestem? Teraz jestem niczym, niczym więcej jak tylko złym duchem. Kiedyś byłem człowiekiem z krwi i kości, człowiekiem bogatym, jakim i ty byłeś, Ignacjuszu z Antiochii. Nazywałem się Klaudiusz i handlowałem wyposażeniem okrętów w Joppie. Nie byłem uczciwy w prowadzeniu interesów i czasami wysyłałem okręty z niewystarczającymi zapasami i żywnością złej jakości. Z tej racji i ja nie doznałem łaski, kiedy dotarłem do miejsca, w którym ty przebywasz. Lecz teraz pragnę ci wyjaśnić, że ten syn, którego adoptowałeś, to słabeusz, i że brakuje mu odwagi, aby dokonać zemsty, jakiej szukałby prawdziwy mężczyzna. On nie wierzy, że trzeba żądać oko za oko i ząb za ząb. A to dlatego, że on się przemienia w chrześcijanina. On sam o tym nie wie. Ja, który przebywam w jego mózgu, wiem o tym dobrze.

- W chrześcijanina? - Ignacjusz zdawał się mieć co do tego wątpliwości.

- Tak. Wszyscy w tym domu są chrześcijanami. Są wyznawcami Nazarejczyka i usiłują nawrócić twego syna. Tak dalece go przekonano, że teraz jego myśli są pełne czułości i miłości, zamiast planów zemsty na Linusie. Jeślibyś go spoliczkował, co on by uczynił? Nadstawiłby drugi policzek. Pytałeś, kim jestem, więc muszę ci więcej o sobie powiedzieć. Taki głos, jak mój, wydobywa się z chmur i zarośli i z takich ust jak te. To nie znaczy, że zawsze cieszy mnie obowiązek, jaki na mnie spoczywa. To ciężki trud dla duszy, która kiedyś żyła w wygodnym ciele, a teraz jest skazana na wędrowanie wśród wiatrów i chłodu pustej przestrzeni. Jest nas wielu. Czasami, z racji wzajemnej potrzeby, gromadzimy się razem. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego wybieramy najbardziej smętne miejsca. Na wysypiskach śmieci zbijamy się w gromadki nad stertami rybich łusek i gnijących kości, gdzie nas tarmoszą warczące, węszące psy. Czasem stajemy nocą pod murami miasta, po zamknięciu bram. Nie ma bardziej ponurego miejsca jak to, pełne złorzeczeń trędowatych i wyrzekań podróżnych, którzy nie zdążyli wejść do miasta przed nocą i trzęsą się z zimna w swych okryciach. A ich osły są uwiązane do pali, gdzie nie mają trawy do skubania, a wiatr zacina ze wszystkich stron, niosąc skomlenie potępionych dusz...

Na twarzy Ignacjusza pojawiła się bruzda zakłopotania.

- Mamy tak mało czasu na rozmowę - powiedział z żalem - a ten głos mówi i mówi. Czy nigdy nie skończy?

Głos duszy potępionej nie zamierzał przerwać.

- Jeśli nawet uda się nam wejść w ciało żyjącego człowieka, nie zawsze jesteśmy z tego zadowoleni. Wszyscy byliśmy ludźmi grzesznymi i brak nam cierpliwości, aby zachęcać małe móżdżki do nędznych, drobnych grzeszków. Czyż wspaniale grzeszna królowa Jezabel cieszyłaby się z przebywania w kwaśnym umyśle plotkującej, swarliwej kobiety? Jak znosiłby Herod, ten największy ze wszystkich grzeszników, głupotę tępego, chciwego kupczyka, który myśli wyłącznie

o cenie suszonej ryby?

Zły duch ciągnął dalej opowieść o swych własnych doznaniach, z upodobaniem kogoś, kto od dawna pozbawiony był przyjemności posiadania słuchaczy.

- Wstąpiłem w tego młodzieńca, kiedy go sprzedano jako niewolnika. Wówczas dzielenie się jego umysłem sprawiało mi radość. Był pełen ciemnych myśli o zemście. Podsycałem te myśli... Ach, to było zabawne!... Kiedy przybyliśmy do Jerozolimy, zauważyłem jednak nagłą zmianę. Przestał mnie słuchać. Zamiast tego słuchał, co mówi ta młoda dziewczyna!... Umysł jego złagodniał i dał się zakuć w przyprawiające mnie o mdłości okowy młodzieńczego uczucia. Jak mogłem ja, duch pełen zawziętości, czuć się dobrze w umyśle wypełnionym miodem słodkich myśli?...

- Czy on nigdy nie skończy? - spytał Ignacjusz zrozpaczonym głosem.

- Powiedziałem, co miałem do powiedzenia - oznajmił głos.

W tym momencie Bazyli zasnął na nowo twardym snem. Kiedy się zbudził rano, pamiętał wszystko, co było powiedziane, i był pewien, że to przywidzenie. Później zaczął się zastanawiać. Czuł się przygnębiony i rozdrażniony. Zganił bez powodu służącego, który mu przyniósł śniadanie, a kiedy zaczął jak zwykle chodzić tam i z powrotem, napełniła go niezwykła u niego gorycz wobec tych, którzy go opuścili w niedoli. Nigdy przedtem taki nie był. W pewnej chwili przestał chodzić i sam siebie zapytał na głos:

- Czy to możliwe, by istniał kiedyś Klaudiusz z Joppy i by to on zawładnął moim umysłem?

Tego samego dnia zdarzyło się coś, co go przekonało, że to nie był sen. Usiadł przy stole, żeby wykończyć popiersie Łukasza, które robił z pamięci. Tę pracę wykonywał z miłością i czuł, że idzie mu lepiej niż wszystkie inne. Każdy szczegół twarzy łagodnego lekarza oddany był wiernie, każde wgłębienie i wypełnienie, każda zmarszczka. Teraz jednak przyglądał się jej krytycznie i uznał, że ma jedną usterkę.

- Oczy są odrobinę za małe - powiedział do siebie.

W tych krajach, gdzie oczy zwężały się do szparek w ostrym świetle słońca, ulegały wielu poważnym schorzeniom na skutek wystawienia na światło, upał i kurz. Grecy cieszyli się pewną odpornością, jakiej nie miała żadna inna rasa. Nazywano ich czasami “tymi, co dużo widzą”. Łukasz miał bardzo duże oczy. Przekonany, że pod tym względem nie oddał słuszności swemu dobroczyńcy, Bazyli zabrał się do roboty, żeby powiększyć oczy. Naprawianie błędu było rzeczą trudną, lecz w miarę posuwania się pracy czuł, że idzie mu dobrze.

Jego myśli zaczęły błądzić swobodnie. Wrócił do snu z poprzedniej nocy, aż wreszcie zatrzymał się przy Linusie. Obraz uzurpatora odpędził wszystko inne: Linus w bogatych szatach, otyły, z zadowoloną miną, siedzący w komnatach białego pałacu i wydający rozkazy ludziom,

którzy kiedyś pracowali dla Ignacjusza. Czarna nienawiść zawrzała w Bazylim. Głos, który przemówił zeszłej nocy, miał rację. Oko za oko, ząb za ząb! Jakaż to byłaby radość chwycić Linusa rękami za gardło i wycisnąć z niego życie.

W reakcji na ten impuls wewnętrzny jego palce zagłębiły się w ciepłym wosku. Twarz Łukasza zniknęła pod gwałtownym uciskiem. W ułamku sekundy trud paru dni zamienił się w bezkształtną bryłę. Na widok tego, co zrobił, Bazyli położył wosk na stole i przyglądał się w pełnym przerażenia milczeniu rękom, które dokonały tego aktu zniszczenia.

- To jednak nie był sen! - powiedział do siebie. - Tak było naprawdę. Jakiś obcy duch mnie opętał. To jego głos słyszałem zeszłej nocy. To jego sprawka! To on owładnął mymi rękami i spowodował, że zniszczyłem własną pracę.

Przeszył go zimny dreszcz trwogi. Zerwał się na nogi, jakby chciał uciekać. Potem zdał sobie sprawę, że to niemożliwe: nie mógł uciec od samego siebie.

- Co mam robić? - zapytał na głos. - Jak mogę pracować nadal, jeśli nie mam kontroli nad własnymi rękami?

Ogarnął go lęk przed grożącym mu niepowodzeniem. Nie będzie mógł wykonać srebnego Kielicha!... Z uczuciem rozpaczy zaczął przemierzać ciasną przestrzeń.

- Jestem pewien - powtarzał - że zły duch mnie opanował. Jak się pozbyć tego demona, tkwiącego w moim umyśle?

3

Nazajutrz wczesnym rankiem do domu Józefa przybył Łukasz, wezwany przez specjalnego posłańca. Od razu zauważył, że w stanie zdrowia starca musiał nastąpić kryzys. Sala przed pokojem Józefa pełna była jego ludzi, milczących i przygnębionych, mężczyzn i kobiet ze ściągniętymi twarzami i czerwonymi od płaczu oczami.

- Czy słyszeliście, jak szczekały zeszłej nocy psy na wewnętrznym podwórzu? - pytał jeden z mężczyzn.

- Mój czołgał się na brzuchu - dodał drugi. - To zły znak.

W tym momencie z pokoju ojca wyszedł Aaron. Za nim szło trzech najwybitniejszych lekarzy Jerozolimy. Wyraz ich twarzy nie budził nadziei. Przywitano ich przyciszoną wrzawą pytań. Jak się czuje ich pan? Czy przeżyje ten atak? Tyle już ich przeżył w przeszłości ich dobry, stary pan, że na pewno ta straszna ręka wstrzyma się raz jeszcze!

Aaron zrobił ruch głową w stronę lekarzy i powiedział:

- To spoczywa w ich rękach.

Najstarszy z trójki doktorów zdecydował się przemówić do ludzi. Był to doświadczony

lekarz o siwej brodzie, imieniem Izaak ben Hilkia. Jego renoma sięgała czasów, kiedy przeciął guz na głowie Heroda Agryppy przed trzydziestu laty. To on przyczynił się bardziej niż ktokolwiek inny do wypełnienia rodzinnych grobowców mieszkańców Jerozolimy.

- Niech się dzieje wola Pana - zaintonował. - Wasz pan jest stary i obdarzony zaszczytami. Według naszej opinii Józef z Arymatei dziś jeszcze przeniesie się do wieczności. - Wzniósł rękę z uroczystym upomnieniem. - Módlcie się za niego. To już sprawa godzin.

Nastąpiła chwila milczenia, a potem jakaś kobieta zaczęła szlochać. Inna zawołała płaczliwie:

- Niech Bóg będzie miłosierny dla naszego pana! - Fala rozpaczy ogarnęła czuwających i rozeszła się szybko po całym domu. W niespełna minutę odgłos głośnego zawodzenia zaczął dochodzić z kwater niewolników. Młoda kobieta przy nadziei zawołała z wielkim żalem:

- Gorzki to dzień, który nam zabiera naszego pana! Mój syn nie narodzi się na czas, nie zdąży zobaczyć jego dobrotliwego oblicza!

Podający do stołu Abraham, którego szeroka twarz pobladła, jak marmur na Krużganku Salomona, dotknął z uszanowaniem ramienia Łukasza mówiąc:

- Pan pyta o ciebie.

Opuścili główną salę, która rozbrzmiewała teraz głośnym zawodzeniem i lamentem, i poszli bocznym przejściem, które prowadziło do tylnych drzwi pokoju chorego.

- Przez dwa dni nic nie jadł - wyszeptał Abraham. - Dziś rano podałem mu melon, przywieziony z gorącej krainy za Morzem Martwym. Zawsze ogromnie lubił melony, ale ten leży nietknięty obok jego łóżka.

Gdy tylko Łukasz wszedł do pokoju i rzucił okiem na pana domu, poznał, że stan Józefa jest ciężki. Leżał bez ruchu. W przestronnym wielkim łożu wydawał się bardzo drobny i mizerny. Oczy miał utkwione w suficie. Umieszczony nad nim wielki wachlarz dawał dość przewiewu, żeby poruszać płóciennymi zasłonami, ale jego twarz była zaczerwieniona i rozpalona.

- Czy to ty, Łukaszu? - pytał Józef słabym głosem, nie patrząc na niego.

- Tak, Józefie.

- Podejdź bliżej... Chcę ci coś powiedzieć.

Łukasz usiadł przy łóżku, położył dłoń na czole chorego, a potem przyłożył palec do żyły na jego szyi, w której krew pulsowała leniwie.

- Łukaszu - szepnął Józef - nie mam złudzeń. To już koniec.

Lekarz położył obie dłonie na rękach pana domu.

- Mój dobry, stary przyjacielu...

- Nie zamierzam cię pytać - ciągnął dalej Józef cichym głosem - czy się zgadzasz z tymi

czarnymi krukami. No cóż, wiem, że umrę, ale oni są pewni, że pozostało mi już tylko parę godzin życia. Jakże się mylą! Nie mogę sobie pozwolić na tak rychłą śmierć.

- Nie, Józefie, nie. Jeszcze jesteś nam potrzebny.

- Byłem dobrym chrześcijaninem. - Chory mówił z trudem i musiał często przerywać dla nabrania oddechu. Potrzeba powiedzenia tego, co miał na myśli, dodawała mu sił, by mówić dalej. - Dla chrześcijanina żadna chwila w całej wieczności nie da się równać z wizją Jahwe zasiadającego na tronie ze swym ukochanym Synem po prawicy. Wiem o tym, ale, Łukaszu, stoję na progu śmierci i muszę ci wyznać moje najtajniejsze myśli. Z ciężkim sercem opuszczam to życie! Przyjemnie było żyć z takim bogactwem i władzą. Przyjemnie budzić się rano i widzieć słońce świecące nad Świątynią, czuć się zdolnym do prowadzenia własnych interesów, wiedzieć, że moja wnuczka, która zawsze była jak motylek w moim domu, jest tutaj, aby dbać z miłością o moją wygodę. Wiele znaczyłem w życiu Jerozolimy i moich własnych ludzi. Och, Łukaszu, większą wagę będzie miała moja śmierć tutaj, niż moje przybycie do raju... Abraham krzątał się po pokoju robiąc to i owo i nadstawiając ucha na cichy szept swego pana. Teraz Łukasz dał mu znak, żeby wyszedł. Służący zmarszczył się, wyrażając tym sprzeciw, ale poprawił zasłony, żeby dopuszczały więcej powietrza, i niechętnie wyszedł na palcach z pokoju.

- Gdybym to ja decydował - wyszeptał Józef - to wolałbym jeszcze odwlec moje odejście. Chciałbym zobaczyć moją wnuczkę poślubioną i urządzoną. Och, tyle jest rzeczy, które chciałbym zobaczyć! Ale tak nie będzie... Muszę pogodzić się z tym, że nadszedł koniec moich ziemskich szczęśliwości.

Zamilkł, a milczenie trwało tak długo, że Łukasz zaczął się zastanawiać, czy umierający nie doszedł już do kresu swych sił. W tym momencie znów usłyszał szept, w którym zabrzmiało żarliwe napięcie:

- Muszę jeszcze pożyć. Moja wnuczka nie może jeszcze wrócić. To byłoby zbyt niebezpieczne. Dlatego nie mogę po nią posłać. Nie chcę umrzeć nie zobaczywszy jej raz jeszcze. Ona jest dla mnie wszystkim, moja mała Debora!... Muszę znaleźć siłę, żeby jeszcze pożyć, żebym mógł umierać trzymany przez nią za rękę...

Łukasz pochylił się niżej nad postacią spoczywającą nieruchomo na łożu.

- Pan ciebie słyszy, mój dobry, stary przyjacielu. Być może obdarzy cię siłą, o którą prosisz.

- Przyrzeknij, że będziesz co dzień do mnie przychodził. Będę potrzebował twojej pomocy, jeśli mam odepchnąć rękę anioła śmierci, który nawet teraz przywołuje mnie skinieniem. - Znów nastąpiła długa przerwa. Później odzyskał głos na tyle, aby wypowiedzieć stanowcze życzenie, by więcej nie wzywano do niego lekarzy. - Powiedz memu synowi, że nie chcę już widzieć tych proroków przeznaczenia, tych lamentujących Jeremiaszy, których sprowadza do mego łoża! Moja

siła słabnie, kiedy widzę ich długie twarze i słucham ich utyskiwań. Nie mogą mi w niczym pomóc, mogą tylko przyśpieszyć moje odejście.

- Będzie, jak sobie życzysz. Powiem Aaronowi, żeby nie wracali.

Zmęczone oczy, dotąd wciąż utkwione w suficie, spoczęły na twarzy przyjaciela.

- Więcej znajduję siły w twoim uśmiechu, mój Łukaszu, niż w liściach tamaryszku, rozmiękczonych w occie i wystałych pod gwiazdami, niż w hydromelu i hyzopie, które we mnie wmuszają. Ufam, że znajdę siłę, jakiej będę potrzebował, jeśli przyrzekniesz, iż pozostaniesz u mego łoża. Wiem, że to nie będzie łatwe... Czeka mnie najcięższa walka w całym moim życiu.

4

Bazyli chodził z furią tam i z powrotem po swojej kryjówce, kiedy Łukasz, zginając się wpół, wszedł przez otwór służący za wejście. Chłopiec natychmiast przerwał swoją wędrówkę.

- Miałem nadzieję, że przyjdziesz - powiedział podnieconym głosem. - Potrzebuję twojej pomocy! Opanował mnie zły duch!

Lekarz podniósł lampę, żeby lepiej się przyjrzeć jego twarzy.

- Doprawdy, byłoby dziwne, gdybyś nie miał jakichś niezwykłych urojeń żyjąc w tej cuchnącej dziurze.

- To nie urojenia - odparł Bazyli przygnębionym głosem.

Łukasz uśmiechnął się uspokajająco, stawiając z powrotem lampę na stole.

- Przez całe życie słucham opowieści o złych duchach i potrzebie ich wypędzenia. Mój chłopcze, to niemądre i złe urojenie. Oczywiście prawdą jest, że w nas wszystkich są duchy zła. Lecz jest to nic innego, jak niższa strona naszej natury, która bierze w nas górę. Nie potrzeba słów magicznych, palenia świec i dzwonienia dzwonkami, żeby się pozbyć tych osobistych czartów. Do nas należy kierowanie lepszą stroną naszej natury.

Bazyli nie był przekonany.

- Jest powiedziane, że Jezus wypędzał szatana - oznajmił.

Łukasz dotknął palcem czoła.

- Jezus leczył szaleństwo - powiedział. - Co ciebie skłania do tych obaw, mój synu? Czy miałeś dziwne sny?

- Najpierw sądziłem, że to sny. Teraz myślę, że to wcale nie były sny. To była rzeczywistość.

- Opowiedz mi o tym.

Bazyli powtórzył historię pojawienia się ducha swego ojca i głosu, który przemawiał jak gdyby z głębi jego własnego umysłu. Łukasz słuchał uważnie.

- Zajmowałem się trochę snami, uważając, że wiele mówią o stanie umysłu każdego człowieka. Był Rzymianin, który obszernie pisał o snach i wyrażał przekonanie, że są one dziełem naszej własnej duszy. Jeśli to prawda, a jestem skłonny tak sądzić, to sny mają naprawdę ogromne znaczenie, bowiem przez nie możemy odczytać stan duszy. Każdy sen ma znaczenie - ciągnął dalej. - Widziałeś swego ojca i to może być zarówno dobre, jak i złe. Oznacza to w każdym razie, że on myśli o tobie z czułością w owym miejscu, do którego został zesłany. Śnienie o nim teraz, kiedy on nie żyje, może również oznaczać jakieś przyszłe zmartwienie, jakieś utrapienia, które mają cię spotkać. Najpierw jednak zastanówmy się, co to znaczy, jeśli ktoś zobaczył widmo, ponieważ z całą pewnością byłeś nawiedzony przez widmo, a może i przez dwa. Zobaczyć widmo we śnie oznacza nieszczęście. Znaczy to, że złe wpływy otaczają cię zewsząd, że jadowite palce sięgają z ciemności. Ale najpierw powiedz mi, czy widziałeś, jak znikły?

- Mój ojciec jeszcze mówił, kiedy znów zapadłem w sen, lecz pewien jestem, że zły duch odszedł.

Łukasz pokiwał głową z zadowoleniem.

- Możemy więc uważać, że najgorsze zło zostało zażegnane. Zły duch poniósł porażkę i umknął. Niosący otuchę duch twego ojca pozostał.

- Ależ ja jestem pewien, że to nie był sen! - zawołał Bazyli. - Miałem potem dowody, które temu zaprzeczają. Zły duch pokierował mymi palcami, żeby zniszczyć coś, co bardzo sobie ceniłem. Nie wiedziałem, co czynię, gdy nagle moje ręce zgniotły gotowy model! Nie nakłaniałem ich, aby to zrobiły.

Łukasz położył mu rękę na czole.

- Masz gorączkę - oznajmił. - Przynajmniej to jestem w stanie wyleczyć.

Zaczął wyjmować jakieś zioła z torby przywiązanej do paska. Zmieszał je pewną i wprawną ręką, a potem rozbełtał w kielichu z winem. Wręczył napój Bazylemu mówiąc:

- Wypij. Usunie to zamęt z twego umysłu, mój synu.

Bazyli wypił lekarstwo o gorzkim, lecz dość przyjemnym smaku. Prawie natychmiast poczuł się lepiej.

- Ufam, że to ci pomoże zapomnieć o złym duchu. Czy ból głowy minął?

- Tak - powiedział Bazyli potrząsając głową z uczuciem wielkiej ulgi. - Ból ustąpił, ale jego pierwotna przyczyna została. Nie, mój dobroczyńco, nie mogę usunąć tego przekonania z mego umysłu. Mam dowody. Mówię ci, są oznaki, że coś złego czai się w moim umyśle. Jestem tak o tym przekonany, że nie mam pewności, czy będę mógł dokończyć oprawę Kielicha. - Nastąpiła chwila ciszy, a potem Bazyli zapytał: - Czy będzie mi wolno zobaczyć Szymona Maga dziś wieczór?

Łukasz przyjrzał mu się z namysłem.

- Będzie tam ciemno. W Gimnazjonie zgromadzi się wielki tłum. - Skinął głową. - Jestem pewny, że to ci dobrze zrobi. Zaczerpniesz trochę świeżego powietrza, a tego ci potrzeba ponad wszystko inne. Będziesz miał okazję rozprostować nogi i zainteresujesz się czymś, co zajmie twój umysł. Kiedy zobaczysz, jak ten oszust pokazuje swoje sztuczki, może nawet pozbędziesz się tej myśli, która tak mocno ciąży na twoim umyśle.

Rozdział IX

1

Ludność Jerozolimy zawsze niechętnie chodziła do Gimnazjonu, bowiem zbudował go znienawidzony Herod. Tym razem jednak wielkie tłumy nie ociągały się. Otwarta przestrzeń, gdzie młodzież miała być ćwiczona w sportach i akrobatyce - w samej zaś rzeczy rzadko tam uczęszczała - była gęsto zapełniona i zdawało się, że faluje jak woda w stawie.

Kiedy Łukasz i Bazyli dotarli na miejsce, musieli stanąć tak daleko w tyle, że nie widzieli platformy, na której miał wystąpić kuteański mag.

- Nie można zaprzeczyć - odezwał się Łukasz ze smutkiem - że zło bardziej bezpośrednio przemawia do umysłu ludzkiego niż dobro. Piotra i Pawła słuchają małe grupki na bocznych uliczkach. Ten człowiek, Szymon, jest Samarytaninem, ale ponieważ ma reputację człowieka złego, wszyscy chcą go oglądać.

Zaaferowany Beni Plotkarz, krążąc tu i tam, wyrósł nagle przy nich, żeby powiedzieć:

- Oni wszyscy obawiają się diabłów, których ze sobą sprowadza. Ten szeleszczący odgłos, jaki słyszycie, to drżenie tysiąca niemytych skór w odzieniach rojących się od pcheł. Ale nic nie zatrzymałoby ich w domu.

W chwilę potem mag pojawił się na platformie. Szmer głosów ucichł. Wszyscy zamarli w bezruchu. Zły Samarytanin rozglądał się przez chwilę dookoła, a potem wzniósł w powietrze jedną rękę.

- Ja, Szymon z Gitty, zwany przez ludzi Magiem, pozdrawiam was, obywatele Jerozolimy. - Głos jego bez trudu docierał do najdalszych krańców placu. - Przyszliście, aby zobaczyć na własne oczy wyczyny, jakich dokonywałem w całym kraju, i o których wiele słyszeliście. Będziecie sobie zadawali pytanie, kiedy już skończę: czy były to cuda, czy tylko magiczne sztuczki? Sami musicie sobie odpowiedzieć.

Był już w podeszłym wieku, ale mimo lat trzymał się prosto, a nawet w swej trupiej postaci zachował coś z młodzieńczego ducha i elastyczności. Wszystko w nim było niezwykłe. Odznaczał się ciekawą brzydotą, jego nos był tak bulwiasty na końcu, iż nozdrza zdawały się być schowane jak u wielbłąda, a jego skóra nie była ciemna, lecz raczej szara, jak gdyby lata ślęczenia nad dziwnymi księgami i przeszukiwanie grobów o północy nadało jej nienaturalny odcień. Oczy natomiast były bardzo ożywione.

Miał na sobie białą tunikę ze skrzyżowanymi pasami o innej barwie. Ubiór ten wydawał się nadmiernie wypchany jak na porę roku. Mogło tak być, gdyż sztukmistrz musi nosić instrumenty swego kunsztu ukryte przy sobie. Brakowało jednak wysokiego cylindrycznego kapelusza

zakończonego szpicem, jaki nosili ludzie uprawiający ten zawód. Nad korpusem, szczelnie okutanym szatą, wznosiła się głowa tak łysa, jak jajo mitycznego ptaka z bajek wschodnich.

Trzymał różdżkę niezwykle długą i nadmiernie rzeźbioną. Położył ją na stole stojącym pośrodku platformy, a na nią zarzucił długą purpurową tkaninę, wyciągniętą niedbale z obszernego rękawa. Materiał wił się i drżał. Kiedy go ściągnął, na stole leżała nie różdżka, lecz wąż koloru miedzi, który uniósł głowę i zasyczał. Materiał został rozłożony na nowo i ułożył się w puste fałdy. Kiedy go ściągnięto po raz drugi, wąż znikł, a na stole nie leżało nic prócz różdżki.

- Zwyczajna sztuczka - powiedział Szymon Mag, a jego wargi skrzywiły się w brzydkim uśmiechu. - Nie wątpię, że widzieliście to wiele razy. Każdy sztukmistrz żyjący w zalanej słońcem wiosce nad Morzem Czerwonym potrafi tak żonglować wężem i różdżką. Daję to na początku, żebyście mogli lepiej ocenić ciąg dalszy. Pokażę wam rzeczy dziwne, które bynajmniej nie są sprawą zręczności ręki czy też rekwizytów iluzjonisty. - Zatrzymał się i obrzucił zebranych bystrym spojrzeniem. - Słuchajcie mnie, mężowie Jeruzalem! Istnieje magia ducha, która jest mi znana i z której teraz zrobię użytek.

Na Łukaszu nie zrobiła wielkiego wrażenia cała ta zarozumiała gadanina.

- Dałbyś wiarę, mój synu - wyszeptał - że ludzie są na tyle łatwowierni, aby uwierzyć, iż ten człowiek jest Mesjaszem? Ale to prawda. W Samarii zrodził się kult i wiara, że on działa z Boską pomocą. To się szerzy dość szeroko. Wielu Greków się przyłączyło, a nawet garstka Żydów. Obawiam się, że zezwolono na ten pokaz w nadziei podania w wątpliwość cudów Jezusa. Arcykapłan jest gotów zadawać się z Samarytaninem, tak mu zależy na tym, aby nas zniszczyć.

Szymon znów podniósł ramię do góry.

- Nie zabiorę wam więcej czasu zwykłym kuglarstwem. Nie będę próbował tumanić was wezwaniami do Pehadrona, anioła strachu, czy do Dumy, księcia snów. Teraz przystąpię do pokazania wam, że posiadam moc, której nie dzieli ze mną żaden człowiek zrodzony z kobiety. Jest we mnie światło, które obraca świat zewnętrzny w ciemność, i rozświetla świat snów do śpiewnej wspaniałości gwiazd. Z racji niezwykłych warunków, w jakich pracuję, muszę teraz przywołać moją główną pomocnicę. - Podniósł głos jeszcze bardziej. - Przyjdź, moje dziecko! Czy nie nadeszła godzina odsłonięcia wielkich tajemnic? Jedyny moment dnia, kiedy można dosłonić wielkie prawdy?

W odpowiedzi na to wezwanie ukazała się na platformie młoda kobieta. Była nadzwyczaj piękna. Włosy, przytrzymane na karku złotą siatką, tworzyły sploty, które rzymska matrona nazwałaby węzłem; były tak połyskująco czarne, jak jej duże, pełne wyrazu oczy. Rysy miała tak czyste w rysunku, że zdawała się być dziełem wielkiego greckiego artysty. Ubrana z subtelną prostotą, miała na sobie pallę z jedwabiu, ale nie pospolitego gatunku wytwarzanego na wyspach

greckich, lecz z najczystszej jego odmiany, przywożonej przez karawany z dalekiego kraju Sin.

Ukazanie się kobiety bez zasłony na twarzy było złamaniem nienaruszalnego prawa Wschodu, ona jednak zdawała się nie zauważać sensacji, jaką wywołuje. Stojąc zupełnie bez ruchu, z kształtnymi, obnażonymi ramionami, które skrzyżowała na piersiach, błądziła wzrokiem bez śladu zmieszania po morzu brązowych, wzniesionych ku niej twarzy. Pierwsza oznaka jednomyślnego protestu zamarła i wzniesione w górę pięści opadły. Ciekawość zwyciężyła, przynajmniej na razie.

- Jak daleko ten człowiek się posunie? - spytał Łukasz. - Wydaje się, że jest zdolny do wszystkiego, byle tylko wywołać sensację.

Bazyli nie miał nic do powiedzenia. Od razu rozpoznał śniadą piękność, stojącą z taką beztroską pod wciąż jeszcze wrogimi spojrzeniami tłumu. To była Helena, niewolnica, która uciekła z białego pałacu Ignacjusza.

2

Twarz maga, kiedy po raz pierwszy się ukazał na platformie, była twarzą starego człowieka. Teraz podniecenie zatarło niektóre ślady wieku. W oczach błyszczało psotne zadowolenie z własnej czelności. Jego ciało zdawało się nabierać większej zwinności, krok był żwawy, sapał triumfalnie przez swój wielbłądzi nos.

Ziarnko posadzone w niedużej, kamiennej wazie wyrosło na oczach zebranych w wysoką roślinę. Owoce wyrastały i dojrzewały na gałęziach. Dziewczyna zerwała owoc granatu i rozejrzała się zuchwale wokół, aż napotkała wzrokiem oczy młodego szejka z pustyni, o dumnie wygiętym nosie. Rzuciła mu owoc wołając:

- Jeśli okaże się słodki, o szejku, pomyśl o mnie!

Sierp leżący na stole frunął w powietrze. Zawisł bez podtrzymania, a potem zaczął ścinać roślinę w wazie, nisko przy ziemi, bez pomocy ludzkich rąk.

- Żaden człowiek nie potrafiłby zżąć poletka zboża tak szybko, jak ten czarodziejski sierp - przechwalał się Szymon.

Z nagłym głośnym skrzekiem mag podskoczył wysoko w powietrze i w tym, co się wydawało pustą przestrzenią nad nim, znalazł zakrzywioną szablę z ostrzem wypolerowanym do połysku. Drugą ręką chwycił za gardło swą pomocnicę i zmusił do uklęknięcia. Jednym szybkim cięciem odciął jej głowę od tułowia i podniósł do góry, żeby wszyscy mogli zobaczyć.

- O aniele stróżu, Szamrielu! - zaintonował. - Wysłuchaj mnie, Szamrielu, usłysz mój rozkaz. Przywrócę tę krwawiącą głowę na jej właściwe miejsce, aby życie mogło powrócić do ciała mej ukochanej Heleny. Ja, ja, Zeburt! Szamriel!

Głowa i tułów połączyły się. Szymon przeciągnął rękami wokół złącza i zaintonował śpiew na wysoką nutę. Wszelki ślad spojenia zniknął, a w chwilę potem oczy się otworzyły i dziewczyna z uśmiechem skinęła głową.

- O Szamrielu, chwała ci! - skandował mag. - Moja Helena znów żyje!

Nad przerażonym i wstrząśniętym tłumem uniósł się głęboki szmer podziwu. Mag pokazywał szablę, żeby wszyscy mogli zobaczyć krew na ostrzu. Potem upuścił ją na stół i skłonił się widzom.

- Czyście kiedykolwiek widzieli coś takiego? - spytał. Potem zwrócił się do dziewczyny. - Moja Heleno, czy dobrze się czujesz?

- Zupełnie dobrze, mistrzu - odparła.

- Czy odczuwałaś ból, kiedy śmiercionośne ostrze oddzieliło twą głowę od ciała?

- Nie wiem, panie. Nic nie pamiętam.

Szymon wziął ją za rękę, pomógł wstać, a potem podprowadził do brzegu platformy. Złożyła ukłon i znów się uśmiechnęła do zdumionej widowni.

Nastąpiła chwila ciszy. Była to świadomie zaplanowana pauza, która miała poprzedzić wydarzenie niezwykłej wagi. Potem odezwał się jakiś mocny głos z widowni, co zabrzmiało tak, jakby kurtyna nareszcie poszła w górę, żeby ukazać główną sztukę wieczoru po wymyślnym prologu.

Mówca przemawiał po aramejsku, lecz w jego głosie brzmiały nuty tak uczone, iż od razu było widać, że bardziej nawykł przemawiać po hebrajsku.

- Ach, Szymonie, czy nie jesteś zbyt śmiały - zapytał - żeby pokazywać swoje czary w kraju, gdzie Jezus z Nazaretu dokonywał swych cudów?

W jego głosie było szyderstwo. Łukasz natężył uwagę.

- Słyszałem o Jezusie Nazarejczyku i Jego cudach - odparł mag. - Któż by nie słyszał?

Nieznajomy z widowni zadał nowe pytanie głosem jeszcze bardziej uprzejmym:

- Czy te cuda ujawniały moc Boską, czy też mogły być wywołane sztuczkami kuglarskiego zawodu?

- Nie podoba mi się ten dobór słów - powiedział Szymon. - Zawód? To coś więcej, o wiele więcej. - Potem dodał: - Kim jestem, żeby odpowiedzieć na takie pytanie?

Łukasz szepnął do Bazylego:

- To wszystko było zawczasu starannie przygotowane. Jestem pewien, że ten pytający należy do Świątyni i jest agentem arcykapłana.

- Mówi się - ciągnął uprzejmy, ale drwiący głos - że pewnego razu ten Jezus Nazarejczyk spowodował, iż języki ogniste ukazały się nad głowami różnych ludzi, których nazywał swymi

uczniami. Mówi się ponadto, że ci prości ludzie, ci nieuczeni rybacy i pasterze, mówili potem wielu językami i również dokonywali cudów. Czy potrafiłbyś, skoro tak dobrze władasz magią, dokonać takich rzeczy?

Noc zapadała szybko. Jak dotąd, nic nie uczyniono, aby oświetlić platformę. Sylwetki Szymona oraz jego uroczej pomocnicy stawały się coraz mniej widoczne. W ciemności rozległ się głos maga:

- Przyjacielu, kimkolwiek jesteś, powiadam ci, że może to być powtórzone.

- Uważam więc, że dzisiejszy wieczór nie jest dla mnie czasem straconym. Czy mam rozumieć, że możesz sprawić, by język ognisty ukazał się nad głową dowolnej osoby wybranej z tego audytorium, tak jak to uczynił Jezus Nazarejczyk?

- Tak. - Nastąpiła długa chwila ciszy, zanim mag zapytał: - Czy żądacie, abym ja, Szymon z Gitty, ukazał swą moc powtarzając cud, o którym tak wiele mówiono?

Chór głosów podniósł się ze wszystkich stron. Były to głosy ludzi wykształconych, mówiących zwykłym językiem aramejskim, lecz z bogatą intonacją starożytnego języka hebrajskiego.

- Tak, tak! - wołano. - Ukaż nam swą moc, Szymonie z Gitty!

Łukasz nie miał wątpliwości, że akcja była z góry przygotowana i potrząsnął głową w przypływie nagłego gniewu.

- Czy oni przed niczym się nie powstrzymają? - wyszeptał do swego młodego towarzysza. - Ach, ileż w nich nienawiści do Mistrza!

- Aby zadośćuczynić waszemu życzeniu, muszę prosić was o pewną pomoc - oznajmił Szymon. - Potrzeba mi trzech obywateli na tej platformie. Chcąc z góry uciszyć wszelką krytykę moich metod bądź też aluzje co do zmowy z tymi, których wybiorę do pomocy, proszę, aby to byli ludzie o ustalonej reputacji i tak dobrze wszystkim znani, by było oczywiste, iż nie byli nauczeni, jak mają odegrać swą rolę.

Lampy wzniesione na słupach na każdym rogu platformy jeszcze nie były zapalone i Gimnazjon spowijały niemal całkowite ciemności. Słychać było ożywione rozmowy wśród ciasno nabitego audytorium i odgłos kroków oraz potykania się ludzi wchodzących po schodach. Wyczuwało się jakąś niepewność.

- Nie widzę dobrze - oznajmił Szymon. - Moje oczy tracą już swą siłę, tak szybko mijają lata. Czy jest was trzech?

- Jest nas trzech, Szymonie z Gitty.

- W porządku! Możemy zaczynać. Proszę was, szacowni obywatele, którzy jesteście dla mnie w tej chwili niczym więcej, jak niewyraźnymi postaciami w ciemności, abyście ściśle

zastosowali się do moich wskazówek. Musicie robić to, o co proszę. Nie więcej i nie mniej. Najpierw związcie mi ramiona sznurami, które leżą obok was na stole.

Minęło kilka chwil w głuchej ciszy, przerywanej jedynie szeptem trzech świadków i szuraniem ich nóg na deskach. Potem mag zapytał:

- Czy jesteście pewni, że nie mam obecnie możliwości użycia mych ramion? Jeśli macie jakieś wątpliwości, zaciśnijcie mocniej sznury. Wytrzymam ból. Teraz związcie również moją pomocnicę, ale z nią postępujcie łagodniej, gdyż jej piękne i delikatne ramiona nie powinny ucierpieć. - Nastąpiła chwila ciszy. - Czy macie pewność, że ona nie jest w stanie wziąć udziału w tym, co się teraz rozegra? Heleno, moje dziecko, czy odczuwasz ból?

- Tak! - powiedziała dziewczyna chwytając powietrze. - Pośpiesz się, panie!

- Ustawcie się w szeregu przed stołem, moi przyjaciele - zlecił Szymon. - Nie dotykajcie się nawzajem. Nie dotykajcie stołu. Odpędźcie wszystkie myśli od siebie. Bądźcie gotowi na przyjęcie mocy, jaką wam prześlę. O Szamrielu, wysłuchaj mej prośby! Proszę o twą pomoc!

Całkowita cisza zapadła w Gimnazjonie. Sylwetki na platformie były jedynie ciemnymi plamami.

- Raz! - zawołał Szymon Mag.

Drobny płomyk ukazał się nad głową pierwszego świadka w szeregu, który był rzymskim oficerem, sądząc po przerzuconym przez ramię czerwonym płaszczu nazywanym abollą. Daleko w tyle, pośród ciżby widzów, siedział Łukasz wstrzymując oddech.

- Jakie czary stosuje ten człowiek? - szepnął z podnieceniem. Położył drżącą dłoń na ramieniu Bazylego i zaczął cytować z “Dziejów Apostołów” Jezusa, które od wielu lat spisywał: - “Nagle dał się słyszeć z nieba szum, jakby uderzenie gwałtownego wichru, i napełnił cały dom, w którym przebywali, ukazały się im języki, jakby z ognia, które się rozdzieliły, i na każdym z nich spoczął jeden.”

Potem wyszeptał do siebie:

- To niegodziwiec! Jakie zło chce wyrządzić? Czy odciągnie umysły ludzkie od prawdy?

“Rozszczepiony język” oświetlał przez kilka chwil srogie rysy oficera rzymskiego, po czym zgasł.

- Dwa! - zawołał mag.

Ukazało się drugie światełko, tym razem nad głową następnego świadka stojącego w szeregu, znanego handlarza dywanami. Był to wiekowy mężczyzna imieniem Abraham ben Heleb, zaliczany do najbogatszych mieszkańców miasta. Zdawał się nieco skrępowany charakterem usługi, jakiej od niego wymagano. I znów otoczyły go cienie.

- Trzy! - zawołał Szymon ostrym i triumfującym głosem.

Tym razem płomyk oświetlił na krótko Alego, żebraka, który siedział co dzień przy Bramie Efraima i żądał nachalnie jałmużny od wszystkich przechodniów. Żebrak, o którym sądzono, że nagromadził dużo złota, zdążył tylko mrugnąć do zebranych, zanim światełko zadrżało i zgasło, a ciemność zapanowała po raz trzeci. Ze wszystkich stron przepełnionej widowni podniósł się głośny śmiech i drwiące głosy. MImo wzburzenia, Łukasz rozpoznawał, że są to głosy ludzi wykształconych.

- Więc to był ten wielki cud! - zawołał jeden.

- Czy otrzymali dar obcych języków? - zapytał drugi. - Przemów do nas, o Ali z Bramy Efraima! Przemów do nas w języku kraju Sin!

Okazało się, że w Gimnazjonie było niewielu chrześcijan, gdyż śmiech był ogólny. Ze wszystkich stron przyciemnionej przestrzeni słychać było teraz szyderstwa, wykrzykiwane nieokrzesanymi, szorstkimi głosami w potocznej mowie aramejskiej.

Słychać było szuranie nóg, kiedy pomocnicy niosący płonące pochodnie wchodzili po stopniach platformy. Zapalili lampy na słupach, oliwa jasno zapłonęła. Trzej świadkowie zaczęli schodzić jeden po drugim.

Szymon, sapiąc z bólu, zawołał do ciemnoskórych pomocników:

- Najpierw usuńcie sznury z ramion mojej pomocnicy. Pośpieszcie się! Ona przeżywa tortury.

- Tak! - zawołała Helena. - Nie mogę znieść tego dłużej!

Po zdjęciu sznurów głośno westchnęła z ulgą. Uwolniony Szymon podszedł do krawędzi platformy.

- Widzieliście to, coście widzieli! - zawołał głosem zabarwionym złośliwością.

Człowiek, który się odzywał na samym początku, znów przemówił:

- Pokazałeś nam, Szymonie z Gitty, że potrafisz to zrobić. Teraz musisz odpowiedzieć na pytanie: jak to zrobiłeś? Czy przy Boskiej pomocy? Czy też była to tylko kuglarska sztuczka?

Jeśli nawet, jak sądził Łukasz, ktoś starannie zaplanował ten pokaz, to w tej chwili mag postanowił wziąć inny kurs, niż było to uprzednio postanowione. Odpowiedź, jakiej udzielił, nie mogła zadowolić pytającego.

- O przyjacielu, słyszę twoje pytanie - powiedział.

Potem zamilkł i zaczął się wpatrywać w stłoczone pod nim morze oczekujących twarzy. Delektował się niepokojem, z jakim oczekiwali jego odpowiedzi.

- Na to pytanie sami musicie sobie odpowiedzieć. Idźcie teraz do waszych domów i zastanówcie się nad tym, co Szymon zwany Magiem, a może będący jednak czymś więcej, pokazał wam dzisiejszego wieczoru.

3

Łukasz, wsparty na ramieniu Bazylego, milczał, kiedy wraz z resztą widzów torowali sobie drogę na ulicę. Pomni niebezpieczeństwa nie ociągali się, lecz szli szybkim krokiem. Dopiero kiedy wyminęli innych widzów, którzy przystawali, żeby dzielić się uwagami o dziwnych rzeczach, które widzieli, lekarz pozwolił sobie na słowa:

- To było kuglarstwo - powiedział. - Bardzo sprytna magiczna sztuczka i nic więcej. Ale jak to mogło być zrobione? To przechodzi moje wyobrażenie. - Potrząsnął głową zasmucony i zdziwiony. - Jakie wyobrażenia zabiorą ci ludzie do swoich domów? Cokolwiek będą o tym myśleli, ponieśliśmy wielki uszczerbek. Albo będą myśleli, że Jezus był magiem podobnie jak Szymon, albo że Szymon dzieli z Nim Jego Boską moc.

Bazyli nie wypowiedział swego zdania, ale po raz pierwszy nie zgadzał się z Łukaszem. To, co zobaczył, zrobiło na nim wielkie wrażenie. Kiedy szabla w rękach maga przecinała szyję Heleny, był tak przerażony, że nie mógł przemówić ani się poruszyć. Nie mógł pojąć, jak wydarte z niej życie zostało tak łatwo przywrócone, chyba że stało się to za sprawą Boskich mocy.

W każdym razie wynikało z tego jasno, że Szymon Mag był człowiekiem wielkim, a jednocześnie czyniącym zło.

Rozdział X

1

Choć między Żydami i Samarytanami panowała wielka niechęć, to stosunki handlowe trzeba było jednak podtrzymywać. Maleńka Samaria, położona wysoko wśród wzgórz, za równiną Esdrelon, była nadzwyczaj urodzajna i słusznie sławiona za piękne bydło i bogate zbiory owoców. Jerozolima zaś, gdzie społeczność Świątyni żyła zbytkownie i żądała wszystkiego, co najlepsze, była świetnym rynkiem zbytu dla produktów Samarii. W gruncie rzeczy cały handel między tymi dwoma krajami przepływał przez jedno ucho igielne, jakim był dom handlowy Kokbena. Był to przebiegły Samarytanin, który wziął za żonę kobietę z Galilei i zdecydował się na życie w nieprzyjaznym mieście ze względu na dobre dochody.

Dom miał duży, a interesy tak ożywione, że potrzebował sześciu pomocników. Wszyscy byli Samarytanami, młodymi ludźmi o wąskich czołach, długich wystających nosach i wyrachowanych oczach. Urzędników było trzech. Rzadko wypuszczali się na ulice, wiedząc z gorzkiego doświadczenia, że każdy napotkany Żyd napluje na nich, naurąga, a wrzaskliwi ulicznicy będą szli za nimi i obrzucali różnymi odpadkami. Z tej racji nie kwapili się do opuszczania schronienia, jakie im dawał wysoki i wąski dom Kokbena, położony tuż przy Ulicy Kupców Oliwy. Ich pióra skrzypiały przez cały dzień w nagrzanym pomieszczeniu za odważnie wyeksponowanym szyldem z napisem “Samarytanin”, który Kokben, skłonny ciągnąć profit ze wszystkiego, kazał powiesić przy głównym wejściu. Mali chłopcy, zgodnie z panującym duchem, nabrali zwyczaju przechodzenia raz dziennie obok tego domu i rzucania kamieniami w szyld. Tak więc urzędnicy stale pracowali przy odgłosach pocisków trafiających w malowaną deskę i głośnych okrzyków:

- Kuteanie! Synowie bezpańskich psów, ojcowie hien, bracia wieprzów!

Od czasu do czasu urzędnik, który siedział najbliżej jedynego okna (stanowisko niebezpieczne, gdyż czasem kamień mógł zabłądzić), dowodził, że to miejsce ma swoje szczególne walory, mówiąc z afektowanym uśmiechem:

- Ach, moi drodzy, dopiero co przeszła druga dziewczyna zbudowana pięknie jak rzadko! A jak się kołysze idąc!

Właśnie w domu Kokbena zatrzymał się Szymon Mag podczas swego tryumfalnego pobytu w Jerozolimie. Tego wieczoru, po wszystkich trudach, odpoczywał na dachu domu.

Zrzucił z siebie kuglarski płaszcz, który leżał na posłaniu odsłaniając wszystkie sekretne mechanizmy: kieszenie zawierające przedmioty, ukazujące się i znikające, kiedy było trzeba, płócienne “pociągła”, które umożliwiały przenoszenie z jednego rękawa do drugiego i z kieszeni do kieszeni nawet tak dużych przedmiotów, jak papierowa kopia głowy Heleny i zakrwawiona szabla.

Pozbawiony swego płaszcza Szymon miał na sobie tylko jedną sztukę odzieży, zwaną braką, którą wprowadzili na Wschodzie rzymscy żołnierze po kampaniach w zimnych krajach Galii i Brytanii. Były to dopasowane spodnie okrywające ciało od pasa do kolan. Przyodziany tak skąpo mag wyglądał staro. Był chudy i kruchy, jak kość wysuszona na słońcu.

Czarnoksiężnika opanował tryumfalny nastrój. Odniósł wielki sukces i zadziwił żydowskich widzów. Teraz zjadł dobrą kolację: płat wołowiny na zimno i pożywne danie zrobione z samaryjskich daktyli, fig i granatów zmieszanych z winem. Zaspokoiwszy cielesne potrzeby, wyciągnął się na posłaniu i obserwował Helenę znad cynowej czarki, którą trzymał w ręku.

Dziewczyna zjadła razem z nim lekką kolację, pomna na niebezpieczeństwo zbyt obfitego jadła dla kobiecej figury. Ona również chciała odpocząć po napięciach wieczoru. Zrzuciwszy sandały, z wielką przyjemnością kurczyła i prostowała palce małych, zadbanych stóp. Jej ciemne włosy były w nieładzie, a oczy, utkwione w światłach miasta na dole, miały rozmarzony wyraz. Widać było, że myślami jest daleko, tak daleko, że zupełnie zapomniała o obecności Szymona.

- Arcykapłan był tam dziś wieczór - powiedział z dumą mag.

Samarytanie, cierpiąc z racji wywyższania się Żydów, udawali taką samą wobec nich wrogość, ale w głębi serc cierpieli na kompleks niższości. Szymonowi wielką satysfakcję sprawiło przyjście Ananiasza na jego występ.

- Nikt o tym nie wiedział. Usadowił się na jednym z dachów, skąd mógł wszystko widzieć. Czy ci mówiłem, że kapłani i lewici byli rozproszeni na widowni, żeby wykonywać jego rozkazy? Wszyscy ogromnie się cieszyli z tego, co ja, Szymon z Gitty dokonałem, aby złamać mit Nazarejczyka.

Dziewczyna nie okazywała zainteresowania. Westchnęła i przeciągnęła palcami po czarnych, kędzierzawych lokach.

- Dlaczego tak długo nie mogłem się zdecydować na przyjazd do Jerozolimy? - zapytał Szymon bardziej sam siebie niż swej towarzyszki. - Mogłem to zrobić już dawno. Mogłem to przecież zrobić po rozmowie, jaką odbyłem w Samarii z Piotrem, tym upartym i kłótliwym Galilejczykiem. Czy ci mówiłem, co mi odpowiedział, kiedy mu zaproponowałem dobrą zapłatę za dar języków i moc wykonywania cudów?

- Tak - odparła Helena. - Wielekroć. Nuży mnie ten temat.

- Powiedział mi: “Niech twoje pieniądze przepadną razem z tobą, skoro myślisz, że dar Boga może być kupiony za pieniądze.” Dodał, że musiałbym się wszystkiego wyrzec i zostać zwykłym uczniem! Wyszydziłem go. Ja, Szymon z Gitty, nie jestem prostym pasterzem ani rybakiem, jacy się zbiegli w jego szeregi. Ja, Szymon z Gitty, już wtedy byłem sławnym magiem. Zastanawiałem się nad sposobem wytworzenia języków ognia, ale nie miałem odpowiednich

rekwizytów. Byłem człowiekiem bogatym i wpływowym. Gdyby mnie przyjęli, zostałbym ich przywódcą. Dobrze o tym wiedzieli, Filip spoglądał na mnie tak samo chłodno jak Piotr, z tą swoją dużą głową i silnymi rękami. Oni mnie nie chcieli i byli radzi, że się nie przyłączyłem.

- Tak - powtórzyła dziewczyna. - Zawsze opowiadasz mi to samo.

Szymon usiadł i zaczął się jej bacznie przyglądać. Emanowała z niego osobliwa siła i stanowczość. Jego głęboko zapadnięte oczy pełne były dumy z samego siebie.

- Ostatecznie może to i dobrze, że z tym zwlekałem - ciągnął dalej. - Dziś jestem największy. Cesarz Neron usłyszał o mnie i chce, żebym przed nim wystąpił. Zanim jednak pojadę do Rzymu, muszę się pokazać gdzie indziej z moją sztuką języków ognistych. W Cezarei, Antiochii, Damaszku, Troadzie, Filippi... Tak zostało ułożone z Ananiaszem. Mam pokazać światu, że ja, Szymon zwany Magiem, potrafię czynić to samo, co czynił Jezus z Nazaretu.

Helena podniosła się ze stosu poduszek, na których spoczywała i spojrzała na niego z wyrzutem.

- Byłeś dzisiaj zbyt brutalny w sztuczce ścięcia głowy - powiedziała.

- Sztuczce? Nie podoba mi się to określenie, moje dziecko. Mówiłem ci to nieraz.

- Zbyt często. Ale używam go nadal, bo to jedyne słowo, jakie znam.

- Nie jestem oszustem - oznajmił Szymon chełpliwie. - Nie jestem zwykłym magikiem. Kiedy stałem dziś na platformie, a setki żydowskich oczu wpatrywały się we mnie z podziwem, oczy wszystkich wielkich ludzi ze Świątyni, uprzytomniłem to sobie wyraźniej, niż kiedykolwiek przedtem.

- A więc - powiedziała dziewczyna biorąc winne grono z półmiska owoców stojącego obok niej - nie jesteś zwykłym magikiem. Czym więc jesteś?

Nastąpiła długa chwila milczenia, a potem w Szymonie zaszła zmiana. Zacisnął usta, oczy otworzył szerzej, aż wokół nich ukazały się białe obwódki.

- Kiedy stanę przed Neronem - powiedział - nie będę miał na sobie płaszcza kuglarza.

Helena usiadła gwałtownie i spuściła nogi na podłogę. Jej oczy, które potrafiły być tak łagodne i kuszące, stały się teraz twarde.

- Czyś ty oszalał? - spytała. - Ukazać się bez płaszcza? Powiedz mi, proszę, powiedz, co potrafisz zrobić bez niego?

Mag pochylił się ku niej.

- Posłuchaj mnie, moja mała Heleno. Dziś wieczór poczułem dziwną moc w moich żyłach. Powiedziałem sobie: “Dlaczego mam zależeć od sznurków pod płaszczem i przyrządów pochowanych w kieszeniach? Po co mi ta piękna dziewczyna, która zwraca na siebie uwagę, kiedy jest pożądane, aby żadne oczy mnie nie śledziły?” Poczułem, że jestem w posiadaniu tego światła

astralnego, które mi pozwoli czynić cuda tak, jak to czynił Jezus z Nazaretu.

Helena odepchnęła od siebie niecierpliwą ręką półmisek z owocami.

- Wiedziałam, że ten chorobliwy pomysł kiełkuje w tobie - powiedziała. - Posłuchaj mnie, niemądry marzycielu! Będzie to dla ciebie smutny dzień, jeśli kiedykolwiek oprzesz się na tej nowej mocy, a nie na przyrządach w kieszeniach. Wyjdziesz na platformę i nie zdołasz wykonać żadnej sztuczki! I co się wtedy stanie, Szymonie, z nową mocą w twoich żyłach? Powiem ci, co się stanie. Twoja widownia cię wyśmieje. Będą drwili: "Ten człowiek jest za stary, żeby nadal wykonywać sztuczki." A kiedy widownia cię wyśmieje, przestaniesz być największym magiem świata. Nigdy już nie zapłacą nawet leptona, żeby oglądać twój występ.

- Moje dziecko, moja mała zadido! - protestował Szymon.

- Spróbuj choć raz wystąpić bez kuglarskiego płaszcza - oznajmiła dziewczyna - a ja nie będę dłużej twoją zadidą!

Teraz w głosie Szymona zabrzmiała błagalna nuta.

- Co ty wiesz o tej zmianie, którą w sobie czuję? O nowej magii w opuszkach moich palców? Nic nie wiesz o wizjach, które miewam. Mówię ci, coś dziwnego budzi się w mojej krwi.

Helena odpowiedziała gniewnie:

- Przed tobą największa szansa twego życia, a ty gotów jesteś ją odrzucić, bo masz skazę na umyśle. Mówisz, że ja nie rozumiem. Ależ tak, rozumiem, rozumiem ciebie aż za dobrze. - W myślach dodała: "Ty pyszałkowata stara wrono." - Całe to uznanie ludzi ze Świątyni uderzyło ci do głowy. Nadymasz się, puszysz i pysznisz, ty, Samarytanin, bo sam arcykapłan Jerozolimy rozmawia z tobą i raczy uzgadniać z tobą wspólne plany. Pozwól, że jeszcze coś dodam: w głębi duszy nie wątpisz w to, że Jezus z Nazaretu dokonywał prawdziwych cudów, ty zaś możesz najwyżej naśladować go magicznymi sztuczkami!

- Jestem równie wielki jak Jezus! - zawołał Szymon. - Zapominasz, że ludzie zaczynają nazywać mnie mesjaszem? Moje zastępy są coraz liczniejsze. Dziś jest ich dwadzieścia tysięcy. No, może dziesięć. Będą miliony, zanim zakończę. Oni wiedzą, że ja, Szymon z Gitty, również posiadam Boską moc. Muszę iść dalej, Heleno, muszę sięgnąć po to, co mi przeznaczone.

Helena ziewnęła.

- Jestem zmęczona - powiedziała. - Mam dosyć tego gorącego wiatru wiejącego od Samarii. - Z nagłą wściekłością dodała: - A co z przyrzeczeniami, które mi składałeś?

Szymon powstał, podszedł do niej i położył rękę na jej ramieniu.

- Dotrzymam wszystkich moich przyrzeczeń wobec ciebie, moje dziecko, moja słodka zadido. Czy w zamian będziesz dla mnie trochę łaskawsza?

Dziewczyna ruchem ramienia strąciła jego rękę. Służący wszedł po schodach na dach domu

i rozejrzał się z lękiem, jakby się spodziewał zastać zgromadzenie złych duchów. Nie śmiąc spojrzeć w kierunku maga, zwrócił się do Heleny:

- Na dole jest młody człowiek. Chce z tobą rozmawiać.

- Jak się nazywa? - spytała.

- Nie podał imienia. Powiedział tylko, że pochodzi z Antiochii.

Szymon szybko podniósł głowę. Znalazł Helenę w Antiochii w okolicznościach, które sprawiły, że to miasto było dla niego raz na zawsze podejrzane.

- Odpraw go! - rozkazał.

- To moja sprawa - oznajmiła dziewczyna ostro. - Nie możemy go odprawić, zanim nie dowiemy się, kim jest i co go sprowadza. Może mieć dla mnie jakąś wiadomość. - Zwróciła się do służącego: - Powiedz, żeby przyszedł na górę.

Służący pośpiesznie wycofał się na dół, rad, że zejdzie z oczu niebezpiecznego towarzystwa.

Helena podniosła się i pomyślała o swym wyglądzie.

- Zobaczę się z nim bez świadków.

- Godzina jest późna. Zamierzam tu pozostać. - Koniec nosa Szymona zaczął drgać; czuł się urażony.

Dziewczyna włożyła stopy w sandały. Podeszła do posłania, na którym leżał płaszcz kuglarza i sięgnęła do jednej z kieszeni po lusterko. Natychmiast cofnęła rękę, z okrzykiem strachu i wstrętu.

- Ten wąż! - zawołała. - Wciąż jest w twoim płaszczu. Przyrzekłeś mi ostatnim razem...

- Przepraszam. Znów o nim zapomniałem. Ale czemu obawiasz się węża bez zębów jadowych? To najbardziej posłuszny i potulny wąż, z jakim kiedykolwiek pracowałem.

- Wiesz, jak bardzo ich się boję. Daj mi lusterko. Ja już tam nie podejdę. - Kiedy wręczył jej lusterko, zaczęła czesać włosy szybkimi ruchami. - Życzę sobie, żebyś natychmiast zabrał się stąd razem ze swoim wężem.

2

Zanim Bazyli dotarł na szczyt domu, Szymon Mag wyszedł, zabierając ze sobą wszystkie akcesoria swego zawodu. Jedno światełko migotało dość słabo pod baldachimem. Helena spoczywała na posłaniu. Jedynie koniuszek stopy w sandałku wystawał spod pełnych wdzięku fałd jej spódnicy. Rozświetlone oczy spoglądały łagodnie.

Podniosła się ze zdumieniem, kiedy poznała Bazylego.

- Ty! - zawołała. - Nigdy by mi nie przyszło na myśl, że to możesz być ty. Słyszałam, że

zostałeś sprzedany jako niewolnik przez swego stryja.

- Odkupiono moją wolność.

Naraz Bazyli poczuł niesmak. Zbliżał się wolno, czując uporczywe spojrzenie jej niepokojących oczu. Z bliska była znacznie bardziej urocza niż sądził.

Nagle Helena zrozumiała wszystko.

- To ty jesteś tym artystą! - zawołała. - Tym, który zostawił popiersie w Świątyni. Wiele o tym słyszałam.

Żałował, że przyszedł. Czyniąc to złamał przyrzeczenie, a teraz, kiedy urocza pomocnica maga połączyła jego osobę z wydarzeniami w Świątyni, mogły z tego wyniknąć poważne komplikacje. Nie zaprzeczył jednak.

Helena uśmiechnęła się do niego uspokajająco.

- Twoja tajemnica jest bezpieczna, jeśli o mnie chodzi. Gdyby Szymon o tym wiedział, od razu pobiegłby do arcykapłana, więc zachowam ją przy sobie. - Po chwili dodała: - Rozsądnie postąpiłeś nie podając swego imienia.

- Tyle przynajmniej miałem roztropności. - Zamilkł, nie miał ochoty na dalsze wyjaśnienia. - Zastanawiasz się, dlaczego przyszedłem - powiedział wreszcie. - I dlaczego przyszedłem o takiej porze. Słyszałem, że Szymon wypędza złe duchy, a ja... zdaje się, że mnie opanował taki zły duch.

Przyglądała mu się z żywym zainteresowaniem, mówiąc sobie w duchu, że poznałaby go zawsze i wszędzie. Wrażliwe rysy chłopca, jakim go znała, wydłużyły się wraz z dojrzewaniem, zachowały jednak ten sam wyraz. NIe można się pomylić co do jego oczu.

- Tak, Szymon wypędza złe duchy - powiedziała. - Jego cena jest bardzo wysoka. Czy będzie cię na to stać?

Bazyli przyznał, że to istotnie ma znaczenie. Nie zapłacono mu jeszcze za żadną z wykonanych prac i mieszek miał pusty.

- Dlaczego sądzisz, że jest ci potrzebna pomoc Szymona?

Zawahał się.

- Zacząłem się dziwnie zachowywać - zaczął. - Umysł mój przepełniają czarne myśli. Czasem nie zdaję sobie sprawy z tego, co robię. Jestem pewien, że to wszystko przez tego złego ducha.

- Co to za czarne myśli? - spytała.

- Wciąż myślę o zemście za wyrządzone mi krzywdy. Staram się powstrzymać, ale nie panuję nad swoim umysłem. Myśli wciąż wracają. Jestem pewien, że uległem jakimś czarom.

- Pragnienie zemsty jest najbardziej naturalną rzeczą na świecie - oznajmiła Helena. Łagodność znikła z jej oczu, stały się twarde i wyrachowane. - Nigdy nie zapominam krzywdy ani

nie przebaczam wrogowi. Czy i we mnie siedzi diabeł, którego trzeba wypędzić? - Roześmiała się. - Jeśli siedzi, to diabeł innego rodzaju. Moje myśli należą do mnie i nie wstydzę się ich.

Potem zaczęła go wypytywać.

- Czy twój pan źle cię traktował? Czy bił cię tak, jak Kastor bił mnie?

- Nie. Ale nie miałem żadnej swobody. Przez dwa lata ani razu nie wyszedłem z domu. Cały czas pracowałem.

- A twoja pani, no... czy miała do ciebie słabość?

Bazyli potrząsnął głową.

- Myślała tylko o pieniądzach, które na mnie zarabiali.

Uśmiechnęła się jak osoba doświadczona.

- To znaczy, że twoja pani była bardzo starą kobietą. Zwykle żony nie stronią od młodych i przystojnych niewolników. Ty zaś jesteś bardzo przystojny, mój Bazyli. Pamiętasz jak zaraz pierwszego wieczoru powiedziałam ci, że jesteś ładnym chłopcem? - NIe czekając na odpowiedź pytała dalej: - Co się stało z Kastorem i innymi niewolnikami, kiedy Linus został panem?

- Wszystkich sprzedano albo posłano do magazynów. Linus chciał mieć służbę z własnego wyboru. Jedynym pracownikiem, którego zatrzymał, był Kwintus Anniusz. Zatrzymał go dlatego, że Kwintus świetnie się orientował w interesach mego ojca.

- Mam nadzieję, że Kastora sprzedano okrutnemu panu.

- Odesłano go do magazynów. Pewnego dnia padający maszt rozgniótł mu czaszkę. Niektórzy sądzili, że to nie było przypadkowe.

W oczach dziewczyny widać było wielkie zadowolenie.

- Jestem pewna, że zabito go rozmyślnie. Jak ja go nienawidziłam!

Aż do tej chwili Helena starała się nie wprowadzać nuty bardziej osobistej. Zwracała uwagę, aby dół jej palli układał się we wdzięczne fałdy w poprzek kolan. Pokazywała tylko koniuszki stóp. Z wyjątkiem paru krótkich chwil jej oczy były chłodne, niczym nie zmącone i śliczne. Teraz wyciągnęła do niego rękę, chcąc wstać, a uścisk jej palców trwał o ułamek sekundy dłużej, niż to było konieczne. Kiedy tak stali blisko siebie, uśmiechnęła się do niego. Była wyższa od większości kobiet, więc jej oczy były prawie na wysokości jego oczu.

- Byłeś dla mnie dobry - powiedziała głosem nieco tylko mocniejszym od szeptu. - Kiedy przyszedłeś do domu Ignacjusza tego pierwszego wieczoru, uśmiechnąłeś się do mnie. Po raz pierwszy ktoś, komu usługiwałam, zwrócił na mnie uwagę. To nie takie łatwe usługiwać ludziom, którzy nigdy na ciebie nie spojrzą, którzy starają się tak zachowywać, jakbyś w ogóle nie istniał. Może przekonałeś się o tym na własnej skórze. A teraz ja ci się chcę odwdzięczyć za tamten uśmiech. Szymon zrobi dla ciebie wszystko, co potrafi. Odmówi swoje zaklęcia i może mu się to

uda tak dobrze, iż zły duch cię opuści i odchodząc wyleje kopnięciem rynkę z wodą!... Wiesz o tym? No dobrze, przekonasz się o tym później. I nic cię to nie będzie kosztowało, Bazyli!... Jeśli się kiedykolwiek dowiesz, jaką opłatę pobiera Szymon, zdasz sobie sprawę z tego, jak bardzo sobie cenię tamten uśmiech, którym mnie obdarzyłeś.

- Kiedy mam przyjść?

Jej oczy nabrały ciepła, a uśmiech czułości. Mówiła mu w ten sposób, że są przyjaciółmi i że ona się z tego cieszy.

- Niedługo - powiedziała cichym, porozumiewawczym głosem. - Zaraz o tym pomówię z Szymonem. Ale należy działać z największą rozwagą. On nie może się dowiedzieć, kim jesteś. - Przyłożyła palec do ust, a on spostrzegł, że jest biały i zadbany. - Powiemy, że jesteś uczniem filozofów z Antiochii, że masz na imię Aleksander. Jesteś synem bogatego kupca wschodnich towarów. Ulegasz humorom, jesteś kłótliwy i mocno poturbowałeś niewolnika w chwili uniesienia. Tak, musimy narysować twój obraz w dość ciemnych barwach, mój Bazyli. Z racji tego wpadania w pasję pragniesz wypędzić z siebie demona.

- Ale czy on nie pozna, że to wszystko jest zmyślone? Człowiek obdarzony taką dziwną mocą...

- Szymon nie może czytać myśli - powiedziała Helena. - NIe będzie miał powodu, żeby nie wierzyć w tę opowieść. Przyjdź pojutrze. Nie jestem pewna, jak długo zostaniemy w Jerozolimie, więc rozsądek każe nie tracić czasu. - Dotknęła ręką jego ramienia. Trwało to tylko chwilę, ale krew w jego żyłach zareagowała natychmiast. - Znów cię zobaczyć i wiedzieć, że mogę być ci pomocna, to bardzo wiele dla biednej, małej niewolnicy, która była tak śmiała...

- Czy zobaczę cię, kiedy znów tu przyjdę?

- Ależ tak! Pomagam Szymonowi we wszystkim i będę obecna, kiedy się będzie trudził, aby pozbawić cię tego demona. A teraz musisz iść. Nie wolno dopuścić, aby Szymon zaczął podejrzewać, że znałam cię kiedyś i że... że jesteśmy zaprzyjaźnieni.

3

W domu Kokbena wstawano wcześnie. Tragarze śniadali, kiedy pierwsze światło jutrzenki ukazywało się na niebie. W godzinę później trzej kanceliści przecierali oczy ze snu. Będą już mieli za sobą swój skromny posiłek, gotowi do podjęcia trudów dnia, kiedy sam Kokben wezwie ich na modły. Był to człowiek o ograniczonej wyobraźni, zawsze zaczynający swe nawoływania w ten sam sposób: “O Panie, gdyż Ty jesteś zarówno naszym, jak i ich Panem, naucz nas cierpliwości, wskaż naszym stopom drogę rozwagi...”

Szymon i Helena jedli ze smakiem śniadanie w pełną godzinę po Kokbenie wraz z jego

rodziną. Szymon, mlaskając wargami nad naczyniem świeżych owoców, mówił:

- Nic nie da się porównać ze śliwkami Samarii. Jeśli się dostanie twardy granat lub wysuszoną śliwkę, można być pewnym, że dojrzewały na skalnych zboczach Judei bądź w parnej ziemi Jerycha!

Pierwszy kamień zabębnił o szyld i jasny, chłopięcy głos zawołał:

- Samarytanie! Oby wszystkie krople potu na waszych ciałach zamieniły się w pryszcze! Oby same kamienie trafiały wam pod stopy!

Helena jadła chleb z miodem.

- Są takie siły magiczne, w które ja nadal wierzę - powiedziała. - Jest na przykład napój miłosny.

- On ma największą moc - powiedział Szymon, kiwając potakująco głową.

- Czy potrafisz go zrobić?

Szymon sięgnął do swych zasobów przesady.

- Mogę sporządzić napój miłosny - oznajmił - który sprawi, że sfinks podniesie łeb, wzywając swą towarzyszkę na gody. - A potem odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem, zadowolony z siebie.

Nie podnosząc oczu powiedziała:

- Pragnę, byś go dla mnie przygotował.

Dobry humor Szymona przygasł od razu. Spojrzał na nią z ukosa poprzez stół.

- Za dobrze cię znam, aby pomyśleć, że zamierzasz pobudzić moje uczucia.

- Racja. To nie ma nic wspólnego z tobą.

Twarz maga zapłonęła nagłym gniewem.

- Żądasz, abym się przyczynił do własnej zguby? Dać ci do rąk, do twych okrutnych białych rączek, moja piękna zadido, moc pozyskania miłości kogoś innego?

- Możesz to rozumieć, jak ci się podoba. - Helena mówiła zupełnie obojętnym głosem. - Ale zrozum jedno, Szymonie z Gitty: chcę mieć ten napój. Chcę mieć go najdalej za dwadzieścia cztery godziny. Musi być dobrze przyrządzony, żeby odniósł pożądany skutek. Jeśli chcesz, żebym z tobą została i pomagała ci w pracy, dopilnujesz tego.

Szymon zmagał się ze sobą w milczeniu przez kilka chwil.

- Czy chcesz, żeby skutek tego napoju był trwały? - zapytał w końcu. - Czy też masz na myśli jakiś chwilowy podbój?

Helena nie od razu odpowiedziała.

- Nie jestem pewna - odparła.

Po następnej długiej chwili posępnej medytacji mag podniósł obie ręce do góry.

- Niech więc tak będzie!

Wyszedł z pokoju, a po krótkiej chwili wrócił niosąc pudełko z nowego, białego drewna. Zawierało szarawy proszek. Podsunął go Helenie z niechętną miną.

- Uważnie wysłuchaj moich wskazówek - powiedział. - Pewne słowa mają być wypisane miodem wewnątrz kielicha. Sam je napiszę, bowiem nie powierzę wiedzy o nich nikomu, a najmniej tobie, moja zadido. Potem kielich będzie napełniony po brzegi słodkim winem, które posypiesz odrobiną tego proszku. Tyle, żeby starczyło na pokrycie powieki nowo narodzonego niemowlęcia, nie więcej i nie mniej. Sam go dla ciebie odmierzę. Ten proszek jest zmieloną kością z lewego boku czerwonej ropuchy, która żyje pod wrzosami i jeżyną i była zakopana od siedmiu dni. Poddałem ją wonnemu kadzeniu, paląc mieszaninę szafranu, ambry, owocu wawrzynu i piżma, mówiąc jednocześnie: “płonie na szczytach pagórków, mknie przez doliny, płonie we krwi, w twojej krwi, o ukochany!”

Najwyraźniej wykonywał jej rozkaz z głęboką niechęcią. Był zniecierpliwiony i spoglądał na nią tak, jakby chciał chwycić jej białą szyję w swe ręce i ścisnąć tak mocno, żeby krzyknęła.

- A teraz uważaj, moja Heleno, moje ty łagodne i pozbawione samolubstwa maleństwo - ciągnął dalej. - Ubierz się wyłącznie w płótno, nawet sandały nałóż płócienne. Nie możesz mieć żadnych węzłów w swoim ubraniu. Rozpuść i wygładź włosy, niech spadają luźno na plecy. Wtedy pomachasz nad kielichem różdżką ze świeżej wierzby i wymówisz siedem razy słowa, jakich cię nauczę.

Helena patrzyła z zaciekawieniem na szary proszek. Wreszcie zapytała:

- Ile trzeba wypić tego napoju?

Szymon zamachał niecierpliwie rękami.

- Jeśli wypije tylko jeden łyczek, już przyciągniesz go do siebie, jak magnes opiłki. Pełny łyk, a będziesz miała jego serce w swych rękach. Jeżeli przełknie całą zawartość kielicha, będzie chciał całować brudny obrębek twej spódnicy, kiedy już będziesz kuśtykała o kulach. - Potem dodał z gniewnym pomrukiem: - Czy to nie jest objuczanie solą wielbłąda w drodze do słonego morza? Cóż to za człowiek, jeśli nie wystarczy mu jedno spojrzenie na ciebie? Ty sama jesteś najlepszym napojem miłosnym, moja Heleno!

Uśmiechnęła się.

- Jestem na tyle próżna, że raduje mnie, kiedy to mówisz. Ale... - naraz przeszła na rzeczowy ton i potrząsnęła głową ze zdecydowaniem - w tym przypadku muszę mieć pewność.

- Kogo tak chcesz usidlić? Czy Ananiasza, ten okaz miłosnej niemocy? A może Lizjasza, tego flegmatycznego żołnierza z mięśniami ze stali i sercem z lodu? - Potem dodał, jakby godząc się, choć z oporem, na jej życzenie: - Powinnaś wiedzieć, że ten napój ma jedną szczególną cechę.

Działa bardzo szybko.

4

Kiedy Bazyli po raz drugi przyszedł do domu Kokbena, został przyjęty w niskim pokoju, tuż pod dachem domu. Helena zjawiła się natychmiast, aby go przywitać. Miała na sobie prostą płócienną szatę, która ją okrywała od szyi do stóp. Włosy nie były upięte na głowie, lecz spływały na ramiona jak czarny atłas. Skinęła mu głową z powagą.

- Mistrz spotka się z tobą za parę minut - powiedziała. - Czy mogę ci podać czarkę wina? Ranek jest gorący, a ty masz za sobą długą drogę.

Wzięła srebrną czarkę ze stołu i podała Bazylemu. Nie uniosła w górę oczu, a jej długie rzęsy zataczały półkola na bieli policzków.

Wino było słodkie i szło do głowy. Po pierwszym łyku Bazyli poczuł się szczęśliwy i rozradowany. Teraz widział jej wdzięki. To był gorący dzień. Po męczącej drodze odczuwał ogromne pragnienie. Wysączył kielich do ostatniej kropli.

“To najbardziej czarująca kobieta na świecie!” - myślał, przyglądając się Helenie, która przeszła na drugą stronę pokoju i uderzyła w gong. Jak wdzięczne miała ruchy! Jak błyszczały jej oczy! Jak kusząca była ta krucza kaskada włosów, spadająca prawie do pasa!

Wkrótce zjawił się Szymon w towarzystwie dwóch sług. On też był przyodziany w płócienne szaty, z tą jednak różnicą, że na piersi miał wyhaftowane purpurowe cyfry, a białe sandały zapięte na podbiciu purpurowymi klamrami w kształcie wieńców. Obdarzył przybysza wojowniczym spojrzeniem.

- Więc to jest ten młodzieniec, który uważa, że opętał go zły duch - powiedział. - Jak się zwiesz?

- Aleksander.

Bazyli przyglądał się magowi. Odczuwał wielką niechęć do tego starego człowieka i najpierw pomyślał, że dzieje się tak za sprawą wina. Po namyśle jednak uznał, że nie może przypisać swoich dziwnych odczuć napojowi, który tak ochoczo pochłonął.

Wino sprawiło, że widział rzeczy przez różową mgiełkę. Powód musi być inny.

- Czym się zajmujesz?

- Uczę się.

- To źle. Złe duchy najchętniej wybierają umysły zajęte nauką. Pociąga ich nawet umysł mało wyszkolonego ucznia, taki, sądzę, jak twój. Moje zadanie, żeby zmusić tego demona do ucieczki, może się okazać trudne, ale natężę wszystkie moje siły. Czyś gotów?

Bazyli miał na końcu języka słowa: “Nie, rozmyśliłem się. Jesteś złym człowiekiem i nie

pragnę pomocy od ciebie.” W tym momencie napotkał wzrok Heleny i uprzytomnił sobie, że to ona zorganizowała to spotkanie na jego prośbę i że nie wolno mu się teraz wycofać. Istniała też możliwość, że mimo swej niegodziwości Szymon będzie w stanie przywrócić mu swobodę umysłu.

- Jestem gotów.

Obserwując przygotowania do eksperymentu, Bazyli zdał sobie sprawę, że teraz ogarnęły go prawdziwe wątpliwości. Nic z tego nie wyjdzie. Popełnił błąd, był już tego pewien. Mimo żarliwch przestróg Debory, poddał się wpływowi, który sprawiał, że jej obraz zaczął się oddalać. Nie chciał tego, sama myśl o tym napełniała go trwogą.

W jednym końcu pokoju, tuż przy drzwiach, postawiono krzesło i polecono mu na nim usiąść. Służący przyniósł perski dywanik i rozłożył na podłodze obok krzesła. Blaszane, wysokie na około dwie stopy naczynie w kształcie wanienki zostało umieszczone na dywaniku po uprzednim napełnieniu wodą aż po krawędź.

Usłyszał szept Heleny:

- Bądź cierpliwy... Rób wszystko, co on mówi... To potrwa krótką chwilkę...

Wyszła z pokoju kilka minut wcześniej, a teraz wróciła przez drzwi, które znajdowały się tuż za nim. Chociaż nie odwrócił się, żeby na nią popatrzeć, wyczuwał każde poruszenie jej płóciennych spódnic i niezwykły zapach używanych przez nią perfum. Obraz Debory jeszcze bardziej się oddalił.

- Co on będzie robił?

- Powie ci, żebyś patrzył mu w oczy i będzie usiłował wytężyć swe siły, aby dosięgnąć złego ducha w twoim wnętrzu, rozkazując mu, żeby cię opuścił. Jeśli siła, jaką wytęży, będzie wystarczająca, zmusi ducha do odejścia. Opuszczając twe ciało musi rozlać wodę z tego naczynia. Tylko w ten sposób możemy być pewni, że cię opuścił.

- Czy widziałaś, jak to się odbywa?

- Och tak! Wiele razy. - Jej głos zniżył się do szeptu. - Porzuć wszelkie wątpliwości, jeśli potrafisz... ze względu na mnie i na siebie.

Obrócił się, chciał spojrzeć na nią przez ramię. Była tuż za nim. Obdarzyła go ciepłym, porozumiewawczym uśmiechem, który zdawał się mówić: “Ty i ja, Bazyli, ty i ja. Jesteśmy w tym razem.” Jej ręka musnęła lekko jego ramię, kiedy odsuwała się do tyłu, on zaś poczuł rozkoszny dreszcz.

- Jestem gotów - oznajmił Szymon.

Mag podniósł dłoń do czoła i przyglądał się spod niej swemu klientowi. Białka jego oczu było widać wyraźnie. Bazyli tak całkowicie poddał się bacznemu spojrzeniu tego dziwnego starca, że zapomniał o wszystkim, nawet o obecności Heleny za krzesłem.

- Zły duch zwykle wchodzi do ciała ludzkiego przez usta - powiedział Szymon - ale skoro jesteś uczniem, mógł wejść przez oczy. Otwórz je szeroko, szeroko, szeroko, jak najszerzej potrafisz. Wpatruj się w moje oczy. Słuchaj tego, co mówię.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem czarnoksiężnik zaczął mówić. Bazyli wytężał uwagę, okazało się jednak, że potoczyste zdania są długie i zawiłe, złożone z napuszonych zwrotów bez sensu i związku ze sobą. To nie miało znaczenia. Znaczenie miał sam głos. Szymon śpiewnie recytował bez końca, to głośniej, to ciszej. Bazyli zdał sobie sprawę, że może się w tym zatracić. Z trudem trzymał oczy otwarte. Z prawdziwym utęsknieniem myślał o śnie. Nic nie widział poza oczami kuglarza. Zrobiły się ogromne, tak wielkie, że wypełniały całą przestrzeń. Wyglądały jak oczy wielkiej sowy, olbrzymiej niczym upierzona góra. Żądały od niego posłuszeństwa i wiedział, że traci całą zdolność oporu.

Pozostało mu tyle woli, że odczuł trwogę. Nie wolno mu się poddać, musi znaleźć wewnętrzną siłę, żeby stawić opór. W ostatnim przebłysku świadomości zrozumiał, że musi przełamać jakimś fizycznym gestem obezwładniające go czary. Ogromnym, bolesnym wysiłkiem zdołał się nieco unieść, a nawet nieco obrócić.

Czary najwyraźniej zostały przełamane. Głos magika ucichł. Bazyli uniósł ciężkie powieki i rozejrzał się wokół siebie.

W tym momencie wanienka z wodą przewróciła się i woda spłynęła na dywanik, a potem szybkimi strumyczkami dotarła do podłogi z ceramicznych płytek. Uniósł instynktownie stopy, żeby ich nie zamoczyć.

Usłyszał, jak Szymon mówi normalnym głosem:

- Wygląda na to, że nam się udało. - Zatarł ręce i zadowolony pokiwał głową. - Nie sądzę, aby jakiś demon, który kiedykolwiek spadł z drzewa przy pełni księżyca, mógł się oprzeć temu końcowemu egzorcyzmowi, jaki zastosowałem. Twój demon, młodzieńcze, tak się śpieszył uciekając, że nie dał nam żadnego powodu, aby wątpić w jego odejście. Woda została wylana do ostatniej kropli. Duch już jest w drodze powrotnej do szopy trędowatych albo rowu ściekowego, gdzie jest jego miejsce.

Wciąż okazując zadowolenie Szymon pouczył służących, by zabrali opróżnione naczynie i nasączony wodą dywanik.

- Nie ma dziś człowieka, który więcej niż ja wie o demonach - oznajmił. - W Samarii od wielu wieków znana jest ich tajemnica, ale przekroczyłem dawne jej granice. Demony wiedzą, jaką mam nad nimi moc.

Kiedy opuścił pokój, Helena podeszła blisko do Bazylego.

- Demon wyszedł - powiedziała. - Mam nadzieję, że jesteś zadowolony.

Bazyli milczał przez chwilę. Potem potrząsnął głową.

- Nie jestem. Zaczynam myśleć, że Łukasz miał rację. Powiedział, że jedynym złym duchem, który może nad nami zapanować, jest zła strona naszej własnej natury. Widzę teraz, że pozwalałem, aby rządziły mną złe instynkty i udawałem przed sobą, że nie jestem za to odpowiedzialny. Byłem pewny, że jestem nawiedzony, i w ten sposób chciałem uśpić własne sumienie. Dzisiaj to sobie uświadomiłem.

- Nie rozumiem - powiedziała Helena ściągając brwi.

- W samą porę odzyskałem zmysły - wyjaśnił. - Jeszcze chwila, a uległbym całkowicie jego wpływom. Ale się uniosłem i obróciłem na krześle. Wtedy właśnie zobaczyłem, że dywanik drgnął. Pod nim był sznur przymocowany w jakiś sposób do naczynia z wodą. W każdym razie naczynie się przechyliło, a woda zalała posadzkę. To zburzyło złudzenia, z jakimi tu przyszedłem. Wierzyłem, że Szymon jest człowiekiem posiadającym dziwną moc. Teraz wiem, że to kuglarz.

Jej twarz wyrażała zarówno zdumienie, jak przerażenie. Przez chwilę nic nie mówiła. Potem widocznie zrezygnowała z wszelkiej myśli o zaprzeczeniach czy obronie.

- Masz rację. To ja pociągnęłam za sznur. Twoje oczy były dla nas zbyt bystre.

- Kiedy zdałem sobie z tego sprawę, zacząłem się zastanawiać. Zrozumiałem, że wszelka magia możliwa jest tylko dzięki takim zwodniczym sztuczkom.

- Nie, nie! - sprzeciwiła się. - To, co widzisz na scenie, to oszukaństwo. Ale popełniasz błąd myśląc, że na świecie nie ma prawdziwej magii. Są siły, których nie można wyjaśnić ani zrozumieć. Siły ciemne i złowrogie. Wiem, że tak jest. Widziałam na własne oczy przedziwne rzeczy.

- Nie umiem nic o tym powiedzieć. Ale teraz coś zrozumiałem. Od tej chwili sam będę szukał lekarstwa na czarne nastroje, w które popadam. Jeśli mi się uda - zawiesił głos na moment, a potem ciągnął dalej z szerokim uśmiechem - nie będę potrzebował wody wylewającej się z naczynia, aby mi dać znak. Poznam to po spokoju własnego umysłu.

- Więc jednak coś dla ciebie zrobiliśmy... - Helena była pochłonięta jakąś niepokojącą myślą. - Będziemy musieli być bardziej ostrożni. Muszę pomówić z nim o naszych metodach i rekwizytach. Mogą się znaleźć inni z równie bystrymi oczami jak twoje... - Rzuciła mu szybkie spojrzenie. - Nic nie powiesz, prawda?

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Przyrzekam ci najsolenniej nie mówić o tym, co widziałem.

Oczy miała poważne, a nawet zadumane i pełne żalu.

- Przykro mi, że to, co próbowałam dla ciebie zrobić, tak się nie udało. Czy źle o mnie myślisz?

- Nie - odpowiedział z pewną trudnością. Po raz drugi znalazł się pod urokiem jej oczu. Był w pełni świadom, że to drugie doznanie i pragnienie, aby mu ulec, niosło większą groźbę od pierwszego. - Nie, nie myślę o tobie źle. Obawiam się, że ja... że myślę zbyt dużo o tobie. Przyszedłem dla wypędzenia ducha, ale zdaje się, że skutek jest przeciwny. Drugi duch mną owładnął.

- Czy sądzisz, że to magia? Ach, Bazyli, nie myśl, że to czarna magia.

5

Przed rozstaniem ustalili, że znów się spotkają. Helena powiedziała:

- Całe życie jest przed nami, wszystkie najważniejsze lata. Nie wolno nam się rozstać jak podróżnym, mijającym się na pustyni. Zresztą, mam ci coś do powiedzenia.

Tak więc po trzech dniach Bazyli czekał aż minie północ, a potem ruszył, wychodząc z ogromną ostrożnością przez jedne z tylnych drzwi. Księżyc zbliżał się do pełni i rzucał dość światła na wąskie ulice. Nadal jednak był czujny, zdając sobie sprawę, że po pierwsze, w ogóle nie ma prawa być na ulicy, a po drugie, każdy, kto zapuszczał się sam jeden w zaułki miasta o tej porze, trzymał w ręku przepustkę na tamten świat.

Doszedł do alei wiodącej do Gimnazjonu bez żadnych niepożądanych spotkań po drodze. W tym miejscu ulica była poszerzona, aby umożliwić przechodzenie tam i z powrotem dużym tłumom. Na skraju wytworzonej w ten sposób wolnej przestrzeni zawahał się. Nikogo nie było widać. Żaden odgłos nie mącił nocnej ciszy. Mimo to wahał się przez kilka minut, rozglądając się i nasłuchując z napięciem; potem szybko przemknął przez plac do głównej bramy. Nie była zaryglowana, więc bez trudu wszedł do środka. Ciężkie drzwi przy zamykaniu wydały złowieszczy odgłos, stał więc bez ruchu przez kilka dalszych chwil w ciemnościach wewnętrznego korytarza. Zdawało się mu, że słyszy za sobą lekkie, ukradkowe kroki. Położył rękę na rękojeści noża za pasem. Potem usłyszał własne imię wyszeptane ostrożnie:

- Bazyli!...

- Helena?

Chłodna dłoń wsunęła się do jego ręki.

- Jednak przyszedłeś!

Trzymając się wciąż za ręce ostrożnie przeszli przez korytarz, gdzie nie docierało żadne światło. Dotarli do zakrętu i szli dalej w górę po szerokich schodach. U góry było widniej i tam znaleźli otwarte drzwi. Helena najwyraźniej znała rozkład budynku. Bez wahania przestąpiła próg i stanęła na otwartej przestrzeni. W dole była arena, a wokół nich, w wielkim, pustym kole - widownia.

- Czy uważasz, że wybrałam dziwne miejsce na spotkanie z tobą? - zapytała Helena przytłumionym głosem.

Ta właśnie myśl go nurtowała, bo istotnie wybór miejsca na schadzkę wydawał się dziwny. Cały stadion należał do nich. Było coś upiornego w tej pustej przestrzeni pod nimi; to osławione miejsce zebrania, gdzie Szymon Mag tak się natrudził, żeby podać w wątpliwość pamięć czynów zamęczonego Jezusa z Nazaretu.

- Żadne inne bezpieczne miejsce nie przyszło mi na myśl - ciągnęła, kiedy już usiedli w pierwszym rzędzie z wysokimi oparciami z drewna. - Mogę tu dotrzeć bez trudu. Dom Kokbena jest oddalony tylko o parę ulic.

- Teraz zaczynam rozumieć, że trudno było znaleźć coś lepszego. Tutaj możemy rozmawiać bez obawy, że ktoś nas będzie niepokoił lub podsłuchiwał.

Twarz miała zakrytą lekką zasłoną. Teraz ją odrzuciła i zwróciła ku niemu uśmiechnięte oblicze. Jej oczy wydawały się ogromne przy świetle księżyca. Były ciemniejsze i bardziej tajemnicze, niż mu się przedtem wydawało. Jej bliskość działała na niego tak samo, jak w dniu, kiedy śledził popisy Szymona; był świadom każdego jej ruchu, najlżejszego szelestu jej sukni. Kiedy wyciągnęła rękę i dotknęła jego rękawa, poczuł się jak w transie i siedział nieruchomy z obawy, że każda jego reakcja zbyt wyraźnie wyjawi stan jego uczuć.

- Mogę tu być tylko krótką chwilę - powiedziała cicho. - Musiałeś spostrzec jak zazdrosny jest Szymon. Cały czas mnie pilnuje. Gdybym próbowała wyjść z domu wcześniej, dowiedziałby się o tym. Kiedy wychodzę w ciągu dnia, każe mnie śledzić. To nie wszystko! Ci długonosi kanceliści mnie szpiegują. Cały czas mam wrażenie, że ich oczy na mnie spoczywają. Są chytrzy i niebezpieczni, zwłaszcza jeden z nich. Ten ma jeszcze dłuższy nos niż inni i więcej śmiałości w spojrzeniu. Tak się go boję, że kazałam założyć zamek do drzwi mego pokoju. Zeszłej nocy słyszałam kroki i chrobotanie zamka. Jestem pewna, że to ten zuchwalec. Nie zdziwiłabym się, gdybym go zobaczyła zaczajonego gdzieś w kącie, kiedy wyszłam z pokoju, żeby tu przyjść. Ale na szczęście tak nie było. Myślę, że wyszłam, przez nikogo nie zauważona. Ale nie mogę liczyć na zbyt dużo szczęścia, muszę bardzo szybko wracać... Przyszłam ci powiedzieć, że za dwa dni opuszczamy Jerozolimę.

- Tak szybko! - Bazyli był zaskoczony.

- Szymon ułożył program występów w wielu miastach. Najpierw jedziemy do Joppy, a potem do Cezarei. Nie wiem na pewno dokąd jeszcze, lecz myślę, że pojedziemy znów do Antiochii, a potem do Tarsu i Efezu. Na koniec udamy się do Rzymu.

- Ja też pojadę do Rzymu.

- Jakby to było dobrze, gdybyśmy dotarli do Rzymu w tym samym czasie! Czy nie można

tego tak ułożyć? Będziemy tam długo, ponieważ Szymon sądzi, że właśnie w Rzymie osiągnie szczyt swojej kariery. Ma wystąpić przed Neronem.

Bazyli pozwolił sobie na pewne rachuby.

- Sądzę, że na pewno dotrę do Rzymu, zanim ty go opuścisz - powiedział.

- I przyjdziesz zobaczyć się ze mną?

Obrócił twarz i zaczął się wpatrywać w jej oczy.

- Tak - szepnął z napięciem. - Tak, zobaczę się z tobą, kiedy tam przybędę.

Ona pierwsza odwróciła wzrok, a po chwili zaczęła mówić zwyklejszym tonem.

- Będziesz wielkim artystą, Bazyli. Szymon wysoko ocenił twoje wyroby w Antiochii. Słyszał o tobie i specjalnie zboczył z drogi, żeby się przyjrzeć paru twoim pracom. Szymon jest czymś więcej niż magikiem, to bardzo mądry i bystry człowiek. Twierdzi, że masz w sobie coś z geniusza. - Pozwoliła sobie na lekki uśmieszek. - Zastanawiam się, co by o tobie pomyślał, gdyby wiedział, że młodzian, który przyszedł pozbyć się złego ducha, to wydziedziczony syn Ignacjusza?

- Nic nie podejrzewa?

- Zupełnie nic. - Jej zachowanie znów uległo zmianie i stało się jeszcze bardziej rzeczowe. - Jestem ambitna, Bazyli. Ty również taki jesteś. Czy nie sądzisz, że moglibyśmy sobie pomóc? Że moglibyśmy nawet wspinać się częściowo razem? Szymon jest dla mnie tylko pierwszą odskocznią. Chcę zajść o wiele wyżej, chcę wspinać się, wspinać, wspinać!

Potem zaczęła zadawać pytania i omawiać przyszłość w sposób, który wskazywał na to, że wiele myślała o możliwości związku pomiędzy nimi. Czy dobrze pamiętał, jak uciekła z domu Ignacjusza? Czy śledził potem jej dzieje? Odczuła wielką ulgę, kiedy jej powiedział, że starał się czegoś dowiedzieć, ale nic z tego nie wyszło. Wtedy wyjaśniła, że minął cały rok, zanim Szymon zwrócił na nią uwagę, i że był to najtrudniejszy okres w jej życiu. Od czasu, kiedy go spotkała, życie stało się o wiele łatwiejsze. Przebywali przeważnie w Antiochii, gdzie Szymon miał i przyjaciół, i wpływy.

- Byłam na sali sądowej w czasie twojej rozprawy. Nie odważyłam się mówić z tobą, bo Szymon dowiedziałby się o tym, a to byłoby bardzo nieroztropne. Wszystko, co mogłam zrobić, to siedzieć na końcu sali i cierpieć wraz z tobą. Ach, Bazyli! Tak źle ciebie potraktowano. Wiedziałam od początku, jaki będzie wyrok.

- Byłem nie przygotowany. Linus działał tak szybko.

- Bazyli - spytała - czy dostałeś później, kiedy już sprzedano cię jako niewolnika, karteczkę ostrzegającą przed Linusem?

Pytanie było tak nieoczekiwane, że przyglądał się jej dłuższą chwilę w pełnym zdziwienia milczeniu.

- Tak, dostałem kartkę - rzekł wreszcie. - Skąd możesz o tym wiedzieć?

- To ja ją posłałam.

- Ty? Nie miałem pojęcia, Heleno, że pochodziła od ciebie. Mogłem tylko zgadywać. Rzecz prosta, byłem pewien, że wysłał ją jakiś przyjaciel z mego domu.

- Szymon bardzo dobrze znał Linusa. Pewnego wieczoru Linus po pijanemu napomknął o swoich względem ciebie uczuciach. Szymon mi to powtórzył. Wtedy posłałam ci ostrzeżenie. Do tego czasu nauczyłam się już czytać i pisać, bo, jak już ci powiedziałam, jestem bardzo ambitna. Kiedy wkrótce potem usłyszałam, że opuściłeś Antiochię, byłam taka szczęśliwa! Chciałam cię zobaczyć, ale to, naturalnie, było niemożliwe. Wiedziałam, że w Antiochii grozi ci wielkie niebezpieczeństwo.

- Gdybym nie dostał twojej karteczki - oznajmił Bazyli z przejęciem - nigdy nie zdołałbym stamtąd wyjechać. Będę na zawsze twoim dłużnikiem.

Siedzieli tuż przy sobie i w tym momencie Helena położyła głowę na jego ramieniu.

- Mój Bazyli, czy trzeba mówić o długach wdzięczności między nami? Posłałam ci ostrzeżenie, boś był w niebezpieczeństwie. Może teraz znów jesteś zagrożony, i to w zupełnie inny sposób... Może nie będziesz mógł prowadzić takiego życia, na jakie zasługujesz, wspiąć się tam, dokąd powinieneś dążyć. Może znów będę mogła ci pomóc. - Głowę miała wciąż przytuloną do jego ramienia, ale jej głos stracił nutę rozmarzenia, stał się bardziej pewny siebie. - Pomówmy rozsądnie o przyszłości. O twojej przyszłości. Co wiesz o Neronie?

- Wszystko, co o nim słyszałem, sprowadza się do tego, że usiłuje być aktorem i śpiewać publicznie, a ludność Rzymu zaczyna go uważać za głupca i bufona.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nigdy nie byłam w Rzymie, ale jednego jestem pewna: cezar bywa czasami poważny. Może jest bufonem, ale nie głupcem. On jest niebezpieczny. Nas jednak powinno interesować to, że wiele uwagi poświęca różnym sztukom. Spogląda w stronę Grecji i marzy o stworzeniu takiej samej chwały Rzymowi. Byłbyś w szczególnie dobrej sytuacji, zdobywając jego łaskawość. Nie jesteś ani poetą, ani aktorem, więc nie możesz być jego rywalem. Jako twórca pięknych przedmiotów w złocie i srebrze łatwo mógłbyś pozyskać przychylność Nerona. Gdyby to się udało, każdy rzymski bogacz biegłby do twoich drzwi. Stałbyś się bogaty i sławny.

Roztaczała przed nim ponętną perspektywę. Zatrzymał ją w myślach, rozważając na wszystkie strony, i coraz bardziej był nią urzeczony. Helena zaś opowiadała dalej, co słyszała o dworze rzymskiego imperatora, o jego wspaniałości i ekstrawagancji, o jego szaleństwach i niebezpieczeństwach.

- Mówiłeś, że chcesz się odwdzięczyć - powiedziała na zakończenie. - Będzie ku temu

sposobność w Rzymie. Jedź i próbuj szczęścia na dworze Nerona. Na początku nie może być między nami jawnej przyjaźni. Ale potem... któż to może wiedzieć? Nie mówię tak dlatego, że uderzył mi do głowy nastrój, kiedy siedzę tu z tobą. Myślałam o tym już przed laty, kiedy po raz pierwszy, w domu twego ojca, zobaczyłam rzeźbione przez ciebie drewniane figurki. Pomyślisz, że jestem okropnie wyrachowaną kobietą, i może tak jest. W każdym razie zdaję sobie sprawę, że tylko mężczyzna może zajść wysoko na tym świecie, a rachuby kobiece muszą się obracać wokół mężczyzny.

Potem dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, spoglądając na poszarpaną darninę areny i upiornie pustą widownię. W umyśle Bazylego wrzało. Co się z nim dzieje? Jak dalece może się zaangażować w te miraże sławy i bogactwa, jakie ona przed nim roztacza? Czy pragnie utrzymać ten związek zrodzony w tak dziwnych okolicznościach, a obecnie grożący zmąceniem tego, co uważał za szczęśliwą i pogodną przyszłość? Najbardziej go niepokoiła troska o Deborę. Ona pierwsza zajęła miejsce w jego sercu, a teraz Helena uzurpowała sobie prawo do znacznej części jego myśli.

Helena westchnęła. Ścisnęła jego ramię i zajrzała mu w oczy z pożegnalnym uśmiechem, zanim opuściła zasłonę na twarz. Podniosła się.

- Szymon mógł zauważyć, że wyszłam z domu. Albo ten szpiegujący pisarczyk, którego widok mrozi krew w moich żyłach. - Podniosła ostrzegawczo rękę. - Nie, nie możesz iść ze mną. Wrócę tą samą drogą. Zostań tu, dopóki nie przejdę przez plac. I pamiętaj, Bazyli, o wszystkim, co powiedziałam!...

Ruszyła w drogę powrotną, wzdłuż pogrążonych w ciszy rzędów ławek. Jej ciemna suknia okrywała szczelnie wiotką figurę. Usłyszał jeszcze szept:

- Spotkamy się w Rzymie.

Rozdział XI

1

Głęboka bruzda zatroskania znaczyła czoło Aarona, kiedy przybył do domu zajmowanego obecnie przez Ananiasza. W porównaniu z okazałym pałacem Józefa, dom arcykapłana wyglądał bardzo skromnie. Pogrążony w swych myślach nie spostrzegł, że dwóch mężczyzn, stojących blisko wejścia, skinęło głowami do siebie, kiedy przechodził obok nich.

Dom arcykapłanów Świątyni zawsze był niepozorny i skromny, nabrał jednak splendoru, od kiedy Ananiasz objął ten wysoki urząd. Służący z szerokim błękitnym pasem na tunice skierował Aarona na schody. Kiedy po nich wchodził, miał nad sobą, na ścianie podestu, postać złotego anioła wielkości człowieka. Drugi służący, w takim samym stroju, stał przed drzwiami pokoju, w którym arcykapłan przyjmował swych gości. Jak daleko sięgała ludzka pamięć, pokój ten urządzony był skromnie jak więzienna cela. Miało to podkreślać fakt, że osoba, która w nim urzęduje, poświęca się całkowicie ciężkiej i odpowiedzialnej pracy zarządzania Świątynią. Ananiasz, który za młodych lat był sybarytą, stracił później delikatność smaku, dogadzając sobie w nie pohamowany niczym sposób. Tamten okres pozostawił jednak po sobie ślad w postaci artystycznych przedmiotów, jakimi się otaczał. Dawna surowość pokoju przyjęć arcykapłanów ustąpiła więc miejsca pewnemu przepychowi. Na ścianach wisiały wspaniałe stare makaty, a w rogu stała szafka z pięknymi figurkami z paryjskiego marmuru. Na stole dużo było brązowej skóry, złotej folii i cenne pióro z rączką wysadzaną drogimi kamieniami.

- Prędki jesteś - powiedział Ananiasz, podnosząc głowę z krótkim i niezbyt serdecznym skinieniem.

- Przyszedłem natychmiast po otrzymaniu twojego zaproszenia.

Arcykapłan był człowiekiem zmysłowym, brzuch miał wydatnie zaokrąglony, twarz ostrą i okrutną. Widać było, że jest bardzo próżny. Nie poprzestając na gładkiej niebieskiej tunice codziennego użytku, przywdział efod, szatę z wyszukanym haftem, używaną zazwyczaj tylko w dni uroczyste. Efod zwykle był noszony z kapłańskim napierśnikiem, w którym znajdowały się urim i tummim * oraz drogie kamienie, ale jego próżność nie sięgała tak daleko, by złamać przyjęte zwyczaje. Na białych palcach nosił wiele pierścieni.

Urim i tummim - święte przedmioty (może kamienie?) używane prawdopodobnie jako święte losy przy zasięganiu rady Jahwe (przyp. red.).

- Donoszą mi - odezwał się Ananiasz - że stan twego ojca bardzo się pogorszył.

- Lekarze podczas ostatniej wizyty dali mu zaledwie kilka godzin życia - odparł Aaron. - Było to przed trzema dniami, ale jeszcze żyje. To zaczyna graniczyć z cudem.

- My, to znaczy ty i ja, nie jesteśmy sentymentalni - powiedział arcykapłan, a jego blisko osadzone oczy czujnie obserwowały twarz gościa. - Jesteśmy tu sami. Mogę więc pozwolić sobie na szczerość i powiedzieć, co myślę. Dla nas wszystkich byłoby lepiej, gdyby czcigodny Józef został złożony w grobowcu swych przodków.

Gdyby zajrzeć do chłodnych zakamarków umysłu Aarona, okazałoby się, że podziela ten pogląd. Upływ lat powiększał stale rosnącą niecierpliwość oczekiwania na dzień, w którym zdobędzie pełną kontrolę nad wielkim imperium handlowym stworzonym przez ojca. Nie mógł jednak otwarcie przyznać się do tego.

- Muszę się pogodzić z rozłąką, wobec której stoimy.

Grube wargi Ananiasza rozchyliły się we wzgardliwym uśmiechu.

- Wydaje się, że moje plany były nazbyt wygórowane - powiedział. - Choroba, która się przyczepiła do jego opasłego ciała, przerzedziła mu brodę. Zaczął przeczesywać palcami resztki wątłych, szarych kłaków, a oczy zamigotały mu złośliwie. - Musimy powziąć pewne decyzje, które wymagają szczerości podejścia, ale ulegając hipokryzji, która tak często zaciemnia stosunki między ojcem a synem, a której ty zdajesz się w pełni hołdować, będziemy dobierali słów, uwzględniając te wszystkie finezyjne dwuznaczności i ograniczenia.

Potrząsnął dzwonkiem. Rozległ się miękki, srebrny dźwięk, pasujący do świętych powinności spełnianych w tym pokoju.

Aaron obserwował Ananiasza w Sanhedrynie przed kilku dniami, kiedy straże, złożone z rzymskich żołnierzy, przyprowadziły Pawła na przesłuchanie przed tym surowym trybunałem. Doznał wstrząsu widząc gwałtowność metod arcykapłana. Gdy tylko Apostoł zaczął przemawiać ze zwykłym sobie zapałem, Ananiasz kazał strażnikom uderzyć go w twarz. Paweł, któremu krew spływała po policzkach, odpowiedział klątwami, które zmroziły i przeraziły członków Sanhedrynu, bowiem odnosiły się do głowy Świątyni. Później jednak porwała ich obrona, do jakiej Paweł przystąpił. Członkowie Sanhedrynu użerali się jeszcze przez całe godziny, kiedy już zabrano Pawła z powrotem do twierdzy Antonia, chociaż jasne było dla wszystkich, że los wymownego Apostoła nie zależy już od nich, lecz będzie rozstrzygnięty w Rzymie.

Uczucie niezadowolenia arcykapłana udzieliło się teraz Aaronowi. “Człowiek taki jak on - pomyślał - bardziej się przyczynia do skłaniania ludzi ku wierze chrześcijańskiej, niż całe złoto, jakie mój ojciec na to stracił.”

Wezwany dzwonkiem służący przyniósł popiersie Pawła, które Bazyli zostawił na Podwórcu Pogan. Ustawił je na rogu stołu, przy którym siedział Ananiasz. Paweł spoglądał na niego z takim samym wyzwaniem, jakie żywy model demonstrował przed Sanhedrynem. Arcykapłan sięgnął ręką i odwrócił popiersie z rozmachem. Dumny był ze swych rąk i zawsze ich

używał z pewną ostentacją, jakby zależało mu na pokazaniu, że jakaś część jego osoby zachowała w pewnym stopniu cielesny wdzięk.

- Siedziałeś z nami, kiedy przyprowadzono tego człowieka - tu wskazał na rzeźbę - na przesłuchanie.

Aaron skinął głową.

- Tak, rabbani.

Arcykapłan zapałał gniewem na samo wspomnienie.

- Słyszałeś, że mnie nazwał "pobielaną ścianą"! Nazywano mnie już bardziej obelżywymi wyrazami, ale to jest dla mnie najtrudniejsze do strawienia. Nigdy tego nie zapomnę Pawłowi z Tarsu. Moja wrogość będzie mu towarzyszyła do końca jego dni. - Potem kiwnął energicznie głową. - Ale nie sprowadziłem ciebie tutaj, Aaronie ben Józefie, na rozmowę o tym wytrwałym zwolenniku herezji. Chcę pomówić o utalentowanym artyście, który wykonał tę głowę. Zdajesz sobie sprawę, naturalnie, że to ten artysta wyratował dziewczynę, która rzuciła kamieniem w rzymskich żołnierzy.

- Słyszałem, że tak mówiono.

- Musisz też wiedzieć, że to ten sam człowiek, którego twój ojciec sprowadził z Antiochii.

Aaron wyczuł pułapkę i odparł ostrożnie:

- Wątpię, czy to ten sam człowiek. W Jerozolimie jest wielu artystów i złotników.

- Lecz tylko jeden, który potrafi wykonać tak świetną robotę. Wiesz, rzecz prosta, że ten człowiek nadal mieszka pod dachem twego ojca?

Aaron dał się zaskoczyć.

- Jestem pewien - zawołał - że ten młody artysta już opuścił nasz dom po wykonaniu zamówionej rzeźby.

- Widocznie jestem lepiej od ciebie poinformowany, co się dzieje w tym ogromnym kamiennym mrowisku, które twój ojciec nazywa swoim domem. Mogę ci nawet powiedzieć, w jakim dobrze ukrytym kącie twego domu ów młodzian jest ulokowany. - Wpatrywał się uporczywie we własne dłonie, lecz teraz spojrzał do góry i utkwił twardy wzrok w Aaronie. - Mogę ci nawet powiedzieć, jaką pracą zajmuje się teraz.

- Przepędzę go! - zawołał Aaron z wyrazem oburzenia.

- Jeszcze na to nie pora - powiedział arcykapłan. - To jest coś, co nie powinno dojść do uszu Rzymian. Choć bardzo bym chciał poniżyć pychę Józefa z Arymatei, nie pragnę tego dokonać nazbyt wielkim kosztem. Rzymianie chętnie skorzystaliby z każdego pretekstu, żeby wkroczyć i skonfiskować cały jego dobytek, ale zapewniam cię, że nie chciałbym tego tak samo jak ty. Musimy być rozsądni, pogrzebać ten incydent w niepamięci i nigdy więcej o nim nie wspominać.

W każdym razie nie chcę, żeby niepokojono tego młodego człowieka. Ma w sobie zadatki na geniusza. Skłonny jestem niemal uwierzyć, że duch Skopasa powrócił i przemawia teraz opuszkami jego palców. Czy rozumiesz Skopasa i jego dzieła?

Aaron potrząsnął głową. Widać było, że uważał tę sprawę za mało istotną.

- Skopas - wyjaśnił arcykapłan - był pierwszym artystą, który włączył ludzkie uczucia w formalną doskonałość greckiej rzeźby. Mężczyźni i kobiety, których on uwiecznił w marmurze, pełni byli miłości, nienawiści i bojaźni. Czynił to w sposób bezbłędny. Wydatny nawis brwi dodawał siły uczuciom, chociaż oczy były mocno ocienione. Rozdęte nozdrza wyrażały podniecenie. To prawda, że jego styl był nieco chropowaty i chyba brakowało mu formalnej doskonałości jego poprzedników. Wniósł jednak nową nutę do tej najbardziej trwałej ze wszystkich form sztuki. - Zaczął sapać z nadmiernego wysiłku i musiał przerwać, żeby nabrać tchu.

- Zaczynam mówić tak rozwlekle, jak ten nadęty bałwan Jorim, który prowadzi modlitwy w Świątyni, niech Jahwe ma nas w swej opiece! Muszę wszakże nadmienić, że w tej godnej uwagi głowie Pawła jest wiele ze stylu Skopasa. Nie chcę, zaprawdę, aby ten młody człowiek był potraktowany brutalnie! Chcę, żeby tworzył rzeczy tak piękne jak ta. Lecz, Aaronie, robią z tego artysty narzędzie w bardzo niebezpiecznych sprawach... Już ci powiedziałem, że nadszedł czas szczerości między nami. Niczego nie będę taił. Ktoś ze służby w twoim domu jest od pewnego czasu opłacany przeze mnie. Zeszłego wieczoru przyniósł mi wiadomość, że w domu twego ojca ukryty jest pewien Kielich. Jest zwyczajny i tani, lecz każdy chrześcijanin chętnie oddałby życie za sam przywilej dotknięcia tego Kielicha. Jest to Kielich, którego używał Nazarejczyk, kiedy po raz ostatni łamał chleb ze swymi uczniami. Twój ojciec zatrudnił tego młodego Greka, żeby wykonał srebrną oprawę Kielicha.

- Zapewniam cię, że nic o tym nie wiedziałem.

- Wiem. Twój ojciec trzymał to w tajemnicy i dopiero niedawno pokazał go innym osobom. Od wielu lat wiedzieliśmy o istnieniu tego Kielicha i zdawaliśmy sobie sprawę z jego znaczenia. Wszędzie go szukano. - Jego ręce zacisnęły się mocno, wyrażając bezwzględność ich właściciela. - Nie zaznam chwili spokoju, dopóki nie przyniosą go do mnie i dopóki nie zobaczę, jak rozbijają go na kawałki i rozcierają w proch na moich oczach! Nakazuję ci, Aaronie ben Józefie, żebyś natychmiast, dziś jeszcze, znalazł ten Kielich i przyniósł go do mnie!

To żądanie wywołało nieoczekiwaną zmianę w zachowaniu syna Józefa z Arymatei. Jego chudą twarz oblał rumieniec obrazy.

- Mój ojciec jest umierający. Czy uważasz mnie za człowieka tak pozbawionego uczuć, że zakłócę jego ostatnie chwile?

- Pozwól, że ci wyjaśnię - odparł Ananiasz. - Nauczanie Pawła wprowadza rozłam w

szeregach chrześcijan. Wszyscy Żydzi, nawet ci wierzący w Nazarejczyka, oburzają się na upór Pawła, który chce zrównać z nami pogan. Są głęboko przekonani, że od tej chwili nowi wyznawcy będą rekrutowani spośród pogan! A teraz mamy tu jeszcze tego przeklętego magika, tego cuchnącego Samarytanina, budzącego wątpliwości we wszystkich umysłach cudami, jakich dokonuje. - Rumieniec podniecenia pojawił się na twarzy arcykapłana. - Mając w ręku dwa tak mocne narzędzia, może zdołamy stłumić po wszystkie czasy tę groźną herezję! Nie rozumiesz? Nie możemy pozwolić, aby ich przywódcy wydobyli Kielich w tym momencie i użyli go jako nowego środka pojednania!

- Od jak dawna Kielich jest w posiadaniu mego ojca?

- Od paru lat...

- A więc - Aaron z zadowoleniem machnął ręką - nic się nie stanie, jeśli to potrwa jeszcze kilka dni.

- Kilka dni! - zawołał arcykapłan. - Nawet kilka godzin może nas zgubić. Czy nie zdajesz sobie sprawy, Aaronie ben Józefie, że mogę zmusić was do posłuszeństwa?

Lecz Aaron zajął już stanowisko, a kiedy raz coś postanowił, niełatwo go było od tego odwieść.

- Ty jesteś arcykapłanem - powiedział - masz więc wielką władzę. Masz władzę nad Świątynią, posłuszeństwem kapłanów i lewitów, synów Zadoka, śpiewaków i tragarzy. Być może ich sztylety są pod twymi rozkazami.

Nozdrza arcykapłana drgały gniewnie.

- Może to i prawda.

- My jednak też mamy władzę - ciągnął Aaron. - Innego rodzaju, niemniej jednak trzeba się z nią liczyć. Władzę pieniądza, władzę potężnego szekla. Nasze wpływy sięgają daleko poza granice diaspory. Żaden dom handlowy w Jerozolimie nie mógłby dalej pracować, gdybyśmy zarządzili inaczej. Biorąc pod uwagę naszą siłę, pomyśl nie tylko o tym, co możemy zdziałać: pomyśl też o tym, co możemy zniweczyć.

Teraz Ananiasz rozgniewał się na dobre. Zabrał ręce ze stołu i opuścił na podołek, ale zanim to zrobił, jego gość zobaczył, że ręce mu drżały ze złości, jaka nim zawładnęła.

- Przed godziną, Aaronie ben Józefie, wydałem polecenie Rubowi Samuelowi, żeby jego ludzie otoczyli twój dom; mają to być ludzie najgorliwsi i najchętniejsi. W tej chwili są już na stanowiskach. Nikomu nie będzie wolno wejść ani wyjść bez przesłuchania, a w razie potrzeby zrewidowania. Zatrzymają nawet ciebie, syna i przyszłą głowę domu. Mówiliśmy o władzy. Oto jej manifestacja!

- Statek z Troady jest spodziewany za parę dni w przystani Joppy - odparował Aaron. -

Wiezie cenny ładunek. Jeśli Józef z Arymatei zadecyduje, że nic nie można kupić, nie będzie kupujących. Właściciele statków ponieśliby dotkliwe straty. Oni wszyscy są ludźmi z Jerozolimy i przypominam sobie, że na liście jest osobnik pełniący wysokie stanowisko w Świątyni.

Podejmując wyzwanie do walki, Aaron zdawał się rozsmakowywać w tej roli.

- Mówiliśmy o władzy. Oto inna jej manifestacja!

Gwałtowny gniew, który spowodował, że arcykapłan nakazał czynnie znieważyć Pawła w sądzie, znów w nim zapłonął. Zaczął walić w stół pięściami.

- Ty uparty synu nie nawróconego ojca! - zawołał.

Aaron, przypominając sobie zebranie Sanhedrynu, powstał i przechylił się przez stół.

- Ty pobielana ściano! - wykrzyknął.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem Ananiasz opadł na oparcie fotela. Zaczął się śmiać. Jego śmiech był tak gwałtowny, że wielkie zwały brzucha trzęsły się pod niebieskim pasem ze srebrną frędzlą, przepasanym wokół talii. Dzwonki na jego tunice głośno dźwięczały.

- Nigdy cię nie lubiłem - odezwał się. - Wydawałeś mi się tak ograniczony duchowo, jak muł domokrążcy. Ale teraz nabieram dla ciebie podziwu. Tak bardzo zmieniłem zdanie, że ubiję z tobą interes. Posłuchaj.

Otarł łzy, które napłynęły mu do oczu.

- Człowiek, który mi przyniósł wiadomość o Kielichu, za co zapłaciłem ładną sumkę, miał mi jeszcze coś ważnego do powiedzenia. Dotyczy to ciebie, mój przyjacielu, którego uczucia wolno się rozpalają, ciebie i fortuny, którą masz odziedziczyć. Powiem ci, o co chodzi, o ile ty, ze swej strony, złożysz mi przyrzeczenie, że nie będziesz w żaden sposób przeszkadzał ludziom Ruba Samuela i że z chwilą, kiedy twój ojciec zamknie oczy, przywołasz ich dla strzeżenia domu, podczas gdy ty będziesz szukał Kielicha. Ponadto masz przyrzec, że w razie potrzeby każesz zburzyć każde przepierzenie w domu i zerwać każdy kawałek posadzki, zanim się go nie znajdzie. A potem przyniesiesz go do mnie.

Policzki arcykapłana przybrały odcień fioletu. Przerwał na kilka chwil, usiłując odzyskać oddech.

- Czyż nie jest to rzetelny układ między upartym synem nie nawróconego ojca i arcykapłanem nazwanym dwukrotnie, prosto w twarz, pobielaną ścianą? Czy ubiliśmy interes? Wyrażasz zgodę?

Aaron, nieco zmieszany swoim nieobliczalnym wybuchem, opadł na krzesło. Teraz jednak poczuł się dumny, że obrzucił zniewagami i pogróżkami głowę Świątyni. Skinął głową.

- Zgoda - powiedział.

- Słuchaj więc. Twój ojciec ukrył dużą część twojej spuścizny. Jest zbyt dobrym Żydem,

żeby to zrobić w dyrektywach swego testamentu. Od wielu lat deponuje część swych dochodów u bankiera Jabeza w Antiochii. Te fundusze, których suma jest znaczna, po śmierci Józefa przejdą na twoją córkę. Ona przyjęła wiarę chrześcijańską i ma być, w pewnym sensie, strażniczką tych pieniędzy. Przynajmniej pewna ich część jest przeznaczona na użytek przywódców chrześcijan. Tym sposobem ojciec twój będzie nadal podtrzymywał tę herezję po swojej śmierci.

Zapewne po raz pierwszy w życiu twarz Aarona wyrażała wszystkie napełniające go uczucia. W rozszerzonych oczach, rozognionej twarzy, w spazmatycznym prostowaniu i zaciskaniu palców można było wyczytać gniew i determinację. On z pewnością nie da sobie odebrać żadnej części spuścizny.

- Czy twoja córka ukończyła już trzynaście lat i jeden dzień? - zapytał arcykapłan.

Aaron skinął głową.

- Obchodziła piętnaste urodziny.

- Jest więc dorosła według prawa. Miałem nadzieję, że jest jeszcze niepełnoletnia i nie może przejąć tej spuścizny, chyba że zostanie przekazana pod zarząd powierniczy. - Kapłan spojrzał ponuro na swego gościa. - Dam ci pewną radę. Córka twoja, choć pełnoletnia, jest jeszcze niezamężna i znajduje się pod twoją opieką. Znajdź zaufanego pośrednika, gotowego do podróży, jak tylko twój ojciec umrze. Wyślij go do Antiochii najszybszym statkiem, jaki posiadasz albo możesz wynająć. Daj mu pisemne pełnomocnictwo z żądaniem wydania pieniędzy w twoim imieniu, jako ojca dziewczyny. Kiedy dostaniesz te fundusze w swoje ręce, będziesz mógł zarządzać nimi tak, aby nawet pół szekla nigdy się nie dostało do chrześcijańskiej sakiewki. Wiesz, co mówi prawo: opiekun może “kupować, sprzedawać, budować, rozwalać, oddać w najem, sadzić, siać...” Zresztą, wiesz równie dobrze jak ja, co ono mówi. - Ananiasz przechylił się przez stół, uporczywie wpatrując się w swego gościa. - Chyba zdajesz sobie sprawę, jakie to jest ważne. Przede wszystkim dopilnuj, żeby dziewczyna nie wyszła za mąż. Kiedy będzie miała męża, skończą się twoje prawa, bowiem przejdzie pod jego opiekę. Pamiętaj, Aaronie, nie wolno jej wyjść za mąż.

2

Tego dnia Bazyli nie miał apetytu na posiłek przyniesiony mu o godzinie piątej. Posiłek był lepszy niż zwykle. Składał się z plastra gorącego mięsa i ciasta, gęstego jak keroszita. To wspaniałe danie, robione z daktyli, rodzynek, fig i migdałów, podawano raz do roku z paschalną cielęciną. Odezwał się do służącego, który przyszedł zabrać naczynia:

- Zjedz to sam, Escholu Ropucho.

Służący, z oczami chciwie wpatrzonymi w ciasto, odparł:

- Odetnę przy nadgarstku każdą dłoń, która spróbuje mi odebrać choćby jeden kęs.

W Bazylim narastał niepokój i napięcie. Powietrze w pomieszczeniu za workami z mąką z każdym dniem stawało się bardziej zatęchłe. Tętnienie w głowie sprawiało, że światło lampy oliwnej było nie do zniesienia. Większość czasu spędzał w ciemności. Pozostawała mu tęsknota za ludźmi. Niepokoiło go, że obraz Heleny bez przerwy napełniał jego umysł. Widział ją taką, jaka mu się ukazała rankiem, podczas drugiej jego wizyty w domu Kokbena, kiedy wyglądała tak świeżo i uroczo w surowej płóciennej szacie, z bosymi stopami i bujnymi, czarnymi włosami spuszczonymi na plecy, albo siedzącą obok niego w pustym Gimnazjonie z głową opartą o jego ramię.

Chociaż pozwalał, by Helena zagarniała wszystkie jego myśli, wiedział, że zainteresowanie nią jest niemądre i niezdrowe. Nie omieszkał zauważyć, że jej ciemne oczy, tak łagodne i piękne, potrafiły być twarde i wyrachowane. Jej głos, zazwyczaj miękki i spokojny, miał czasami inne brzmienie. Okazała mu przychylność, która wywoływała dzwonienie w uszach, gdy o tym wspominał, nie był jednak przekonany, czy to coś głębszego od troski o samą siebie. Tak, potrafiła być zimna i twarda, to jednak, zamiast wzbudzić w nim czujność i rozwagę, jeszcze mocniej podsycało jego uczucie.

- Dobrze się składa, że jestem tutaj tak przykuty - powtarzał sobie wielekroć. - Gdybym się odważył wyjść, od razu poszedłbym ją zobaczyć, a nic prócz zła nie mogłoby z tego wyniknąć.

Gdy cały dom pogrążył się w ciszy, Bazyli wyszedł ze swej kryjówki. Najpierw odwiedził łaźnię niewolników, gdzie się dokładnie wymył. Tępy ból głowy minął przy pierwszym dotknięciu czoła zimną wodą. Poczuł się tak orzeźwiony, że powiedział sobie: “Jutro muszę zabrać się do pracy.” Zastanawiał się, kiedy wróci Debora i przez chwilę jej obraz wyparł z jego myśli śniadą czarodziejkę. Po obmyciu ciała postanowił zaryzykować wyprawę na Dziedziniec Pakowaczy, żeby rozprostować nogi. W ciągu dnia ta odkryta przestrzeń była terenem bardzo ożywionym. Spoceni tragarze przychodzili i wychodzili, cieśle otwierali przywiezione z daleka skrzynie albo wbijali gwoździe do skrzyń z wysyłanymi towarami. Często nocą wyruszał w tamtą stronę, żeby mieć więcej przestrzeni do spacerowania i popatrzeć w górę na gwiazdy, co dodawało mu otuchy i sprawiało przyjemność.

Tej nocy jego wypad został zakłócony. Kiedy się przechadzał tam i z powrotem po dziedzińcu, ostrożnie stąpając między drewnianymi skrzyniami i wiklinowymi koszami, omijając stojaki na narzędzia i stawiając ostrożnie bose stopy, aby nie nadepnąć na leżące wszędzie gwoździe, nabrał przekonania, że nie jest sam. Słyszał w ciemności czyjś oddech i ciche szelesty. Stanął bez ruchu obok wysokiego kosza, który przybył z Dalekiego Wschodu i jeszcze zachował podniecający zapach korzeni i nieznanych owoców.

Wreszcie wykrył, że odgłosy dochodzą ze wschodniej strony dziedzińca. Wiedział, że

znajduje się tam długa sala z dwojgiem drzwi wychodzących na dziedziniec; zawsze stały otworem i nigdy nie były używane. Chociaż z tego pomieszczenia nikt nie korzystał, ślady dawnego znaczenia jeszcze w nim przetrwały. Wielkie półki z czarnego i brązowego drewna stały przy ścianach, a wszędzie leżały stosy zbutwiałych pergaminów. Ze wszystkich pomieszczeń w wielkim domu ten pokój najmniej się nadawał na nocną wizytę. A jednak, po długiej chwili oczekiwania, Bazyli usłyszał skrzypnięcie z tamtej strony, a potem błysnęło światło oliwnej lampy. Zdziwił się niezmiernie, widząc zdeterminowaną twarz Aarona nad płomieniem lampy.

Syn pana tego domu przeprowadzał poszukiwania. Poruszał się ukradkiem po komnacie, trzymając przed sobą lampę, jego oczy biegały nerwowo to tu, to tam. W końcu zbliżył się do otwartych drzwi, znajdujących się blisko milczącego świadka i wtedy Bazyli zorientował się, że tuż obok drzwi ustawiono łóżko, a co więcej, że ktoś na nim leży. Syn pana domu stał obok łóżka przez długą chwilę i patrzył w dół. Nie mogąc dojrzeć twarzy śpiącego, Bazyli obserwował twarz Aarona, odczytując w niej sprzeczne uczucia gniewu i chciwości, litości i namiastki dobroci.

Przykrycie na łóżku poruszyło się i doszedł go cichy głos Józefa z Arymatei:

- Czy to ty, synu?...

- Tak, ojcze.

- Czego chcesz?

W odpowiedzi Aaron zadał pytanie:

- Jakiż to dziwny kaprys sprawił, że kazałeś przenieść łóżko tutaj, na dół?

Umierający nie od razu dał odpowiedź, a kiedy to zrobił, głos jego brzmiał tak słabo, że do znieruchomiałego w ciemności słuchacza dochodziły tylko pojedyncze słowa. Usłyszał jednak dość, aby zrozumieć, że Józef jest przekonany, iż mógłby pożyć dłużej, gdyby znalazł jakiś sposób na zajęcie swych myśli. Z tego pokoju korzystał przez wszystkie lata swego czynnego życia. Kazał się tu przenieść, bo nie mógł znieść odrętwienia, w jakie popadał w swych górnych pokojach.

Aaron przerwał mu z nutą zniecierpliwienia w głosie:

- Nie postawiłeś tu nogi od przeszło dziesięciu lat, od czasu, kiedy zrezygnowałeś z pełnego nadzoru.

- To prawda. Popełniłem ciężki błąd decydując się poniechać wszystkiego. Teraz widzę, że od tamtego czasu niewiele robiłem... poza oczekiwaniem na śmierć.

- Teraz śmierć się zbliża. Musisz zdawać sobie z tego sprawę, ojcze. Co dobrego może ci dać takie przeniesienie do tego dusznego i nagrzanego kąta? Nie ma tu czym oddychać! Jeśli tu pozostaniesz, to tylko przybliżysz swój koniec.

- Nie, mój synu. Jeśli zdołam zająć czymś umysł, mogę jeszcze pożyć. Choć trochę dłużej: tydzień, może dwa. To wystarczy, jak myślę, bym zrobił to, czego pragnę.

- Słyszę - stwierdził Aaron tonem zimnym i oskarżycielskim, a wszelki ślad dobroci zniknął z jego oczu - że zacząłeś przywoływać tutaj naszych pracowników. Wypytujesz ich, wydajesz polecenia. Słyszę też, że żądasz przedstawienia ci wykazów.

- Mówię ci, że staram się zająć czymś swój umysł.

- Chyba tracisz rozum!

Bazyli tak był zajęty tą utarczką między wielkim kupcem a jego synem, iż odważył się wyjrzeć spoza pustego kosza po przyprawach korzennych. Józef zmienił swą pozycję na łóżku i teraz Bazyli mógł zobaczyć jego twarz. Wstrząsnął się, widząc jak bardzo jest wychudzony. Oczy głęboko zapadły pod szlachetny łuk czoła. Nastąpiła długa chwila milczenia, zanim starzec odpowiedział:

- Jestem chory na ciele i duchu, lecz mój umysł jest tak jasny, jak dawniej.

Rozbiegane spojrzenie syna ani na chwilę nie zatrzymało się na jednym miejscu. Aaron zaglądał we wszystkie kąty i ukradkiem obserwował poduszki, na których spoczywała głowa ojca.

- Rano - oznajmił Aaron - wydam polecenie, żeby cię przeniesiono z powrotem.

Józef odpowiedział natychmiast głosem silniejszym i żywszym:

- Zostanę tutaj. Żadne rozkazy, jakie wydasz, mój synu, nie zostaną wykonane. Miej to na uwadze. Byłem zawsze panem w swoim własnym domu i pozostanę nim aż do ostatniego tchnienia.

- Nie sądzę. Robisz rzeczy szalone, na które nie pozwolę. Wiem, co wymyśliłeś, do jakich niegodziwych podstępów zamierzasz się uciec wobec swego jedynego syna! Trudno się dziwić, że nie możesz spokojnie umrzeć, mając na sumieniu taką nieuczciwość!

- Wiele mam na sumieniu, Aaronie, mój synu. Zdaję sobie sprawę, że zgrzeszyłem w oczach Boga i Jego ukochanego Syna... Tyle rzeczy zaniedbałem. Ale jeśli chodzi o ciebie, mam czyste sumienie. Otrzymasz wszystko, co ci się należy, może nawet więcej. Będziesz najpotężniejszym kupcem na świecie. Czy to nie wystarczy?

Aaron omal nie wybuchnął leżącym mu na sercu oskarżeniem, lecz ostrożność powstrzymała w porę jego język. Gdyby teraz ojciec dowiedział się, że on zna tajemnicę Kielicha, z pewnością przedsięwziąłby odpowiednie środki ostrożności. Tym bardziej Aaron nie powinien zdradzić się z tym, że wie o funduszach zdeponowanych w Antiochii. Poprzestał więc na słowach:

- Zawsze wiedziałem, ojcze, że nie bardzo mi ufasz.

- Aaronie, mój synu - odparł Józef ze smutkiem - jeśli zgrzeszyłem wobec ciebie, to tylko tym, że mi się nie udało nic zrobić dla twojej nieśmiertelnej duszy.

- Moja dusza to moja sprawa. Musisz wiedzieć, że się skłaniam ku saduceuszom i nie wierzę w życie po śmierci, o którym tak dużo mówisz.

- Mój synu! Czy muszę umrzeć, zostawiając ciebie w zupełnych ciemnościach?

- Jest coś, o czym ci muszę powiedzieć - rzekł Aaron, ostrożnie czerpiąc z wiedzy, którą przyniósł od arcykapłana. - Ludzie ze Świątyni kupowali informacje od jednego z naszych sług. Zgadnij, o czym się dowiedzieli? A teraz Mar, jak zaczynają nazywać Ruba Samuela, rozstawił swoich ludzi wokół domu i nikt nie może wejść ani wyjść bez zatrzymania.

Wynędzniałe ciało na łóżku poruszyło się niespokojnie.

- Tylko dlatego, że umieram, on się ośmiela coś podobnego robić!

- Ojcze, na świecie nastąpiły wielkie przemiany od czasu, kiedy się wycofałeś. Nawet gdybyś był teraz młody, u szczytu swej władzy, nie mógłbyś walczyć z tym człowiekiem i jego organizacją. Mówię to, żeby cię ostrzec. Nie próbuj niczego, co da im powód wtargnięcia do domu. - W głosie Aarona nie było już ani śladu współczucia. - Jeśli nadal będziesz próbował okraść mnie, twego syna, i prawowitego spadkobiercę, wtedy przyłączę się do nich, żeby walczyć o swoje prawa!

- Za długo żyłem! - w głosie Józefa brzmiała żałosna nuta. - Dożyłem tego, że rodzony syn grozi mi połączeniem się z moimi wrogami!

Gdyby Bazyli mógł podsłuchać rozmowę Aarona z arcykapłanem, zaoszczędziłby sobie niepokoju. W obecnym stanie rzeczy natychmiast doszedł do wniosku, że zeloci pilnują domu tylko po to, by dostać go w swoje ręce. Wpadł w taką panikę, że zaczął gorączkowo snuć plany ucieczki, nie słuchając już rozmowy między ojcem i synem. Zdawał sobie jednak sprawę, że wciąż jeszcze rozbrzmiewa cierpki i groźny głos Aarona i że dopiero wtedy, gdy wyczerpany Józef nie był w stanie bronić się dłużej - Aaron zrezygnował.

Bazyli odczekał, aż lampa trzymana przez Aarona zniknie w korytarzu wiodącym do mieszkalnego skrzydła. Potem wyszedł z Dziedzińca Pakowaczy i wsunął się w ciemnościach do swego schronienia. Był pewny, że to miejsce już za kilka godzin przestanie być dla niego schronieniem. Nie miał żadnych szans na ucieczkę, a nawet gdyby zdołał dokonać tego, co się zdawało niemożliwe, dokąd mógł pójść?

Po raz pierwszy od ostatniego spotkania z Heleną, jej niepokojąca postać nie pojawiła się w jego myślach przez resztę bezsennej nocy.

3

Łukasz był zaskoczony, kiedy następnego ranka zatrzymano go przy domu Józefa. Niespodziewanie dwóch mężczyzn stanęło między nim a drzwiami, jakby wyrośli spod ziemi. Byli posępni, zachowywali się nieprzyjaźnie i groźnie.

- Kim jesteś? - zapytał jeden z nich, niski mężczyzna, z barkami i ramionami goryla. Mówił

po hebrajsku, nie po aramejsku, i Łukasz doszedł do wniosku, że jest zelotą. Większość nacjonalistów powróciła do czystego języka swych przodków, pogardzając używanym obecnie językiem mieszanym, jakim porozumiewano się na całym Wschodzie.

Łukasz rozumiał język hebrajski, ale nim nie mówił. Odpowiedział po aramejsku:

- Nie widzę powodu, by ci odpowiedzieć.

- Jest wystarczający powód. - Niski mężczyzna rzucił groźne spojrzenie i wyciągnął spod tuniki sztylet zwany konchar. Pozwolił, żeby słońce odbiło się w jego ostrzu i znów go ukrył. - Oto powód! Dobry powód, mój staruszku, najlepszy ze wszystkich. Nie pozwolimy ci wejść, chyba że nas przekonasz o swoich uprawnieniach.

Na Łukaszu odbił się jego długi pobyt w upale Jerozolimy. Większość życia spędził na świeżym powietrzu, na morzu i w karawanach na wielbłądzie, w greckich miastach, uczepionych skał na wyniosłych cyplach z widokiem na spieczoną ziemię w dole, wzdłuż wybrzeża; zaiste wszędzie tam, dokąd palec Jahwe przywołał Pawła. Od czasu przyjazdu do Świętego Miasta czuł się urażony i przygnębiony ustawicznymi podejrzeniami, wzajemną zawziętością i niechęcią. Oczy przyćmiła mu troska, na czoło wystąpiła cała siatka nowych zmarszczek, nawet broda, przykrywająca mu pierś, zwisała smętnie.

- Jestem lekarzem - odpowiedział ze zniecierpliwieniem.

- Ach tak! - Strażnik obejrzał go od stóp do głowy. - Ten starzec wewnątrz jest bliski śmierci. Nic nie możesz dla niego uczynić. Żadne lekarstwa świata nie dodadzą mu ani dnia życia. - Po chwili niechętnego milczenia dodał: - I dobrze się stanie.

Przez chwilę trwała cisza. Naraz strażnik wybuchnął tak gwałtownie, że zaskoczył tym Łukasza.

- Nazywam się Minjamin. Czy słyszałeś o mnie? Myślę, że słyszałeś, starcze. - Zdawał się być dumny z siebie i gotów był głosić przed całym światem, kim jest, mimo że w domu Józefa znalazł się bezprawnie. - Zaś ty, brodaty przyjacielu, jesteś chrześcijaninem. Jestem tego pewny. Powinienem cię odprawić szturchańcem, ostrzegając, żebyś tu nigdy więcej się nie pokazywał. Wy, chrześcijanie, jesteście małodusznymi ludźmi; gotowiście ugiąć kolana przed Rzymem, zgodzić się z bezsilnym, niewolniczym uśmiechem na okowy. Ale to jeszcze nie jest najgorsze. Pouczacie innych, że to niesłuszne opierać się Rzymowi. To przez wasze nauczanie nie udało się nam zjednoczyć dzieci Izraela, żeby stanąć jak jeden mąż i stawić opór wrogowi naszego narodu! - Jego gniewne oczy nabiegły krwią. Wymachiwał sztyletem tuż przy twarzy Łukasza. - Ten wasz Paweł jest agentem Rzymu, szpiegiem, o ile nam wiadomo. On musi umrzeć. A ty, chytry, siwobrody staruchu, jesteś jednym z tych, co chodzą za Pawłem i spełniają jego rozkazy. Teraz, kiedy miałem sposobność dobrze ci się przyjrzeć, poznaję, że jesteś jednym z nich. Mam wielką ochotę chwycić

cię za to stare gardło i doprowadzić twój żywot do stosownego końca.

- Zostaw go, Minjaminie - wtrącił się drugi strażnik. - To spokojny i nieszkodliwy człowiek. Chce odwiedzić chorego starca w tym domu. Nie kazano nam zatrzymywać takich, jak on.

Drugi strażnik, wysoki i chudy jak szkielet, przeciągnął ręką po ciele gościa i nie znalazł niczego podejrzanego. - Pośpiesz się ze swoją sprawą - burknął. - I nie próbuj nic wynieść wychodząc. Jeśli zobaczymy jakieś wybrzuszenie pod twoją szatą, zajrzymy ci nawet pod żebra!

Łukasz był zdziwiony, że przyprowadzono go do pokoju wychodzącego na Podwórze Pakowaczy. Było tam gorąco i hałaśliwie, powietrze napełniały głośne okrzyki nadzorców, skrzypienie pił, miarowy stukot młotków. Kiedy zobaczył rozrzucone na łóżku arkusze pokryte kolumnami liczb, domyślił się przyczyny tej zmiany. Ale w tej chwili Józef nie zajmował się rachunkami. Jego ciało pod cienkim przykryciem było wzruszająco małe, zaś oczy wydawały się ogromne w kościstej masce twarzy.

- Mój dobry przyjacielu - odezwał się chory cichym szeptem - szczęśliwy jestem, że mogę cię jeszcze zobaczyć. Być może widzimy się po raz ostatni.

Łukasz nie przystąpił do zwykłych czynności lekarza. Wiedział, że na nic się to nie zda. Siadając przy łóżku pomyślał: “Tylko wola utrzymuje go przy życiu.”

Chory zrobił gest ręką, jakby chciał coś wyjąć spod poduszki, ale stwierdził, że brak mu na to sił.

- Mój syn wie o Kielichu - wyszeptał. - Ubiegłej nocy dręczył mnie pytaniami. I nie szczędził pogróżek. Nie wolno pozostawiać Kielicha w tym domu, bo po mojej śmierci oni go zdobędą. Nie jestem już w stanie zastanawiać się nad tym, jak można go uratować. W twoje ręce, Łukaszu, składam ten święty depozyt. - Jego głos tak przycichł, że lekarz musiał zbliżyć ucho do poruszających się ust, aby odróżnić słowa. - Jest pod poduszkami. Weź go i niech Bóg pomoże ci znaleźć sposób, żeby go bezpiecznie przechować.

Łukasz wsunął rękę pod poduszkę i znalazł wiele przedmiotów: zwój rachunków, woreczek ze złotem, krzyżyk wyrzeźbiony z kawałka kości słoniowej, filakteria zdjęte z czoła umierającego. W końcu jego palce natrafiły na Kielich. Naleganie, jakie ujrzał w oczach Józefa, spowodowało, że natychmiast schował cenny przedmiot w fałdach swojej szaty.

Wtedy Józef zamknął oczy, jakby chciał odpocząć.

- Przechowałem mój depozyt - wyszeptał.

Adamowi ben Aszerowi powiedziano, że Łukasz wszedł do domu. Czekał na zewnątrz, brwi miał ściągnięte w głęboką bruzdę.

- Jak tam? - zapytał obcesowo.

- Nie widzę żadnej zmiany - odparł Łukasz. - Któż poza nim potrafiłby utrzymywać się przy

życiu w ten sposób?...

Adam pokiwał głową z wyrazem dumy. Józef z Arymatei zawsze się różnił od innych ludzi, nawet w chwili śmierci jego zachowanie było niezwykłe. Z wahaniem mówił dalej:

- Pozwoliłem sobie wysłać wczoraj wiadomość do jego wnuczki, a teraz boję się, że popełniłem błąd. Czy ludzie stojący za bramą nie wydadzą jej Rzymianom? Ona tu zaraz przyjedzie.

- Tak, z pewnością przyjedzie.

- Nie może tu być wcześniej, jak jutro rano. Czy mój biedny pan dożyje?

- Stanie się według woli Bożej.

4

Łukasz ruszył natychmiast do ciemnej nory, w której ukrywał się Bazyli. Zastał go tam przy pakowaniu wszystkiego, co posiadał, w niewielki tobołek. Lampa przygasła, ale można było dostrzec wyraz zdecydowania na jego twarzy.

- Poddaję się - oznajmił. - To jedyne wyjście.

- Ty się chcesz poddać? Tym ludziom, co stoją na zewnątrz?

Bazyli z wolna skinął głową.

- Są tutaj, żeby mnie znaleźć, chcą mieć pewność, że im nie umknę. NIe dotrzymałem przyrzeczenia. Wyszedłem i jestem pewien, że mnie śledzono. Lepiej będzie od razu z tym skończyć. Dość zmartwień w tym domu i bez mojej osoby. - Zawiązał drżącymi rękami supeł na węzełku. - To wszystko moja wina. Nie byłem na tyle rozsądny, żeby pojąć, iż to, co mi mówiłeś, jest prawdą. Moja gorsza strona wzięła górę. Nie bardzo chciałem w to uwierzyć. Byłem pewny, że zły duch mną owładnął. Tak byłem pewny, że... że poszedłem do Szymona Maga i poprosiłem o wypędzenie ze mnie złego ducha.

Łukasz usiadł przy stole i przyglądał mu się z przejęciem.

- Spotkałeś się z Szymonem Magiem! Kiedy to zrobiłeś?

- Wstydzę się teraz mego postępowania. Po raz pierwszy poszedłem tam wieczorem po jego występie. Kiedy się rozstaliśmy, sądziłeś, że idę do domu, lecz ja zawróciłem i zacząłem rozpytywać. Powiedziano mi, że się zatrzymał u niejakiego Kokbena, Samarytanina, który jest kupcem. Poszedłem do jego domu, ale wtedy nie widziałem się z Szymonem. Zapytałem o jego pomocnicę, o dziewczynę, która razem z nim występowała na scenie. Widzisz, ja ją znam. Była niewolnicą w domu mego ojca w Antiochii.

- Nie powiedziałeś mi, że znasz tę dziewczynę.

- Nie, nie chciałem, żebyś wiedział, co zamierzam zrobić. Widzę teraz, że bardzo źle

postąpiłem.

- Wolałbym, mój synu, żebyś się mnie poradził przed podjęciem takiej decyzji. Kiedy widziałeś się z Szymonem?

- W dwa dni potem. Helena przyrzekła, że mi w tym pomoże.

- A jaki był rezultat?

- Stwierdziłem, że miałeś rację. - Bazyli miał żal wyłącznie do samego siebie. - Najpierw wierzyłem, że jest w nim jakaś moc. Ale to tylko naciągacz.

Łukasz spoglądał na niego z uśmiechem pełnym sympatii i serdeczności.

- Wiem coś niecoś o ich metodach. Czy woda z naczynia się wylała?

- Tak - odparł Bazyli. - Ale zauważyłem, jak to było zrobione. Pod dywanem leżał sznur.

- Ach, więc to tak! Często się nad tym zastanawiałem. Jestem rad, mój chłopcze, że ci się oczy w porę otworzyły. Może i dobrze się stało... Sam się przekonałeś, że ten człowiek to oszust. Widzę, że teraz już wiesz, gdzie jest prawda. Wiesz już, że stan twego umysłu zawsze zależy od tego, jak bardzo ulegasz złu, które jest w tobie, które jest w nas wszystkich.

- Skutki mego uczynku zdają się spadać na innych - powiedział Bazyli. Zaczął mówić o zasłyszanej rozmowie między Józefem a jego synem, kładąc nacisk na fakt, że arcykapłan opłacał kogoś ze służby za dostarczanie informacji.

- Aaron działa przeciw ojcu. Dom jest otoczony uzbrojonymi ludźmi. To wszystko spowodowała moja ślepota i egoizm.

Łukasz słuchał ze zmarszczonym czołem, jego ręce były zajęte napełnianiem lampy oliwą. Kiedy skończył, podniósł ją na wysokość twarzy Bazylego.

- Widzę, że podchodzisz do tego z wielką powagą. Chcesz wziąć na siebie winę i karę, co przemawia na twoją korzyść. Tak, pewny jestem, że to wszystko zostanie rzetelnie zapisane tam w górze, ponad chmurami, przez anioły, które prowadzą wiecznotrwałe zapisy w księgach ze złota i kości słoniowej. Jednak, mój synu, skłonny jestem mniemać, że trochę powiększasz przewiny, których się dopuściłeś. Konflikt między Józefem a jego synem został wywołany zadawnionym sporem. Rozmawiałem z Józefem, on jest przekonany, że ludzie Ruba Samuela zostali rozmieszczeni wokół domu z innego powodu. Jest pewny, że chcą dostać w swoje naznaczone krwią ręce coś, co jest o wiele ważniejsze niż artysta z Antiochii.

Sięgnął do fałdów płaszcza koloru umbry i wyciągnął Kielich.

- Jest przekonany, że to właśnie chcą zdobyć.

Łukasz z najwyższym uszanowaniem postawił Kielich na stole. Oczy napełniały mu trwoga i zdumienie.

- Spójrz! - zawołał dotykając ramienia Bazylego. - Wokół niego jest światło, jakby tu

docierał niebiański promień z góry. Promień zesłany przez Pana, którego ukochany Syn podnosił ten Kielich i dotykał ustami jego krawędzi.

Tak było. W półmroku Bazyli wyraźnie ujrzał Kielich, jego zarys, a nawet wtłoczenie i nierówności brzegów. Było w tym coś dziwnego, coś nieziemskiego, co sprawiło, że poczuł się tak, jakby stanął na progu innego świata.

Jego stopy musiały przekroczyć ten próg, gdyż natychmiast zdał sobie sprawę, że znajduje się daleko od dusznego i ciemnego kąta w domu Józefa, w którym tak długo przebywał. Zobaczył samego siebie, jak zagląda do pokoju z otwartym oknem, wychodzącym na wschód. Słońce już zaszło, na niebie widać było pierwsze gwiazdy. Przy długim stole siedziała grupa mężczyzn, uczestniczących w paschalnej wieczerzy. W zwykłych warunkach zdziwiłoby go, skąd on to wszystko wie, teraz jednak nie zastanawiał się nad tym ani przez chwilę. To, co widział, było dla niego tak oczywiste, jakby mógł czytać w umysłach tych mężczyzn. Kielich, ten sam Kielich, ponieważ otaczało go to samo światło, stał pośrodku stołu. Widział też, że ten pokój stanowił część skromnego pomieszczenia w Murze Dawida.

- Ci mężczyźni - pomyślał - to uczniowie Jezusa.

Dziwił się, że jedno miejsce było czymś przesłonięte. Nie mógł zobaczyć postaci w samym środku grupy. To, że ktoś tam siedział, było oczywiste, gdyż wszystkie oczy i słowa kierowały się w stronę tego, który zajmował to zasłonięte miejsce. Bazyli przypomniał sobie ze zdumieniem słowa Debory, że twarz Jezusa będzie przed nim ukryta. A teraz miał dowód na to, co powiedziała. Lecz dlaczego wolno mu zobaczyć tak wiele i widzieć tak jasno, jeśli to, co jest ze wszystkiego najważniejsze, ma być mu odmówione?

Łukasz wyciągnął rękę i potrząsnął jego ramieniem.

- Ocknij się! - powiedział. - Można się było spodziewać, że popadniesz w zadumę, ale czy masz pojęcie, jak długo wpatrywałeś się w Kielich? Wiele minut, mój synu. A tyle musimy jeszcze zrobić.

Bazyli z wysiłkiem powrócił do rzeczywistości. Oczy miał nadal utkwione w Kielichu.

- Wygląda tak samotnie - wyszeptał.

- Tak - zgodził się lekarz ze smutkiem. - Nic w tym dziwnego. W owej niebiańskiej chwili Kielich obejmowały Jego ręce. Podawano go wkoło i dotyk rąk tych wspaniałych ludzi uświęcał Kielich. A potem przez wiele lat przechowywany był w ciemnościach, gdzie żadne oczy, ani przyjazne, ani wrogie, nie mogły nań spojrzeć. A teraz został wydobyty na ten szalony świat, na którym opluwa się pamięć o Synu Bożym, świat rozdarty i nieszczęsny, gotowy do krwawych żniw. Ten Kielich, pobłogosławiony przez Jezusa, znajduje się w niebezpieczeństwie. Tu nie potrafią jeszcze przyjmować szlachetnych nauk Chrystusa. Tak, mój synu, wygląda samotnie i są po temu

racje.

Światło nie zanikło, kiedy rozmawiali, przeciwnie, jaśniało nadal wokół Kielicha blaskiem tak dobroczynnym, jak przykazania podawane przez Jezusa.

Wpatrywali się weń w milczeniu jeszcze przez kilka chwil. Łukasz miał wrażenie, że z ciemności wysunie się niebiańska ręka i pochwyci Kielich, że będzie to ta sama dłoń, która napisała słowa wyroku na ścianach pałacu Belszazara.

- Józef zbliża się do kresu swych dni - powiedział Łukasz. - Może Pan pozwoli mu dożyć do jutra, kiedy wróci jego wnuczka, choć wykracza to już poza zwykłą naturę rzeczy, aby jego ciało mogło utrzymać się dłużej przed rozpadem w proch. Dopiero co go opuściłem. Powierzył mi Kielich na przechowanie, obarczając mnie znalezieniem sposobu uratowania go przed wrogimi rękami. Ale jak mam to zrobić? Józef żywi przekonanie, że tajemny schowek, specjalnie w tym celu zbudowany, nie jest już bezpieczny. Gdzie mogę znaleźć lepsze miejsce? Nie można go stąd wynieść. Przeszukują każdego, kto stąd wychodzi.

Przez dłuższy czas dyskutowali nad tym problemem, nie spuszczając wzroku z Kielicha. Napełniała ich powaga odpowiedzialności i obawa, że nie potrafią stanąć na wysokości zadania.

- Nie możemy iść na ślepo do jedynego miejsca w tych murach, gdzie można by go bezpiecznie przechować - oznajmił Łukasz. - Chyba że Bóg nami pokieruje, ale jak dotąd nie słyszę wewnętrznego głosu, który czasem mi mówi, co mam powiedzieć albo uczynić. Czy sami musimy znaleźć rozwiązanie? - Ukląkł i zaczął się modlić: - “Spójrz na nas, o Panie! Nie wiemy, w którą stronę zwrócić nasze kroki w tej trudnej chwili. Powiedz nam, jak możemy ustrzec święty Kielich, żeby nie wpadł w niegodne ręce?”...

Po chwili milczenia powstał z kolan.

- Jeśli głos teraz do mnie nie przemówi, będziemy wiedzieli, że z jakiegoś powodu oczekuje się od nas, abyśmy sami znaleźli rozwiązanie.

Jeśli głos odpowiedział, to ta bardzo upragniona odpowiedź powstała w umyśle Bazylego. Powód był jasny, on lepiej znał wnętrze budynku niż Łukasz.

- Jest sposób - zaczął niepewnie - ale nie mam odwagi mówić, bo może się wydać błędny lub wręcz świętokradzki.

- Mów - nalegał Łukasz. - Upływają cenne minuty, kiedy tak siedzimy tutaj w rozterce.

- W sali, w której niewolnicy jadają posiłki, jest kilka kielichów podobnych do tego. Stoją razem na odkrytej półce. Nie pamiętam, ile ich jest, myślę, że z tuzin. Kto zauważy, jeśli będzie tam o jeden więcej niż zazwyczaj?

Łukasz skoczył na nogi.

- Głos przemówił! - zawołał. - Ależ tak, to jest sposób: najpewniejszą kryjówką jest

miejsce, które nie rzuca się w oczy. Kielich umieszczony w miejscu, na które wciąż wszyscy patrzą, będzie tak niezauważalny, jak kameleon na pniu drzewa.

W Bazylim zrodziła się wątpliwość.

- Te kielichy są bardzo do siebie podobne. Jak uzyskać pewność, że odróżnimy później ten właściwy? - Potem przyszło mu na myśl proste rozwiązanie tej trudności.

- Na krawędzi jest skaza powstała przy obróbce, możliwe też, że od czasu, kiedy... kiedy był użyty po raz ostatni, odcięto drobne kawałeczki. Czy pozwolisz mi umieścić na nim znak rozpoznawczy?

Łukasz nie miał co do tego wątpliwości.

- Jestem pewny, że Pan spojrzy wyrozumiałym okiem na wszystko, co zrobisz.

Bazyli wyciągnął rękę po Kielich, potem ją cofnął i spojrzał z powątpiewaniem na swego towarzysza.

- Czy jestem godzien go dotknąć? - zapytał. - Miałem dziwne uczucie w ramieniu, jakby mnie coś powstrzymywało...

Ciepły uśmiech rozjaśnił twarz Łukasza.

- Mogła to być próba. To, że uważasz siebie za niegodnego, wystarcza, żeby dać ci takie prawo. Nie wahaj się, synu.

Młody artysta wziął Kielich w ręce i przyjrzał się jego brzegowi. Zdawało się, że teraz trudno go odróżnić od każdego innego naczynia do picia tego samego rodzaju. Wykonany był w wielkim pośpiechu i nie miał żadnych ozdób. Znikło światło, które przedtem z niego promieniowało.

Bazyli dotknął palcem nadpękniętego brzegu.

- Myślę, że tutaj można by umieścić znak. Może coś symbolicznego, na przykład rybkę? Mówiono mi, że chrześcijan nazywa się Zakonem Ryby.

- Używano tego określenia przez pewien czas po śmierci Jezusa. - Łukasz najwyraźniej nie chciał się zatrzymywać na tym temacie, jakby wyrażał swój sprzeciw. - W ostatnich latach rzadko było używane. Możesz się jednak nim posłużyć.

- Zaznaczę bardzo delikatnie.

Bazyli z powrotem położył węzełek z narzędziami na stole, żeby wyjąć dłutko i młotek. Zabrał się do pracy przy stojącym na stole Kielichu i po paru minutach wycyzelował małą rybkę.

- Pan kierował twą ręką - oznajmił Łukasz. - Wygląda jak płaska ryba galilejska. - Zebrał metalowe opiłki ze stołu. - Zachowam je. Dopóki żyję, będę ich strzegł jak skarbu.

Zwątpienie znikło z jego twarzy. Oczy mu rozbłysły uczuciem ufności. Znużenie, które nim owładnęło, kiedy przybył do domu Józefa, znikło; nie było w tym nic dziwnego, gdyż nabrał

pewności, że on i jego towarzysz zostali wybrani.

- Powiedz mi, gdzie jest ten pokój, a ja go tam zaniosę. Bez żadnego wahania postawię Kielich na samym widoku, gdzie wszystkie oczy będą go widziały, a ręce będą mogły go dotknąć. Wiem, że to, co robimy, jest słuszne.

Rozdział XII

1

W południe następnego dnia jakaś wrzawa wyrwała Bazylego z niespokojnej zadumy. Z początku okrzyki dochodziły tylko z pomieszczeń dla niewolników, potem rozprzestrzeniły się po całym domu i wciąż przybierały na sile. Najpierw pomyślał, że ludzie Ruba Samuela wtargnęli wreszcie do wnętrza domu, lecz po chwili namysłu odrzucił to przypuszczenie. Ta wrzawa nie mogła oznaczać jakiegoś konfliktu; była w niej nuta tryumfu, przywodząca na myśl pieśni wojowników po zwycięskiej bitwie.

Słysząc, że wrzawa trwa już długo, nic nie tracąc na sile, Bazyli nie mógł dłużej wytrzymać w niepewności. Odważył się wyjść ostrożnie z kryjówki i stwierdził, że część budynku przeznaczona na składowanie towarów zupełnie opustoszała. Teraz okrzyki dochodziły z frontowej części domu. Posuwał się w tamtym kierunku przez puste korytarze, zdając sobie jednocześnie sprawę, że ten ranek przyniósł cudowną zmianę. Świeży powiew wtargnął w upał, mgłę i kurz spowijające miasto. Nie był to silny wiatr, lecz łagodny powiew napływający nierównymi falami ze wzgórz na północy. Ten lekki wietrzyk, niby chłodna ręka położona na rozpalonym czole, mieszkańcom Jerozolimy wydawał się błogosławieństwem zesłanym przez samego Jahwe. W domu Józefa otworzono podwoje szerokich, kamiennych przedsionków, wznoszące się wysoko na czarnych bazaltowych filarach, żeby wpuścić ten powiew do wnętrza. Makaty na ścianach i wzorzyste kotary zasłaniające ciężkie drzwi poruszały się i falowały w orzeźwiającym przeciągu.

Dotarł w końcu do głównego dziedzińca i tam zaskoczył go dziwny widok. Przez dziedziniec i przylegające przedsionki maszerowali w pochodzie niewolnicy Józefa z Arymatei. Maszerowali trójkami, śpiewając głośno, z głowami odrzuconymi do tyłu. Ich oczy pełne były radosnego uniesienia. Ebenezer szedł na czele w pląsach, naśladując taneczny krok tańca Dawida. Ramiona miał skrzyżowane na pochylonych plecach i pstrykał palcami, naśladując rozkazy wydawane przez jego pana.

Bazyli poznał śpiewaną przez nich pieśń: nazywano ją “Uwolnienie z łańcuchów”:

“Dość już pracy w polu, smagania batem, przekłutych szydłem uszu;
nie trzeba już będzie w męce wyczekiwać nadchodzącego Roku Jubileuszu;
dość już łez za dawno utraconą żoną i za dziećmi wyrwanymi z objęć;
jesteśmy wolni, o Panie na wysokościach, jesteśmy wolni!
“

Mówiono Bazylemu, że to najstarsza ze wszystkich pieśni. Śpiewano ją po raz pierwszy, kiedy dzieci Izraela przeszły przez piaski Morza Czerwonego. Usłyszawszy opowieść Debory o

tym przejściu, zdał sobie sprawę, że ta pieśń nie mogła pochodzić z tak odległych czasów. W Egipcie Izraelici znajdowali się w stanie ciągłego niewolnictwa, więc nie trzeba było tak jak teraz przekłuwać dłutem uszu dożywotnim niewolnikom; nie było też Roku Jubileuszu, co siedem lat, kiedy to wszyscy niewolnicy żydowskiego pochodzenia otrzymywali wolność. Pieśń była jednak bardzo stara i Bazyli zdał sobie nagle sprawę, że sam ją nuci, przyglądając się maszerującym. Będąc wyzwoleńcem, wiedział dobrze, co oni teraz czują.

"To właśnie przyrzekła im Debora owego dnia" - pomyślał. - "Józef wyzwolił swoich niewolników!"

Spostrzegł, że z okna na górnym piętrze spogląda na dziedziniec Aaron. Wystarczył jeden rzut oka na jego ponurą i wrogą twarz, aby sobie uświadomić, że syn pana domu jest bardzo przeciwny posunięciu, jakiego dokonał jego ojciec.

Wśród widzów był Adam ben Aszer. Stał obok Łukasza i zdawał się na równi z Aaronem potępiać to, czego był świadkiem. Groźnie spoglądał na błazeństwa Ebenezera i mruczał zniecierpliwiony:

- I cóż będą teraz robili? Czy spodziewają się znaleźć pracę w mieście, gdzie głoduje połowa ludzi? Wkrótce powrócą, poproszą o łańcuchy i nadstawią uszy do przekłucia dłutem.

A potem zdarzyło się coś takiego, co Bazyli uznał za drugi cud. W drzwiach frontowych, otwartych dla złapania przelotnego powiewu, ukazała się Debora. Towarzyszył jej orszak służby. Byli zakurzeni i zmęczeni. Niektórzy nieśli węzełki z odzieżą. Jeden z nich, krzepki czarny młodzik o dobrodusznej twarzy pod czerwonym turbanem, niósł kinnor swej młodej pani, instrument o wielu strunach, wykonany z pięknie rzeźbionego drzewa algum. Drugi niósł nad jej głową splecioną z trzcin osłonę przed ostrymi atakami południowego słońca. Na skraju grupy kręciło się dwóch bacznie obserwujących wszystko mężczyzn, którzy najwidoczniej byli tam z rozkazu Ruba Samuela.

Na białą płócienną tunikę Debora miała nałożoną zewnętrzną szatę z żółtego jedwabiu, oblamowaną czarnymi, haftowanymi pasami. Jej turban, niecy wydęty po obu bokach dla osłony przed słońcem, miał trochę ciemniejszy odcień szafranu ze znaczną domieszką pomarańczowego. Było jej w tym bardzo do twarzy i mimo zmęczenia długą podróżą, o czym świadczyły cienie pod oczami, była świeża jak narcyz. Jej zachowanie nie świadczyło jednak, że jest tego świadoma. Rozglądała się wokół z największym niepokojem. Kiedy jej oczy spoczęły na Łukaszu i Adamie, spieszących, by ją powitać, zapytała ich błagalnym szeptem:

- Czy zdążyłam? Czy mój dziadek żyje?

Łukasz poważnie skinął głową w odpowiedzi.

- Żyje. Musisz jednak pogodzić się z tym, że trzyma go przy życiu wyłącznie nadzieja

ujrzenia ciebie i że jest już bardzo słaby. Musimy być z tobą szczerzy, moje dziecko. To już tylko sprawa godzin.

- Pozwólcie, że od razu do niego pójdę.

Bazyli przyglądał się jej, kiedy za Łukaszem szła przez dziedziniec do pokoju, który Józef wybrał na swoje ostatnie dni. Nie rozglądała się na boki i widać było, że myśli tylko o jednym. Kiedy już przeszła, ruszył za nią w bezpiecznej odległości. Widział, jak przystanęła u drzwi, aby zapytać:

- Dlaczego on jest tutaj?

- Taka była jego wola.

Przez otwarte drzwi usłyszeli, że starzec coś mówi do siebie w gorączce. Stało się oczywiste, że jasność umysłu, jakiej Józef od siebie wymagał, już go opuściła. Odpłynął od bezpiecznej przystani czasu teraźniejszego i powrócił do wzburzonych fal czasu przeszłego.

- "Panie, oto połowę mego majątku daję ubogim". * Tak jak ja, Zacheuszu, tak jak ja; chociaż po prawdzie może i nie połowę, gdyż rozważnie handlowałem i duże miałem dochody. Szczodrze dawałem z tego, co do mnie należy, choć szedłem za Nim z daleka. Czy zbłądziłem, nie podchodząc bliżej do ogniska i nie siadając przy nim, jak to zrobił Piotr o wielkim sercu?

Por. Łk 19, 8, słowa zwierzchnika celników, Zacheusza, wypowiedziane do Chrystusa (przyp. red.).

W tym momencie jego myśli utraciły jasność. Zaczął mamrotać coś o Piotrze i Janie, o Pawle i Andrzeju. Powracał do tego, co najwyraźniej ciążyło mu na sercu, do roli, jaką odegrał w wielkim dramacie.

- To nie był lęk. Nie lęk mnie powstrzymał. Czyż nie jest wszystkim wiadome, że poszedłem do Poncjusza Piłata i poprosiłem go o ciało Jezusa?... Czyjeż to ręce dotknęły ran na Jego stopach i wielkiej rany w Jego boku?... Moje, bowiem to ja zdjąłem ciało z krzyża. W moim grobowcu spoczął. To z mojego wyciosanego w kamieniu grobowca Jezus powstał. Mój kamień przetoczono na bok i przy nim stanęły dwie postacie w świecących szatach. Nie dostąpiłem łaski ujrzenia Go, ale naprawdę zrobiłem wszystko, aby to, co On przepowiedział, mogło się sprawdzić...

- Dziadku! - zawołała Debora.

Urwał się głos chorego. Nastąpiła chwila ciszy, a potem Józef się odezwał:

- Deboro, to ty! Wróciłaś!

- Tak, dziadku.

- Dzięki Ci, Panie, za spełnienie pragnienia mego serca. Teraz jestem szczęśliwy i uspokojony. Wiedziałem, moje dziecko, że przybędziesz, jeśli wytrwam. Ciężko było. Musiałem być stanowczy wobec tego anioła, który siedzi obok mnie i wciąż powtarza, że już od dawna jestem

oczekiwany. Ale teraz jesteś już tutaj, moja Deboro, i mogę powiedzieć aniołowi: “Postępuj wreszcie według swojej woli. Prowadź, jestem gotowy”.

2

Adam ben Aszer opuścił rękę na ramię Beniego Plotkarza, który był świadkiem powrotu Debory.

- Pójdziesz ze mną - powiedział.

Poprowadził go do niedużego pokoju, który miał do swej dyspozycji, tuż obok Dziedzińca Pakowaczy. Pokój wypełniało ciekawe zbiorowisko różnych przedmiotów. Prócz wielu zakurzonych zwojów pergaminu z handlowymi rejestrami były tam mapy szlaków karawan wielbłądzich i dróg nawigacyjnych w takich ilościach, że zapełniały wszystkie ściany. Na podłodze poniewierał się ekwipunek dla wielbłądów, tak że Beni z trudem znajdował miejsce dla swoich stóp.

- Usłyszałem dzisiaj - powiedział Adam - że ktoś sprzedaje informacje Ananiaszowi. Obok domu arcykapłana widziałem jednego z naszych ludzi, jak stamtąd wychodził. Miało to miejsce przed paru dniami i pomyślałem sobie wtedy, że to dziwne. Obecnie myślę, że to bardzo podejrzane. Kogo tam widziałem, Beni Plotkarzu? To byłeś ty.

- Byłem tam - oznajmił Beni swobodnie. - Odwiedziłem paru służących Ananiasza. Jak wiesz, zbieram wiadomości.

Miał na sobie czarną, płócienną koszulę, a na wierzchu płaszcz w kolorze rdzy. Adam doskoczył do niego gwałtownie i podniósł do góry koszulę nad talią, odsłaniając owłosione ciało i szeroki pas, do którego była przymocowana sakiewka. Nie zważając na piskliwe protesty właściciela, Adam otworzył sakiewkę i stwierdził, że jest wypełniona monetami.

- Złoto! - wykrzyknął. - A więc jest tak, jak myślałem. Złoto od arcykapłana Ananiasza. Ho! Ho! Beni Plotkarz stał się Benim Paplą, Benim Donosicielem, Benim o dwu twarzach! - Walił pięściami w drobne ramiona Beniego. - Oto zdrajca! Oto niegodziwiec, który sprzedaje wszystkie wiadomości człowiekowi w Świątyni. Dostałeś dużo ponad trzydzieści sztuk srebra, ty zdrajco przyjaciół, sprzedawczyku cudzych sekretów!

Beni starał się wywinąć z mocnego uchwytu.

- Brałem zapłatę obu rękami - przytaknął nachmurzony. - Czy ubogi człowiek, żywiciel dużej rodziny, może dość zarobić w Jerozolimie, otrzymując zapłatę z jednej ręki? Józef płacił mi do jednej, Ananiasz do drugiej. Czy to zbrodnia?

Adam nadal tarmosił nie okazującego skruchy sprzedawcę wiadomości. Wymierzył mu policzek z każdej strony, szturchał zgiętymi palcami w oczy, młócił po piersi, a ciosy dudniły jak

stukot żydowskiego bębna zwanego tof. Potem wziął go za ramiona i zaczął nim trząść, aż kolana niegodziwca zwiotczały, a zęby zaczęły dzwonić.

- Czy to zbrodnia?! - krzyknął Adam. - To największa ze zbrodni! To ty, szakalu o dwudziestu parach uszu i stu oczach, powiedziałeś arcykapłanowi, że to Debora rzuciła kamieniem w rzymski...

- Nie, nie! - zawołał Beni. - Nic mu nie powiedziałem o maleńkiej pani tego domu. Nie mógłbym zrobić nic takiego, co by ją zraniło. Przysięgam na stopy proroków, na prochy Czerwonej Jałówki!

Uścisk rąk Adama nieco zelżał.

- Gdybym mógł w to uwierzyć, dałbym się nakłonić do oszczędzenia twego życia. Ale oznajmiam, że ścisnę cię za gardło, aż twoja twarz sczernieje, a oddech ustanie, jeśli jej się przytrafi coś złego.

- Adamie, miej litość nade mną! - zawołał Beni. - Nie potrafię się oprzeć, kiedy moje dłonie czują dotyk złota. Jakież to miłe uczucie... Nie dotrzymałem wiary przez złoto, sprzedałem przyjaciół. Nigdy nie zobaczę oblicza mego Pana! Adamie, nie mogę spać po nocach, myśląc o tym!

Adam popatrzył na niego z błyskiem zrozumienia w szarych oczach.

- Nie może być usprawiedliwienia dla twego czynu, ale mogę ci współczuć, Beniaminie, bowiem zasłużyłeś na płaszcz w kolorze ciemnej purpury wstydu. - Mówiąc to, w dalszym ciągu mocno szarpał go za włosy, gniótł pięściami wklęśnięcie szyi, wymierzał policzki. - Tak, bardzo ci współczuję! - Żebra jego ofiary dudniły pod ciosami.

- Nie chcę umierać przez tak wyrażaną litość! - zawołał Beni tracąc oddech.

- Muszę otrzymać od ciebie - oznajmił Adam - pełny wykaz informacji sprzedanych Ananiaszowi. Jeśli to zrobisz, a tym samym umożliwisz nam obronę, nie wymierzę ci całej kary, jaką dla ciebie szykowałem. Czy jesteś gotów wszystko mi powiedzieć?

- Tak - gorliwie przytaknął Beni. - Jestem gotów podać ci każdą informację, którą zaniosłem do Świątyni temu człowiekowi o wielkim brzuchu i żabich oczach. - Uwolnił się z dużych, stwardniałych rąk dowódcy karawany. - Zrobię jeszcze więcej! Powiem ci coś, o czym natychmiast powinieneś się dowiedzieć, jeśli chcesz oddalić wielkie nieszczęście.

- Ho! Ho! - wykrzyknął Adam. - Oto roztłukliśmy skorupę, dochodząc do pożywnego jądra orzecha.

- Z chwilą śmierci mego starego pana - zaczął mówić Beni zniżając głos - Aaron da sygnał z okna swego pokoju i ludzie Mara wtargną do domu. Nie wypuszczą nikogo, zanim nie znajdą Kielicha! Najpierw Aaron nie chciał się na to zgodzić, dawał inne przyrzeczenia, lecz Ananiasza

one nie zadowoliły, więc Aaron ustąpił i będą mieli wolną rękę.

Adam jeszcze raz nim potrząsnął i wypuścił z rąk. Idąc do drzwi tak zamaszystymi krokami, że rozrzucał nagromadzony ekwipunek znajdujący się na jego drodze, dokończył:

- No, może odkupiłeś krzywdę, jaką zdołałeś wyrządzić.

- Jest jeszcze inna sprawa, o której ci powiem, sprawa dziedzictwa... - zaczął Beni.

3

Upłynęła godzina od chwili, gdy Debora weszła do pokoju dziadka i zamknęła za sobą drzwi. Adam ben Aszer, po wykonaniu koniecznych przygotowań, przemierzał przedsionek ze wzrokiem utkwionym w ciężkie dębowe przepierzenie, za którym jego stary pan spędzał ostatnie chwile. Łukasz poszedł do kryjówki Bazylego i znalazł go tam gorliwie pracującego nad projektem oprawy Kielicha. Podniecające wydarzenia poranne okazały się dobrym bodźcem i robota postępowała naprzód przy migocącym świetle lampy.

Lekarz zaczął mówić mu o sytuacji, jaka się wytworzyła z powodu kapitałów złożonych u bankiera w Antiochii.

- Aaron popłynie do Antiochii, żeby domagać się tych pieniędzy, gdy tylko zwłoki jego ojca zostaną złożone w grobowcu. Adam ma wieźć Deborę lądem. Będzie to wyścig karawany wielbłądów z żaglami okrętu. Pojadą na wielbłądach należących do Adama. Wiedząc, że Aaron zwolni go z pracy, nim minie godzina od śmierci Józefa, w sekrecie kupował wielbłądy dla konkurencyjnego składu towarów, który chce otworzyć. Mówią, że Adam zakupił najlepsze i najszybsze wielbłądy świata. Mimo ostrego i głośnego języka, Adam ma wielkie serce. Jest gotów pędzić tę wspaniałą karawanę do ostatnich granic wytrzymałości.

Bazyli przerwał pracę i zapytał, kiedy Adam wyrusza w drogę.

- W godzinę po śmierci Józefa. Tak wiele zależy od tego, żeby znaleźć się w Antiochii wcześniej od Aarona, że Debora nie zostanie na pogrzebie. Serce jej wprost pęka z żalu, iż nie odprowadzi dziadka do grobu, lecz rozumie, że to konieczność i jest gotowa na wszystko. Ty, mój synu - ciągnął Łukasz po chwili - nie będziesz pozostawiony na łasce ludzi ze sztyletami. Masz opuścić dom wraz z karawaną.

- Ale jak się przedostanę przez straże wokół domu?

- Jest pewien plan. Nie mogę ci go teraz wyjawić.

Bazyli wskazał na gliniany model, nad którym pracował.

- Czy mam go zabrać?

- Naturalnie. Józef często mi mówił, że pokłada w tobie nadzieje i pragnie, żebyś wykończył Kielich. Tak jest tym przejęty, że trzyma pod poduszką sakiewkę złota przeznaczonego

na ten cel. Debora ją przyniesie.

Bazyli odsunął swój model i zarzucił nań mokre płótno.

- A ty, panie? - zapytał. - Czy jedziesz z nami? Nie mogę znieść myśli o rozstaniu z tobą. Byłeś dla mnie tym wszystkim, czym był mój ojciec, zanim umarł. Powiem nawet, że byłeś kimś więcej, jako mój duchowy przewodnik. Czuję, że przyszłość będzie pusta bez ciebie, bez twojej dobroci, pomocy i zachęty.

Radosne obchody uzyskania wolności zakończyły się wraz z przybyciem Debory, ale jeszcze przez jakiś czas słychać było podniecone głosy. Teraz zupełna cisza zapanowała w ogromnej budowli, cisza wypełniona wielkim żalem. Ludzie ze smutkiem czekali na wiadomość, że Józef z Arymatei dobił do kresu swego długiego żywota. Można to było wyczuć w cichym głosie Łukasza, kiedy się odezwał:

- To, co powiedziałeś, uszczęśliwia mnie, synu. Jadę z tobą. Pawła wysyłają do Cezarei, gdzie będzie sądzony przez prokuratora Feliksa. Moje miejsce jest przy nim, lecz dużo jeszcze czasu upłynie, zanim go wyprowadzą z celi na przesłuchanie. Mówiono nam, że to potrwa co najmniej rok.

- A co z Kielichem? - spytał Bazyli z niepokojem.

- Został mi powierzony i będzie moją jedyną troską, zanim nie dotrzemy z nim do miejsca, gdzie nie będą go mogły dosięgnąć żadne wrogie ręce. - Łukasz mówił dalej z emfazą. - Paweł to głos chrześcijaństwa, dzięki któremu naukę Jezusa pozna cały świat! Zawsze miał przy sobie grono pomocników, ale mógłby to wszystko zrobić sam. My, którzy przebyliśmy wraz z nim drogę nawrócenia, zawsze wiedzieliśmy, że on nie potrzebuje Mateusza, Marka czy Łukasza, nie potrzebuje nikogo. Może pozostać sam jeden. To człowiek z żelaza i ognia. Ja, Łukasz, z własnego wyboru stanę przy nim, gdy nadejdzie czas próby. Mam szczerą nadzieję, że podzielę jego los, jaki by on nie był. Najpierw jednak trzeba się zająć Kielichem, tą wielką pamiątką tego, że Jezus przyszedł do nas pod postacią ludzką, tą wspaniałą relikwią, która pewnego dnia może się stać tak ważna dla naszej wiary. Jeśli zdołamy go wynieść z tego domu i z Jerozolimy, pojadę z nim do Antiochii, gdzie będzie bezpieczny.

Łukasz pokiwał głową do Bazylego z serdecznym uśmiechem.

- Postępowałeś roztropnie i z odwagą. Wybawiłeś Deborę od skutków jej brawury, a od tamtego dnia znosisz wielkie niewygody bez utyskiwania. Jedyne błędne posunięcie, jakie zrobiłeś, można ci łatwo wybaczyć wobec innych twoich dokonań. Nigdy nie miałem proroczych wizji, jestem jednak pewien, że twoja przyszłość rysuje się dobrze i jasno. Jest coś na poparcie tego, co mówię, ale nie mam prawa wyjawić ci wszystkiego...

Bazyli spojrzał na swoje ręce, poczerniałe i stwardniałe od pracy.

- Jeśli mam z nimi jechać, muszę się przygotować. Czy mogę pójść teraz do łaźni? Nabrałem zwyczaju chodzenia tam po północy, żeby nikogo nie spotkać. - Potrząsnął desperacko głową. - Siedząc w tej ciemnej norze, nie mogłem zachować czystości. Czy mógłbym dostać coś lepszego od szarego mydła dla niewolników? Nie najlepiej mi służy.

Długie uwięzienie pozostawiło ślady na poczerniałych rękach i zapadniętych policzkach. Plecy miał lekko przygarbione z powodu niskiego stropu w schronie. Wyglądał na zmęczonego fizycznie i bardzo przygnębionego. Łukasz przyglądał się mu z namysłem.

- Chyba już nie ma potrzeby, żebyś się ukrywał - powiedział po chwili. - Możesz bezpiecznie wrócić do pokoju zajmowanego przedtem, a ja dopilnuję, żebyś miał tam pod dostatkiem gorącej wody. Kiedy będziesz brał kąpiel, zobaczę, co da się zrobić, żebyś miał odpowiedni ubiór.

- Oprócz tego, co mam na sobie, posiadam tylko kolobium. * Nie powinienem mówić o nim bez szacunku, bo jest oznaką mego wyzwolenia.

Kolobium - tunika z krótkimi rękawami (przyp. red.).

- Ale to zbyt skąpy strój - uzupełnił Łukasz mierząc go wzrokiem. - Tkanina jest bardzo zwyczajna... Myślę, że będziemy musieli znaleźć coś lepszego.

Rozdział XIII

1

Idąc do dawnego pokoju Bazylego wstąpili do jadalni dla służby. Ku ich zdziwieniu okazało się, że panuje tam wielki ruch. Byli niewolnicy oświadczyli, że chcą pozostać w domu w charakterze wolnych służących. Właśnie dekorowali ściany letnimi kwiatami. Przynieśli czerwone maki, żółte jaskry i białe, najwcześniejsze cyklameny, rosnące dziko na stokach Góry Oliwnej i w Dolinie Hinnomu. Do wieloramiennych kandelabrów, ustawionych w rogach komnaty, wsadzono grube, woskowe świece wprowadzone przez Rzymian. Kobiety wznosiły baldachim ze zwojów białej wstążki i udało się im wykonać coś, co przypominało nenufar.

Łukasz i Bazyli nie zastanawiali się nad znaczeniem tych przygotowań. Natychmiast skierowali pełne niepokoju spojrzenia na ścianę, gdzie była półka z kielichami do picia.

- Stoi tam - powiedział Łukasz. - Dokładnie na tym samym miejscu, gdzie go postawiłem. Nikt go nie dotykał. Czy to nie dziwne, że teraz niczym się nie różni od pozostałych?

W pół godziny potem Bazyli wyszedł z parującej kąpieli. Odświeżył ciało i odzyskał spokój. Ręce mu zbielały po energicznym i długotrwałym szorowaniu. Popatrzył na nie z zadowoleniem i pomyślał, że znów może być z siebie dumny.

Narzuciwszy cienkie kolobium na ramiona podszedł do okna, żeby spojrzeć w oślepiający blask wczesnego popołudnia. Bezpośrednio pod nim znajdowało się miejsce, na którym stał z Deborą po ich szalonej ucieczce przez Dolinę Serowarów.

“Wiedziałem, że to początek miłości” - rozmyślał. - “W chwili, kiedy rzuciła kamieniem, ujrzałem ją w nowym świetle. Przestała być dziewczątkiem z kółkiem na klucze w rękach. Wykazała wielką odwagę. Żadna leśna boginka nie zdołałaby pobiec z większą chyżością. Kiedy patrzyliśmy na siebie, jej oczy błyszczały, policzki się zarumieniły, była czarująca, ożywiona i przemiła. Jestem pewien, że gdybym wtedy wyznał jej swoją miłość, odpowiedziałaby: tak.”

Ale potem spotkał Helenę i teraz był rozdwojony i nieszczęśliwy. Dlaczego nie mógł pozbyć się myśli o czarnych oczach Heleny, tak jak wyzbył się przypuszczenia, że tkwiące w nim zło spowodowała obecność obcego ducha? To nie powinno być trudne. Przecież miał dość rozsądku, aby się orientować, że w jego zainteresowaniu niewolnicą, która uciekła z domu Ignacjusza, było coś niestosownego. Wstydził się pragnień, jakie w nim wzbudzała, mimo to nie potrafił ich zagłuszyć.

“Jakby mnie napojono eliksirem miłosnym” - pomyślał. Przypomniał sobie kielich wina, które tak chętnie wypił, zanim nadszedł Szymon. Podziałało na niego w sposób niezwykły, jednak natychmiast odrzucił możliwość, że miało to jakiś związek z obecnym stanem jego uczuć. “Nie

wolno mi po raz drugi pobłażać mojemu sumieniu. Zło tkwiące we mnie nie przyszło z zewnątrz. Muszę być uczciwy: ono jest częścią mnie samego."

Może Debora miała dość powodów, żeby zapomnieć o tej pamiętnej chwili, kiedy przystanęli na skraju doliny. Wróciła zaledwie przed godziną, myśląc wyłącznie o swoim dziadku. To było naturalne, żal po kimś jest uczuciem, które pochłania wszystkie inne, gdyż odnosi się do czegoś nieodwołalnego. Nie szukała go wzrokiem, kiedy weszła przez otwartą bramę i przechodziła przez długi przedsionek.

Łukasz wrócił do pokoju z zawiniątkiem, które położył na łóżku.

- Mam nadzieję, że to będzie na ciebie pasowało. Przymierz od razu, bo czasu jest mało. Wiele trzeba zrobić, póki Józef żyje.

Bazyli rozłożył odzież.

- To piękne - powiedział, dotykając palcami chłodnego płótna tuniki.

- Ty będziesz się ubierał, a ja ci opowiem historię tych szat. W pewnym okresie życia Józef był przekonany, że Pan nie pobłogosławi go dzieckiem. - Łukasz w czasach swej młodości zarabiał opowiadaniem różnych historii na rynkach Antiochii i teraz bez trudu sięgnął do zapomnianych doświadczeń. - Nie miał dzieci, a Jahwe, jak się zdawało, nie spieszył się, by obdarzyć płodnością Gaelę, jego żonę. Zaczął się więc rozglądać za adopcją syna, jak to zrobił twój ojciec. W końcu wybór jego padł na Stefana syna Szafata, ubogiego człowieka, który handlował skórą. Stefan miał lat piętnaście, był wysokim młodzieńcem z błyskiem w oczach i zręcznymi palcami do gry na harfie. Miał dźwięczny i głęboki głos. Jak widzisz, przypominał młodego Dawida i jednocześnie pastuszka Samuela, wybranego spośród synów Jessego. Józef nigdy nie kierował się impulsem i wiele rozmawiał z chłopcem, zanim dokonał wyboru. Miał czas, by go pokochać. Zaczął gromadzić podarunki na dzień prawnej adopcji. Był wśród nich konnor, używany teraz przez Deborę, która nie wie, że był przeznaczony dla kogoś innego. Kupiec, który go sprzedał Józefowi, przysięgał na wszystkie pogańskie bogi, że nikt nie dotykał strun z wyjątkiem dawno zmarłego króla z dalekiego kraju. Były też piękne stroje.

Szafata doświadczały ciężkie koleje losu. Z konieczności mieszkał z rodziną w Bath-$jeszimot, zwanym Miejscem Pustynnym, gdzie jest tak gorąco, że soki żywotne wcześnie się wypalają. Stefan nigdy nie odzyskał zdrowia, zawsze miał rozpalone policzki, a umysł jego był napięty jak struny konnoru. Umarł tuż przed dniem adopcji. Józef opłakiwał go długo, pogrążony w wielkim smutku. I oto wtedy Pan, który jest nad wszystkim, Bóg sprawiedliwy, dał się wzruszyć i sprawił, że nowe życie zbudziło się w łonie Gaeli. Urodził się Aaron, a jego przyjście na świat przyniosło Józefowi spokój. Nigdy jednak nie zapomniał wysokiego Stefana, który mógł być jego synem, i odłożył przygotowane dla niego szaty, dbając, by były strzeżone i dobrze zabezpieczone w

kamforze. Nigdy nie wspominał o Stefanie i nie sądzę, aby Aaron czy Debora coś o nim wiedzieli. Nim jednak zapadł na swą ostatnią chorobę, powiedział mi, że przecież ty też byłeś adoptowanym synem i poruszyłeś w nim pamięć o pięknym, młodym Stefanie, więc chciałby, żebyś otrzymał te szaty, aby choć w pewnej mierze mogły spełnić rolę, do jakiej były przeznaczone. Tak więc - zakończył Łukasz - należą do ciebie. Myślę, że powinieneś je dzisiaj założyć.

Bazyli włożył białą, płócienną tunikę i strój noszony między tuniką a wierzchnim okryciem. Był to wspaniały strój, zrobiony z najcieńszego i najgęstszego jedwabiu, składający się z dwóch części. Górna część, rodzaj ściśle przylegającej do ramion i rąk bluzy, miała na piersi wyhaftowanego złotą nicią orła ze żmiją w dziobie, znak plemienia Dana, do którego należał Szafat. Część dolną stanowiła spódniczka, ściśle przewiązana w talii, i sięgająca tuż poniżej kolan, w rzadko spotykanym szafirowym kolorze. Był to kolor trudny do uzyskania z dostępnych powszechnie barwników, więc ludzie musieli zadowalać się fioletem, czerwienią i żółcią; jednak zręczne ręce, które utkały ten kawałek materiału, potrafiły jakimś szczęśliwym trafem uchwycić ten najpiękniejszy odcień, ciemniejszy od koloru nieba i mocniejszy od chabru czy łubinu. Wzdłuż obrąbka biegła frędzla ze złotej nici.

Sandały wiązane były długimi, sięgającymi kolan paskami ze skóry, która kiedyś miała ten sam odcień szafiru. Ozdobiono je złotą nicią, tworząc miniaturowe rysunki orła i żmii. Skóra z biegiem lat nabrała aksamitnego odcienia. Sznurując rzemieniami pasy wzdłuż łydek, Bazyli przesuwał palcami po miękkiej skórze nieomal z czcią. Zawsze zachwycały go piękne rzeczy.

Można było oczekiwać, że tak wspaniały ubiór obudzi w nim uczucie dumy. Tymczasem chłodny dotyk płótna na skórze i piękno stroju wywołały w nim uczucie pokory. Przywdziewając go zdawał się wchodzić do rodziny Józefa i podejmować zobowiązania, jakie należałyby do Stefana, dla którego był przeznaczony. W pełni odczuwał odpowiedzialność za los Debory. Stefan by ją ochraniał! Byłby tarczą między nią a wszelkim złem.

“Teraz patrzę na siebie otwartymi oczami” - pomyślał. - “Nie jestem jej godny. Tkwi we mnie zło, nad którym, jak widać, nie potrafię zapanować.”

- Ubiór dobrze na tobie leży - oznajmił Łukasz, kiwając z zadowoleniem głową.

- Chciałbym, żeby nie przypominał o moich brakach - odparł Bazyli.

2

W drodze do przewiewnej części budynku, gdzie znajdowały się pokoje Debory, minęli drzwi, przed którymi stał na straży Ebenezer. Skinął do nich uspokajająco łysą i pożółkłą głową.

- Zagłębił się w dokumentach i jak na razie niczego nie podejrzewa. Przed paru chwilami podszedł do drzwi i spytał: “Co tak cicho w całym domu?” Odparłem: “Wszyscy płaczą nad tym,

co nieuniknione". "Dlaczego tu jesteś? Czy nie zostałeś wyzwolony?" Odpowiedziałem: "Tak, jestem wolnym człowiekiem. Lecz jestem też człowiekiem nawyku. Czy są jakieś rozkazy dla mnie?" Potrząsnął głową i zmarszczył czoło. "Dla ciebie nigdy nie będę miał rozkazów". Potem wrócił do pokoju zamykając drzwi.

Główny pokój w skrzydle zajmowanym przez Deborę pełny był służek, które uwijały się z wielkimi naręczami odzieży. Były tak podniecone, że starsza kobieta z ważną miną, zaciskająca w ręku kawałek pergaminu, stale je upominała:

- Chodź tutaj, Saro! Marianno, czy twoje nogi usnęły? Pośpiesz się, mała!

Aby im oszczędzić całego tego zamieszania, poproszono Łukasza i Bazylego do mniejszego pokoju, będącego sypialnią pani domu. W rogu stało nieduże łóżko, wyglądające bardzo skromnie i dziewiczo. Bazyli, czując, że więcej niż jedno spojrzenie byłoby profanacją, odwrócił się plecami i wyjrzał przez okno, z którego mógł podziwiać biały przepych Świątyni. Słyszał, jak Łukasz wychodził, ale nie wiedział, że jest tu Debora, zanim się nie odezwała.

- Bazyli! Wróciłam z wygnania, na które mnie wysłano z racji mego szalonego postępku.

Odwrócił się powoli. Zobaczył, że Debora poddała się smutkowi, bo jej oczy były lekko zaczerwienione. Usiłowała jednak ukryć ślady żalu i nawet uśmiechnęła się do niego, kiedy stanęli naprzeciw siebie.

Jej lekki, śnieżnobiały strój nie był odpowiedni do podróży, w którą mieli wkrótce wyruszyć. Jeszcze bardziej był zdumiony widząc, że jej włosy spadają luźno na plecy. Chociaż strój był skromny, ukazywał nagie ramiona, białe i zaokrąglone, pełne dziewczęcej świeżości. Na nogi włożyła cienkie sandałki, których delikatne jedwabne paski były białe, jak skóra jej stóp.

- Dobrze wyglądasz - odezwała się, zanim zdołał znaleźć słowa powitania. - Taki piękny szafir masz na sobie! Zazdroszczę ci! Słyszałam, że jest mi ładnie w kolorze niebieskim, ale nigdy nie miałam czegoś tak pięknego.

Trzymała w ręku płócienny woreczek zgrabnie związany żółtą wstążką. Podała go Bazylemu. Kiedy go wziął do ręki, domyślił się po dotyku i wadze, że jest napełniony monetami.

- Dziadek trzymał go pod poduszką - wyjaśniła. - To zapłata za robotę przy Kielichu.

Wiedział, że woreczek zawiera dosyć pieniędzy, żeby opłacić jego podróż i jeszcze szczodrze go wynagrodzić. Ogarnęło go takie uniesienie, że miał ochotę podrzucić go w powietrze.

- To pierwsze pieniądze, jakie mam od przeszło dwu lat! Nie potrafię tego wypowiedzieć, ale... one dają mi poczucie wolności. Teraz jestem naprawdę swobodny.

Zdawało się, że zapomniała na chwilę o swym smutku, podzielając jego nastrój. Uśmiech rozjaśnił jej oczy, lecz tylko na chwilę. Zaraz powrócił wyraz wielkiej powagi. Ulegając uczuciu, które nie mogło być niczym innym jak tylko paniką, zakryła twarz rękami.

- Bazyli, Bazyli, jak mam ci to powiedzieć!

- Co takiego chcesz mi powiedzieć?

Podniosła oczy z wyrazem prawie rozpaczliwej odwagi.

- Myślę, że będzie miło z twojej strony, jeśli... jeśli się odwrócisz. Będzie mi łatwiej.

Kiedy wykonał jej życzenie i odwrócił się, tak że widziała tylko tył jego głowy i szafir okrycia, jeszcze się wahała.

- Nie mogę znaleźć słów. Czy nie domyślasz się, co ci muszę powiedzieć? Nie, nie możesz tego wiedzieć... Przyrzeczono mi, że niczego się wcześniej nie dowiesz. - Wreszcie nabrała tchu, jak pływak, zanim się zanurzy w zimnej wodzie. - Bazyli, czy zostaniesz moim mężem?

Przez chwilę był niezdolny do żadnej innej reakcji prócz zaskoczenia. Potem ugodziło go uczucie trwogi, lęku o ambitne projekty, jakie wypełniały jego myśli od czasu ostatniej rozmowy z Heleną. Jeśli poślubi Deborę i osiedli się w Jerozolimie, czy też w innym miejscu, które ona wybierze, jakie będzie miał szanse na wybicie się w świecie sztuki? Czy zdoła nadal rozwijać skłonność swego umysłu i zręczność rąk?

Po tej pierwszej reakcji przyszły inne myśli. Dręczyły go sprzeczne zobowiązania. Tak wiele zawdzięczał Deborze i jej rodzinie, że nigdy nie będzie mógł spłacić tego długu. To im zawdzięczał wolność i powierzenie mu pracy nad oprawą Kielicha. Jego wdzięczność dla Debory była mniej namacalna, związana raczej z sympatią, zrozumieniem i przyjaźnią. Polubił ją od pierwszej chwili i to uczucie zmierzało w sposób nieunikniony ku miłości. Kiedy stanęli razem na krawędzi Doliny po ucieczce przed rzymskimi żołnierzami, obojgu się wydawało, że nadeszła miłość, że od tej pory ich stopy będą kroczyły tą samą ścieżką.

Potem zobaczył Helenę i zdał sobie sprawę z dwóch spraw: że nie jest aż tak zaangażowany uczuciowo, aby nie dostrzegać innych kobiet, oraz że jest jej głęboko wdzięczny. Nie mógł pominąć oddanej mu przez Helenę przysługi, kiedy przysłała karteczkę z ostrzeżeniem, ani nie mógł zapomnieć obrazu życia w Rzymie, jaki przed nim roztoczyła. Snuła związane z nim projekty, w których spodziewała się własnego udziału. Przyrzekł, że zobaczy się z nią w Rzymie. Trzeba było również wziąć pod uwagę to drugie zobowiązanie.

Te myśli, których opisanie jest długie, przemknęły mu przez głowę w ciągu krótkiej chwili. Niemniej jednak spowodowały zwłokę, a w tej sytuacji nawet najkrótsza zwłoka mogła wywołać zwątpienie i panikę. Bazyli być może nie zdawał sobie sprawy, że jego zgoda nie była natychmiastowa, że ją opóźnił, cofając się myślą w przeszłość. Nie może odrzucić tej propozycji ze względu na jego więzi z rodziną Józefa i uczucie, jakie się zrodziło między nim a Deborą.

- Czy już mogę się odwrócić? - spytał.

- Tak. - W głosie Debory odczuwało się zmianę. Brakowało dawnej spontaniczności.

Dostrzegła jego wahanie i zastanawiała się z przerażeniem, tym większym, bo nieoczekiwanym, co mogło je wywołać. - Tak, Bazyli. Ja... dużo mnie kosztowało, żeby ci to powiedzieć. A teraz musimy porozmawiać.

Odwrócił się. Miała oczy utkwione w podłogę, ale od razu je podniosła i przyjrzała się jego twarzy. Jej oczy pytały: Dlaczego? Dlaczego się zawahałeś? Czy zbyt wiele spodziewałam się po tobie?

- Jestem... jestem wielce zaszczycony - powiedział. Głos jego brzmiał spokojnie, nawet nieco oficjalnie. Nastąpiła druga prawie niedostrzegalna zwłoka. Czy dlatego, że wciąż jeszcze dręczyły go wątpliwości? - Moja sytuacja nie pozwalała na to, aby zaproponować ci małżeństwo. Wątpliwe, czy kiedykolwiek będę mógł to zrobić. Jestem więc szczęśliwy, że to ty wypowiedziałaś te słowa.

Zdawało się, że zaraz stanie na palcach, tak bardzo pragnęła zajrzeć z bliska w jego oczy. Głowę miała przechyloną do tyłu, a ręce ciasno splecione.

- Och, Bazyli, czy jesteś tego pewny? Czy jesteś tego zupełnie pewny?

Wziął w swoje ręce jej ciasno splecione palce i uśmiechnął się do niej. Miał już na końcu języka, żeby powiedzieć: “Tak, jestem zupełnie pewny”, jednak napięcie w jej oczach powstrzymało go. Musi być całkowicie uczciwy. Jego uśmiech przerodził się w zakłopotane zmarszczenie brwi.

- Podejmujemy decyzję o całym naszym życiu - powiedziała. - Musimy mieć absolutną pewność. - Zmarszczka na jej czole pogłębiła się, tworząc głęboką bruzdę między ciemnymi brwiami.

- Nie wiem, co powiedzieć - odezwał się. - Kodeks chrześcijański jest bardzo surowy. Nie w pełni go rozumiem. Jeśli zechcę go przestrzegać, a mam zamiar to robić, czy będę musiał powiedzieć ci wszystko, co jest w moich myślach?

Spuściła pełne niepokoju oczy, mówiąc:

- To, co zrobiłam, jest tak niezwykłe... tak nienaturalne, że jestem w dwójnasób wyczulona. Kiedy się zawahałeś, nie wiedziałam, co mam myśleć... Czy jest coś takiego, co powinieneś mi wyznać?

- Być może. Choć nie jestem pewny. Ten wasz kodeks jest bardzo surowy. Sądzę, że jest dobry, lecz nie wiem, czego ode mnie wymaga.

Debora zaczęła mówić powoli, z widocznym wysiłkiem:

- Ja również nie wiem, co mam powiedzieć. Zwątpienia, których nie rozumiem, wtargnęły między nas. Może powinnam powiedzieć o czymś, co zamierzałam na zawsze zachować w swym sercu. - Cofnęła się i znów ciasno splotła palce. - Jak tylko wróciłam, zaczęto radzić nad tym, co

należy teraz przedsięwziąć. Ustalono, że muszę natychmiast wyjść za mąż. Powiedziałam, że... że ja sama zapytam cię o to.

- Jestem byłym niewolnikiem, wyzwoleńcem.

- Urodziłeś się jako rzymski obywatel i zostałeś sprzedany na skutek ogromnej niesprawiedliwości. Przywrócono ci twój status. W Antiochii cieszysz się dobrą opinią i sympatią. - Z pewnym oporem mówiła dalej: - W tej naradzie, prócz mnie brały udział dwie osoby. Dziadek jest zbyt chory, żeby uczestniczyć. Jedna z nich od razu zaaprobowała mój wybór. To był Łukasz. Druga osoba nie wyraziła opinii, lecz po naradzie przyszła do mnie i powiedziała, że tego nie aprobuje. Jest coś, jak mówiła, o czym powinnam wiedzieć. Pilnowano cię, więc wiedziano, że trzy razy wychodziłeś z domu. Ten człowiek chciał mówić dalej i opowiedzieć mi wszystko, co widział, ale mu nie pozwoliłam. - Spojrzała na Bazylego ze wzburzeniem. - Oznajmiłam mu, że nie chcę słyszeć ani słowa więcej i że nie uwierzę w nic złego o tobie!

- On ci powiedział prawdę - przemówił Bazyli cichym głosem. - Ciemny schowek w magazynach stał się moją kryjówką. Ostrzeżono mnie, żebym nie wychodził, ale nie posłuchałem. Trzy razy, tak jak on powiedział. Dwa razy w nocy i raz za dnia. Wiedziałem, że gdyby mnie złapano, wynikłyby z tego poważne kłopoty, jednak czułem, że muszę tam iść. - Przerwał i wyglądało na to, że nie wie, co powiedzieć. - Za każdym razem chodziło o spotkanie z Heleną, pomocnicą Szymona Maga.

Nie mogła mu uwierzyć. Jasne było, że tego się nie spodziewała. Nastąpiła długa chwila milczenia.

- Słyszałam o niej - odezwała się wreszcie. - Mówią, że jest piękna.

- Helena była niewolnicą w domu mego ojca w Antiochii. Niedługo po mojej adopcji uciekła i więcej o niej nie słyszałem, aż do dnia, kiedy ją zobaczyłem na podeście wraz z Szymonem. Poszedłem do Gimnazjonu z Łukaszem i od razu ją poznałem. - Zdał sobie sprawę, że czuje wielką niechęć do wyjawienia jej powodu owych dwu wizyt w domu Kokbena. - To długa historia, Deboro, i nie ma czasu, żeby ci o tym teraz opowiadać. Miałem wystarczający powód, żeby się z nią zobaczyć. Powiem ci tylko tyle: Nie poszedłem tam z powodu zainteresowania jej osobą. Helena powiedziała mi, że to ona wysłała karteczkę z ostrzeżeniem co do zamiarów Linusa. Byłem jej bardzo wdzięczny. Nalegała, abym zamieszkał w Rzymie, bo tam będę miał większe możliwości. Ustaliliśmy, że zobaczę się z nią po przyjeździe do Rzymu... - Znów przerwał. - Jeśli się zawahałem z odpowiedzią, to właśnie z tej przyczyny.

Zapytała głosem, który zdawał się wyzbyty z wszelkiego uczucia:

- Czy ją kochasz? Czy to właśnie próbujesz mi powiedzieć?

Bazyli potrząsnął głową.

- Nie jestem w niej zakochany. Sądzę jednak, że muszę ci powiedzieć, iż wiele o niej myślałem.

Zdawało się, że żadne z nich nie zdoła przerwać milczenia, jakie zapadło. Debora rozmyślała: “Mówi, że jej nie kocha, jednak... czy ja wiem. Jednego mogę być teraz pewna: on mnie nie kocha.” Bazyli, przygnębiony i zły na siebie, nic więcej nie miał do powiedzenia.

Służąca Sara weszła do pokoju z przypomnieniem, że czas szybko mija i trzeba się pośpieszyć, bo jeszcze wiele rzeczy pozostało do zrobienia. Coś jednak w ich postawie ostrzegło ją, że nie wolno im teraz przerywać. Stali w pobliżu otwartych drzwi wychodzących na taras, z twarzami zastygłymi w głębokim wzruszeniu, tak wpatrzeni w siebie, że nie zauważyli, jak weszła do pokoju. Nie zdawali sobie sprawy z tego, że słońce podniosło się dość wysoko na niebie i żar leje się wprost na nich z wściekłą intensywnością. Owady na drzewach pod nimi bez przerwy brzęczały sennie.

“Co niepokoi tych dwoje młodych i pięknych ludzi?” - zapytała samą siebie w duchu Sara. Nie wątpiła, że było to coś nadzwyczaj ważnego. Po chwili odwróciła się i cicho wyszła.

Milczenie przerwała Debora.

- Bazyli, czy wiesz, jak mi było ciężko prosić, byś mnie poślubił? A teraz muszę powiedzieć ci coś więcej, co będzie równie trudne.

Podeszła do drzwi wychodzących na taras. Przez kilka chwil stała oparta o nie, spoglądając na blask słonecznego światła. Kiedy się odwróciła, była już opanowana, a jej głos miał normalne brzmienie. Nawet się uśmiechnęła.

- Mój dziadek zawsze mówił, że w wielu rzeczach jestem do niego podobna. Chyba miał rację. Wiem, jak działał jego umysł i jestem pewna, jaką radę dałby nam w tym momencie. Powiedziałby: “Dzieci moje, te pieniądze były oszczędzane i odkładane po to, aby moja pomoc dla tego ubożuchnego, małego Kościoła naszego Pana Jezusa mogła trwać po mojej śmierci. Musicie dopilnować, aby moje życzenie zostało spełnione”. Tak, to właśnie by powiedział. A teraz, Bazyli, muszę wyjawić ci tę drugą rzecz, co mi przychodzi z takim trudem. Nie mogę zaproponować małżeństwa nikomu innemu. Nie teraz. Nie mogę się poniżyć po raz drugi. A musimy się pośpieszyć z decyzją, gdyż czasu jest bardzo mało. Sądzę, że dziadek za jedyne rozwiązanie, skoro między nami jest tyle wątpliwości, uznałby małżeństwo czysto formalne. Nie jest to coś niezwykłego. U nas wiele małżeństw zaczyna się w ten sposób. Możliwe - wpatrywała się w niego usilnie - że uznasz taką formę za łatwiejszą do przyjęcia...

- Deboro - powiedział Bazyli z przejęciem - poślubienie ciebie napełni mnie dumą. Uczynię to na wszelkich, jakie zechcesz, warunkach. Przyjmę takie warunki, jakie wybierzesz. Będę się starał usilnie, aby nigdy nie sprawić ci kłopotu czy bólu.

- Jeśli zawrzemy małżeństwo, czy będziesz uważał za rzecz konieczną dotrzymać obietnicy i zobaczyć się z tą... z tą kobietą w Rzymie?

Potrząsnął głową.

- Jeśli takie jest twoje życzenie, nie zobaczę jej nigdy więcej. Przyrzekam.

- A więc - odezwała się po chwili - to postanowione.

Podejmując decyzję, Bazyli poczuł ulgę na myśl, iż nie zobaczy więcej Heleny. Miał nadzieję, że to mu pomoże usunąć ją zupełnie ze swych myśli. Może się nawet zdarzyć, że on i Debora odnajdą ów nastrój, jaki wspólnie dzielili, stojąc tamtego dnia na skraju Doliny.

Zrozumiał jednak od razu, że tak szczęśliwy bieg spraw nie jest możliwy. Zmienił się stosunek Debory do niego. Nie była już teraz opanowana jak przedtem, kiedy mówiła o cechach, jakie dzieliła z dziadkiem. Pobladła, a w jej oczach pojawił się chłód. Nic nie wskazywało na to, że będzie rada, jeśli powróci lepsze zrozumienie między nimi.

- Winna ci jestem podziękowanie - odezwała się głosem tak samo pozbawionym uczucia, jak jej oczy. - Byłeś wobec mnie uczciwy... i bardzo dobry.

- Nie, nie byłem dobry - odparł Bazyli ze smutkiem.

Po chwili powiedziała:

- Ceremonia zaślubin musi się odbyć natychmiast. Z pewnością zauważyłeś, że przyszłam już odpowiednio ubrana.

3

Adam ben Aszer stał w wejściu, kiedy Łukasz przyszedł do jadalni służby. Pod brwiami czarnymi, jak gradowa chmura niosąca burzę z piorunami, jego oczy płonęły roziskrzonym ogniem.

- Ludzie, po których posłaliśmy, zaczynają się zbierać - oznajmił półgłosem. - Stoją już przed bramą. Ludzie Mara są zaniepokojeni. Bzykają jak końskie muchy. - Przerwał, a potem wybuchnął z gniewem: - Co byś miał do powiedzenia o człowieku z Gazy, który wciąż się spodziewa, że brama, wyniesiona przez Samsona na plecach, zostanie zwrócona po tak długiej zwłoce? Nazwałbyś go głupcem, łatwowiernym głupcem. Ja, Adam ben Aszer, myślę, że jestem takim właśnie głupcem!

Nieoficjalny charakter zaślubin Debory i Bazylego był zgodny z tradycją prostoty, rządzącej rytuałem małżeństwa. Dopuszczono tylko sześć osób z otoczenia, jako świadków, a pozostałym wydano jak najsurowsze zalecenie, aby pozostali w swoich pokojach. Sześciu wybranych stało w rzędzie na wprost baldachimu, kiedy weszła Debora i zajęła pod nim miejsce. Do swego stroju dodała długi welon. Kiedy Bazyli przyłączył się do niej, zupełnie nie widział jej twarzy.

Uzjel, nadzorca, a zarazem starszy Kościoła, stał z nimi pod baldachimem. Twarz miał wilgotną ze wzruszenia, a palce ciasno splecione na srebrnym naczyniu, które miało służyć jako kielich błogosławieństwa. Kolejno wypowiadali Berchat Nissuin. Bazyli potykał się o nieznajome wyrazy i trzeba mu było cały czas podpowiadać. Debora czytała tekst wyraźnie i pewnie, chociaż jej głos był bezbarwny. Potem Uzjel zaintonował błogosławieństwo i zmarszczył się na pana młodego, kiedy ten nie przystąpił od razu do następnej czynności.

- Jest w zwyczaju - odezwał się surowym głosem - podnieść welon panny młodej. - I dodał szeptem: - Czy muszę również wyjaśniać, że powinieneś wydać okrzyk radości, kiedy twoje oczy spoczną na twarzy tej, która od tej pory będzie dzieliła twoje radości i smutki?

Bazyli podniósł welon, ale okrzyk, jaki wydał, był nędzną imitacją radości, wymaganej przez tradycję. Bladość panny młodej zaskoczyła go, a wyraz smutku, jaki zobaczył w jej oczach, uniemożliwił takie udawanie.

- W tym punkcie - powiedział Uzjel, odchrząkując z uroczystą miną - należałoby odczytać kontrakt ślubny. Ponieważ nie było czasu, aby go przygotować, przystępujemy do końcowego obrzędu: podzielenia się ze wszystkimi obecnymi kielichem wina.

Adam ben Aszer nie ruszył się ze swego miejsca koło drzwi. Gdyby go ktoś obserwował, zauważyłby, że jego ciemna twarz odzwierciedla wszystkie uczucia, jakie go trawią. “Nigdy mi nie przyrzeczono ręki Debory, jak przyrzeczono Rachelę Jakubowi”, myślał. “Pracowałem jednak długo dla mego pana w nadziei na tę nagrodę. Po siedmiu latach służby Jakub nie dostał swej Racheli, lecz zamiast niej starszą siostrę Leę. Pismo mówi, że Lea była miła dla oka, lecz ja nie jestem tego pewny. Myślę, że miała biodra jak koń pociągowy, była sflaczała, krostowata i żółta, jak opadające liście. Dla mnie nie ma nawet Lei na pociechę, a teraz muszę gnać moje piękne wielbłądy w szalonym pościgu przez pustynię. Po co mam niszczyć w ten sposób swoje ciężko zarobione dobro? Doprawdy, jestem łatwowiernym głupcem! Robię to, aby panna młoda, która woli innego mężczyznę, mogła zdobyć spuściznę, którą z nim podzieli. Jestem jak ta oślica, na której jechał Balaam, kiedy wyruszył w drogę, aby się przyłączyć do książąt Moabu. A kiedy oślica ostrzegała o niebezpieczeństwie, Balaam trzy razy ją uderzył.” Potrząsnął gniewnie głową. “Zrobię jednak wszystko, co będę mógł. Czegóż bym nie zrobił dla małej Debory!”

Uroczystość została zakończona. Bazyli i Debora byli mężem i żoną wobec Pana i w oczach ludzi. Napełniono jeden z kielichów stojących na półce i podawano sobie w małym kółku świadków. Każdy kolejno pociągnął łyk, nawet Adam, chociaż się przy tym marszczył i mruczał pod nosem:

- Muszą mi wyrastać uszy na głowie, takie, jak miała oślica Balaama. Niedługo będą tak duże, że zaczną łopotać przy najmniejszym podmuchu wiatru.

- Jest w zwyczaju - objaśnił Uzjel - przechowywać kielich, stanowiący rękojmię szczęścia nowo poślubionej pary.

Wyjęto białe, atłasowe prześcieradło i Debora rozłożyła je na stole pod półką. Bazyli, zgodnie ze zwyczajem, stał obok niej.

- Musimy przebywać w oddzielnych namiotach - odezwała się Debora szeptem. Ręce, zajęte owijaniem Kielicha, drżały lekko. - Nie wiem, jak to będzie można wytłumaczyć, ale spróbuję znaleźć jakiś pretekst.

Bazyli skinął w milczeniu głową, wyrażając swą zgodę. Czuł się bardzo nieszczęśliwy, obserwując jej palce przy pracy. Wszystko mogło wyglądać zupełnie inaczej, gdyby zapanował nad swymi instynktami. Zobaczył się z Heleną w celu, który mu się wydawał konieczny i godny pochwały. Wtedy nie odczuwał jeszcze pragnienia, aby znów ją zobaczyć. Zafascynowanie nią rozpoczęło się od jego drugiej wizyty, kiedy Szymon dokonał swojego oszustwa z tak mizernym skutkiem. Bazyli nie potrafił zrozumieć, dlaczego jego uczucia dla byłej niewolnicy stały się nagle tak gwałtowne. Ale tak właśnie było.

- Musimy się zachowywać w sposób naturalny - ciągnęła Debora ze spuszczonymi oczami. - Nie trzeba, aby podejrzewano, jak jest naprawdę, przynajmniej nie od razu. Zdaję sobie sprawę, że nie będziemy mogli utrzymać tego w tajemnicy. Lecz moja duma - tak, mam swoją dumę - chociaż nie mogłabym ciebie ganić, gdybyś w nią wątpił - moja duma wymaga, aby to nie nastąpiło od razu. Nie zniosłabym, żeby wszystko się wydało już teraz. Mój dziadek umiera, a mój ojciec nigdy mi nie przebaczy tego, co teraz robię. Może mnie nawet potępić i wykluczyć z rodziny. A poza tym nie chcę, by mówiono, że... że musiałam sobie kupić męża.

- Deboro! - zawołał. - Chyba tak nie myślisz!

- Wszyscy by tak mówili. - Rzuciła okiem na pokój. Łukasz zaczął przemawiać, a reszta zdawała się słuchać w napięciu, nie spuszczając z niego oczu. - Czy trudno ci będzie zachować pozory? Tak, aby wyglądało, że jesteśmy naprawdę mężem i żoną, jeśli nawet nie dzielimy namiotu?

- Powinnaś wiedzieć, jak głębokie jest moje uczucie do ciebie... - zaczął mówić, lecz ona gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nie musisz mi mówić takich rzeczy. Oboje wiemy, jaki nas łączy stosunek. - A w duchu dodała: “Nie chcę, aby myślał, że musi być dla mnie dobry, że musi rzucać mi okruchy!” Jej głos wyrażał uczucia, które w każdej chwili mogły wyrwać się spod kontroli. Po krótkim milczeniu mówiła już spokojniejszym tonem: - Pozostała nam tylko chwilka, więc proszę, posłuchaj tego, co ci powiem. Musimy udawać, że się kochamy. Musimy dużo ze sobą rozmawiać, uśmiechać się do siebie... Nikt nie powinien wiedzieć, że to tylko pozory. Czy możesz mi pomóc w ten sposób?

- Zrobię wszystko, co zechcesz.

- Nie możemy jednak - wyszeptała Debora z napięciem - posuwać się za daleko. Żadnego obejmowania się, trzymania za ręce. Musimy wyrażać nasz podstęp w inny sposób.

- Rozumiem. Będzie tak, jak sobie życzysz.

Łukasz jeszcze przemawiał. Zmarszczki wokół oczu rozciągały mu się w uśmiechu, kiedy opowiadał historyjki o pannie młodej. Słyszał na własne uszy, jak Debora, będąc malutką dziewczynką, powiedziała, że poślubi tylko króla Izraela, takiego jak Dawid, i że będzie miała dwunastu synów, których nazwie imionami dwunastu plemion. Później mówiła, że mąż, jakiego szuka, musi być tak mądry jak Salomon, ale że podobieństwo do tego wielkiego króla kończy się na mądrości, bo nie wolno mu będzie mieć więcej jak tylko jedną żonę; zmniejszyła też liczbę synów do czterech. Chciała im dać imiona: Piotr, Jan, Jakub i Andrzej.

- Jestem nędzną namiastką męża, jakiego chciałaś mieć - odezwał się Bazyli skruszonym głosem.

A ona pomyślała: “Mogłeś być wszystkim, czego pragnęłam, wszystkim, o czym marzyłam.”

Reszta osób w pokoju tak była zajęta opowiadaniem Łukasza, że nikt nie zwracał uwagi na to, co się dzieje w miejscu, gdzie stoją nowożeńcy. Nie widzieli, że panna młoda wyraźnie drżącymi rękami zawinęła w prześcieradło z pięknego atłasu nie ten kielich, który uprzednio krążył wokół, lecz inny, wyjęty spośród kielichów stojących na półce. Był to zwyczajny, stary puchar z powyginanym brzegiem, pod którym widniał znak przypominający płaską rybę galilejską.

Rozdział XIV

1

Łukasz i Adam odprowadzili pannę młodą do drzwi pokoju dziadka, lecz nie przestąpili progu. Mała grupa czekała spokojnie w przedsionku. Każdemu z nich Adam podał dokument do podpisania.

- Może się później okazać konieczne świadectwo - wyjaśnił - że ślub wnuczki pana tego domu odbył się przed jego śmiercią.

Uczyniwszy zadość temu środkowi ostrożności zaczął chodzić tam i z powrotem i mówić o wielkości tego życia, które właśnie dobiegało końca. Mówił bezładnie i półgłosem, ale od czasu do czasu pozwalał swym uczuciom wybuchnąć potokiem słów.

- Nikt nie mógł mu dorównać - perorował. - Abraham był człowiekiem ubogim, Job w latach dostatku - zwykłym poszukiwaczem bogactwa. Faraon nie obdarzył Józefa nawet jedną dziewiątą złota, jakie stało się własnością Józefa z Arymatei. Jego chwała będzie głoszona w zapiskach z jego dni, ale nikt tak dobrze go nie znał, jak ja go znałem. Jego słowo było pewne, jak zobowiązanie króla, serce czyste jak niebo o poranku. Umysł miał podobny do ostrza świeżo wyjętego z ognia. Zawsze miał rację. A teraz ta dobroć i mądrość muszą znaleźć kres w grobie! Otwórzcie swe serca smutkowi, wy wszyscy, którzy go znaliście i czerpaliście korzyści z jego rąk! Przygotujcie się na opłakiwanie jego odejścia.

Zatrzymał się nagle, a jego oczy przemknęły pośpiesznie po twarzach. “Cóż za szalone słowa mówiłem! Nie może być żadnych opłakiwań. Ani jedna nutka smutku nie może się wydobyć, aby dać znać, kiedy nasz pan i przyjaciel zamknie oczy. Smutek, jaki odczuwamy, musi być, na razie, wyrażony milczeniem.”

Upłynęło zaledwie parę minut i drzwi otworzyły się. Stanęła w nich Debora. Była spokojna, ale jej policzki pobladły. Nie podniosła wzroku.

- Dziadek nie żyje.

Natychmiast pochyliły się wszystkie głowy. Takie milczenie było czymś niezwykłym, gdyż smutek w żydowskim domu jest wyrażany głośno. Po chwili wszystkie oczy zwróciły się na Adama, oczekując od niego dalszych dyspozycji. Stał ze spuszczonymi oczami, a jego usta poruszały się w modlitwie. Nikt nie wykonał żadnego ruchu. Nikt się nie odezwał. Wreszcie Adam podniósł wzrok i skinął na Ebenezera, stojącego na uboczu.

- Dużo zależy od twojej czujności - powiedział cicho.

Ebenezer wysunął się w milczeniu. Powrócił na swoje stanowisko przed drzwiami Aarona. Zanim nie dokończono dalszych przygotowań, nikomu nie było wolno donieść nowemu panu, że

Józef z Arymatei został już powołany do krainy przodków.

2

Dwóch zelotów, którzy trzymali straż przed głównym wejściem, nie spuszczało wzroku z okna, w którym rezydował Aaron. Zdawali sobie sprawę, że coś się wydarzyło, więc zdwoili czujność. Pod bramą zaczęli się gromadzić mężczyźni i kobiety tworząc milczące grupy. Nadciągali od strony Doliny. Wyglądali skromnie i ubogo.

- Co to znaczy? - spytał Minjamin swego towarzysza. Choć był niewielkiego wzrostu, miał widocznie wielki temperament, gdyż jego ręka sięgnęła gniewnie do noża przy pasie. - Po co te nędzne szumowiny zbierają się tutaj?

- To chrześcijanie - oznajmił wyższy strażnik. - Ich twarze są podobne do owiec. I śmierdzą jak owce. Tak jest zawsze u tych chrześcijan. Pewien jestem, że przyszli opłakiwać śmierć tego starca. - Pokiwał łysą głową, pokrytą wielkimi, żółtymi plamami. - Kiedy wreszcie ten stary worek z pieniędzmi podda się i umrze? Przyzwoity człowiek dawno by się z tym uporał. Mam już dość tego wystawania u jego drzwi.

Rżenie koni doszło do ich uszu z otwartej przestrzeni położonej w dole ulicy. Zaczynała się tam rozpadlina, opadająca w Dolinę, zarośnięta karłowatymi drzewami i wysokimi zaroślami. Ponieważ zawsze służyła złodziejom, grze w kości i rozpuście, nazywano ją Miechami Belzebuba.

- Starzec umrze w ciągu tej godziny - odezwał się Minjamin, nie zwracając uwagi na rżenie koni. - Nie może dłużej oszukiwać anioła śmierci.

Potem z nadmierną gwałtownością przystąpił do wydawania rozkazów zgromadzonemu tłumowi. Musieli cofnąć się na sam koniec placyku przed bramą domu Józefa i ustawić w szeregi. Ponadto mieli przykazane nie otwierać ust i nie szurać nogami, jednym słowem nie robić żadnego hałasu. Jeśli nie usłuchają, kara będzie szybka i ostra. Sztylet w ręku strażnika służył za wskazówkę, jakiego rodzaju kary mogą się spodziewać.

W chwilę potem wydarzyło się coś nowego. Nie było to jednak oczekiwane wezwanie z okna Aarona. Przez drzwi frontowe wyszła spora grupa ludzi. Dwaj strażnicy zapomnieli o wszystkim innym i pośpieszyli w tamtą stronę.

Pierwsi wyszli dwaj młodzieńcy niosąc nad głowami lampy weselne, co mogło oznaczać tylko jedno: przed chwilą odbyły się zaślubiny. Zwykle przyjaciele pana młodego tańczą przed szczęśliwą młodą parą i śpiewają pieśni, chwaląc urodę panny młodej. Choć teraz nikt nie tańczył, nie było żadnych wątpliwości co do charakteru wydarzenia. Tuż za młodzieńcami szła młoda para, która przed chwilą stanęła razem pod ślubnym baldachimem. Panna młoda była w bieli i wyglądała tak pięknie, jak powinny wyglądać panny młode, zaś pan młody miał na sobie przepysznie

haftowany płaszcz.

- Ślub - rzekł Minjamin. - Czy powiedziano nam, co mamy robić w przypadku ślubu?

- Nie - odparł ten wysoki. - Mar wszystko nam powiedział, ale nic nie mówił o ślubie.

Narzeczona niosła w jednej ręce okrągłe naczynie, z którego wyjmowała drobne monety i rzucała w tłum widzów. Nieduże naczynie było kunsztownie owinięte w biały atłas. Panna młoda rozrzucała monety, pozdrawiała zebranych i uśmiechała się, gdy tylko przypomniała sobie o tym, że panny młode zazwyczaj się uśmiechają.

Minjamin potarł szczękę niezdecydowanym ruchem.

- Co nam wypada robić? - spytał. - Mamy tylko dwie pary rąk i nie możemy przeszukiwać tych wszystkich ludzi. Chyba powinniśmy im nakazać powrót do domu, a potem rozpędzić tych gapiów? Jeśli nie zechcą słuchać, będziemy musieli wyciągnąć sztylety. Przyznam ci się, Eleazarze, że nie lubię podrzynania gardeł na weselu.

- Pewno, że nie - zgodził się Eleazar. - Co innego na pogrzebie, bo tam ma się do czynienia ze śmiercią. Myślę, że i przy narodzinach to by mi nie przeszkadzało, bo wszystkie kłopoty na świecie zaczynają się od narodzin. Za dużo ludzi się rodzi. Ale podrzynanie gardeł nie pasuje do wesela. - Mówiąc to przyglądał się ślubnemu orszakowi. - Ta panna młoda ma ładne, okrągłe oczy. Resztę też ma przyjemnie zaokrągloną. Ale co widzę! Przyjrzyj się jej dobrze, Minjaminie. Czy to nie wnuczka pana domu?

- Co to znaczy?! - zawołał Minjamin. Rzucił się w stronę maszerującego pochodu, odpychając pośpiesznie na bok tych, którzy byli najbliżej. Potem odwrócił się wściekły i zaniepokojony. - Masz rację! To jego wnuczka. Co to wszystko ma znaczyć? Czy ta maskarada ma nam utrudnić pilnowanie domu? Eleazarze, biegnij do wszystkich pozostałych wejść i powiedz naszym ludziom, aby natychmiast tu przyszli. Będzie nam potrzebna pomoc. Nie, zostaw po jednym człowieku przy każdej bramie i wracaj z resztą. To może być podstęp, żeby nas odciągnąć od innych drzwi. Szybko! Nie ma chwili do stracenia!

Wysoki skrytobójca pobiegł wielkimi susami, wyciągając jak żuraw swoje cienkie nogi, a za nim trzech innych pomocników. Kiedy wrócił, było jednak za późno, aby przedsięwziąć jakąś skuteczną akcję. Widzowie, te owce, które wywołały szyderstwo strażników przy głównym wejściu, złamali swoje szeregi i ruszyli do przodu, przyłączając się do maszerującego pochodu. Dziesiątki innych mężczyzn i kobiet, niewidocznych do tej pory, wypłynęły teraz z wąskich uliczek i przejść. Z domu Józefa wyszła służba, wszyscy dawni niewolnicy, którzy nie brali udziału w ceremonii zaślubin. Śpiewając hymn uformowali szereg obok panny młodej i pana młodego. Aaron, którego twarz nagle ukazała się w oknie, nie mógł uwierzyć własnym oczom. W pierwszej chwili pomyślał, że to banda pomyleńców zebrała się pod bramą jego domu. Niektórzy ludzie

zaczęli tańczyć, a wszyscy śpiewali jak mogli najgłośniej. Zeloci miotali się na skraju tłumu jak wściekłe rekiny, płynące obok zwartej ławicy ryb. Jedyne, co mogliby teraz zrobić, to wedrzeć się w tłum i uderzać nożami na prawo i lewo. Adam ben Aszer, widząc, że Minjamin w panice naradza się ze swymi ludźmi, zaczął wyjaśniać bezowocność takiego postępowania.

- Pół tuzina mężczyzn nie może zrobić żadnego wrażenia na takim tłumie, jak ten! - krzyczał głośno, aby jego słowa dotarły do zelotów. - Naturalnie moglibyście zabić paru z nas. Lecz spójrzcie! Oni odeszli już daleko i nie możecie ich ani zatrzymać, ani zawrócić. Czy zabicie paru maruderów pomoże sprawie, której służycie?

- Na osiemnaście błogosławieństw, przyłapano nas na drzemce - powiedział Minjamin z goryczą. - Co powie na to Mar?

Jasne było, że to, co Mar może mieć później do powiedzenia, miało już niewielkie znaczenie. Śpiewający, rozkrzyczany i roztańczony tłum opuścił już plac przed domem Józefa. Byli teraz tuż przy wolnej przestrzeni w dole ulicy, skąd dochodziło rżenie koni stojących przy Miechach Belzebuba.

Minjamin zebrał wokół siebie swoich ludzi. Wszyscy byli bardzo przygnębieni.

- To nie nasza wina - oznajmił swarliwym tonem. - Skąd mogliśmy wiedzieć, że otrzymają pomoc wszystkich jerozolimskich chrześcijan? Ale skoro tak się stało, musimy naprawić ten błąd. Ty, Eleazarze, dopilnuj, aby u każdych drzwi pozostał jeden człowiek; nikomu pod żadnym pozorem nie wolno wejść ani wyjść. Ty zaś wejdź do domu i powiedz Aaronowi, że poszukiwanie Kielicha rozpoczynamy natychmiast. Nie wolno nam zwlekać tylko dlatego, że starzec wciąż jeszcze nie umarł. Wyjaśnij Aaronowi, że w razie potrzeby przeszukamy łoże Józefa, a poduszkę wyciągniemy spod głowy i rozprujemy!

- Prawdopodobnie - odparł Eleazar, spoglądając za hałaśliwym orszakiem - zabrali Kielich ze sobą.

- Myślę, że to prawie pewne - niespokojna myśl opanowała umysł Minjamina. - Czy zauważyłeś, że panna młoda niosła w ręku naczynie czy też koszyczek pokryty białą tkaniną? Ale czy przypuszczasz, że wystawiałaby ten Kielich na pokaz?

Eleazar miał wątpliwości.

- Nie zrobiliby tego tak otwarcie. Chrześcijanie nie należą do ludzi odważnych.

- Dzisiaj okazali więcej śmiałości, niż my rozsądku - sarkał Minjamin. - Ale zgadzam się z tobą. Całkiem możliwe, że ktoś go wyniósł pod płaszczem. - Zaczął teraz wydawać rozkazy. - Ty, Amasjo, poszukaj Ruba Samuela i powiadom go o tym, co się zdarzyło. Powiedz mu, że pójdę w ślad za tymi ludźmi i doniosę mu o ich posunięciach. Powiedz wyraźnie Marowi, że jeśli to oni zabrali Kielich, wrócę z nim albo nie wrócę wcale.

Księga druga

Rozdział XV

1

Jechali przez sześć godzin, przeważnie wąskimi drogami, wspinając się wciąż pod górę. Majestatyczne wielbłądy, dostarczone przez Adama, szły wolnym krokiem, stawiając ostrożnie szerokie, poduszkowate stopy. W samo południe zrobiło się duszno i nieznośnie gorąco. Okolica coraz bardziej przypominała pustynię, ciągnącą się bez końca na wschód od Jordanu. Wokół było brązowo i żółto: winorośle na zboczach wzgórz uschły i sczerniały, drzewa owocowe dobiegły kresu lata w stanie omdlałej śpiączki. Stada owiec, wyszukujące wśród skał resztek trawy, witały podróżnych zniechęconym beczeniem.

Pierwszą noc spędzili w hanie, do którego docierał szum powoli płynącego Jordanu. Z daleka zajazd wyglądał imponująco, ciasno stłoczone dachy wznosiły się nad drewnianym ogrodzeniem wysokim na dwadzieścia stóp. Ale przy bliższym zetknięciu okazał się brudnym, zgiełkliwym miejscem. Karawana wjechała przez łuk bramy głośno dźwięcząc dzwonkami, powiewając chorągiewkami i pióropuszami, połyskując ozdobami z muszelek i cekinów. Adam rzucił okiem na zatłoczony dziedziniec, spojrzał na srogich, dostojnych mężczyzn w olbrzymich turbanach targujących się i dyskutujących w hałaśliwych grupkach, obserwujących czujnie wszystko, co się dzieje, każdego, kto przybywa i odjeżdża; na spieczone słońcem twarze ich żon w szatach koloru surowej wątroby, gorliwie zajętych przy wejściach do nisz wzdłuż długiego muru szykowaniem wieczornego posiłku w maleńkich, miedzianych kociołkach nad niewielkimi ogniskami; na małe skórzane stoliki, na których już ustawiono daktyle, rodzynki i kawałki orzechów kokosowych. Nie spodziewał się, że zajazd będzie tak zatłoczony o tej porze roku i dość niechętnie zaczął się targować o pomieszczenie nad wjazdem. Właściciel hanu, wiekowy Armeńczyk, uznał, że w tej sytuacji ma prawo żądać wyższej sumy niż zwykle.

- Takie piękne wielbłądy! - zawołał. - Taka skóra! Takie fantazje ze złotych nici! Czyżby Józef z Arymatei zmarł i zostawił ci fortunę?

- Józef z Arymatei zmarł - odparł Adam - ale nie oczekuję żadnej po nim spuścizny. Te wielbłądy są moją własnością. Wybierałem je bardzo starannie i zapłaciłem z moich oszczędności, które, Bóg mi świadkiem, są niewielkie. Nie jestem w odpowiednim nastroju, żeby spokojnie patrzeć jak mnie okradasz, Hasudzie.

Targi przeciągały się tak długo, że zmęczona Debora przemówiła do swojego wierzchowca. Kiedy wielbłąd usłuchał rozkazu i przykląkł na jedno kolano, zsunęła się spod płóciennej zasłony - toli - czując, że zesztywniała. Z powodu pośpiesznego wyjazdu z Jerozolimy miała na sobie biały strój weselny, który teraz był wymięty i zakurzony. Rozejrzała się wokoło i spostrzegła, że Łukasz,

wyglądający teraz jak stary i bardzo zmęczony człowiek, idzie za jej przykładem. Bazyli już wcześniej zszedł z wielbłąda i chodził po dziedzińcu. Jego barwny strój na tle szarości i brązu rzucał się wszystkim w oczy.

Zażarty spór o cenę dobiegł wreszcie końca i Debora poszła za Adamem po kręconych i niepewnych, drewnianych schodach do pomieszczenia nad bramą. Pokój był nieduży i nagrzany jak piec, lecz stosunkowo czysty i dość w nim było miejsca dla wszystkich, z wyjątkiem poganiaczy wielbłądów, którzy zwiną się w kłębek na dziedzińcu obok swoich zwierząt. Ta sytuacja przyniosła ulgę Deborze, bo odwlekała konieczność wyjaśnień. Usiadła przy jednym z okien na kocu, rozciągniętym dla niej przez jej służkę Sarę. Nadszedł Adam i przysiadł na piętach obok niej.

- Nasza maleńka panna młoda jest zmęczona - powiedział. Jak ktoś, kto nie może się oprzeć, aby nie dotykać bolącego miejsca, zaczął mówić o ślubie. - Taka piękna panna młoda, taka wierna mała Rachela, rada oddać swą rękę spragnionemu Jakubowi! Ale w tym przypadku Jakub nie musiał pracować przez siedem lat, żeby dostać pannę młodą. - Debora milczała, więc ciągnął dalej: - Czyż nie jest to idealny związek? A oto nadchodzi pan młody, najszczęśliwszy z ludzi. Jak sprzyja mu szczęście! Jak pięknie jest przyodziany! Czy którakolwiek dziewica mogłaby się oprzeć temu błękitnemu płaszczowi?

Bazyli przeszedł do nich przez pokój. Wyglądał na zaniepokojonego.

- W tłumie na dole jest człowiek, który stał dzisiaj przed bramą domu Józefa - oznajmił.

Adam bystro spojrzał na niego.

- Skąd możesz być tego pewny?

- Stał z boku, kiedy wychodziliśmy z domu. Był tam i drugi, który coś do niego mówił, w ręku miał sztylet. Przyjrzałem się im baczniej, wiedząc, że stoją tam na straży.

- Jest wysoki czy niski?

- Niski. Ma znamię w kąciku ust. Może to być blizna.

Adam skinął głową.

- To Minjamin, jeden z ludzi Ruba Samuela. Poderżnąłby nam wszystkim gardła z łatwością i dokładnie, a zaraz potem zjadłby kolację z dobrym apetytem. Będzie próbował odebrać nam Kielich. - Kiedy Debora i Bazyli popatrzyli na niego ze zdumieniem, pozwolił sobie na pogardliwe prychnięcie. - Myśleliście, że ja o tym nie wiem? Mam dwoje dobrych uszu i pożyteczną parę oczu. Niewiele rzeczy im umyka. Byłem pewien, że będziecie mieli Kielich przy sobie i nie dziwię się, że nasz piękny i bystry pan młody ujrzał w przelocie na dole budzącego lęk Minjamina. Ludzie Ruba Samuela będą nam deptali po piętach przez całą drogę, a może nawet poczujemy ich sztylety w plecach. - Rzucił okiem na ich zaniepokojone twarze i pozwolił sobie na kolejne prychnięcie. - Gdzie jest teraz ten Kielich?

Małe wewnętrzne okienko wychodziło na dziedziniec. Debora podeszła do niego, żeby zobaczyć, co się dzieje na dole. Tłum zdawał się jeszcze głośniejszy i bardziej hałaśliwy. Obsługujący karawany mężczyźni o twarzach koloru kakao i rozbieganych oczach rozprawiali w grupkach. Kupcy o chytrych oczach, niechlujni służący, wychudzeni żebracy zepchnięci na bok, niczym jakieś odpadki w odmęcie wodnym - wszyscy mówili naraz, wszystkie oczy płonęły, wszystkie ręce gestykulowały.

Służba Debory trzymała się z rezerwą na uboczu. Kobiety spuściły zasłony na twarze, ale mimo tego środka ostrożności przyglądano się im z chciwą ciekawością. Stały zbite w gromadkę przy kufrze rzeźbionym w wyszukane wzory, pomalowanym na ciepły odcień purpury. Reszta dobytku zwalona była w bezładnym stosie na bardzo starej i prostej skrzyni.

Oczy Debory przemknęły po służbie pilnującej ozdobnego kufra, a potem spoczęły na podniszczonym sprzęcie pod dywanikami i różnorodnymi przedmiotami potrzebnymi w podróży. Odetchnęła z ulgą, widząc, że Łukasz ustawił się tuż obok i pilnuje go bacznie.

- Kielich jest dobrze strzeżony - powiedziała odwracając się do Adama.

Z kolei Adam podszedł do okienka. Po chwili przyglądania się hałaśliwemu tłumowi klasnął w ręce i wydał głośny rozkaz dwóm ludziom na dole. W parę sekund cały dobytek grupy wniesiono na górę i ustawiono w rogu pokoju. Łukasz szedł tuż za starą skrzynią.

- Jeśli damy tym złodziejom na dole sposobność do puszczenia w ruch ich zręcznych palców, rozkradną nam wszystko, co mamy - objaśnił Adam. - A teraz, jeśli troje niewiniątek posłucha mnie uważnie, postaram się wyjaśnić, jakiego rodzaju kłopoty mogą nas wkrótce spotkać.

Podszedł kolejno do każdego z okien i wyjrzał, aby się upewnić, że nie można się do nich dostać z dołu. Potem wyszedł na schody i uważnie nasłuchiwał.

- Rzuć glinianą skorupą w jakiejkolwiek wiosce w Palestynie, a trafisz w trzech zelotów - powiedział. - Otwórz usta, wyrażając swoje zdanie w jakimkolwiek publicznym miejscu, a odpowie ci zelota i jeszcze dołoży kuksańca. Innymi słowy, moja trójko nieświadoma spraw tego świata, wszędzie można spotkać ludzi Ruba Samuela i Minjamin może ich wezwać na pomoc o każdej porze i w każdym miejscu. Będzie czekał, aż uzna, że okoliczności są najbardziej sprzyjające i wtedy uderzy. Trzeba mu zapewnić taką możliwość i dobrze przygotować obronę. Tak, chyba zaczynam jasno widzieć drogę postępowania.

Wyraźnie ociągał się z wyjaśnieniem, na czym ten plan polega, spoglądał z niepokojem na Łukasza i podejrzliwie na Bazylego. Zdając sobie jednak sprawę, że musi im wyjawić swe plany, ciągnął dalej.

- Tej nocy będę krążył po dziedzińcu. Znam większość tych ludzi, a oni wszyscy mnie znają, i rozpowiem, że jutro dotrzemy do En-$gannim i ustawimy namioty pod miastem.

Wzmianka o En-$gannim od razu wprawi w ruch mózgownicę Minjamina. Jak wszystkim wiadomo, leży ono w płytkiej dolinie, na południowym krańcu równiny Ezdrelon. Otóż traf chciał, że Minjamin urodził się i wychował na tej równinie i wie, że we wszystkich tamtejszych miastach jest wielu zelotów. Wystarczy, że wyruszy przed nami. Myślę, że się wymknie w środku nocy i zbierze wokół siebie potrzebnych mu ludzi. Rozgłoszę, że dla oszczędzenia czasu zamierzamy rozbić namioty na krawędzi doliny. Minjamin zatrze ręce i zagwiżdże z radości przez zęby, kiedy to usłyszy, gdyż nie ma tam żadnej osłony, a na znacznej długości doliny biegnie wyschnięte koryto rzeki, którym atakujący mogą podejść przez nikogo nie zauważeni. Minjamin pomyśli, że Adam zaniewidział jak nietoperz w świetle dnia, kiedy usłyszy, gdzie zamierzam rozbić namioty!

- Tak się składa - ciągnął dalej, rozkoszując się własną przebiegłością - że En-$gannim ma dla nas pewną zaletę, o czym on nie wie. Trochę wyżej, w zielonej oazie, żyje mój dobry przyjaciel. Zwie się Katorius, jest Rzymianinem. Służył tu kiedyś w wojsku. Kiedy jego służba dobiegła końca, pozwolono mu tutaj zostać, bo był ożeniony z kobietą z Emek-$kesis, dorodną, dobrze zbudowaną niewiastą o sercu tak gorącym, jak spieczone słońcem miasteczko, gdzie się urodziła. Wzięli ziemię na Równinie i tam z powodzeniem hodują dobro dwojakiego rodzaju: owce, które ich wzbogaciły, i synów, którzy są podporą ich starości. Kiedy rozbijemy namioty pod En-$gannim, wymknę się po zmroku do domu Katoriusa w małej dolince wśród wzgórz i poproszę o pomoc jego trzech synów.

- Czy są chrześcijanami? - zapytał Łukasz.

- Chrześcijanami! - zawołał Adam. - Nie, Łukaszu Lekarzu, są tak prości i pierwotni, jak owce, które hodują, i tak pogańscy, jak Astarte.

- Czy w takim razie możemy wciągnąć ich w nasze kłopoty?

A ponadto, czy możemy im w pełni zaufać?

Adam wybuchnął głośnym, pełnym zadowolenia śmiechem.

- Jeśli już twoje łagodne serce, Łukaszu, musi przepełniać współczucie dla innych, pozostaw je raczej dla tych niczego nie podejrzewających ludzi, których Minjamin sprowadzi przeciw nam. Będą musieli stanąć twarzą w twarz z tymi Anakitami z Równiny. * Nazywają ich Olbrzymami ze Sladoru.

Anakici - według Księgi Liczb 13, 33 pierwotni mieszkańcy Kanaanu pochodzący od olbrzymów (przyp. red.).

Rozstrzygnąwszy w ten sposób najpilniejsze problemy, z wyraźną satysfakcją Adam przystąpił do wydawania zarządzeń przed nocą. Ktoś musi spać z Kielichem pod poduszką. Tę rolę powierzył Łukaszowi. Pozostali będą kolejno stali na straży podczas godzin nocnych. Bazylego wybrano na początek, po nim miała czuwać Debora, zaś Adam na końcu.

- Musimy wyruszyć o pierwszym świtaniu - postanowił Adam żwawo. - A teraz zabierzemy się do kolacji.

Bazyli objął stanowisko u szczytu schodów. Na dziedzińcu zapanowała cisza, przerywana jedynie od czasu do czasu głosem któregoś z wielbłądów lub wyciem polującej hieny. Był przejęty tym, że święty Kielich znajduje się w pokoju obok i że on go strzeże. Oczekiwał, że poprzez drewniane ścianki podniszczonej skrzyni ujrzy ten dziwny blask, jaki promieniował w mroku jego kryjówki w domu Józefa. Za każdym razem, kiedy się odwracał, był zdumiony panującą ciemnością. Nie widział nic prócz białej szaty Debory, która leżała w rogu pokoju. Oddychała tak lekko, że nie mógł odgadnąć, czy czuwa, czy też śpi.

Raz usłyszał skrzypnięcie schodów i zacisnął dłoń na rękojeści sztyletu. Przez parę minut nasłuchiwał z napięciem, ale odgłos się nie powtórzył. Nic nie zaszło. “Na pewno szczur”, pomyślał. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo leży mu na sercu bezpieczeństwo Kielicha. Czoło miał zroszone potem, a dłonie wilgotne.

W miarę upływu czasu nabierał pewności, że Debora śpi i wahał się, czy ją budzić, kiedy nadeszła pora, aby go wymienić. Poruszyła się jednak sama i usiadła w ciemności.

- Bazyli! - wyszeptała.

- Tak, Deboro?...

- Czy nie pora, żebym zaczęła czuwać?

- Jeszcze nie. Pośpij jeszcze trochę.

- Nie mogłam usnąć. Leżałam i rozmyślałam.

- Więc tym bardziej zaśnij teraz. Przed nami ciężki dzień.

- Ale ty również potrzebujesz odpoczynku.

Usłyszał, że wstaje. Kiedy się obrócił i spojrzał w jej stronę, była już na nogach.

- Gdzie jesteś? - wyszeptała.

- Tutaj! U szczytu schodów.

Przeszła boso przez pokój i usiadła obok niego na górnym stopniu. Po chwili zaczęła mówić cichym głosem.

- Porozmawiajmy chwilę. Lepszej sposobności nigdy nie będzie. Chcę ci powiedzieć, Bazyli, że chyba źle postąpiłam. Nie jestem w porządku wobec ciebie. Związałeś się z żoną, której nie kochasz.

- Ależ Deboro...

- To prawda, Bazyli. Nie musisz oszczędzać moich uczuć, wyrażając protest. Usprawiedliwia mnie jedynie potrzeba wspomożenia przywódców Kościoła.

Ton jej głosu miał teraz oznaczać, że wciąż rozmyśla o sytuacji, w jakiej się znaleźli.

- W każdym razie, jak widzisz, obdarzyłam cię wielkim zaufaniem. Czy przyszło ci na myśl, że jako mój mąż mógłbyś podjąć moją spuściznę i użyć jej zgodnie z własną wolą?

- Nie, nie pomyślałem o tym.

- Ale tak jest. Jesteśmy zaślubieni według prawa Baala i Beuli. Aby uchronić pieniądze przed ojcem, złożyłam je w twoje ręce.

- Czy obawiasz się tego, co mogę zrobić?

- Nie, Bazyli. Ty jesteś dobry i bezinteresowny. Może aż za bardzo. Nie, wcale się nie obawiam. - Oparła głowę o ścianę i ciężko westchnęła. - Musimy być dobrzy dla siebie... Musimy mimo wszystko pozostać przyjaciółmi. Dziś nie byłam dla ciebie dobra. Mówiłam przykre rzeczy, a mój umysł napełniały zawzięte myśli. Nie było żadnego powodu, żeby to przyjmować w ten sposób, przynajmniej tak to teraz widzę. Nie zrobiłeś nic złego. Ale moja duma została zraniona i dlatego moje słowa były gorzkie. Taka duma, Bazyli, jest czymś złym i jestem pewna, że zawiniłam, okazałam wiele niegodziwości.

- Jeżeli była jakaś niegodziwość, to tylko z mojej strony - oznajmił Bazyli.

Pozwoliła sobie na długie i głębokie westchnienie.

- Czy pamiętasz nasz układ? Że się będziemy zawsze uśmiechali będąc razem? A od tamtego czasu nic innego nie robimy, tylko czujemy się nieszczęśliwi i chodzimy ze smutnymi minami. Utraciłam nawet mego ulubieńca, mego biednego, zawsze poważnego, małego Habakuka. Ebenezer zajmie się nim, dopóki nie będę mogła zabrać go do siebie.

- Ebenezer będzie dla niego dobrym panem.

- Kiedy tak leżałam w ciemności, rozmyślałam o tej smutnej chwili, do jakiej doszliśmy. Zdałam sobie sprawę z tego, że teraz może nas dzielić zawziętość i gniew.

- Jestem pewien, że nigdy nie potrafiłbym gniewać się na ciebie.

Bazyli odkrył, że jego uczucie dla Debory zabarwiło się głęboką czułością. Przypomniał sobie nastrój owej niezwykłej chwili, kiedy przystanęli na moment po ucieczce przez Dolinę Serowarów. Czuł całym sobą, że ona jest tuż przy nim w ciemnościach i że są mężem i żoną. Pomyślał: “Dlaczego nie miałbym wziąć jej w ramiona, jak zrobiłby to każdy inny mąż, nawet taki, który po raz pierwszy widzi swoją żonę, kiedy podnosi welon z jej twarzy?” Może miłość rozwinęłaby się dzięki takiej zdecydowanej postawie? Może obraz Heleny znikłby z jego myśli, aby już nigdy nie wrócić?

Atmosfera była napięta. Debora oderwała głowę od ściany i patrzyła na niego w ciemnościach. Czy ona odczuwa to samo? Jest taka drobna w swoim pięknym, białym stroju!

Później przypomniał sobie jak wyglądała, kiedy po raz pierwszy powiedział jej o Helenie: zimna, zraniona, wyniosła, nie przebaczająca. Przystał na jej warunki i nie wolno mu złamać

przyrzeczenia przy pierwszej sposobności. Gdyby to zrobił, czułaby tylko pogardę dla niego.

Złota chwila minęła, jeśli rzeczywiście nią była. Zdał sobie sprawę, że nastrój Debory się zmienił. Westchnęła głęboko, a potem zaczęła łkać cicho w ciemnościach...

- Mój biedny dziadek! - szepnęła. - Proszę cię, Bazyli... Muszę posiedzieć tutaj sama z moim żalem. Muszę się pogodzić z życiem na świecie, który on opuścił.

Bazyli wrócił do swego kąta. Adam chrapał donośnie, Łukasz z godnością i pogodnie, służba - jak pełna orkiestra: kinnor, szofar, hozazra i tof. Z dziedzińca na dole nie dochodził żaden dźwięk. Minjamin bez wątpienia już dawno się wyniósł, aby zebrać zelotów z Równiny. Bazyli poczuł, że ciągłe napięcie i wysiłek całego dnia bardzo go zmęczyły. Zasnął od razu.

2

Od świtu objeżdżali wysoki krąg wzgórz zwany Samarią, ograniczony na południu górą Gerizim, a na północy - górą Ebal. Kraina Samarytan wyglądała świeżo i zachęcająco: zbocza wzgórz zieleniły się, a doliny, leżące między ich wierzchołkami opasanymi wieńcem drzew, obiecywały błogie zadowolenie i obfitość plonów. Adam nie mógł odwrócić wzroku od tej ziemi szczęśliwości, gdzie miało miejsce tyle wydarzeń w historii jego narodu. Toteż bez przerwy wygłaszał tyrady przyciszonym głosem.

- Dlaczego tak się dzieje - stawiał pytanie całemu światu, a może nawet i Jahwe, odpowiedzialnemu za bieg, jakim potoczyły się sprawy - że ci przeklęci Kutejczycy władają najszczodrzej obdarzoną ziemią? Dlaczego my, dzieci Izraela, wybrani przez jedynego Boga, musimy żyć na nagich, wapiennych zboczach lub na pustyniach, gdzie ludzie mdleją w południe z upału? Dlaczego musimy uprawiać nasze płody na rozprażonych równinach? Może dzieje się tak - dodał z sarkazmem, szukając wytłumaczenia - bo wystawiono nas na próbę. Mając trudniejsze życie staliśmy się bystrzejsi, doświadczeni i tak zahartowani, jak wypolerowany metal. Zahartowało nas gorące słońce i krew płynie szybko w naszych żyłach. Gdyby do nas należały te zielone wzgórza, moglibyśmy z biegiem czasu stać się sflaczali i bezwartościowi jak Samarytanie. Byłoby jednak przyjemnie żyć tak łatwo i wygodnie - zakończył wzdychając.

Późnym popołudniem szczyt góry odsunął się na taką odległość, że tradycyjne rzucanie przekleństw z jej zbocza nie mogłoby do nich dotrzeć, gdyby nawet było przekazywane przez tysiąc trąb. Mocny krok starannie dobranych wielbłądów Adama zrównał ich karawanę z inną, znacznie mniejszą. Pomarszczona twarz wyjrzała do nich zza zasłony ciekawie skonstruowanej lektyki, która wyposażona była w firanki jaskrawoszkarłatnego koloru z wyhaftowanymi smokami. Właściciel pomarszczonej twarzy odezwał się wysokim, cienkim głosem, przypominającym świergot ptaków o pierwszym świtaniu:

- Pokój wam, czcigodni panowie! Oby spadła na was obfitość pomyślności.

- Pokój z tobą - odpowiedział Łukasz, jadący z prawej strony karawany.

- Jak skorupiaki czepiające się ogona morskiego lewiatana - ciągnął wiekowy podróżny - będziemy za waszą dobroczynną zgodą jechali za wami przez resztę dnia w kurzu wzniesionym przez wasze szybkonogie wielbłądy.

- Jeśli, czcigodny przyjacielu, szukasz bezpieczeństwa - powiedział Adam, który jechał bez żadnej osłony przed jaskrawym słońcem - radziłbym unikać nas, jak gromady trędowatych. Jedziemy w cieniu stale grożącego nam niebezpieczeństwa.

- Obyś wychował wielu równie uczciwych synów - oznajmił podróżny. - Sądzę jednak, że niebezpieczeństwa, które was otaczają, nie mogą być większe od nieznanych zagrożeń, które czyhają na samotnego podróżnego. Przemierzyłem w życiu wiele szlaków i nauczyłem się jednego: tylko towarzystwo innych ludzi zapewnia nam bezpieczeństwo.

Adam skinął głową.

- To prawda. Jeśli o nas chodzi, o przyjacielu ze Wschodu, radziśmy was powitać. Chętnie widzimy nowych towarzyszy w naszych szeregach.

- Jesteśmy ludźmi pokoju - zastrzegał się wiekowy podróżny.

- Tak was osądziłem. Dzięki wam nasza karawana będzie bardziej okazała i silniejsza. Czy jedziecie do Aleppo?

Zasuszona głowa wyglądająca spoza ukrycia, jakie dawały smoki, pokiwała w odpowiedzi.

- Do Aleppo, czcigodny wodzu. Tam skręcimy na szlak prowadzący do Mezopotamii. Pochodzę z kraju Sin i właśnie do tej krainy niezliczonych błogosławieństw wracamy.

- Sin! - zawołał Adam. - To kraina czarów, o której marzą wszystkie niespokojne duchy. Przez całe życie pragnąłem tam pojechać, obejrzeć te cudowności na własne oczy. - Z uczuciem dumy dorzucił: - Byłem aż w Samarkandzie.

- Samarkanda to znakomite miasto o bardzo rozwiniętym handlu, gdzie zęby nawet najbardziej zapalonych kupców są w ciągłym niebezpieczeństwie. Czy będę wyglądał na pyszałka, jeśli powiem, że kupcy z Samarkandy od wieków siedzą u stóp mężów z Sin?

Adam zapytał, nie ukrywając tęsknego rozmarzenia:

- Czy Sin leży daleko od Samarkandy?

- Z Samarkandy do Sin ludzie idą wzdłuż Pe-$lu przez wiele zmian księżyca, mój synu. Trzydzieści dni zajmuje droga, z której widać Śnieżne Góry, a potem Wielki Mur, ogromne równiny i kręty wąwóz potężnej rzeki.

Kiedy starzec mówił o drodze, jaką trzeba pokonać, na jego twarzy pojawiło się zmęczenie.

- Jestem księciem, należę do rodziny cesarza, nazywam się Ping-$li. To dla wszystkich

wielkie utrapienie, a największe dla mnie, że ze mnie taki niespokojny duch. Mamy bez wątpienia wiele ze sobą wspólnego, czcigodny wodzu, i wiele historii do opowiedzenia. Będę nieskończenie zaszczycony, jeśli ty i ci z twoich towarzyszy, których uznasz za godnych, przyjmiecie zaproszenie na wieczorny posiłek. Będę szczęśliwy rozstawiając przed wami potrawy z Sin, o jakich nigdy nie słyszeliście.

- Wieczerzać z tobą, znakomity książę, to zaszczyt, którym będą się chełpili moi wnukowie - oznajmił Adam. - Jestem jednak pewien, że niebezpieczeństwa, o których mówiłem, oderwą mnie od rozkoszy twego stołu.

Starzec skinął głową, dając do zrozumienia, że przyjmuje ten warunek.

- Ty i ci, których przyprowadzisz do mego namiotu, mogą wieczerzać ze sztyletami za rozluźnionymi pasami i z oczami zwróconymi w stronę wejścia. Mam szczerą nadzieję, że zapach potraw postawionych przed wami odwiedzie was na krótką chwilę od myślenia o niebezpieczeństwie.

Adam wybrał na obozowisko równy kawałek gruntu położony na znacznej wysokości nad doliną, w którą wtuliło się En-$gannim. Jego płaskie, białe dachy wyglądały jak jajka monstrualnego ptaka. Miejsce było odsłonięte ze wszystkich stron, tylko od północy graniczyło z płytką rzeczką, która spływała ze wzgórz.

- Nic nas nie ochroni przed atakiem - powiedział do Łukasza Adam, rozradowany własną przebiegłością. - Miejmy nadzieję, że Minjamin w pełni pojął cały ogrom naszej głupoty.

Bazyli przyglądał się, jak służba chińskiego podróżnika wznosi bajeczny wprost pawilon. Najpierw przynieśli słupek długości jednego metra, a z niego wyciągali jeden po drugim drążki o mniejszym obwodzie, z których wyciągnęli jeszcze cieńsze pręty. Z tych prętów złożli centralną podporę pięciometrowej wysokości. Przymocowali do jego wierzchołka inne pręty i rozciągnęli je jako podporę dla pierwszej warstwy pokrycia z tkaniny. Od nich opadały aż do ziemi boczne płaszczyzny, które mocno przytwierdzano do ziemi metalowymi kołkami. Wszystko to wykonano szybko i zwinnie w zadziwiająco krótkim czasie.

Wewnątrz zaczęły się dziać cuda. Wspaniały dywan rozesłano na piasku, a na nim ułożono stosy dywaników i poduszek. Z niewielkich kawałków złoconego drewna zestawiono wyszukany fotel o rzeźbionym oparciu i poręczach. Maleńki taborecik z kości słoniowej wyrósł obok niego jak za dotknięciem różdżki, a na nim zjawiły się małe filiżaneczki. Szef służby, który kierował robotą, rozejrzał się wokoło krytycznym okiem i powiedział:

- Dość dobrze. A teraz, leniuchy, namiot kuchenny.

Wchodząc do pawilonu o jaskrawo karminowej barwie zachodzącego słońca, czwórka gości zobaczyła, że dalsza część namiotu jest oddzielona ciężką zasłoną. Żółta ręka odsłoniła ją

natychmiast i wtedy ukazała się drobna, zgarbiona postać gospodarza, ubranego w okazałą błękitnoszarą szatę i jedwabną czapeczkę ściśle przylegającą do jego starej i łysej głowy. Dwóch służących posuwało się drobnym kroczkiem po jego bokach, niosąc poduszki, na których spoczywały przedramiona księcia. POwód tego stał się jasny, kiedy usiedli na dywanie wokół niskiego stołu. Paznokcie Ping-$li były bardzo długie i okryte złotymi ochraniaczami. Miały długość ośmiu centymetrów i były zagięte przy końcach, zgodnie z tendencją paznokci do zaginania się w dół. W miarę wydłużania się paznokci wraz z upływem lat, te złote pancerzyki opuszczano coraz niżej, a obecnie utraciły wszelki kontakt z ciałem. Ochraniacze były kunsztownie ozdobione drogimi kamieniami.

Książę trzymał ręce przed sobą na stole i od czasu do czasu przyglądał się im z wyraźną dumą.

- Czuję się wielce zaszczycony obecnością tak znamienitych gości - powitał ich kłaniając się każdemu po kolei.

Debora stała z tyłu, pamiętając o tym, że obyczaj nie pozwala jej usiąść. Książę zaszczebiotał do stojącego za nim służącego, a ten rozstawił obok niewielki stoliczek.

- Jest naszym życzeniem - odezwał się starzec - aby córka czcigodnego gościa siedziała w naszej obecności i w stosownym oddaleniu spożywała jedzenie.

To ustępstwo sprawiło im wszystkim wiele przyjemności, gdyż oznaczało, że do Debory dotrą potrawy, zanim zupełnie wystygną, a co więcej, będzie mogła przysłuchiwać się rozmowie biesiadników.

Potem służący wniósł maleńkie filiżanki z rozkosznie delikatnym i gorącym napojem.

- Proszę nie zwracać uwagi na przykre niedociągnięcia, narzucone waszemu wielce zaszczyconemu gospodarzowi przez niedogodności podróży - powiedział starzec nie poruszając rękami. Powiedział coś po chińsku, a służący podniósł filiżankę gospodarza i umieścił w jego prawej ręce. Książę zgiął palce wokół niej i podniósł do ust z westchnieniem ulgi. Debora odwróciła oczy, bo przywiodło to jej na myśl szpony drapieżnego ptaka zaciskające się na białej szyi jakiejś pierzastej ofiary.

- Jestem wnukiem cesarza - wyjaśnił książę. - Miał on zamiłowanie do zawierania małżeństw i pozostawił dwustu czterdziestu ośmiu uznanych wnuków. Zaszczyt, jak widzicie, aczkolwiek wciąż wielki, jest nieco rozcieńczony. - Po chwili dodał: - Nie wolno mi było robić użytku z moich rąk i nigdy nie obcinano mi paznokci. Jak daleko sięgam pamięcią, nigdy nie byłem w stanie podnieść czegoś palcami. Moimi rękami są moi służący. - Pozwolił sobie na sięgnięcie pamięcią wstecz i westchnął. - Ta zarozumiałość mojej warstwy wywołała we mnie bunt w młodzieńczych latach. Powziąłem pragnienie używania swoich rąk do malowania obrazów.

Zabroniono mi tego surowo, a za samą myśl o czymś takim zostałem surowo ukarany.

Główne danie, gorące i soczyste, było skomponowane (żadne inne słowo nie może opisać przygotowania takiej ambrozyjskiej potrawy) z wiórków kokosowych, całego zestawu niezwykłych orzechów i ostro przyprawionych sosów wtulonych w śnieżnobiały ryż. Podano również przezroczystą, struganą fasolkę i plastry zimnej wieprzowiny przyprawionej imbirem.

Ich gospodarz jadł niewiele, ale mówił dużo. Przebył tak daleką drogę na zachód, niemal na koniec świata, z racji pogłosek, które doszły do jego kraju, o naukach niejakiego Jezusa. Należąc do narodu zaliczającego pokój do największych dobrodziejstw, poczuł, że ta wieść o wspaniałej, nowej filozofii poruszyła jego serce, jak palce harfiarza struny.

- Jakiego malarza utracono - przerwał sam sobie - kiedy nałożono złote pancerzyki na końce moich palców!...

Tak się zainteresował pogłoskami, które dotarły do jego uszu, że nawet się nauczył aramejskiego, języka Dalekiego Zachodu, którego dziwne dźwięki nie dawały się wymówić. Znaleziono uczonego Araba na nauczyciela i we właściwym czasie wyruszył, żeby zwiedzić kraj, gdzie człowiek imieniem Jezus żył, nauczał i umarł. Książę przebywał miesiąc w Jerozolimie. Rozmawiał z kapłanami ze Świątyni, również z arcykapłanem, którego wygląd i zachowanie wprawiły go w zdumienie, z nauczycielami o umysłach wyostrzonych jak świdry. Odwiedził również przywódców tych, którzy głosili wiarę w Jezusa, a teraz wracał do swego pałacu w mieście Tysiąca Mostów, zanim jego oczy zamkną się po raz ostatni.

Łukasz słuchał z tak wielkim zainteresowaniem, że jadło stojące przed nim pozostawało niemal nietknięte.

- Czy zechciałbyś powiedzieć nam, o najznakomitszy książę Ping-$li, z jakimi wnioskami powracasz? - zapytał. Uważając, że konieczne jest wyjaśnienie, poinformował książęcego gościa, iż sam jest Grekiem.

- Słyszeliśmy w Sin o greckiej kulturze - odpar starzec skinąwszy uprzejmie głową.

Łukasz mówił o tym, że od wielu lat jest chrześcijaninem i poczytuje sobie za wielki przywilej, iż mógł towarzyszyć apostołowi Jezusa, znanemu jako Paweł z Tarsu, w większości jego podróży.

- Wiele słyszałem o Pawle, ale nie pozwolono mi na rozmowę z nim w więziennej celi. Choć jestem tylko mało znaczącym poszukiwaczem prawdy, bardzo tego żałowałem. Słyszałem, że język apostoła jest jak wyostrzona klinga.

Adam nie spuszczał z oka zapadającego obrzeża słońca widocznego przez podniesione zasłony u wejścia do pawilonu. Nagle podniósł się i powiedział, że wzywa go sprawa, o której wspomniał przedtem i musi prosić gospodarza o wybaczenie. Skinienie ptasiej głowy starca

wyrażało przyzwolenie, a ćwierkające wezwanie sprowadziło służącego, który podniósł zwiotczałą prawę rękę księcia w geście pożegnalnym.

Starzec odwrócił się do Łukasza i podjął z nim rozmowę. Wracał do domu, jak się okazało, z wielu zastrzeżeniami. Jezus głosił miłosierdzie i pokój, a tymczasem Jego nauki wywołały niechęć wśród ludzi Jego własnego narodu i doprowadziły do wielu okrucieństw na świecie. Dlaczego tak jest? Dlaczego przybycie wielkiego kaznodziei Pawła doprowadziło do nienawiści i rozlewu krwi? We wszystkich wierzeniach na całym świecie był zwyczaj składania bogom ofiar z ludzi, a nie ludziom z bogów. Dlaczego więc Jezus, uznany za Boga, został pojmany i ukrzyżowany?

- Należy ogromnie żałować, najuczeńszy i najznakomitszy książę, że nie ma tutaj Pawła, aby mógł z tobą mówić i wyjaśnić te wątpliwości - powiedział Łukasz. - On bardzo jasno widzi prawdę. Ja jestem tylko lichym zastępcą, ale mogę coś dla ciebie zrobić, mogę ci opowiedzieć wszystko, co wiem o Jezusie. Przez ponad dwadzieścia lat szukałem o Nim wszelkich wiadomości i zebrałem pełną historię Jego życia na ziemi. Czy to cię zainteresuje? Czy chcesz usłyszeć, co mogę o Nim opowiedzieć?

Książę zawołał:

- Robi się chłodno, ty najbardziej nieuważny ze sług!

Służący przyniósł aksamitne podpórki i ułożył na nich ręce swego pana, zanim owinął je starannie w wełniane okrywadełka. Z westchnieniem ulgi drobna figurka opadła na ogromne szkarłatne poduszki spiętrzone za jego plecami. Oczy w żółtej twarzy rozbłysły w oczekiwaniu.

- Przejechałem całe Pe-$lu po to, aby to usłyszeć! - zawołał. - Opowiedz mi wszystko o Jezusie. Niczego nie opuść, zaklinam!

Łukasz zaczął mówić, starannie dobierając słowa, lecz coraz bardziej dawał się ponieść uczuciom. Oczy jego rozbłysły, kiedy opowiadał historię o pierwszej nocy w Betlejem, gdzie gwiazdy zgromadziły się na niebie, aby rozjaśnić mrok nad żłobkiem, w którym leżało święte Dzieciątko. Bazyli słuchał równie gorliwie jak drobny człowieczek ze Wschodu. Od dawna pragnął usłyszeć dzieje tego nowego Boga, którego oblicze musi się przed nim odsłonić. Bez tego nie zdoła wypełnić swej misji. Słyszał tylko fragmenty opowieści, które zbudziły w nim pragnienie poznania całości. Głowy trzech mężczyzn zbliżyły się do siebie. Słuchając wibrującego głosu starego lekarza, zdawali się zatracać świadomość czasu.

Debora, siedząca cierpliwie pod płócienną ścianą namiotu, obserwowała ich z napięciem. Oczy jej spoczywały najczęściej na twarzy Bazylego. Dobrze się stało, że opowieść Łukasza pochłonęła ich uwagę, w przeciwnym razie mogliby zauważyć, iż łagodna powaga jej oczu rozpłynęła się we mgle smutku. “Dlaczego - zapytywała siebie po raz setny - wydarzyło się to, co

nas rozdziela? Jakiego rodzaju wabika użyła pomocnica maga, żeby zakłócić spokój umysłu Bazylego? Gdzie szukać lekarstwa na takie zaślepienie?”

Słońce znikło, zapanowała ciemność. Upłynęła godzina. Cisza zaległa na zewnątrz. Czasem tylko niespokojnie poruszyły się wielbłądy, żałośnie zaskowyczał pies albo ostro zaśmiała się hiena w oddali. Łukasz wciąż opowiadał cudowną historię, a zebrani słuchali równie uważnie jak na początku. Upłynęła druga godzina. Debora zorientowała się, że Adam ben Aszer powinien był już wrócić. Czy coś mu się stało? Czy stary przyjaciel odmówił mu pomocy i teraz musi szukać ratunku gdzie indziej? Ogarnął ją taki niepokój, a nawet rozpacz, że pod koniec nie była w stanie śledzić opowieści Łukasza. Nadstawiała uszu na każdy dźwięk, bojąc się, że usłyszy ludzi Minjamina, którzy mogą wyjść z zarośli wadi. Każdy odgłos z panujących na zewnątrz ciemności stawał się dla niej pierwszą oznaką ataku.

Wreszcie wysokie w tonacji, wibrujące wołanie rozległo się w oddali. Pochodziło bez wątpienia z ludzkiego gardła. Łukasz zamilkł. Bazyli skoczył na równe nogi i pobiegł do wejścia pawilonu, skąd wyjrzał niespokojnie w ciemność. Debora poszła za nim.

- To sygnał - powiedziała. - Adam wraca. Muszę dać mu znać, że wszystko w porządku.

Położyła palce obu rąk na szyi i zacieśniła je wokół strun głosowych. Odzew, jaki wyszedł z jej gardła, brzmiał identycznie z wołaniem, które dobiegało z ciemności. Był to wysoki, napięty ton. Bazyli wiedział, że kobiety Izraela stosowały tę metodę dla osiągnięcia wysokich tonów w śpiewie plemiennym i z zaciekawieniem przyglądał się Deborze. Zew utrzymywał się przez wiele sekund i mógł być słyszany z dużej odległości.

Adam zbliżał się do obozu wzdłuż górnej krawędzi wadi. Wracał nie sam, gdyż po paru minutach usłyszeli stąpanie kilku par nóg.

Bazyli, spoglądając w górę na gwiazdy, zapomniał o wszystkim z wyjątkiem cudownej historii, jaką usłyszał. Myślał o tym, jak gwiazdy prowadziły Trzech Mędrców do żłobka w Betlejem. Zdawało mu się, że znów świecą nadzwyczaj jasno i że te najbardziej roziskrzone zawisły tuż nad ich namiotami. Czy świadczy to o tym, że najświętsza pamiątka życia na ziemi tego Człowieka, na jakiego wyrosło Dzieciątko, jest właśnie tutaj ukryta? Ogarnęło go uczucie oczekiwania. Był niemal przekonany, że zbliżające się kroki należą do ludzi przybywających po to, aby spojrzeć na skromny Kielich.

Debora zdawała się rozumieć, jakie myśli przebiegają mu przez głowę. Uśmiechnęła się do niego i położyła mu rękę na dłoni.

- Bazyli - szepnęła. - Sądzę, iż to Adam wraca, ale musimy być przygotowani na to, że się mylę.

On nadal był pod urokiem opowieści Łukasza.

- Herodot na ateńskim Forum - oznajmił z zapałem - nigdy nie opowiedział historii, która mogłaby dorównać tej, jaką dziś usłyszałem.

3

Trzech młodzieńców, ubranych w niewyprawione owcze skóry noszone przez pasterzy, weszło za Adamem w krąg otoczony namiotami. Górowali nad nim. Mieli szerokie plecy, szyje jak kolumny z marmuru i potężne, muskularne ramiona. Mimo tej oczywistej siły, nie było w nich śladu buty, przeciwnie, uśmiechali się łagodnie, jakby zażenowani, że się znaleźli w takim towarzystwie. Co więcej, byli tak do siebie podobni, że ich rodzice z pewnością mieli kłopoty z odróżnianiem synów.

- Oto moi przyjaciele, synowie Katoriusa - powiedział Adam. - Ich ojciec zajmuje się historią rzymską i jest gorącym wielbicielem Grakchusa, toteż nazwał ich: Semproniusz, Tyberiusz i Gajus. Przyznaję, że ich nie odróżniam, chociaż jestem prawie pewny, że ten obok mnie to Tyberiusz.

- Nie - zaprzeczył wskazany młodzieniec; głos miał wysoki i sympatyczny. - Jestem Gajus, najmłodszy. Tyberiusz stoi obok mnie. Semproniusz jest po jego drugiej stronie.

- Nie będę więcej próbował! - zawołał Adam. - Myliłem się przez całą drogę z Równiny. Jestem pewien tylko jednego: że nikt poza Samsonem, o którym pamięć będzie wiecznie żywa, nie zwycięży tych trzech mocarnych młodzianów.

- Zarządziłam, aby przygotowano kolację - odezwała się Debora. - Czeka na was w moim namiocie.

Trzy pary oczu zajaśniały aprobatą i synowie Katoriusa wykonali zgodnie zwrot, podążając za nią. Jasne było, że ta trójka zabierze się ostro i z apetytem do przygotowanej dla nich kolacji. Adam, idąc z tyłu, z podziwem dotknął ręką drgających muskułów na plecach najbliższego młodzieńca.

- Na takich oto ramionach przenoszono bramy Gazy, Semproniuszu! - wykrzyknął.

Młodzieniec uśmiechnął się skromnie, chociaż zaprzeczył posiadaniu siły równej wyczynom wielkiego Samsona.

- Moi bracia i ja jesteśmy silni. Nie można temu zaprzeczyć. Ale w żydowskiej księdze jest powiedziane, że żaden człowiek nie dorównał siłą Samsonowi. - Po chwili dodał: - A ja nie jestem Semproniuszem, jestem Tyberiuszem.

Ognisko i pochodnie zgaszono już przed godziną. Adam ben Aszer siedział w swoim namiocie, a mężczyźni z obozowiska przykucnęli w milczeniu dokoła. Wszyscy byli uzbrojeni i w stanie pełnej gotowości. Księżyc przedarł się przez chmury. Można było teraz dojrzeć kształt

namiotów i czubki drzew porastających brzegi wadi. Siedzący na skraju grupy Bazyli stwierdził, że poufałość nocnych owadów jest wprost nie do zniesienia i bez przerwy wymachiwał rękami, aby je odpędzić. Trzej młodzi pasterze nie zwracali na to uwagi. Siedzieli nieruchomo na otwartej przestrzeni. Tylko Adam od czasu do czasu wydawał pomruk niezadowolenia.

Bazyli wciąż jeszcze myślał o dziejach Jezusa i Jego przebywaniu na ziemi. Nie miał już żadnych wątpliwości, że łagodny Człowiek z Nazaretu był Synem tego jedynego Boga, do którego się modlą Izraelczycy, i że pewnego dnia powróci na ziemię. To przekonanie pochodziło raczej z umysłu niż z ducha, gdyż nie wprawiało go w takie uniesienie, jakie widział u tych dzielnych i skromnych ludzi, którzy się pozdrawiali nawzajem słowami: “Chrystus zmartwychwstał”. Może to przyjdzie później. Tymczasem czuł się szczęśliwy, że może przyjąć te dzieje bez żadnych zastrzeżeń. Słowa Łukasza wprowadziły do jego umysłu obraz szczupłej postaci poruszającej się wśród ludzi, których rzesze gromadziły się, aby Go zobaczyć. Widział chorych, wstających po usłyszeniu Jego nakazu, i ułomnych odrzucających kule. Widział postać Wielkiego Nauczyciela wjeżdżającego po raz ostatni do Jeruzalem; znów oglądał tę wzruszającą scenę w górnym pokoju domu przy Ścianie Dawidowej. Jego nadzieja nie ziściła się jednak, oblicze Jezusa było zawsze od niego odwrócone.

- Słuchajcie! - odezwał się nagle Adam.

Grupka wokół niego znieruchomiała. Najpierw niczego nie słyszeli, potem z wolna stało się oczywiste dla wszystkich, że nocne powietrze niosło odgłosy zbliżania się ludzi: naciśnięcie sandałem kamyczka, ukradkowe oddechy w pobliżu.

- Zaczekajcie! - szepnął Adam, czując, że mężczyźni chcą się poderwać na nogi.

I wtedy rozległ się w ciemności głos donośny i nakazujący:

- Adamie ben Aszer!

Kiedy nie było odpowiedzi, wezwanie zostało powtórzone jeszcze głośniej:

- Adamie ben Aszer!

Adam powstał i podszedł do wejścia namiotu.

- Kto mówi?! - zawołał. - Czego ode mnie chcesz?

- Przede wszystkim uważnego ucha - odpowiedział głos, po którym rozpoznali Minjamina. - Zrozum, Adamie, przyjacielu, moi ludzie otoczyli twój obóz. Wolę zakończyć to, po co tutaj przyszedłem, bez zamieszania i rozlewu krwi. O ile jednak będą jakieś próby oporu, moi ludzie zaczną zabijać. Ostrzegam cię, żebyś nie podejmował żadnych kroków. Nie ruszaj się z miejsca, Adamie ben Aszer! Twoi ludzie muszą pozostać w namiotach. Czy to jasne?

- Tak, to jasne.

- Nie wolno im przeszkadzać moim ludziom. Nie wolno im robić żadnego zamieszania ani

rozmawiać. Czy to też jasne?

- Tak, to również jasne.

- Moi ludzie właśnie nadchodzą. Pamiętajcie, co powiedziałem. Chcę, żebyście zdali sobie z tego sprawę, że zapłacicie dziesięciokrotnie za każdą krzywdę, jaka ich spotka.

W tym momencie Adam zaczął się śmiać.

- Tak, Minjaminie! - zawołał. - Chodź tutaj, ty i twoi ludzie! Oczekiwałem was.

Ludzie wokół niego zaczęli się cicho podnosić. Broń trzymano w pogotowiu.

- Pamiętajcie, bracia moi - odezwał się Semproniusz - że jako najstarszy mówię w imieniu naszego ojca. Pan nasz powiedział: “Nie zabijaj”. Nakładam ten nakaz na ciebie, Tyberiuszu, i na ciebie, Gajusie. Nie uderzajcie z całej siły. Musimy przepędzić tych intruzów, ale powinniśmy okazać im współczucie.

4

Bazyli ruszył do walki za jednym z trzech braci (nie wiedział za którym), podziwiając rozmiary niesionej przez niego maczugi, która wydała mu się o wiele groźniejsza niż szczęka osła, jaką posługiwał się Samson. W świetle księżyca można było dojrzeć, że napastnicy, którzy atakowali z tej strony obóz, byli liczni i dobrze uzbrojeni. Zwolennicy Minjamina również dokonali pewnego odkrycia. Któryś z nich zawołał:

- To jeden z Olbrzymów ze Sladoru! - Skutek tego odkrycia był taki, że stracili rozpęd w natarciu, które miało im przynieść łatwe powodzenie. Zwlekali i czekali, kiedy sami zostaną zaatakowani.

Syn Katoriusa uczynił im zadość i natychmiast ruszył do walki, wołając wysokim głosem:

- Za mną!

Widząc, jak wymachuje swoją maczugą, napastnicy wyraźnie stracili ochotę do walki, toteż jego ciosy padały przeważnie w próżnię. Zeloci odstępowali tak żwawo, że po paru minutach było już po starciu.

Bazyli nie miał sposobności wzięcia udziału w pościgu, jaki teraz nastąpił. Ktoś skoczył na niego z kępy krzaków. Zaczęła się gwałtowna szamotanina. Przeciwnik walczył jak dziki kot i Bazyli poniósłby szybko porażkę, gdyby nie zdołał uderzyć go kolanem w podbrzusze. Zelota padł na ziemię, a Bazyli wykorzystał jego chwilową niemoc, aby usadowić mu się na plecach i przygwoździć ramiona. Ponieważ czuł, że może mu zabraknąć siły fizycznej, żeby doprowadzić więźnia do obozu, pozostał w tej pozycji i czekał, aż będzie można wezwać kogoś do pomocy.

Na innych odcinkach zwycięstwo było równie szybkie i zupełne. Wszędzie ludzie Ruba Samuela okazywali taką samą niechęć do stawiania czoła zaciekłemu naporowi Olbrzymów ze

Sladoru. Chociaż pierwszemu starciu towarzyszył szczęk oręża i wrzawa gniewnych głosów, wszystko szybko się uciszyło. Słychać było odgłosy oddalających się kroków i triumfalne okrzyki obrońców.

Gdy tylko zwycięski wynik potyczki został przesądzony, a wrogowie uciekli wzdłuż koryta wadi z szybkością o wiele większą niż tu przyszli, w obozie rozbłysły światła. Adam, dumny jak paw z odniesionego triumfu, przechodził od jednego namiotu do drugiego, aby dopilnować zapalenia pochodni i umieszczenia ich na wysokich słupach. Każdemu, kogo spotkał, mówił:

- To moje dzieło! Złapałem ich w potrzask. Przygotowałem uderzenie, które zamieniło ich krew w wodę, a kości we flaki. Ja, Adam ben Aszer!

Światło w obozowisku odsłoniło niezwykłą scenę. Debora, z mieczem w dłoni, siedziała na podniszczonej skrzyni ustawionej w jej namiocie. Widocznie gotowa była do ostatka bronić cennego przedmiotu, który tam umieszczono. Łukasz zaimprowizował stół do opatrywania rannych, rozciągnąwszy koce na stosie krzaków tamaryszku. Chiński książę wyszedł ze swego pawilonu, podtrzymywany przez dwu pomocników. Okutano go pośpiesznie w ciepłe, wełniane przyodziewki, a on domagał się wyjaśnień utyskującym skrzekiem:

- Czy czcigodni panowie wdali się w jedną ze swych dysput na temat punktów wiary?

Bazyli wołał nagląco z cienia krzaków:

- Mam tutaj więźnia! Pomóżcie mi go przyprowadzić!

Zapanowało ogólne radosne uniesienie, kiedy się okazało, że więźniem jest nie kto inny, jak sam organizator napadu.

- Ho! Ho! - zawołał Adam, stojąc przed uwięzionym Minjaminem z błyskiem uciechy w oczach. - To nadzwyczaj pomyślne zdarzenie. To sprawia, że mój triumf jest zupełny. Teraz będziemy mogli się upewnić, bracie Minjaminie, że nie będziesz nam sprawiał więcej tego rodzaju drobnych niedogodności. - Z widocznym ociąganiem się dodał: - Chyba musimy również przyznać, że nasz szanowny pan młody ma w tym swoją zasługę.

Kiedy trzej bracia wrócili do namiotu uśmiechnięci, lecz bez cienia chełpliwości, Adam wskazał na Minjamina, który siedział ponury na ziemi, z rękami skrępowanymi z tyłu.

- Co mamy zrobić z tym łotrem? - zapytał.

Jeden z trójki podrapał się w głowę palcem poplamionym krwią.

- Jestem Semproniusz, więc mówię w imieniu naszego ojca. Ten występny człowiek zasłużył na śmierć, lecz ojciec nauczył nas, że gwałt jest grzechem. Naszym życzeniem jest, abyś nie podrzynał mu gardła, choć na to zasłużył, lecz znalazł jakiś inny sposób, który mu uniemożliwi dalsze szkodzenie ludziom.

- Więc powiedz mi, Semproniuszu, czy jest na wzgórzach, na których pasą się wasze stada,

jakieś miejsce, gdzie można by przetrzymać tego siewcę niezgody, zanim nie przejedziemy naszej drogi i nie będziemy pewni, że dotrzemy bezpiecznie do miejsca naszego przeznaczenia?

Najstarszy z braci miał głęboką ranę na czole, z której płynęła krew. Wyglądał teraz jak groźny opryszek, głos jednak miał nadal łagodny.

- Jest takie miejsce na wzgórzach, gdzie moglibyśmy go przetrzymać tak długo, jak będzie trzeba. Jest to jaskinia, sucha i aż nazbyt wygodna, jak dla tak złego człowieka. Jestem pewien, że ojciec się na to zgodzi.

- Tydzień wystarczy - oznajmił Adam, delektując się swoim zwycięstwem i dając temu wyraz głośnym cmoknięciem. - Po upływie tego czasu będziemy tak daleko, że nie zdoła nas doścignąć. Zmuszony jednak jestem poruszyć inną sprawę. Chyba nie mamy prawa wciągać was w nasze kłótnie. Jeśli zeloci z Równiny dowiedzą się, że więzicie tego łotra, czy nie będą próbowali go wydostać?

- Nie - odparł Semproniusz. Spojrzał kolejno na każdego z braci, a oni potwierdzili skinieniem głowy. - Nie. Sprawa tak się przedstawia, Adamie ben Aszer - ciągnął dalej. - Żyjemy tutaj spokojnie i w odosobnieniu. Nikt się do nas nie zbliża, nikt więc nie będzie wiedział, że trzymamy tego zabójcę jako więźnia.

- Ale potem, po uwolnieniu? Czy nie będą szukali zemsty?

Semproniusz znów potrząsnął głową.

- Nie - powiedział wysokim, łagodnym głosem. - Bardzo się nas boją. Nie chcą mieć z nami do czynienia. Och, nie, bracie Adamie, nie zaczną z nami wojować z własnej woli!

- Więc załatwione! - wykrzyknął Adam. - Zabierzcie tę żmiję, tego czarta w ludzkim ciele i przetrzymajcie w tej czystej, suchaj jaskini, o której była mowa. Jestem pewien, że go potraktujecie lepiej, niż na to zasługuje. Gdyby jednak próbował uciec, wierzę, iż połamiecie mu wszystkie gnaty.

Najstarszy brat skinął głową.

- Łagodność nigdy nie powinna iść za daleko. Przychodzi taka chwila, kiedy miękkie słowa musi zastąpić ciężka pięść.

- Słuchasz, Minjaminie? - spytał Adam.

- Bardzo uważnie - odezwał się przywódca zelotów. - Jestem zdumiony i wciąż się zastanawiam nad tym, jak wytłumaczyć wydarzenia tej nocy. To prawda, że nasz nieśmiertelny Samson zabił tysiąc ludzi, używając oślej szczęki, i gołymi rękami uśmiercił lwa w krainie Timat, a potem nabrał sił zjadając miód, który znalazł w jego ciele. To prawda, że kiedy ścięto mu złociste loki, jako nie oczyszczonemu nazyrejczykowi, a potem oślepiono, moc powoli wróciła do jego zwiotczałych mięśni i obalił filary świątyni, w której zebrały się tysiące Filistynów, aby go

wyśmiewać. Lecz Samson był sługą Bożym i wielka moc była mu dana. Siłą swoich ludzkich ramion nie zdołałby zabić tysiąca ludzi: to gniew Jahwe ostudził serca Filistynów i stali się jako baranki prowadzone na ofiarę.

Poruszył się niespokojnie na ziemi, usiłując rozluźnić ucisk sznurów na ramionach.

- Otóż ci trzej młodzieńcy ze Sladoru są wysocy, silni i potężni w walce. Nie dorównują jednak Samsonowi, który mógł pokonać wszelkie przeciwności. Nie było powodu, aby moi ludzie od razu stracili ducha i poniechali walki. Przyszli ze mną w wystarczającej liczbie, aby odnieść zwycięstwo nad tuzinem takich olbrzymów. Dlaczegóż więc odwrócili się i uciekli? Czy to możliwe... - urwał i potrząsnął głową z niedowierzaniem. - Czy to możliwe, że Jahwe zależy na bezpieczeństwie tego Kielicha? Czy otacza go zasłoną Swej nieugiętej woli, aby to, co wygląda na cuda, działo się w jego obronie? Czyżbyśmy się mylili? Zagłębiam się w rozważaniach, szukając prawdy i jak dotychczas nie ujrzałem światła. Może w tej suchej i wygodnej jaskini, o której mówią ci trzej wysocy młodzieńcy, będę miał dość czasu, aby to przemyśleć. Nie pomyl się jednak! - wykrzyknął na zakończenie z dziką determinacją. - Nie popełnij błędu sądząc, że już mnie więcej nie zobaczysz. Nie wiem, co będę robił ani dokąd pójdę. Nie śmiem wracać od razu do Jerozolimy i tłumaczyć się przed Marem z mojej drugiej porażki. Spodziewaj się mnie raczej w Antiochii. Z pewnością dotrę tam z biegiem czasu, chociaż doprawdy nie wiem, w jakim celu.

Łukasz zdjął zewnętrzne okrycie z brązowej wełny i opuścił tunikę do pasa, szykując się do pracy, jaką miał przed sobą. Na szczęście nikogo nie zabito, ale krwi polało się sporo z porozbijanych głów, głębokich cięć i bolesnych urazów. Wśród napastników zbyt mocno zranionych, aby mogli uciekać, był jeden, który leżał poza kręgiem światła i jęczał żałośnie, błagając o pomoc. Okazało się później, że miał zwichnięte biodro po przerzuceniu go ponad głowami towarzyszy przez jednego z trzech braci.

Lekarz obmył wszystkie rany cięte roztworem wina i wody. Ręce jego pracowały sprawnie i delikatnie. Twarz, na której pojawiły się głębokie bruzdy zmęczenia, wyrażała współczucie dla cierpiących. Był przekonany, że rany trzeba utrzymywać w wilgoci i usiłował tego dokonać specjalną metodą bandażowania. Moczył kawałek gąbki, kładł ją na ranie, przykrywając liśćmi o delikatnej powierzchni, zanim założył bandaż z płótna.

Wszyscy trzej bracia odnieśli rany, ale na szczęście niezbyt głębokie.

- Nigdy nie spotkałem tak doskonałych okazów zdrowia i krzepy - powiedział Łukasz z podziwem, kiedy opatrywał rozcięcie na głowie Semproniusza. - Czy któryś z was kiedykolwiek chorował?

Najstarszy z trójki uśmiechnął się i potrząsnął głową:

- Nie, mistrzu Łukaszu, nigdy nie chorujemy. Dlaczego mielibyśmy chorować? Jemy proste

pożywienie, żyjemy na świeżym powietrzu, dobrze śpimy pod gwiazdami. Nie spotykamy się z innymi ludźmi, toteż nie przejmujemy od nich chorób. Dobrze nam się żyje, moim braciom i mnie. - Pokiwał głową, żeby to bardziej podkreślić. - Nasze ciała szybko się goją. Za tydzień nie będzie na głowie ani śladu po tym rozcięciu.

Zelotę z wywichniętym biodrem wniesiono na końcu. Chiński książę, który kazał przygotować dla siebie miejsce w pobliżu stołu opatrunkowego, przyglądał się wszystkiemu z chciwym zainteresowaniem, oblizując wargi.

- To będzie warte obejrzenia - oznajmił, a jego głowa z podniecenia kiwała się na cienkiej szyi. - Ten będzie głośno cierpiał, ten tutaj. Będzie wrzeszczał dziko!

Nie doznał zawodu. Poszkodowany mężczyzna, który tak głośno błagał o pomoc, zaczął prosić usilnie, żeby go zostawiono w spokoju, kiedy Łukasz przywiązywał mu ramiona do boków. Protesty stały się jeszcze głośniejsze po skrępowaniu razem obu nóg powyżej kolan mocnym, skórzanym rzemieniem. Kiedy jeden z pomocników Łukasza przytwierdził żelazny hak do gałęzi, zwisającej nad zaimprowizowanym łóżkiem, a ranny zdał sobie sprawę, że przy pomocy tego urządzenia zostanie przeprowadzony zabieg, wydał głośny jęk i zaczął wzywać Jahwe na ratunek. Nie zważając na jego krzyki, dwóch pomocników podniosło go wysoko i zawiesiło na haku głową w dół, jak ćwiartkę wołowiny. Jęcząc kołysał się tam i z powrotem przez kilka chwil.

- O, wielki Ojcze na wysokości, uratuj twego pokornego sługę, który zostanie zarżnięty jak związany wół?

- Ta pozycja zmniejsza przemieszczenie kości - objaśnił Łukasz, widząc, że widzowie podzielają przerażenie pacjenta. - Nastawienie zwichnięcia to zawsze ciężka sprawa. Przemieszczenie jest poważne, toteż, chociaż bardzo ubolewam nad tą koniecznością, musimy posunąć się do najskrajniejszej metody. - Obmacał biodro, a potem skinął na jednego z pomocników. - No, Tabilu, zaczynaj!

Mężczyzna imieniem Tabil objął cierpiącego ramionami w pasie i pozwolił swoim stopom oderwać się od ziemi. Cały jego ciężar został dodany do ciężaru pacjenta, który głośno wezwał na pomoc Jahwe i zemdlał. Łukasz, będący w wielkim napięciu, uchwycił udo mężczyzny i zaczął zręcznie nim obracać. Rozległ się głośny trzask i kość wróciła na swoje miejsce.

- Opuście go! - zawołał lekarz.

Pomocnicy opuścili ciało na leże z krzewów tamaryszku. Łukasz przesunął ręką po biodrze i skinął głową z zadowoleniem. Operacja się udała.

- Wspaniale wykonane - powiedział książę trzęsąc potakująco głową. - Bardzo mi się to podobało. Ależ okropnie wrzeszczał!

Łukasz mył ręce w misce gorącej wody.

- To już ostatni - powiedział. - Rad jestem, że nie ma więcej rannych. Wraz z wiekiem wzrasta we mnie niechęć do zadawania bólu.

Pierwsze oznaki świtania ukazywały się na niebie. Adam, który nie omijał żadnej okazji do robienia oszczędności, zawołał, by zgasić pochodnie. Trzej bracia wymienili spojrzenia, a potem zgodnie kiwnęli głowami.

- Matka pilnuje stada - odezwał się jeden z nich. - Pora, aby ją zwolnić.

- Zaraz będzie śniadanie - zaprotestowała Debora. - Powiem służbie, żeby się pospieszyli.

- Matka będzie miała dla nas jedzenie - odparł ten sam, który mówił przedtem. - To bardzo uprzejmie, łaskawa pani, ale nie wolno nam dłużej zwlekać.

- Ale czy macie dość sił, żeby iść tak daleko? - spytała. - Wszyscy jesteście poranieni. Na pewno byłoby rozsądniej odpocząć przed wyruszeniem w drogę.

Ten, który zabierał głos, uśmiechnął się łagodnie, zakładając maczugę na ramię.

- To niewielkie zranienia.

Dwóch z nich wzięło Minjamina między siebie i wyruszyli zamaszystym krokiem, trzymając go pod ręce. Jego krótkie nogi zdawały się poruszać z szybkością skrzydełek kolibra, aby sprostać ich krokom. Trzeci obejrzał się przez ramię i przesłał Deborze nieśmiały uśmiech na pożegnanie.

- Dziękujemy! Bardzo wam wszystkim dziękujemy! - zawołała, machając do nich ręką. - Bóg was wynagrodzi za tę wspaniałą przysługę, którą oddaliście nam dzisiejszej nocy. - Pomachała jeszcze raz do tego, który pozostał w tyle. - Znam twoje imię. Ty jesteś Gajus.

Uśmiechnął się szeroko, zadowolony, że zapamiętała jego imię. - Tak, pani! Jestem Gajus. Najmłodszy.

Adam patrzył, jak odchodzili krętą ścieżką, biegnącą wzdłuż wijącego się zakrętami wadi. Potem się obrócił i spojrzał uważnie na zachód.

- Statek, na którym twój ojciec płynie do Antiochii - odezwał się do Debory - nie miał żadnego opóźnienia. W każdym razie nic nam o tym nie wiadomo. Być może ma już nad nami dużą przewagę. Nie możemy sobie pozwolić na spanie. Trzeba załadować wielbłądy i ruszać w drogę. - Rzucił okiem na północny szlak otulony białą poranną mgiełką. - Dzień będzie bardzo upalny.

Rozdział XVI

1

Trzeciego dnia wspinali się mozolnie po stromych ścieżkach między Równiną a Jeziorem Galilejskim. Przed zapadnięciem zmroku znacznie się oddalili od górnego krańca jeziora i mieli przed sobą trzy szczyty góry Hermon, zwanej Śnieżną Górą. Cała okolica była uświęcona pamięcią o Jezusie, toteż Debora nie zaciągnęła zasłon, w obawie, że coś umknie jej uwadze. Była ogromnie zmartwiona tym, że nie mają czasu na zwiedzenie Nazaretu. Patrzyła z żalem na skalistą drogę prowadzącą na zachód i na małą wioskę, gdzie młody Cieśla spędził swą młodość, a potem westchnęła:

- Byłabym szczęśliwa, gdybym mogła zobaczyć choćby tylko dach domu Józefa...

Czasami droga wspinała się na samą krawędź grzbietu górskiego i wtedy mogli przez chwilę popatrzeć na Jezioro Galilejskie. Woda była zielona i gładka, a nad nią zwisały chmury, białe jak ściany raju. Tyle razy słyszała o tym świętym morzu, więc teraz nie mogła zapanować nad emocjami.

- Być może - wykrzykiwała - to właśnie tutaj Jezus stąpał po falach! - albo: - W tym miejscu mógł dokonać cudu z bochenkami chleba i rybami! - Raz jeden, kiedy pomyślała o dziadku, wybuchnęła płaczem. - Często rozmawialiśmy z dziadkiem, że nadejdzie taki czas, kiedy przyjedziemy tutaj i będziemy szli po śladach Chrystusa. A teraz on już nie żyje i muszę to robić bez niego!

W miejscu, gdzie droga ostro skręcała na północny wschód, stanął przed nimi mężczyzna o czerstwej twarzy, w zniszczonym wełnianym przyodziewku brunatnego koloru i zatrzymał ich gestem dłoni.

- Czy jesteście chrześcijanami? - spytał. - Czy waszym celem jest poznanie stron, gdzie Jezus żył i nauczał? Jeśli tak jest, to ja, Teudas, syn Jarana, jestem wam potrzebny. Znam krainę Chrystusa lepiej niż ktokolwiek z żyjących. Mogę wam pokazać... - Nagle urwał, oczy jego powędrowały wzdłuż karawany, aż dotarły do wielbłąda, na którym siedział Łukasz. Jego pewność siebie opadła jak ogon zganionego psa. - Ach, tak! Jest tu i Łukasz. Łukasz Pisarczyk, Łukasz Sceptyk, Łukasz, który za nic nie uzna, że Teudas wie, o czym mówi. Więc zaczynaj, Łukaszu Wykrywaczu Błędów! Powiedz im, że Teudas niczego nie wie, że oszust ze mnie!

Łukasz spojrzał na niego z góry.

- Niczego nie wiesz, Teudasie - powiedział. - I jesteś szalbierzem. Ciągniesz zyski, oszukując ludzi, których karmisz błędnymi informacjami. Mogę ci przyrzec jedno, że pewnego dnia dosięgnie cię kara. Podniesiesz ramię wskazując miejsca, o których nic nie wiesz, a twoje

ciało skamienieje i będziesz tak stał po wszystkie czasy jak słup soli.

Spazm strachu wstrząsnął ciałem Teudasa.

- Nie patrz na mnie! - wykrzyknął. - Nie chcę ulegać twoim czarom! Jestem za mądry, żeby się dać schwytać w taką sieć. Jestem przyjacielem Szymona Maga. Pójdę do Szymona i powiem mu: “Trzeba coś zrobić z tym pobożnym, starym uzdrawiaczem ciał, tym Łukaszem z Antiochii”. I Szymon spełni moją prośbę i zamieni cię w węża, abyś zawsze pełzał na brzuchu i syczał na ludzi!

Pojechali dalej nie zwracając na niego uwagi. Pozostał na środku zakurzonego gościńca, wymachując pięściami w powietrzu i skrzecząc za nimi:

- Łukasz, Łukasz, Łukasz! Obyś dostał wielbłądziego świądu! Obyś sczezł z upływu krwi! Pluję na ciebie, Łukaszu Krwawa Litero! Łukasz Pijawka!

Łukasz uśmiechnął się.

- Pomstujący szubrawiec z niego - powiedział do Debory jadącej obok. - Taki żebrak może niejedną krzywdę wyrządzić wierzącym i szczerze poszukującym prawdy. Czy wiesz, że w Jerozolimie są już handlarze gotowi sprzedawać kawałki krzyża, na którym umarł Jezus? Ten krzyż jest zachowany i znajduje się w pewnych rękach, nigdy jednak nie zostanie podzielony na kawałki przez gromadę chciwych kupców. Będzie coraz więcej tego handlu w miarę upływu lat, kiedy pamięć ludzka się przyćmi. Z tej to racji musimy być surowi wobec takich oszustów, jak Teudas, jeśli nawet czasami wywołują nasz uśmiech.

Przed nocą rozłożyli obozowisko na krawędzi wzgórza, które zdawało się znajdować nie dalej jak o milę od podnóża góry Hermon. Następnego ranka ta mila wciąż się wydłużała i mnożyła i dała w rezultacie wiele mil, lecz o tej spokojnej, wieczornej godzinie wydawało się znużonym podróżnym, że widzą każdą nierówność na powierzchni góry i że wystarczyłby jeden krok do przodu, aby się znaleźć w mgłach wieczornych, które jak zawsze otulały szczyty, i poczuć wilgoć chłodną, jak błogosławieństwo po skwarze dnia.

2

Adam ben Aszer dopilnował, żeby rozstawiono namioty szybciej niż zwykle, a potem zwołał naradę. Spotkano się wewnątrz koła uformowanego przez namioty, z których dolatywały nęcące zapachy przygotowywanej wieczerzy. Poganiacze i strażnicy przysiedli na piętach przy Adamie. On, występując w charakterze przywódcy własnej karawany, zajął miejsce w środku, zwrócony twarzą do pokrytych białymi czapami szczytów góry Hermon. Łukasz, Debora i Bazyli, będący jedynie podróżnymi, zostali posadzeni poza kręgiem. Jak było przyjęte, nie mogli włączać się do narady bez jednomyślnej zgody wszystkich ludzi karawany. Debora, która znalazła się obok Bazylego, obdarzyła go długim, pełnym troski uśmiechem, a potem nasunęła swą purpurową pallę

na ramiona i zaczęła uważnie słuchać. Siedzący na wprost przed nimi Łukasz obserwował młodą parę marszcząc brwi. Najwyraźniej ich zachowanie bardzo go dziwiło.

Adam rozpoczął od objaśnienia zebranym, iż zachodzi niezbędna konieczność dotarcia do Antiochii, zanim przybędzie tam pewien statek. Statek, który wyruszył z Joppy wkrótce po ich wyjeździe z Jerozolimy, jest szybkim żaglowcem zdolnym do przebywania sześćdziesięciu mil dziennie, a może nawet i więcej. Spoglądając na krąg zasłuchanych brązowych twarzy zapytał, jakie mają szanse na wygranie wyścigu do Antiochii?

Nastąpiło długie milczenie, znamienne dla ludzi Wschodu, a zwłaszcza dla tych, którzy spędzają życie na szlakach pustynnych. Potem jeden ze strażników pochwycił spojrzenie Adama:

- Panie!

- Słucham cię, Szammaju.

- To są mocne wielbłądy. Ich szybkie nogi nie zatrzymują się na dłużej w piasku, więc nie grożą im oparzenia. Niektóre z nich są już stare, ale czyż nie jest prawdą to, co się mówi, że silny, stary wielbłąd przetrzyma wiele młodych?

- To mądre powiedzenie, Szammaju.

- Dlatego trzeba ustalić szybkość, z jaką są w stanie posuwać się starsze wielbłądy. One mogą pokonać pięćdziesiąt mil dziennie. Ale, panie, one mogą robić te pięćdziesiąt mil bez przerwy w ciągu pięciu dni. Jeśli zechce się je utrzymać dłużej w takim szybkim biegu, będą się żaliły i narzekały. Potem zaczną jęczeć i skowyczeć, wreszcie padną na kolana, ich łby powoli opadną do przodu i zdechną z wysiłku. Jestem młody, ale bez wahania powiem, nawet wobec tylu starszych i mądrzejszych ode mnie mężów, że byłoby rzeczą niesłuszną robić więcej jak trzydzieści pięć albo czterdzieści mil dziennie. Takie tempo może być utrzymywane przez całą drogę i żadnemu z wielbłądów nie zaszkodzi.

- Wysłuchaliśmy słów Szammaja - powiedział Adam. - Jeśli pójdziemy za jego radą, jaką mamy szansę przybycia do Antiochii przed statkiem?

- Czy wolno zabrać głos komuś, kto niewiele zna się na tych sprawach, lecz wiele żeglował po morzach? - spytał Łukasz.

Adam zaczekał na przyzwalające kiwnięcie głowami brązowych członków karawany, zanim powiedział:

- Radzi będziemy usłyszeć.

Łukasz ukłonił się zebranym i wyraził swe uznanie zwyczajowym zwrotem:

- Dziękuję tym, co są ode mnie mądrzejsi. - Potem pochylił głowę przed Adamem. - To prawda, że statek może zrobić sześćdziesiąt mil dziennie, ale tylko w bardzo sprzyjających warunkach, jeśli chodzi o wiatr i słońce. Można oczekiwać, że o tej porze roku będą dni zupełnie

bezwietrzne i statki utkną bezczynnie na gładkim morzu z żaglami zwisającymi tak bezsilnie, jak winorośl po mrozie. W takie dni można tkwić w miejscu albo zrobić najwyżej parę mil. Natomiast silne wichry mogą uniemożliwić opuszczenie przystani, a w najlepszym razie pozwolą wlec się od wyspy do wyspy. Jeśli nawet niezbyt silne wiatry będą wiały z północy albo zachodu, wtedy trzeba koniecznie brać kurs zakosami. Może się wydawać, że statek wykonał dzienny kurs, a tymczasem znajduje się zaledwie o parę mil dalej po pełnych dwudziestu czterech godzinach.

- Co Łukasz Lekarz doradza nam zrobić? - spytał Adam.

- Nie mam gotowej rady. Chciałem tylko wyjaśnić, że na morzu będą trudności równie duże jak te, które my możemy napotkać.

W kręgu na wprost Adama siedział ze skrzyżowanymi nogami młody poganiacz o ciemnych bystrych oczach i ustach skorych do uśmiechu. Bazyli od początku go polubił i korzystał z nadarzających się okazji, aby z nim porozmawiać. Nazywał się Czymham i często śpiewał.

- Skoro zachodzi potrzeba wcześniejszego dotarcia do Antiochii - odezwał się ten młody poganiacz wielbłądów - powinniśmy podjąć każde ryzyko, aby wygrać ten wyścig.

Bazyli pochylił się nagle do przodu:

- Czamham ma rację! - zawołał. - Nie możemy sobie pozwolić na ostrożność. Musimy ryzykować.

Adam rzucił mu wrogie spojrzenie.

- Jesteś obcy wśród nas - rzekł - i nie wolno ci zwracać się do rady bez zgody jej członków.

Cicha pasja, wywołana nieukrywaną wrogością Adama, gotowa była wybuchnąć płomieniem. Bazyli był do tego stopnia rozgniewany, że przez dłuższą chwilę nie mógł wydobyć głosu. Wreszcie powiedział cicho:

- Czy rada pozwoli mi zabrać głos?

Okutane w biel głowy przytaknęły wyrażając zgodę. Bazyli wystąpił do przodu i począł mówić:

- Tak, musimy podjąć ryzyko. Jaką będziemy mieli korzyść z oszczędzania wielbłądów, jeśli przyjedziemy do Antiochii za późNo?

- To moje wielbłądy - stwierdził Adam.

- Robisz wszystko, żebyśmy o tym nie zapomnieli.

- Jeżeli będą pędzone ponad siły i pozdychają, to będzie moja strata.

- Wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę.

- Uważam, iż ten punkt zasługuje na uwzględnienie - oznajmił Adam gniewnie.

- Zasługuje na omówienie - Bazyli wpatrywał się we właściciela karawany, nie starając się ukryć swoich uczuć. - Ten temat chcę z tobą omówić sam na sam, po zakończeniu narady.

- Nie mogę sobie wyobrazić, co ty możesz powiedzieć o decyzji, wobec której stoimy.

- Być może - odparował Bazyli - zmienisz zdanie. A tymczasem chcę przedłożyć pewien plan. Nie ma potrzeby pędzić całej karawany do granic wytrzymałości. Natomiast należy wybrać dwa najsilniejsze i najszybsze wielbłądy i obciążyć je tylko jeźdźcem i niewielkim zapasem żywności. Jak słyszałem, dobry wielbłąd może w takich warunkach robić więcej niż pięćdziesiąt mil dziennie i to przez nieograniczenie długi czas.

- To prawda - wtrącił się Czymham. Widać było, że wyczuł, co Bazyli ma zamiar zaproponować i w pełni się z tym zgadzał. - Mamy sporo wielbłądów w naszej karawanie zdolnych do utrzymania takiego kroku co najmniej do Antiochii.

- Jeźdźcy - ciągnął Bazyli - powinni wyruszyć natychmiast i donieść, komu trzeba, w Antiochii, iż nic nie należy przedsiębrać w pewnej sprawie, dopóki nie przybędzie cała karawana. Według mnie, można liczyć na to, że jeźdźcy dotrą o trzy albo cztery dni wcześniej od karawany i wcześniej od statku.

Czymham coś zawzięcie obliczał.

- Daj jeźdźcom wolną rękę, a będą w stanie dotrzeć o pięć dni wcześniej - oznajmił.

- Czy mogę zabrać głos? - spytał Łukasz.

Głowy potaknęły uroczyście. Adam, pocierając nos, zaabsorbowany myślami, nie zwrócił uwagi na słowa Łukasza.

- Sądzę, iż wysłuchaliśmy rozsądnych słów - oznajmił Łukasz. - Ten plan daje nam pewne korzyści oraz zmniejsza ewentualne straty do dwóch wielbłądów.

Adam podniósł głowę i rzucił pytanie:

- Kto się zgłosi na ochotnika, jeśli przystaniemy na ten plan?

- Ja pojadę! - zawołał Czymham ochoczo. - Pozwólcie mi dosiąść starego Bildada. Jest tak uparty i nieznośny, jak człowiek, który nosił to imię, ów zgorzkniały pocieszyciel, siedzący na brzuchu Joba. On mnie zna i lubi, o ile wielbłąd ma tyle rozeznania, że może kogoś lubić. Wielu ludzi odrzuca taką możliwość, ale ja w to wierzę. Przyrzekam na mą głowę: dajcie mi Bildada, a przejadę na nim przez poczwórną Kolumnadę Antiochii, zanim ktokolwiek dojrzy z brzegu przystani żagle tego statku.

- Piękne słówka - mruknął Adam. - Tak mocno dmiesz, że mógłbyś wywołać wiatr dostatecznie silny, aby przywiał ten statek do portu wcześniej niż dotrą tam najlepsze wielbłądy, jakie kiedykolwiek stąpały po szlakach. - Popatrzył z niechęcią na poganiaczy siedzących w kucki obok niego. - Kto jeszcze?

Bazyli zabrał głos nie czekając na pozwolenie:

- Chcę być tym drugim, który pojedzie. Nie znam się na obsłudze wielbłądów, ale chętnie

się nauczę. Tak mi zależy na pokonaniu tej drogi w możliwie najkrótszym czasie, że gotów jestem poddać się rozkazom Czymhama i czynić wszystko, czego ode mnie zażąda.

Debora dotknęła jego ramienia z niepokojem.

- Ale Bazyli, czy wytrzymasz ten trud? - wyszeptała. - Czy zniesiesz jazdę bez osłony, wystawiony na słońce? Czy nie należy pozostawić tego ludziom nawykłym do życia na pustyni?

Pochylił głowę w jej stronę, lecz nie oderwał wzroku od ziemi.

- To mój obowiązek. Nie mógłbym podróżować korzystając z wygód, podczas gdy inni ponosiliby dla nas ryzyko. Gdybym to zrobił, nigdy nie mógłbym podnieść głowy i spojrzeć ludziom w oczy. Na pewno zgodzisz się ze mną. - Potem z pewnym ociąganiem dorzucił drugi powód:

- Ponadto, odjeżdżając, uwolnię cię od kłopotliwej sytuacji, jaką stwarza moja obecność. Nie będziesz musiała wyjaśniać, dlaczego nie dzielimy namiotu. Wyznaję, że i ja będę szczęśliwy, unikając kłopotliwej sytuacji. Chcę - dodał po chwili - wyruszyć dziś wieczór, po paru godzinach odpoczynku. Zanim wyruszycie rano, my znacznie wyprzedzimy karawanę, tak więc nie będzie plotek, szeptów na nasz temat ani zacierania rąk. To doskonały sposób na rozwiązanie naszych kłopotów.

W tym samym momencie Czymham przemawiał do rady. Chętnie przyjął propozycję Bazylego i podjął się opieki nad obu wielbłądami. Radził, żeby drugi wielbłąd był młodszy od posępnego weterana Bildada. On sam wybrałby Romamti-$ezera.

- Ezer to żarłok - oznajmił - skory do użalania się nad sobą. Nocą warczy i wyje, woli też chapnąć swego jeźdźca za rzepkę kolana, niż chwycić zębami krzak akacji. Ale jest silny i dorówna Bildadowi. To będzie najlepsza para.

Adam popatrzył spode łba i w milczeniu obserwował swoich ludzi.

- A więc postanowione - odezwał się. - Czymham i pan młody. Bildad i Ezer. Młodość i doświadczenie. Pokój niech będzie z nimi.

3

Adam włożył rękę do naczynia z duszonym mięsem jagnięcia i zaczął ze smakiem ogryzać kostkę. Kiedy Bazyli zbliżył się do niego, zamoczył rękę w gorącej wodzie i szybko przetarł brodę.

- Niepokoisz się o bezpieczeństwo swych wielbłądów - odezwał się Bazyli. - Przyszedłem z propozycją. Jeśli się zgodzisz, kupię od ciebie tę parę, która będzie wystawiona na próbę szybkiej jazdy do Antiochii.

Adam pozwolił sobie na mruknięcie.

- Żądam wysokiej ceny za Ezera i starego Bildada. Czy masz pojęcie, ile to wyniesie?

- Wszystko mi jedno. - Obraza, tląca się w Bazylim słabym ogienkiem, wybuchła teraz pełnym płomieniem. - Mam pieniądze. Nie znam się na cenie wielbłądów i nie mam ochoty z tym się zaznajamiać, myślę jednak, że zdołam zapłacić za te dwa. Chcę postawić sprawę jasno. Wolałbym być wyzuty z ostatniego grosza, niż nadal mieć wobec ciebie jakiekolwiek zobowiązania.

Adam przyjrzał się mu z błyskiem w oczach.

- Przemawiasz do mnie jak dojrzały mężczyzna. Pokazujesz swoje nowe oblicze.

- Zniosłem od ciebie tyle, na ile było mnie stać. Opuszczając obóz dzisiejszej nocy mam nadzieję, że już nigdy cię nie zobaczę.

- A ja znosiłem cię do granic mojej wytrzymałości - oznajmił Adam. - Niebezpieczeństwa, choćby największe, jakie napotkasz w tej podróży, jeszcze mnie nie zadowolą. - Zamilkł na chwilę, a potem odrzucił na bok powściągliwość. - Gdyby podsumować wszystko, kto byłby górą? Jeśli masz co do tego jakieś wątpliwości, ja ci to powiem: ty! Powiedziałem o tobie wiele przykrych rzeczy, zarówno prosto w twarz, jak za plecami. Najmilszą moją rozrywką aż do końca życia będzie mówienie o tobie z szyderstwem i zawziętością. Ty jednak możesz się uskarżać tylko na ostrość mojego języka. A czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, coś mi uczynił?

- Tak, wiem. - Bazyli skinął głową.

- Dałeś mi wystarczający powód, aby cię znienawidzić. - Adam zrobił rękami wymowny gest. - Tak, sprzedam ci wielbłądy i zażądam wysokiej sumy z tej racji, że tak strasznie cię nie lubię. Będę miał satysfakcję, jeśli cię zmuszę do tego, że grubo przepłacisz.

Chociaż Bazyli zaznaczył, że nie zna się na cenie wielbłądów, odniósł wrażenie, że cena podana przez Adama jest bardzo wysoka. Obliczanie szło mu wolno, nie miał zdolności do cyfr i dopiero po dłuższej chwili stwierdził, że może tyle zapłacić i jeszcze mu wystarczy na pokrycie wydatków w czekającej go podróży. Teraz nie wahał się już ani chwili.

- Przyjmuję.

Adam strzelił palcami ze zniecierpliwieniem.

- Czy nie dasz mi satysfakcji? Nie będziesz się targował, żebym mógł ci udowodnić, kto z nas jest w tym lepszy! - zawołał. - Nie, widzę, że nie masz takiego zamiaru. Jesteś zbyt dumny. Wolisz zimno na mnie spoglądać, mówiąc do siebie: “Nie będę tracił słów na targowanie się z tym psem.” Kończmy więc. Odlicz pieniądze i dawaj. Nie jesteś na tyle wielkoduszny, aby mi pozwolić wygrać nawet w tak drobnej sprawie. Pośpieszaj! Zależy mi na tym, abyś znikł mi z oczu.

Bazyli wyjął sakiewkę zza pasa i odliczał pieniądze. Starał się zrobić to szybko, zgodnie z żądaniem Adama, ale jego nieobycie z pieniędzmi opóźniało transakcję. Adam przyglądał się, nie próbując ukryć pogardy i niecierpliwości.

- Dam ci radę - odezwał się właściciel karawany podczas odliczania pieniędzy. - Naucz się trochę przyjętych tu zwyczajów. Jesteś mężem Debory i ze względu na nią nie chcę, aby cię oszukiwano przez całe życie, jak ja to robię w tej chwili. I jeszcze jedno. Skąd miałeś ten ubiór, w którym brałeś ślub?

- To był dar od Józefa z Arymatei.

- To dziwne. Mój pan musiał być świadomy, że jest na nim wizerunek orła i węża, które są godłem szczepu Dana. Ty nie pochodzisz z tego szczepu i nie masz prawa do noszenia ich godła. Radzę ci usunąć cały haft i wytłoczone oznaki.

- Nigdy nie włożę tego ubioru, jeśli tego sobie życzysz.

Adam spojrzał gniewnie.

- Najbardziej by mi odpowiadało, gdyby nigdy nie było tej okazji, z racji której włożyłeś go po raz pierwszy.

Bazyli skończył odliczanie i wręczył pieniądze Adamowi. Ten dokładnie sprawdził całą sumę, zanim włożył pieniądze do swego pasa.

- Myślę, że tego wieczoru wyrównaliśmy nasze porachunki - powiedział ze spóźnioną satysfakcją. - Ty wzgardziłeś targowaniem się ze mną, ja okpiłem ciebie okropnie. Tak, kwita z nami - skinął powoli głową. - A teraz jeszcze coś ci doradzę. Tym razem bardzo szczerze. Pośpij do północy. Przyda ci się każda minuta wypoczynku. Tymczasem Czymham dopilnuje, aby przygotowano, co potrzeba. Jak sądzę, po raz ostatni z tobą rozmawiam, ale nie jestem obłudnikiem, więc nie powiem: “Pokój z tobą”. Mimo to życzę ci bezpiecznego i szybkiego dotarcia do Antiochii. Życzę ci tego jak najserdeczniej ze względu na Deborę.

- Tak więc tym razem zgadzamy się ze sobą - zakończył Bazyli.

4

Kiedy Bazyli znalazł Łukasza w zajmowanym przez niego namiocie i zapytał, czy może się tu przespać do północy, lekarz spojrzał na niego pytająco.

- To dziwne zachowanie, mój synu - powiedział. - Czy to możliwe, że się posprzeczałeś z żoną?

- Nie było żadnej sprzeczki. - Bazyli potrząsnął głową. - Mogę tylko powiedzieć, że przyszedłem tutaj na życzenie Debory. - Po chwili milczenia dodał: - Jeśli ktoś w tej sprawie zawinił, to ja jestem tym winowajcą.

Zrzucił odzież i w kusej, płóciennej tunice wyciągnął się na kocu. U szczytu namiotu był otwór dla dostępu powietrza, przez który mógł patrzeć na gęste skupisko gwiazd. Przyglądał się im przez chwilę, a potem zamknął oczy.

- Chyba porozmawiam z Deborą - powiedział Łukasz.

Bazyli od razu otworzył oczy i odwrócił się, żeby na niego spojrzeć, ściągając brwi z niepokojem.

- Ona nie będzie chciała o tym mówić. Byłoby lepiej nie pytać jej o nic.

Łukasz zawahał się tylko przez chwilę.

- Nie, mój synu. Sądzę, że koniecznie trzeba porozmawiać z nią, zanim ty odjedziesz. Można rozprawić się ze wszystkimi ludzkimi kłopotami, jeśli podejdzie się do nich we właściwy sposób. Ty mi nic nie powiesz. Czy w takim razie pozwolisz, że zadam twojej żonie parę pytań?

Bazyli był okropnie zmęczony. Miał za sobą trzy ciężkie dni i tyle samo nieprzespanych nocy. Wydawało mu się, że nie zdoła unieść powiek, żeby spojrzeć na Łukasza. Po chwili znów je zamknął.

- Niech tak będzie - mruknął. - Porozmawiaj z nią. Zostawiam tę sprawę w twoich i jej rękach.

Skończył i natychmiast zapadł w mocny sen.

Służba Debory czesała włosy swojej pani, kiedy u wejścia do namiotu zjawił się Łukasz. Jego słowa: “Czy mogę wejść?”, spotkały się z przychylną odpowiedzią, zanim Debora uświadomiła sobie, że jej twarz pokryta jest grubą warstwą białej substancji. Łukasz tak był tym przerażony, że mimo trosk ciążących na jej umyśle, Debora zdobyła się na krótki uśmiech.

- Powinnam poprosić, żebyś zaczekał - powiedziała - zanim nie usunę wszystkich śladów grzesznego sekretu. Teraz wykryłeś jeden z moich niegodnych nawyków, a mam ich, wyznaję, niemało. Skóra kobiety jest spieczona i wysuszona, kiedy się ją wystawia na słońce pustyni. Krem, taki jak ten, jest bardzo pomocny. Pochodzi ze Wschodu, z bardzo dalekiego Wschodu. Każda karawana przywozi pudełeczko tego kremu na mój użytek. Jest mi doręczany w największej tajemnicy. - Służce udało się tymczasem usunąć wszystkie białe ślady z policzków Debory. - Wiem, że używanie maści i płynów uważane jest za coś zdrożnego, chociaż przywiozła je ze sobą królowa Saba, żona Salomona. Nie podzielam tego zdania. Uważam, że to rozsądne.

Zachowanie Łukasza świadczyło o tym, że chce z nią porozmawiać sam na sam, więc Debora odprawiła służącą. Po usunięciu kremu ukazała się jej zmęczona i niespokojna twarz.

- Twój mąż śpi w moim namiocie - odezwał się Łukasz.

Debora spłonęła rumieńcem.

- Nie wyjawił powodu?

- Nie chciał.

Debora pozwoliła rękom bezwładnie opaść na kolana i ciężko westchnęła.

- Jest to zgodne z układem, jaki zawarliśmy.

- Czy pozwolisz, że zadam kilka pytań?

Zawahała się, a potem odparła:

- Tak.

- Gdyby Bazyli nie musiał wyruszyć w drogę, czy dzieliłby z tobą namiot?

- Nie - odparła niechętnie.

- Czy układ, o którym mówisz, był zrobiony przed ślubem?

Skinęła głową.

- Tak, przed. Postanowiliśmy, że to będzie małżeństwo czysto formalne.

Łukasz zmarszczył się tak, jakby nie mógł ani zrozumieć, ani pochwalać takiego układu.

- Czy on cię kocha?

- Nie, on mnie nie kocha.

- A ty? Kochasz go? - Zanim zdążyła odpowiedzieć, mówił dalej: - Musisz mi wybaczyć, że wtrącam się w twoje sprawy, lecz uważam, że coś tu nie jest w porządku i trzeba temu zaradzić, zanim będzie za późno.

Wahała się przez chwilę, a potem odpowiedziała z pełną prostoty godnością:

- Kocham go szczerze i głęboko, inaczej bym go nie poślubiła.

- Rad jestem, że słyszę to od ciebie. Ale dlaczego Bazyli zgodził się ciebie poślubić, jeśli, jak mówisz, nie darzy cię uczuciem?

Wyjaśniła znużonym tonem:

- Było postanowione, jak wiesz, że pojadę do Antiochii jako kobieta zamężna. Sądziłam, że on mnie kocha, ale kiedy się dowiedziałam, że tak nie jest, zaproponowałam mu małżeństwo formalne.

- Z zamiarem starania się później o rozwód?

- Ja nie uznaję rozwodów. Jeżeli jednak Bazyli zapragnie potem uwolnić się ode mnie, nie przeszkodzę mu w tym zamiarze. - Potrząsnęła głową z wyrazem beznadziejnego smutku. - Proszę, wolałabym już więcej o tym nie mówić. Rozważanie tych spraw z kimkolwiek jest dla mnie bardzo trudne.

- Ależ, moje biedne dziecko, czuję się odpowiedzialny za to, co się wydarzyło. Wszak to ja przekonywałem twego dziadka o celowości zawarcia tego małżeństwa, zanim się zgłosisz po swoją spuściznę. Byłem wówczas pewny, że między tobą a Bazylim zrodziło się szczere uczucie. Kiedy mi powiedziałaś, że wybierasz właśnie jego, byłem bardzo szczęśliwy. Miałem pewność, że jest w tobie zakochany.

- Ja też - głos jej drgnął. - Nie zwróciłabym się do niego, gdybym nie miała pewności. A potem... a potem, on nie od razu dał mi odpowiedź i już wiedziałam, że za wiele sobie wyobrażam.

Kiedy mi powiedział o tej dziewczynie...

- Czy on kocha inną dziewczynę? - Brwi Łukasza ściągnęła zmarszczka zafrasowania.

- Mówi, że nie. Ale powiedział mi, że wiele o niej myśli. Czuje się dłużnikiem, bo wysłała mu ostrzeżenie o grożącym mu niebezpieczeństwie. Wtedy właśnie zaczął się modlić i zjawiłeś się ty, żeby go zabrać.

- Mówił, że dostał karteczkę. Ale wtedy nie wiedział, kto ją wysłał.

- Ona mu to powiedziała, kiedy ją zobaczył w Jerozolimie. To ta dziewczyna, która pomaga Szymonowi Magowi.

Łukasz przesuwał rękami po miękkich pasmach brody, lecz w tym momencie się zatrzymał. Utkwił w niej pełne niedowierzania oczy.

- Ta nikczemna dziewczyna! - zawołał. - Trudno w to uwierzyć.

- I mnie było trudno.

- Nigdy nie wierzyłem w napoje miłosne ani czary, przyjmując je za niemądre sztuczki magicznego rzemiosła. Ale teraz, po raz pierwszy w życiu, skłonny jestem uznać, że takie rzeczy istnieją. Wszelkie inne wyjaśnienia wydają się niemożliwe w tym przypadku.

Groźna zmarszczka usunęła wszystkie ślady dobrotliwości z twarzy Łukasza. Przez kilka chwil był zaabsorbowany rozważaniem sytuacji. Potem z widoczną niechęcią zaczął wyjaśniać:

- Przywódcy Kościoła naszego Pana muszą być czymś więcej niż tylko głosicielami Dobrej Nowiny. W ich rękach spoczywa dobro Kościoła, więc potrzebny jest im również pewien zmysł polityczny. Uznano, że trzeba będzie się przeciwstawić usiłowaniom Szymona Maga, który chce okraść ludzi z ich wiary w boskość Jezusa. Zasięgnięto pewnych informacji co do jego osoby. Od czasu kiedy Szymon zjawił się w Jerozolimie, dowiedzieliśmy się wielu rzeczy o nim samym, jak również o tej dziewczynie, Helenie. Po ucieczce od swego pana w Antiochii żyła z wieloma mężczyznami przed Szymonem. Może się zdarzyć, iż nigdy nie zajdzie potrzeba skorzystania z tej albo z innych trywialnych informacji zapisanych w rejestrach Szymona, tego bardzo złego Samarytanina. Ufam, że nie zajdzie. Jednak - zmarszczka na gładkim zazwyczaj czole pogłębiła się jeszcze bardziej - trzeba coś zrobić, aby uleczyć tego chłopca z jego zainteresowania tą kobietą. Czy on wie, że ty go kochasz?

- Nie, nie! Usiłowałam zachować powściągliwość. - Oczy Debory napełniły się łzami. - On nie jest szczęśliwszy ode mnie. Nie sądzę, żeby wiedział, czego od niego oczekujemy. To myśmy mu powiedzieli, aby nie robił rzeczy, które zawsze zdawały się być słuszne i naturalne. Próbowaliśmy zmienić jego sposób myślenia na nasz. Jestem pewna, że jego myśli są pogmatwane i że dokonał tego wyznania sądząc, że to jest chrześcijański sposób postępowania.

Po chwili namysłu Łukasz skinął głową potakująco.

- Masz rację, moje dziecko. Ten biedak jest zamroczony naszymi naukami. - Położył dłoń na jej ręce gestem pocieszenia. - Przyszedłem, chcąc ci doradzić, abyś usiłowała przywrócić mu zdrowy rozsądek, nawet przez okazywanie swoich uczuć. Czy możesz to zrobić?

Potrząsnęła porywczo głową.

- Nie, mój dobry przyjacielu. Nic więcej nie mogę zrobić, dopóki on nie przyjdzie do mnie, żeby powiedzieć to, co muszę od niego usłyszeć. Jeśli zrobię cokolwiek innego, z pewnością go stracę.

- Ale czy jesteś gotowa tak żyć? Być kobietą zamężną i nie mieć męża? Żyć upozorowanym życiem? Na pewno, moja Deboro, możesz coś zrobić.

- Tak, jest coś, co mogę zrobić. - Zdobyła się na uśmiech, chociaż trudno było nazwać go radosnym. - Mogę czekać.

Bazyli przyszedł do namiotu Debory w wełnianym płaszczu, który otulał go od szyi do kostek, gdyż w powietrzu panował przejmujący chłód. Wiedząc o skłonnościach Ezera do gryzienia, owiązał rzemykami spłowiałe skórzane ochraniacze wokół goleni. Przez ramię miał przerzucone małe zawiniątko z ubraniem.

- Właśnie odjeżdżamy - powiedział.

Debora spędziła bezsenną noc. Od chwili powrotu do Jerozolimy spała bardzo mało. Jej oczy były tak powiększone, iż stały się najważniejszym elementem twarzy. Nie sięgała do ostatniego z pudełeczek, żeby dodać sobie kolorów, toteż policzki miała bardzo blade.

Gdy usłyszała odgłos jego zbliżających się kroków, zaczęła w niej pulsować jedna myśl: “Ja go kocham, kocham, kocham!” I zadawała sobie pytanie: “Czy mogę mu pozwolić tak odjechać? Czy nie powinnam się zdobyć na ten jeden wysiłek?” Jednak nic z tej walki wewnętrznej nie odbiło się na jej twarzy, kiedy przemówiła spokojnym głosem:

- Z lękiem myślę o oczekujących cię trudach podróży. Zastanawiałam się nad tym i potrafię zrozumieć, dlaczego chcesz jechać. Będę się modliła za twoje bezpieczeństwo i pomyślność, Bazyli.

Trzymała cynową miseczkę, w której pływał zanurzony w oliwie zapalony knot. Przy tym dość słabym świetle widział bladość jej policzków i wysiłek, aby zapanować nad wyrazem twarzy. Na ziemi były rozesłane dwa posłania. Na jednym, które on, jako jej mąż, mógł zajmować, leżała służąca Sara. Zbudziła się i widział, że obserwuje ich.

- Omawialiśmy z Adamem marszrutę - wyjaśnił. - Ponieważ będziecie jechali tą samą drogą, zostawimy dla was wiadomość na każdym postoju. Ufam - dodał - iż uda się nam dotrzeć w porę do Antiochii.

- Tak - odparła cicho - jestem tego pewna.

Dotknął sakiewki u boku.

- Mam tu list do bankiera. To powinno wystarczyć, aby wstrzymał wszelkie decyzje do czasu waszego przybycia.

Dała wyraz obawie tkwiącej w jej umyśle od chwili, kiedy się zdecydował jechać:

- Czy w Antiochii nie będziesz narażony na niebezpieczeństwo?

- Moja wolność została wykupiona legalnie. Mam przy sobie dokument, który to poświadcza. Moje obawy są tak znikome, że zamierzam nawet podjąć próbę zobaczenia się z matką. Linus zapewne nie zechce mnie wpuścić, ale spróbuję.

- Bądź bardzo ostrożny - nalegała. - Musisz pamiętać o tym, że Linus stał się potężnym człowiekiem.

- Będę bardzo ostrożny. Tyle ci najuroczyściej przyrzekam. Nie uczynię nic, co mogłoby mi przeszkodzić w dokończeniu Kielicha.

- Bazyli...

Nie dokończyła słów, które się cisnęły nieproszone na jej usta, ale wypowiedziała je w duchu z namiętnym uczuciem: “Nie mogę znieść tego, że tak odchodzisz! Powiedz, że przestaniesz myśleć o tej obcej kobiecie! Powiedz, że będziesz się starał mnie pokochać!”

Wszystko, co wyjawiła na głos słowami, zamknęło się w pytaniu:

- Czy dostatecznie wypocząłeś?

- Przespałem mocno trzy godziny i teraz czuję się odświeżony i gotowy do naszego przedsięwzięcia.

Ich ręce zetknęły się na krótką chwilę. Bazyli poprawił tłumoczek na ramieniu.

- Bądź zdrowa - powiedział.

- Bądź zdrów. Niech Jahwe spojrzy na ciebie z wysokości i otoczy swoją opieką.

Rozdział XVII

1

Tej pierwszej nocy dwóch jeźdźców jechało wytrwale w ciemnościach, a potem w blasku jutrzenki i dalej, przez świeżość godzin wczesnego poranka. Zaniechali jazdy dopiero wtedy, kiedy słońce stanęło wysoko na niebie i zaczęło wściekle atakować pustynię. Wyciągnąwszy się na piasku spali, ocieniając głowy rozłożonymi płaszczami, podczas gdy Bildad i Ezer chrupały z zadowoleniem kapparis, liście susztu i krzaki nebuku, prychając z zadowoleniem, kiedy im się trafił słony w smaku liść salsoli. Po czterech godzinach, kiedy osłabła zawziętość słonecznego ataku, wstali i ruszyli dalej.

Następnego dnia miały miejsce dwa wydarzenia, które zadziwiły Bazylego, nie znającego zwyczajów wielbłądów. Przytrafiło się coś, co zrodziło poczucie krzywdy w malutkim móżdżku Bildada. Jego obraza objawiała się niechęcią do pośpiechu, częstym prychaniem i podrzucaniem wędzidła, w kłapaniu od czasu do czasu zębami do tyłu, w nadziei pochwycenia jakiejś części ciała swego jeźdźca w mocne, wystające zęby.

Czymham łamał sobie głowę.

- Co takiego zrobiłem temu staremu łotrowi? - zapytał na głos. - Nie mam pojęcia, ale to jasne, że ma jeden z najgorszych ataków złości. - Musiał wyjąć sztylet i uderzać wielbłąda rękojeścią, kiedy ten odwracał głowę do tyłu. - Albo go ugodzę, albo on mi wyrządzi poważną krzywdę.

Zawołał: “Charr!”, a rozgniewany wielbłąd siłą przyzwyczajenia zatrzymał się. Z wielkim prychaniem i pojękiwaniem ukląkł, a jeździec szybko zeskoczył na ziemię. Zdjąwszy tunikę cisnął ją przed Bildada, a sam w wielkim pośpiechu się wycofał.

Wtedy zaszło coś, co gwałtownie wyrwało Bazylego ze stanu śpiączki, w jaki popadł z powodu upału. Bildad pochwycił odzież w swoje groźne zęby i zabrał się do darcia jej na drobne strzępy. Rozjuszony wielbłąd z pasją deptał tunikę przednimi nogami. Wkrótce została z niej tylko miazga, lecz zwierzę nadal chrapliwym głosem dawało upust swej złości.

- On myśli, że to jestem ja - wyjaśnił Czymham. - Szkoda, bo to była nowa tunika. Ale musiałem ją poświęcić. Lepiej stracić ubranie niż mieć stratowaną twarz. Widziałem kiedyś coś takiego.

Potem podszedł do wielbłąda z ufnością, przemawiając do niego serdecznie.

- Dobry Bildad! Dzielny Bildad! Mój znakomity Bildad! - Wielbłąd drżał nieco, ale stał zupełnie spokojnie.

- Trzymaj się od niego z dala! - zawołał Bazyli, przerażony tym, co zobaczył. - Rozedrze

cię na kawałki!

- Nie, jest już zupełnie spokojny. - Czymham mówił z przekonaniem i nadal zbliżał się do wielbłąda. - Wyładował swą urazę i odczuwa pełne zadowolenie w tym swoim zabawnym móżdżku. Jest przekonany, że wyrównał porachunki. Ja jestem dla niego kimś innym. Na mnie mu nie zależy.

Mimo to Bazyli przyglądał się z dużą obawą, gotów w razie potrzeby rzucić się na pomoc swemu nowemu przyjacielowi. Czymham miał jednak rację. Przełożył nogę i usadowił się na rakhali - wklęsłym siodle ze wzniesionym łękiem, używanym przez poganiaczy wielbłądów. Wysunął stopę i dotknął szyi uspokojonego już Bildada. Wielbłąd stęknął, podniósł pysk, żeby ryknąć żałośnie i zaczął się podnosić z klęczek.

- "Chich!" - zawołał Czymham i wielbłąd ruszył bez wahania.

- Mój dobry towarzyszu! - zawołał Czymham odwracając głowę, żeby spojrzeć do tyłu. - Jaki z niego dziwny, stary buzzud. Nie mam pojęcia, co za urojone krzywdy wyprowadziły go z równowagi, ale nigdy przedtem nie widziałem go w takiej furii. Teraz już wszystko minęło. Będziemy najlepszymi przyjaciółmi.

Drugi wypadek dotyczył Bazylego i zdarzył się w parę godzin później. Słońce wspinało się coraz wyżej, aż stanęło wprost nad ich głowami, a jego promienie uderzały z bezlitosną siłą. Bazylemu zakręciło się w głowie. Z trudem zachowywał równowagę w siodle i musiał przytrzymywać się wysokiego łęku prawie bezwładnymi palcami. Czymham jechał na przedzie i wydawało się, że nie odczuwa niszczycielskiego upału.

Bazyli już dziesiątki razy chciał zaproponować postój na wypoczynek, ale powstrzymywała go duma. Zgłaszając się na ochotnika powiedział, że potrafi znieść wszelkie trudy, i nie chciał poddać się tak szybko. Raz nawet, zrozpaczony, czując, że się chwieje w siodle, powiedział:

- Czymham, miej litość nad biednym początkującym! Czy nie pora na odpoczynek? - Dopiero kiedy jego towarzysz nie odpowiedział ani się nie obejrzał, Bazyli zdał sobie sprawę, że jego usta uformowały te słowa, ale ich nie wymówiły.

Zdawało się, że trwa to całą wieczność, wieczność w buchającym parą kotle. Bazyli trzymał się kurczowo łęku drętwymi palcami i dzięki temu nie spadł na ziemię. Czuł jednak, że wcześniej czy później straci przytomność i spadnie z siodła. Mogłoby się to źle skończyć, gdyż Ezer był kościstym zwierzęciem o nogach niezwykłej długości. Co więcej, wiatry wywiały lotny piasek na boki, a przemarsze niezliczonych karawan uczyniły drogę twardą jak kamień. Po bokach szlaku ciągnęły się skały wysuwające szczerbate zęby spod skąpego poszycia. Nic nie można było na to poradzić; utracił wszelką zdolność działania i mówienia. Mógł tylko przylgnąć do siodła i oczekiwać tego, co nieuniknione.

“Ktoś inny wykończy Kielich” - myślał. Pozostawił Łukaszowi i Deborze model oprawy. Nie był z niej całkowicie zadowolony i zamierzył ulepszać ją na różne sposoby przed odlaniem w srebrze, ale zaczynała już nabierać formy i wyrazu i czasami, kiedy przyglądał się jej z zapałem, jaki potrafił wzbierać w twórcy, dawał się porwać jej urodzie. Przy oprawie były też osobne modele postaci. Nie powinno być trudne dokończenie roboty na tym etapie, na jakim ją pozostawił.

Potem miał wrażenie, że znajduje się na pokładzie okrętu, który gna z szaloną szybkością, a on wisi na burcie. Szybkość okrętu była tak gwałtowna, że ciskało nim w różne strony. Zderzał się z twardymi przedmiotami, od których boleśnie się odbijał. Słyszał głos Czymhama z jakiejś dalekiej odległości, rozpaczliwie wykrzykującego rozkazy, lecz jego umysł nie był w stanie ich pojąć. Gdyby nawet był w stanie zrozumieć, brakło mu sił, aby cokolwiek zrobić.

Okręt nagle się zatrzymał i Bazyli zdał sobie sprawę, że się z nim rozstał. Leciał w powietrzu, a przez mózg przemknęło mu, że to już koniec wszystkiego. Pogodził się z myślą o śmierci. Przyniosłaby uwolnienie od katuszy podróży i ucieczkę przed bezlitosnym słońcem.

Kiedy spadł, znalazł się w rozlewisku wodnym. Nie było głębokie, więc dotarł aż do dna, uderzając w błoto tak mocno, że poczuł wstrząs w całym ciele. Przez chwilę trwał w bezruchu, odczuwając fizyczną przyjemność. Potem instynkt samozachowawczy sprawił, że wytężył siły, aby się znaleźć w pozycji stojącej. Wówczas odkrył, że woda sięga mu tylko do kolan.

Wstrząs wywołany zanurzeniem rozjaśnił jego umysł. Rozejrzał się wokół i zobaczył, że woda, do której wpadł, jest małym stawkiem w obramowanej palmami oazie. Ezer już opuścił się na kolana u brzegu i pił łapczywie.

Czymham nadjeżdżał z wściekłym pośpiechem wymachując rękami.

- Wyprowadź go! - zawołał. - Nie może pić, zanim nie zje. To go zabije!

Bazyli wyciągnął stopy z błota, które do nich przylgnęło i z trudem wyszedł na brzeg. Ezer protestował głośno, kiedy go odciągał od tego rozkosznego miejsca.

- Czy straciłeś nad nim panowanie? - zapytał Czymham, jadąc na Bildadzie do linii drzew, lecz nie dalej. - Wołałem do ciebie, ale nie zwracałeś na mnie uwagi.

- Myślę, że straciłem świadomość - powiedział Bazyli pokornie. - Nie mogłem wytrzymać tego upału. Obawiam się, że musimy zrobić tutaj postój. Czuję, że opadłem z sił i jestem do niczego.

Czymham spojrzał na słońce i skinął głową.

- Za długo jechaliśmy w słońcu. Mój przyjacielu, kiedy źle się czujesz, musisz dać mi znać. Wszak tego rodzaju jazda jest dla ciebie czymś nowym. Ludzie mocniejsi od ciebie nie mogli wytrzymać słonecznego żaru w południe. Widzę, że nadyma cię niemądra duma i nie chcesz się poddać. Pozwól powiedzieć sobie, że duma jest najlichszym rodzajem płaszcza do ochrony przed

niszczycielskim bogiem-słońcem, które stoi wysoko nad nami. - Rozejrzał się po oazie i kiwnął głową z zadowoleniem.

- To doskonałe miejsce na odpoczynek. Sam jestem nieco zmęczony.

Bazyli miał jeszcze tyle siły, aby wejść w cień najbliższego drzewa. Opadł na ziemię z westchnieniem całkowitego wyczerpania.

- Obawiam się, że nie zdołam ci pomóc w przymocowaniu wielbłądów do kołków - powiedział.

- Niewiele z tym roboty.

- Dlaczego Ezer tak popędził? - spytał Bazyli, zbyt zmęczony, żeby się podnieść czy obrócić głowę.

- Poczuł wodę. Wielbłądy nie mogą się temu oprzeć; ruszają do niej na łeb na szyję za pierwszym wilgotnym powiewem. Trzeba mocnej ręki na łańcuchu wędzidła, żeby je utrzymać. Powinienem cię o tym uprzedzić. No cóż, wygląda na to, że nie stało się nic złego. Zaśnij teraz. Kiedy wstaniesz, będziesz jak nowo narodzony.

2

- Nie da się opisać okropności takiego życia - powiedział Bazyli, jedząc ze swym towarzyszem wieczerzę przy Drodze Antiocheńskiej pod murami Aleppo. Był to bardzo skromny posiłek. Jedli kwadratowy, zakalcowaty placek, który Czymham ciął na trójkąty swoim sztyletem, trochę daktyli i suchych winogron oraz nadpleśniały kawałek sera.

- Tak, to doprawdy jest straszne - zgodził się Czymham, z pełnymi ustami - i jednocześnie piękne.

- Nie widzę w tym żadnego piękna. Czy sam wybrałeś sobie takie życie?

Jego towarzysz skinął potakująco.

- Jako chłopiec uciekłem z domu, żeby zostać poganiaczem wielbłądów. Nigdy tego nie porzucę. Kiedy przyjdzie na mnie czas, zostanę pochowany na szlaku karawanowym pod jednym zaledwie kamieniem, a żegnać mnie będzie wycie hieny. O nic lepszego nie proszę.

Dla Bazylego było czymś niepojętym, że można prowadzić taki żywot z wyboru. W ostatnich dniach wychudł, twarz mu się ściągnęła i poorała zmarszczkami, a skóra mocno pociemniała.

- Słońce bije jak młot - powiedział. - Czuję, jak wali w moją głowę przez cały dzień. Bum, bum, bum! Nigdy nie przestaje. Zapadam się w siodło udręczony jego okrucieństwem. Jest jak złośliwy bóg. Kiedy ruszamy, zawsze spoglądam w górę, na słońce pełne nienawiści i mówię: “Dziś ty wygrasz. Dłużej tego nie zniosę.”

- Nigdy nie zaproponowałeś, żebyśmy wcześniej zatrzymali się na odpoczynek - zauważył Czymham, podnosząc do ust kawałek sera na czubku sztyletu.

- Jeszcze nie. Ale tysiąc razy chciałem to uczynić.

- No cóż - powiedział poganiacz wielbłądów pogodnie - zbliżamy się do celu. Jutro wieczorem o tej porze zobaczymy mury Antiochii. Wyprzedzamy karawanę co najmniej o cztery dni.

Bazylego opanowało tak gwałtowne pragnienie schronienia się w chłodnych kamiennych murach i w sanktuarium drzew, gdzie wróg nie mógłby go dosięgnąć, że łzy napłynęły mu do oczu.

- Jakież by to było błogosławione życie - odezwał się z głębokim westchnieniem - żyć w jaskini, w ciemnej jaskini z wilgocią skapującą ze ścian i z podziemnym stawem albo w świątyni o kamiennych ścianach i filarach lub na szczycie góry Hermon w domu pokrytym śniegiem!

- Mylisz się - odparł Czymham. - Słońce to najlepszy przyjaciel człowieka. Każdego ranka modlę się do niego. Mówię: "Skoro Joszua kazał ci stanąć, dlaczego nie tkwisz w bezruchu wysoko na niebie?" Księżyc jest nędzną namiastką, chociaż muszę powiedzieć, że spędziłem wiele przyjemnych godzin przy jego bladym świetle. - Obrócił się i spojrzał przez ramię w kierunku bram Aleppo.

- Coś tam słychać. Banda arabskich bandytów grasuje w tych stronach. Pojmali kilku maruderów, którzy się odłączyli od przechodzących tędy karawan. Strażnik przy bramie mówi, że nie powinniśmy wypuszczać się sami. Stary Zimisajes, właściciel zajazdu, powiedział to samo.

Bazyli zmarszczył się z powątpiewaniem.

- Jeśli się przyłączymy do dużej karawany, stracimy masę czasu. Czy możemy sobie na to pozwolić?

- A czy możemy sobie pozwolić na utratę życia? Nie ma powodu do obaw.

Czymham otarł ręką usta na znak, że skończył jeść. Zręcznymi ruchami zawinął pozostałości posiłku i przywiązał zawiniątko do siodła.

- Myślę, że przemkniemy koło nich w ciemności. Stracimy przyrzeczoną nam nagrodę, jeśli nie przybędziemy do Antiochii pierwsi. Gotów jestem zaryzykować, jeśli i ty jesteś gotów.

Omówili sprawę dość szczegółowo i doszli zgodnie do wniosku, że niebezpieczeństwo nie jest aż tak duże, aby z tego powodu opóźniać ich przyjazd do Antiochii.

- Bandyci wolą działać wczesnym rankiem albo tuż przed zmrokiem - wyjaśnił Czymham. - Czasami sprawdzają, gdzie się zatrzymała karawana, aby ją później zaatakować, ale na ogół nie kwapią się z napadem w godzinach nocnych. Do świtu powinniśmy pokonać taki szmat drogi na zachód, że nic nam już nie będzie zagrażało. Ano - zaryzykujmy.

- A więc postanowione. - Bazyli skinął głową.

Przez kilka chwil siedzieli w milczeniu.

- Te wielbłądy należą do ciebie - zauważył Czymham.

Bazyli był zaskoczony.

- To prawda. KUpiłem je od Adama ben Aszera. Ale skąd się o tym dowiedziałeś?

- On sam mi to powiedział przed naszym odjazdem, dodając, że nie muszę się czuć odpowiedzialny za los tych zwierząt, bo już nie należą do niego. Mam nadzieję, że zdrowo się z nim targowałeś.

- Nie - odparł Bazyli. - Zapłaciłem, ile żądał.

Wyraz rozczarowania pojawił się na twarzy jego towarzysza.

- Na moją głowę! - zawołał. - To był wielki błąd. Pewny jestem, że cię oszukał.

- Wiem, że tak było. Chełpił się tym przede mną. Nie dbam o to. Było mi wszystko jedno. Chciałem jak najprędzej zakończyć rozmowę, nie tracąc zbyt wielu słów.

- Czy wiesz, że Adam cię nienawidzi?

- To rzecz pewna. I ja go nienawidzę. Moja niechęć do niego równa się mojej nienawiści do słońca. Wielka, płonąca tarcza słońca i szydercze oblicze tego próżnego krzykacza, Adama, zajmują w moich myślach tyle samo miejsca.

Czymham przyglądał mu się z napięciem przez kilka chwil. Potem kiwnął głową i zdecydowanie sięgnął po mały tobołek z ubraniem, leżący przy nim na ziemi. Jak się okazało, była to sztuka odzieży, w którą owinął mnóstwo różnych przedmiotów o tak wielkiej wartości, że Bazyli wyprostował się i patrzył na nie zdumionymi oczami.

- Co to za łup? - spytał wpatrując się w migotanie drogich kamieni na białej materii. - Czy obrabowałeś świątynię?

- Kiedy byłem chłopcem, widziałem kuglarza, wkładającego głowę w paszczę lwa - oznajmił Czymham. - Ja w tej chwili robię to samo, oddaję się w twoje ręce. Nie, mój przyjacielu, to nie łup. Trochę handluję. Wszystkie te przedmioty mam nadzieję sprzedać kupcom w Antiochii.

Bazyli dotknął palcem gładkiej powierzchni rubinu, jakby wątpił w jego realność.

- Nie rozumiem - powiedział marszcząc czoło. - Po co pracujesz jako zwykły poganiacz wielbłądów, skoro rozporządzasz takim bogactwem?

- Jeśli ktoś chce się zajmować handlem, musi wędrować z miejsca na miejsce. Czy stać mnie na własną karawanę? Pozwól, że ci wszystko wyjaśnię. Jedynym bezpiecznym sposobem przewożenia towarów są karawany na tyle duże, że rabusie nie ośmielają się ryzykować ataku. Dlatego handel spoczywa w rękach nielicznych ludzi. Józef z Arymatei był najbogatszym z nich wszystkich, chociaż i z twoim ojcem liczono się w Antiochii. Szary człowiek, jeśli pragnie mieć swój udział, musi postępować tak, jak ja to robię. Wynajmuję się jako poganiacz, a w tajemnicy

przewożę towar z jednego miejsca na drugie, handlując z kupcami ze Wschodu, którym brak środków, jakie mają właściciele karawan. Powierzają mi towary do zaoferowania handlarzom na ich własną miarę w Jerozolimie, Cezarei, Antiochii. Dają mi udział w zyskach od wszystkich sprzedaży, jakich dokonam. Nie mam trudności ze znalezieniem nabywców, toteż wiedzie mi się bardzo dobrze. Tak postępując, naruszam pewną zasadę - ciągnął dalej Czymham. - Poganiaczom wielbłądów nie wolno handlować na własny rachunek. Gdyby Adam się o tym dowiedział, odebrałby mi wszystko i wypędził z karawany. Potem moje imię znalazłoby się na czarnej liście i stałbym się takim samym wyrzutkiem, jak trędowaty z dzwonkiem u szyi. - Był z siebie zadowolony, o czym świadczył szeroki uśmiech. - W ten sposób zarabiam bardzo dobrze. Kiedyś powiedziałem sobie, że skoro i tak ryzykuję, mogę zaryzykować więcej. Teraz sam kupuję różne towary i przy okazji sprzedaję. Mój zysk na tych sprzedażach jest... no cóż... wprost ogromny.

Nastąpiła chwila milczenia, którą Bazyli przerwał pytaniem:

- Dlaczego mi to wszystko mówisz?

Czymham nie od razu odpowiedział. Podniósł sardonyks, oszlifowany na kwadrat, niezwykle duży i piękny.

- Może arcykapłan, idąc na sąd ostateczny, ma na swoim napierśniku piękniejsze kamienie, ale i ten jest bardzo dobry. Mam już na niego kupca. - Potem pokazał nożyk z rączką z kości słoniowej. - Spójrz na to ostrze. Mógłbyś nim przeciąć dumne gardło Rzymianina. Czy kiedykolwiek widziałeś piękniejszy jaspis niż ta oto czara, wyrzeźbiona z jednego bloku? Kupiłem ją, wiedząc, gdzie mogę znaleźć na nią kupca. - Cmoknął ustami. - Mój zysk będzie jeszcze piękniejszy od tego jaspisu.

- Przy takim tempie szybko staniesz się bogatym człowiekiem.

Entuzjazm nielegalnego handlarza natychmiast przygasł. Potrząsnął głową.

- Jestem rozważnym kupcem. Jestem znakomitym sprzedawcą. Mimo to moje oszczędności są małe. Można by je zakryć serwetką, w którą był zawinięty pojedynczy talent. - Pozwolił sobie na melancholijny uśmiech, w którym jeszcze czaiła się resztka próżności. - Przyczynę mogę ci wyjawić jednym słowem: żony.

- Żony?... - powtórzył Bazyli. Spojrzał na gładką twarz swego towarzysza, o młodzieńczo jasnym zabarwieniu skóry. - Wyglądasz tak, jakbyś był tylko o parę lat starszy ode mnie. Ile masz tych żon?

- Cztery. Po jednej w Jerozolimie, w Cezarei, w Mezopotamii i jeszcze jedną w Antiochii, najmłodszą i najmilszą, chociaż kocham wszystkie. Widzisz, mój młody przyjacielu, różnię się od innych poganiaczy wielbłądów, których zadowala krótki czas spędzony z kobietą albo którzy odwiedzają małe pomieszczenia w murach miasta. Kiedy zobaczę kobietę, która mi się spodoba,

chcę ją zatrzymać dla siebie. Chcę się z nią ożenić. Tak, cztery razy nie zdołałem się oprzeć takiemu pragnieniu. Dwa razy przeszkodzili mi rodzice. - Westchnął głęboko. - Bardzo je kocham, ale nie da się zaprzeczyć, że są kosztowne. To przez nie wciąż jestem biedny, zwłaszcza przez moją małą Irenę z Antiochii, która tak lubi prezenty!... - Wskazał na jaspisową czarę. - Z konieczności muszę robić wiele interesów tak dobrych, jak ten, żeby zapewnić utrzymanie i wygody wszystkim moim czterem rodzinom.

Każde nowe wyznanie Czymhama wprawiało Bazylego w coraz większe zdumienie.

- Ile masz dzieci? - zapytał.

- Jedenaścioro - odparł Czymham z nie ukrywaną dumą. - Siedem dziewczynek to prawdziwa tragedia. Ale za to wszyscy moi czterej synowie są dzielnymi chłopaczkami o ostrych językach i oczach wielkich, jak czarne rodzynki z Koryntu. Będą z nich świetni kupcy jak dorosną. Synowie Czymhama utworzą spółkę i zabiorą się do połknięcia całego handlu ze Wschodem.

- Czy twoje żony wiedzą o sobie nawzajem?

Oczy poganiacza rozwarły się szeroko z przerażenia.

- Na moją głowę, nie! Bardzo kocham moje pulchne przepióreczki, więc każdej z nich mówię, że jest jedyną kobietą w moim życiu. To jedyny bezpieczny sposób. Przekonasz się o tym, kiedy i ty będziesz miał więcej żon.

Zapadło milczenie. Czymham zawinął swój towar i zawiązał tobołek mocnymi, wprawnymi palcami.

- A teraz odpowiem na twoje pytanie. - Spojrzał na Bazylego i mrugnął porozumiewawczo. - Zwierzyłem się tobie, ponieważ doszedłem do wniosku, że możemy zostać wspólnikami. Znam się na wszystkich krętactwach i sztuczkach wschodniego handlu. Znam wszystkich kupców na Wschodzie i wzdłuż wybrzeża Morza Śródziemnego. Ty jesteś właścicielem tych dwóch wspaniałych wielbłądów. Masz bogatą żonę i możliwe, że wpłyną do twoich rąk ładne meestak. Wiesz, o co mi chodzi? Meestak, czyli pieniądze. Pomyślmy teraz, jak się mogą potoczyć sprawy. Zaczęlibyśmy od tych dwóch wielbłądów, a ja na razie jeździłbym na końcu wielkich karawan z jednym pomocnikiem. Wkrótce, mój przyjacielu, mielibyśmy cztery wielbłądy i dwóch pomocników, a potem więcej wielbłądów i kilku sprytnych łotrzyków do pomocy. Z czasem mielibyśmy wielkie własne karawany, a ludzie mówiliby: “Kiedyś był Józef z Arymatei i Ignacjusz z Antiochii. Teraz jest Czymham i jego wspólnik Bazyli, syn Ignacjusza”. Kiedy nadejdzie ten czas, moich osiem albo dziesięć żon - ależ tak, będę się nadal żenił, czuję to w sobie - i moje stadko pięknych dzieci będzie mieszkało w bogatych, białych domach ze służbą, wachlującą je przy posiłkach. Ty zaś, ręczę ci głową, będziesz najbogatszym człowiekiem na świecie.

Bazyli z wolna potrząsnął głową.

- Nie, mój przyjacielu. Natura nie zamierzała zrobić ze mnie kupca. Na nic bym się tobie nie zdał. Twoje interesy dotyczą ciebie i twoich chlebodawców. To nie moja sprawa. Z jednym wyjątkiem: jestem tak bardzo zobowiązany wobec Józefa z Arymatei, że nie mógłbym korzystać z bogactwa zdobytego jego kosztem. Z drugiej strony, przyjacielu Czymhamie, bardzo wiele ci zawdzięczam. Na dowód, że poczuwam się do długu wdzięczności, oddam ci te wielbłądy, kiedy dotrzemy do Antiochii. Radzę ci, abyś się przyłączył do tego starego księcia z Sin i towarzyszył mu w drodze powrotnej do jego własnego kraju. Potem mógłbyś powrócić z jedną z karawan jedwabnym szlakiem i przywieźć ze sobą dużą ilość rzadkich towarów, żeby dać początek uczciwemu majątkowi.

Czarne oczy Czymhama rozgorzały zapałem.

- Masz rację! To pewna droga do trwałego bogactwa. - Cień zwątpienia przesłonił mu twarz.

- Ale czy książę dojedzie aż do Antiochii? Droga na Wschód skręca w Aleppo.

- Miał zamiar opuścić karawanę w Aleppo, ale słyszałem jak mówił, że będzie im towarzyszył do Antiochii. Tak bardzo pragnie dowiedzieć się czegoś więcej o Jezusie z Nazaretu, że trzyma się Łukasza i zasypuje go pytaniami. Byłbym zdziwiony, gdyby się nie nawrócił, zanim wyruszy w drogę powrotną do ojczyzny.

Nielegalny handlarz towarami Wschodu wstał szybko i zaczął szczebiotać do wielbłądów.

- Rusz się, Bildad, rusz się Ezer! Mieliście cztery godziny wypoczynku. Żołądki macie napełnione dobrym, suszonym grochem, a brzuchy pełne wody. Skąd więc ta gnuśność? Musimy ruszać, Bildadzie, ty worze gorzkiej żółci, i ty także, Ezerze, opieszały młokosie. Nie mamy ani chwili do stracenia.

3

Pierwszy etap ich popołudniowej podróży był bardzo uciążliwy. Wielbłądy stękały, rżały i nie dały się namówić na równy rytmiczny krok, którym mogły wolno, lecz skutecznie pokonywać drogę. Stary Bildad wciąż protestował, przeraźliwie porykując do wschodzącego księżyca.

- Obawiam się - zawołał Bazyli do Czymhama, który jechał na przedzie - że mimo wszystko nie dojedziemy w porę! To moja wina. Jestem jak kula u nogi. A teraz te przeklęte bestie chcą nam przysporzyć kłopotów. W takim tempie nigdy nie dojedziemy do Antiochii.

Czymham nie był tym zaniepokojony.

- Bildad użala się nad sobą. Jeśli mam być w zgodzie z sumieniem, nie mogę go zganić. Mocno je popędzaliśmy, są teraz zmęczone. Myślę, że mają prawo do całonocnego wypoczynku.

- To prawda, jak dotąd spisywały się nieźle. Byłoby lepiej, gdybyśmy teraz wypoczywali na postoju, zamiast wlec się po drodze w tym tempie. Czymhamie, mój przyjacielu, mówię to

poważnie. Strasznie się boję, że nie dojedziemy na czas. Dziś po południu śnił mi się statek. Dużo rzeczy mi się śni. Jak tylko zamknę oczy, widzę dziwne obrazy. Ten statek o dużym, kwadratowym, mocno naciągniętym żaglu płynął do zatoki, mając wiatr od tyłu. Na pokładzie stał Aaron z uśmiechem triumfu na ustach. Byliśmy gdzieś w tyle na szlaku, ale ja wiedziałem, że sprawa jest przegrana. - Potrząsnął głową z rozpaczą. - Czy nic nie możemy zrobić?

Jego towarzysz zdawał się godzić z losem.

- Jeśli przegramy, to widać taka była wola Pana. Zrobiliśmy wszystko, na co nas stać. Wyprzedzamy o cztery dni naszą karawanę. Czy ciało i krew mogą dokonać czegoś więcej? Jesteś chudy jak poszczący kapłan, a twoje zapadłe oczy czynią cię podobnym do tego niezadowolonego zwierzęcia, na którym jedziesz. Nic nam nie można zarzucić, więc po cóż narzekać?

- To będzie wielka tragedia! - zawołał Bazyli. - Nie myślę o majątku, który moja żona może stracić. Byłaby to poważna strata, ale ostatecznie można się dorobić nowej fortuny. Jest inny powód, o którym nic nie wiesz.

- Nie bądź taki pewny. Wieczorami, przy ognisku, mówi się o wielu rzeczach, zaś Adam ben Aszer, choć to człowiek o wielu talentach, ma język, który się obraca za szybko.

- Więc już wiesz, dlaczego musimy dokonać największego wysiłku? Czy zaczną biec, jeśli się je uderzy?

- Bij je, ile ci się podoba! To nic nie pomoże. Gdybyśmy mieli ze sobą wielbłądziego pieśniarza, byłoby zupełnie inaczej.

Bazyli wpatrzył się w towarzysza, marszcząc czoło ze zdumienia.

- Pieśniarza? - Czy to znaczy, że są wrażliwe na muzykę?

Biały turban Czymhama przytaknął w mroku przed Bazylim.

- To jedna z ich najdziwniejszych cech. Są dźwięki, które sprawiają ich uszom tak wielką przyjemność, że wpadają w stan oczarowania, jak węże przyciągnięte grą na flecie lub strunach. Ich nogi zaczynają się poruszać w doskonałym rytmie i utrzymują go dotąd, dopóki śpiewak nie zamilknie.

- Dlaczego więc nie śpiewasz? Masz ładny głos.

- To prawda, mam ładny głos - zgodził się Czymham. - Zawsze byłem z niego dumny. Kiedy wieczorem śpiewa się pieśni przy ognisku, mnie przywołują najpierw. Kobiety mdleją z zachwytu, kiedy śpiewam o miłości przy świetle księżyca. W ten sposób podbiłem serca dwóch moich żon. Ale nie wielbłądy! Mój głos wcale im się nie podoba. Jak tylko zaczynam śpiewać, podnoszą łby i gniewnie nimi trzęsą, tak jakby chciały powiedzieć: “Dlaczego ten skrzeczący leń, który ma głos jak sroka po połknięciu żaby, zakłóca nasz spokój?”. Nie wierzysz? Dam ci dowód.

Zaczął śpiewać wysokim, melodyjnym głosem. Bazylemu ten popis wydawał się

przyjemny, ale od razu zauważył, że wielbłądy mają inne zdanie. Ezer zatrzymał się jak wryty, sztywno wetknąwszy nogi w piasek. Jego postawa mówiła: “Nie zrobię ani kroku dalej, dopóki będę musiał znosić ten gorszący hałas!” Bildad zarżał, a w jego głosie brzmiała wyraźna nuta drwiny.

Śpiewak przerwał swój popis i powiedział zirytowanym głosem:

- Sam widziałeś. Są śpiewacy, którzy im się nie podobają i właśnie ja do nich należę. Jestem pewien, że przyznasz mi rację. Te głupie bydlaki mają zły gust.

Milczał przez chwilę, a potem zapytał:

- Dlaczego ty nie spróbujesz? Kto wie? Może się okazać, że właśnie ty zdołasz je zmusić do pośpiechu.

- Nie jestem śpiewakiem - zaprotestował Bazyli.

- Warto spróbować. Trzeba uwzględnić, że są przyzwyczajone do aramejskiego i może im się nie spodobać twój poetycki grecki język i dzikie tony twojej muzyki. Czy znasz jakieś żydowskie pieśni?

Bazyli zastanawiał się przez chwilę.

- Kiedy mieszkałem jako chłopiec w Dzielnicy Handlu, było tam kilkoro żydowskich dzieci i one często śpiewały. Pamiętam jedną z ich pieśni, którą nazywały “Mały Issachar”. Jedno z nich stawało w środku koła, a reszta brała się za ręce i tańczyła wokół niego. Zwrotki piosenki można było śpiewać w nieskończoność.

- Znam tę piosenkę. Kiedy byłem małym chłopcem, śpiewaliśmy ją na wzgórzach Galilei. Znam wszystkie zwrotki. Spróbuj, mój młody przyjacielu! może zostałeś przez naturę obdarzony głosem urzekającym wielbłądy.

Bazyli miał wątpliwości, mimo to postanowił zaryzykować. Podnosząc głos zaśpiewał pierwszą zwrotkę, którą pamiętał:

- Mały, cichy Issacharku, synu Lota.

Demony cię porwą, gdy wiatr wyrwie wrota,

i zbyt późna za domem najdzie cię tęsknota,

mały, cichy Issacharku, synu Lota.

Skutek zadziwił obu jeźdźców. Wielbłądy od razu wpadły w równy krok, unosząc głowy i wydając pomruki zadowolenia.

- Twój głos jest cienki jak piszczałka - powiedział Czymham. - Ale im się podoba. Na moją głowę, jesteś urodzonym wielbłądzim śpiewakiem. Jeśli potrafisz śpiewać przez całą noc, dotrzemy do Antiochii, zanim się obejrzysz! Śpiewaj dalej, a ten grymas, który widziałeś we śnie na twarzy

Aarona, zamieni się w ponurą minę porażki.

Więc Bazyli śpiewał. Śpiewał całymi godzinami albo tak mu się wydawało. Gwiazdy wzeszły na niebo, a księżyc podniósł się wysoko. Po jakimś czasie ochrypł. Kiedy zabrakło mu zwrotek, jego towarzysz zaczął podpowiadać. Wielbłądy dawały jasno do zrozumienia, że niczego innego nie pragną. Dopóki raczył ich uszy przygodami Issachara, sunęły naprzód długimi, płynnymi susami, które pochłaniały mile * tak niezawodnie, jak głodni mężczyźni opróżniający wieczorem kociołki strawy. Muszelki na uprzęży wielbłądów dźwięczały, a dzwonki rytmicznie wtórowały piosenkom.

1 mila rzymska =1,5km (przyp. tłum.).

Kiedy tak wyśpiewywał, nabrał nieco otuchy. Może, mimo wszystko, zdążą na czas i Debora będzie mogła domagać się swojej spuścizny. Byłaby to, tak mu przynajmniej mówiono, ogromna fortuna: tak wielka, że starczyłoby złota, aby wysłać głosicieli słowa Chrystusowego do nowych, nieznanych krajów. Czerpał wielką satysfakcję z myśli, że oto pomaga w niesieniu wszystkim ludom świata tej czarodziejskiej opowieści, którą on sam usłyszał z natchnionych ust Łukasza. Zawiozą ją na Daleki Wschód, do Mezopotamii i na krańce królestwa Partów, do Indii, a z czasem nawet do tej odległej, legendarnej krainy Sin. Powiozą ją i w drugim kierunku, do chłodniejszych krajów Zachodu, do Galii i Hiszpanii i poza Słupy Heraklesa, a nawet poprzez wąski pas wody do wyspy o białych urwistych skałach, gdzie mieszkają śpiewający barbarzyńcy.

Gdziekolwiek ta opowieść będzie głoszona, ludzie przejrzą i uwierzą w Jezusa. Ta wizja tak opanowała jego wyobraźnię, że poczuł nowy przypływ sił i śpiewał dalej, wiedząc, że jeśli się zatrzyma, płynny bieg Bildada i Ezera, tych wymagających krytyków, również ustanie i nadzieja na szerzenie Ewangelii może się nigdy nie ziścić.

Ale przyszła chwila, kiedy już nie mógł śpiewać dalej. Ogarnęło go takie zmęczenie, że usnął w siodle. Jak widzieliśmy już wcześniej, wizje, które nawiedzały go we śnie, bywały nieraz niemal rzeczywiste. Widział różne osoby wyraźnie, jak na jawie. To, co się działo i to, o czym mówiono, zdawało się rzeczywiste i wiarygodne. Dwa takie widzenia przyśniły mu się, kiedy pogrążony we śnie leżał między garbem wielbłąda a łękiem siodła.

W pierwszym zjawił się znów jego przybrany ojciec. Ignacjusz wyglądał na trochę zasmuconego. Okazało się, że jeszcze jest przetrzymywany w Domu Zawieszonego Sądu. Jak dotąd, nie było żadnego rozporządzenia, aby przyspieszyć jego sprawę i nawet powierzono mu pewne obowiązki. W towarzystwie wielu innych dusz, których liczba, jak skłonny był przypuszczać, urastała do tysięcy, był zatrudniony przy nadzorowaniu oprawiania w złoto Wielkich Ksiąg Rejestrów. Była to, jak wyjaśnił zniechęconym głosem, dość podrzędna praca dla mężczyzny, którego uznawano za wybitną postać na ziemi, lecz czego w końcu można się było

spodziewać? Jeszcze nie miał pewności, czy ostateczna decyzja w jego sprawie będzie przychylna.

Dom Zawieszonego Sądu jest tak wielki, że nikt nie zna jego granic. Osoby tam zamieszkałe niczym się nie różnią od ludzi. Można tu spotkać istoty wysokie i niskie, tęgie i szczupłe, ubrane w zwykłe, ziemskie szaty, bowiem mają pod tym względem całkowitą swobodę. Widzi się tam wszystkie znane na ziemi barwy skóry. Do jego uszu dotarły pogłoski, że w rejonach poza granicami Domu, co do których robiono wciąż pełne grozy domysły, istnieją inne cudowne kolory, na jakich jeszcze nigdy nie spoczęło oko ludzkie: przepiękne barwy, które oślepiłyby śmiertelnych.

Jednak, jak oznajmił Ignacjusz, jest się tam również stale świadomym działania wielkich sił, istnienia dziwnych i cudownych rejonów, które można kiedyś osiągnąć, choć wokół nich pracują wciąż miażdżące Młyny Losu. Istnieje też Skrzydło Przyszłości, do którego nie wolno wejść żadnemu mieszkańcowi Domu Zawieszonego Sądu. Jemu, przez pomyłkę, natychmiast zresztą naprawioną, pozwolono wejść do środka. Nie trwało to dłużej niż jedno mrugnięcie okiem, ale i tak zdołał zauważyć ogromną panoramę przestrzeni, po której ścigały się szare chmury. Na tle płynących obłoków ukazywano zapis obrazów przyszłości. Całe mnóstwo dusz, które wzywał tam obowiązek, wpatrywało się w zapisy bacznym wzrokiem.

Właśnie dlatego Ignacjusz po raz drugi wszedł w świat snów swego zaadoptowanego syna. On, Bazyli, nie postępuje zgodnie ani z rozumem, ani ze zdrowym rozsądkiem. Ma żonę obdarzoną wszystkimi cnotami, a co więcej kochającą go, jak powinna to czynić żona. Czy chce zmarnować drugą fortunę? Jeszcze jest czas na ratunek, jeśli się ustatkuje i zacznie prowadzić normalny, szczęśliwy żywot. Musi jednak osiąść w Antiochii i w żadnym wypadku nie wracać do Jerozolimy.

Potem Ignacjusz zaczął mówić o tym, co zobaczył w tym jednym mgnieniu oka, kiedy się znalazł w Skrzydle Przyszłości. To, co mówił, było nieco chaotyczne. Słowa płynęły niepowstrzymanie z jego ust: krew, ogień, walka, śmierć. Chociaż zdawało się, że słowom brakuje formy, Bazyli wszystko zrozumiał. Ignacjusz dojrzał na szybujących chmurach obraz wojny i zniszczeń w mieście Dawida.

Ten sen nagle zniknął, a jego miejsce zajął inny. Tym razem przekazywał zupełnie wyraźne ostrzeżenie, które pochodziło od Zimisajesa, wiekowego właściciela zajazdu u bram Aleppo. Bazyli, który go widział dwukrotnie, nie miał trudności z rozpoznaniem starca. Zdawał się być doskonałym symbolem grożącej tragedii: pochylona postać i olbrzymi haczykowaty nos w twarzy o zapadniętych policzkach. “Wracaj” - powtarzał wciąż, przywołując go do siebie ruchem rąk. - “Czyż nie ostrzegałem cię przed arabskimi bandytami? Grozi ci niebezpieczeństwo. Zawróć wielbłądy na Wschód, jeśli zależy ci na życiu!”

Polecenie było tak przekonujące, że Bazyli ocknął się z uczuciem niepokoju. Wokół niego

była jasna, cicha noc, tak jasna, że widać było na taką samą odległość jak w dzień, i tak cicha, że wydawało się, iż usłyszą dźwięki z całego świata, zarówno rycie norki przez kreta, jak stąpanie obutej w złoto pięty na Parnasie.

Bazyli opowiedział pośpiesznie ten drugi sen, ale Czymham stwierdził, że Zimisajes to chroniczny plotkarz.

- Za każdym razem, kiedy jestem w Aleppo, ten stary, lamentujący Jeremiasz mówi, że niebezpiecznie jechać dalej. On chce, żeby wszyscy podróżni zatrzymywali się u niego i płacili za miejsce w tym jego zapchlonym zajeździe.

Bazyli wpatrywał się przed siebie i czujnie nasłuchiwał.

- Czy słyszysz ten odgłos dochodzący z północy? - spytał. - To chyba tętent koni.

Czymham odwrócił głowę w tamtym kierunku i też zaczął nasłuchiwać. Po chwili potrząsnął głową.

- Nic nie słyszę. Myślę, że jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy nie śpią tej nocy.

Rozdział XVIII

1

Tymczasem główna karawana posuwała się naprzód bardziej unormowanym tempem, jadąc nocą, a obozując podczas upału dnia. Chociaż pozostali daleko w tyle, spisywali się na tyle dobrze, na ile było to możliwe dla tak długiego rzędu wielbłądów (był z nimi stary książę i spora grupa przygodnych wędrowców, którzy dołączyli się po drodze). Wszyscy mocno odczuwali zmęczenie, gdy rozbili swe namioty nad małym strumykiem, o dzień drogi na południe od Aleppo.

Adam ben Aszer stanął przy wejściu do namiotu Debory, żeby powiedzieć:

- Jeszcze trzy dni. Wyglądasz na zmęczoną, ale tego można się było spodziewać. To ciężka podróż. Nigdy przedtem nie jechałem w taki upał!

Debora stała, opierając się o słup namiotu, z zamkniętymi oczami. Teraz je otworzyła. Widać było, że jest ogromnie wyczerpana. Z miejsca, na którym stała, widać było wschodni horyzont zalany ciepłym blaskiem jutrzenki.

- Jakie są wieści o Bazylim i jego towarzyszu? - spytała.

- Żadnych - powiedział Adam i wykonał zamaszysty gest ramieniem, wskazując na pustkowie, które wybrali na obozowisko. - Wygląda na to, że żadne oko ludzkie nie spoczęło na nich od czasu tamtej wiadomości, z drogi na południe od Hamatu. Skoro wyprzedzają nas o całe trzy dni, trudno się od nich spodziewać jakichś wieści. Niczego o nich nie usłyszymy, chyba że ptaki przyniosą nam wiadomość. - Przerwał i spojrzał uważnie na wschód. - Tego się nie spodziewałem. Ktoś tu idzie.

Mały punkcik na poboczu drogi okazał się piechurem, a piechur po paru zaledwie minutach stał się pasterzem idącym szybko w stronę określonego celu. Zboczył z drogi, żeby do nich podejść, wymachując na powitanie długim, sękatym kijem. Mimo młodego wieku miał gęstą, splątaną brodę, opadającą na piersi. Wydawało się prawdopodobne, że pasł swoje stada w skupisku niskich pagórków od zachodniej strony, a teraz wracał do domu.

- Pokój tobie, przyjacielu i oby twoje stada powiększały się i mnożyły - powiedział Adam, kiedy gość znalazł się w kręgu namiotów.

- Pokój wam, przybysze.

- Widziałeś może dwóch ludzi, jadących na wielbłądach na północ przed paru dniami?

- Dużo ludzi jeździ tędy do Aleppo. - Młody pasterz wpatrywał się przez chwilę z namysłem w karawanowy szlak, a potem spojrzał najpierw na Adama, następnie zaś na Deborę. - Tak się zdarzyło, że rozmawiałem z dwoma takimi mężczyznami o tej samej godzinie i prawie w tym samym miejscu. Jechali całą noc i przystanęli tutaj, żeby nakarmić wielbłądy i napełnić wodą

worki. Zamieniliśmy tylko parę słów i ruszyli dalej.

- Co zapamiętałeś?

- Jeden był bardzo otrzaskany z życiem karawan. Miał krępą budowę i nie zbywało mu na dowcipie. Drugi był młodszy. Nie nosił brody i niewiele miał do powiedzenia.

Podszedł do nich Łukasz, poruszający się z trudem po wielu godzinach spędzonych w siodle. Skinął głową do pasterza.

- To jasne, że widziałeś naszych przyjaciół. Kiedy ich napotkałeś?

Pasterz zaczął obliczać.

- Wczoraj przybyli na wzgórza rzymscy poborcy podatków - przerwał i splunął z pogardą. - Znaleźli Horgana Hetytę i Diklego Moabitę, którzy się tu ukryli w nadziei, że unikną płacenia. Poborcy zabrali ich i obawiam się, że będzie z nimi marnie, bo uciekanie przed poborcami staje się już zwyczajem. Horgan i Dikla ukrywali się nie więcej jak jeden dzień. Opowiadali po przyjściu na wzgórza, że Rzymianie dotarli do ich wioski poprzedniego dnia wraz z urzędnikami. Teraz stoję na pewnym gruncie, jeśli chodzi o czas, bo przypominam sobie, że widziałem tych dwóch mężczyzn, o których pytacie. Powiedzieli mi, że poborcy podatkowi byli w Emezie, kiedy przez nią przejeżdżali. Dobrze to pamiętam, bo pomyślałem sobie wtedy, że znów ta plugawa szarańcza spadła na naszą ziemię. Policzmy więc, ile upłynęło dni. - Zaczął liczyć na palcach. - Cztery. Tak, rozmawiałem z nimi przed czterema dniami.

- Cztery dni! - Oczy Łukasza rozbłysły dumą. - Świetnie się spisali. Jechali doprawdy tak ostro, jak ludzie Jozuego ścigający armię pięciu królów!

Zgodnie z panującym zwyczajem, kobiety nie powinny odzywać się do mężczyzn, wśród których jest obcy człowiek, lecz Debora nie mogła się powstrzymać.

- Jak się czuli? - spytała. - Czy wyglądali na bardzo zmęczonych?

Pasterz schylił się i podniósł suchy, zakurzony patyk. Przełamał go z głośnym trzaskiem na dwie części.

- Ten młodszy, bez zarostu, był jak ten patyk. Jedno dotknięcie, jedno słowo, a rozsypałby się na kawałki. Powiedzieli mi, że podążają do Antiochii. Ten młodszy będzie miał szczęście, jeśli dojedzie tak daleko. - Kiwał energicznie kudłatą głową, dając w ten sposób do zrozumienia, że sytuacja była bardzo poważna. - Nawet ten drugi, który wydawał się tak wytrzymały jak stara skóra, zgięty był w pół na siodle, a twarz miał szarą jak ten pył na drodze.

Adam zaprosił pasterza na przygotowywany właśnie posiłek. Łukasz usiadł u wejścia do namiotu Debory.

- Trawi cię obawa - odezwał się. - Posłuchaj, moje dziecko, nie ma po temu powodów. Oni już są w Antiochii. W tej właśnie chwili, kiedy widzę w twych oczach pożerający cię niepokój, oni

śpią na miękkich posłaniach, a wokół nich zaczyna się budzić wielkie miasto. Tak, ukończyli swoją podróż i odpoczywają po trudach.

- Ale słyszałeś, co mówił pasterz...

Łukasz pokiwał głową uspokajająco.

- Oni nie tylko dotarli do Antiochii, ale może postarali się już o to, żeby zapadła decyzja. Pewien jestem, że widzieli się z bankierem i opowiedzieli całą rzecz. Ma on już w rękach dokumenty, które zabrali ze sobą, żeby można było ustalić ich tożsamość.

Debora uspokoiła się nieco.

- Modliłam się do Jahwe sto razy dziennie, żeby nad nimi czuwał i okazywał wyrozumiałość.

- Taka wiara będzie nagrodzona. Pewien jestem, że Jahwe cię wysłuchał.

W chłodzie wieczoru usiedli we trójkę do wieczerzy. Zaczęto już zwijać obóz, bo za pół godziny mieli wyruszyć w drogę.

Czuli się wypoczęci i odprężeni. Sara wprawnymi i łagodnymi palcami masowała zmęczoną twarz i szyję swojej pani, a potem oszczędnie nałożyła nieco różu wyjętego z pudełeczka z przyborami toaletowymi. Młoda mężatka odzyskała dobry nastrój.

- Mówiono mi, że Antiochia to piękne miasto - odezwała się. - Cieszy mnie, że będę mogła je zobaczyć.

- Jestem przychylnie nastawiony do jej wielu zalet - oznajmił Łukasz. - To mój dom. Kocham ją i uważam za najwspanialsze miasto świata. Naturalnie - dodał po chwili - nie widziałem Rzymu.

- Ale widziałeś Jerozolimę! - zawołał Adam. - Jak możesz nazywać Antiochię najwspanialszym miastem? - Przerwał, a potem z zacietrzewieniem mówił dalej: - Nie ma takiego miejsca, które można porównać z Jerozolimą. Tam jest Świątynia, a cała prawdziwa wielkość i chwała świata są w tej Świątyni!

Łukasz skinął głową ze zrozumieniem.

- To prawda, że Bóg dał Jerozolimę swemu ludowi. Lecz ja, Adamie, myślałem o sprawach materialnych, o bogactwie i mieszkańcach, pięknych budynkach, szerokich i przestronnych ulicach, o rześkich powiewach znad rzeki i o licznych przystaniach, gdzie stoi tyle statków o wysokich masztach. Jest jeszcze coś, co ci muszę powiedzieć, a co mnie bardzo niepokoi. Podczas ostatniego pobytu w Jerozolimie dręczyło mnie dziwne odczucie. Wydała mi się stara i naznaczona piętnem tragicznego przeznaczenia. Czułem, że zbliża się jej koniec, że już czeka, jak Jezus czekał na Górze Oliwnej. Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy wyjeżdżając z tego miasta ujrzeli wielki głaz przytoczony do Bramy Damasceńskiej i anioły z płomienistymi mieczami stojące na straży.

- Ponosi cię fantazja, Łukaszu! - zawołał oburzony Adam. - Czy chcesz powiedzieć, że Jerozolima wydaje ci się miastem umarłych? Pozwól, że coś ci powiem: miasto Dawida będzie stało w całym swoim majestacie, kiedy już świat zapomni o istnieniu Rzymu, Antiochia zaś zostanie pogrzebana pod lawiną skał, które spadną z otaczających ją gór.

- Żywię nadzieję, że masz rację - powiedział Łukasz. - Nie mogę pogodzić się z tym, że zniszczenie zagraża tym starożytnym kamiennym murom i wisi nad Górą Moria. Twoje mniemanie jest równie dobre jak moje, Adamie. Zwyczajny człowiek ma prawo się pomylić. Nie jestem prorokiem.

Uraza, jaką poczuł Adam, objawiła się najpierw długim milczeniem, a później wybuchem, ponieważ uznał to za lekceważenie.

- To ja umożliwiłem bezpieczne wydostanie Kielicha, tego Kielicha, do którego przywiązujecie tak wielką wagę, z rąk arcykapłana i zelotów. To ja zaplanowałem wszystko i narażam w tej podróży swoje oszczędności, nie mówiąc już o mojej skórze, którą sobie cenię. A jednak nie obdarzyliście mnie zaufaniem, bo tylko przez przypadek dowiedziałem się o istnieniu Kielicha. Nie lubię być pomijany, Łukaszu Lekarzu, i wypowiadam to otwarcie, żebyś o tym wiedział.

Łukasz wyglądał na strapionego.

- Twoje wymówki są słuszne. Przyjęliśmy twoją pomoc. Czerpiemy korzyści z tej odwagi, dalekowzroczności i szczodrości. Teraz widzę, że chociaż zawsze ceniliśmy cię za to, co dla nas robisz, nikt nie próbował ci tego okazać. - Przerwał, żeby potrząsnąć głową na znak, że wyrzuca to sobie. - To moja wina, Adamie, mój dobry przyjacielu. Jestem szczerze skruszony.

- Nigdy nie widziałem Kielicha, dla którego ponosimy takie ryzyko - narzekał Adam.

Łukasz rozejrzał się dokoła. Wszystkie namioty już złożono z wyjątkiem namiotu Debory. Podniósł rękę i zawołał:

- Niech postoi jeszcze przez parę minut! - Potem skinął na Adama. - Podejdź, nasz dzielny i szczodry przyjacielu, naprawmy od razu to przeoczenie. Pozwól pokazać sobie ten Kielich, który trzymał Jezus, a potem podał swoim uczniom owej nocy, przed wielu, wielu laty.

Powstali i poszli do namiotu. Sara, która była zajęta pakowaniem, wyszła na polecenie swej pani. Stara skrzynia stała z boku prawie niewidoczna pod tobołami odzieży. Debora podniosła wieko, a Łukasz wyjął Kielich.

Płócienna zasłona zaciągnięta była nad wejściem, więc wewnątrz namiotu panowała niemal zupełna ciemność. Zapadła cisza, nikt się nie poruszał. Wreszcie Adam przerwał milczenie.

- Nic nie widzę - powiedział. - Czy nie można dać tu trochę światła?

Łukasz uchylił zasłonę. Teraz można było zobaczyć środkowy pal namiotu, skrzynię i

tłumoki na niej zgromadzone. Na tym tle Adam zobaczył powyginane naczynie do picia, w którym nie mógł się doszukać piękna.

Wszyscy troje przyglądali się mu w milczeniu, które trwało prawie minutę. I znów pierwszy przemówił Adam.

- To bardzo zwyczajny kielich.

- Tak, jest zwyczajny - zgodził się Łukasz. - Osiągnąłby niewysoką cenę, gdyby wystawić go na sprzedaż jako kielich do picia.

- Spodziewałem się, że będzie inny, chociaż nie umiem powiedzieć jaki. Pewnie myślałem, że będzie w nim coś niezwykłego. - Można było poznać po głosie Adama, że jest nie tylko zdziwiony, lecz i trochę urażony. - Kielichy akurat takie jak ten widywałem w chatach pasterzy. I w najuboższych zajazdach.

- Tak, w chatach pasterzy i w najuboższych zajazdach.

- No cóż - odezwał się Adam po dłuższej przerwie - zobaczyłem. Lepiej go teraz schowajcie, żeby można było szybko kończyć pakowanie. Musimy ruszać.

Kiedy wysunęli się z namiotu w otaczający ich wieczorny zmierzch i Adam zajął się wydawaniem dyspozycji, Debora podniosła na Łukasza oczy pełne zachwytu.

- Widziałam go! - szepnęła. - Kiedy w namiocie było zupełnie ciemno, widziałam Kielich tak samo wyraźnie, jak potem. Myślę, że promieniowało z niego światło, a jednak nie było widać niczego innego. To bardzo dziwne. Tak dziwne, że się zastanawiałam, czy to wszystko nie jest wytworem mojej wyobraźni.

- Nie, moje dziecko. Z niego promieniowało światło. Ty widziałaś Kielich i ja go widziałem. Coś podobnego zdarzyło się parę dni temu, kiedy twój dziadek mi go powierzył, a ja z wielkim niepokojem niosłem go do pomieszczenia w magazynach, gdzie się ukrywał Bazyli. Wtedy Kielich świecił tym samym dziwnym i świętym blaskiem.

- A jednak Adam nic nie widział.

- Adamowi brak wiary. To człowiek wielkiej uczciwości i prawości, lecz on nie wierzy w Jezusa i jest skłonny do szyderstwa. Pewien jestem, moje dziecko, że promieniowanie Kielicha mieści się w oku, które nań patrzy. Jeśli ktoś głęboko wierzy, wtedy on promieniuje jasnym światłem. Jeśli tej wiary brakuje, będzie on tylko, jak to Adam powiedział, bardzo zwyczajnym kielichem.

Nadal przechadzali się tam i z powrotem, podczas gdy wokół nich szykowano się do odjazdu.

- Często o tym dyskutowałem z innymi - powiedział Łukasz. - Ci, którzy towarzyszyli Panu w jego wędrówkach, widzieli wiele nadprzyrodzonych zjawisk. Byłem blisko Pawła i nie wątpię,

że wielka moc została dana jemu i Piotrowi. To jednak mogę ci powiedzieć: niewiele było cudów.

Pokazały się gwiazdy. Łukasz przystanął i zaczął wpatrywać się w niebo.

- Tak mało wiemy o Bogu, który stworzył świat i niebiosa, a teraz rządzi naszym przeznaczeniem. Ludzie Go widzieli, ale zawsze im się ukazywał w przebraniu człowieka, takiego, jak my sami. Nie możemy sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał, kiedy zasiądzie, aby nas osądzić. Nie wiemy, gdzie przebywa, chociaż wydaje się pewne, że gdzieś ponad nami. To musi być wysoko ponad chmurami i gwiazdami. Tam On zasiada, a wszystko się porusza na Jego skinienie. Czy wydaje ci się trudne do uwierzenia, że wielki i wszechpotężny Bóg, w swej mocy, a czasami w swym gniewie może wyciągnąć rękę i sprawić, że stanie się cud? A jednak jestem pewien, że nie musiałby czynić cudów, gdyby nie jeden powód. Dzieci Izraela spodziewały się, że ich Mesjasz nadejdzie jako król, drugi Dawid. Trudno im się pogodzić ze skromnym cieślą. Toteż być może mądry i wszystko przewidujący Jahwe pomyślał o tym, żeby podeprzeć ich kulejącą wiarę dowodami, które nimi wstrząsną.

- Nie możemy jednak, moje dziecko - ciągnął dalej Łukasz - oczekiwać, że Jahwe będzie poświęcał tyle czasu naszym słabościom i naszym małostkowym potrzebom, że będzie trzymał wyciągniętą rękę, aby nam użyczyć pomocy. Zamiast czynienia cudów, wyposażył nas w pewne cechy, które nam umożliwiają wypełnianie Boskich zamysłów, takie jak wiara, lojalność, odwaga, tolerancja. To przez wiarę, która w nas jest, stajemy się chrześcijanami i z racji tej wiary jesteśmy niekiedy wynagradzani dowodem, że Bóg czuwa nad nami i jest z nas zadowolony. Jestem pewny, że to właśnie dlatego wolno nam było widzieć święty Kielich w ciemnościach namiotu. To nie była ułuda ani gra wyobraźni. My go widzieliśmy wyraźnie, niewątpliwie, cudownie! Lecz oczy Adama, w których nie było wiary, nic nie widziały, dopóki nie wpuściłem światła do namiotu, a wtedy zobaczył jedynie używany i bardzo pospolity kielich.

- Ci, z którymi pracowałem - mówił dalej po chwili milczenia - zdali sobie sprawę, że nie wolno nam stać bezczynnie i czekać, aż Bóg dokona przez cuda tego, czego powinniśmy dokonać sami, wykorzystując te moce, w jakie nas On wyposażył. Moc czynienia dobra istnieje w ludziach odwiecznie, lecz potrzebne było przyjście Jezusa, aby wyzwolić w nas te cechy. Z tej racji mężczyźni i kobiety znoszą za wiarę wszystko, nawet najokrutniejszą śmierć. Wiara w Jezusa rośnie i rozszerza się. Wiara będzie największą siłą świata.

- Czy chcesz powiedzieć - spytała - że wiara daje nam wszystkim, nawet najbardziej poniżonym, cząstkę boskości?

Łukasz skinął głową z powagą.

- Wierzę w to, moje dziecko. Jednak nasze śmiertelne umysły na zawsze pozostaną niezdolne do zrozumienia zamiarów Boga. Prawda została w pewnej mierze odsłonięta przed

Piotrem i Pawłem, przeto musimy iść za nimi z pełną pokorą, słuchając tego, co mówią, wierząc w to, w co oni wierzą. Musimy być szczęśliwi, że posiedliśmy zdolność wiary i przyjęcia tych wielkich prawd.

Nastała chwila milczenia.

- A jak jest z Bazylim? - zapytała Debora. - Chodzi mi o to, co zaszło, kiedy po raz pierwszy ujrzeliście światło Kielicha?

Zrobiło się tak ciemno, że musieli iść wolno, ostrożnie stawiając każdy krok. Debora nie mogła dojrzeć zadowolenia, jakie rozjaśniło oblicze jej towarzysza.

- Bazyli je dojrzał - potwierdził. - W tym czasie nie wierzył w Jezusa. Wciąż jeszcze szedł w ciemnościach po omacku. Zobaczył jednak światło tak wyraźnie, jak ja je widziałem. Jego umysł jest jak urodzajna gleba. Ziarno zostało zasiane i niewiele czasu potrzeba, aby moc wiary zakiełkowała, wyrosła i zakwitła.

Adam zajął miejsce na czele rzędu wielbłądów. Podniósł szerokim gestem swą hozzarę do ust i dał naglący sygnał.

- Pośpieszajcie! - brzmiała trąbka. - Oto nadeszły godziny ochłodzenia, korzystajmy z nich. Przed nami długi szlak. Na siodła! Szybko! Szybko!

2

Mężczyzna o intensywnie czarnych oczach i głosie brzmiącym jak trąba przemawiał do kręgu słuchaczy w rogu dziedzińca wielkiego zajazdu na zewnątrz Aleppo.

- Nadchodzi ta godzina! - wołał. - Okowy, w które Rzym zakuwa świat, niedługo pękną. Jerozolima jest gotowa. Już wykuwają sztylety dla uwolnienia Izraela...

Adam ben Aszer odszedł na bok, potrząsając gniewnie głową. “Jak ten krzykacz może coś takiego przyrzekać?” - mówił do siebie. - “Czyż dzieci Izraela są w stanie oprzeć się potędze Rzymu na własną rękę? Nie - trudno przewidzieć los tego człowieka, przed śmiercią jego stopy i ręce zostaną przebite gwoździmi”.

Stał przez chwilę w drugim rogu, gdzie wirujący derwisz popisywał się swoją niesamowitą zręcznością w takt bicia bębna i zawodzenia instrumentu podobnego do fletu. Minął zaklinacza węży nie obdarzywszy go ponownym spojrzeniem i nie dał się wciągnąć do żadnej grupy zapalonych mówców, tłoczących się na dziedzińcu. Dostrzegł wreszcie pochyloną głowę Zimisajesa, właściciela zajazdu, i pośpieszył w jego stronę.

Łukasz pozostał u wejścia. Widział, że Adam wdał się w rozmowę z gospodarzem. Przyglądał się tłumom ludzi na dziedzińcu z gorącym zainteresowaniem człowieka, który kocha swych bliźnich. On również ciężko westchnął, kiedy do jego uszu doszło kilka zdań namiętnego

mówcy. Minęło kilka minut, zanim jego oczy znów odszukały Adama i zdziwił się, że wciąż jeszcze rozmawia ze starym Zimisajesem. Wyraz twarzy Adama wskazywał, że to, czego się dowiedział, wprawiało go w niepokój.

“Czy on przynosi złe nowiny?” - Łukasz sam sobie zadał to pytanie. Czekał niecierpliwie, aż Adam zakończy rozmowę i ruszy z powrotem przez zatłoczony dziedziniec.

Przynajmniej raz zabrakło Adamowi słów, kiedy doszedł do wejścia. Rzucił szybkie spojrzenie na Łukasza i spuścił oczy.

- Wygląda na to - powiedział - że nieszczęście spotkało naszych dwóch młodzieńców...

- Co się stało? - Łukasz położył dłoń na ramieniu Adama błagalnym gestem. - Jakie zło ich spotkało?

- Zimisajes mówi, że grupa arabskich bandytów napadła na ludzi w tych okolicach. - Adam stał ze wzrokiem utkwionym we własne stopy, którymi szurał w zakłopotaniu. - Przez ostatnie dwa tygodnie ostrzegano wszystkich podróżnych, żeby się mieli na baczności. Powiedziano Czymhamowi, że niebezpiecznie wyruszać nocą z jednym tylko towarzyszem. Zdaje się jednak, iż postanowili, że nie mogą pozwolić sobie na zwłokę. Zgodzili się na podjęcie ryzyka.

Obaj zamilkli na dłuższą chwilę.

- I napadli na nich bandyci? - zapytał wreszcie Łukasz.

- Tak. Nie wiadomo, czym się to skończyło, czy wzięto ich do niewoli, czy zabito. Dziś złapano jednego Araba w Aleppo.

Łukasz zacisnął rękę na ramieniu towarzysza. - Czy sądzisz, że to możliwe, aby Arabowie zatrzymali ich jako więźniów?

- Tylko wtedy, jeśli uznają, że można za nich otrzymać okup. - Adam przerwał i potrząsnął głową z powątpiewaniem. - Arabowie są niepohamowani. Musimy pogodzić się z faktami. Jest bardziej prawdopodobne, że zabiją okradzionych niż wezmą ich do niewoli.

Łukasz spuścił oczy i zaczął się cicho modlić.

- O Jahwe, skłaniamy się przed Twoją wolą, wiedząc, że widzisz wszystko i jesteś mądry, że zawsze wiesz, co czynisz. Jeśli ci mężni młodzieńcy zostali zabici, daj nam, Panie, siły do zniesienia tej straty. Wiemy, że Ty ich wynagrodzisz. Spojrzyj na tych, którzy ich utracili...

- Muszę ci coś wyznać - przemówił z trudem Adam. - Wiesz, że nie kocham tego młodzieńca, który zajął moje miejsce. Nie usprawiedliwiam się z tego, to zresztą nie wymaga usprawiedliwienia. Każdy na moim miejscu czułby to samo. Lecz jest coś, o czym nie wiesz. Ja go oszukałem. Przyszedł do mnie i powiedział, że chce kupić moje dwa wielbłądy, a ja zażądałem bardzo wysokiej sumy, sądząc, że to będzie cena wyjściowa i że dojdziemy do sprawiedliwszej ceny, zanim ubijemy interes. To prawda, że wziąłem go na wabik, ale kiedy się rozgniewał i

odmówił wszelkich ze mną targów, co do ceny - przyjąłem jego pieniądze, pełną sumę. Na moją obronę mam tylko tyle: powiedziałem mu w oczy, że go okradam. - Przerwał, a potem dodał gderliwym tonem: - Teraz, kiedy to się stało, ciąży mi ta sprawa.

- Teraz nie ma to żadnego znaczenia. Proszę cię jednak, Adamie, oczyść swój umysł z nienawiści, jaką do niego czujesz. Jeśli pozwolisz, aby coś z tego uczucia zostało w twym sercu, będzie to na tobie ciążyło.

Zimisajes, kuśtykając, szedł przez podwórze, a głowa podskakiwała mu przy każdym kroku.

- Ten Arab, którego złapano, miał w sakiewce żydowskie monety - pośpieszył z informacją. - Teraz jest przesłuchiwany przez duumwirów. Zastosują najcieńszą trzcinę. Razy będą łagodne, ach, doprawdy bardzo łagodne, ale będą spadały na podeszwy jego stóp tak miarowo, jak krople wody podczas jesiennego deszczu. Kap, kap, kap... A po paru minutach takiego bicia okropny skurcz bólu przeszyje jego ciało. Stopy mu spuchną, zrobią się purpurowe i nie będzie mógł powstrzymać się od krzyku. - Starzec potrząsnął z upodobaniem głową. - Widziałem, jak stosują trzcinę i zawsze jest tak samo. Żaden ze skazańców tego nie wytrzymuje i prosi swych bogów o szybką śmierć. Ale z tego nic nie wydobędą! Oni są twardzi i dumni, ci Arabowie, dumni jak bogowie zła. Umrze podczas tortur, a nic nie zezna.

- Więc nie możemy się spodziewać, że usłyszymy coś więcej? - spytał Łukasz.

Zimisajes machnął daleką od czystości ręką.

- Reszta bandy przepadła z wiatrem. Nie usłyszymy nic więcej. Pozostanie to, czcigodny nauczycielu, jedną z tajemnic pustynnego szlaku.

Łukasz i Adam wracali powoli do swego obozowiska rozłożonego pod murami zajazdu.

- Jedno jest jasne - powiedział ten ostatni. - Nie dotarli do Antiochii. Aaron na pewno już przybył i przedstawił swoje roszczenie. Tak, to rzecz pewna. Na nic się zdał cały nasz szalony wyścig i zabiegi.

Tak był przejęty biegiem swoich myśli, że nie zwrócił uwagi na Zimisajesa, który wyszedł za bramę i wołał za nimi. Łukasz zawrócił, żeby posłuchać, co starzec ma do powiedzenia.

- Zapomniałem wam powiedzieć, że pojmany Arab jechał na jednym ze skradzionych wielbłądów. Czy możecie sobie wyobrazić taką czelność i butę? Mówią, że jest to zwierzę o dużej wartości, wielka brązowa bestia o bardzo długich nogach. Był pięknie przyozdobiony muszelkami i dzwonkami z jaspisu.

- Czy to był jeden z wielbłądów należących do naszych dwóch młodzieńców? - zapytał Łukasz z sercem tak ciężkim, że z trudem formułował słowa.

Starzec skinął głową.

- Trudno w to wątpić.

Adam w dalszym ciągu zastanawiał się nad sytuacją, kiedy Łukasz podszedł do niego ociężałym krokiem.

- Musimy zrobić, co się da. Nie można myśleć o spaniu dzisiejszej nocy. Zwijajmy obóz natychmiast i ruszajmy. Nie możemy się zatrzymać, zanim nie dotrzemy do miasta.

- Tak, musimy dokonać ostatniego wysiłku - powiedział Łukasz. - Słuchaj, Adamie, nie mówmy o tym Deborze. Nie mamy jeszcze niezbitego dowodu. Niepokojenie jej bez potrzeby byłoby okrucieństwem.

Adam wyraził zgodę kiwnięciem głowy. Jednak ogromne przygnębienie, jakie zdradzał głos Łukasza, sprawiło, że przyjrzał mu się z pewnym zaciekawieniem. Łukasz pobladł i był bardzo wstrząśnięty.

- Zdaje się, że mocno to przeżywasz - zauważył.

Łukasz nie od razu odpowiedział. Szedł powoli dalej, z głową spuszczoną i zaciśniętymi rękami.

- Pokochałem go jak syna - odezwał się wreszcie.

Rozdział XIX

1

Antiochia oglądana od strony wjazdu przez Żelazną Bramę wyglądała tak wspaniale, jak to obiecywał Łukasz. Za murem z czterystu wieżami, który, zdawało się, biegł w nieskończoność, Antiochia ucieleśniała wszystkie legendy Wschodu. Debora ożywiła się na chwilę, kiedy jej oczy spoczęły na marmurowym przepychu miasta, ale nastrój ten szybko ją opuścił. Zaraz westchnęła i pogrążyła się w smutnych rozmyślaniach, które ją absorbowały od czasu, kiedy w Aleppo skręcili na zachód.

Adam próbował ją rozerwać, opowiadając jakąś historię, lecz spostrzegł, że wcale go nie słucha. Uraziło to jego dumę. Miał zwyczaj opowiadania scen z Pism Świętych własnymi słowami, dodając własną interpretację, a w przerwach gwizdał na ugabie, który miał zawieszony przy siodle, a nawet popisując się od czasu do czasu śpiewem. Był przyzwyczajony do uważnych słuchaczy.

Opowiadał właśnie swoją własną wersję opowieści o Jonaszu i doszedł do momentu, kiedy uparty prorok znalazł się w brzuchu wieloryba.

- Otóż ten Jonasz - ciągnął - bardzo był zdziwiony, kiedy się okazało, że brzuch wieloryba wcale nie jest taki duży. Wierzył dotychczas, że może się w nim pomieścić łódź rybacka albo i dwie i cała załoga ludzi, takich jak on. A teraz odkrył, że nawet nie może stanąć na wyprostowanych nogach. Widział natomiast zupełnie dobrze, ponieważ ten miękki wieloryb ganufa połknął całą masę chwastów z dna oceanu, które świeciły w ciemności. Zobaczył, że dookoła niego znajdują się drobne morświny, które już nigdy nie będą igrały na powierzchni wody, i duże meduzy, kiedyś czerwone, a teraz trupio blade ze strachu, i krewetki hałasujące swymi kleszczami, kiedy je ścisnąć razem. Jonaszowi nie podobał się ani wygląd tego miejsca, ani jego zapach, jeśli już o tym mowa, zaczął więc podskakiwać i wołać: “Jestem człowiekiem i prorokiem i mam jeszcze wiele do przepowiedzenia w imieniu Pana. To niestosowne, żebym zginął w brzuchu wieloryba!” Na te słowa wszystkie ryby podniosły głowy i zaczęły śpiewać razem:

To pewne, że musimy skończyć
swe proroctwa na chwałę Pana!
Śmierć w brzuchu wieloryba
nie może mu być pisana!

Adam przerwał nagle i spojrzał na Deborę z wyrzutem.

- Nie słuchasz.

Debora potrząsnęła głową.

- Coś przede mną ukrywasz - powiedziała. - Jestem tego pewna od chwili naszego wyjazdu z Aleppo. O co chodzi? Jeśli masz złą nowinę, powinieneś mi to powiedzieć. Nie jestem dzieckiem.

Łukasz jechał po jej drugiej stronie. Droga z Aleppo bez postoju na sen wyczerpała go. Teraz odezwał się drżącym ze zmęczenia głosem:

- To prawda. Ukrywamy coś przed tobą. Nie chcieliśmy, drogie dziecko, niepokoić cię pogłoskami, jakie do nas dotarły.

Odwróciła się i spojrzała na niego błagalnie.

- Co takiego? Powiedz mi, bardzo cię proszę. Nie mogę znieść tej niepewności.

Łukasz spojrzał przed siebie i zobaczył rzymskie orły nad Żelazną Bramą. Nie można już było zwlekać z wyjawieniem wszystkiego. Adam, przypinając ugab, skinął przyzwalająco głową z nieco obrażoną miną.

- Niektórzy sądzą - zaczął Łukasz, że powiadamianie o nieszczęściu ogródkami i stopniowo to wyraz życzliwości. Nie jestem pewien, czy wyświadcza się tym przysługę. W każdym razie ja nie umiem udawać. Deboro, moje drogie dziecko, są podstawy, aby przypuszczać, że czeka na nas zła wiadomość, kiedy dojedziemy do tej... do tej posępnej bramy przed nami. Możemy nie zastać tych, którzy powinni tam być, aby nas przywitać.

Debora milczała, patrząc w ziemię. Jej ręce ściskające łęk siodła zbielały od wysiłku.

- Łupieżcy arabscy napadli na niedużą grupę ludzi jadących nocą z Aleppo. Później jeden z bandytów przyjechał do Aleppo i otwarcie chełpił się łupami. Złapano go i okazało się, że ma w sakiewce żydowskie monety. Co więcej, jechał na ukradzionym wierzchowcu, na długonogim, brązowym wielbłądzie przybranym dzwonkami z jaspisu.

Adam odwrócił się gwałtownie.

- Gdzie to słyszałeś? - spytał.

- Byłem tak przybity, że nie chciałem już o tym mówić. Zimisajes wyszedł za nami z zajazdu i opowiedział mi o ukradzionym wielbłądzie.

Adam zaczął się śmiać. Nie tylko pozwolił sobie na swobodny wybuch wesołości, ale trzepnął się głośno po udzie.

- Mówił o długonogim brązowym wielbłądzie przybranym dzwonkami z jaspisu? To prawda, że wielbłądy sprzedane Bazylemu miały takie dzwonki. Ale skąd brązowy? Łukaszu, mój dobry przyjacielu, te wielbłądy, które sprzedałem Bazylemu, wcale nie były brązowe! One były białe! Tak białe, jak brzuch niedopieczonej ryby, jak witki z łoziny starego Zimisajesa, tak białe jak ten obłoczek nad nami na niebie!

Oczy Debory zapłonęły.

- Adamie! Co ty mówisz? A więc... więc, mimo wszystko, są bezpieczni?

- To właśnie wam mówię. Z tego wynika, że bandyci napadli w nocy i obrabowali inną parę podróżnych.

Debora wyciągnęła ramiona i uścisnęła dłonie swoich towarzyszy. Tak złączeni jechali przez kilka chwil w milczeniu, jakie nastąpiło po doznaniu głębokiej ulgi.

- Moi przyjaciele! - wyszeptała. - Moi serdeczni, najlepsi przyjaciele! Będę was kochała do końca moich dni.

Zadowolenie, jakie Adam dzielił z innymi, nie trwało długo. Wkrótce zaczął się marszczyć, mruczeć i potrząsać głową. Kiedy dojechali do miejsca, gdzie wszystkie drogi zbiegały się na wprost Żelaznej Bramy, zatrzymał swego wielbłąda.

- Jakie mamy prawo do takiej pewności siebie? - zadał pytanie, patrząc na nich z wyraźnym uczuciem zawodu. - Już dawno powinniśmy ich spotkać. Nie podoba mi się ten brak uprzejmości. Może to być zwiastun nieszczęścia.

Łatwo było zachwiać pewnością siebie Debory, może dlatego, że jeszcze przed chwilą była bardzo zrozpaczona. Spojrzała na niego z lękiem w oczach.

- Adamie! - zawołała. - Znów przytłaczasz moje serce kamieniem. Czy sądzisz, że zbyt pochopnie wyciągamy wnioski?

- Być może - mruknął. - Ale to nie wszystko.

Adam zatrzymał całą karawanę i ożywiony ruch na drodze musiał się rozdwoić, aby z trudem przedzierać się dalej skrajem drogi. Wywołało to ogromne zniecierpliwienie. Ogorzali od słońca mężczyźni, zmuszeni do tego manewru, mijając ich rzucali obelgi. Poruszali się wolno, ponieważ w tym miejscu droga, nawet w najlepszych warunkach, stawała się jak szyjka butelki, a teraz wbito w nią klin. W ślimaczym tempie sunął obok gąszcz kolorowych turbanów, kiwający się wysoko ponad ustrojonymi w pióropusze głowami wielbłądów. Oczy wyrażały gniew i wzgardę, zaś usta dawały upust obrazowym złorzeczeniom Wschodu; byli tam poganiacze wielbłądów, kupcy, kapłani, żołnierze, żebracy i złodzieje.

- Nie odzywaj się do nikogo - doradził Adam, przechylając się w stronę Debory. - Trzymaj rękę na sakiewce i miej otwarte oczy nawet wtedy, kiedy słuchasz, co do ciebie mówię. Obawiam się, że popełniłem wielką nieostrożność, to moja wina. Byłem pewien, że pozwolą nam wjechać do miasta swobodnie, że nie będą zadawali żadnych pytań. Ani przez chwilę nie pomyślałem o tym, że twój ojciec może nas wyprzedzić i przekupić straż. Powinniśmy zatrzymać się wcześniej i posłać kogoś na przeszpiegi. Spowodowałoby to zwłokę, ale byłoby bezpieczniej. Twój dziadek załatwił wszystko zgodnie z literą prawa, tego możemy być pewni. Miał zyski ulokowane w Antiochii, ponieważ to uwalniało transakcję od kontroli żydowskiego prawa. Tutaj przeważa prawo rzymskie, kodeks Dwunastu Tablic. Sądzę, że możemy być równie pewni, iż przepisy spadkowe są mocne i

nieugięte jak pancerz centuriona. Gdyby nikt nie wiedział o zdeponowanych tutaj funduszach, Jabez mógłby Deborze przekazać pieniądze bez żadnych dodatkowych poczynań. Jeśli jednak spadek jest zakwestionowany, bankier musi stawić się w sądzie i otrzymać addictio. * Jak wiemy, urzędników można przekupić. Niedawno był taki przypadek. Przypuśćmy, że twój ojciec już tu jest i dowiedział się, że ktoś go ubiegł. Z całą pewnością starałby się wejść w układy, a raczej przekupić Jabeza i urzędnika, żeby przyznali mu spadek. Zrobi to z wielkimi oporami, będzie cierpiał, będzie krzyczał w udręce, ale w końcu pogodzi się z koniecznością. I co wtedy stanie się z nami?

Addictio - przysądzenie przedmiotu sporu na rzecz powoda (przyp. red.).

- W tym, co mówisz, jest wiele racji - powiedziała Debora, potakując poważnie głową. - Właśnie tego się obawiałam.

- Przekupienie urzędników w Antiochii to prosta sprawa - dodał Adam. - A zwłaszcza strażników. Sam to robiłem przy pomocy paru sztuk srebra i przyjacielskiego uśmiechu. Jeśli twój ojciec porozdawał drobne bakczysze, strażnicy będą czekali, żeby nas powybierać jak winogronka z kiści. Nasi dwaj młodzieńcy zapewne dotarli bezpiecznie, ale nie wyszli nam na spotkanie. Dlaczego? Myślę, że prawdopodobnie oglądają szczury, które plączą się im pod nogami w miejskim więzieniu. Jeśli tam rzeczywiście są, każde z nas może do nich dołączyć. Najłatwiejszą drogą do wygrania sprawy w sądzie jest niedopuszczenie do zjawienia się przeciwników.

Adam nadal potrząsał głową z powątpiewaniem.

- A dlaczego nie ma tu nikogo od tego bankiera, żeby nas powitać? To uprzejmość, której by na pewno nie poniechał, jeśli ma nadal otwarty umysł. Cała ta sprawa brzydko mi pachnie. Zgarną nas, jak tylko miniemy bramę. Ty, moja Deboro, być może nigdy nie zobaczysz ani dinara z tej wielkiej fortuny, a ja mogę stracić wielbłądy i cały ekwipunek. Co raz wpadnie w łapy straży antiocheńskiej, nigdy nie wraca do właściciela. To już taka ich miła cecha. Wiem o tym z długiego doświadczenia.

Przed nimi, przy bramie, było dużo zamieszania i zgiełku. Oddział strażników pocił się przy sprawdzaniu długich szeregów strwożonych podróżnych. Odwrotnie pojmując zadanie Cerbera, strażnicy mało poświęcali uwagi opuszczającym miasto, a odnosili się podejrzliwie do wszystkich, którzy próbowali się do niego dostać.

Zamieszanie wywołane zatrzymaniem się karawany sprowadziło jednego urzędnika o argusowym spojrzeniu. Stanął przed Adamem i warknął na niego z furią.

- Dlaczego tu stoisz? Czy poraziło ci mózg i nogi, ty kawałku świeżego gnoju, przywiany przez gorący wiatr pustyni?

Adam spojrzał groźnie.

- Być może - wyjaśnił - wielka pani, która z nami jedzie, zmieniła zdanie i nie życzy sobie

wjeżdżać do tego po trzykroć przeklętego miasta.

Celnik rzucił z ukosa bystre spojrzenie na Deborę.

- Wielka pani? A może to ta pani, na którą czekamy? Czy przybywa z Jerozolimy?

- Moje obawy się sprawdzają - szepnął Adam do Debory. - Czekają nas kłopoty.

- Wielka pani czy nie, ruszaj przez bramę! - wrzasnął strażnik z nowym przypływem irytacji. - Porozmawiamy po tamtej stronie murów. Tu nie możesz stać.

- Jest z nami książę, bardzo bogaty i potężny. Książę, który przybywa z kraju Sin. Czy traktujecie książąt tak samo, jak swoich własnych kupców oliwą?

- Książę? - zaśmiał się strażnik pogardliwie. - Gdyby Sargon, król królów, żył dzisiaj i wjeżdżał do Antiochii, nie pozwolilibyśmy mu przykucnąć na jego królewskim tyłku w tym właśnie miejscu. Zwykły książę, jak mówisz? Nie pleć mi tu o książętach. Wjeżdżaj z tym księciem i twoją wielką panią do środka przez tę bramę, jak możesz najprędzej.

Adamowi nie trzeba już było żadnego innego dowodu.

- Wiadomości zostały przekazane - szepnął. - Dotarły nawet do tego parszywego, nic nie znaczącego strażnika i nastawiły go nieprzyjaźnie. Musimy być przygotowani na najgorsze.

2

Powoli zrównali krok ze strumieniem wjeżdżających i po paru minutach znaleźli się w pobliżu imponującego łuku Żelaznej Bramy. Człowiek o twarzy okrągłej jak melon stał tuż przed łukiem bramy i wykrzykiwał coś jednostajnym głosem. Kiedy podjechali bliżej, zdali sobie sprawę, że powtarza niedbale:

- Adam ben Aszer! Adam ben Aszer!

Adam obrócił swego wielbłąda w tamtą stronę i zatrzymał go przed wołającym.

- Ja jestem Adam ben Aszer - powiedział.

- Ach, to dobrze! - zawołał człowiek z wyraźną ulgą. - Już mi głos odmawia posłuszeństwa. Tak krzyczałem, że pewnie już nigdy nie odzyskam głosu.

- Czy uważasz, że mnie obchodzi stan, do jakiego został doprowadzony twój głos? - prychnął Adam niecierpliwie.

- Mam dla ciebie wiadomość - powiedział obcy z miną urażonej godności. - I pozdrowienia od mego pana, Jabeza. Stoję tutaj przez trzy dni i wykrzykuję twoje imię. Ani razu nie opuściłem mego stanowiska od momentu otwarcia bramy rano, aż do jej zamknięcia wieczorem. Mój głos...

Adam przerwał mu gwałtownym gestem.

- Czy twój pan kazał ci nie ruszać się z chłodu, jaki rzuca cień bramy? Czy wiesz o tym, że zwyczaj każe wyjeżdżać za bramę i przekazywać pozdrowienia w dość znacznej od niej odległości?

Że częstuje się przybyszów winem i przekazuje nowiny z miasta, o których powinni wiedzieć? Czy nie przyszło ci do twojej wielkiej głowy, jak podejrzewam napełnionej raczej pestkami niż mózgiem, że twoje niestawienie się w umówionym miejscu mogło przyczynić się do powstania poważnych obaw? - Ulżywszy sobie w ten sposób Adam walnął zdrowo nieznajomego w plecy. - No, już dobrze! Twój pan zostanie powiadomiony, że natrudziłeś się nad przydzielonym sobie zadaniem z pilnością zasługującą na nagrodę. A teraz mów.

Cała karawana przeszła pod łukiem do środka i została skierowana na prawo, za ogrodzenie. Powiedziano im, że mogą zsiąść z wielbłądów, bo teraz nastąpi przerwa w zadawaniu pytań podróżnym. Debora usłuchała poleceń, zsiadła i rozejrzała się dokoła, rozmyślając nad słowami Adama. Czy Bazyli i jego towarzysz zdołali ujść bandytom, czy też wyszedłszy cało z niebezpieczeństwa zostali zatrzymani przez straż antiocheńską? Z całą pewnością nie przyszli tu, żeby ją powitać. To był wystarczający dowód, że im się nie powiodło. Patrzyła niewidzącymi oczami w przestrzeń nad pobielanymi ścianami ogrodzenia i nie zastanawiała się wcale nad innymi problemami, wobec których stali. Nie było czym oddychać w tym wydzielonym kącie, zapchanym wylęknionymi ludźmi. Nie zauważyła nawet, że Sara podeszła do niej i zawzięcie powiewała wachlarzem nad jej głową.

Naraz zobaczyła Czymhama. Stał u wejścia i uśmiechał się szeroko. Był sam, ale serce podskoczyło jej w piersi z ulgą. To, że tu był i uśmiechał się, świadczyło o tym, że wszystko w porządku. Bazyli nie przyszedł, ale wkrótce wszystko się wyjaśni.

Potem spostrzegła, że Czymham jest wspaniale przyodziany. Na głowie miał wielki, błękitny jak niebo turban z olbrzymim połyskującym kryształem. Jego tunika miała ten sam odcień błękitu, zaś pas był w kolorze rdzawym. Wokół szyi wisiały korale wielkości kaczych jajek, zaś paski sandałów były w różnych odcieniach, bardzo jaskrawych i połyskliwych.

- Gdyby łaskawa pani zjawiła się o dzień później - powiedział do Debory, która dała mu znak, żeby się do niej przedostał - Bazyli przyszedłby tu osobiście. Zdecydowano jednak, że tego ranka nie powinien jeszcze wybierać się tak daleko.

- Więc był bardzo chory? - odezwała się znów pełna niepokoju.

- Na ziemię i moją głowę, jakżeż on był chory! Gdybyśmy jechali o jedną godzinę krócej, wszystko byłoby dobrze. Albo gdyby droga była, powiedzmy, o milę lub dwie krótsza. No więc siedział wysoko w siodle i śpiewał wielbłądom, a za chwilę padł jak długi, a w jego umyśle wszystko się kotłowało. Miał gorączkę, kiedy wjeżdżaliśmy do miasta. Strażnicy zaczęli zadawać nam pytania, a on im powiedział, że się nazywa Mały Issachar i jest synem Lota. Przez dwa dni nie wiedział, kim jest.

Debora była ogromnie poruszona.

- Musiał bardzo dużo przecierpieć! - zawołała.

- Pani, całe życie spędziłem na szlakach, lecz nigdy nie przeżyłem czegoś podobnego. Chwilami i ja czułem, że w moim umyśle zaczyna się kotłować. - Potem kiwnął głową pełen otuchy. - Ale już wszystko przeszło i szybko dochodzi do siebie. Mówi nawet, że natychmiast wyruszy do Efezu. Myślę, że to nie jest rozsądne.

- Na pewno nie - przyznała skwapliwie. - Jestem pewna, że to nie jest rozsądne.

W tym momencie pojawił się Adam i szepnął, że ma jej wiele do powiedzenia. Zachował jednak wiadomość przy sobie, bowiem wzrok jego spoczął na wystrojonym poganiaczu wielbłądów.

- Na co ta cała maskarada? - spytał. - Po co się ubrałeś jak drugorzędny Salomon?

Czymham zaprotestował z oburzeniem.

- To moje szaty weselne! Dziś biorę sobie nową żonę.

Adam podszedł do niego, zagłębił obie ręce w obszernych, błękitnych fałdach tuniki i potrząsnął nim z furią.

- Rozmyślałem nad tobą. Wciąż słyszę o twoim nawyku żenienia się i jestem zdumiony. Czy mężczyzna może utrzymać szereg żon z takiej płacy, jaką ja tobie daję? A teraz zaczynam wierzyć, że prawdą jest to, o czym mówiono. Tak, to przekonanie umacnia się we mnie, ilekroć spojrzę na ciebie, mój strojny panie młody. Czy pamiętasz, co zrobił Samson, kiedy wykrył, że młodzieńcy z Timny orali pole jego jałówką?

- Zabierz swoje ręce - powiedział Czymham, starając się wyjść z sytuacji z godnością.

- Mocarny Samson - ciągnął dalej Adam, potrząsając nim jeszcze mocniej - wyszedł i zabił trzydziestu ich krewniaków. Zaczynam czuć wokół ciebie, Czymhamie, zbieraczu żon, odór podobnych poczynań. Nie jestem drugim Samsonem, ale mogę wymierzyć ci surową karę.

- To, co mówisz, jest fałszem; twoje słowa są dla mnie bez znaczenia. - Czymham wyswobodził się, strząsając z siebie jego ręce.

- Mogę ci tyle powiedzieć, Adamie ben Aszer, że nie jestem już twoim człowiekiem.

Adam pozwolił sobie na parsknięcie.

- Co do tego jesteśmy zgodni. Nie jesteś już moim człowiekiem.

Czymham się oddalił, zaś Adam zaczął przekazywać Deborze wiadomości zebrane w czasie rozmowy z wysłannikiem bankiera.

- Twój ojciec przybył do miasta wczoraj. Na nasze szczęście przez trzy dni byli unieruchomieni brakiem wiatru. Widział się z Jabezem, rozmawiał z władzami miejskimi, konferował na osobności z urzędnikami. Teraz, kiedy ty przyjechałaś, odbędzie się spotkanie przed sędzią.

Debora spojrzała na niego z wielkim niepokojem.

- Adamie, jak sądzisz, co może się zdarzyć?

- Trudno przewidzieć. Myślę, że wiele zależy od Jabeza. Jeśli jest człowiekiem uczciwym, to wygramy. Ten jego człowiek dostarczył mi pewnych informacji, które się przydadzą w załatwianiu naszej sprawy. Jabez jest człowiekiem małego wzrostu i bardzo czułym na tym punkcie. Każdą aluzję do grubych sandałów, jakie nosi, uznałby za osobistą zniewagę. Jest natomiast zawsze zadowolony, kiedy się wspomina o urodzie jego żony. To posągowa piękność, która rządzi Jabezem żelazną różdżką. Kto nie zechciał uznać jej za najpiękniejszą kobietę świata, temu się nie powiodło w tym mieście. To są rzeczy, Deboro, o których musisz pamiętać. A teraz, kiedy ci już to wszystko powiedziałem - ciągnął dalej - dodam to, co już przedtem wiedziałem. - Jabez zaczął od kantorku wymiany pieniędzy. Jak ci wiadomo, to są najbardziej przebiegli i bezwzględni ludzie na świecie. Ponieważ Jabez jest niziutki, jego nos zawsze był bliżej stert pieniędzy i wiodło mu się lepiej niż innym. Na tym etapie swojej kariery był bardzo przebiegły i bezwzględny, gotów zagłodzić sierotę albo obedrzeć wdowę do gołej skóry za jednego miedziaka. Potem nastąpiła w nim przemiana. Jak tylko się wzbogacił i zdobył władzę, zaczął pozwalać sobie na wielki luksus bycia człowiekiem uczciwym. Mówi się, że teraz nie można go skusić do mętnych interesów nawet za tron Nerona. Często tak się dzieje: szacherki wczesnej młodości prowadzą do uformowania pełnowartościowego człowieka w dojrzałym wieku. Z tej racji mamy widoki na wygranie sprawy.

Kiedy przyszła na niego kolej, Adam się oddalił, żeby stawić czoło pytaniom straży. Czymham znów podszedł do Debory.

- Łaskawa pani - szepnął. - Chcę coś jeszcze powiedzieć. On miał rację... Ja rzeczywiście orałem na jego polu. - Debora nie miała pojęcia, o co mu chodzi, a jeszcze bardziej dziwiły ją tajemnicze mrugnięcia i kiwania głową, których nie szczędził. - Szlachetna pani może mi pomóc. Z tym starym, z tą małpą ze Wschodu o ostrych pazurach. Proszę, powiedz mu, że jestem bystry i w lot dostrzegam dobry interes. Powiedz, że chcę jechać z nim na Wschód. Możesz mu jeszcze powiedzieć, jeśli uznasz to za wskazane, że dziewczyna, z którą się dzisiaj żenię, to moja ostatnia żona i że stanę się niejako kawalerem do końca mego życia. Pani, przyrzeknij mu, co tylko zechcesz, a ja będę się starał spełnić te obietnice.

Debora wyciągnęła do niego rękę.

- Nie rozumiem tego wszystkiego, co mi mówisz. Może mi to później wyjaśnisz. Naprawdę chcę ci dopomóc. Wstawię się za tobą u księcia, jeśli to masz na myśli. - Kiwnęła do niego głową z uśmiechem. - A teraz chcę ci podziękować za to, co zrobiłeś. Pewna jestem, że w wielu sprawach pomogłeś memu mężowi i ułatwiłeś mu niejedno. Jestem ci za to bardzo wdzięczna. - Potem

dodała z wybuchem niepohamowanego uczucia: - Dzięki ci, stokrotne dzięki!

Wysłannik bankiera podszedł do niej kłaniając się tak nisko, że dojrzała tylko czubek jego łysej głowy.

- Szlachetna pani, mam przekazać wiadomość, że już przygotowana jest siedziba, z której możesz korzystać podczas pobytu w tym mieście. Gotów jestem służyć ci za przewodnika.

3

Dom przeznaczony dla Debory położony był w przestronnej dzielnicy między zielonymi i tajemniczymi polankami Dafne a Bramą Mostową na wartkim Orontesie. Stał za wysokim kamiennym murem. Był to biały budynek o szerokich parapetach wokół płaskiego dachu. Jego poprzedni użytkownik był niewątpliwie człowiekiem bogatym, znawcą i kolekcjonerem dzieł sztuki. Pokoje wypełniały rzadkie okazy najlepszych wyrobów ze wszystkich stron świata: dekoracyjne tkaniny z Rzymu, przedstawiające bohaterskie postacie z poezji i mitologii, wysokie wazy z brązu i porcelany. Rzeźbione posągi, których piękno zapierało dech w piersi, mogły być stworzone tylko przez genialnych artystów greckich.

Pośrodku frontowego przedsionka, na wysokim, marmurowym piedestale, stało naczynie gliniane pokryte glazurą, przysadzisty przedmiot, przedstawiający okrągły brzuch zadowolonego, pogańskiego boga, z uchwytami w kształcie pazurów mitycznego, drapieżnego ptaka. Na jego grzbiecie znajdował się długi lejkowaty przewód wentylacyjny, co wskazywało na to, że naczynie było używane do obrządków religijnych. Łukasz, patrząc na nie z odrazą, pomyślał, że w tym złowieszczym kociołku być może gotowano na wolnym ogniu serca bezgrzesznych dziewic dla zaspokojenia apetytu Jowisza.

Stary książę z Sin, który im towarzyszył, kazał rozłożyć namioty w zagajniku pod murami domu. Przyglądał się dziełom sztuki wewnątrz domu nieco lekceważącym spojrzeniem.

- Czy moim nad wyraz uprzejmym i szanownym nowym przyjaciołom nie wydaje się - zapytał - że te posągi są chłodne? Że brak im światła i barwy, które są obecne w sztuce mego dalekiego kraju? Wypowiadanie słów krytyki wobec takiego piękna nie należy do osób tak mało znaczących i nieuczonych jak ja. Wypowiadam te słowa z pokorą.

Debora szepnęła:

- Nie śmiałabym powiedzieć tego głośno, czcigodny książę, ale jest jakiś chłód w tym wszystkim. Za dużo ostentacji i nagości. - Potem dodała: - To nadzwyczaj uprzejme z pańskiej strony, książę, że zbaczając z drogi przyjechałeś aż tutaj.

Ping-$li zaczął tak żywo kiwać głową, że z trudem odzyskał nad nią panowanie.

- Wraz z wiekiem wzrasta moja niegodna ciekawość - oznajmił. - Czyż mógłbym wyruszyć

z Aleppo na wschód i nigdy się nie dowiedzieć, czy moja szlachetna, maleńka pani zdołała odzyskać swoją spuściznę? Nie mógłbym umrzeć w spokoju. Chciałem również zobaczyć, kiedy ta romantyczna historia, która się rozwijała tak wolno, nareszcie rozkwitnie w pełni? Czy maleńka i czarująca pani wybaczy nieskończenie ciekawemu starcowi, jeśli zapyta, czy ta zwłoka wynika z nauk chrześcijańskich?

Debora powoli i ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Nie, czcigodny książę. Zwłoka wynika z trudności, które sami sobie stworzyliśmy.

Sędziwa głowa znów zaczęła podskakiwać z uniesieniem.

- To będzie tym słodsze - stwierdził - kiedy trudności znikną jak śnieg na wiosnę.

Łukasz obejrzał dom i wybrał pokój na drugim piętrze, najodpowiedniejszy na przechowanie Kielicha. Do pokoju prowadziły strome i wąskie schody, ale miał on jedną rzucającą się w oczy zaletę: łatwiej można go było bronić niż jakiejkolwiek innej części domu. Natychmiast przeniesiono poobijaną, zniszczoną skrzynię do tej bezpiecznej przystani i ukryto w rogu pod stosem dywaników i mat. Po upływie paru godzin zjawiło się dwóch młodzieńców o poważnym wyglądzie. Łukasz wiedząc, że obaj są gorliwymi wyznawcami wiary chrześcijańskiej, o mocnych ramionach i mężnych sercach, natychmiast wyraził zgodę na ich wybór.

- Dopóki starsi Kościoła w Antiochii nie wybiorą stałego miejsca dla tej świętej relikwii - powiedział - musi być przechowywana tutaj. Jej bezpieczeństwo spoczywa w waszych rękach. Żadnemu z was nie wolno opuścić tego pokoju. Nie wolno wam jeść ani spać jednocześnie. Wasze miecze muszą być zawsze w zasięgu ręki. Minjamin, jeden z przywódców zelotów, człowiek zdecydowany na wszystko, wkrótce przybędzie do Antiochii. Będzie chciał się dowiedzieć, gdzie jest Kielich i wyrwać go z naszych rąk.

Dwaj młodzieńcy położyli ręce na sercach i uroczyście ślubowali bronić Kielicha do ostatniego tchu.

Kiedy załatwiono tę sprawę, zjawił się Adam ben Aszer. Był przygnębiony i z początku niewiele miał do powiedzenia.

- Wyjeżdżam - oznajmił Łukaszowi - zaraz po jutrzejszych przesłuchaniach. Nie będę tu dłużej potrzebny. Odegrałem już swoją rolę.

- Bardzo dobrze ją odegrałeś - powiedział Łukasz. - Wiem, że Debora czuje się twoją dłużniczką.

Ponury grymas znikł z twarzy Adama.

- To dla mnie najlepsza nagroda. Niczego więcej nie oczekuję.

Stali na tarasie wyłożonym barwną mozaiką. Na niskim parapecie stało wiele niezwykłych rzeźb. Przedstawiały postaci wielkości gnomów o kwadratowych, nienaturalnych twarzach. Tego

rodzaju rzeźby znajdowali ludzie kopiący rowy w pobliżu starożytnych ruin. Adam popatrzył na szereg tych postaci i znów nachmurzył się gniewnie.

- Nie ma nic szlachetniejszego na świecie od kamienia - powiedział. - Z niego są utworzone góry, które się wynoszą pod niebo i są niemal tak wieczne, jak samo powietrze. Kamień jest twardy, czysty i nieskalany, tymczasem artyści o pokręconych duszach biorą go do ręki i zmieniają w takie ohydne przedmioty. Co to ma być? Czy to bałwany, które ludzie mają czcić zamiast jednego jedynego Boga?

Adam oderwał wzrok od upiornych figur i wpatrzył się w niebo.

- Zostawiam Deborę w twoich rękach. Nikt mi się z niczym nie zwierza, ale, jak sądzę, sprawy nie ułożyły się dla niej pomyślnie. Jakież to małżeństwo zawarła? Oczy nowo poślubionej powinny być pełne szczęścia, natomiast w jej oczach kryje się smutek. Ty pewnie wiesz dlaczego?

- Sądzę, że to rozumiem. - Łukasz z powagą pokiwał głową. - Czas to uleczy.

Adam nie podzielał tego przeświadczenia.

- Chcę wierzyć, że masz rację, Łukaszu Skrybo - powiedział z goryczą. - Szczęście Debory tak wiele dla mnie znaczy, że wróciłbym z krańców Sin, żeby jej dopomóc.

Właściciel karawany pogrzebał przy pasie, wyjął nieduży woreczek związany w niedbały węzeł i podał go Łukaszowi.

- Proszę cię o przysługę. Oddaj to naszemu niezbyt gorliwemu żonkosiowi. Mówiłem ci, że go oszukałem przy sprzedaży wielbłądów. Tutaj jest nadwyżka, jaką od niego wziąłem.

Łukasz przyjął woreczek, wnioskując z jego wagi, że zysk, jakiego się Adam zrzeka, jest niebagatelny. Oczy Łukasza nieco się ożywiły. Uśmiechnął się ciepło do swego towarzysza.

- To jeszcze jeden dowód twego gorącego serca. W szczodrobliwości prześcigasz samego siebie.

- Bynajmniej - ton głosu Adama był ostry. - Jestem wielkim samolubem. Odbieram Bazylemu to zadowolenie, jakie mu dawało poczucie wyższości. Myślę, że odzyskanie tych pieniędzy nie sprawi mu przyjemności. Wolałby nadal żyć z przekonaniem, że postąpiłem nieuczciwie, że nie jestem lepszy od zwykłego chciwego handlarza. No cóż, tu są te pieniądze. Dopilnuj, żeby je zaraz dostał. - Po chwili zmienił wyraz twarzy i odezwał się przyjaźnie: - Jakie są twoje dalsze zamiary?

- Przed wyjazdem z Jerozolimy otrzymałem wiadomość od Pawła. Przekazał mi różne polecenia i teraz zajmę się ich wypełnieniem. Odnoszą się głównie do sytuacji Kościoła w Antiochii. Jest obiektem działania prozelitów żydowskich i ostatnio poniósł pewne straty, osłabł. - Oczy Łukasza rozbłysły zapałem. - To tutaj zapadła decyzja niesienia Słowa do wszystkich narodów świata. To tutaj zrodziła się nazwa “chrześcijanin” i tu zaczęto jej używać. Pomyślność

Kościoła antiocheńskiego leży nam bardzo na sercu.

- Czy wciąż wierzysz w to, że Jerozolimie zagraża zguba? - W głosie Adama zabrzmiała nuta ironii.

- Wciąż mi się to śni - odparł Łukasz. - To wkrótce nastąpi, Adamie. Będą walki i pożoga, ulice Świętego Miasta zaleje krew. Paweł obawia się tego samego. Wierzy, że zeloci doprowadzą do zrównania z ziemią Jerozolimy podburzaniem do zbrojnego oporu przeciwko Rzymowi. To drugi powód, dla którego nalega na wzmocnienie naszej bazy właśnie tutaj. Nie wolno dopuścić do tego, by zapomniano o nauczaniu Jezusa, kiedy spłoną mury Miasta Dawida.

Powaga słów starego lekarza przemówiła do wyobraźni Adama. Poczuł się trochę zaniepokojony.

- Więc nie masz zamiaru tam wracać? - spytał.

- Wkrótce wracam. Jeśli zapadnie decyzja, że Paweł ma być odesłany do Rzymu na rozprawę sądową, odbędę podróż razem z nim. Jeśli natomiast wyrok będzie wydany w Cezarei, zajmę miejsce u jego boku.

Adam spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Zmieniłeś się, Łukaszu! Zawsze uważałem cię za łagodnego i bardzo ludzkiego, za jedynego ucznia Nazarejczyka z błyskiem humoru w oczach. Teraz stajesz się taki, jak oni wszyscy. Mówisz o śmierci i zniszczeniu. Wciąż mi wygłaszasz kazania, że Miasto Dawida będzie zburzone. Czuję się zawiedziony, Łukaszu Lekarzu. Wolałem ciebie takiego, jakim byłeś przedtem, zanim przyszło ci przywdziać togę proroka.

- Czy muszę ci powtarzać, że nie jestem prorokiem? Jestem starym człowiekiem, który widzi, że sprawy na świecie przybierają zły obrót. Zawsze myślałem, że prawd głoszonych przez Jezusa będzie można nauczać, szerząc naukę miłosierdzia i współczucia. Teraz serce moje jest zimne, bo zaczynam widzieć, że ziarno musi być zasiane w ziemię naznaczoną tragedią. Drzewo wyrośnie i spotężnieje tylko wtedy, kiedy będzie podlewane krwią męczeństwa. - Westchnął i rozłożył ręce gestem rozczarowania. - Niełatwo zmienić ludzkie nawyki. Wygląda na to, że samą dobrocią nie można dotrzeć do ludzkiego umysłu. Do człowieka bardziej przemawia przemoc. Być może Kościół Jezusa umocni się w płomieniach Jerozolimy. Być może wiara musi być ustawicznie odnawiana przez prześladowania i okrucieństwa.

Adam odzyskał swój zwykły nastrój. Uśmiechnął się i pomachał beztrosko do Łukasza, odwracając się, aby wejść do domu.

- A więc zobaczę cię w Jeruzalem, mój czcigodny przyjacielu - powiedział. - W mieście będzie panował wielki ruch, ale napełni je pokój i gdziekolwiek się zwrócimy, będziemy mieli przed oczami kopułę Świątyni. Jedyne zawodzenia, jakie dadzą się słyszeć, będą dochodziły od

Ściany Płaczu.

4

Debora zabrała się z zapałem do urządzania nowego domu. Adam znalazł ją w obszernej komnacie na parterze, w otoczeniu służby, którą gorliwie pouczała, jak rozmieścić przywieziony dobytek. Policzki miała lekko zarumienione z emocji i widać było, że w tej chwili jest szczęśliwa.

Pogoda przyniosła coś, co graniczyło z cudem. Od morza wiał lekki podmuch, który rozproszył mroczny zaduch miasta. Wierzchołki zielonych drzew w pierwszym z dwóch wewnętrznych ogrodów kołysały się lekko, zapraszając w miły cień. Debora przywdziała jedwabną tunikę i zgodnie z ówczesną modą tylko prawe ramię miała przykryte delikatną tkaniną. Był to strój pełen wdzięku, choć trochę krępujący ruchy, a przy tym uwydatniał korzystnie smukłą linię ramion i talii. W lewej ręce trzymała wachlarzyk w kształcie liścia palmowego.

Adam w krótkich słowach powiadomił ją o zamiarze odjechania po ogłoszeniu wyroku sądowego. Debora wyszła z kręgu otaczającej ją służby i zbliżyła się do niego. Wyglądała na zaskoczoną i zmartwioną.

- Dlaczego musisz tak szybko odjeżdżać? - spytała. - Na pewno potrzebujesz wypoczynku.

- Nie jestem tutaj potrzebny - mruknął. - A i moje własne interesy mnie naglą. Wracam do Aleppo, a stamtąd ruszam wprost na Wschód. Wrócę za parę miesięcy z wielkim ładunkiem cennych towarów.

- Tak bardzo będzie mi ciebie brakowało. - Z trudem powstrzymywała łzy. - Jak mam cię wynagrodzić za wszystko, co dla mnie zrobiłeś?

Adam pominął milczeniem jej słowa i zapytał, kiedy zamierza wrócić do Jerozolimy. Spodziewał się, jak wynikało z pytania, że już tam będzie, kiedy on powróci ze Wschodu, przywożąc plony swych trudów.

Ściągnęła brwi z namysłem, zanim odpowiedziała:

- Nie jestem pewna. Może nigdy nie wrócę. Antiochia to dom mego męża, a moje miejsce jest przy nim. Nie sądzę - na jej twarzy pojawił się rumieniec - aby mój ojciec chciał mnie jeszcze kiedyś zobaczyć. Może mnie wydziedziczyć i wyrzec się raz na zawsze. Po cóż więc miałabym wracać do Jerozolimy?

Adam zawsze panował nad swymi uczuciami. Teraz jednak pozwolił sobie na okazanie gniewu.

- Jak będziesz mogła żyć z dala od ołtarzy własnego narodu? - spytał. - Czy nie jest dla ciebie sprawą oczywistą, że Antiochia to miasto pogańskich szkaradzieństw? Tu ludzie kłaniają się bożkom, są lubieżni i nikczemni. Będziesz nieszczęśliwa.

- Adamie, tutaj jest pięknie! I jest tu duża wspólnota chrześcijańska. Nie widzę powodu, żeby się czuć nieszczęśliwą.

- Spójrz na ten dom! - Adam niecierpliwie zatoczył ręką koło. - Pełno tu nieprzyzwoitych posągów i pogańskich ozdób. Nawet mury są wykonane z płytek pochodzących z pustyni, gdzie czczą szatana, a nie z gładkiej skały wapiennej sprowadzanej z naszych rodzinnych wzgórz. Tutaj wszystko jest tak zdrożne, że skóra cierpnie ze wstrętu.

- Ależ ja widzę wokół tyle prawdziwego piękna! - zawołała Debora. - Rozkoszuję się nim. Ten cudowny powiew od morza, przepiękne ogrody, zieleń drzew i kwiaty, które kwitną za białymi, kamiennymi murami. Adamie, to jest zachwycające miasto. Sądzę, że mogę być tutaj szczęśliwa.

- Czy będziesz szczęśliwa, kiedy paschalny księżyc ukaże się na niebie, a ty nie będziesz mogła zobaczyć Świątyni o zmierzchu?

Adam odwrócił się i ciężkim krokiem ruszył ku drzwiom, gniewnie uderzając w zawieszoną na ścianie tkaninę.

- Pogańscy bogowie, pogańskie pomysły, cała ta artystyczna pustka! - zawołał. Przystanął i powiedział do niej przez ramię: - Z mojej podróży na Wschód wrócę wprost do Jerozolimy. Wydaje mi się, że już nigdy cię nie zobaczę.

- Adamie! - zawołała. - Z pewnością się zobaczymy. Czułabym się strasznie nieszczęśliwa, sądząc, że będzie inaczej.

- Sahuma - powiedział. Zawahał się, a potem dodał wzruszając ramionami: - Myślę, że teraz będę musiał rozejrzeć się za jakąś Leą.

Rozdział XX

1

Siedząc w sądzie na twardej, kamiennej ławie, mając nad sobą orły rzymskie wyryte w czarnym marmurze na ścianie, Debora miała świadomość, że ojciec ani razu nie spojrzał w jej stronę. Kiedy weszła, on już zajął swe miejsce, a obok niego siedział doktor praw z Jerozolimy, który mu towarzyszył. Między tą parą panowało kłopotliwe milczenie, lecz po wejściu Debory prawnik zaczął coś szeptać do jej ojca z wielkim przejęciem. Aaron nic nie mówił, ale kilka razy przytaknął głową.

Obserwowała ich w smutnym napięciu. "Mój biedny ojciec!" - pomyślała. - "Zawsze był nieszczęśliwym człowiekiem. Tyle razy się uskarżał, że więcej myślę o dziadku niż o nim. I miał rację, dziadka kochałam ponad wszystko."

Potem przypomniało się jej imię mężczyzny, towarzyszącego ojcu. Nazywał się Ohad. Zajmował wysokie stanowisko w radach prawniczych i często słyszano go w Sanhedrynie. Fakt, że Aaron przywiózł go z tak daleka do Antiochii, świadczył o tym, jak dalece jest zdecydowany walczyć o fundusze, które jego ojciec zdeponował u Jabeza. Nos Ohada sterczał z jego długiej i wąskiej twarzy jak dziób drapieżnego ptaka. Poczuła do niego antypatię i nieufność.

"O czym tak szepczą?" - zastanawiała się. Naturalnie o niej. Ponury wyraz oczu ojca upewniał ją, że nigdy jej nie przebaczy.

Adam i Łukasz siedzieli obok niej na ławce. Bazyli jednak nie czuł się na tyle dobrze, żeby przyjść. Jej dwóch towarzyszy mówiło niewiele, z niepokojem wpatrywali się w Jabeza. Ten ostatni siedział na wprost podniesionego podium; był niski, jak mówiono, bardzo schludny, ubrany w nieskazitelną togę, przybraną ciemnopurpurowymi pasami. Miał ładnie przystrzyżoną brodę i obfitą czarną grzywę wypomadowanych włosów. Przed nim leżał cały stos pergaminów, które od czasu do czasu pospiesznie przerzucał swymi wypielęgnowanymi rękami.

- Wszystko zależy od tego bankiera - szepnął Adam. - Wszyscy inni to tylko manekiny: Aaron, ten żarłoczny pelikan, którego ze sobą przywiózł w charakterze prawnika, a nawet sędzia. Ważne jest tylko to, co powie i zrobi Jabez. Chciałbym wiedzieć, co się kryje w jego głowie.

Debora znów spojrzała na wytwornego niziutkiego bankiera i orzekła w duchu, że trudno zgadnąć, o czym on teraz myśli. Jego twarz była nieprzenikniona.

- Skoro nie można poznać jego myśli - ciągnął dalej Adam - chciałbym mieć tutaj Beniego Plotkarza, aby się dowiedzieć, co mówi o nim pospólstwo. Być może - wstał cicho z miejsca - uda mi się zdobyć jakieś informacje.

Niewielka liczba osób zebranych na sali sądowej nie zwracała uwagi na główne postacie.

Oczy ich były zwrócone wyłącznie na księcia Ping-$li, który wszedł z całym orszakiem służby i zajął miejsce na sali. Z podnieceniem szeptano o jego kosztownej karminowej szacie, gęsto przyozdobionej drogimi kamieniami. Ponieważ krzesło, na którym spoczął, nie miało bocznych poręczy, wezwał dwóch służących, aby podtrzymywali jego przedramiona na poduszkach służących specjalnie do tego celu. Ten widok zadziwił widzów i jednocześnie rozbawił. Opowiadano sobie różne historyjki o księciu, że jest słynnym czarnoksiężnikiem ze Wschodu, jeżdżącym na smoku, który zieje ogniem, a ponadto może wzywać demony wlatujące przez okna i jest w mocy zetrzeć na proch doczesny przepych i majestat Rzymu. Jest podobno człowiekiem tak bogatym, że Jabez musiałby się przed nim kłaniać i płaszczyć; włada potężną, nieznaną krainą, a zjawił się tutaj osobiście, aby poznać prawo rzymskie.

Tym, kto zasługiwał na największą uwagę (a okazywano mu jej wyjątkowo mało), był siedzący wysoko nad nimi sędzia pogrążony w ponurym milczeniu. Debora rzuciła tylko jedno spojrzenie w jego stronę i wpadła w panikę z obawy, że nie można się spodziewać sprawiedliwego wyroku po kimś, kto tak wyraźnie naznaczony jest piętnem korupcji. Był to krępy, przysadzisty, stary człowiek o przekrwionych oczach, którego sflaczałe policzki obwisły jak u myśliwskiego psa. Sapał i stękał, kiedy musiał zmienić pozycję ciała. Jego przepocona toga była nieporządnie udrapowana na tłustych, spasionych ramionach. Obok niego siedział chudy, rudawy mężczyzna, podobny do fretki, z plikiem dokumentów w rękach.

Kiedy jednak stary sędzia o tak niemiłym wyglądzie przemówił, jego głos wywołał pewne zdziwienie. Był to głos czysty, precyzyjny, dobrze wymodulowany.

- Ten dokument jest sporządzony, jak się zdaje - rozpoczął - zgodnie z Dwunastu Tablicami. - Rzucił okiem na Aarona i jego prawnego doradcę. - Jakie punkty chcecie podnieść, abym je rozważył?

Ohad wstał wolno z miejsca. Nogi miał pałąkowate i robił wrażenie czapli, czatującej nad brzegiem strumyka na nieroztropną rybę.

- “Człowiek porywczy nie może być nauczycielem” - zacytował. - Będę się starał, o uczony sędzio, omawiać punkty, o które nam chodzi, bez cienia emocji. Ponadto będę mówił krótko, tak jak przystoi. Pozwól mi zacząć od przytoczenia prawa. “Człowiekowi nie wolno wydziedziczyć swego prawowitego spadkobiercy.”

- Cytujesz prawo? Tego nie ma w Dwunastu Tablicach. Z jakiego więc prawa?

Ohad, który przemawiał aksamitnym, namaszczonym tonem, nie ukrywał brzmiącej w nim nuty wyższości.

- Prawo narodu hebrajskiego, o uczony sędzio.

- To jest sąd rzymski - zauważył sędzia sucho.

- Stosuję hebrajskie nazwy tylko dlatego, że są mi najlepiej znane. Usilnie proszę o pobłażliwość w tym względzie. Uczony sędzio, wyrażona przeze mnie reguła jest taka sama w każdym prawie. Znajduje się też w Dwunastu Tablicach. “Człowiekowi nie wolno wydziedziczyć swego prawowitego spadkobiercy”.

Kilku mężczyzn poderwało się na równe nogi, żeby współzawodniczyć o miejsce przed frontową ławą, z widocznym zamiarem zabrania głosu. Sędzia nakazał ciszę gestem dłoni.

- To ja, Fabiusz Mariusz, mam decydujący głos w tej sprawie. Dwanaście Tablic pozwala ojcu na wyłączenie syna z praw do dziedzictwa pod warunkiem, że imię syna jest ściśle określone i podane.

Jeden z mężczyzn domagających się prawa głosu wykrzyknął:

- Czy mogę zwrócić uwagę uczonego sędziego na fakt, że dokumenty, które Józef z Arymatei określił jako wskazówki dla Jabeza, ściśle stwierdzają, że jego syn Aaron nie powinien otrzymać żadnych pieniędzy? Instrukcje są jasne i nie dopuszczają błędnej interpretacji.

Teraz nie było już wątpliwości, że nie stosowano ustalonych prawideł dla przedstawienia dowodów bądź wysłuchania świadków. Mężczyźni tłoczyli się poniżej ławy sędziego, wyrażając swoje opinie, albo usiłowali zwrócić uwagę na posiadane dokumenty. Ci zapaleni dyskutanci, rekrutujący się z obu stron, wszyscy byli bez wyjątku starszymi ludźmi uczonymi w prawie. Trzęsły im się głowy i długie brody od porywczości, jaka ich opanowała.

Ohad szybko nabrał przekonania, że kwestionowanie wyłączenia Aarona z praw do dziedziczenia na nic się nie zda. Opadł na ławę i zaczął z przejęciem rozmawiać ze swoim mocodawcą. Ten ostatni początkowo najwyraźniej nie chciał się z nim zgodzić. Obstawał przy swoim, pełen posępnej wściekłości i ustąpił dopiero wtedy, kiedy przeważyły argumenty przedstawione przez sędziego. Sposób, w jaki skulił ramiona, wskazywał bardziej na zawziętość niż na rezygnację. Kiedy Ohad powstał, żeby przedstawić ich drugie roszczenie, Aaron odwrócił się i utkwił ponury wzrok w najbliższym oknie.

- O sędzio - zaczął prawnik - w przepisach nie ma nic, co by zaprzeczało prawom Aarona do działania jako opiekunowi swej córki. Powiem nawet, że jest ustanowione, aby to on sprawował w dalszym ciągu wszystkie obowiązki i ponosił całą odpowiedzialność, dopóki córka jest pod jego opieką.

- Czy jest nieletnia? - W głosie sędziego brzmiała wyraźna nuta sceptycyzmu. Przebiegł oczami krótkowidza po sali sądowej. - Przypuszczam, że jest tu obecna. Niech Debora, córka Aarona, która jest stroną w tej sprawie, powstanie.

Debora wstała. Zarumieniła się, zdając sobie sprawę, że każda para oczu na sali zwróciła się ku niej, z wyjątkiem oczu jej ojca, który nadal spoglądał w okno. Była ubrana skromnie, w białą

pallę ze złotymi i błękitnymi szlakami, a włosy miała przewiązane złotą wstążką. Sędzia przechylił się nad ławą, żeby lepiej widzieć, a potem kiwnął aprobująco głową.

- Kobiety nie mogą być wzywane na świadków - powiedział - więc nie wolno mi zadać ci żadnego pytania. Niemniej pragnę oświadczyć, że już wyciągnąłem dwa wnioski. Pierwszy, a jestem pewien, że wszyscy ze mną się zgodzą, iż córka Aarona jest doprawdy bardzo piękną, młodą kobietą. - Na sali sądowej rozległy się śmiechy, a sędzia rozpromienił się i przytaknął głową jak sędziwy, lecz figlarny faun. - Drugi wniosek, że jest dorosła według prawa, gdyż w moim rozumieniu prawo hebrajskie określa ten wiek na trzynaście lat i jeden dzień.

Łukasz wstał i podszedł do ławy sądowej.

- Chcę przedstawić dokumenty - powiedział - na dowód, że Debora, córka Aarona, ma szesnasty rok.

Fabiusz spojrzał z góry podejrzliwie na Łukasza.

- Kim jesteś?

- Nazywają mnie Łukasz Lekarz. Przez wiele lat byłem bliskim znajomym, a nawet bliskim przyjacielem zmarłego Józefa z Arymatei. Przebywałem w jego domu i byłem świadkiem zaślubin jego córki. Towarzyszyłem jej z Jerozolimy do Antiochii.

Sędzia sprawdził leżącą przed nim listę.

- Nie byłeś wezwany na świadka - powiedział z niezadowoleniem.

- Ten człowiek jest rzecznikiem chrześcijan - oznajmił Ohad ostro. - Od wielu lat towarzyszył niejakiemu Pawłowi z Tarsu w jego wędrówkach po kraju.

Oczy Fabiusza przeniosły się wolno z Ohada na Łukasza.

- Jesteś towarzyszem Pawła z Tarsu. Mimo to, gotów jestem przyjąć odnośne dokumenty. Ale nie otrzymasz zgody na podanie ustnych dowodów.

Fabiusz z wprawą przejrzał szybko pergamin.

- Zawarte tutaj oświadczenia - oznajmił potakując głową - potwierdzają wnioski, do których już doszedłem. Córka jest dorosła według prawa. - Skłonił głowę w jej stronę. - Możesz teraz usiąść.

Kiedy Debora zajęła miejsce, Adam podszedł na palcach i stanąwszy z tyłu zaczął jej szeptać do ucha.

- Dowiedziałem się czegoś. Twój ojciec był dziś rano u Jabeza i sprzeczali się głośno. Twarz bankiera była zaczerwieniona z gniewu, kiedy odprowadzał ojca do drzwi. Czy brał już jakiś udział w sprawie?

- Żadnego - odparła Debora. - Ani razu nie podniósł oczu.

Adam był wyraźnie zakłopotany.

- Nie rozumiem tego - wyszeptał. - Czyżby Jabez zamierzał trzymać się na uboczu i pozostać neutralny? Jeśli tak zrobi, nie będzie to dla nas korzystne.

- Myślę, że dobrze zrobiliśmy, nie powierzając mu naszych dokumentów - szepnęła Debora.

Adam jeszcze niżej pochylił głowę.

- Zebrałem również trochę informacji o sędzim. Był w Rzymie niewolnikiem, ale uzyskał wolność, a później stał się obywatelem rzymskim. To może być dla nas pomyślna okoliczność. Mówią, że utrudniano mu zajęcie się tą sprawą.

Debora spojrzała na sędziego innymi oczami. Wydawało jej się teraz, że w jego nalanej twarzy, usianej purpurowymi żyłkami, może uchwycić ledwo dostrzegalny ślad dobrotliwości.

- Ma dobrą pozycję w Rzymie, ale przysporzył sobie wielu wrogów, wypowiadając się szczerze o osobach stojących wyżej. Wysłano go tutaj poniekąd jak na wygnanie. Nic się nie zmienił. Nadal przysparza sobie wrogów uporczywą bezstronnością. Prości ludzie go lubią i uważają za uczciwego człowieka. - Po chwili dodał: - Nie ma zbyt wielkiej wiedzy. Całkowicie polega na tym rudzielcu, który jak cień siedzi za nim. Ten zaś jest przekupny niczym zawodowy żebrak.

Fabiusz podniósł rękę, aby uciszyć kłócących się ludzi.

- Uczony mąż z Jerozolimy utrzymuje - rozpoczął - że spadkobierczyni jest pod kuratelą ojca. Ten przepis nie ma zastosowania, gdyż występuje ona w sądzie jako kobieta zamężna. Jest teraz pod opieką męża.

Chociaż Ohad oznajmił na wstępie, że ma zamiar nie unosić się gniewem, w tym momencie emocja wykrzywiła mu twarz, a w jego głosie zabrzmiało rozdrażnienie, którego nie próbował ukryć.

- Człowiek, którego poślubiła, to były niewolnik! - zawołał. - Otrzymał wolność dopiero przed paru tygodniami. Stwierdzam to i jestem pewien, że nikt nie zdoła podważyć tego, co powiedziałem. Wyzwoleniec nie może sobie uzurpować władzy głowy rodziny. W razie konieczności jesteśmy gotowi bronić tego punktu w najwyższym trybunale świata.

Szmer głosów wypełnił salę sądową. Widać było, że pewna doza aprobaty dla słów doktora praw podsyciła napięcie wśród zebranych.

- Przed niespełna godziną - oznajmił sędzia - inny sąd przekazał nam podanie człowieka, który jest mężem spadkobierczyni w tej sprawie. Podanie dotyczyło przywrócenia obywatelstwa rzymskiego. Zostało to zatwierdzone.

Przez chwilę ludzie na sali sądowej byli tak zaskoczeni tym oznajmieniem, że zaległa kompletna cisza. Debora poderwała się z ławki, nie zdając sobie sprawy, że to robi, pełna radosnego uniesienia, jakiego nigdy dotychczas nie zaznała. Z trudem się powstrzymała, żeby

głośno nie krzyknąć. Wokół niej ludzie również powstawali i widziała, że na większości twarzy malowała się pełna podniecenia aprobata. Potem milczenie zostało przerwane głośnym wybuchem entuzjazmu, do którego się przyłączyła.

Z początku sędzia nie reagował na wrzawę. Wyglądało na to, że chciał podkreślić publiczną akceptację, zanim po raz drugi nakaże spokój. Kiedy podniósł rękę do góry, reakcja nie była natychmiastowa. Minęło wiele sekund, zanim nastała cisza.

Ohad stał przez cały czas tej demonstracji. Jego oczy miotały się po sali z nieukrywanym zdumieniem. Kiedy przywrócono ciszę, zaczął mówić, lecz brakowało mu już tej swady, jaką przejawiał uprzednio.

- Posunięcie sądu - oznajmił - jest dla nas całkowitym zaskoczeniem. I muszę dodać, że daje powód do zdumienia. Wobec tego muszę złożyć oświadczenie w imieniu mego zleceniodawcy Aarona, syna Józefa. Z chwilą powrotu do Jerozolimy zamierza on poczynić kroki, zmierzające do unieważnienia małżeństwa córki. Ona nie miała jego zgody. W samej rzeczy ojciec nic nie wiedział o jej zamiarach. Dowiedział się o tym dopiero po zaślubinach. Co więcej, ceremoniał zaślubin nastąpił po śmierci Józefa z Arymatei. Zgodnie z naszym prawem, małżeństwo nie może być zawarte przed upływem trzydziestu dni przepisowej żałoby.

Mężczyzna siedzący przy ramieniu sędziego pokazał mu poufnym gestem siedem palców. Fabiusz natychmiast się zorientował i podniósłszy głowę przemówił:

- Czy okres żałoby nie wynosi siedem, a nie trzydzieści dni?

- Siedem dni po śmierci kobiety, lecz trzydzieści, jeśli chodzi o mężczyznę - odpowiedział Ohad.

- Rozróżnienie - zawołał stary sędzia - z którym ja się nie zgadzam. Okres żałoby po zgonie dobrej kobiety nie powinien się różnić od żałoby po mężczyźnie paradującym w todze wysokiego urzędu. Wrogowie, którzy chcą mi zaszkodzić, a jest ich wielu, mogą wykorzystać moje słowa. - Przerwał, bowiem w tej chwili mężczyzna siedzący obok niego wsunął mu jakieś pismo do ręki. Udając, że je przeczytał, skinął głową i mówił dalej: - Złożono oświadczenie tej treści: Zaślubiny odbyły się na pół godziny przed śmiercią Józefa z Arymatei. Ponad pięćdziesiąt osób znajdujących się w tym czasie w domu albo podpisało ten dokument, albo opatrzyło znakiem.

Doktor praw argumentował dalej potokiem słów, do którego dołączyły się inne głosy. Na sali zapanowało zamieszanie. Sędzia pozwolił, by dyskusja ciągnęła się przez dość długi czas. Wreszcie gwałtownym gestem dał znak, że jego cierpliwość została wyczerpana.

- Mamy do czynienia z faktem dokonanym - oznajmił. - Ta młoda kobieta jest mężatką. Bez względu na to, co było w przeszłości, jej mąż ma dzisiaj obywatelstwo rzymskie. Zgodnie z prawem znajduje się pod jego kuratelą. Czy mam to zlekceważyć tylko z tego powodu, że sąd w

obcym kraju może uznać małżeństwo za nieważne? I to w sprawie, która jeszcze nie została wniesiona?

Debora i Łukasz spojrzeli na siebie. Jej oczy były szeroko otwarte z radości.

- Wygramy! - szepnęła z uniesieniem. - Mój dobry przyjacielu, czuję to. Widzę to w oczach tego dziwnego, starego człowieka. Wygramy!

Łukasz mrugnął z zadowoleniem.

- Ja też tak czuję - powiedział. - Jabez nie przyszedł nam z pomocą, lecz sędzia dba o uczciwą ocenę faktów. Tak, moje dziecko, jak dotąd mamy powody do zadowolenia.

Adam nie podzielał ich optymistycznego nastroju. Wpatrywał się przez salę w swego zadawnionego wroga, który naradzał się szeptem z prawnikiem.

- Będą jeszcze mieli coś do powiedzenia - zamruczał. - Ohad to szczwany lis. Jeszcze nie czuje się pobity. Nie bądźcie zbyt pewni siebie, zanim werdykt nie zostanie ogłoszony.

Aaron i Ohad wdali się w spór. Widocznie wielki doktor praw miał klienta wyjątkowo upartego i głuchego na argumenty. Aaron zimno zaprzeczał ruchem głowy wszystkiemu, co mówił Ohad. Raz nawet wykrzyknął:

- Nie, nie! Nie zgadzam się. Mówię ci, że nie!

Prawnik nadal nalegał i po pewnym czasie Aaron zaczął ustępować. Jego protesty przestały być gwałtowne, stały się raczej wyrazem poirytowania. Jeszcze potrząsał głową, lecz w tym zaprzeczeniu nie było już poprzedniego rozgorączkowania. W końcu poddał się, wyrzucając w powietrze obie ręce.

- O, uczony sędzio, celem moim jest zaproponowanie kompromisu - przemówił Ohad odwracając się do sędziego. - Jest to środek, na który mój klient nie wyraża pełnej zgody, bo uważa, iż ma prawa i przywileje, które winny być uznane. Jednak dla szybszego załatwienia sprawy zgodził się na propozycję, do której go nakłoniłem. Jet ona następująca. - Prawnik położył wskazujący palec na czubku nosa i wpatrzył się weń z ukosa w głębokim namyśle. - Uczony sędzio, odłóż powzięcie decyzji do czasu stwierdzenia legalności tego małżeństwa. Na razie niech kapitał zostanie w rękach Jabeza. Obracał nim przez wiele lat bardzo zręcznie i przewidująco, co wszyscy uznajemy. Ostateczny zwycięzca nie poniesie uszczerbku, jeśli Jabez będzie nadal nim zarządzał przez taki czas, jaki jest konieczny, aby sąd w Jerozolimie powziął decyzję.

- Wiedziałem, że tak będzie - zamruczał Adam. - Byłem pewny, że Ohad ma w zanadrzu jeszcze jakąś propozycję. To chytre posunięcie. Jeśli wygrają przed Sanhedrynem i małżeństwo zostanie unieważnione - a może tak być, choćby dlatego, że nie było zgody Aarona, albo wprost z racji posiadanych wpływów - wtedy tutejszy sąd przestanie uważać Deborę za mężatkę. Nic nie mają do stracenia, a wiele do zyskania. Tak, umysł Ohada jest ostry, jak nowe dłuto.

Radosny nastrój Debory prysnął. Spojrzała z lękiem na Łukasza i zobaczyła, że słucha tego, co mówi Adam, marszcząc z niepokojem brwi.

- Spójrz na sędziego - mówił Adam. - On patrzy na to, jak na sposób uniknięcia odpowiedzialności. Czy przypominasz sobie, że Poncjusz Piłat próbował za wszelką cenę uniknąć decyzji w sprawie Jezusa? Ten sędzia ma własne zdanie, lecz chętnie zrzuci z siebie odpowiedzialność. - Potrząsnął głową z dezaprobatą. - Nie podoba mi się to wszystko. Każda zwłoka będzie dla nich korzystna. Jeśli sąd odłoży decyzję zgodnie z tym, co proponuje Ohad, będą mieli wiele miesięcy, żeby podjąć skuteczne działania. W ciągu tego czasu słońce ich wpływów może się wznieść dostatecznie wysoko, by wypalić i zniszczyć wszystkie wschodzące kiełki sprawiedliwości. Powtarzam, to mi się wcale nie podoba. Przez ten wniosek możemy wszystko stracić.

W tym momencie u wejścia na salę sądową zrobiło się jakieś zamieszanie. Mimo sprzeciwu ze strony urzędnika przy drzwiach, na salę wkroczył Linus; jego błyszczący wzrok świadczył o tym, że ma pełną świadomość własnego znaczenia. Jedną ręką przytrzymywał togę, w drugiej niósł krótki bat używany przy jeździe rydwanem. Głośno stąpając szedł w stronę sędziego.

- Doszło do mojej wiadomości - stwierdził donośnym głosem - że toczy się tutaj sprawa dotycząca mego byłego niewolnika.

Podniecony Adam obrócił się na ławie.

- Spójrz na Jabeza! - wyszeptał. - Mógłbym przysiąc, że on dobrze wiedział o tym, co teraz nastąpi. Jego oczy są jak iskry z płonącego drewna.

W tym momencie twarz Jabeza, do tej pory pozbawiona wyrazu, jak ściana z marmuru, zwróciła się ku ławie, na której siedziała Debora i jej sprzymierzeńcy. Posłał im uśmiech, a potem, ku ich zdumieniu, pozwolił sobie na przymrużenie lewego oka. Było to jedynie ledwo dostrzegalne drgnięcie, ale żadne z nich nie miało wątpliwości, co zaszło. Wielki bankier mrugnął do nich.

- To jego pomysł - wyszeptał Adam. - Przewidział, że będzie z korzyścią dla nas, jeżeli ten człowiek wkroczy dumnie, jak zwycięski generał.

Stary sędzia spoglądał ze swego wzniesienia na Linusa, a w jego oczach pojawił się nagły chłód.

- Nie dostałeś wezwania, żeby się tu stawić.

- Nie dostałem wezwania, żeby się stawić. - Linus pozwolił sobie na uśmiech, co miało oznaczać, że takie drobiazgi jego nie dotyczą. - Tak się składa, że mam dla ciebie pewną wiadomość, Fabiuszu, więc oto jestem.

- Czy ta wiadomość dotyczy jednej ze stron w tej sprawie?

- Dotyczy niejakiego Bazylego, syna Terona, sprzedawcy piór. Dotyczy również uprawnień

niewolników i byłych niewolników.

- I uważasz, że twoje poglądy na te sprawy są godne uwagi sądu?

Linus zmarszczył się gniewnie.

- Tak jest. Wysłuchanie tego, co mam do powiedzenia, jest twoim obowiązkiem.

Sędzia nadal przemawiał głosem pełnym opanowania.

- Sądy nie stoją otworem dla wszystkich obywateli, którzy pragną wyrazić swoje opinie. Twoje poglądy na temat niewolnictwa są dobrze znane i w wielu kołach nie pozyskały uznania. Jest również rzeczą powszechnie wiadomą - jego zachowanie stało się nagle lodowate - że Linus mało sobie ceni literę prawa. Jest być może przekonany, iż wszyscy sędziowie łatwo ulegają korupcji. Jak widać, sądzi, że jest ponad przepisami, dotyczącymi mniej ważnych ludzi. - Wychylił się poza balustradę ławy i spojrzał groźnie na Linusa. - Jeśli miałeś informacje, które uważałeś za odnoszące się do tej sprawy, dlaczego wcześniej nie powiadomiłeś sądu?

- Oto jestem - oznajmił Linus.

Fabiusz sapnął i opadł na fotel. Nadal rzucał gniewne spojrzenia na nieproszonego świadka.

- Twoja informacja nie może mieć żadnego wpływu na rozstrzygnięcie tej sprawy przed tym sądem. Wyrok wydany przez inny sąd określił już statut prawny mężczyzny noszącego imię Bazyli. - Nagle wskazał palcem na stojącego przed nimi Linusa. - Odejdź! Nie zostaniesz wysłuchany!

Następnie sędzia zaczął wyjaśniać, że to wydarzenie wytrąciło go ze stanu niezdecydowania, z jakim słuchał przekonujących argumentów Ohada. Mocno uderzył pięścią o powierzchnię balustrady.

- Oznajmiam, że w toku niniejszego postępowania nie wpłynął żaden dowód, upoważniający sąd do zlekceważenia jasnych i dokładnych instrukcji, jakie zmarły Józef z Arymatei sformułował dla rozporządzenia tymi funduszami. To, co pragnął zrobić z tymi pieniędzmi, zostało ujawnione i jest w pełni zgodne z duchem i przepisami Dwunastu Tablic. Wola testatora, o ile jest zgodna z rozsądkiem, zawsze musi stanowić główną podstawę dla wyroku sądu. Natychmiast sformułuję addicto, upoważniające Jabeza do rozdzielenia funduszów zgodnie z tym, co zostało przedłożone w tych instrukcjach.

Stary książę, z pomarszczoną jak pergamin, pełną uśmiechów twarzą, znalazł się przy Deborze, jak tylko dano znak, że można wstać z miejsc.

- Z racji niedostatecznej znajomości języka nie miałem możliwości zrozumienia wszystkiego, o czym tu mówiono - oznajmił. - Z pewnością jednak, sądząc po waszych promiennych jak słońce twarzach, ten sędzia, którego mądrość jest większa, niż na to wskazuje jego wygląd, był sprawiedliwy i rozumny w swej decyzji. Jako skromny świadek waszego triumfu czuję się naprawdę bardzo szczęśliwy.

Debora rozglądała się po sali szukając Adama, ale nigdzie go nie widziała. Zdążył już pożegnać się z Łukaszem i opuścił sąd. Stojąc w drzwiach jeszcze raz się odwrócił, żeby rzucić pożegnalne spojrzenie na rozpromienioną młodą kobietę, która dotychczas była dla niego Rachelą, na której skupiała się jego wyobraźnia.

- Żegnaj! - wyszeptał. - Ponad dwadzieścia lat lekceważyłem prawo, które mówi, że mężczyzna musi się ożenić, jak dojdzie do lat osiemnastu. Muszę nadal je pomijać, gdyż widzę teraz, że zawsze będę nosił twój obraz w mym sercu, mała Deboro. Jednak nigdy więcej cię nie zobaczę.

2

Niższy urzędnik sądowy skłonił się przed Deborą, kiedy się szykowała do wyjścia.

- Twoja obecność, pani, jest pożądana w sali petentów - oznajmił.

Spojrzała na Łukasza szukając rady.

- Sądzę, że wzywa cię twój ojciec - powiedział Łukasz. - Pójdę z tobą aż do drzwi, aby się upewnić.

Istotnie, to Aaron po nią posłał. Był sam jeden w sali petentów. Z zabarwienia skóry w okolicy oczu i skroni widać było, że ciężko mu pogodzić się z decyzją sądu. Nie podnosząc wzroku nadal przekładał dokumenty rozłożone przed nim na stole.

- Czy to ty?

- Tak, ojcze.

- Na pewno jesteś zadowolona z tego, co zrobiłaś. Ściągnęłaś na mnie cierpienie i poniżenie. Musiałem stanąć przed obcym sądem, przed wrogim sędzią i widzieć moje jedyne dziecko sprzymierzone z moimi wrogami. A teraz muszę wracać do Jerozolimy, zostawiając ciebie z byłym niewolnikiem, którego poślubiłaś nie pytając mnie o zgodę.

- Ojcze, przepełnia mnie żal. - Debora odczuwała tyle współczucia dla ojca, że z trudem powstrzymywała łzy. - Gdyby istniała dla mnie jakaś inna droga, wybrałabym ją. Ale nie było żadnej innej drogi.

- Jestem pewien, że działałaś zgodnie z radą mego ojca. Od wielu lat zdawałem sobie sprawę, że nie darzył mnie uznaniem. Całe jego uczucie spłynęło na ciebie. Ja go nie zaznałem.

- Nie, nie, ojcze - zaprzeczyła Debora cichym głosem. - Mylisz się. Jestem pewna, że dziadek gorąco pragnął bliższego porozumienia z tobą i zrobiłby wszystko, żeby do tego doszło.

- On zbudował między nami mur nie do przebicia - Aaron podniósł głos. - Tylko dlatego, że odmówiłem dzielenia jego wierzeń religijnych, skradł mi twoje uczucia, a potem zrobił z ciebie chrześcijankę.

Aaron miał na sobie zwykłą białą szatę, która podkreślała spadzistość jego wąskich ramion. To czyniło go tak szczupłym i niepokaźnym, że serce jego córki napełniła litość. Podniósł głowę i po raz pierwszy spojrzał jej w oczy. Mówił ze wzburzonym pośpiechem.

- Pamięć o moim ojcu nie zasługuje ani na cześć, ani na poważanie. Utracił wszelkie prawa do synowskich uczuć. Nigdy więcej nie chcę słyszeć jego imienia. - Pochwycił jeden z dokumentów leżących na stole i potrząsnął nim przed Deborą. - Jeśli podpiszesz ten dokument, będziemy jeszcze mogli uniknąć następstw twego czynu.

Debora z drżeniem popatrzyła na dokument.

- Co to jest?

- Twoja zgoda na pewne warunki. Jeśli to podpiszesz, wrócisz ze mną do Jerozolimy i będziesz stroną w sprawie sądowej, którą wniosę o unieważnienie twego małżeństwa. Zgodzisz się również na objęcie przeze mnie nadzoru nad tą spuścizną do czasu, aż wyjdziesz za mąż za moją zgodą. Podpisz ten dokument, zbłąkane i nierozważne dziecko, a przywrócę ci wszystkie twoje prawa! Ty i twoje dzieci dziedziczycie wszystko, co posiadam. A do tego czasu będziesz panią mego domu, jedynym przedmiotem mojej miłości i troski.

- Wiesz, ojcze, że nie mogę tego zrobić - Debora zaczęła łkać.

- A dlaczegóżby nie?

- Ponieważ - potok łez utrudniał jej mówienie - to byłoby odrzucenie tego wszystkiego, czego pragnął dziadek. I oznaczałoby opuszczenie męża, którego kocham z całego serca. Musisz wiedzieć, że to, o co prosisz, jest niemożliwe.

Aaron cisnął dokument przed siebie.

- Dobrze się zastanów, dziecko. Twoja szansa pogodnego, szczęśliwego życia i bezpiecznej przyszłości zależy od decyzji, jaką podejmiesz.

- Nie mogę zrobić tego, czego żądasz.

- Czy to twoje ostatnie słowo?

- Tak, ojcze.

Aaron powstał. Krew odpłynęła z jego policzków, pokryły się bladością. Zerwał płócienną tunikę z ramion i rozdarł ją na połowę.

- Więc słuchaj, co mam ci do powiedzenia, uparta i nieczuła córko! Tak jak zrzucam z siebie ten przyodziewek, wyrzucam ciebie z mego życia. Od tej chwili przestajesz być moją córką. Twoje imię nigdy nie będzie wymówione w zasięgu moich uszu. To jest moja ostateczna decyzja, nigdy jej nie zmienię.

Kiedy Debora powiedziała Łukaszowi, co zaszło, ten pokiwał poważnie głową.

- Można się było tego spodziewać. Twój ojciec doznał wielkiego zawodu. Podjął jedyną

dostępną dla siebie formę odwetu.

- Jego serce z pewnością zmięknie. Czy nie sądzisz, że z czasem zmieni swe postanowienie?

- Najlepiej być zawsze szczerym, moje dziecko. Nie, ja sądzę, że małe są szanse, aby złagodniał. Skoro już wybrał taką drogę postępowania, z pewnością z niej nie zawróci.

Łzy znów popłynęły z oczu Debory. Po kilku chwilach niepohamowanego płaczu zaczęła się histerycznie śmiać.

- Tak, on nigdy nie naprawi rozdarcia między nami! Jestem jednak pewna, że pierwszą rzeczą, jaką zrobi, będzie oddanie rozdartej na połowę tuniki do zreperowania.

Rozdział XXI

1

Kiedy następnego dnia wprowadzono ich do ogromnego pokoju, Jabez siedział przy długim stole. W tym zacisznym pomieszczeniu nie było ani śladu zamieszania i targów panujących w kantorach wymiany pieniędzy, gdzie denary wymieniano na drachmy i półszekle, a mężczyźni targowali się o leptony nazywane zwykle mait. Cisza tak zupełna, jaką można znaleźć tylko na wysokim wzgórzu w bezwietrzny dzień, napełniała tę wyniosłą komnatę z filarami. Jabez podniósł wzrok znad niewielkiego pliku dokumentów, jaki miał przed sobą i zaprosił ich, żeby usiedli.

- Wszystko załatwione - powiedział bankier pukając w marmurowy blat stołu drobnymi, białymi kostkami palców. - Oto dokumenty do podpisu. Czy mogę wyrazić swoją radość z tak pomyślnego zakończenia sprawy, zgodnego z życzeniem mego najdroższego, starego przyjaciela? - Spojrzał pytająco na Deborę. - Męża nie ma przy tobie?

Łukasz podjął się wyjaśnienia sprawy.

- Lekarz uznał za niestosowne, by Bazyli opuszczał dziś dom. Będzie mógł przybyć tu jutro.

- Więc musimy odłożyć podpisanie dokumentów o jeden dzień. - Jabez podniósł ze stołu jakiś dokument. - Tu są zawarte warunki zapisu. Po podpisaniu masz otrzymać połowę należnych ci pieniędzy. Jest w tym pewna niedogodność dla mnie, gdyż suma jest duża, zaiste bardzo duża. Ale zdołam ją wypłacić. Masz nadto otrzymać na własność dom, w którym obecnie mieszkasz. Zgodnie z dyspozycją trzeba będzie zakupić dla ciebie biżuterię, wyposażenie domu, konie, asyryjskiego psa i egipskiego kota. Jest też wyznaczony przydział złota na kaplicę, której lokalizacja i charakter nie zostały tu określone. To, co zostanie po załatwieniu tych wszystkich spraw, ma pozostać tutaj na twoje późniejsze potrzeby. Mogę ci powiedzieć, że zostanie całkiem okazała suma.

- Nie zapomniałeś, panie, o mieczu z rękojeścią wysadzaną drogimi kamieniami dla mego męża? - zapytała Debora z niepokojem. - I o płaszczu ze złotą klamrą, i o nowych narzędziach oprawnych w srebrne rękojeści?

- Są w spisie. - Bankier pokiwał głową. - Nie wymieniałem wszystkich pozycji. - Potem dorzucił surowym tonem: - Nie pochwalam wielu z nich, jak ci już powiedziałem.

- Ma być złoty łańcuch dla Adama ben Aszera i piękny szmaragd dla żony, którą kiedyś poślubi. I upominki dla wszystkich mężczyzn z karawany i służby, która tu ze mną przybyła. I muszą być złote bransolety dla trzech synów Katoriusza z Równiny Ezdrelon, dla Semproniusza, Tyberiusza i Gajusza.

Jabez znów potaknął głową.

- Złotnik czeka na ciebie w innym pokoju z wzorami, które sama możesz wybrać.

Debora z uśmiechem odwróciła się do Łukasza.

- Najlepszy przyjacielu, co mam uczynić dla ciebie? Nie masz żadnych potrzeb osobistych. Dar w rodzaju tych przedmiotów, jakimi wyrażam wdzięczność wszystkim innym przyjaciołom, byłby niestosowny dla ciebie i dowodziłby braku zrozumienia z mojej strony. Może masz jakieś życzenie?

Łukasz położył serdecznym gestem dłoń na jej ręce.

- Mogę je od razu wypowiedzieć. Sakiewka, moje dziecko. Zwyczajna sakiewka, lecz napełniona drobnymi monetami, abym mógł przechodząc przez Dzielnicę Handlu ulżyć nieco panującemu tam ubóstwu. Niech będę rozdawcą twojej szczodrości.

- Tak! - zawołała Debora żarliwie. - To musi być taka magiczna sakiewka, która zawsze jest pełna.

- Twoje przybycie do Antiochii - dodał Łukasz - będzie pamiętnym wydarzeniem dla ubogich, głodnych starców w tamtej dzielnicy i dla niedożywionych dzieci.

- Uważaj! - zawołał bankier. - Ta magiczna sakiewka może wyczerpać fortunę nawet tak dużą, jak twoja, szczodrobliwa pani. - Ściągnął szczelnie wargi. - Nie wierzę w żadne magiczne sakiewki.

Wykonał ruch, jakby miał się podnieść, lecz zmienił zdanie. Po chwili wahania sięgnął po szkatułkę wysadzaną drogimi kamieniami, stojącą na stole obok jego ręki. Otworzył ją, ukazując zawartość w postaci lepkiej pasty o nieokreślonej barwie, która przypominała fiolet. Wskazującym palcem wyjął nader ostrożnie odrobineczkę pasty i położył na czubku języka. Zamknął oczy i westchnął z nieukrywaną przyjemnością. Usta mu się zacisnęły i dopiero po paru chwilach otworzył oczy, które nabrały zupełnie nowego blasku. Teraz nabrał energii i był ożywiony.

- To kannabis - wyjaśnił. - Pochodzi z Dalekiego Wschodu, z Indii. Nikogo nim nie częstuję. Surowo zakazałem wszystkim członkom mego domu dotykać pudełeczka. Nie ukrywam, że ulegam temu nałogowi, ale mam niezbędną siłę woli, żeby się ograniczyć do znikomej dawki. Nie mogę mieć pewności, czy ktokolwiek inny stosowałby takie samo ograniczenie, więc tylko ja mogę z tego korzystać. Kiedy po długotrwałej pracy ogarnia mnie zmęczenie, uciekam się do kannabisu. * Natychmiast przywraca mi siły. A teraz - odsunął pudełeczko na bok i zwrócił się do Debory - może są jakieś pytania, które chciałabyś mi zadać?

Kannabis (cannabis) - konopie, z których otrzymuje się opium (przyp. red.).

- Tak - odparła skwapliwie. - Chciałabym wiedzieć, jak to się stało, że przywrócono prawa obywatelskie memu mężowi. Z pewnością wiesz coś na ten temat.

- To nie było łatwe - odparł bankier. - Wiele w swoim czasie mówiono o pozbawieniu go

praw i niemal wszyscy byli przekonani, że potraktowano go niesprawiedliwie, że sędzia został przekupiony. Kiedy się dowiedziano, że jego wolność została wykupiona i że stara się teraz o przywrócenie praw, wielu obywateli wraz ze mną uznało, że nadarza się sposobność wynagrodzenia mu krzywdy choć w małym stopniu. Zdecydowaliśmy, że należy użyć pewnego nacisku i przeprowadzić sprawę w sądzie szybko i bez rozgłosu. Nie muszę dodawać, że wszyscy byliśmy przeciw Linusowi i temu, co on sobą reprezentuje. - Uśmiechnął się do Debory i energicznie potrząsnął głową, jakby chciał rozjaśnić myśli. - Byliśmy zgodni co do tego, że potwierdzenie powinno nastąpić w momencie, kiedy może się okazać bardzo przydatne. To nie był tylko zbieg okoliczności. W Rzymie nie mógłby tak szybko uzyskać obywatelstwa. Tam liczba niewolników i wyzwoleńców znacznie przewyższa liczbę zwykłych obywateli, toteż przepisy o niewolnictwie są ściśle przestrzegane. W prowincjach jednak, a zwłaszcza tutaj, w Antiochii, skłonni jesteśmy przymykać oczy na niektóre zarządzenia. Załatwiamy to na swój sposób. Przeprowadziliśmy cały zamysł zręcznie i w największej tajemnicy. Linus nic o tym nie wiedział. Gdyby wiedział, poruszyłby przeciw nam niebo i piekło.

- Skłonni jesteśmy uważać - wtrącił Łukasz - że zjawienie się Linusa w sądzie też było zaplanowane.

- Nie było przypadkowe. Linus to głupi wół. Nie przyszło mu na myśl, że pomysł jego zjawienia się w sądzie został mu celowo podsunięty. On wiedział tylko to, że ma okazję zaszkodzić Bazylemu. Fakt, że już nieraz krzyżował miecz z Fabiuszem, zwiększył tylko jego zapał, więc wkroczył na salę spodziewając się, że zmiecie wszystko na swej drodze.

Narkotyk zaczął działać. Oczy bankiera zwęziły się jak szparki. Opuściła go powściągliwość. Teraz zaczął przejawiać skłonności wprost teatralne.

- To był, jak sami widzieliście, wielki sukces. Fabiusz, rozgniewany ogromną pewnością siebie Linusa, poparł nasz punkt widzenia. - Jabez rozgadał się na dobre i zaczął się wyrażać coraz bardziej kwieciście. - Jemu zawsze przydałaby się kąpiel, temu naszemu dobremu przyjacielowi Fabiuszowi. Opój, żarłok, szyderczy satyr, zapleśniały skórzany worek na wino wyrzucony na brzeg przepełnionego rowu ściekowego. Ale kiedy go słuchałem, wydawało mi się, że otacza go wielka biała jasność, a u ramion wyrosła mu para nieskazitelnych skrzydeł waszych hebrajskich aniołów.

- Czy mój mąż będzie bezpieczny?

Wylewność znikła i Jabez zaczął z uwagą zastanawiać się nad sytuacją, bębniąc po stole końcami swych kształtnych palców.

- Linusa z pewnością należy zaliczyć do czyhających na każdą sposobność wrogów - powiedział. - Na szczęście jego znaczenie maleje. Zaczął z wielką pompą i fanfarami, ale ostatnio

popełnił wiele błędów. Wdał się w kilka nieprzemyślanych spekulacji i zawarł parę niezbyt roztropnych politycznych sojuszów. Skutki zaczynają być odczuwalne. W tej chwili Linus wycofuje się na pozycje obronne.

Wielki bankier zsunął się z krzesła. Podniosły nastrój wywołany przez narkotyk zaczął go opuszczać. Oczy miał zimne i groźne. Nikomu, kto go widział w takim nastroju, nie przyszłoby nawet na myśl, że jest niepokaźnej postaci.

- Mamy pewne zamiary wobec tego osobnika. On się nam nie podoba. Niedługo podejmiemy jakieś kroki, aby powrócił tam, gdzie jest jego miejsce.

Chłód znikł z oczu Jabeza równie szybko, jak w nich zawitał. Nawet się uśmiechnął.

- A teraz pomówmy o czymś dużo przyjemniejszym. Pójdziemy na górę złożyć wizytę mojej żonie.

2

Podobna do pięknej i cnotliwej Lukrecji podczas odwiedzin niewiernego Sekstusa, pani Antonia siedziała w otoczeniu swoich służek, kiedy weszli do jej apartamentów. Ale na tym kończy się porównanie. To prawda, że niektóre ze służek były zatrudnione przy kądzieli lub igle, ale sama Antonia nie dzieliła z nimi żadnej pracy. Spoczywała na łożu i podczas gdy jedna ze służek barwiła i polerowała jej paznokcie, ona wyglądała bezczynnie przez otwarte okno, w którym ostatnie podmuchy wiatru poruszały firankami. Wydawało się rzeczą pewną, że w pozycji stojącej nieco przewyższa swego małżonka, a jej smagła uroda niewątpliwie rzucała się w oczy.

Debora natychmiast zauważyła, że Antonia zadała sobie niemało trudu z fantazją projektując swoją szatę. Na ogół była to sprawa bardzo prosta, kilka kolorów i parę zaledwie przyjętych przez modę fasonów. Antonia z pewnością nie uznawała żadnych ograniczeń. Jej oszałamiająco wymyślna szata była w kolorze śliwkowym z żółtymi wyłogami na ramionach, obszytymi szafirowym galonem z gwiazdą w tym samym odcieniu na piersi. Od talii, która nie była dopasowana, lecz luźno wyrzucona, aby zatuszować pasek, promieniowały cienkie, ostro zakończone strzałki złota zwrócone w dół i do góry, oblamowane jaśniejszym odcieniem szafiru. Każde poruszenie jej ramion odsłaniało - co było czymś zdumiewającym - złotą barwę jedwabnego podbicia rękawów. Deborę tak zafascynowała oryginalność i śmiałość stroju, że nie mogła oderwać oczu od postaci matrony.

Być może działanie narkotyku już minęło. Być może Jabez zawsze zachowywał powściągliwość w obecności swej wspaniałej żony. W każdym razie zwrócił się do niej przyciszonym głosem:

- Moja słodka żoneczko, mój delikatny pączku fuksji, przyprowadziłem ci gości. Oto

Łukasz Lekarz, a to jest Debora, wnuczka mego dawnego, bardzo bliskiego przyjaciela, Józefa z Arymatei. Wiele o nich słyszałaś.

Jego żona, nie zwracając żadnej uwagi na Łukasza, utkwiła swe zdecydowane, piękne, choć może zbyt śmiałe, czarne oczy w Deborze, nie starając się ukryć zainteresowania.

- Bardzo wiele o tobie słyszałam - odezwała się - tak wiele, iż obawiam się, że będę wścibska, zadając ci dużo pytań.

- W takim razie - wtrącił Jabez żartobliwie - pozostawimy was razem, urocze dziewczątka, na świergotanie i ploteczki. Może pozwolicie nam wrócić później na poczęstunek, jakim zechcecie nas przyjąć.

Kiedy tylko obaj mężczyźni wyszli, żona bankiera natychmiast zaczęła badać stan uczuć Debory.

- Jesteś bardzo młoda - zaczęła - ale mam wrażenie, że nie radujesz się pełnym upojenia szczęściem, które, jak się uważa, towarzyszy pierwszym dniom po ślubie z ukochanym mężczyzną. To było małżeństwo z miłości, prawda?

- Mój mąż - powiedziała Debora z wahaniem - jest mężczyzną, którego wybrałam.

Pani Antonia znalazła nową pożywkę do snucia refleksji.

- Wybacz, jeśli uznasz to za obcesową ciekawość z mej strony - wtrąciła - jestem jednak pewna, że potrzebna ci rada kogoś starszego i bardziej doświadczonego. Chyba się nie mylę?

Debora zdecydowała się zaufać tej nowej znajomości.

- Tak, to prawda - odparła.

Ciemne oczy matrony badały ją z takim zaciekawieniem, jakie uczony może okazywać jakiemuś nowemu okazowi.

- Czy to możliwe, że ten twój młody małżonek ma jakieś, powiedzmy, inne zainteresowania?

Debora, skrępowana obecnością służek, zwlekała z odpowiedzią. Matrona od razu zauważyła jej wahanie i zrozumiała jego przyczynę.

- Nie zwracaj uwagi na te dziewczęta. Zawsze mam je przy sobie. One mnie zabawiają i ożywiają. Bez nich czuję się zagubiona.

- Ale to, co chciałabym powiedzieć, jest przeznaczone tylko dla twoich uszu.

- One nigdy nie powtarzają tego, co usłyszą, ani nie opowiadają o tym, co zobaczą. Wyszkoliłam moje pieszczoszki, aby zachowywały absolutne milczenie i dyskrecję. Jeśli chcesz, abym ci była pomocna, musisz się przystosować do moich zwyczajów. Pewnie uznasz to za dziwne, ale ręczę, że możesz mówić przy nich zupełnie swobodnie. - Usiadła na łożu, aby dosięgnąć ręką ramienia swego gościa i poklepać je uspokajająco. - Moje drogie dziecko, bez

najmniejszego trudu rozwiążemy twoje kłopoty małżeńskie. Czyż nie tak, dziewczęta?

Służki zdawały się być jednomyślnie zgodne co do tego, że nie należy się zbytnio przejmować postępowaniem mężów.

- Gdyby tu chodziło o starającego się lub, dajmy na to, o kochanka - mówiła dalej Antonia - mogłabyś oczekiwać trudności. Starający się są zawsze zazdrośni, zmienni w nastrojach, obrażają się łatwo. Kochanek jest zawsze źródłem kłopotów i zmartwień dla zamężnej kobiety. Myśl, co chcesz. Kochanek nigdy nie jest wart trudu i kłopotów, jakie z pewnością spowoduje. Ale mąż! Moje drogie dziecko, mężowie są stworzeni po to, żeby ich owijać wokół palca. Żyje się z nimi w wielkiej poufałości. Można się uciec do łez, można się dąsać, krzyczeć, grozić, odmówić jego pragnieniom. Kiedy mężczyzna zostaje mężem, traci wszelkie przywileje.

- Myślałam, że jest odwrotnie - wtrąciła nieśmiało Debora.

- Tylko wtedy, kiedy żona nie docenia swoich przywilejów - oznajmiła matrona. - Mężowie to dostojne stworzenia, lecz tylko z pozoru.

Widać było od razu, że wszystkie służki były bardzo do niej przywiązane. Słuchały każdego słowa, jakie wypowiadała i śmiały się, zachwycone tym, co robiła. Bez przerwy mówiły: “Tak, proszę pani” i sprawiały wrażenie, że potakują szczerze.

- Myślę, że wychowałaś się w otoczeniu mężczyzn - powiedziała Antonia, przyglądając się Deborze wzrokiem przenikliwym i bystrym. - Znałaś niewiele kobiet. A to źle. Twymi wrogami przez całe życie będą inne kobiety, więc powinnaś się na nich znać i wiedzieć, czego można po nich oczekiwać.

Widząc, że Debora jest zdumiona i zaskoczona, matrona przystąpiła do rozwinięcia swojej myśli.

- To kobiety będą zawsze stawały ci na drodze i walczyły o rzeczy, których ty pragniesz - oznajmiła. - Będą się starały prześcignąć ciebie urodą, odwrócić od ciebie uwagę mężczyzn. Kiedy twoi synowie dorosną i staną się mężczyznami, one ich tobie odbiorą. Może nawet będą ich źle traktowały i zwrócą ci synów w opłakanym stanie. A teraz zastanówmy się nad tą kobietą, która cię unieszczęśliwiła. Nie mam żadnego wyobrażenia, kim ona jest i jaką posiada pozycję.

- Była kiedyś niewolnicą.

- To ciekawe zjawisko, moje drogie dziecko, że niewolnice tak osobliwie pociągają mężczyzn. Można je wychłostać i zakuć w łańcuchy, a ich cnota jest jak przylepiona pieczęć, którą mężczyzna może zerwać, kiedy tylko zechce. To jasne, że ta była niewolnica zna się na wabieniu mężczyzn. Może nawet bardziej od ciebie.

Debora skinęła smutno głową.

- Myślę, że nie znam się na tym w ogóle.

- Miałaś, naturalnie, wielu zalotników.

- Nie, nie znałam ani jednego młodego mężczyzny. Mój dziadek prowadził bardzo odosobniony żywot i chciał mnie zawsze mieć przy sobie.

- Żadnych zalotników! Jest gorzej, niż przypuszczałam. Moje dziecko, moje dziecko! Doprawdy, musimy się tobą zająć. Zobaczmy, co mogą ci pokazać moje dziewczęta.

Dziewczęta, noszące imiona Saida i Zenobia, zaczęły demonstrować, jak można najlepiej uwydatnić kobiecość gibkimi ruchami ciała, używaniem wachlarza, niedbałym zsunięciem się palli dla odsłonięcia szczodrej części szyi i ramienia, przelotnym mignięciem stopy pod suknią.

Antonia zapytała Deborę, czy stosowała tego rodzaju fortele, ta zaś odparła, że nigdy. Duże, figlarne oczy matrony uważnie przyglądały się jej figurze.

- A masz do tego warunki - oznajmiła. - Jesteś drobna i dobrze zbudowana. Masz piękne ramiona, widzę to z daleka. Popatrzmy teraz na twoje stopy. Moja droga, moja droga! Dlaczego tak zaniedbałaś swoje możliwości? Twoja stopa skłania się nieco do pulchności, lecz jest biała i ładna. Tak niewiele kobiet ma piękne stopy! To zgroza nie robić użytku z tak pięknych nóg, jak twoje. Czy stosujesz kosmetyki?

Młoda małżonka zgodziła się już w duchu, że jest bardzo staroświecka i zaczęła przyjmować postawę obronną. Teraz jednak ucieszyła się z tego, że może opowiedzieć o swoich kosmetykach. Kiedy jednak wymieniła różne używane przez siebie środki upiększające, Antonia niecierpliwie potrząsnęła głową.

- To oczywiste - wyjaśniła - że pudełeczka przywożone ci ze Wschodu były napełniane kosmetykami wybieranymi przez mężczyzn. Oni się na tym nie znają! Kobiety już nie używają tak prostych środków od czasów, kiedy królowa Saba odwiedziła Salomona. A przed iluż to było wiekami? Zenobio, przynieś moją szkatułkę.

Jak się okazało, było to ogromne puzdro zrobione z drewna sprowadzanego ze Wschodu, które napełniło pokój przyjemnym aromatem. Z jego wnętrza matrona, która wyraźnie zawdzięczała część swojej urody jego zawartości, wyjęła wielką rozmaitość flakoników z jadeitu i srebra. Wyjmowała je po kolei, jednocześnie objaśniając ich zastosowanie. Debora słuchała coraz bardziej zatrwożona w miarę, jak żona bankiera wyjmowała wciąż nowe balsamy, płyny i mikstury różnych rodzajów.

- Nigdy nie martw się swoją cerą - mówiła Antonia. - Jest akurat wystarczająco dobra. Wiele kobiet się tym martwi, co jest bardzo niemądre. Cerę można zmienić dowolnie. Ja swoją zmieniam tak, żeby pasowała do stroju. - Widząc wyraz zdumienia na twarzy Debory, dodała: - I ty będziesz tak robiła, moje dziecko, po zakończeniu edukacji.

Puzdro zawierało również pół tuzina albo i więcej rozpryskiwaczy perfum. Były to flakony

o wąskich szyjkach, wysokie na pięć cali. Debora była zdumiona różnorodnością i pikanterią zapachów.

Jeden flakon, trochę wyższy od innych, Antonia zostawiła na koniec, patrząc nań wprost bojaźliwie.

- To się nazywa “Sekret Kirke” i wiąże się z tym pewna historia.

- Pani, opowiedz ją, prosimy! - chórem domagały się młode służki.

Wciąż patrząc z ukosa na wysoki flakon, pani domu zaczęła opowiadać.

- Czy słyszeliście o pałacu Kirke i o żeglarzach zwabionych na brzeg? No dobrze. Otóż pewnego razu zjawił się tam żeglarz, którego bardziej interesowały dobre wina dostarczane przez Kirke, niż ona sama. Z tej racji nierozsądnemu żeglarzowi udało się wyjść z pałacu we własnej postaci. Nie został zamieniony w dziką bestię albo w węża, albo w mitycznego ptaka. Zabrał ten flakon sądząc, że wewnątrz jest wino i zsunął się ze wzgórza do zatoki. Udało mu się odpłynąć wpław od wyspy. Zabrał go przepływający obok wyspy statek. Kiedy odkrył, że flakon zawiera perfumy, a nie wino, wpadł w gniew i rzucił go w kąt. Zawartość przepadłaby z pewnością, gdyby go nie podniósł kapitan zaciekawiony kształtem flakonu. Dzięki temu przetrwał. - Spojrzała na flakon z obawą. - Wiąże się z tym jednak pewna tajemnica. Za każdą użytą kroplę traci się jeden miesiąc życia. Już dawno przestałam korzystać z tego eliksiru.

Służki wydały wiele okrzyków zdumienia (chociaż bez wątpienia słyszały tę opowieść setki razy) i nie chciały nawet spojrzeć na flakon, który może spowodować tyle zła. Debora ośmieliła się wyrazić swój sceptycyzm.

- Wiara w magię jest niezgodna ze świętymi naukami.

- Ale ja w nią wierzę - oznajmiła Antonia. - Trzeba wierzyć. Widziałam raz Szymona Maga i nie mogłam spać przez dwie noce po obejrzeniu dziwnych rzeczy, jakich dokonywał na oczach ludzi.

- Kiedy widziałaś jego występ?

- To było chyba przed rokiem. Uważam, że wzbudza lęk i fascynuje zarazem.

- Czy była z nim wtedy dziewczyna?

- Nie, wtedy jeszcze jej nie było. Ale potem wiele o niej słyszałam. Spotkał ją tutaj, w Antiochii. Była niewolnicą w domu... - Zatrzymała się raptownie i spojrzała bacznie na Deborę. - Ach, więc tak! - Wyciągnęła ostrożnie palec w stronę flakonu z perfumami. - Moje dziecko, daję ci go. Widzę, że możesz potrzebować pomocy tak silnej, jak ta tutaj. Muszę ci wyznać otwarcie, że będę rada, jeśli się go pozbędę.

- Czy to jest ten sam flakon, który ów żeglarz zabrał ze sobą?

Matrona skinęła głową.

- Mój mąż zapłacił za niego wysoką cenę, wierząc, że to jest ten sam flakon. On nigdy nie da się oszukać, kiedy coś kupuje.

Debora patrzyła na eliksir z wahaniem w oczach. Była pewna, że nie tylko używanie go, ale nawet samo przyjęcie jest grzeszną pokusą. Czy chciała sprzymierzyć się ze złem? Co by się stało, gdyby kropla tej potężnej mikstury spadła na jej suknię?

Nagłym ruchem wyciągnęła rękę i podniosła flakon.

- Dziękuję. Wezmę go.

Antonia dotknęła jej ramienia gestem aprobaty.

- Widzę, że masz własną wolę. I odwagę. Nie musisz się wcale obawiać, drogie dziecko. Twoje pragnienia będą spełnione.

- A teraz - ciągnęła dalej - przekąsimy coś, ale tylko we dwie. Memu mężowi i jego gościowi podadzą na dole. Myślę, że musimy spróbować tej wyśmienitej potrawy, której podobno nie powinnam jeść. Są w niej daktyle, brzoskwinie i mielone migdały, wszystko to we wspaniałym cieście. Do tego dobre, słodkie wino. Będziecie miały większe szanse na zdobycie mężów, moje dziewczęta, jeśli przybędzie wam trochę ciała.

3

Sara z czułą troskliwością układała włosy swej pani w ścisłe loki, używając do tego rurek przypominających trzcinę. Efekt był taki, że Debora wyglądała jeszcze młodziej, robiła wrażenie wesołej i szczęśliwej. Dokonawszy tego dzieła wcisnęła jej na głowę greckie sakkos, nakrycie głowy, przypominające czepek. Było ono dość efektowne, zrobione z niebieskiego jedwabiu, lecz ukryło prawie wszystkie tak starannie wykonane loki, z wyjątkiem wąskiego paska grzywki nad czołem. Palla, w którą przyoblekła swą panią, została wybrana zgodnie z radą Antonii. Miała ten sam odcień błękitu, była starannie udrapowana wokół szyi, z rozciętymi rękawami sięgającymi tylko do łokcia, połączonymi w kilku miejscach skręconą wstążką w ciemniejszym odcieniu błękitu. Stola, jak nazywano wierzchnią szatę, opadającą prawie do ziemi, miała szerokie obszycie u dołu, haftowane złotymi nićmi. Kiedy już suknia została dopasowana i ostatnie muśnięcie troskliwej ręki poprawiło wymykające się spod czepka ciemne loki, Sara przytrzymała przed swą panią lustro z brązu. Jej twarz promieniała dumą ze swego dzieła.

Debora, uważnie przyglądając się swojej twarzy, pomyślała: “Teraz będę mu się podobała. Na pewno, na pewno mu się spodobam!” Aby się co do tego upewnić, zaczęła ćwiczyć niewymuszony ruch ramieniem, który powodował, że palla zsuwała się w dół, ukazując biały, z lekka zaokrąglony kawałek delikatnego ciała.

- Proszę się nie wahać i ukazywać stopy - doradzała Sara, a potem potrząsnęła pogardliwie

głową. - Te antiocheńskie kotki uważają się za wielkie piękności, miotają się dookoła i puszą. Pani ma ładniejsze stopy niż one wszystkie razem. Mają takie grube palce.

- Pan jest na dole - oznajmiła jedna ze służek, stając w drzwiach.

Debora zamarła. Oto przyszedł Bazyli, aby dzielić z nią ten nowy dom, który stanowił ich własność na podstawie porozumienia z bankierem. Serce w niej zatrzepotało, a potem zamarło na chwilę. Co on pomyśli o tych pięknych, nowych strojach? Co pomyśli o niej? Jaką powinna przybrać postawę? Czy ma być chłodna i obojętna? Czy też przyjacielska i naturalna? Czy powinna się uciec do kobiecych forteli, które tak pilnie ćwiczyła?

- Już skończyłam, proszę pani - odezwała się Sara, rzucając ostatnie spojrzenie dla sprawdzenia efektu.

Kiedy dziewczyna opuściła pokój, Debora podeszła do stołu o trzech nogach, na którym leżały jej przybory toaletowe. Dokonała wielu odkryć w tym domu w stosunkowo krótkim czasie, ale żadne z nich nie dorównywało luksusom jej sypialni. Trójnóg wykonany ze srebra wsparty był na pięknie rzeźbionych podporach. Na jego wypolerowanym blacie stały srebrna misa i piękny puchar, a obok leżała szczotka w rzeźbionej oprawie.

Szeroki fotel przy stole miał półokrągłe oparcie. Ułożono na nim wysoki stos poduszek, w które zagłębiła się wygodnie, kiedy Sara układała jej włosy. Flakon otrzymany od Antonii stał teraz na trójnogu. Sięgnęła po niego z wahaniem. Będzie używała tego eliksiru bardzo oszczędnie, zdecydowała, nie więcej jak jedną kroplę. Nie dlatego, by myślała o możliwej utracie jednego miesiąca życia, lecz z powodu nagłego poczucia niechęci i wstydu.

Zatrzymała się z flakonem w jednej ręce uniesionej nad ramieniem. Czy naprawdę chce pozyskać Bazylego takimi metodami? Czy mogłaby się tak poniżyć, odwołując się do jego zmysłów w ten sposób?

Opuściła rękę, w której trzymała rozpylacz. Palla obsunęła się, szczodrze ukazując biel szyi i ramienia. Podciągnęła ją instynktownie. Jednocześnie zestawiła pięty tak, aby żadna część stopy nie była widoczna spod szerokiego oblamowania.

“Nie mogę!” - pomyślała. - “Nie mogę zdobywać go tanimi sztuczkami. Nie wolno mi się narzucać jak kobieta lekkich obyczajów. Muszę pozostawić to jemu. Jeśli jego stosunek do mnie nie zmieni się, nie będę stosować żadnych zabiegów. Nawet gdyby to miało oznaczać, że pozostanę smutna i nieszczęśliwa do końca życia.”

Powziąwszy to postanowienie podeszła do misy i wylała całą zawartość flakonu. Egzotyczny zapach napełnił powietrze.

- Pozostawiam Antonii i jej służkom urzekanie mężczyzn takimi sposobami - powiedziała na głos i obróciła się wolno, aby zejść na dół.

Była chłodna i opanowana, kiedy doszła do przedsionka. Jej szata trzymała się niezawodnie na właściwym miejscu. Nie ukazała nawet koniuszka palców schodząc ze schodów. Bazyli przyglądał się rysunkom na pokrytych glazurą ścianach z cegły z tak wielkim zainteresowaniem, że nie od razu zauważył jej obecność.

Wszystkie starannie obmyślone słowa, które miała wypowiedzieć, na nic się zdały, kiedy go zobaczyła.

- Jakże wychudłeś! - zawołała. - Ach, Bazyli, jak wiele musiałeś znieść cierpień!

Jego pierwszym wrażeniem było uczucie zaskoczenia. Pomyślał: “Jak się zmieniła. Wygląda teraz poważniej, nawet wyraz jej oczu się zmienił. Jest urocza.” Ogarnęło go uczucie pokory. Trudno było uwierzyć, że istota mająca tyle do zaofiarowania jest jego żoną.

- Wygląda na to - wyjaśnił ociągając się, bowiem czuł, że jego udział w całym tym przedsięwzięciu nie przynosił mu chluby - że zabrakło mi sił do takiego wyczynu. Gdyby trzeba było jechać dalej, Czymham byłby zmuszony uczynić to beze mnie. Obawiam się, że od początku byłem mu zawadą. Ale już powracam do sił. Czuję się na tyle dobrze, że już swędzą mnie palce spragnione pracy. Teraz widzę to jasno: jestem stworzony do pracy w warsztacie, z narzędziami w ręku, a nie do przygód na szerokim świecie. - Potem spojrzał na nią uważnie i uśmiechnął się. - Tobie znacznie lepiej posłużyły te doświadczenia. Zdaje się, że nawet wyszło ci to na dobre.

Policzki Debory zaróżowiły się.

- Cieszę się, że tak uważasz - rzekła i pospiesznie zmieniła temat na bardziej bezpieczny. - Czy wiesz już o tym, że wczoraj zawarto umowę? Doszliśmy do porozumienia co do pewnych szczegółów. Do ostatecznego zakończenia potrzebne jest złożenie przez ciebie podpisu. Jabez chce, żebyś się dzisiaj z nim zobaczył. - Jej niepokój powrócił, kiedy się przyjrzała bardzo zaostrzonym rysom jego twarzy. - Czy będziesz w stanie pójść do niego?

- Jestem już dostatecznie silny. - Ciekawość skłoniła go do zadania pytania. - Rozglądałem się wokół, podziwiałem dekoracje. Co to za dom?

- To twój dom.

- Mój? Nie rozumiem.

- Mój ojciec - zaczęła Debora, niechętnie podejmując temat tak dla niej przykry - wyrzekł się mnie. Wydziedziczył mnie na zawsze. Nie pragnę powrotu do Jerozolimy, więc jeśli twoje odczucia są zgodne z moimi, możemy założyć nasz dom tutaj, w Antiochii. Warunki porozumienia obejmują objęcie na własność tego domu.

- Ale powiedziałaś, że dom jest mój. Nie zdawałem sobie sprawy, że porozumienie między nami sięga tak daleko. - Bazyli był zaskoczony. Jego duma została zaalarmowana. - Czy nie można ustalić naszych spraw na bardziej... bardziej rozsądnej podstawie?

Debora potrząsnęła głową.

- Takie jest prawo. Niczego nie można zrobić, aby je zmienić. Jesteś głową domu i wszystko, co należało do mnie, jest obecnie twoje. - Potem nagle się roześmiała. - Jak dziwnie musimy wyglądać! Stoimy tutaj i rozmawiamy jak para obcych sobie ludzi, a tymczasem jesteśmy mężem i żoną. Jestem pewna, że wszyscy są z tego powodu rozczarowani. Czuję na sobie nawet w tej chwili oczy Ping-$li. Musi nas obserwować spoza tych ścian. Czy wiesz, że przychodził do mnie trzy razy w ciągu dwóch ostatnich dni i wypytywał o nas?

- Zdziwiłem się, widząc jego namioty za murem - wtrącił Bazyli. - Czy okazał się nazbyt ciekawy?

Debora z uśmiechem potrząsnęła głową.

- Ależ nie. Jesteśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi.

Jej serce wymykało się spod kontroli. Mówiła sobie: “Po co przejmuję się swoją dumą? Dlaczego nie nadmienię, że przyszła już pora na... na przerwanie układu. Być może on czeka, abym zaczęła o tym mówić. Dlaczego nie wykorzystać starego księcia jako dogodnej wymówki? Mogłabym powiedzieć, że nadeszła pora na udawanie. Potem mogłabym wyjść z nim do ogrodu i pozwolić, aby mnie objął. Mogłabym oprzeć głowę na jego ramieniu. Mogłabym zaglądać mu w oczy z uśmiechem, jak to robią młode mężatki. A wtedy dobrotliwy starzec, patrząc na nas, byłby ukontentowany.”W tym punkcie jej myśli zaczęły się burzyć. “To nie o księciu myślę, ale o nas, mój mężu. Myślę, że może wtedy byłoby ci przyjemnie przebywać ze mną, że mógłbyś zapomnieć o wszystkim innym.”

Dumna Debora, udręczona podejmowaniem tak wielu trudnych decyzji, nie była jeszcze na to przygotowana. Nie mogła wszak wiedzieć, że w tym samym momencie Bazyli myślał: “Czy mogę jej powiedzieć o tym, jak bardzo się zmieniły moje uczucia? Nie, mój język jest w okowach.” Ona się zawahała i to było zgubne; jej chęć poddania się odleciała i nie mogła już być przywołana z powrotem. Z wolna odzyskała opanowanie.

- Ale musimy coś zrobić dla zachowania pozorów - dorzuciła. - Oto mamy duży nowy dom. Zdaje się być pełen ludzi. Jeszcze nie wiem, po co oni wszyscy są tutaj. Czy nie uważasz, że powinniśmy zacząć od obejrzenia razem całej posiadłości?

- Tak - odparł Bazyli. - Przyglądałem się ścianom. Ta odmienna sztuka ma cechy barbarzyńskie, ale posiada też siłę wyrazu. Zależy mi na obejrzeniu całego domu.

Skierowali się do drzwi, które wychodziły na pierwszy z dwóch wewnętrznych dziedzińców. Stał na nim wysoki posąg wyrzeźbiony w ciemnym kamieniu. Miał olbrzymie kończyny i budzącą grozę twarz.

- Kto to jest? - spytała. - Zobaczyłam to wczoraj po przyjeździe. Prawie nie spałam zeszłej

nocy, myśląc o tej postaci.

- To Zeus Herkejos - odrzekł Bazyli, przyglądając się figurze, górującej nad nim. - Jest opiekunem domowego ogniska.

Debora spojrzała w górę na kamienną twarz i zadrżała.

- Myślę, że potrzeba nam kogoś, kto by nas przed nim bronił - zauważyła. - Czy jest równie okrutny, jak na to wygląda?

- Wcale się go nie uważa za okrutnego. Ale teraz, kiedy o tym mówisz, zgadzam się, że ma ohydny wygląd.

- Czy to jeden z greckich bogów?

- To najważniejszy z nich, wielki bóg. Myślę jednak, że powinniśmy usunąć go jak najprędzej. Niezależnie od wrażenia, jakie wywołuje na tobie, uważam, że posąg jest lichej roboty.

Debora poszła naprzód przez pierwszy dziedziniec do znajdującej się na lewo auli. Przez wąski i dość ciemny korytarz doszli do obszernej komnaty, jasnej i wesołej, ale i ona miała jedną wadę. Stał tu inny posąg. Nie był ani tak duży, ani tak przerażający jak tamten i przedstawiał boginię.

- To Hestia - powiedział Bazyli. Wskazał na marmurowe, osmalone palenisko przed posągiem, na którym utrzymywano kiedyś stale płonący ogień. - To bogini ognia, kuchni i domowego ogniska, bardzo łagodna i skromna. Nie trzeba się jej obawiać, ale i ona jest tak samo pogańska jak Zeus. Jeśli mamy być konsekwentni, musimy skazać biedną Hestię na tan sam los.

Uczucie skrępowania i zakłopotania opuściło Deborę. Swobodnie chodziła po sali wszystko oglądając, znajdując wiele rzeczy, które ją interesowały lub bawiły. Wielokrotnie wołała:

- Spójrz Bazyli! - albo - Podejdź, powiedz mi, do czego to służy. - Wreszcie spytała: - Jaką funkcję spełniała ta bardzo ciekawa salka?

- Była używana do religijnych obrządków związanych z życiem rodzinnym, z narodzinami, ślubami, nadawaniem imion. A zarazem było to sanktuarium. Niewolnicy, którzy mieli być ukarani, mogli tu przyjść i prosić Hestię o pomoc. Wtedy nie wolno było wymierzyć im chłosty bez udowodnienia winy. Mąż mógł tutaj przyjść, żeby zejść z oczu kłótliwej żonie, a żona - żeby uciec od okrutnego męża. Jest to zawsze najczęściej używany pokój w greckim domostwie. - Potem dodał: - Hestia, biedna dama, najmniej jest ceniona z całego świętego grona bogów na Parnasie. Jest zawsze opisywana jako nieciekawa, unikająca rozgłosu, ociężała bogini. Ale nawet biorąc to wszystko pod uwagę, ten rzeźbiarz nie był dla niej sprawiedliwy. Jej powaby nie urzekają cię, prawda?

- Jakie by nie były, nie są dostatecznie ukryte - oznajmiła Debora. - Proszę, pozbądź się i jej. Sądzę jednak, Bazyli, że powinniśmy zachować charakter tego pokoju. Moglibyśmy go nazwać

Pokojem Życzliwości.

- Myślę, że to doskonały pomysł.

Debora już w pełni odzyskała dobry humor.

- Które z nas - zapytała - najczęściej będzie musiało tu przychodzić? Czy ty, umykając przed swarliwą żoną, czy ja przed mężem-tyranem?

Poszli dalej, aż we właściwym czasie doszli do pokoju na górze, przed którym stał jeden z dwóch młodzieńców. Drzwi były otwarte i mogli zobaczyć za nim drugiego strażnika, siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na podłodze obok skrzyni. Zrzucił wierzchnie okrycie i widać było sztylet za jego pasem.

- Mają trzymać straż w dzień i w nocy - wyjaśniła Debora po cichu.

- Nie przypominają olbrzymów ze Sladoru - zauważył Bazyli równie cichym głosem. - Ale na ich twarzach jest wyraz mężnego zdecydowania.

Debora zwróciła się do strażnika u drzwi.

- Elidadzie!

- Tak, szlachetna pani - odparł strażnik występując naprzód.

- Sądzę, że mego męża zainteresuje to, co się wydarzyło zeszłego wieczoru, kiedy przyszedł tu starszy prezbiter Kościoła w Antiochii, żeby omówić sytuację.

Elidad zaczerwienił się z gniewu.

- On przyszedł, żeby rozstrzygnąć, czy powinniśmy bronić Kielicha w razie napadu. Mówił, że nie godzi się przelewać krwi, a gdyby się zdarzyło, że Iridża i ja zabijemy człowieka, nawet w tak dobrej sprawie, będziemy na wieki skazani na przebywanie w zewnętrznym kręgu ciemności.

- Czy zechciałbyś powtórzyć, coś odpowiedział Harhasowi?

Elidad spojrzał na nich z wahaniem człowieka nieskorego do rozmów.

- Powiedziałem do Harhasa, że nie mógłbym stać bezczynnie i patrzeć jak ten bezcenny Kielich, którego dotykały usta Jezusa i który został powierzony naszej opiece, zabierają nam ci, którzy w Niego nie wierzą. Powiedziałem, że jestem gotów bez szemrania spędzić wieczność w zewnętrznej sferze ciemności, gdybym miał być tam zesłany za to, że walczyłem z ludźmi, którzy chcieli go nam ukraść.

- A co odpowiedział Iridża?

Drugi strażnik, nadal siedzący przy skrzyni, zerwał się na nogi:

- Ja sam opowiem! - wykrzyknął. Podszedł do wejścia, oparł się o kamienne obramowanie drzwi i kręcił młynka sztyletem.

- Tak, Iridża, chcielibyśmy usłyszeć twoje sprawozdanie.

Oczy strażnika zapłonęły.

- Jestem człowiekiem nastawionym pokojowo! - zawołał. Podniósł palce i wskazał na prawy policzek, na którym widniała blizna, biegnąca od kącika oka aż do szczęki. - Spójrzcie. Zrobił to nóż zeloty. Powiedziałem sobie: “A temu, który cię uderzy w jeden policzek, nadstaw także drugi.” To były słowa wypowiedziane przez Jezusa, Jego dla nas przykazanie. Byłem Mu posłuszny. Nadstawiłem drugi policzek. - Przekręcił głowę i odsłonił podobną bliznę na lewym policzku. - Widzicie więc, że jestem, jak to już powiedziałem, człowiekiem pokoju. - Ale pamiętam też - jego oczy jeszcze bardziej rozbłysły - co powiedział Mojżesz, nasz natchniony prorok: “Upoję krwią moje strzały.” Nie było wolą naszego Pana, abyśmy, wierząc w Niego, stali się tchórzami. Nadchodzi czas, kiedy źli ludzie, którzy uderzyli nas w oba policzki, zażądają naszej duszy. Odbiorą nam wolność i zakują w kajdany, abyśmy nie byli w stanie czcić nadal Pana na nasz sposób ani przekazywać innym ludziom Jego nauk. Kiedy nadejdą takie czasy, musimy walczyć! Możemy się poddać jako jednostki, ale nie wolno nam tego ścierpieć jako członkom Kościoła Jahwe i Jego Syna Jezusa. Jeśli jacyś ludzie o złych zamiarach przyjdą tutaj, aby zabrać święty Kielich, musimy przelać ich krew i uwolnić ich dusze. Musimy walczyć aż do ostatniego tchnienia w każdym z nas!

- To właśnie - zakończył - powiedzieliśmy Harhasowi, prezbiterowi Kościoła.

Debora i Bazyli odeszli w innym nastroju. Opuścił ich niefrasobliwy humor. Rozmowa z przejętymi swą rolą strażnikami skierowała ich myśli na Kielich i wielką wspólną odpowiedzialność. “Pokazano mi - rozmyślał Bazyli - jaka powinna być prawdziwa wiara, taka wiara, jakiej mi brakuje, chociaż uwierzyłem w Jezusa jako proroka i Boskiego Nauczyciela. Może pewnego dnia będę czuł to, co oni.”

- Mój dziadek - odezwała się Debora - który był mądry we wszystkich sprawach, zwykł był mówić, że przyszłość chrześcijaństwa nie może spoczywać tylko na ludziach starych. Mówił, że oni są zbyt drobiazgowi i dociekliwi. Był pewien, że sprawę wygrają ludzie młodzi, gotowi walczyć i umrzeć za wiarę.

4

Nowy dom, niczym worek kuglarza, wciąż jeszcze dostarczał niespodzianek, a największą z nich było łoże Debory. Po pierwsze, było przeogromne. Wystarczyłoby tu miejsca dla kilku osób jej wielkości. Stało na podwyższeniu. Debora wspinała się na nie z pewnym wysiłkiem. Upiększały je ozdoby z kości słoniowej i pracowicie wyhaftowane prześcieradła. Łoże wykonano z drzewa cytrusowego, pochodzącego z Afryki. Bogacze w Rzymie płacili ogromne ceny za kawałek takiego drewna. Mówiono o Petroniuszu, którego opinię Neron bardzo sobie cenił, że sprzedał pięćdziesięciu niewolników, aby kupić jedną deskę z najlepszego drewna cytrusowego. Podobno

miał zwyczaj pokazywania jej swoim gościom i przy okazji przeciągał z lubością dłonią po powierzchni o pięknych słojach, mówiąc, iż jest warta ceny, jaką za nią zapłacił. Jednym słowem, łoże Debory było naprawdę wspaniałe.

Siedziała na jego brzegu, podczas gdy Sara szykowała ją do snu. Najpierw rozpuściła jej obfite włosy, pozwalając im opaść swobodnie na ramiona. Zostawiła tylko kilka loków nad czołem i po jednym małym loczku koło każdego ucha.

- Myślę, proszę pani - powiedziała Sara, mając palce zajęte rozwiązywaniem jedwabnych tasiemek, przytrzymujących z tyłu tunikę - że ten dom jest stworzony do spokoju i szczęścia. Mam nadzieję, że i małżonek pani będzie tutaj szczęśliwy.

- Musimy dopilnować, aby mu było wygodnie - odparła Debora rzeczowym tonem. - Trzeba otworzyć okna i wpuścić chłodny powiew od morza. Musimy poznać jego upodobania, jeśli chodzi o potrawy i wina. - Przytaknęła głową z uśmiechem. - On wciąż jest obcy dla nas wszystkich, Saro.

Kiedy służąca odeszła, Debora ułożyła się na łożu. Było nadzwyczaj miękkie, bowiem materac wypchano owczą wełną. Westchnęła rozkosznie i zgasiła lampkę. W pokoju było dość jasno, bo księżyc wznosił się już wysoko nad horyzontem. Jego światło zalewało ogród srebrzystym blaskiem, jakby chciał sprawdzić, co się dzieje w tych tajemniczych zaroślach. Próbował też zajrzeć w każdy kącik przewiewnej sypialni.

Księżycowe światło nie było jedyną przyczyną bezsenności Debory. Uniosła się na łokciu. “Dzisiejszej nocy - pomyślała - on może przyjść i powiedzieć mi to, co muszę od niego usłyszeć. Na pewno przyjdzie tej nocy.”

Bazyli nie spoczął jeszcze na swym wygodnym łożu. Od czasu do czasu słychać było jego kroki w sąsiednim pokoju albo skrzypnięcie krzesła. “Czy to możliwe - zastanawiała się - że zasiadł do pracy?” Po raz pierwszy gotowa była uznać, że są inne sprawy, równie ważne jak wykończenie Kielicha.

Upłynęła godzina. Od czasu do czasu jakiś odgłos dochodził do niej z drugiego pokoju i dawał jej znać, że Bazyli jeszcze nie śpi. Nadzieje Debory słabły powoli. Po upływie godziny nabrała pewności, że nie ma zamiaru jej odwiedzić. Poczuła ucisk w gardle. “Mógł przynajmniej podejść do drzwi i życzyć mi dobrej nocy” - pomyślała.

Przyszło jej wtedy na myśl, że równie dobrze mógł spodziewać się tego od niej. To ona ustaliła warunki ich małżeństwa. Jeśli miały się zmienić, czy to nie ona powinna zrobić pierwszy krok? Wstała i owinęła się zieloną aksamitną szatą zostawioną przez Sarę na krześle obok jej łóżka. Miała szarfę, którą można było okręcić wokół szyi i związać pod brodą. Kiedy to robiła, palce jej drżały.

Otworzywszy drzwi między pokojami zobaczyła Bazylego przy warsztacie ustawionym pod

jednym z okien. Głowę miał pochyloną, trzymał w rękach młotek i dłuto. Dwie lampy oliwne paliły się po obu stronach stołu.

Stała cicho w drzwiach, onieśmielona, przytrzymując się jedną ręką gałki. “Zaczynam wierzyć - pomyślała - że on o niczym innym nie myśli poza swoją pracą.”

Uświadamiając sobie wreszcie, że ktoś go obserwuje, Bazyli odłożył dłuto na stół i odwrócił się.

- Przyszłam, bo chcę ci powiedzieć dobranoc - odezwała się Debora. - I żeby cię przestrzec, że nie powinieneś pracować o tak późnej porze.

Bazyli zmienił pozycję. W świetle jednej z lamp Debora zobaczyła jego twarz pooraną bruzdami zmęczenia.

- Długo pracowałem? - spytał. - Wydawało mi się, że tylko chwilę. Tyle jest do zrobienia!

Weszła z wolna do pokoju. Dół zielonego okrycia sunął po podłodze, jedną ręką przytrzymywała szarfę u szyi.

- Myślałam, że... - zaczęła i w tej samej chwili zorientowała się, iż on nie odrywa wzroku od swego dzieła, że niezupełnie dociera do niego to, co ona mówi. Powstrzymała wyrazy wstrzemięźliwego zaproszenia, które miała na końcu języka. Zamiast tego spytała: - Czy nie będzie ci przeszkadzało, jeśli posiedzę tutaj chwilę i popatrzę jak pracujesz?

Wtedy zrobił pełny obrót i przeciągnął ręką po oczach.

- Nie, ale jestem pewien, że się szybko znudzsz. Widzisz, zrobiłem kopię Kielicha, a teraz dopasowuję wokół niego oprawę. To żmudna praca i nieciekawa dla obserwatora.

- Nie mogę zasnąć. - Przysunęła krzesło i usiadła na nim, podciągając kolana pod brodę i obejmując rękami gołe kostki. - Chcę wiedzieć o wszystkim, co robisz przy Kielichu. Proszę, nie wyłączaj mnie z tego. Czy możesz o tym mówić podczas pracy? - Przyjrzała się oprawie, która już otaczała kopię Kielicha. - Dużo zrobiłeś od czasu, kiedy go ostatnio widziałam.

- Tak, rzeczywiście dużo. Umieściłem w modelu symbole: gołębie, jagnięta i spiralne muszle. W tej chwili lutuję to wszystko razem. - Odwrócił się do niej z uśmiechem. - Czy twoja ciekawość sięga aż tak daleko? Jeśli będę o tym opowiadał, powieki zaciążą ci jak ołów, którego używam, i zaśniesz na krześle. Widzisz, uważam, że muszę stosować najwyborniejszy lut. Przyrządzam go stosując uncję czystego srebra, dwie uncje oczyszczonej miedzi i trzy uncje ołowiu. Potem dosypuję do mieszaniny trochę drobno zmielonej siarki... Słuchasz mnie jeszcze?

- Tak, słucham i rozumiem wszystko, co mówisz. - A w duchu dodała: “Ach, Bazyli, czy nie widzisz, że każde słowo, które mi rzucasz tak niedbale, przejmuje mnie do głębi? Czy nie rozumiesz, że interesuje mnie wszystko, co robisz, nawet mieszanie lutu?”

Bazyli objaśniał dalej.

- Postacie mają być tak maleńkie, że muszę przy nich umieścić godła, aby ułatwić rozpoznanie. Wokół postaci Jezusa ukażę Ducha Świętego pod postacią gołębia. Nad Nim dam gwiazdę przewodnią.

Mówił tonem zadumy i po pierwszych paru minutach nie odrywał już oczu od swego dzieła. Wreszcie wygłosił gorzką tyradę skierowaną do siebie, ponieważ jego palce popełniły błąd. To ją upewniło, że zapomniał o jej obecności.

“Czy on nigdy nie zauważył, jak bardzo go kocham?” - zadawała sobie pytanie. - “Czy nadal muszę zachować dla siebie wszystkie swoje myśli, nic nie robiąc, żeby go pozyskać? Ach, Bazyli, popatrz znów na mnie w taki sposób, jak owego dnia, kiedy rzuciłam kamieniem w Rzymian!”

Ogarnęła ją nieuchronna potrzeba snu. Powieki zaczęły ciążyć i parę razy przyłapała się na krótkiej drzemce. Westchnęła, opuściła stopy na podłogę, kształtne, białe stopy, których nie zgodziła się użyć, aby zwrócić na siebie jego uwagę. Ponieważ ten ruch był czymś tak naturalnym, nie przyszło jej na myśl, że mógłby teraz zobaczyć całą jej stopę, a nawet więcej, gdyby oderwał oczy od warsztatu.

- Jest już bardzo późno - napomknęła. - Powinieneś wszystko odłożyć. Musisz być bardzo zmęczony.

Jego oczy wciąż jeszcze były pochłonięte pracą, kiedy się do niej odwrócił.

- Muszę dokończyć to, co robię, dopóki lut jest płynny. - Przyjrzał się obramowaniu, solidnie taraz umocowanemu wokół modelu. - Pozostała mi dobra godzina roboty. Lepiej nie czuwaj dłużej, Deboro. Po twoim głosie poznaję, że jesteś zmęczona.

- Lut! - zawołała. - Zdaje się, że więcej mówiliśmy o lucie niż o czymkolwiek innym. To bardzo interesujący temat.

Wstała. Jej stopy zniknęły, kiedy fałdy zielonej szaty opadły na miejsce. Otuliła się tak dokładnie, że nawet szyi nie było widać. Nie miało to zresztą znaczenia, gdyż Bazyli już powrócił do swej pracy. W jej oczach, wpatrzonych w tył jego głowy, był bunt. “Najmniejszy szczegół tego, co robi, jest dla niego ważniejszy ode mnie” - pomyślała.

Zapytała kierując się ku drzwiom:

- Czy podać ci coś do zjedzenia albo czarkę wina?

Potrząsnął głową. Był zbyt zaabsorbowany, aby się interesować jadłem czy napojem. Z pewnością nie zauważył drżenia w głosie Debory.

- Niczego mi nie trzeba - odparł.

Debora skierowała się powoli do swego pokoju. “Patrzył na mnie, ale mnie nie widział. Zupełnie się mną nie interesuje. Gdybym go poprosiła o przyjęcie mojej miłości, odpowiedziałby

tak samo: Niczego mi nie trzeba.”

- Dobranoc, Bazyli - powiedziała w drzwiach.

Po ledwo zauważalnej chwili wahania odpowiedział:

- Dobranoc, Deboro.

Cicho zamknęła za sobą drzwi i wdrapała się na wspaniałe łoże z pachnącego, cytrusowego drzewa. Zaczęła gwałtownie szlochać. “Nic więcej nie mogę zrobić.”

Rozdział XXII

1

Przez dwa tygodnie Bazyli pracował z niesłabnącym zapałem. Poczucie pośpiechu, które przynaglało go w czasie jazdy z Jerozolimy, nie opuściło go jeszcze. Teraz bez przerwy myślał o potrzebie dotarcia do Rzymu.

Przesiadywał przy swoim warsztacie całymi dniami, a czasami do późna w nocy. Pogrążony w myślach często milczał w czasie posiłków. Jadł bez apetytu i trzeba go było nakłaniać, żeby spożywał ustawione przed nim wykwintne dania.

W ciągu tych dwóch tygodni tylko raz zaryzykował wyjście na ulicę. Chciał odwiedzić swój dawny dom na Kolumnadzie, w nadziei, że zobaczy matkę. Nie wpuszczono go tam.

Rozumiejąc gorączkowy zapał, jaki go opanował, Debora rzadko próbowała przełamać mur milczenia. Czasem siadała obok niego i patrzyła jak pracuje, nie zaprzątając jego uwagi rozmową. Często w ciągu dnia przystawała w drzwiach jego pokoju i szła dalej z nieszczęśliwą miną.

Pewnego razu, kiedy się bawiła na drugim dziedzińcu z niedawno kupionym psem, spojrzała do góry i zobaczyła ze zdziwieniem, że odszedł od warsztatu i patrzy na nią spoza górnej balustrady. Podeszła bliżej i uniosła głowę.

- Co sprawia, że zaszczyciłeś mnie uwagą? - spytała.

- Jestem w wielkim kłopocie - powiedział z westchnieniem znużenia. - Trudno oddać podobieństwo, kiedy trzeba robić tak miniaturowe postacie. Chciałbym, żeby Kielich był dwukrotnie większy. Głowa Łukasza sprawiła mi wielką trudność. Może dlatego, że tak bardzo chciałem dobrze ją wykonać. A teraz Paweł mi się opiera. Wygląda na to, że ze szczególnym uporem chce mi się wymknąć. - Spojrzał na psa, który przysiadł u nóg swej pani. - To cudowny pies. Nigdy nie widziałem równie niezdarnych łap.

- Potrzeba ci wypoczynku, Bazyli. Zapomnij o trudnościach z Łukaszem i o uporze Pawła. Zejdź tu do mnie. Usiądziemy sobie w cieniu i porozmawiamy. Tyle mam ci do powiedzenia. - Po chwili dodała: - To bardzo mądry pies.

- Nie mam jeszcze czasu. - Bazyli oderwał ręce od kamiennej balustrady i zniknął wewnątrz.

Praca nad oprawą Kielicha weszła nareszcie w stadium wykończeniowe. Były jeszcze puste miejsca, które we właściwym czasie wypełnią głowy Jezusa, Jana i Piotra. Bazyli patrzył na swe dzieło i wiedział, że jest dobre, że po wykończeniu Kielich będzie bardzo piękny. Nie przyniosło mu to jednak uczucia satysfakcji ani szczęścia, bowiem myśli o najbliższej przyszłości nie dawały mu spokoju.

Pewnego ranka wyszedł na przechadzkę i przypadkowo znalazł się wśród namiotów księcia Ping-$li. Książę siedział na składanym krześle i wpatrywał się w linię horyzontu na wschodzie, a jego pomarszczona twarz i pochylone plecy wyrażały tęsknotę. Podniósł wzrok, słysząc kroki Bazylego.

- To szczęśliwe spotkanie, czcigodny młody artysto - zaczął rozmowę. - Mam parę pytań, które ośmielę się zadać. Dlaczego małżeńską błogość obciążają stopy z ołowiu? Dlaczego nie rozwiązujecie tych trudności? - Przerwał i powiedział coś po chińsku do służącego, który kręcił się na zapleczu. Ten zniknął, a po chwili wrócił z zawiniętym w atłas tłumoczkiem, który umieścił na kolanach swego pana.

- Oto dary. Mają pozostać pod opieką mego dobrego przyjaciela Łukasza Lekarza. Będą przekazane pięknej, młodej żonie i jej czcigodnemu młodemu mężowi, jak tylko będzie ogłoszone bliskie nadejście potomka. Piękna młoda żona wie o tym, lecz nie widziała tych darów. To ma być niespodzianka. Uniżony ofiarodawca szczerze pragnie, aby podobały się one obojgu rodzicom spodziewanego potomka.

- Nie jesteśmy godni tak wielkiej łaskawości - rzekł Bazyli. Starzec żywo potrząsnął głową.

- Ale dobrze zapamiętaj sobie warunek, szacowny młody małżonku. Czy będzie to zachętą do bardziej romantycznej postawy, jeśli powiem, że w twoim wieku ja, dziś bardzo wiekowy przechodzień na tym świecie, miałem już trzy żony i czterech męskich potomków?

- Porównanie nie jest całkowicie zadowalające, znamienity książę - wtrącił Bazyli. - Według chrześcijańskiej nauki uważa się, że wystarczy jedna żona.

- Mądra zasada z wielu względów, choć nie wydaje się prawdopodobne, żeby któraś z moich żon uczyniła mnie dostatecznie szczęśliwym i zadowolonym, ale trzeba pamiętać o tym, że nasze poglądy na ten temat znacznie się różnią. Nie, żadna z moich ośmiu żon nie zadowoliłaby mnie jako ta jedyna. - Ping-$li popadł w zadumę, towarzyszącą wspomnieniom. - Wierzę, mój szacowny przyjacielu, że wśród moich konkubin były takie, które mogłyby obdarzyć mnie szczęściem.

Było coś groteskowego w tych zwierzeniach, wychodzących z ust drobniutkiego starca. Bazyli z trudem zachował powagę zadając pytanie:

- Czy znakomity książę miał wiele konkubin?

Starzec zachichotał z zadowoleniem.

- Mnóstwo! Trzeba by dłuższego czasu, żeby wszystkie sobie przypomnieć i policzyć. - Jego nastrój stał się nagle surowy. Spojrzał badawczo i przenikliwie w twarz gościa. - Jest moim uniżonym pragnieniem, żeby szacowny młody artysta okazał się skory do zrozumienia tej aluzji.

Następnego ranka nogi Bazylego znów go zawiodły w tym samym kierunku. Znalazł

księcia siedzącego na tym samym miejscu, tak samo wpatrzonego na wschód. Starzec skinął głową z pełną poczucia godności dumą.

- Ogólna liczba, szacowny młody artysto, wynosi pięćdziesiąt dziewięć - oznajmił.

Bazyli najpierw wyglądał na zdziwionego, bowiem zapomniał, na czym zakończyli rozmowę poprzedniego dnia. Potem pamięć mu powróciła i uśmiechnął się.

- Pięćdziesiąt dziewięć konkubin? - spytał. - To pokaźna liczba.

Ping-$li pokiwał głową, rozkoszując się wspomnieniem.

- Policzyłem je wczoraj wieczorem, zanim zasnąłem. Zajęło to parę godzin, ale sprawiło mi dużą przyjemność. Niektóre z nich były przemiłe. Pochodziły ze wszystkich stron mojej ojczyzny; piękności o migdałowych oczach z południa; pełniutkie, drobne kurczątka z północy; dziewczęta przywiezione aż z Tatarii... - Przerwał, a potem ciągnął dalej, kiwając z przejęciem głową. - Te z Tatarii zawsze były faworytami. - Przerwał swe zachwyty i popadł w nastrój bardziej refleksyjny. - Tak, mój szanowny młody artysto, wszystkie moje wesolutkie małe kureczki dawały mi wiele szczęścia. Teraz jednak, patrząc na śliczną żonę szacownego przyjaciela, myślę sobie, że może lepiej mieć tylko jedną żonę i żadnych konkubin. To jedna z wielu lekcji, jakich się nauczyłem. - Jego oczy rozbłysły nadzieją. - Szacownemu artyście i jego ślicznej żonie bardzo spodobają się prezenty.

2

Kiedy goście zaczęli nawiedzać dom, Debora wzięła na siebie pośrednictwo między nimi a bardzo zajętym artystą. Przyjmowała ich chłodno i wprawnie, co wskazywało, że jest nieodrodną wnuczką swojego dziadka.

Pierwszy gość przybył z ogromnym hałasem, wywołując wiele zamieszania. Pół tuzina albo i więcej wozów zjechało z turkotem po stromym zboczu, prowadzącym od drogi miejskiej; w pierwszym z nich ktoś trąbił z furią, żeby zwolniono drogę. Rój chłopaków biegł za nimi, krzycząc z podniecenia.

Wozy zatrzymały się pod murem. Z jednego wysiadł Linus, rzucając przez ramię rozkaz, aby rozpędzić chłopaków batami. Otworzył z rozmachem frontowe drzwi, nie czekając aż służba go zapowie. Parę kroków za nim, ociągając się, szedł Kwintus Anniusz z dokumentami pod pachą.

Jeżeli uzurpator miał zamiar zrobić wrażenie na domownikach, to mu się w pełni udało, bowiem skrzypienie kół i tętent koni spowodowały, że w każdym oknie zjawiła się twarz kogoś ze służby.

- Chcę mówić z głową domu - powiedział Linus do służącego, który go spotkał w przedsionku.

Debora wyszła na pierwszy podwórzec. Był to afront, gdyż ważniejszych gości wprowadzano na drugi podwórzec, zarezerwowany tylko dla rodziny.

Linus od razu to zauważył. Gniewna zmarszczka na czole jeszcze bardziej się pogłębiła. Był zgrzany i zakurzony. Miał kark gruby i czerwony jak rzeźnik, a długie skórzane nagolenniki nie mogły ukryć owłosienia i krzywizny kończyn. Wpatrywał się w Deborę ze złością.

- Przyszedłem zobaczyć się z moim byłym niewolnikiem, Bazylim - zaczął.

- Jestem jego żoną.

- To już wiem. Ale tobie, pani, nie mam nic do powiedzenia.

- Mąż jest zajęty. Nie może cię dziś przyjąć. Jeśli mam być zupełnie szczera, muszę wyrazić nadzieję, że nigdy się z tobą nie spotka. Przekażę mu każdą wiadomość, jaką zechcesz zostawić.

- Jestem człowiekiem otwartym. Nie lubię działać przez pośredników, nawet jeśli to są żony. - W Linusie wzbierał gniew. - Przyszedłem, aby ostrzec tego człowieka.

Debora zachowała całkowity chłód i opanowanie.

- Twoje upodobania w tej sprawie nie mają znaczenia. Proszę powiedzieć, jakie to ostrzeżenie, a przekażę je memu mężowi. Czy mogę dodać, że oczekiwaliśmy tej wizyty bez przyjemności, ale i bez obawy?

- Przed paru dniami - oznajmił Linus, a jego małe oczka płonęły obrazą - przyszedł do mego domu. Nie został wpuszczony. Chcę, żeby zrozumiał raz na zawsze, że nigdy nie przekroczy tego progu. Następna próba zmusi mnie do zdecydowanego odwetu.

- Chciał zobaczyć się z matką. Bardzo ją kocha, a doszło do jego uszu, że jest chora.

Linus głośno prychnął.

- Nie są spokrewnieni. Tak zdecydował sąd.

- Nie mają żadnego znaczenia decyzje przekupnego, dobrze opłaconego sądu - odparła Debora. - Mój mąż uważa ją za swoją matkę. Zamierza ponowić odwiedziny. - Patrzyła na niego z taką powagą, że opuścił wzrok. - Nie zamkniesz przed nim drzwi po raz drugi.

- Niejedno chciałbym mu powiedzieć - oznajmił Linus. - Skoro jednak nalegasz, więc powiem. To człowiek bez skrupułów. Wkradł się do domu bogacza i wśliznął się w łaski kobiet. To samo zrobił z żoną mego brata, którą zmusił, aby uznała go za adoptowanego syna i podtrzymywała jego roszczenia.

- To kłamstwo.

Uzurpator mówił dalej z coraz większą agresywnością:

- Tu mu się nie udało, więc pojechał do Jerozolimy. Tam miał więcej szczęścia. Wkradł się w twoje uczucia. Rozmawiałem z twoim ojcem, zanim wyjechał do Jerozolimy. On mi wszystko opowiedział. Ten były niewolnik jest sprytny, z niczym się nie liczy. Na nic mu się to nie zda. Twój

ojciec wniesie sprawę do sądu po powrocie do Jerozolimy. Nie miałaś jego zgody, a za to trzeba będzie drogo zapłacić. Ten nieustępliwy intrygant...

- To wszystko, co miałeś do powiedzenia?

- Bynajmniej. Jak słyszę, macie zamiar tu zamieszkać. Nie ścierpię tego. Byłaby to dla mnie zniewaga. Ostrzegam, musicie stąd odjechać.

- Mimo to pozostaniemy w Antiochii.

Linus wskazał ręką w kierunku Kwintusa Anniusza, który trzymał się nieco z tyłu.

- Czy widzisz te dokumenty? Jest w nich zapisane to, co opowiedział mi twój ojciec. Ten Bazyli wykorzystał podeszły wiek twego dziadka, a potem wykorzystał ciebie, młodziutkie dziewczę. To niezbyt piękna historia. Będę wiedział, jaki zrobić z tego użytek. - Po raz pierwszy warknął na Deborę. - Dobrze zrobisz, biorąc pod uwagę moje ostrzeżenie! Mam duże wpływy w Antiochii. Mam wielką władzę, z której mogę zrobić użytek. Jeśli tu zostaniecie, poznacie wkrótce zasięg mojej władzy.

- Wydaje się, że powiedziałeś już wszystko, wydam więc dyspozycje, aby służba odprowadziła cię do drzwi.

Linus, z twarzą purpurową od gniewu, obrócił się na pięcie.

- Nie będę zwlekał - zagroził. - Ty i twój mąż, ten nędzny dorobkiewicz, na własnej skórze poczujecie, jak daleko sięgają moje wpływy.

- Muszę jednak coś dodać. Tak, miałeś kiedyś władzę i wpływy w Antiochii, ale to już należy do przeszłości. Wkrótce mój mąż znów się wybierze do domu na Kolumnadzie, do swojego domu. A kiedy to uczyni, władza będzie już w jego rękach.

Uzurpator odwrócił się i opuścił dziedziniec bez słowa. Wozy odjechały mniej ostentacyjnie niż zajeżdżały.

Debora zachowała pozorną pewność siebie, lecz w głębi serca poczuła się zaniepokojona. Potrząsnęła głową. “Nie dbam o jego spuściznę, ale czy ojciec w istocie mógłby unieważnić nasze małżeństwo? Tylko to ma dla mnie znaczenie.”

3

Więcej osób zjawiło się następnego dnia. Najpierw przybył mężczyzna o chudych ramionach i pochylonych plecach, a z nim kobieta rozglądająca się wokół zaczepnie i potrząsająca gniewnie głową. Kiedy służący zapytał ich u drzwi, kim są, odpowiedzi udzieliła ona.

- Mniejsza z tym, kim jesteśmy - odparła opierając ręce na biodrach. - W razie potrzeby podamy nasze imiona sędziemu. Przyszliśmy po niewolnika, który zbiegł.

- Takiego tutaj nie ma - oznajmił sługa.

Kobieta wyminęła go i wkroczyła na pierwszy dziedziniec. Odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła skrzeczeć:

- Schodź tutaj, Bazyli! Schodź, niewolniku! Jesteśmy twoimi właścicielami! Przyszliśmy po ciebie!

Słysząc te krzyki Debora pośpiesznie zeszła na dziedziniec. Miała na sobie prostą czerwoną suknię, a na głowie lekki turban. Wyglądała na zaniepokojoną. Nic dziwnego, nie miała pojęcia, kim są ci ludzie i po co tu przyszli.

- O co chodzi? - spytała. - Co was tu sprowadza?

Kobieta wyprostowała się, usiłując wyglądać godnie, chociaż w jej oczach już się zapalały iskierki wściekłości.

- Ty z pewnością jesteś tą kobietą, którą on poślubił - powiedziała. - Jeśli tak jest, to żal mi ciebie, ale nie mam ci nic do powiedzenia. Przyszłam tutaj po moją własność. - Znów odrzuciła głowę do tyłu i pozwoliła sobie na głośny, przenikliwy okrzyk. - Schodź, niewolniku! Znaleźliśmy cię i na nic się zda ukrywanie.

W tym momencie mężczyzna podjął się wyjaśnień:

- Jestem właścicielem niewolnika, który zbiegł z mego domu przed paru miesiącami. Wiemy, że jest tutaj.

Debora obróciła się, żeby spojrzeć na niego. Miał bardzo ciemną skórę i postać tak znikomą, że było coś wprost komicznego w jego napuszonej minie, która miała mu dodać powagi i znaczenia.

- Zaczynam rozumieć - oznajmiła. - Ty jesteś Sostenes z Tarsu?

- Tak, nazywam się Sostenes. - Miał zamiar jeszcze coś dodać, bo jego usta pozostały otwarte, ale wtrąciła się jego żona, dając mu szturchańca swoim kościstym ramieniem.

- Nie wtrącaj się - ostrzegła. - Oni ciebie przechytrzą, jeśli nie zamkniesz gęby. Znam ich. I ciebie znam. Postanowiliśmy, że tylko ja będę prowadziła rozmowę.

- Nie ma o czym mówić - przerwała Debora. - Wolność mego męża została od was wykupiona...

- To kłamstwo! - wykrzyknęła kobieta. - On uciekł! Nie dostaliśmy za niego złamanego grosza. Dobrze mu wyłoimy skórę, kiedy go odzyskamy.

Debora, której twarz zbielała z napięcia, musiała cofnąć się o krok, żeby uniknąć rąk Eulalii, którymi ta wymachiwała z furią.

- Mój mąż ma dokumenty - oznajmiła Debora. - Czy jesteście świadomi tego, że przywrócono go do pełnych praw obywatelskich? Jak śmiesz wysuwać takie absurdalne roszczenie?

- Kłamstwo! - zawołała Eulalia. - Nie podpisaliśmy żadnych dokumentów. Jeśli macie jakieś dokumenty, to są sfałszowane. Pójdziemy do sądu, który to potwierdzi. Lepiej nie wspominaj o dokumentach.

Debora nie zwracała uwagi na mężczyznę, stojącego w milczeniu z otwartymi ustami. Wpatrywała się z uporem w kobietę. Po chwili przemówiła głosem cichym i dobitnym.

- Widzę, że jesteś tak nikczemna, jak na to wskazuje twój wygląd. Na szczęście łatwo możemy rozstrzygnąć tę sprawę. Jest tutaj Łukasz. Pamiętasz, że to Łukasz ustalał z tobą warunki? On szybko wyjaśni, że to wszystko jest niegodziwym roszczeniem z twojej strony. To Linus was tutaj przysłał.

- Kłamstwa! Kłamstwa i oszukaństwo! Linus nas nie przysłał. Nic nie wiem o żadnym Łukaszu.

Sostenes zaszurał nogami w zakłopotaniu, kiedy na dziedziniec wszedł Łukasz, lecz jego żona była przygotowana na to spotkanie. Popatrzyła na przybysza i znów zwróciła się do Debory.

- Nigdy przedtem nie widziałam tego starca. Nie będę wysłuchiwała żadnych kłamstw wymyślonych przez was.

- Mówisz o kłamstwach - Łukasz podszedł do stojących pośrodku dziedzińca osób. Wpatrywał się bacznie przez kilka chwil w oczy kobiety. W jego twarzy był wielki smutek. - Do jakiego zła zdolne jest ludzkie serce! Zastanów się kobieto, nim podtrzymasz swe roszczenie.

- Nie patrz tak na mnie, starcze! - zawołała Eulalia. - Nie znam cię. Nigdy przedtem cię nie widziałam.

Łukasz patrzył na nią z głębokim namysłem. Kiedy znów przemówił, widać było, że ów głos, który czasem odzywał się w jego duszy i doradzał mu, co powiedzieć lub uczynić, podpowiadał mu teraz.

- Mówisz sobie, kobieto: “Ten surowy starzec o łagodnym głosie przyszedł, kiedy było już ciemno i nikt go nie widział. Możemy więc bezpiecznie twierdzić, że wcale go nie znamy.”

- Usiłujesz napełnić moją głowę kłamstwami.

- Myślisz sobie: “Udawaliśmy biedaków i nasi sąsiedzi przysięgną, że nie mamy pieniędzy na zakup innego niewolnika.”

Szczęka kobiety opadła. Wpatrywała się w Łukasza nie mając nic do powiedzenia. Sostenes zdecydował się na zabranie głosu.

- To prawda - oznajmił kiwając głową - nie byliśmy w stanie kupić nowego niewolnika do pomocy dla mnie.

- Trzymaj język za zębami! - zawołała Eulalia. - Oni cię przechytrzą. Mięczak z ciebie!

Debora przerwała jej pytaniem:

- Czy nie dostaliście pieniędzy od Jabeza?

Eulalia zaczęła triumfalnie i szyderczo chichotać.

- Gdybyśmy go rzeczywiście sprzedali, czy bylibyśmy do tego stopnia naiwni, żeby zostawić taki dowód?

- Odmówili przyjęcia zapłaty za pośrednictwem Jabeza - potwierdził Łukasz. - Musiałem pójść do jego domu i wziąć dla nich pieniądze. Kobieta nie chciała słyszeć o niczym innym.

- Nasze słowo - zapewniła Eulalia - zmierzy się ze słowem wędrownego chrześcijanina i niewolnika, który jest zbiegiem. Jesteśmy uczciwymi obywatelami. Płacimy podatki. Kupują u nas ludzie z najlepszych domów. Wiecie, jaki zapadnie wyrok w każdym sądzie całego kraju?

Przez chwilę panowało milczenie, a potem przemówił Łukasz, patrząc kobiecie prosto w oczy.

- Powiem ci, jakie myśli napełniają w tej chwili twój umysł. Ty, która dajesz fałszywe świadectwo, myślisz: "Na szczęście, oni nie wiedzą, że kupiłam ziemię." Nie jest to gospodarstwo znane pod nazwą "Trzy Grusze", lecz nieco mniejsze, położone bliżej murów miasta. Masz tam dozorcę, który się zwie Maniteles i ma sztywną jedną nogę, więc nie może oczekiwać wysokiej zapłaty. Ten biedak jest bardzo skąpo przez ciebie opłacany. Czy mam wymienić dokładną sumę?

- Kłamstwa - powiedziała kobieta tak cichym głosem, że brzmiał niemal pokornie.

- Kupiłaś tę ziemię nazajutrz po odejściu Bazylego i zapłaciłaś dokładnie tyle, ile za niego dostałaś.

Eulalia wpatrywała się w Łukasza z lękiem, z otwartymi ustami. Sostenes też nie mógł ukryć trwogi, jaka go ogarnęła.

Łukasz wciąż wpatrywał się w Eulalię.

- Czasami można czytać w umyśle drugiej osoby. Mogę ci rzec, że twój umysł jest dla mnie otwarty na oścież. Powiedział mi o wszystkim, co się wydarzyło.

- Kłamstwa! - zawołała, lecz cała pewność i zawziętość już znikły z jej głosu.

- Zaprzeczasz, że przysłał was Linus. To nieprawda. Widzieliście się z nim zeszłego wieczoru. Zażądałaś stu denarów za to, że przyjdziecie tutaj z całą tą sprawą. W końcu stanęło na osiemdziesięciu denarach. Połowę tej sumy wypłacono wam awansem.

- Chodźmy! - zawołał Sostenes. Był blady i pokorny.

- Kiedy wykupiono niewolnicę Agnes, powiedzieliście sąsiadom, że dobrze wam zapłacono za niewolnika, a teraz sprzedajecie umierającą dziewczynę za cenę zdrowej. Nie zyskaliście sympatii waszych sąsiadów, opowiadali o tym na prawo i lewo.

- Już dość! - wykrzyknął Sostenes. - Idziemy stąd i nigdy tu nie wrócimy.

Wziął Eulalię za rękę i zaczął ją ciągnąć w stronę wyjścia. Usiłowała się opierać, rzucając

gniewne spojrzenia przez ramię, lecz starannie unikała oczu Łukasza.

Kiedy zewnętrzne drzwi zamknęły się za nimi, Łukasz z wolna pokiwał głową do Debory.

- Więcej się tutaj nie pokażą. Kobieta już postanowiła nie oddawać czterdziestu denarów Linusowi. Odeszła stąd z nienawiścią do nas, lecz pełna obaw, o czym jeszcze możemy się dowiedzieć. Ona się boi swoich uczynków.

Debora była blada i zmęczona.

- Ogarnęła mnie panika! - wyznała. - Jakaż to zła kobieta! Co byśmy zrobili, gdyby się jej udało dowieść swego roszczenia?

4

Trzeci gość zjawił się w godzinę po odejściu zbitego z tropu złotnika i jego swarliwej żony. Debora zakończyła swoje gospodarskie zajęcia i przystroiła się w chłodzącą biel. Siedziała w zaciemnionym rogu drugiego dziedzińca i od niechcenia potrącała palcami struny kinoru, kiedy odźwierny wpuścił wysokiego mężczyznę z wiklinową tacą na głowie. Bazyli rozpoznałby natychmiast szlachetne czoło i szeroko rozstawione oczy wyzierające spod tacy. Był to sprzedawca słodyczy, który zatrzymał się kiedyś pod aliyyą domu Ignacjusza, aby przekazać komuś tajemniczą wiadomość.

Wysoki mężczyzna ukłonił się ostrożnie, aby nie naruszyć położenia tacy, z której mogłaby się zsunąć cała jej zawartość. Był to wyczyn możliwy tylko dzięki długiej praktyce.

- Mam przekazać wiadomość mieszkańcom tego domu - powiedział.

- Mąż mój jest zajęty - odparła Debora - lecz jest tutaj Łukasz Lekarz. Czy chcesz z nim mówić?

Mężczyzna znów się skłonił. Kiedy nadszedł Łukasz, któremu powieki jeszcze ciążyły po drzemce poobiedniej, z której go wyrwano, od razu poznał gościa.

- To Hananiasz - powiedział uśmiechając się na powitanie. - Miło mi widzieć cię nadal w dobrym zdrowiu. Oto Debora, wnuczka Józefa z Arymatei, żona Bazylego. Czego się dowiedziałeś chodząc tam i z powrotem ulicami miasta?

- Że Bóg jest dobry - odrzekł Hananiasz - i że Jego Syn przyniósł dużo dobrego sercom ludzkim. Dowiedziałem się też o sprawach znacznie mniejszej wagi, Łukaszu Lekarzu. - Przyciszył głos. - Tobiasz czuwający przy Żelaznej Bramie donosi o przybyciu Minjamina, zeloty z Jerozolimy. Przybył sam, wyglądał na bardzo zmęczonego. Pewnie rzadko odpoczywał po drodze. Pamiętając o tym, coś nam powiedział o działalności tego człowieka, dopilnowaliśmy, aby jego poczynania były śledzone. Kazano mi powiadomić cię, że dzisiejszej nocy ma się odbyć zebranie zelotów. Będą bez wątpienia omawiali wiadomości, których dostarczy Minjamin. Nie wiemy, gdzie

się odbędzie to zebranie.

- Przybycie Minjamina - wyjaśnił Łukasz - wiąże się z tym, co jest strzeżone w tym domu.

Hananiasz skinął głową.

- Okoliczności nam sprzyjają. Władze pilnie obserwują zelotów. Zabroniono im urządzania zebrań i zgromadzeń. Muszą działać bardzo ostrożnie. Chwała Jahwe za wszystkie Jego łaski.

Łukasz przyglądał się wysokiej postaci, idącej w stronę drzwi.

- Hananiasz był ongiś bardzo bogatym człowiekiem. Kiedy przyłączył się do naszej owczarni, oddał swoje gaje oliwne ludziom, którzy u niego pracowali i przekazał całe swoje złoto Kościołowi dla biedaków w tym mieście. Od lat mieszka z żoną pod namiotem na dziedzińcu garbarni. Jego żona wyrabia słodycze, a on je sprzedaje i żyją szczęśliwie z tych skromnych dochodów.

- Ma piękną twarz - dodała Debora.

Łukasz zastanawiał się nad sytuacją, w jakiej się znaleźli.

- Nie wolno o tym mówić Bazylemu. Gdyby się dowiedział, uznałby za swój obowiązek pozostanie z nami. Ważniejsze jest dokończenie oprawy Kielicha, żebyśmy mogli go oddać przywódcom Kościoła tutaj albo w Jerozolimie. Wyznaję, że spadnie mi ciężar z głowy, kiedy nie będzie już konieczne ukrywanie go w ten sposób. Naszym najważniejszym obowiązkiem powinno być wykończenie Kielicha, toteż nie wolno nam zatrzymywać Bazylego tutaj.

- Tak, musimy go natychmiast wysłać do Efezu.

Łukasz uśmiechnął się do niej z pełną ufnością.

- Rozstanie z nim oznacza dla ciebie podjęcie wielkiego ciężaru, moje dziecko. Wiem, że go udźwigniesz. - Rozważał sytuację ze zmarszczką zaabsorbowania na czole. - W Antiochii jest co najmniej tysiąc domów chrześcijańskich. Możemy znaleźć w jednym z nich bardziej bezpieczne miejsce. Może powinniśmy natychmiast zająć się jego przeniesieniem. Minjamin nie będzie tracił czasu.

Bazyli zszedł na dziedziniec wstając wprost od roboty. Jego ręce były pobrudzone farbą, a do poplamionej kwasami tuniki przywarły perełki cyny. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Skończyłem - powiedział. Opadł na ławę tuż przy krześle, na którym siedziała Debora. - Trzeba będzie jeszcze wykonać głowy, kiedy wrócę z Efezu i Rzymu. Chyba zgodzisz się ze mną, że powinienem wsiąść na pierwszy statek płynący na północ?

Debora odłożyła już kinor i zajęła się szyciem. Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Tak się cieszę, że skończyłeś. Czy jesteś zadowolony z tego, co zrobiłeś?

- Sam nie wiem - potrząsnął głową z powątpiewaniem. - Projekt jest dobry. Ale czy wykonanie jest tak dobre, jak być powinno? Czasem patrząc na moją pracę myślę sobie, że i

Skopas nie wykonałby jej lepiej. Czasem zaś myślę, że początkujący uczeń wolałby rozgnieść ją nogą niż przyznać się do wykonawstwa. Teraz zbyt jestem zmęczony, żeby cokolwiek odczuwać. - Odchylił się do tyłu na kamienne oparcie i patrzył w górę na skrawek nieba nad zielonymi kafelkami dachu. - Zdawało mi się, że słyszałem dochodzące stąd głosy. Były tak donośne, jakby toczył się tu jakiś spór.

Debora spuściła oczy na swoją robotę. Szyła spokojnie dalej.

- To nic takiego - odezwała się. - Nic takiego, czym musiałbyś się przejmować.

5

Dni potoczyły się według ustalonego porządku. Debora i Bazyli rozpoczynali dzień wcześnie, wstawali, kiedy świeżość jutrzenki była jeszcze w powietrzu, jedli śniadanie na drugim dziedzińcu, kiedy niebo na wschodzie przecinały zmienne pasma światła. Bazyli bardzo lubił wstawać rano i zjawiał się na posiłku w doskonałym nastroju. Rozmawiał, śmiał się, nawet śpiewał. Apetyt miał dobry. Debora niechętnie wstawała rano. Gdyby to zależało od niej, pozostałaby w łóżku o wiele dłużej, toteż przychodziła do stołu opieszale. Poziewała i nie była rozmowna. Od niechcenia popijała mleko małymi łykami i dziobała kawałek chleba lub owoc.

W miarę upływu godzin ich nastroje ulegały zmianie. Jego optymizm stopniowo malał. Słysząc głos żony dźwięczący w domu lub w ogrodach Bazyli zauważył, że stawał się on bardziej ożywiony w miarę jak ubywało dnia. Nadzorowała pracę służby, lecz miała jeszcze czas na muzykę i na dokazywanie ze swoim niezdarnym, ciężko stąpającym psem. Egipskiego kota, który z nieufnością odnosił się do psa, nie można było przekonać, żeby do nich dołączył. Przeważnie siedział markotny na murze.

Bazyli mógłby zrobić wykres, jak poprawia się jej humor, podczas gdy jego nastrój coraz bardziej się pogarsza. Optymizm malał wraz z umykającym dniem i Bazyli częściej wtedy dostrzegał ciemne strony wielu spraw.

Pod koniec dnia podawano wystawną wieczerzę, a młoda żona zawsze się starała zrobić z tego posiłku specjalną uroczystość. Wkładała odświętną szatę, a jej dobry nastrój objawiał się wesołością i ożywieniem, kiedy opowiadała o wydarzeniach dnia. Bazyli słuchał jej w nastroju nieco melancholijnym. Debora mówiła:

- Wyglądasz tak, jakby się zbliżał koniec świata.

Bazyli miał popłynąć do Efezu na żaglowcu, który wyruszał o świcie. Debora żywiła nadzieję, że będą mogli zjeść pożegnalną wieczerzę tylko we dwoje, ale szybko zdała sobie sprawę, że byłoby to bardzo samolubne. Bardzo starannie przygotowała smaczne potrawy i zaprosiła do stołu Łukasza, księcia Ping-$li i Czymhama. Jak przystało na dobrą żonę, zadowoliła się

pilnowaniem, aby im podawano mięciutkie plastry młodego pieczonego koźlęcia, aby przeniesiono chrupiący chleb prosto z pieca, a wino było dobrze ochłodzone. Te same dania posłano Elidadowi i Iridżi, czuwającym na górze, poszła raz do nich, aby się upewnić, czy mają wszystko, czego im potrzeba. Usiadła z nimi na chwilę, żeby zapytać o ich domy i rodziny.

Kiedy krążyła przy swoich zajęciach, docierały do niej urywki rozmowy prowadzonej przy stole, gdzie siedział pan domu i jego goście. Ping-$li, jak zwykle, zasypywał Łukasza pytaniami na temat życia i nauczania Jezusa. Bazyli był milczący. Jadł niewiele i wyglądało na to, że niezbyt się interesuje gośćmi. Czymham, który uzyskał zgodę starego księcia na przyłączenie się do jego orszaku w drodze na Wschód, był w świetnym humorze, zajadał i popijał ochoczo. Kiedy rozmowa na chwilę ucichła, Czymham zaczął mówić o sobie, oznajmiając, że jest kiepskim mężem.

- Kiedy po raz pierwszy jadłem wieczerzę z moją nową żoną - oznajmił trzymając kielich wina przy ustach - byliśmy bardzo sobie bliscy i serdeczni. Jedliśmy z tego samego talerza, używaliśmy kolejno tej samej łyżki. Ale zanim skończyliśmy wieczerzę, ona skierowała rozmowę na prezenty. Co jej przywiozę ze Wschodu? Powinienem był z miejsca dać jej poznać siłę mojej pięści. To jedyny skuteczny prezent dla żony, która się naprasza. - Pozwolił sobie na głębokie westchnienie. - Tak, nie spisałem się. Zawsze tak było. Nigdy nie obchodziłem się z żadną z nich szorstko. Kiedy poślubiłem pierwszą - nie jestem teraz pewien, która z nich była tą pierwszą - powinienem był ostrugać twardy kij na gładko i postawić go w domu. Powinienem był powiedzieć tej pierwszej żonie: “Uważaj! Oto kij. To gruby kij. Jeśli mi się nie spodoba twoje zachowanie, dobrze oberwiesz po pośladkach.” - Znów westchnął. - Na ziemię i moją głowę, oto jak postąpię, biorąc sobie następną żonę!

Bazyli patrzył na Deborę krzątającą się wokół stołu. Nie pozwoliła Sarze, aby ta włożyła jej na głowę sakkos, więc ciemne loki skupione wokół czoła sprawiały, że wyglądała bardzo młodo, wesoło, a nawet trzpiotowato. Jej suknia w kolorze niedojrzałej brzoskwini miała prosty krój. Po raz pierwszy od śmierci dziadka Debora nałożyła klejnoty. Ciężki, złoty łańcuch owijał jej szyję ze sześć razy lub więcej, a na lewej ręce miała złoty pierścień ze szmaragdem wielkości wielbłądziego oka.

Niebo zaczęło się ściemniać. Debora usiadła przy stoliku w otaczającej dziedziniec alejce, nad którą wznosiło się łukowe sklepienie. Służący przyniósł zapaloną lampę i postawił obok niej. Egipski kot zwabiony światłem porzucił swoje legowisko na górze i ocierał się teraz o jej nogi. Opuściła rękę i pogładziła go po uszach.

- Doprawdy, mógłbyś mnie polubić - odezwała się - gdybyś tylko zechciał.

Te słowa przypomniały jej o czymś. Spojrzała w stronę stołu, gdzie siedział Bazyli ze swoimi gośćmi. Ich oczy się spotkały. Wyczuwając zaproszenie, wstał, przemierzył dziedziniec i

usiadł po przeciwnej stronie stolika.

- Jesteś bez humoru - stwierdziła Debora. - Myślałam, że będziesz szczęśliwy dzisiejszego wieczoru. Wyruszasz, aby wykończyć Kielich. Kiedy tam dotrzesz, może zdołasz odnaleźć świadka, dzięki któremu usuniesz z twego domu niegodziwego Linusa. Twój wyjazd nie powinien być przyczyną smutku.

- Jestem szczęśliwy, że nadszedł czas, aby wyruszyć w drogę, a jednocześnie jest mi smutno, że muszę jechać - odparł. Ściemniło się tak bardzo, że nie widzieli wyraźnie swoich twarzy. Zaczął mówić o tym, co zaprzątało jego myśli. - Nie mogę pojąć, dlaczego wszystko ułożyło się tak dobrze. Brałem pod uwagę różne przeszkody. W gruncie rzeczy pogodziłem się z odłożeniem podróży do czasu rozwiązania niektórych problemów, jakie jeszcze wiszą nad nami. A wygląda na to, że zostawiono nas w spokoju.

Debora odpowiedziała poważnie, kiwając głową:

- Tak, mieliśmy wiele szczęścia.

- Podejrzewam, że to chwila ciszy przed burzą. Będę śpieszył z powrotem, bo obawiam się, że ta burza wokół nas w końcu wybuchnie. - Nagle się zawahał. - A może chcesz, żebym tu nie wracał?

- Bazyli! - w jej głosie brzmiała wymówka. Potem wpadła w zadumę i dopiero po chwili zaczęła mówić. - Chcę, żebyś wrócił. Byłabym... tak, muszę to powiedzieć, byłabym bardzo nieszczęśliwa, gdybyś nie wrócił. Ale zależy to od tak wielu rzeczy. Od tego, czy ty chcesz wrócić. I od tego, czy zdołamy rozstrzygnąć nasze sprawy.

- Musi być równie oczywiste dla ciebie, jak i dla mnie - powiedział cicho - że nasze stosunki nie mogą nadal tak wyglądać.

- Tak, to prawda - odparła. - Zgodziliśmy się na początku, że nasze małżeństwo przyjmie formę zaproponowaną przeze mnie. Pragnę teraz powiedzieć, że byłeś nadzwyczaj dobry, Bazyli. Trzymałeś się warunków umowy z... z największą skrupulatnością.

- Wiedziałem, że tego sobie życzysz.

- Tak, takie było moje życzenie. Nie mogę nic zarzucić ani twoim czynom, ani słowom. Teraz, kiedy odjeżdżasz, pragnę ci podziękować za to, że zawsze byłeś taki szlachetny i uprzejmy.

- Jeśli ma nastąpić jakaś zmiana, to musi ona być zgodna z twymi życzeniami.

Debora zawołała gwałtownie:

- Ach nie, nie! To, co mamy zrobić z naszym życiem, zależy całkowicie od ciebie. Od tego, co musisz mi powiedzieć po powrocie. Bazyli, czy nie rozumiesz, że nie mogę powiedzieć ani jednego słowa więcej? Że muszę czekać, abyś ty powiedział to, co ma być powiedziane?

Wyciągnął w ciemnościach rękę przez stół i dotknął jej ręki.

- Przyjąłem postawę obronną i czułem się skrępowany. Teraz jednak widzę, że niewiele z tego zrozumiałem. - Po chwili milczenia wstał. - Przejdźmy się po ogrodzie. Czy zdajesz sobie sprawę równie dobrze, jak ja, że jesteśmy coś winni naszym przyjaciołom, którym nasze dobro tak bardzo leży na sercu?

- Tak, odczuwam to samo.

Debora również wstała i z wolna skierowała się w stronę ogrodu, trzymając rękę na ramieniu Bazylego. Jej ciemnowłosa głowa znalazła się tuż obok jego rękawa z białego płótna. Wyglądali na oddaną sobie parę kochanków. Jednak taki wniosek byłby zbyt pochopny, o czym wiedzieli goście siedzący przy stole, którzy spoglądali w ich stronę z serdeczną troską.

- Zastanawiają się nad naszą przyszłością - powiedział Bazyli. - Książę mówił o tym wielokrotnie.

- Rozmawiał też ze mną - dorzuciła Debora. - Bardzo go polubiłam, choć jest takim zabawnym, drobnym człowieczkiem. Radośnie chichotał, kiedy mi opowiadał o prezentach, jakie dla nas zostawił. Nie mogę się wprost doczekać chwili, kiedy je zobaczę. - Dobrze się złożyło, że ciemność ukryła jej twarz, która spłonęła rumieńcem, kiedy zdała sobie sprawę z sensu swoich słów. Usiłując zatuszować popełnioną niezręczność, śpiesznie dodała: - Za parę dni książę odjeżdża. Będzie mi go bardzo brakowało. Dom opustoszeje.

Doszli do miejsca, z którego było widać księżyc świecący wysoko nad domem i stali przez kilka chwil, przyglądając mu się w milczeniu. Ich myśli tak były przepełnione tym, co przyniesie im przyszłość, że nie było w nich teraz miejsca dla starego księcia.

- Bazyli - odezwała się Debora - wymogłam na tobie przyrzeczenie, że się nie zobaczysz z Heleną, kiedy będziesz w Rzymie. Zmieniłam zdanie. Chcę, żebyś przyrzekł, że się z nią zobaczysz.

Bazyli był zaskoczony. Zmarszczył czoło, zastanawiając się, jaki może być powód takiej zmiany decyzji.

- Zamierzałem dotrzymać danego przyrzeczenia. Nie pragnę jej widzieć.

Debora zaczęła mu tłumaczyć:

- Sądzę, że tak będzie rozsądniej. Nie pytaj o moje racje. Nie jestem pewna, czy potrafiłabym to wyjaśnić. Myślę, że to może nam obojgu dopomóc wtedy, kiedy trzeba będzie zadecydować, co mamy dalej robić.

Zawahał się, zanim powiedział:

- Będzie, jak sobie życzysz.

Nagle pomyślał, że wszystko, co teraz miało w jego życiu znaczenie, można byłoby znaleźć tutaj: spokój i szansę na wielką miłość, przyjaciół zasiadających za jego stołem, Kielich w pokoju

na górze, warsztat i narzędzia, wiarę, którą dzielił z osobami, na których mu najbardziej zależy, z Deborą i Łukaszem, wiarę, która napełniałaby ich umysły jasnym światłem, dziewczynę, która znów się stawała nieskończenie dlań droga. Czuł, że Debora znaczy dla niego najwięcej. Mówił sobie w duchu: “Jej oczy mają więcej blasku niż oczy Heleny, włosy są bardziej jedwabiste i błyszczące. Jest taka młodziutka, łagodna i pociągająca.” Wreszcie powiedział:

- Wiele statków będzie płynęło do Efezu. Mógłbym jechać później.

- Tak, Bazyli - wyszeptała, lecz po chwili przywołała całą swoją stanowczość i dodała: - Pragnę, byś pozostał, bardzo pragnę! Byłabym ogromnie szczęśliwa. Ale wykończenie Kielicha jest teraz najważniejsze. To święty obowiązek.

Objął Deborę ramieniem i przyciągnął bliżej. Można by uznać za jeden z pomniejszych cudów to, że w ciemności usta jego znalazły drogę do jej ust, gdyby nie fakt, że wielce pomocna była gotowość Debory. Na chwilę przytuliła się do niego stając chętnie na palcach, a potem odsunęła się z głębokim westchnieniem.

- Książę się ucieszy - szepnęła. - Czy pocałowałeś mnie przez wzgląd na niego?

- Nawet nie przeszło mi to przez myśl - odparł Bazyli.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem Debora zaczęła znowu szeptać.

- Będę teraz mniej nieszczęśliwa wiedząc, że odjeżdżasz. Musimy się pogodzić z twoim odjazdem, Bazyli. Twoim obowiązkiem jest pojechać, a moim nie zatrzymywać ciebie. Musisz się z nią zobaczyć, kiedy dotrzesz do Rzymu, tak jak przyrzekłeś. O jedno chcę cię prosić: popatrz na nią nowymi oczami. Jeśli po tym spotkaniu zdołasz o niej zupełnie zapomnieć, będziemy mogli zaplanować nowe, wspólne życie.

Księga trzecia

Rozdział XXIII

1

- Pragniesz zobaczyć Jana, syna Zebedeusza? - zapytał farbiarz Raguel. - Jana, ukochanego ucznia Jezusa? - Przeczytał ponownie list Łukasza doręczony przez Bazylego, ale nie pozbył się podejrzliwości, jakiej nabrał przy pierwszej wzmiance na ten temat.

- Czy nie wiesz, młodzieńcze, że równie dobrze mógłbyś spojrzeć na niebo i zobaczyć oblicze Jahwe?

Raguel był człowiekiem zamożnym. Miał duży zakład, przynajmniej jak na tę dzielnicę, w której się znajdował, na skraju greckiej części Efezu. Było to jedno pomieszczenie o dwu poziomach. Górny poziom, gdzie żyła rodzina, rozjaśniała wesoła czerwień glinianych naczyń i połyskliwe odcienie miedzi i brązu, a nawet luksus dywanu, tkanego na pustyni. Na niższym poziomie trzymano zwierzęta domowe. Był tam jednak i drugi budynek, połączony z domem krytym pasażem. Tutaj przy kadziach pracowało co najmniej trzech pomocników, nurzających ręce aż po ramiona w różnokolorowych farbach.

- Jan - ciągnął Raguel dalej - jest uciekinierem w tym sensie, że władze chciałyby położyć na nim rękę, usunąć go z drogi bądź zesłać na wygnanie na jedną z wysp, która pełni rolę więzienia. Azjarchowie * bynajmniej go nie kochają. Zaczął głosić koniec świata. Mówi o śmierci, ogniu i zniszczeniu, więc się go boją. Te biedne, ciemne osły myślą, że jeżeli potrafią zniszczyć tego, kto ostrzega przed niebezpieczeństwem, zniszczą tym samym to, co im zagraża. Tak więc Jan musi przebywać w ukryciu. Nie można zaufać każdemu obcemu, który go poszukuje.

Azjarchowie - kapłani stojący na czele świątyń przeznaczonych na kult cesarza w Azji Mniejszej. Ich stanowisko dawało im wielkie wpływy (przyp. red.).

- Ale czy ten list nie jest dostatecznym dowodem moich dobrych intencji?

- Bynajmniej - oznajmił Raguel obcesowo. - Łukasz to człowiek dobrotliwy. Widzi dobro, a nie widzi zła. W jego naturze nie leży dopatrywanie się zdrady. A poza tym on nie ma pojęcia, z jakim trudem chronimy Jana przed szponami azjarchów. - Wpatrywał się w Bazylego wyrazistymi oczami, po których można było poznać, że jego przodkowie wywodzili się z nomadów. - Co to za Kielich, o którym jest mowa w liście?

Bazyli zaczął wyjaśniać, ale już po pierwszym słowie widać było, że Raguel powziął był decyzję. Zmarszczył się, kiedy wyjaśnienie dobiegło końca.

- W zeszłym tygodniu wystąpił tutaj Szymon Mag - oznajmił. - Był tak szatańsko zręczny, że po jego występie ludzie rozchodzili się żywiąc przekonanie, iż cuda zdziałane przez Syna Bożego były jedynie sztuczkami. Sprawił, że nad głowami jego pomocników zapłonęły języki

ognia. Wyśmiewał się i szydził z prawdy. Ale to nie wszystko. Był z nim człowiek, przybysz z Jerozolimy, imieniem Lodeus. Ten Lodeus wmieszał się w tłum i opowiadał, że Kielich, pobłogosławiony przez Jezusa na Ostatniej Wieczerzy i przekazany uczniom, już nie istnieje.

- Ja go widziałem! - zawołał Bazyli. - Widziałem go czterokrotnie. Byłem obecny przy tym, jak Józef z Arymatei po raz pierwszy wyjął go z ukrycia i pokazał Pawłowi i Łukaszowi. Widziałem, jak padli na kolana ze łzami w oczach i ucałowali krawędź Kielicha. Wiem, gdzie się teraz znajduje.

- Posłuchaj, co powiedział Lodeus. - Zachowanie Raguela nadal nie łagodniało. - Przysięga, że zeloci odebrali go chrześcijanom w Jerozolimie i zanieśli do arcykapłana. Ananiasz kazał służącemu przynieść młot i rozbił go na proch. Potem sam, nie chcąc powierzyć zadania innym rękom, poszedł w swych obrzędowych szatach na brzeg Morza Martwego w miejsce, gdzie wpływa doń święta rzeka. Było to wczesnym rankiem. Ananiasz zaczekał, aż grzebień białej piany ukaże się u ujścia rzeki i wtedy cisnął weń prochy Kielicha. Uniosła je precz ta obca fala na dno morza, gdzie się zagubiły w soli morskiej. Wtedy wzniósł ramię i zawołał: “Już nigdy ten relikt niepokoju nie wypłynie, aby nas dręczyć!” Lodeus mówił, że wielu ludzi było świadkami tej ceremonii i że on sam był przy tym obecny.

- To stek kłamstw!

Raguel gestykulował obu rękami.

- Ludzie przyjmują to za prawdę. Toteż kiedy młodzik nie noszący brody zjawia się tu i mówi, że Kielich nie został zniszczony, czy możemy mu uwierzyć? Czy mamy mu zaufać i wyjawić nasz najbardziej strzeżony sekret - miejsce pobytu Jana?

Bazyli nie miał nic więcej na swoją obronę. Jeśli list Łukasza nie wystarczał, co więcej mógł uczynić? W końcu powiedział do farbiarza:

- Może przekonałbym ciebie opowiadając całą historię od początku, jak się znalazłem w domu Józefa z Arymatei i wszystko, co wydarzyło się potem. To długa historia.

Raguel miał na sobie szkarłatny fartuch, który miał chronić jego ubranie podczas pracy. Jego szyja, ręce i kostki były pokryte plamami w tym samym odcieniu. Wytarł ręce o skraj fartucha, a potem jeszcze raz podniósł list do oczu.

- Wybieram się w drogę w Dzień Pański - powiedział wreszcie. - To oznacza siedem mil w jedną stronę i tyleż z powrotem. Jeśli chcesz iść ze mną, będzie dość czasu na opowiedzenie tej historii. - Potrząsnął głową ostrzegawczo. - Będzie to gorąca i pełna kurzu droga. Prowadzi ona do jednego z najbardziej odludnych miejsc na ziemi. Dobrze się zastanów, nim podejmiesz decyzję.

Bazyli poczuł, że serce w nim zamarło wobec konieczności zmierzenia się jeszcze raz ze złośliwością słońca - jego wielkiego wroga - jednak bez wahania odpowiedział:

- Czyż po to odbyłem całą tę drogę do Efezu, chcąc zobaczyć się z Janem, aby mnie odprawiono bez okazania wysiłku z mojej strony? Pójdę z tobą. Jestem pewien, że historia, którą ci opowiem, usunie z twoich myśli kłamstwa szerzone przez Lodeusa.

Raguel skierował wzrok na podwyższoną część pokoju, gdzie pulchniutka kobieta o ciepłych brązowych oczach krzątała się wśród naczyń kuchennych. Skinęła do niego głową, on zaś uśmiechnął się i odpowiedział tym samym gestem.

- Zostaniesz u nas. Moja Eliszeba dobrze zaopatruje dom i bez trudu napełni jeszcze jedną gębę. I tak moi pracownicy jedzą razem z nami. Wyruszamy o brzasku. Maran-atha! * To będzie ciężka droga!

Maran-atha! - "Pan jest blisko!" po aramejsku; pozdrowienie pierwszych chrześcijan (przyp. red.).

2

Segub, zwany Zebrą, wynurzył się z farbiarni, gdzie on i pozostali pomocnicy sypiali za kadziami na zwojach pościeli. Jego przydomek związany był z niechęcią do zmywania z siebie plam od farby. Szyję miał purpurową, tors purpurowy, a suche kostki u nóg niebieskawe. Nieśpiesznie przecierał zaspane oczy.

- Będzie gorąco - odezwał się spoglądając na wschód. - Niech Jahwe zmiłuje się nad takimi zakutymi głowami, jak głowa mego pana, który idzie dziś do kopalni.

- Gdybyś był dobrym chrześcijaninem, poszedłbyś z nami - odparł Raguel.

- Jestem dobrym chrześcijaninem - odciął się Segub. - Wierzę w słowa Pawła, który nam powiedział: "Dzień Pański jest dla ludzi, a nie ludzie dla niego". Spędzę te godziny w cieniu drzewa i będę myślał o tobie, panie, modlącym się wśród piachów w drodze do tych po trzykroć przeklętych kopalni.

Raguel rozpoczął długą drogę ze zmarszczką między brwiami.

- Nawróciłem się przed siedmiu laty - oświadczył. - Czy wiesz, co to znaczy? Przez całe życie kierowałem się Torą. Jestem już za stary, żeby się zmienić. Wielu chrześcijan nie stosuje się do najsurowszych Praw. Opierają się na wypowiedziach Pawła i mówią: "Czyż nie jest prawdą, że Paweł mówi to lub tamto?" Przestają przestrzegać wszystkiego, co nakazuje Prawo. Ja jednak... ja nie mogę zmienić mego postępowania - westchnął głęboko. - Czy widzisz jakąś różnicę w moim wyglądzie?

Bazyli zauważył teraz, że Raguel ma zapadnięte policzki, świeże zmarszczki pojawiły się wokół jego ust.

- Brak mi zębów - wyjaśnił mistrz farbiarski. - W Dniu Pańskim nie śmiem stosować

zastępczych, które mi zrobiono. Pytasz dlaczego? Bo jak wypadają, a zdarza się to dziesięć razy na dzień, nie mógłbym ich włożyć z powrotem, bo to już byłaby praca, a wszelka praca jest zabroniona. Nie mógłbym też ich nieść, gdyż i to byłaby praca.

Bazyli wskazał ręką mosiężną tabliczkę z przywiązaną do niej łyżką, którą jego towarzysz wsunął pod pachę.

- A czy niesienie tej tabliczki nie jest pracą?

- Nie, mój młody przyjacielu. Czy nie widzisz różnicy? Łyżka jest potrzebna dla podtrzymania życia, a więc wolno ją nieść, dokądkolwiek się idzie. Jeśli łyżka jest do czegoś przymocowana, wolno nieść i ten drugi przedmiot. Tak, to jest wykręt, zgadzam się z tym. Lecz takie wykręty umożliwiają istnienie, kiedy się stosuje najsurowsze prawa, więc wszyscy gorliwi Żydzi robią tak, jak ja. Niosę tę tabliczkę z czystym sumieniem.

Zwycięskie słońce już przepędzało z powietrza świeżość poranka. Segub Zebra nie przesadził, zapowiadał się bardzo gorący dzień. Raguel westchnął i spojrzał na niebo.

- Nie jestem już młody i z coraz większym trudem pokonuję drogę do kopalni. A teraz, obcy młodzieńcze, opowiadaj mi swoją historię.

Bazyli przerzucił niebieskie zawiniątko, zawierające zapas gliny, z jednego ramienia na drugie. Czuł, że robi się coraz bardziej duszno.

- Byłem niewolnikiem w Antiochii - rozpoczął.

Opowieść zajęła sporo czasu, lecz musiała być przekonująca. Po jej zakończeniu mistrz farbiarski skinął głową na znak, że daje wiarę.

- Nie sądzę, abyś mógł wymyślić tę historię. Byłbym szczęśliwy, wierząc w to, coś mi opowiedział... My, którzy polegamy na słowie docierającym do nas z innych stron, potrzebujemy wyraźnego znaku, na którym można się oprzeć. Jaki znak mógłby być lepszy od Kielicha z Ostatniej Wieczerzy? Ale prawdą jest, że i Lodeus opowiadał zdarzenie z przekonującymi szczegółami. - Raguel przyjrzał się twarzy swego towarzysza, zaczerwienionej i rozgorączkowanej od zaciekłego ataku słońca. - Skłonny jestem zawierzyć raczej tobie niż jemu. Taki był wygadany, że przyprawiało mnie to o mdłości.

Szli po spieczonych słońcem drogach, twardych i ostrych dla stóp. Nie rosła tam ani jedna palma, pod którą mogliby się schronić. Dotarli do podnóża gór osłaniających miasto, ich szczyty zarysowały się na błękicie nieba. Minęli kilku wędrowców podobnych do białych widm. Posuwali się z trudem, z nisko pochylonymi głowami. Nawet głosy ptaków były stłumione i zdawało się, że dochodzą z dużej odległości.

Raguel podniósł kij i wskazał przed siebie.

- Tam, u podnóża wzgórz, są kopalnie. Wszyscy ludzie, którzy w nich pracują, są

chrześcijanami. Są ubodzy i cierpliwi. Każdy z nich chętnie by umarł za jedno spojrzenie na Kielich. Młodzieńcze, wszak nie lekceważyłbyś czegoś tak świętego, jak ten Kielich? Czy mówisz prawdę?

- Powiedziałem prawdę - oznajmił Bazyli kładąc rękę na sercu. Raguel przyglądał mu się bacznie przez chwilę. Potem z uśmiechem skinął głową. Teraz był już przekonany. Dotknął ręką mosiężnej tabliczki pod pachą.

- Niosę ją dla jednego z tych łagodnych, zmęczonych ludzi, pracujących tak ciężko w kopalniach. Jego brata ukrzyżowano przed dwoma dniami i przybito tę tabliczkę gwoździami do krzyża. Na niej jest tylko numer, nic więcej. Zeszłej nocy, kiedy już zapadły ciemności, poszedłem na Wzgórze Zmarłych, położone w cieniu Skały Sępów i ukradłem tę tabliczkę. Sądzę, że mój biedny przyjaciel Abiszalom pragnie ją mieć.

- Czy uwierzysz - ciągnął Raguel, kiedy stąpali w pełnym słońcu - że mój przyjaciel Abiszalom nigdy nie był dalej jak o milę od miejsca, gdzie się urodził? Czy uwierzysz, że on nie wie, co się robi z rudy, którą nosi w workach na swoim grzbiecie z kopalni do walcowni, przez całą drogę utykając na jedną nogę, bo jest kulawy? Że nigdy nie widział ani kawałka wypolerowanego mosiądzu wytwarzanego w walcowni? To wszystko prawda. On jest żonaty, ten mój biedny przyjaciel i ma siedmioro dzieci. Jego żona to zawzięta kobieta. Nazywa go słabeuszem, ofermą. Zawsze mu wymawia, że nie jest dość mądry, żeby wyrabiać mosiądz w walcowni, zamiast nosić rudę na plecach. Dlatego nigdy nie postawił nogi w walcowni. Jest dumny na swój sposób, ten mój przyjaciel. Miał starszego brata, Hobaba, który był silny, uczciwy, prawy i przewodził wśród górników. Hobab, kiedy był chłopcem, zawsze opiekował się ułomnym Abiszalomem. Jeśli droga była ciężka, nosił go nawet na plecach. Był łagodny i czuły, jak przystało na starszego brata, a kiedy dorósł, nadal go wspierał i miłował, czasem użyczył monety albo i dwóch na podatek dla poborców, jeśli Abiszalom nic nie miał w sakiewce. Lecz Hobab miał temperament i kiedy zeloci zaczęli wichrzyć i wtrącać się do górników, podburzył swych miłujących pokój towarzyszy. Podczas walki zginął jeden człowiek. Potem przyszli rzymscy żołnierze i zabrali Hobaba mówiąc, że był prowodyrem. Ukrzyżowali go na Wzgórzu Zmarłych. - Twarz Raguela posmutniała. - Mówiono mi, że Abiszalom nie odezwał się od czasu jak zabrano jego brata. Leży na łóżku i patrzy na ścianę niewidzącymi oczami. Może już nigdy nie wstanie.

Zobaczyli przed sobą niewielkie skupisko małych domków. Raguel podniósł kij i wskazał na jeden z nich.

- Mieszka tutaj. Pozwolisz, że sam pójdę do niego?

Długo nie wychodził, a kiedy się zjawił, usiadł bez słowa obok Bazylego, który znalazł ocienione miejsce. Podniósł z ziemi garść piachu i przesypywał wolno między palcami, patrząc na

drobne ziarenka z pochyloną głową. Powtórzył to parę razy, a potem zaczął mówić.

- Nic dziwnego, że ludzie tacy jak Abiszalom są pozbawieni wszystkiego. Ciężko utrzymać się na ziemi tak nieurodzajnej. To walka o przeżycie. Ale - dodał wzdychając - on nie będzie musiał dłużej walczyć. Mojemu biednemu przyjacielowi pozostało niewiele godzin życia.

Żaden z nich nie przerywał milczenia przez kilka chwil. Potem mistrz farbiarski znów zaczął mówić:

- Kiedy chrześcijanie zbierają się na rozmowy, najbardziej ich obchodzi kwestia życia po śmierci. Ta wiara jest dla nich czymś nowym i cudownym, rozjaśnia ich umysły jak tysiąc słońc. Cieszą się nią, jak mały żebrak cieszył się drogocennym kamieniem znalezionym na śmietniku. Wierzą, a zarazem zdumiewa ich własna śmiałość. Rozważają dowody: “Czyż Jezus tak nie powiedział?” Albo: “Co On miał na myśli, kiedy to mówił swoim uczniom?” Przytaczają słowa Piotra i Pawła, a czasami przypominają, że Grecy również wierzą w przyszłe życie. A jednak nie jest to dla nich jasne i pragną, żeby im to na nowo objaśniać. - Podniósł dumnie głowę. - Ja nie wątpię. Jestem jednym z niewielu. Mój umysł nigdy nie jest zmęczony. Od czasu, jak przyjąłem Jezusa, jestem pewien, że zobaczę Go w pełnej chwale. Moja wiara daje mi szczęście. Chwała Jahwe i Jego jedynemu Synowi, gdyż teraz mój biedny przyjaciel Abiszalom dzieli moją wiarę!

Obrócił do Bazylego rozjaśnioną twarz.

- Leżał tam w dusznym upale swego kąta z twarzą przypominającą śmiertelną maskę. Nie sądzę, żeby mnie poznał, kiedy się nad nim pochyliłem. Włożyłem mu do rąk mosiężną tabliczkę i powiedziałem, skąd pochodzi. Czy pamiętasz, co ci mówiłem? On nigdy nie widział lustra. Spojrzał na błyszczący mosiądz tabliczki i ujrzał twarz patrzącą na niego. Ci dwaj bracia byli bardzo do siebie podobni, więc od razu krzyknął, że widzi swego brata i zawołał: “O, błogosławiony Ojcze w niebiosach! Istnieje życie po śmierci! Oto mój brat nie zniknął w ciemnościach grobu. Patrzy na mnie z tabliczki, pod którą wisiało jego martwe ciało. Jego oczy uśmiechają się do mnie i płaczą. One usiłują mi coś powiedzieć.” - Trudno mu było utrzymać tabliczkę, żeby nadal patrzeć w odbitą na niej twarz. Po długiej przerwie, kiedy znów zebrał siły, przemówił:

- Wiem, co usiłuje mi powiedzieć mój piękny, wysoki brat, który poszedł na śmierć tak odważnie. Mówi, że on tam będzie, aby mnie spotkać po śmierci i że weźmie mnie na plecy i poniesie wysoko ponad chmury, poprzez gwiazdy, drogą do raju.

Cień zwątpienia przemknął przez twarz farbiarza.

- Może ci się wydać, że mój przyjaciel został oszukany, bo uwierzył w przyszłe życie dzięki takiemu fortelowi. Tak nie jest, młodzieńcze. To Bóg musiał mnie natchnąć, abym zabrał tabliczkę z krzyża, na którym zmarł Hobab i zaniósł jego bratu. W ten sposób Jahwe ukazał prawdę temu

pokornemu człowiekowi o prostym, zaćmionym umyśle. Powinieneś był widzieć wyraz twarzy Abiszaloma! Promieniała szczęściem, jakie na niego spłynęło. A zresztą - gestykulował spokojnie rękami - kto wie? Czy możemy być pewni, że to nie Hobab spoglądał na niego z mosiężnego talerza? Zdarzały się dziwniejsze rzeczy, mój chłopcze.

Słońce przesunęło cień, zdecydowane odebrać schronienie udzielone im przez anemiczne i ponure drzewo. Wyglądało teraz spoza jego korony, kierując na nich swe promienie jak strzały ognia.

Raguel powiedział:

- Musimy ruszać. Ale wpierw coś ci powiem. Widziałem, jak żona mego przyjaciela spoglądała na tabliczkę chciwym okiem i wiedziałem, że się zastanawia, ile może za nią dostać. Przywołałem więc na bok starszego z dwóch synów. To trzynastoletni chłopak. Myślę, że ma dobry apetyt i sen i że jego żołądek dobrze pracuje, bo już ma sporo z wielkiej siły Hobaba. Na imię mu Dawid, ale zawsze wołano na niego Woskowy Nosek. Powiedziałem mu: "Od tej pory nie możesz pozwolić, aby ktokolwiek nazywał cię Woskowym Noskiem. Masz na imię Dawid i niedługo staniesz się głową domu." Popatrzyłem mu prosto w oczy i powiedziałem surowo: "Dawidzie, nie pozwól, żeby zabrano tabliczkę z rąk ojca. Stój przy nim, a kiedy umrze - bowiem on niedługo umrze, Dawidzie, a ty musisz być dzielny i nie pozwolić sobie na łzy, które widzę w twych oczach - musisz dopilnować, żeby go pochowano z tabliczką w objęciach." Chłopiec zdławił łzy, wyprostował się jak struna, i powiedział: "Będzie tak, jak mówisz, wuju Raguelu. Jestem teraz głową rodziny i to ja będę wydawał rozkazy."

Nie było żadnej nadziei na wypoczynek w miejscu, w którym siedzieli. Raguel westchnął i wstał.

- Chodź, mamy jeszcze dużo do zrobienia.

Odwrócili się i Raguel ruszył przodem w stronę podnóża najwyższej góry. Upał był tutaj jeszcze trudniejszy do zniesienia. Odbijał się od skalistej powierzchni wzgórz i zdawał się gromadzić wokół nich, jak ponura i gniewna chmura.

- Czyś słyszał o tym, młody przyjacielu - spytał Raguel - że pod miastem są całe kilometry podziemnych korytarzy? Nie jesteśmy dziś pewni, do jakich celów kiedyś służyły, chociaż uważa się, że miała to być droga ucieczki, gdyby miasto wpadło w ręce najeźdźców. Wychodzą spod murów miasta. Jeden ciąg korytarzy ma wyjście u podnóża góry przed nami. Nikt o tym nie wie oprócz mężczyzn schodzących z kilofami do kopalni, a oni wszyscy są chrześcijanami. Wykryli stopnie łączące ich szyb z ostatnią z podziemnych komór i ściśle dochowują tajemnicy. - Przerwał i spod na wpół przymkniętych powiek przed oślepiającym blaskiem słońca spojrzał z uśmiechem na Bazylego. - Zamierzam wziąć cię ze sobą, żebyś mógł zobaczyć Jana.

- Kiedy?! - wykrzyknął Bazyli z ulgą i radością.

- Teraz. Będzie obecny na nabożeństwie, które się zaczyna za pół godziny - odparł Raguel, odwracając się, aby sprawdzić pozycję słońca.

3

Komora, w której się znaleźli po zejściu stromym korytarzem wykutym w ciemnej skale, była słabo oświetlona pochodniami, umieszczonymi na ścianach. Kiedy oczy Bazylego przyzwyczaiły się do mroku, zobaczył, że przestrzeń pod nimi była już w dużej mierze zapełniona. Ludzie siedzieli na kamieniach tworzących naturalną posadzkę, kilku z nich, wyglądających na strażników, stało pod ścianami. Byli to mężczyźni o poważnym wyglądzie, całkowicie oddani, zdecydowani, a nawet fanatyczni. Wydawało się, że większość z nich nie jest Semitami, jak to miało miejsce na innych zebraniach chrześcijan. Bazyli skomentował to szeptem.

- Prawie wszyscy są nawróceni przez Pawła - powiedział Raguel. - On często przebywał w Efezie, a ilekroć się tu zjawia, żeby objaśniać nam prawdę, liczba chrześcijan znacznie wzrasta. Ostatnio szemrano wśród Żydów, że Paweł stara się ich odciągnąć od Prawa Mojżeszowego. To im się nie podoba. Mają mu za złe wysiłki szerzenia słowa wśród pogan. Wielu się wyrzekło chrześcijaństwa i znów jak najściślej przestrzegają Prawa, wyrzuciwszy Jezusa ze swych serc. Są naszymi największymi wrogami. To oni wspomagają i zachęcają sztyletników. - Bazyli zauważył, że twarz Raguela wyraża teraz skruchę. - Czy było w tym coś dziwnego, młody przyjacielu, że podejrzewałem ciebie i nie byłem gotów iść z tobą od razu do Jana? To właśnie jego i Pawła chcieliby ci odstępcy oddać w ręce azjarchów.

Napływało coraz więcej ludzi. Byli to zmęczeni mężczyźni, których krok był sztywny; przystawali przed wejściem i otrząsali kurz ze swych szat.

- Skąd przychodzą? - zapytał Bazyli.

- Wielu z nich to górnicy, mieszkają w pobliżu. Reszta przyszła z miasta. Z reguły zaczynamy po zapadnięciu ciemności, żeby nie zwracać niczyjej uwagi, gdyż musimy przede wszystkim zachować w tajemnicy miejsca naszych spotkań. Będą się rozchodzili po dwóch i po trzech, bez pośpiechu, żeby wyglądało, iż spędzili dzień na przechadzce po polach. Ci zagorzali odstępcy i zeloci nie dadzą się łatwo zwieść, ale jak dotąd nie wykryli miejsca naszych spotkań. Co parę tygodni wyznaczamy inne. Nie wiem, dokąd pójdziemy następnym razem.

Raguel zamilkł i ostrzegawczo położył dłoń na ramieniu Bazylego. Nabożeństwo zaczynało się odczytaniem ustępu z wczesnych pism. Jeden z uczestników zgromadzenia czytał, stojąc na półce skalnej w końcu pieczary. Większość pochodziła z najbiedniejszej warstwy ludności, więc Bazyli był zdziwiony wyrobionym głosem mówiącego i jego mądrym spojrzeniem. Kiedy skończył

czytanie, zaintonował pieśń, do której wszyscy się przyłączyli. Potem nastąpiła przerwa, z której Bazyli skorzystał, aby się lepiej przyjrzeć żarliwym mężczyznom i kobietom tworzącym zgromadzenie. Jego oczy obiegły całą komorę i wróciły do skalnego występu, gdzie, ku jego zdziwieniu, stał już ktoś inny.

Nowo przybyły nie wyróżniał się postawą. Był niskiego wzrostu, a jego szczupłość graniczyła z wychudzeniem; trzymał się pochyło i robił wzruszające wrażenie w swojej prostej, białej szacie. Rozejrzał się wokół i podniósł rękę do góry. Szmer i szepty ustały, a postacie siedzące w półmroku znieruchomiały, jak wojownicy i bogowie naszkicowani na ścianach nad nimi.

Bazyli odwrócił się do towarzysza pytająco unosząc brew do góry, zaś Raguel odpowiedział bezdźwięcznie, nadając ustom kształt słowa: “Jan”.

- Przychodzę do was, być może, po raz ostatni - Jan zaczął głosem cienkim i wysokim. - Jest napisane, że wkrótce będę pojmany i zesłany na wyspę, gdzie będą mnie więzić ludzie pełni nienawiści i lęku. Boją się mnie i nienawidzą, ale jeszcze bardziej lękają się wizji, jaką miałem. Moje oczy wzniosły się ku wysokościom i ujrzałem to, co zostało napisane na niebieskich chmurach ponad obłokami i ponad gwiazdami. Moje uszy posłyszały głos Pana, który mi przykazał, bym ogłosił ludziom to, co zobaczyłem i usłyszałem.

Jego głos nabrał nagle mocy, żarliwości i głębokiego przekonania.

- Ci, którzy kroczą w prawdzie, którzy z Boga się narodzili, ponieważ uwierzyli, że Jezus jest Chrystusem - ci nie muszę się lękać. On, który przeszedł przez krew i wodę, już wkrótce przyjdzie ponownie, a ci, którzy w Niego nie uwierzyli, drżą ze strachu przed Jego przyjściem. Czas jest blisko! Zanim jednak nadejdzie, przemówię do siedmiu Kościołów, a to, co powiem, zatrwoży wszystkie serca. Krew monarchów i ubogich, wielkich i małych, mądrych i szyderców zamieni się w wodę. I będą szukać schronienia w ostępach leśnych, w głębinach wód i we wnętrznościach ziemi, pod wysokimi grobowcami gór.

Bazyli słuchał uważnie, ale nawet wówczas, gdy jego uszy napełniły się dziwnymi słowami wypowiadanymi przez tego niskiego, żarliwego człowieka, jego palce szarpały gorączkowo niebieski sznurek, opasujący zawiniątko z gliną.

Nie chciał pominąć ani jednego słowa padającego z prawie bezkrwistych warg Apostoła, wiedział jednak, że nie wolno mu stracić sposobności do utrwalenia w wilgotnej glinie niezwykłego oblicza ukochanego ucznia Jezusa. W pewnym sensie było to trudne, gdyż lwia głowa Jana miała bardzo charakterystyczne rysy. Wypukłe czoło myśliciela i marzyciela przypominało szeroki okap. Prosty nos był dostatecznie długi, żeby zrównoważyć szerokość twarzy od oka do ucha, lecz sprawiał, że usta i podbródek wydawały się, w porównaniu z nim, małe. Usta, jak zauważył Bazyli, świadczyły o wrażliwości, a broda o odwadze, lecz trzeba było ponownego

spojrzenia, aby je w ogóle zauważyć, gdyż jego uwagę natychmiast pochłonęły wysokość czoła i rozjarzone blaskiem oczy tuż pod nim.

“Czy uda mi się oddać tego potężnego ducha, który go ożywia?” - myślał młody artysta, podczas gdy jego palce pracowały gorączkowo. - “Czy zdołam jasno ukazać, że to człowiek, który rozmawia z Bogiem?”

Apostoł mówił o swej wizji słowami, które niekiedy były mgliste, a nawet niespójne, lecz zawsze pełne mocy przekraczającej ludzkie doświadczenia. Bazyli wpadł w takie uniesienie, że w końcu poniechał zadania, jakie go tu sprowadziło. Jego ręce zaprzestały wysiłku, teraz tylko patrzył i słuchał. Tak mu się przynajmniej zdawało, lecz kiedy Apostoł przerwał, Bazyli uświadomił sobie, że bez żadnego nakazu woli ręce podjęły na nowo modelowanie i ugniatanie wosku.

Natychmiast napełnił go strach. Zdarza się to już po raz drugi. Pamiętał jak jego palce wgniatały się zapalczywie w wosk, kiedy pomyślał o Linusie i o zemście, której tak pożądał, jak zniszczyły całkowicie pierwszy, jaki zrobił, model Łukasza. Czy to znów się powtórzy? Czy wosk, który trzyma w rękach, będzie za chwilę bezkształtną masą? Bał się spojrzeć.

Jan przestał mówić. Po zwyczajowym przełamaniu chleba podniósł rękę, błogosławiąc zebranych. Nastąpiła chwila cichej modlitwy, a potem zszedł ze skalnego występu. Bazyli poczuł na swym ramieniu rękę Raguela.

- Koniec zebrania - powiedział farbiarz wstając. - Zobaczyłeś Jana, młody wędrowcze. Słyszałeś, jak przemawia. Czyż to nie wspaniałe przeżycie?

- Będę ci zawsze wdzięczny - odparł Bazyli, idąc za nim wznoszącym się ku górze korytarzem.

Nadal niósł model głowy w obu rękach, ale jeszcze nie panował dostatecznie nad swymi uczuciami, aby bez oporu nań spojrzeć.

Kiedy wyszli na zewnątrz, podniósł ją na wysokość oczu i naraz poczuł, że przestaje nad sobą panować. Chciał krzyczeć na głos z radości i zdziwienia. Jego ręce nie zdradziły go po raz drugi! Pracując samodzielnie więcej osiągnęły, niż mogłyby zdziałać kierowane jego wolą. Dokładne modelowanie, które rozpoczął świadomie, zostało doprowadzone do końca ze wszystkimi szczegółami: zmarszczki tak głęboko zarysowane na czole i wokół smutnych oczu, zarys zapadniętych policzków, wrażliwe wargi. Zrozumiał, że praca jest zakończona; dalsze modelowanie byłoby usiłowaniem prześcignięcia doskonałości.

“Jakiś duch mną owładnął” - pomyślał z uniesieniem. - “Ale to nie był zły duch.”

Mężczyźni i kobiety, którzy siedzieli u stóp Jana, nie ociągali się i nie przystawali w grupkach, aby wyrazić swe zdanie albo podzielić się wrażeniami, jak zrobiliby w każdych innych okolicznościach. Wstali spokojnie i ruszyli w drogę do swoich domów. Spiesznie odchodzili

dwójkami w różne strony.

Raguel ze zdumieniem wpatrywał się w model głowy trzymany przez Bazylego.

- Ty to zrobiłeś? - zapytał z niedowierzaniem. - Zrobiłeś to, kiedy tam byliśmy? Trudno w to uwierzyć, choć widziałem wszystko na własne oczy. - Pokiwał głową z uniesieniem. - Teraz nie mam już żadnych wątpliwości. Historia, którą mi opowiedziałeś, jest prawdziwa. Kielich znajduje się w bezpiecznym miejscu. Dzięki twoim wysiłkom kiedyś otrzyma stosowną oprawę. Jestem szczęśliwy, że ci zaufałem i przyprowadziłem tutaj.

Rozdział XXIV

1

Był już późny wieczór, ale duszny upał wciąż jeszcze panował w mieście nad Tybrem. Jeden z podróżnych, który przypłynął na tym samym statku z Efezu i miał dom w pobliżu Mostu Fabrycjusza, zgodził się wskazać Bazylemu drogę do małego zajazdu, gdzie można się było zatrzymać. Dużo przebywali ze sobą i wreszcie młody Rzymianin wyjawił, że jest chrześcijaninem.

- Będzie tak ciemno, że niewiele zobaczymy - powiedział Rzymianin, który miał na imię Krassus. - A szkoda. Rzym powinno się po raz pierwszy oglądać w południe. Wtedy jest to najbardziej podniecający widok na świecie. Coś, co przechodzi wszelkie wyobrażenie. - Pozwolił sobie na westchnienie. - To najbardziej rozwiązłe ze wszystkich miast, ale nie można go nie kochać. Życie staje się puste dla każdego, kto stąd odejdzie.

- Tutaj się urodziłeś? - spytał Bazyli.

Krassus potaknął głową.

- Tak, urodziłem się w tym samym domu, w którym teraz mieszkam. Po śmierci ojca przejąłem dom i handel wschodnimi towarami. Różnię się od większości chrześcijan w Rzymie. Jestem patrycjuszem. Nie uznaję trwonienia pieniędzy.

Łatwo było w to uwierzyć, gdyż to on zaproponował, żeby pójść przez miasto piechotą.

- Jestem człowiekiem dość bogatym. Nie oddaję na Kościół wszystkich moich dochodów, ale daję pokaźną ich część.

Mijali Wzgórza Awentyńskie i kopalnie wapna. Tutaj nic nie świadczyło o wspaniałości Rzymu. Ulice były ciemne i puste. Okrążyli Circus Maximus i weszli z trudem na strome schody Forum Romanum. Młody patrycjusz powiedział z dumą:

- Stoimy teraz dokładnie w samym środku świata.

Forum było zatłoczone i hałaśliwe nawet o tej porze. Zatrzymali się przed świątynią Janusa i Krassus wskazał otwarte drzwi.

- Stoją otworem, kiedy Rzym prowadzi wojnę - objaśnił. - Można by w samej rzeczy powiedzieć, że nigdy nie są zamknięte.

Większość ludzi na Forum stanowili zwiedzający. Przyglądali się pomnikom, oglądali przy jasnym świetle księżyca świątynie otaczające plac ze wszystkich stron. Wszyscy zdrowo popili, gdyż w Rzymie panował biesiadny nastrój. Rozprawiali głośno i z przejęciem.

- Jak widać, ludzie czują się tutaj swobodnie - zauważył Bazyli. - Ani śladu nadzoru ze strony policji.

Jego towarzysz zagłębił się w wyjaśnienia.

- Są tu straże przeciwpożarowe. Przechodzą przez Forum tam i z powrotem kilka razy w ciągu nocy. Miasto nie ma policji. Straże pretoriańskie powinny utrzymywać spokój w mieście, ale nocą nikt ich tu nie widuje. Oczywiście zawsze są kompanie straży na Palatynie i na Kapitolu.

- Czy ludziom daje się swobodę po to, aby zapomnieli o swojej biedzie i o wolności politycznej, którą im odebrano? - zapytał Bazyli.

Okazało się, że u Krassusa wierzenia religijne i poglądy polityczne to dwie różne sprawy. Popatrzył na Bazylego z naganą w oczach.

- Wielu uważa, że w Rzymie jest aż za dużo wolności politycznej - zaznaczył.

Wiedząc, że wszędzie pełno złodziei, nie spuszczali rąk z rękojeści sztyletów ukrytych pod tunikami. Ciągłe zagrożenie sprowokowało pytanie Bazylego:

- Jakiego rodzaju jest to miejsce, do którego idę?

Wyglądało na to, że Krassus nie ma o nim najlepszej opinii.

- Nosi nazwę zajazdu, lecz w samej rzeczy jest to rodzaj stancji, insula, prowadzonej przez sędziwego osobnika zwanego Starym Hannibalem. Jest ogólnie znanym miejscem, gdyż Stary Hannibal ma syna - sławnego gladiatora.

Bazyli zmarszczył brwi ze zdziwienia.

- Wydaje mi się, że wybrali dla mnie dziwne miejsce pobytu.

- Skądże - zaprzeczył Krassus. - Nie ma tam żadnych chrześcijan, więc jest jak najbardziej bezpieczne.

Z dalszych wyjaśnień wynikało, że jak na chrześcijanina miał bardzo różnorodne zainteresowania.

- Syn Hannibala zwie się Sisynnes Niezwyciężony. Teraz już się nie zakładam, ale kiedy byłem młodszy, wciąż wygrywałem pieniądze, stawiając na Sisynnesa. Jest Samnitą, a to znaczy, że walczy na arenie tradycyjnym rzymskim mieczem i tarczą. Zdobywa tym wielką popularność. Kiedy on walczy, zagrzewają go rykiem do boju. Nigdy nie przegrał. Mówi się, że zrobił fortunę zakładając się z ludźmi o samego siebie. Już dawno mógłby się wycofać, ale wciąż walczy, żeby powiększyć majątek.

Zmęczone nogi doprowadziły ich do podnóża wschodniej skały, gdzie pod Wzgórzem Kapitolińskim stało ponure Więzienie Mamertyńskie. Krassus nie lubił tej okolicy, więc przyśpieszył kroku, żeby jak najprędzej stamtąd się oddalić.

- Są tam podziemne cele - szeptał - w których trzymani są wszyscy skazani na śmierć. Zawsze jest między nimi paru chrześcijan. Cesarz nas nienawidzi. Chętnie skazuje chrześcijan na śmierć z najbłahszego powodu. Wystarcza samo podejrzenie. Nikt nie wie, dlaczego chce się pozbyć wszystkich chrześcijan z Rzymu. - Wzdrygnął się. - Być może, jacyś moi przyjaciele są

teraz tam, na dole. Czekają... czekają na ścięcie albo ukrzyżowanie. Może przebywają w tej chwili w tych wilgotnych, okropnych celach, świadomi, że umrą o świcie. Zbiera mi się na mdłości, kiedy o tym myślę.

Bazyli pomyślał, że z ulgą pożegna swego towarzysza. Na pokładzie statku Krassus był przyjemnym towarzyszem podróży, lecz z chwilą kiedy dotarli do Rzymu, jego zachowanie uległo zmianie. Stał się wyniosły, dość lekceważący, co i raz dawał do zrozumienia, że jest patrycjuszem. Łukasz często mówił: "Bogactwo i chrześcijaństwo nie pasują do siebie. Józef z Arymatei był jednym z nielicznych wyjątków. Zarówno Piotr, jak i Paweł uznali za konieczne poniechać odwiedzania chrześcijan wysokiej rangi społecznej."

Wkrótce potem doszli do tej części miasta, która leży u zbiegu Kwirynału i Wzgórz Eskwilińskich, niczym ślad tłustego palca na pergaminie. Nazywała się Subura. Była dzielnicą występku i nędzy, gdzie sklepy wychodziły tak daleko na uliczki, że przechodnie musieli się przez nie przedzierać, gdzie towary wystawione na sprzedaż były tandetne i krzykliwe, a pochodzenie ich - podejrzane, gdzie świetnie prosperowali sprzedawcy zakazanych i kradzionych towarów oraz krążyli osobnicy, którzy zaspokajali potrzeby ciemnoty, przesądu i chciwości. Złodzieje i zbiegli niewolnicy gnieździli się w ciemnych kątach Subury, opuszczając swoje kryjówki tylko w nocy. Wobec ściśle przestrzeganego edyktu nie można było za dnia wjeżdżać wozami do miasta, więc cały dowóz zapasów żywności odbywał się w godzinach nocnych. Ulice Subury już huczały od dudnienia zgrzytających kół wiejskich wozów naładowanych paszą, kwiczenia wieprzy, gęgania gęsi, a wokół rozbrzmiewały kłótnie sprzedawców i kupujących.

Za tą dzielnicą nikczemności, cierpienia i łez wzgórze ostro się podnosiło, a w niedużym trójkącie spadzistego terenu była oaza względnego spokoju. Tutaj stały niewielkie domy mieszkalne stłoczone tak ciasno, jak kury w klatce kramarza. Mieszkało tu pospólstwo o znikomych dochodach.

Krassus szedł pod górę marszcząc nos z dezaprobatą, chociaż było prawdopodobne, że sam miał udział w jakichś podejrzanych interesach, kwitnących w cieniu tej niezbyt miło pachnącej dzielnicy. Wszyscy bogaci obywatele rzymscy czerpali znaczną część swoich dochodów właśnie z Subury. Mówiąc o tym prychnął pogardliwie.

- Właśnie przeszedłeś przez najgorszą część Rzymu. Podobno Juliusz Cezar miał tu kiedyś swój dom, ale to było bardzo dawno temu. Trudno sobie wyobrazić wybrednego Cezara, mieszkającego w takim chlewie.

Ponieważ długa wędrówka po brukowanych ulicach miasta odebrała mięśniom ich nóg całą prężność, szli ociężałym krokiem. Wreszcie Krassus powiedział:

- To tutaj. Oto gospoda starego Hannibala. Zostawiam cię tu, mój przyjacielu. Teraz, kiedy

znalazłeś się w Rzymie, zapomnij wszystko, co o mnie wiesz. Nie chcę się znaleźć w Więzieniu Mamertyńskim. Bądź ostrożny dla własnego dobra. - Podniósł rękę pożegnalnym gestem. - Niech twoje sprawy w Rzymie przyjmą pomyślny obrót, żebyś mógł szybko wrócić do swojej pięknej żony.

Gospoda była małą budowlą pokrytą sztukaterią w nie najlepszym stanie. Było tak cicho, że Bazyli się obawiał, iż jego stukanie do drzwi usłyszy całe sąsiedztwo. Widocznie hałas nie docierał do domowników, bo musiał powtórzyć pukanie. Wtedy drzwi się otworzyły i wyjrzał jakiś człowiek.

- Późno kołaczesz do drzwi - odezwał się dobrotliwym głosem. - Czego pragniesz?

Mówił po aramejsku, co było ulgą dla Bazylego, którego uszy od chwili wejścia do miasta szturmowała mieszanina niezrozumiałych słów.

- Potrzebny mi jest nocleg - odparł Bazyli, kładąc u stóp węzełek ze swoimi rzeczami. - Mam list do właściciela tej gospody.

- To go obudzę.

Bazyli słyszał, jak gospodarz potyka się o coś w ciemnościach, a po paru chwilach wrócił z zapaloną lampką w ręce. W jej świetle dostrzegł, że jest to człowiek w bardzo podeszłym wieku, ale z wyraźnymi jeszcze śladami energii. Jego broda i gęste, niesforne włosy były zupełnie białe.

- Wejdź, przybyszu - powiedział. - Przybyłeś do Rzymu przez morze?

Bazyli skinął potakująco.

- Przybywam z Antiochii, przez Efez.

Weszli do wspólnej sali gospody. Był tam długi stół z ławami po obu stronach i stos nakryć na końcu stołu. Pomieszczenie miało wszystkie cechy pospolitego ubóstwa. Stół był prosty i tani, ławy z pewnością skrzypiały pod niedużym nawet ciężarem, lampa w rękach starca była pośledniego rodzaju, jakie się widuje na pustynnych szlakach i miejskich wysypiskach śmieci.

- Jeśli dasz mi ten list, zaniosę go zaraz.

Zniknął na kilka minut, aby powrócić z drugim mężczyzną, bardzo starym i drobniutkim, mającym coś z ptaka w bystrości spojrzenia i wysokich, cienkich tonach głosu. Trzymał w ręce otwarty list.

Najpierw odezwał się do drugiego starca, stojącego poza obrębem światła rzucanego przez trzymaną lampkę.

- Kefasie, to list od Łukasza.

- Od Łukasza? A, to inna sprawa. Z pewnością możemy zaufać temu młodzieńcowi.

- Tak też od razu pomyślałem.

- A gdzie jest Łukasz?

- Zostawiłem go w Antiochii - odrzekł Bazyli. - Był w dobrym zdrowiu. Spodziewał się zaproszenia do Jerozolimy.

- W tym liście jest napisane - powiedział właściciel gospody - że przybywasz w sprawie, w której z chęcią ci pomożemy. I jeszcze takie zdanie: “Sprawa jest tego rodzaju, że nie od razu zdołacie ją pojąć.”

W tym miejscu Kefas wybuchnął śmiechem. Jak na postać tak pochyloną wiekiem, był to bardzo donośny śmiech. Brzmiała w nim odwaga i optymizm.

- Myślę, że ostrożny Łukasz umieścił tę wskazówkę dla tego młodzieńca.

- Odczytał mi list - wyjaśnił Bazyli z uśmiechem. - Popatrzył na mnie z wielką powagą, kiedy wypowiadał te ostatnie słowa.

Gospodarz usiadł u szczytu stołu i wskazał Bazylemu miejsce na ławie.

- Nie będziemy o nic pytali - powiedział. - Zgadzasz się, Kefasie?

- Zaczekamy, dopóki nasz młody przyjaciel nie uzna, że nadszedł czas na bezpieczne wyjawienie jego sprawy - odparł Kefas.

- I nie będzie o nic pytał żadnego z nas.

Bazyli kiwnął głową z uśmiechem.

- Tak właśnie zrobię.

- Trudno będzie o oddzielny pokój dla ciebie. - Stary Hannibal rozważał sprawę ze zmarszczką na czole. - Niech no pomyślę. Jest pokój od wschodu na górze. Mógłbym przenieść Armeńczyka i ulokować go razem z braćmi z Bitynii. Ale co zrobić z kupcem z Syrakuz, który dzieli pokój z Armeńczykiem?

- Przenieś tego kupca z Syrakuz do mnie - podpowiedział Kefas.

- Mógłby mi odmówić pełnej zapłaty.

Kefas się uśmiechnął, jakby zrozumiał w pełni tę jego słabostkę i był tym ubawiony.

- Lubisz otrzymywać pełną zapłatę, Hannibalu. Może to i dobrze. Sądzę, że to niełatwa sprawa prowadzić gospodę taką jak ta i dobrze wszystkim sterować.

Stary Hannibal westchnął.

- To wcale niełatwe. - Zastanawiał się, kiwając nerwowo głową. - Musi dostać wschodni pokój. Podam mu jedzenie, ty zaś, Kefasie, dopilnuj, żeby przygotowano dla niego pokój.

Kiedy właściciel podawał jedzenie na stół, Bazyli zastanawiał się, co ma im powiedzieć. Zdecydował od razu, że wszelka wzmianka o Szymonie Magu albo o Helenie byłaby błędem. Musi odszukać Helenę, gdyż przyrzekł to solennie Deborze, lecz nie poprosi ich o pomoc ani nie okaże żadnego zainteresowania ich działalnością. Kiedy znalazł się przed nim talerz z serem i chlebem oraz kielich dość cienkiego wina, zdał sobie sprawę, że jest bardzo głodny. Hannibal, który go

obserwował, rzucając szybkie spojrzenia, stał się przyjacielski i ufny.

- Mogę ci być pomocny, młody człowieku. Jestem w Rzymie dobrze znany, ponieważ od wielu lat prowadzę ten dom, no i z racji mego syna. Przychodzi tu wielu ludzi, żeby się z nim zobaczyć, ale potem rozmawiają ze mną. Słyszę różne rzeczy. Czy chciałbyś się z kimś spotkać? Mógłbym ci powiedzieć, gdzie go znaleźć.

- Tak, miałem zamiar poprosić o pomoc.

Kefas powrócił i usiadł przy stole.

- Masz już pokój - powiedział z uśmiechem. - Trochę narzekali, ale ustąpili.

- Mam osobistą sprawę, którą powinienem natychmiast się zająć - zaczął Bazyli. - Muszę się spotkać z dostawcą dla wojska imieniem Kester z Zantu. Może moglibyście mi powiedzieć, jak mam przystąpić do odszukania go.

Stary Hannibal skinął głową z zadowoleniem.

- Mój syn powie ci, co masz robić. Zna wszystkie ważne osoby w Rzymie. Skieruje cię do właściwego miejsca. On sam, mój młodzieńcze, jest ważnym człowiekiem. - Jego oczy poszukały oczu Kefasa z niemym wezwaniem. - Trudno się z tym pogodzić. Wiesz, kim on jest? Mój syn, chłopcze, to gladiator. Walczy na arenie i zabija przeciwników. Nikt go jeszcze nie pokonał. On... - zawahał się, a potem dodał z pełną zachwytu dumą - on zabił trzydziestu siedmiu ludzi.

- Świat jest pełen wielkich ludzi - odezwał się Kefas spokojnie. - Wielkich pod jakimś jednym względem. Syn Hannibala jest doskonały w swoim fachu. To największy zabójca gladiatorów.

- Mój syn na pewno zna tego Kestera. Jestem pewien, że go zna. Z pewnością będzie mógł wszystko ci o nim opowiedzieć. Pomówimy o tym rankiem.

Nastrój Bazylego się poprawił. Czuł, że pokonał jedną przeszkodę. Pozostała druga, trudniejsza. Zastanowił się i zdecydował, że powinien poinformować ich również o głównym celu swego przybycia do Rzymu.

- Muszę zobaczyć Piotra - ściszył głos. - Wiem, że trudno będzie go znaleźć. Jest tutaj, w Rzymie, ale znajduje się w ciągłym zagrożeniu i musi się ukrywać wśród rodzin chrześcijańskich. - Przesunął wzrok od jednego do drugiego. - Wiem, że mogę wam zaufać, w przeciwnym razie Łukasz nie skierowałby mnie tutaj.

Dwaj starcy wymienili spojrzenia, kiedy Bazyli wspomniał imię Piotra. Wydawali się zaskoczeni i przestraszeni. Mógł wyczytać z szybkiego porozumienia ich oczu, że zrodził się w nich cień podejrzenia, którego przedtem nie żywili.

- Jestem pewien - odezwał się Kefas po chwili - że ktoś będzie mógł zaprowadzić cię do Piotra. Musisz jednak, mój przyjacielu, uzbroić się w cierpliwość. Nie możesz się spodziewać, że

obudzisz się jutro i znajdziesz Piotra siedzącego przy twoim łóżku. Najpierw musisz nam wyznać, jakie sprawy sprowadzają cię do niego. - Uśmiechnął się przez stół do przybysza. - Nie możemy oczekiwać, że zrobisz to natychmiast. Musimy sobie wzajemnie zaufać. Ale teraz jesteś zmęczony. Widzę znużenie w twoich oczach. Jestem pewien, że chcesz już się znaleźć w łóżku, które dla ciebie opróżniłem z pewnym trudem. Chodź, wskażę ci drogę.

2

Bazyli wstał wcześnie następnego ranka. Tuż po świcie zbudził się z ciężkiego snu we wschodnim pokoju. Po myciu, na jakie pozwalało urządzenie gospody, zjawił się we wspólnej sali z nadzieją, że będzie pusta o tak wczesnej porze. Ku swemu zdziwieniu zastał Kefasa przygotowującego stół do pierwszego posiłku. Z kuchni dobiegał ćwierkający głos starego Hannibala.

- Czy musisz wstawać tak wcześnie? - zapytał Bazyli starca, widząc z jakim trudem się porusza.

Kefas uśmiechnął się pogodnie.

- To część moich obowiązków. Hannibal i ja wstajemy razem ze słońcem.

- Dzień musi być długi dla was obu.

Kefas zmywał łyżki w misce z gorącą wodą i wycierał je starannie w ścierkę.

- To mi nie przeszkadza. Wraz z wiekiem zmniejsza się zapotrzebowanie na sen, mój młody przyjacielu. Wystarcza mi parę godzin, potem się budzę i leżę po ciemku. Myślę o tym wszystkim, co zrobiłem w życiu, a czego nie powinienem był zrobić. Myślę o... - zawahał się i westchnął - o tych momentach, kiedy zawiodłem, kiedy nie starczyło mi odwagi dla sprostania potrzebie chwili. Wtedy pragnę, aby nadszedł świt. Dla mnie obowiązek wczesnego wstawania nie jest uciążliwy. - Jego oczy nabrały wyrazu zadumy. - Mój synu, nagrodą starości jest pewność, że świt musi nadejść.

Zaczęli się schodzić pozostali mieszkańcy gospody; ich nosy wyczuły, że nadchodzi pora posiłku. Byli apatyczni i niezbyt rozmowni. Cały tuzin gości zebrał się w długiej sali. Stojąc w grupkach rozmawiali ze wzrokiem utkwionym wyczekująco w drzwi, przez które, jak to wiedzieli z doświadczenia, wniosą zaraz jedzenie.

Bazyli stał przy drzwiach głównego wejścia, szeroko otwartych dla wpuszczenia świeżego, porannego powietrza, i wychwytywał urywki przyciszonej rozmowy. Kilka razy usłyszał imię “Szymon”. Ponieważ mówiono językiem obcym dla jego ucha, nie mógł z początku odgadnąć, czy chodzi o Szymona Maga. Tylko raz jakiś człowiek odezwał się po aramejsku i to dało mu rozwiązanie zagadki.

- Ta kobieta nie jest zwykłą śmiertelniczką - powiedział z przekonaniem. - On ją stworzył swoją magiczną mocą. Tak sam oznajmił. - Teraz nie było wątpliwości, że rozmawiano o Helenie i Szymonie Magu.

Bazyli powiedział sobie: “Najpierw pójdę do niej. Potem będę swobodniejszy w dalszych poczynaniach.”

Ten sam człowiek odezwał się po paru minutach.

- Gdzie jest Sisynnes Niezwyciężony? Czy ten ranek przeznaczył na sen?

Kefas krzątał się tam i z powrotem między kuchnią a jadalnią. Przystanął na chwilę i wyjaśnił:

- Nie, Wardiszu. Mocarz już się zbudził. Słyszałem, jak wzdychał i stękał przed paru minutami, a potem podłoga się zatrzęsła, kiedy spoczęły na niej jego stopy. Zaraz zejdzie, więc nie będzie trzeba opóźniać podawania posiłku.

Po paru chwilach rozległy się ciężkie kroki na skrzypiących schodach. Do pokoju weszła niezwykła postać, która sprawiła, że Bazyli bezwiednie otworzył usta. Przybysz był równie wysoki jak szeroki. Ponieważ oprócz przepaski na biodrach nic na sobie nie miał, widać było jego wspaniale umięśnione ramiona, nogi i pierś jak u boga, który podtrzymuje na kolumnach niebiosa zawieszone nad ziemią. Zatrzymał się i przeciągnął z rozkoszą.

- Postanowiłem nie robić żadnych ćwiczeń, zanim nie przełamię chleba - oznajmił. Głos miał zaskakująco wysoki i piskliwy. Nagle wrzasnął: - Kefas! Kefas!

Staruszek wybiegł spoza brudnych, płóciennych kotar, oddzielających wejście do kuchni. - Tak, bracie Sisynnesie? Czego pragniesz?

- Jedzenia! - zawołał gladiator. - Jestem głodny!

Kefas zniknął za kotarą i po kilku minutach wrócił z pierwszym daniem, które postawił u szczytu stołu. Pachniało rozkosznie i Sisynnes Niezwyciężony natychmiast zabrał się do jedzenia.

- Dobre, bardzo dobre - chwalił, spoglądając na innych, którzy nadal stali wokół stołu.

Bazyli obudził się z dobrym apetytem i teraz chciał zająć miejsce przy drugim końcu stołu, lecz mężczyzna imieniem Wardisz powstrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Nie siadamy do stołu, dopóki ostatnie danie nie znajdzie się na stole - wyjaśnił. - Takie są zwyczaje w tym domu.

- Ależ - Bazyli wskazał na gladiatora, który już opróżniał półmisek - on już rozpoczął posiłek.

Wardisz potrząsnął głową.

- Sisynnesa to nie dotyczy.

Kefas z twarzą zaczerwienioną od wysiłku biegał tam i z powrotem, wnosząc jedno danie

po drugim. Ustawił je wokół pierwszego dania. Sisynnes oglądał każde zaraz po przyniesieniu, próbował i albo kiwał głową z aprobatą, albo mruczał z naganą. Wreszcie wszystko było podane i Kefas głośno oznajmił:

- Możecie siadać.

Wszyscy rzucili się do stołu, próbując zdobyć miejsce jak najbliżej szczytu.

Sisynnes spoglądał na nich z gniewem.

- Nie zapominajcie o dobrych obyczajach - sarkał. - Taki pośpiech jest niestosowny.

Przerwał jedzenie i zaczął przesuwać dania w stronę siedzących najbliżej, gdyż nikt nie ważył się wyciągnąć ręki. Podniósł półmisek z rybą i popatrzył na nią.

- Oto ładna, tłusta rybka - powiedział. Przesunął wzrokiem po siedzących. - Przeznaczam ją dla Wardisza. Tego ranka wygląda na słabszego niż zwykle.

- Dlaczego nie dla mnie?! - zawołał jeden z gości. - Ja też jestem niedożywiony i potrzebuję każdej okruszyny jadła, jaką mogę dostać.

- Ty? - prychnął gladiator. - Ty jesteś chudy przez swoją żarłoczność. Obserwowałem cię i widziałem, jak ogromne ilości pożywienia marnujesz na to swoje nędzne ciało. Tego ranka dostaniesz najwyżej głowę albo ogon. - Spojrzał gniewnie na ludzi pochylonych nad talerzami. - Wasze łakomstwo zrujnuje mego biednego ojca.

Siedząc na przeciwnym końcu Bazyli nic nie mógł zrozumieć. Nie czuł się zbyt dobrze. Półmiski były prawie opróżnione, nim do niego doszły. Kefas przystanął za nim i szepnął:

- Nie martw się. Zostawiłem dla ciebie na ogniu ładną rybę. Zjesz ją w kuchni. Będzie gorąca, a kucharka robi do niej jeden ze swoich najlepszych sosów.

Cicha rozmowa przy końcu stołu przyciągnęła uwagę gladiatora.

- Co to za szepty? Czy coś przede mną ukrywacie? A kim jest ten niedożywiony młodzik? Czy to ktoś podróżujący nocą, nietoperz zjawiający się w godzinach ciemności? - Znów rzucił gniewne spojrzenie. - Jak to się dzieje, że każdy podróżny, któremu brzuch się zapadł od głodowania, przychodzi właśnie tutaj?

- Ten młodzieniec jest z Antiochii - wyjaśnił Kefas. - Jego statek przypłynął wczoraj wieczorem.

Sisynnes przyglądał się Bazylemu krytycznym okiem.

- Czy jest Grekiem?

- Tak, bracie Sisynnesie.

- Walczyłem z paru Grekami w moim życiu. Są zręczni i szybcy, ale nie miałem zbytnich trudności z żadnym z nich. Prędko wykańczałem tych mistrzów tańca. Widzowie zawsze wskazywali kciukami do dołu, skazując ich na śmierć. Lubią, jak człowiek walczy do końca, cios

za ciosem. - Trzymał przy twarzy ogromny płat melona, spoza którego widać było tylko jego oczy. - Tylko raz musiałem walczyć o życie. Przeciwnikiem był ciężki Got, który posługiwał się w walce dzidą. Był silny, jak spiżowy byk.

- Czy go zabiłeś? - ktoś zapytał.

Gladiator potrząsnął głową przecząco.

- Walczył tak zajadle, że nie wskazywali kciukami w dół. Ale nigdy już więcej nie walczył. Jego rany były zbyt ciężkie. Nie tak dawno słyszałem, że umarł. - Wyciągnął rękę i przygwoździł poszukującą dłoń człowieka siedzącego obok.

- Nie dotykaj winogron chciwymi łapami. Ja jeszcze nie wybrałem dla siebie. - Po paru minutach gladiator wstał od stołu z rękami pełnymi owoców. - A teraz dosyć tego napychania się. Wstawajcie od stołu.

Usłuchali bez słowa protestu. Wstając, odsunęli ławy do tyłu, a ich oczy były tęsknie wpatrzone w półmiski z resztkami jedzenia.

- Pójdę teraz do pracy - oznajmił Sisynnes Niezwyciężony. - Muszę być w formie w przyszłym tygodniu. Mam walczyć ze Scytem. Ten gladiator walczy przy pomocy sieci. Będę musiał go ścigać po całej arenie. Tym gorzej dla niego.

Ciekawość jednego z gości przewyższała apetyt. Jadł bardzo niewiele, a kiedy większość obecnych wyszła gromadnie na dziedziniec, żeby się przyglądać spóźnionym nieco ćwiczeniom Sisynnesa, wciągnął tych, co pozostali, w prowadzoną szeptem rozmowę. Bazyli dostrzegł, że Hannibal rozsunął płócienne kotary i zagląda do wnętrza, a jego twarz wyrażała zaniepokojenie.

- Kto to taki? - spytał Kefasa szeptem.

- On zbiera informacje - odparł stary człowiek. - To się nigdy nie kończy. Coraz to ktoś inny próbuje to robić, ale pytania są zawsze te same. Teraz wypytuje o pewnego młodziana z Antiochii. Interesuje się tobą.

Siedząc w kuchni Bazyli zajadał z wielkim smakiem zachowaną dla niego rybę. Dowiedział się, że ów mężczyzna jest jednym z ludzi Tygellina, szefa służby policyjnej ustanowionej przez Nerona.

- Zapisują imiona wszystkich chrześcijan w Rzymie - wyszeptał Kefas. - Nie wiemy, jakie ma zamiary ten niegodziwy młody cesarz, który zabił swą nikczemną matkę oraz żonę. Ale jednego możemy być pewni: on ma złe zamiary.

- Co zrobi, jeśli chodzi o chrześcijan? - spytał Bazyli.

Kefas zaczął szorować półmiski.

- Zbliżają się dni prześladowań. Jesteśmy pewni, że wkrótce wybije godzina - odrzekł.

- Czy Piotr zjawił się w Rzymie właśnie dlatego?

Starzec nie przerwał pracy.

- Myślę, że to jedna z przyczyn.

- Jak to dobrze, że mój syn znajduje się tutaj - powiedział Hannibal, który pracował na równi z Kefasem, a jego chude ręce o wydatnych żyłach były w ustawicznym ruchu. - To nas chroni od podejrzeń.

- Ale szpicle wciąż przychodzą - dodał Kefas.

3

Pierwszy dzień swego pobytu w Rzymie Bazyli postanowił przeznaczyć na odpoczynek. Nie przyłączył się jednak do pozostałych gości, obserwujących na dziedzińcu mocarnego Sisynnesa przy pracy. Zamiast tego postanowił zaspokoić swą ciekawość odnośnie pozycji Kefasa w tym domu. Przez parę pierwszych godzin przyglądał się bacznie czynnościom starca, zwrócił uwagę na jego bezustanną pracę, na zapał, z jakim to robił, jakby odczuwał potrzebę służenia. Odkrył, że Kefas sypia w przybudówce na tyłach domu. Zawiniątko z jego pościelą, skrupulatnie czystą, już było rozłożone na słońcu. Zdawało się, że jest całkowicie pochłonięty codziennymi, nużącymi pracami, które na niego spadały, i w pełni zadowolony z ich wykonywania. Twarz miał pogodną, a nawet szczęśliwą i gdyby czasami popadał w stan rozmarzenia; wtedy jego wzrok był utkwiony w niebo albo w poszarzałe liście samotnego drzewa na dziedzińcu, a myśli ulatywały do czegoś odległego.

Przyglądając się mu w tych rzadkich momentach, kiedy starzec pozwalał sobie na chwilę marzeń, Bazyli zdał sobie sprawę, że patrzy na twarz niezwykłą: zaokrągloną, o szerokim czole i zanadto rozstawionych oczach, dość wydatnym nosie i wrażliwych ustach, które zdradzały wszystkie jego uczucia.

Palce młodego artysty próżnowały od wielu tygodni. Stwierdził, że pora zabrać się do pracy, wyjął więc swoje narzędzia i zabrał się do roboty, żeby oddać rysy twarzy tego niestrudzonego człowieka. Musiał od czasu do czasu spoglądać w stronę swego modela. Starzec krążył z pokoju do pokoju na swych szerokich, bosych stopach i nie był świadomy tego, co robi Bazyli.

Być może, twarz Kefasa wyjątkowo się nadawała do rzeźbienia, w każdym razie była to najłatwiejsza praca, jakiej Bazyli kiedykolwiek się podjął. Od razu uchwycił podobieństwo: szerokie czoło, uważne, głębokie oczy, kościsty nos, który wyglądał na spłaszczony ciosem, a przede wszystkim wyraz zdecydowania i dobrotliwej szczerości. Po godzinie podobizna była gotowa. Zarówno intuicja, jak i doświadczenie mówiły mu, że nie należy niczego dodawać. Najmniejsza poprawka mogłaby raczej zaszkodzić niż ulepszyć dzieło.

Zaniósł rzeźbę do kuchni, gdzie Kefas szorował podłogę z cegieł energicznymi ruchami wciąż jeszcze silnych ramion. Starzec wyprostował się z trudem, przyciskając jednocześnie rękę do pleców. Kiedy zobaczył model, wyszeptał zdumiony:

- Kim jesteś, młodzieńcze? Mało kto posiada taki dar.

- Czy uważasz, że uchwyciłem podobieństwo?

Kefas się uśmiechnął.

- Od wielu lat nie oglądałem siebie w lustrze, ale jestem pewien, że to mój wizerunek. To zdumiewające. Czy w tym właśnie celu przybyłeś do Rzymu?

Bazyli usiadł w kącie kuchni osłoniętej od słońca, gdzie jeszcze się zachowało trochę świeżości wczesnego poranka. Postawił model na rogu stołu z satysfakcją, jaką sprawia artyście pochwała.

- Czy słyszałeś kiedyś o Józefie z Arymatei? - zapytał.

Kefas wrócił do pracy. Skinął potakująco, nie podnosząc głowy.

- Słyszałem o nim. To wielki kupiec z Jerozolimy.

- On nie żyje.

Pracowite ręce zamarły. Przez kilka chwil Kefas milczał z posmutniałą nagle twarzą.

- Józef z Arymatei nie żyje! - wyszeptał. - Ten wspaniały starzec, ta silna prawica prawdziwej wiary, ta ostoja w czasach niepokoju i nieszczęść! Był bardzo wiekowy, ale wydawał się wprost nieśmiertelny. Teraz, kiedy mnie powiadomiłeś o tym smutnym fakcie, zdaję sobie sprawę, że nigdy nie brałem pod uwagę jego śmierci.

- Muszę ci o czymś powiedzieć w związku z Józefem z Arymatei. To dziwna historia i właśnie z tej racji przyjechałem do Rzymu. Ponieważ to Łukasz przysłał mnie do was, a i z tego, co sam od ciebie słyszałem, wnoszę, iż pewno jesteś chrześcijaninem. Może Hannibal też do nich należy. Czy chcesz to potwierdzić?

Starzec powstał i usiadł przy stole na wprost Bazylego.

- W Rzymie nikt już otwarcie nie przyznaje się do tego, że jest chrześcijaninem. To mogłoby sprowadzić karę, a może nawet i śmierć. Chrześcijanin nie powinien lękać się śmierci, ale musi żyć i pracować dla Pana z równą gorliwością, z jaką oddałby za Niego życie. Nie należy ślepo rzucać się w męczeństwo. Nasz Pan zadecyduje o tym, kiedy mamy porzucić życie służebne i spojrzeć w twarz aniołowi śmierci.

Przez otwarte drzwi kuchni słychać było postękiwanie Sisynnesa, który nadal przygotowywał swe mięśnie do czekającej go walki. Kefas przechylił głowę ponad stołem i zaczął szeptać.

- Rozmawiam z tobą w pełnym zaufaniu, ponieważ przysłał cię Łukasz. Jeśli potrzebne ci to

zapewnienie, zanim powiesz nam coś więcej, to możesz mówić. Obaj jesteśmy chrześcijanami, Hannibal i ja. Tylko my dwaj w całym domu, nikt też nie podejrzewa nas o to.

Otrzymawszy to wyjaśnienie, Bazyli opowiedział o zamiarze wyrzeźbienia oprawy do Kielicha i o swoim w tym udziale. Zachowanie starca zmieniało się w miarę słuchania. Zdawał się zatracać przygarbienie spowodowane wiekiem, podniósł głowę, a oczy nabrały czujności i uwagi. Gdyby Bazyli bacznie go obserwował, niewątpliwie by zauważył, że Kefas nabrał mocy, lecz Bazyli zajęty był opowiadaniem i dostrzegł jedynie ogromne zainteresowanie swego słuchacza.

Po zakończeniu opowieści Kefas milczał przez dłuższą chwilę z oczami utkwionymi w model stojący obok niego. Był to przekonywający dowód, że historia, którą usłyszał, jest prawdziwa. Wreszcie zaczął mówić.

- Żywiliśmy wielkie obawy o Kielich, będzie więc wiele radości, kiedy to, co mi powiedziałeś, stanie się powszechnie znane. - Pokiwał głową z pełną satysfakcją. - Twoja opowieść dała mi dużo szczęścia. Bardzo będziemy wdzięczni dobremu Józefowi, a i tobie za rolę, jaką w tym odegrałeś. Ale, mój młody przyjacielu, słowo ostrzeżenia: nie powtarzaj tej opowieści nikomu innemu. Trzymaj ją w tajemnicy, ze względu na własne bezpieczeństwo. Mogę ci jednak powiedzieć, że we właściwym czasie zostaniesz zaprowadzony do Piotra. On jest w Rzymie i powziął zamiar dokończenia tutaj swoich dni. Musi jednak być bardzo ostrożny, więc mało się pokazuje. On także czeka.

- Chciałbym jak najszybciej wrócić do Antiochii - powiedział Bazyli. - Dużo będę miał roboty przy wykończeniu Kielicha. I czeka tam na mnie moja żona.

Kefas uśmiechnął się ciepło.

- Miesiąc, tydzień, parę dni. Czy to ma wielkie znaczenie? Przeżyłem tak wiele lat, że przestałem patrzeć na dni, jak na coś ważnego. Ale widzę, że ty przyjmujesz to inaczej. Jesteś młody i niecierpliwy. Masz kochającą żonę, oczekującą twego powrotu. Każdy dzień wydaje ci się rokiem. Użyję więc całego posiadanego wpływu, aby ci umożliwić szybkie dokonanie tego, po co przyjechałeś do Rzymu.

Zaczął przemierzać pokój tam i z powrotem. Jego zgrzebna brązowa tunika, przetarta na dole, była podciągnięta powyżej kolan, aby dać więcej swobody ruchom. W pewnej chwili przystanął koło Bazylego i powiedział szeptem tak cichym, żeby nie doszedł nawet do otwartych drzwi:

- Zadałeś mi pytanie i otrzymałeś odpowiedź. Teraz ja pytam o to samo. Myślę, że wiem, co mi powiesz, w przeciwnym razie Łukasz nie przysłałby tu ciebie. Chciałbym jednak usłyszeć to z twoich własnych ust.

Bazylemu nie było łatwo znaleźć odpowiedź, która stanowiłaby najprawdziwsze

odzwierciedlenie stanu jego umysłu.

- Wierzę w Jezusa - zaczął. - Wierzę, że jest Synem jedynego Boga. Wierzę, że powróci na ziemię i mam nadzieję, że Jego przyjście nastąpi wkrótce. Ponieważ jednak nie dzielę tego uniesienia, jakie ta wiara daje innym, myślę, że muszę dojść do wyższego poziomu przeświadczenia o tym, do czego jeszcze nie doszedłem.

Kefas potaknął głową.

- Wkrótce to nastąpi. Być może, otrzymasz ciężki cios albo będziesz wezwany do poniesienia ofiary. W trudnej chwili otworzą ci się oczy. Iskra w twym sercu wybuchnie płomieniem. Poczujesz, jak wielka szczęśliwość obejmie cię w posiadanie. Świat pojaśnieje, a słońce zaświeci we wszystkich ciemnych miejscach, w których przedtem widziałeś tylko mrok. Będziesz wykrzykiwał głośno wyznanie swej wiary, aby wszyscy mogli je usłyszeć.

Rozdział XXV

1

Poniżej Atrium Vestae, tam gdzie Via Nova skręca łukiem, żeby się połączyć z Via Sacra, stało kilka domów rozrzuconych nieregularnie, tu i tam, które zostały opuszczone, kiedy z dzielnicy wyprowadzili się wytworni mieszkańcy. Były stłoczone między budynkami rządowymi bądź też zajmowały nieforemne działki ziemi stworzone przez gmatwaninę ulic. Niegdyś zamieszkane przez obywateli wysokiej rangi, teraz straciły już swoje znaczenie.

Jednym z takich przeżytków lepszej epoki był wysoki i wąski dom z wejściem obramowanym murem, pożółkłym z biegiem czasu i poczerniałym od brudu. To ponure domostwo wynajął Szymon Mag na okres swego pobytu w Rzymie, bowiem świetnie nadawało się ono dla jego celów. Klienci mogli przychodzić i wychodzić, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, gdyż można było przypuszczać, że wybrali się tam w sprawach oficjalnych. Od czasu jego pierwszego występu przed cesarzem Neronem (a udał się tak zadziwiająco dobrze, że aż dreszcze przebiegały po obecnych) klienci przychodzili szukając pomocy w tajemniczych sprawach, dobrze płacąc za takie rzeczy, jak czary i napoje miłosne. Większość z nich stanowiły kobiety, przynoszone do tej dzielnicy w lektykach na ramionach spoconych niewolników. Rozglądały się niespokojnie, zanim wyszły spoza zasłon lektyki i wbiegały pod przybrudzony marmurowy daszek.

Pewnego ranka komnata na parterze, służąca jako biuro, zajęta była przez zapracowaną Helenę, która zagłębiła się w plik dokumentów i zmarszczyła brwi napotykając trudności. Drgnęła, czując na nagim ramieniu dotyk ręki, znamionujący zażyłość. Poczerwieniała z gniewu, kiedy zobaczyła, że ręka należy do Idbasza, najśmielszego z trzech urzędników, pracujących u Kokbena w Jerozolimie.

- Nigdy więcej tego nie rób! - fuknęła, strząsając szybko jego rękę z ramienia. - Nigdy. Rozumiesz?

Idbasz popatrzył na nią płonącym wzrokiem. Zrobił duży krok w karierze od czasu, kiedy Szymon postanowił przyjąć go do siebie i powierzył funkcję ochmistrza. Było to teraz odpowiedzialne zadanie z uwagi na rozgłos maga, zaś Idbasz miał pełną świadomość własnego znaczenia.

- Udzielałaś mi już większych przywilejów niż dotknięcie twego ramienia, piękna Heleno - powiedział.

Popatrzyła na niego z chłodną obojętnością.

- Czy zapominasz, że podlegasz moim rozkazom? - spytała. - Zapamiętaj to raz na zawsze: nigdy nie udzieliłam ci żadnych przywilejów.

- Moja piękna Helena kłamie. - Idbasz odpowiedział z przekonaniem.

Zdziwiła się, widząc, że twarz mu pobladła, a nozdrza jego bardzo długiego i cienkiego nosa drgały gwałtownie.

- Co było, to było - oznajmiła, jakby tym powiedzeniem zmazywała wszystko, co się kiedyś wydarzyło. - Tej lekcji musisz się jeszcze nauczyć. Urzędnik może zostać ochmistrzem, ale przypominam ci, że ochmistrz może jeszcze szybciej wrócić na miejsce urzędnika.

- Gdybym miał pójść do Szymona - odparł młody Samarytanin - to nie po to aby mu powiedzieć co zaszło między nami. Nie, nie, moja słodka i piękna Heleno, nawet prosty Samarytanin jest na tyle mądry, by nie popełnić takiego błędu.

Jej głos był zwodniczo cichy i obojętny.

- A więc myślałeś o pójściu do Szymona?

- Tak! Na skały i wodospady Ebalu, tak! Ale jeżeli już do niego pójdę, to mu powiem coś innego. Może mu powiem o wizytach, jakie ci składał pewien wielki senator, o liścikach, jakie przysyłał, o kwiatach, melonach i łakociach, i o innych, znacznie bardziej kosztownych, prezentach...

Helena roześmiała się szyderczo.

- Pozwalam ci, Długouchy, powiedzieć swemu panu wszystko, co chcesz o wielkim senatorze. Nie będzie to nic takiego, o czym on by nie wiedział.

- Więc to nie będzie senator - okrągłe jak paciorki oczy Idbasza błyszczały złośliwością. - Mógłbym mu natomiast powiedzieć o kimś, kto nie jest ani bogaty, ani dobrze znany. Może o młodym oficerze ze straży pretoriańskiej?

Helena nadal przekładała dokumenty, udając zapracowaną. W tym momencie jej ręka się zatrzymała.

- A teraz, Długouchy, kłamiesz.

- Mówię prawdę - głos ochmistrza stał się szorstki. - Śledziłem cię. Trzy razy ciebie śledziłem, kiedy się wymykałaś nocą. Stałem między posągami na Forum Romanum. Widziałem, jak się wyłonił z mroku i przyłączył do ciebie. Raz stałem za otwartymi drzwiami świątyni Janusa. Poszedłem za nim do baraków, stąd wiem, kto to taki. Zasięgnąłem języka i dużo się o nim dowiedziałem. Porobiłem znajomości wśród służby pretoriańskiej i powiedziano mi wiele ciekawych rzeczy. Mógłbym namotać piękną historyjkę o pewnej pani, która mówi, że nigdy przedtem nie położyłem ręki na jej ramieniu. - Zmienił ton i popatrzył na nią błagalnie. - Umarłbym dla ciebie!

Gniew wziął w niej górę.

- Jesteś kłamcą i złodziejem dobrej opinii! Jesteś Samarytaninem. Jeśli ośmielisz się jeszcze

raz tak do mnie przemówić albo obmawiać mnie przed Szymonem, zostaniesz odesłany z powrotem...

Zebrała dokumenty i wyszła z pokoju nie obdarzywszy go spojrzeniem.

Służba i tragarze mijali ją z szacunkiem, kiedy szła do swoich pokojów na górnym piętrze. Skrzypienie pił i stukot młotków dochodziło z zaplecza domu, gdzie cieśle wznosili pomysłową konstrukcję z ukrytymi drutami. Było to naprawdę nadzwyczaj ciekawe urządzenie, które Szymon Mag zamierzał wkrótce zastosować, aby zachwiać chrześcijańską wiarą. Jakiś osobnik w wymiętoszonej todze podniósł niedbale brudną rękę, pozdrawiając ją od niechcenia: “Kosy gnieżdżą się w kapeluszu filozofa”. To pozdrowienie oznaczało, że jest członkiem bractwa magów w Rzymie. Miał ostatnio najwyraźniej złą passę i został wynajęty jako jeden z wielu pomocników, których Szymon zatrudnił do manipulowania ukrytymi drutami i szepczącymi tubami oraz do robienia przerw w dokładnie zaplanowanych momentach.

Helena nie zwracała żadnej uwagi na pozdrowienia licznych pomocników. Pospieszyła do swej sypialni i zaczęła ochładzać płonące policzki pachnącą wodą, tryskającą z mechanicznej umywalni. W tej właśnie chwili weszła dziewczyna służebna.

- Gość do łaskawej pani - odezwała się, a potem ciągnęła dalej, popisując się tresurą, jakiej podlegała służba w tym niezwykłym domu. - Jest młody. Dość przystojny. Myślę, że to Grek. Jego szata jest prosta, ale z najlepszego materiału. Podejrzewam, że niewiele ma pieniędzy w sakiewce. Robi wrażenie zakłopotanego.

- Wszystko mi mówisz z wyjątkiem jego imienia.

- Nie powiedziałam jego imienia, bo chyba podał nieprawdziwe. Mówi, że widział cię, pani, w Jerozolimie, i że się nazywa Aleksander.

Helena szybko wytarła twarz.

- Zaprowadź go do małego pokoju przyjęć obok auli na dole. Nie podawaj wina ani żadnych zakąsek. Powiedz, że będzie musiał trochę poczekać, ale - dodała, marszcząc brwi - nie pozwól mu odejść.

Intensywny tryb życia, w jakie zanurzył się Szymon Mag z racji swego nagłego i tak wielkiego powodzenia, wprawił go w niezwykły stan ducha. Potrafił długo krążyć w oszołomieniu, a jego umysł pochłaniały wielkie spekulacje, którymi z nikim się nie dzielił. Kierowanie domem powierzył zręcznym dłoniom Heleny. Nawet jego zainteresowanie prowadzonymi robotami było sporadyczne. Pracę Heleny, na którą spadło całe planowanie, utrudniała jeszcze bardziej jego skłonność do picia. Trzymał w ręku kielich wina, kiedy znalazła go na dachu domu. Włożył żółtą szatę, na której wyszyte były słowa “Simon Magus” i spoczął na wygodnej sofie. Helena gwałtownym ruchem wyrwała mu kielich z ręki.

- Usiądź i wysłuchaj tego, co ci powiem! - krzyknęła z wściekłością. - Co jest jeszcze mniej użyteczne od ptaka ze złamanym skrzydłem? Ja ci to powiem, głupcze: magik, któremu ręka się trzęsie.

Szymon był dostatecznie podchmielony, aby przyjąć tę naganę dobrodusznie.

- Czy to ma jakieś znaczenie, że moja ręka może się zachwiać, jeśli mój duch nabiera stanowczości, a boska siła napływa do mego jestestwa? - spytał.

- Już się upiłeś - powiedziała z oburzeniem. - Nie mam teraz czasu, aby się z tobą rozprawić, jak na to zasługujesz. Zbierz myśli i powiedz mi, czy napój dla bogatej wdowy, która tu była wczoraj, jest już gotowy?

- Aa... dla tej wdowy o oleistej cerze, która przyjechała z prowincji? Tak, napój miłosny jest gotów. Na cóż się zda temu okazowi podstarzałego szaleństwa o rozkołysanych biodrach?

Helena nie odpowiedziała. Była już w połowie drogi na niższe piętro.

- W podłym nastroju jest ta moja zadida - zauważył na głos.

Podniósł się i podszedł chwiejnym krokiem do balustrady. Postał tam kilka minut, podnosząc wzrok na wysokie świątynie wieńczące Wzgórze Palatyńskie, a potem zaczął wyrzucać z siebie nie kończący się potok słów.

- Dwadzieścia tysięcy, pięćdziesiąt tysięcy, sto tysięcy... Zaczynają mnie dostrzegać, wierzyć we mnie. Wkrótce będę miał więcej wyznawców niż łagodny Jezus. Nie jestem potulny! Jak Neron mnie obserwował! Dobrze widziałem, że był wystraszony i olśniony. Z jakim przejęciem rozmawiał ze mną później. Trudno było odpowiedzieć na jego pytania, nie zdradzając zbyt wiele. Uwierzył w niektóre sztuczki, jestem tego pewny. Uznał, że posiadam magiczną moc i lękał się mnie. Być może, napisze o mnie pieśń i będzie ją śpiewał zebranym.

Wyprężył swe kościste ramiona i rozejrzał się triumfalnie dokoła. Spojrzał na szczyty Palatynu, a potem w lewo, na białe balustrady domów nad obramowaniem drzew. Wzniósł rękę gestem pozdrowienia.

- Gdybyś żył dzisiaj, o, Cyceronie, i mógł stanąć na dachu swego wspaniałego domu - zawołał - moglibyśmy wymienić gesty powitalne! Dwóch wielkich ludzi mogłoby do siebie pomachać. Żyjący teraz wielki twórca magii, sięgający szczytu swej boskości, pozdrawia ciebie, o, Cyceronie, największy z mówców, nieżyjący od stu lat i rozsypujący się w proch w swym grobie! - Ruszył chwiejnym krokiem do swojej sofy. - Przekonam ich. Będą pod moim urokiem, podobnie jak to robił Cycero. I ją przekonam. Wyśmiewa się teraz ze mnie, lecz dowiodę jej, że mam taką samą moc, jak ten człowiek, Jezus!

Kiedy Helena weszła do niedużego pokoju przyjęć, gdzie czekał Bazyli, była znów ubrana w prostą, luźną szatę z płótna. Stopy miała bose, a jej czarne włosy spadały swobodnie na ramiona. Były tak wyszczotkowane, że aż błyszczały w świetle. Zatrzymała się na chwilę w drzwiach i spojrzała na niego z wyrzutem.

- Wszystko o tobie wiem - odezwała się. - Dotarły do nas wieści z Efezu. Ożeniłeś się z wnuczką Józefa z Arymatei. Nie spodziewałam się, że jeszcze cię zobaczę. Byłam pewna, że to, co zaszło, zmieniło wszystko między nami. - Potem się uśmiechnęła i spojrzała mu poważnie w oczy. - Jednak przyszedłeś, mimo wszystko. Nie zapomniałeś o przyrzeczeniu danym mi owej... owej nocy, kiedy mieliśmy dla siebie cały gimnazjon, lecz mimo to szeptaliśmy tak cichutko, jakby wokół nas były tysiące nasłuchujących uszu. Jestem ci bardzo wdzięczna, Bazyli...

"Jest jeszcze piękniejsza niż dawniej" - mówił sobie w duchu. Oczy miała łagodne i pełne zachęty. Prosty strój nie ukrywał ponętnego wdzięku jej ciała.

Czując się nieswojo, powiedział:

- Nie wiem jeszcze, jakie będą nasze plany na przyszłość. Obecnie mamy dom w Antiochii i możliwe, iż tam pozostaniemy.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- W Antiochii? - W jej oczach pojawiła się przebiegłość. Po chwili pokiwała głową. - No cóż, można się było tego spodziewać. Ojciec twojej żony pewnie nie zaakceptował związku?

- Jesteśmy w Antiochii, ponieważ Józef zgromadził tam fundusze na użytek mojej żony.

Oczy Heleny zwęziły się, próbowała szybko ocenić sytuację.

- Jej ojciec musiał się bardzo rozgniewać. Szymon, który go dobrze zna, mówił że to najchciwszy człowiek w Jerozolimie. Czy czujesz się urażony, iż tak swobodnie mówię o twoich sprawach?

Bazyli zaprzeczył potrząśnięciem głowy.

- Nie znam dobrze ojca Debory. Mało prawdopodobne, żebym się jeszcze z nim spotkał.

- Więc jest tak, jak myślałam. - Umysł Heleny zaczął szybko pracować. - Czy powiedziałeś o mnie swojej żonie?

- Powiedziałem jej o naszym spotkaniu w Jerozolimie.

- Czy sądzisz, że to było roztropne? - Nie czekała na odpowiedź. - Zawsze tak się dzieje. Mężczyźni nie potrafią niczego zataić przed żonami. Jestem przekonana, że nie była zadowolona. Z pewnością nie będziesz mógł nawet wspomnieć o tym, żeś przyszedł zobaczyć się ze mną.

- Ona chciała, żebym się z tobą spotkał. Wymogła na mnie przyrzeczenie, iż to zrobię.

Helena okazała zaskoczenie.

- Twoja żona jest mądrzejsza od większości kobiet. Jest mądrzejsza, niż się spodziewałam.

Usiadła przy jedynym oknie, jakie było w pokoju, i ułożyła zgrabnie płócienne fałdy sukni na skrzyżowanych kolanach, ukazując bose stopy. Były nieduże, białe i kształtne.

- Czy to znaczy, że zrezygnujesz ze swoich ambitnych zamiarów? - zapytała.

- Ach, nie! - wykrzyknął Bazyli. - Jestem bardziej niż kiedykolwiek zdecydowany.

- Cieszę się, że nie zamierzasz żyć z majątku swojej żony. - Helena pozwoliła sobie na szczerość. - Dokonałam już pewnych posunięć, mając nadzieję, że nie zapomnisz o swoim przyrzeczeniu. Mamy znajomości na dworze cesarskim. Występ Szymona przed Neronem ogromnie się podobał. Teraz jest najpopularniejszym człowiekiem w Rzymie. - Przerwała i spojrzała na niego z uśmiechem, który mówił: Jakże byłabym szczęśliwa mogąc ci pomóc. Cesarz wie już o tobie. Jeśli wciąż jeszcze tego pragniesz, możesz być do niego zaprowadzony.

Bazyli zawahał się, a potem potrząsnął przecząco głową.

- Chciałbym coś osiągnąć, lecz nie z łaski cesarza. Muszę zająć się innymi sprawami podczas mego pobytu w Rzymie i nie będę miał czasu na szukanie łask Nerona. Wzywają mnie pilne sprawy do domu, w Antiochii. Mój pobyt tutaj musi być krótki.

- Tego się obawiałam. - Przez kilka chwil Helena siedziała pogrążona w głębokiej zadumie, a potem klasnęła w ręce.

- Jaka ze mnie pani domu! Musisz wypić czarkę wina! - Wydała polecenie pokojówce, która przyszła wezwana klaśnięciem.

- Jak tylko ugasisz pragnienie, powiem ci coś jeszcze.

Kiedy służąca powróciła z pucharem, co natychmiast obudziło w nim wspomnienie, Helena poprosiła, aby przyniósł krzesło i usiadł tuż przy niej. Jej oczy były teraz łagodne i rozmarzone.

- Smakuje ci to wino? - spytała.

Bazyli, przyjmując postawę obronną, pomyślał: “To będzie sprawdzian. Czy wino podziała na mnie tak samo, jak tamtym razem? Łukasz wyśmiewa napoje miłosne i mówi, że znaczenie ma dobro i zło, które jest w człowieku. No cóż, teraz się przekonamy.” Wypił duży łyk wina. Było chłodne i orzeźwiające, wywołało uczucie podniecenia w żyłach. Wpatrywał się cały czas w swą towarzyszkę. Helena odwróciła głowę i patrzyła przez okno na wewnętrzny dziedziniec, gdzie pracowało wielu ludzi, jak można było sądzić po docierających tu odgłosach. Jej profil wydał mu się jeszcze delikatniejszy niż tamten, zapamiętany. Zwróciła ku niemu głowę i przysunęła się blisko.

- Popełnisz wielki błąd, jeśli pozwolisz, żeby ta szansa umknęła. Cesarz to najbardziej próżny człowiek na świecie. Jeśli zrobisz jego popiersie, a twoja praca przypadnie mu do gustu, obsypie cię łaskami.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, przyglądając mu się uważnie. Jawnie okazywała swoje

uczucia. Oczy jej zwilgotniały, oddech miała przyspieszony. Wyciągnęła do niego obie ręce.

- Bazyli! Czy nie cieszysz się, że mnie widzisz? Jestem szczęśliwa, siedząc tak blisko ciebie. - Potem zaczęła szeptać: - Ach, rozumiem. Widzę, że napotkałeś wielkie trudności. Zapomnisz o swoich ambitnych planach. Zapomnisz o mnie. - Widząc, że on siedzi nieporuszony, opuściła ręce na kolana. Jej oczy mówiły, że czuje się dotknięta jego chłodem. - Już mnie zaczynasz zapominać, Bazyli. Czegóż innego mogłam oczekiwać? Pragnęłabym jednak, abyś mi uwierzył, kiedy mówię, że twoje sprawy przedkładam ponad wszystko inne. To prawda. Pragnę, abyś stał się wielkim człowiekiem. Czy to nastąpi przy mojej pomocy, czy bez niej, nie ma znaczenia. Bazyli, przynajmniej w to musisz uwierzyć.

- Znam twoją wielkoduszność. Dałaś mi jej najlepszy dowód.

- Nie pijesz wina. Musisz je wypić, zanim pośpieszysz do innych spraw.

Bazyli znów podniósł znajomy puchar do ust.

- To dobre wino. Mam nadzieję, Heleno, że nie uznasz mnie za niewdzięcznego po tym, co powiedziałem.

Rozległo się pukanie i po chwili w drzwiach ukazała się wysoka postać Idbasza. Popatrzył na nich z ciekawością, której nie próbował ukrywać.

- Klienci nadchodzą - poinformował Helenę. - Już jest ta wdowa z prowincji. Nadchodzi poeta, któremu potrzeba trochę podniety dla jego muzy. Senator już jest w drodze, właśnie ten senator, pani. Nie mogę dotrzeć do świadomości tego... tego, który się znajduje na dachu. Odpędził mnie gniewnym machnięciem ręki i powiedział, że ty ich przyjmiesz, pani.

- To im się nie spodoba - oznajmiła Helena. - Chcą widzieć samego Szymona. Nasze dochody zmaleją, jeśli nadal tak będzie postępował.

- Senator się ucieszy - zauważył Idbasz brzydko krzywiąc wargi, co miało oznaczać uśmiech.

- Zajmę się nimi. Weź czarkę wina dla wdowy, zwykłego wina z odrobiną narkotyku, żeby miało odmienny smak. Z pewnością się nie pozna.

Kiedy długi nos Idbasza znikł z pola widzenia, a drzwi zamknęły się za jego wąskimi, wypukłymi plecami, Helena podniosła się powoli. - Musisz tu wrócić. To bardzo ważne. Gdzie się zatrzymałeś?

- U pewnego starca, który prowadzi coś w rodzaju gospody.

Spytała głosem, w którym zabrzmiał ostry ton:

- Czy to chrześcijanin? - Nie czekając na odpowiedź, ciągnęła dalej: - Trzymaj się z dala od nich wszystkich! Popadają w niełaskę u cesarza. Szymon jest w tak wielkich łaskach między innymi dlatego, że podważa cuda Jezusa. To bardzo cieszy Nerona. Bazyli, to niezmiernie ważne!

Wiązanie się z nimi w jakikolwiek sposób może być dla ciebie niebezpieczne.

Kiedy wstał, przez chwilę patrzyli na siebie. Cień urazy pojawił się w jej oczach, ale po chwili znów się poddała nastrojowi, wzięła go za rękę i przytuliła do swego policzka.

- Ładny chłopczyk, który się zjawił w domu mego pana, chyba nie zapomniał o małej, biednej niewolnicy? - Wzruszenie dławiło jej głos. - Och, Bazyli! Nie zapominaj o mnie. Nie usuwaj mnie ze swych myśli!

Odwróciła się tak gwałtownie, że płócienna suknia okręciła się wokół nóg, pozwalając mu dojrzeć przez krótką chwilę biel stóp. Drzwi się za nią zamknęły.

Po wyjściu z pokoju Helena odszukała Idbasza.

- Każ śledzić tego człowieka, który był u mnie - powiedziała szeptem, ale z naciskiem. - Muszę wiedzieć, gdzie mieszka.

Wargi młodego Samarytanina znów się skrzywiły w niemiłym uśmieszku. Widząc, że się waha, chwyciła go za rękaw.

- Posłuchaj, Długouchy! - zawołała. - Rób to, co ci mówię. Chcę, żebyś posłał najbardziej zaufanego człowieka, jakiego mamy. Zaraz się tym zajmij, jeśli nie chcesz być wypędzony na ulicę! Nie chciałbyś tego, mój Idbaszu. Ulice Rzymu nie są przychylne temu, kto pokłócił się ze swoim panem.

3

Po jej wyjściu Bazyli podniósł czarę i wypił wino do ostatniej kropli. Potem zaczął się śmiać.

“Łukasz miał rację. Wiara w eliksiry miłosne to absurd. Wypiłem ten napój i nic nie odczuwam. Przygotowała go celowo, jestem tego pewny, ale zamiar się nie powiódł. Nigdy więcej tu nie przyjdę i wcale tego nie żałuję. Nie chcę jej widzieć.”

Odstawił czarę i ruszył do drzwi. “Poprzednim razem moje własne złe instynkty sprawiły, że wydała mi się tak pociągająca” - rozmyślał. - “Muszę uznać to za prawdę: jest we mnie zło i pozwoliłem mu wziąć nade mną górę. Dzięki mądrości mojej żony jestem teraz wyleczony z tego zła.”

W radosnym nastroju opuścił ruchliwy dom Szymona. Czuł się szczęśliwy z powodu dokonanego odkrycia. Chciał wykrzykiwać o tym na cały świat. Zdał sobie wreszcie sprawę, że ta, którą kocha, to jego żona!

“Jak mogłem być tak zaślepiony?” - pytał siebie z uczuciem żalu o to, co obecnie wydawało się niepojętym brakiem zdrowego rozsądku. - “Moja Debora jest taka miła, a przy tym lojalna i dzielna! Przy każdym spotkaniu coraz bardziej urzekał mnie jej urok. Lecz pozwoliłem, żeby ta

druga zajęła miejsce w moich myślach, toteż nie mogłem z pełnym oddaniem przystąpić do małżeństwa z Deborą.” Zatrzymał się i spojrzał na błękitne niebo ponad nim. “Dzięki Ci, Panie, że wreszcie otworzyły mi się oczy.”

Dzień był piękny. Zapach jesieni unosił się w powietrzu. Przyśpieszył kroku zadowolony z dobrego samopoczucia, rozradowany zmianą, jaka zaszła w nim samym. “Jak by to było cudownie - myślał - gdyby Debora była tu ze mną! Wzięlibyśmy się za ręce, jak tamtego dnia, kiedy rzuciła kamieniem w żołnierzy rzymskich i musieliśmy biec przez Dolinę Serowarów, żeby ratować życie.” Tak bardzo pragnął mieć ją przy sobie teraz, kiedy po raz pierwszy miał oglądać wielkie miasto cezarów, że odczuł wprost fizyczny ból.

- Byłaś mądra, Deboro - powiedział na głos.

Przechodnie odwracali się i patrzyli na niego. Stateczny obywatel, dumny ze swojej togi, przystanął i odezwał się z goryczą:

- Ci zwariowani cudzoziemcy! Nasze wielkie miasto jest nimi przepełnione. Oni je doprowadzą do upadku.

Teraz Bazyli starał się panować nad swoimi uczuciami. “Moja miła i mądra Debora prosiła mnie, abym spojrzał na Helenę nowymi oczami. Zrobiłem to i Helena stała się widmem przeszłości. Ale to nie wszystko. Patrzę na świat nowymi oczami. Na siebie, na moją przyszłość i moją pracę. I na Rzym! Jestem w stanie patrzeć na to miasto i dostrzegać rzeczy, na które przedtem nie zwracałem uwagi. Cały świat jest nowy, a życie, które będziemy w nim pędzili oboje, moja żona i ja, wypełni szczęście i, mam nadzieję, osiągnięcia. A wszystko to przychodzi mi na myśl, kiedy patrzę na świat nowymi oczami.”

“Ale to na ciebie przede wszystkim, moja Deboro, patrzę nowymi oczami. Widzę twoje piękne, białe czoło, twoje rozjaśnione oczy pełne zrozumienia i uroku, usta, które raz jeden pocałowałem, tylko ten jeden raz i to przelotnym pocałunkiem, na który sobie pozwoliliśmy, aby zrobić przyjemność staremu księciu z Sin. Pośpieszę do ciebie na stopach płonących niecierpliwością, moja żono, i spędzę resztę życia wynagradzając ci moją uprzednią ślepotę!”

Doszedł do wejścia na Forum Romanum, które było wypełnione ludźmi i pulsowało ustawicznym podnieceniem, typowym dla życia w Rzymie. Zatrzymał się i powiedział do siebie: “Nie dbam o to, jeśli nawet wydam się szalony. Nie mogę dłużej tłumić moich uczuć.” Natężył głos i zawołał:

- Deboro, kocham cię, kocham!

Księga trzecia (c.d.)

Rozdział XXVI

1

Bazylego wprowadzono do galerii, która z racji wysokiego sklepienia, wspartego na kolumnach z najcenniejszego rodzaju wapiennego tufu, miała w sobie coś ze świątyni. Oczy jego od razu przyciągnął zbiór tarcz, które ustawiono w równych odstępach wzdłuż ściany. Miały jednakowe rozmiary, lecz każda była pomalowana na inny kolor. Mimo wspaniałego połysku, wyglądały na to, czym były. To wojenne tarcze bitewne dla żołnierzy z legionów, bardzo długie i oczywiście bardzo mocne i ciężkie.

Łysy mężczyzna o zakrzywionym jak u papugi nosie, mający w oczach coś z gryzonia, zastąpił Bazylemu drogę.

- Po co przychodzisz? - zapytał. - Z prośbą?

Bazyli skinął głową.

- Przychodzę z prośbą do Krzysztofa zwanego Kesterem z Zantu. Zgodził się mnie przyjąć o tej właśnie godzinie.

- To ja wyznaczyłem godzinę, młodzieńcze - oświadczył pomocnik. - Opierałem się przy tym na własnym autorytecie, który, mogę cię zapewnić, jest znaczny. Widzisz mnie teraz z piórem w ręku, ale jeśli mniemasz, że ze mnie zwykły skryba, popełniasz taki sam błąd, jaki popełnili mieszkańcy Pompei. Teraz jednak muszę ci coś powiedzieć: wobec tego, że przychodzisz z prośbą, możesz równie dobrze zrobić w tył zwrot i odejść.

- Ale...

Pomocnik przerwał mu machnięciem ręki.

- Jestem twardy, jak te tarcze - wyjaśniał z zadowoloną miną. - Mam skłonność do odmawiania, wolę przybyszowi powiedzieć “nie” i raczej powalić na ziemię, niż pomóc się wznieść. W porównaniu jednak z mężczyzną, który tam siedzi - wskazał kciukiem wewnętrzne drzwi - jestem miękki jak ciasto, jestem słabeuszem, który ustępuje, doskonałym celem dla proszących.

- Ależ - oponował Bazyli zrozpaczonym głosem - niech mi będzie wolno wyjawić moją prośbę!

Urzędnik bezstronnie rozważał taki aspekt sprawy.

- No, dobrze - powiedział w końcu - posunę się tak daleko, że zapytam go, czy zechce cię przyjąć.

Wyszedł z pokoju, zamykając za sobną wewnętrzne drzwi. Wrócił niemal natychmiast i kiwnął swoją guzowatą głową przyzwalająco, choć niechętnie.

- Masz wejść, jak zawoła. Ale muszę cię ostrzec. Jest w bardzo złym humorze. Spławi cię ostro. Niczego innego się nie spodziewaj.

Czekając na wezwanie, Bazyli zaczął oglądać tarcze i zdołał odkryć coś zagadkowego. Spojrzał pytająco na pomocnika.

- Czy mogę o coś zapytać?

- Nie przyrzekam, że ci odpowiem. Nie wolno udzielać żadnych informacji, jeśli chodzi o dostawy wojskowe.

- Zauważyłem, że na każdej tarczy w tym pokoju jest namalowane imię, na każdej inne. Zastanawiam się, dlaczego?

W oczach pomocnika zapłonęły mieszane uczucia wyższości i satysfakcji. Chociaż nie było nikogo więcej w długiej, wysokiej galerii, i nie docierał tu żaden odgłos kroków z wyłożonego kamieniem przedsionka, rozejrzał się dokoła z miną przesadnej ostrożności. Potem przyłożył czubek wskazującego palca do ust i mrugnął do Bazylego.

- Wymyślił to ten człowiek, który tam siedzi w pokoju - wyszeptał. - Przyszła wiadomość, że potrzebne są nowe tarcze dla legionów w Bretanii, po ciężkim czasie, jaki tam spędzili, walcząc z tymi pomalowanymi barbarzyńcami i dzikimi kobietami w czarnych strojach, które walczą jeszcze dzielniej niż mężczyźni. Dostawcy roili się wokół tych budynków jak muchy. On - znów wskazał kciukiem na drzwi - siedział w samotności przez dwa dni i myślał. Nikogo nie wolno było wpuszczać. Ryczał na mnie z wściekłością, jeśli wsunąłem głowę przez drzwi. A potem - oczy urzędnika rozbłysły - wystąpił z projektem. Młodzieńcze, to było wprost genialne! Powiedział dostawcom urzędowym: “Musicie sprawić, aby te nowe tarcze umocniły dumę żołnierzy w oddziałach.”

Bazyli spojrzał ze zdziwieniem.

- Myślałem, że rzymscy żołnierze przewyższają wszystkich innych pod każdym względem.

Łysy mężczyzna potrząsnął ostrzegawczo palcem przed twarzą Bazylego.

- I tak jest! Nie pomyl się co do tego. Ale czy wiesz, że zawsze toczą nierówną walkę? Że zawsze są w mniejszości? Jest zasadą dawać nie więcej niż dwa legiony na jakikolwiek front. Dwanaście tysięcy ludzi staje czasem wobec armii złożonej ze stu tysięcy! Muszą być największymi żołnierzami na świecie, lecz muszą też wierzyć w siebie. Czy to jasne?

- Dokładnie to wyjaśniłeś.

Pomocnik pokiwał głową.

- Człowiek, który tam siedzi, wystąpił właściwie z dwoma pomysłami. Pierwszym było nadanie większej wypukłości tarczy, aby można było przenosić w środku obciążone oszczepy. Czy wiesz coś o tym nowym obciążonym oszczepie? Nie wiesz, byłem pewny, że nie będziesz wiedział.

Otóż po raz pierwszy wypróbowano je w kampaniach iliryjskich i okazały się tak udane, że postanowiono je wprowadzić do seryjnej produkcji. Ważą dziesięć funtów i sieją spustoszenie wśród przeciwników na odległość do trzydziestu kroków. Pięć oszczepów można nosić w zagłębieniu tych nowych tarcz. Jednak - ciągnął dalej w podnieceniu - jego drugi pomysł był jeszcze lepszy. Każdy żołnierz odczuwa szczególną dumę niosąc tarczę, na której wypisane jest jego imię. A przy tym każda centuria posiada tarcze w innym kolorze.

- To rzeczywiście nadzwyczajny pomysł.

W tonie głosu Bazylego dość było szczerości, aby zaspokoić dumę pomocnika. Wskazujący palec, który skierował na Bazylego, wyrażał triumf.

- Skutek pomysłów, które się wylęgły w głowie tego człowieka - zawołał - był taki, że otrzymaliśmy całe zamówienie! Dwanaście tysięcy tarcz mamy dostarczyć w ciągu trzech miesięcy. Już wybrano kolory dla każdej setki. Sto dwadzieścia różnych odcieni, pomyśl tylko! Imiona mają być wypisane, jak tylko przyślą nam spisy. Następne zamówienia dotrą do nas później, bo inni dowódcy też będą chcieli odnosić zwycięstwa na wszystkich frontach wojennych.

- Przyślij go! - zawołał głęboki i grzmiący głos spoza drzwi.

2

Właścicielem głębokiego i grzmiącego głosu okazał się mężczyzna niepokaźnych rozmiarów z wyjątkiem ogromnej głowy. Gdyby użyć głowy Kestera z Zantu jako pocisku i wystrzelić z jednej z maszyn oblężniczych, które miał on sposobność sprzedać na użytek armii rzymskich, zrobiłaby bez wątpienia wyłom w każdym murze. Ponadto wyposażona była w szerokie, inteligentne czoło i okryta strzechą rudawych, upstrzonych siwizną włosów. Po jednej stronie stołu, za którym siedział, znajdował się cynowy półmisek z kawałkami chleba i mięsa, po drugiej - ogromna taca z różnymi owocami.

- Ktoś ty? - spytał tonem zwiastującym grzmot nadchodzącej burzy.

- Jestem Bazyli, syn nieżyjącego Ignacjusza z Antiochii.

- Bazyli, syn Ignacjusza - powtórzył dostawca. - Ignacjusz był niegdyś moim najlepszym przyjacielem. Byłem świadkiem na twojej adopcji, młodzieńcze. Ale, chwileczkę, słyszałem jakąś historię na ten temat. - Zamilkł na chwilę, a potem ryknął potężnie, co zabrzmiało jak głos bębnów i cymbałów:

- Ten biadolący, podlizujący się Hiram z Sylenu, którym zawsze gardziłem, zełgał w sądzie po śmierci Ignacjusza w sprawie twojej adopcji. Jego oświadczenie zostało przyjęte przez równie podłego sędziego i odebrano ci twoją, prawnie należną, schedę.

Bazyli skinął głową na potwierdzenie.

- Uznano mnie za niewolnika i sprzedano złotnikowi.

- I o tym słyszałem. Zamierzałem wszcząć jakąś akcję w owym czasie. Jednak... - jego głos zniżył się do basowego pomruku, jaki słychać przy oddalającej się burzy - byłem bardzo zajęty, a to działo się tak daleko. W rezultacie niczego nie zrobiłem. A więc to ty jesteś tym młodzianem, którego tak źle potraktowano?

- Tak, wielce szanowny Krzysztofie. Moja wolność została odkupiona przed trzema miesiącami i przywrócono mi prawa obywatelskie. Zawdzięczam to Józefowi z Arymatei, którego wnuczkę teraz poślubiłem.

Wyraz szczerego zainteresowania pojawił się na twarzy Kestera z Zantu. Pokiwał ogromną głową.

- Sprawia mi zadowolenie wiadomość, że twoje sprawy przybrały lepszy obrót. Zapewne przyszedłeś do mnie, aby otrzymać moje zeznania w przypadku nowych przesłuchań?

- Taki jest cel mego przyjścia.

Trójkątne oczy dostawcy przyjrzały się mu jeszcze baczniej. Po paru chwilach odrzucił naraz głowę do tyłu i zawołał:

- Maximus! Maximus! Wiem, że podsłuchujesz z uchem przyłożonym do drzwi. Wchodź, ty wścibinosie. Jesteś mi potrzebny.

Kiedy łysy mężczyzna usłuchał wezwania i wszedł zadyszany na dowód pośpiechu, dostawca zlecił mu przyniesienie pergaminu i pióra.

- Pisz to, co powiem - rozkazał. - Będę potrzebował czterech kopii: jedną dla mnie, jedną dla tego młodzieńca, jedną wyślesz do komendanta wojskowego w Antiochii, który jest moim zażyłym przyjacielem. Czwarta będzie do użytku tutaj, w Rzymie, może do przedłożenia przed senatem. Czyś gotów?

- Byłem jednym z pięciu świadków - dyktował Kester z Zantu - kiedy Ignacjusz z Antiochii kupował syna Terona, sprzedawcy piór, i zaadoptował go jako syna. Ceremonia odbyła się zgodnie z przepisami zawartymi w Dwunastu Tablicach. Teron trzykrotnie, dobrze słyszalnym głosem, oznajmił swą chęć sprzedania syna. Uczynił to z godnością i ze zrozumiałym żalem, gdyż mężczyzna sprzedający swego syna do adopcji wyznaje publicznie swą życiową klęskę. Ołowiana sztabka uderzyła trzy razy w mosiężne szalki, a trzymał ją jeden ze świadków imieniem Hiram z Sylenu. Kiedy uderzył w szalki po raz trzeci, Ignacjusz oświadczył głosem słyszanym przez wszystkich, że uznaje chłopca za swego syna i spadkobiercę i że go nazwie Bazylim, po swym rodzonym ojcu. Dał każdemu z nas srebrną klamrę z imieniem swoim i imieniem syna wypisanymi na odwrocie, jak zwykło się czynić przy adopcjach. Oświadczam, że noszę tę klamrę do dziś.

Później uczestniczyliśmy we wspaniałym posiłku złożonym z pięciu dań i piliśmy pięć

gatunków wybornego wina. Wiele mówiono o zamiarach Ignacjusza względem nowego syna. Ignacjusz powiedział, że nie pragnie, aby jego syn zajmował się handlem. Wyraził natomiast życzenie, aby rozwijał swój wielki talent. Teron, który wydał mi się człowiekiem o subtelnych uczuciach, mówił mądrze i dobrze, ale w końcu ronił łzy do czary z winem, bolejąc nad tym, że już nigdy nie zobaczy swego syna.

Podaję te szczegóły, aby przedstawić, jak pełne i jasne są moje wspomnienia z wypadków owego dnia. Dowiedziałem się, że po śmierci Ignacjusza jego jedyny żyjący brat wniósł sprawę do sądu, utrzymując, że chłopiec został sprzedany Ignacjuszowi jako niewolnik. Jedyny żyjący oprócz mnie świadek, wspomniany uprzednio Hiram, przysiągł na przesłuchaniu, że to nie był ceremoniał adopcji. Przeciw temu krzywoprzysiężnemu dowodowi składam moje własne świadectwo i oznajmiam niniejszym, że Hiram z Sylenu rozmyślnie przekręcił prawdę.

Wszystkich, których to dotyczy, pozdrawiam.

Kiedy łysy mężczyzna odszedł, aby napisać kopie oświadczenia, Kester z Zantu spojrzał na stojące przed nim jadło i wziął do ręki soczystą gruszkę.

- Nie było cię na twojej własnej uroczystej adopcji - powiedział. - Nic się wówczas na ten temat nie mówiło, ale ja byłem zdziwiony.

- Uciekłem - wyjaśnił Bazyli. - Kochałem mego prawdziwego ojca i nie chciałem go opuścić, chociaż mi mówiono, że zostanę synem bogacza. Wkrótce pokochałem również mego przybranego ojca.

- Dobrze to o tobie świadczy - powiedział Kester pochłaniając naraz cały miękisz gruszki. - Twój rodzony ojciec był człowiekiem inteligentnym. To nie jego wina, że sprzedaż piór była tak nieopłacalnym zajęciem. Dokąd wtedy poszedłeś?

- Poszedłem na wybrzeże i schowałem się w piwnicach magazynu, pod kupą węgla.

- Myślę - powiedział dostawca - że w takich okolicznościach zrobiłbym to samo.

3

Bazyli wrócił do Subury w radosnym nastroju. Przeznaczona dla niego kopia oświadczenia chrzęściła mu pod tuniką. Był to w pełni wystarczający dowód, dzięki któremu będzie mógł wkrótce uzyskać utracony majątek. Głowę miał pełną różnych marzeń. Namówi Deborę na przeprowadzkę do białego pałacu na Kolumnadzie, gdzie się wychował. Wezwie z powrotem Czymhama i zatrudni go u siebie. Da mu stanowisko odpowiednie dla zdolnego kupca i męża tylu żon. Mógłby wejść w jakąś spółkę z Adamem ben Aszerem.

“Jaka to będzie radość dla Debory!” - rozmyślał. - “Już nie jestem byłym niewolnikiem. Ustali się prawnie, że nigdy nim nie byłem. Chociaż Debora - tu uśmiechnął się z czułością - nigdy

nie przywiązywała wagi do mojej pozycji.”

Kiedy już minął zamęt, hałas i wyziewy Subury i skręcił na wspinającą się zakosami drogę prowadzącą do gospody, spostrzegł w pewnej odległości Kefasa wspartego na ramieniu jakiegoś młodszego mężczyzny. Szli z trudem pod górę po stromej drodze.

Przez ostatnie dwa dni Kefasa nie było w gospodzie. Zapytywany o to stary Hannibal dawał Bazylemu dość wymijające odpowiedzi.

- Przychodzi, wychodzi. Teraz go tutaj nie ma.

- Mówisz: “wychodzi”. Dokąd wychodzi? Nie rozumiem tego.

Właściciel gospody zdawał się bardzo zaniepokojony natarczywmi pytaniami.

- Czy nie widzisz, że zawsze nam zagraża niebezpieczeństwo? - spytał. - Był tu znów jakiś człowiek. Wypytywał. Rozglądał się. Wygląda na to, że nawet nas zaczęto podejrzewać, a sądziliśmy, że będziemy wolni od podejrzeń. Musimy coś przedsięwziąć, bo dzieje się tak w całym mieście. Chrześcijanie wiedzą, że zawisło nad nimi niebezpieczeństwo. - W jego pomarszczonej twarzy Bazyli dostrzegł lęk. - Powiem ci tylko, że Kefas nie powinien był oddalać się w tym czasie. Najlepiej by było, gdyby ci, co tu węszą, myśleli, że on jest stale na miejscu. - Ich oczy się spotkały i Hannibal energicznie przytaknął głową. - Nie zdajesz sobie sprawy z tego, jaki to wspaniały człowiek. Chce służyć wszystkim wokół siebie. Zdarzało mi się wstać przed świtem i znaleźć go śpiącego pod ścianą, a w jego łóżku spał ktoś, kto przyszedł prosić o schronienie. Oddaje swoje pożywienie żebrakom, a sam obywa się bez niego. Mówi, że nie potrzebuje jadła. Zawsze, kiedy odchodzi, jestem pełen obaw, bo to kiedyś musi nastąpić. Pójdzie i już nie wróci. - Gospodarz rozejrzał się niespokojnie wokół, aby się upewnić, że nikt ich nie słyszy. - Kefas nie jest tym, za kogo tu uchodzi. Tyle ci mogę powiedzieć. On jest tutaj... celowo. Nie podoba mi się, że pracuje tak ciężko, lecz on się tego domaga. Lubi służyć innym, uważa również, że powinien odgrywać tę rolę dla niepoznaki.

Teraz Bazyli przyśpieszył kroku, aby zrównać się z Kefasem i jego towarzyszem.

- Właśnie widziałem się z moim brakującym świadkiem - powiedział. - Odbyłem z nim bardzo zadowalającą rozmowę.

Kefas na tyle znał jego sprawy, aby zrozumieć, co Bazyli ma na myśli. Przystanął i uśmiechnął się.

- To dobrze, synu. Później mi o tym opowiesz. - Zwrócił się do swego towarzysza.

- Marku, to jest ten artysta z Antiochii, o którym ci mówiłem. To on wziął bryłkę wosku i po godzinie zamienił ją w tak doskonałą podobiznę starego Kefasa, że można by oczekiwać, iż otworzy usta i przemówi w dialekcie galilejskim.

Imię obcego mężczyzny wzbudziło zainteresowanie Bazylego. “Marek!” - pomyślał. - “To

musi być ten Marek, którego już umieściłem na Kielichu.” Łukasz mu go opisał i ten opis zdawał się zgadzać.

Towarzysz Kefasa był niskim, mocno zbudowanym mężczyzną w średnim wieku; widać było, że pochodzi ze wsi. Może wrażenie to było wywołane okrągłością głowy i twarzy oraz krótkością pomarszczonego i zadartego nosa. Plecy miał nieco pochylone, a jedno ramię znacznie wyższe od drugiego i Bazylemu przypomniało się coś, o czym mówił Łukasz: że Marek był kiedyś nosiwodą.

“Nie mogę się mylić. Teraz, kiedy go widzę, zdaję sobie sprawę, jak wnikliwy był opis Łukasza. Ale pewne szczegóły muszę zmienić. Ma krótszą twarz i zrobiłem mu zbyt długą brodę. Nos wypadł mi doskonale, ale oczy nie są podobne. Muszę zaznaczyć lekkie opuszczenie powieki. Tylko tak charakterystyczną twarz mogłem zrobić na podstawie opisu.”

- Mówię czasami o Marku, jak o moim synu - odezwał się Kefas. - Dużo ze mną przebywał ostatnimi czasy i okazał się mocną podporą.

Po dojściu do domu Kefas pożegnał Marka ciepło i serdecznie.

- Niech cię Bóg prowadzi, mój synu. Niedługo znów się spotkamy.

Kiedy starzec zniknął wewnątrz domu, Marek zwrócił na Bazylego zaniepokojone spojrzenie. Widać było, że dręczą go jakieś obawy w związku z Kefasem i chce o tym mówić.

Jeżeli jednak miał taki zamiar, to teraz go zmienił. Skinąwszy krótko i mogłoby się zdawać wprost nieprzyjaźnie swą chłopską głową, obrócił się na pięcie i zaczął z pośpiechem schodzić ze wzgórza. Bazyli przypomniał sobie, co Łukasz mówił mu o Marku. “Jest bardzo podobny do Piotra z jego młodych lat, bojownik o lwim sercu. Brak mu jednak uprzejmości Piotra i wielkiej łatwości w zjednywaniu sobie ludzi.”

Podążając za Kefasem do domu, Bazyli rozmyślał o nim. “Uważają go za swego przewodnika. To jasne. Czyżby to on był Piotrem?” Zastanawiał się nad taką możliwością, lecz w końcu poniechał jej przeczącym ruchem głowy. “Po cóż miałby Piotr, który jest uznany za przywódcę chrześcijan i namiestnika Jezusa, przebywać w tej ubogiej gospodzie? Po cóż trudniłby się posługą dla podróżnych? Nie, to nie może być Piotr.” Znów potrząsnął głową. “Przyrzekłem nie zadawać pytań. Ale chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o tym dziwnym starcu.”

Atmosfera wewnątrz gospody była nieco napięta. Sisynnes, zajadający bardzo obfitą kolację, był w złym nastroju.

- Zmierzamy do dalszych wojen - oznajmił, kładąc plaster gorącego, ociekającego sosem mięsa na kawałku chleba i miażdżąc go mocnymi, białymi zębami. - To źle. Jestem przeciwnikiem wojen. Moim zdaniem, należy ograniczyć nasze walki do ich właściwego miejsca, do areny.

Goście skupili się ciasno wokół niego.

- Ależ Sisynnesie - odezwał się jeden z nich - moc i potęga Rzymu wspierają się na wojnach. Musimy zdobywać nowe ziemie. Jeszcze jest kilka kawałków świata, które do nas nie należą.

- Niech tak zostanie! - warknął gladiator. - Co się dzieje po zdobyciu nowego kraju? Mamy nowych jeńców. Całe ich gromady. Wielkich, niezdarnych, ciężkich bestii pozbawionych mózgownicy. Robimy z nich gladiatorów. Przyprowadzą ich tylu, że areny będą przeładowane.

Odciął dla siebie nowy płat mięsa z taką pasją, jakby to było gardło gladiatora z dalekiego kraju.

- A co gorsze - oznajmił, opróżniając wielki kufel - ci jeńcy zawsze stosują jakieś dziwne, barbarzyńskie sposoby walki. Walczą dzidami albo procami, albo sieciami, które cuchną rybą. Niektórzy będą użyci do walk na rydwanach, a to się nadaje - tu spojrzał na grono słuchaczy z rosnącą pasją - tylko dla takich szalonych dzikusów!

- Jednak widzowie domagają się głośno walk na rydwanach - wtrącił jeden ze słuchających.

- Widzowie! - głos Sisynnesa zabrzmiał pogardliwie. - Widzowie nie mają żadnych uprawnień i nie powinni wyrażać swoich opinii. Nienawidzimy ich! To chciwe bestie, które domagają się krwi i obracają kciuki w dół, wydając wyroki na dzielnych gladiatorów.

- Gdyby nie było widzów, nie byłoby i zawodów - zauważył mężczyzna imieniem Wardisz.

Sisynnes od razu zmienił front.

- I oni są potrzebni. Temu nie przeczę.

Bazyli nie miał apetytu. Wypił czarkę wina, potem drugą, ale nie odczuł działania napoju. Wstał od stołu i wyszedł na ulicę. Nad wzgórzem Pinezio widać było małe obłoki.

- Ojcze - powiedział, patrząc na słońce zachodzące za Palatynem i na zachodnie niebo w smugach fioletu i czerwieni - czy jesteś tam w górze i możesz mnie usłyszeć? Czy wiesz, co się dzisiaj zdarzyło? Mam oświadczenie Kestera z Zantu i natychmiast wracam z nim do Antiochii. Teraz wszystko będzie po starej myśli. Mam nadzieję, że mnie słuchasz, ojcze, i że ta nowina przywróci spokój twojej duszy. Tak, muszę jak najszybciej znaleźć Piotra i wyruszyć w drogę powrotną. Deboro, Deboro! Gdybyś mogła wiedzieć, jak dobrze ułożyły się moje sprawy. Czy możesz jakimś sposobem poznać moje myśli? Czy wiesz, jak bardzo cię pokochałem?

Mężczyzna w purpurowej szacie wspinał się z mozołem na wzgórze, a za nim szło dwóch żołnierzy w hełmach z piórami i w jaskrawych szarfach straży pretoriańskiej. Zatrzymali się u wejścia do gospody.

- Szukam niejakiego Bazylego - odezwał się urzędnik z cesarskimi znakami. - Pracuje w złocie i srebrze, a przybył z Antiochii.

- Ja jestem tym, kogo szukacie.

Wysłannik przyjrzał mu się starannie.

- Twój wygląd zgadza się z opisem. Masz iść ze mną. W pałacu cesarza żądają twego przybycia.

Bazyli był zdziwiony i zatrwożony zarazem. Skąd urzędnicy dworscy dowiedzieli się o tym, że jest w Rzymie i po co go tam wzywają? Czy sprawił to Kester z Zantu? Wydawało się to wysoce nieprawdopodobne, ponieważ opuścił dostawcę zaledwie przed paru godzinami. Zdecydował, że musiały to spowodować zabiegi Heleny.

Dostrzegając jego wahanie, cesarski wysłannik powiedział tonem nagany:

- Cezar nie zaprasza. On rozkazuje.

- Muszę się przebrać.

- Pośpiesz się z tym. Masz zabrać ze sobą swoje rzeczy.

Urzędnik rozejrzał się wokół z takim samym niesmakiem, jakiemu dał wyraz Krassus.

- Tfu! Nie życzę sobie być tu dłużej, niż to konieczne.

Kiedy Bazyli otworzył drzwi do gospody, Sisynnes dostrzegł na zewnątrz mundury i ruszył na zwiady. Postawa urzędnika dworskiego zmieniła się natychmiast. Zbliżył się do gladiatora z szacunkiem.

- Często stawiałem na ciebie - powiedział. - I zawsze wygrywałem.

- Oczywiście - odparł Sisynnes. Spojrzał na dwóch młodych strażników okiem wzgardliwym, jakby mówił: Chciałbym objąć te małpiszony uściskiem śmierci! - Mój następny występ może się okazać ostatnim. Chcę wycofać się z areny bez żadnej porażki, a poza tym nie mogę strawić tego, co się teraz wyprawia. Niedługo zaczną wysyłać na arenę chłopaczków z procami, kucharzy z ostrymi szpikulcami i nędznych aptekarczyków, którzy będą walczyli chlustając kwasem w oczy prawdziwych bojowników. Ja lubię dawne sposoby.

Bazyli zebrał swoje manatki i narzędzia. Zaniósł gliniane modele Jana i Kefasa do kuchni i powierzył je opiece tego ostatniego. Starzec się zatrwożył, kiedy mu powiedział, co zaszło.

- Nie ma sposobu, żeby się dowiedzieć, jaki jest powód tego wezwania - powiedział. - Jasne, że to Neron się tobą zainteresował. Zapamiętaj jedno, nawet jeśli będziesz się pławił w łaskach cesarskich: Neron jest zmienny jak pogoda. Pioruny jego gniewu spadają z bezchmurnego nieba. Jeśli się okaże, że jest ci potrzebna pomoc, pamiętaj, że na dworze znajdziesz wielu chrześcijan. Oni zawsze chętnie ci pomogą.

- Jak poznam, że to chrześcijanie?

Kefas zastanawiał się chwilę, a potem wymienił imię Selecha.

- To główny kucharz i człowiek bardzo wpływowy. Obdarzony jest wyobraźnią i odwagą. Odszukaj go, gdy tylko dotrzesz do pałacu. Powiedz mu o Kielichu, jeśli uznasz to za stosowne.

Powtórz mu moje słowa: “Pokój tobie dzisiaj, bowiem jutro nadejdzie burza.” Znajdziesz w nim dzielnego i prawdziwego przyjaciela. On jest zawsze gotów nadstawić własną głowę za kogoś, kto znalazł się w niebezpieczeństwie.

Rozdział XXVII

1

Zatrzymali się pod marmurowym portykiem. Bazyli był zdumiony i przerażony widokiem wartowników stojących tam na baczność, którzy byli przymocowani łańcuchami do kamiennych murów. Zjawił się dziarski, młody mężczyzna. Przyjrzał się Bazylemu, a potem powitał go gestem ręki.

- Mam się tobą zająć i przekazać ci rozkazy cezara. Wybrano mnie, ponieważ mówię po grecku. Nazywam się Kwintus Septimus Rulianus. Dobrze mówię twoim językiem, prawda?

- Lepiej jestem obznajmiony z koine niż z językiem klasycznym - odparł Bazyli.

- Ja również. - Urzędnik dworski, który dotychczas zacinając się, mówił klasyczną, szkolną greką, przeszedł z ulgą na język potoczny. - Dobrze nam będzie szło. A teraz o tym, co mam nakazane. Najpierw mam cię zaprowadzić do twego pokoju, a potem zabrać do sali, gdzie cały dwór siedzi u stóp cezara, patrząc w niego z uwielbieniem. Nie będziesz mu przedstawiony. Masz usiąść w pobliżu nieomal oślepiającej wspaniałości cezara i wykonać jego popiersie, tylko głowę i ramiona. Jeśli to, co zrobisz, spodoba mu się, zostaniesz później wezwany przed jego oblicze. Jeśli nie, to, jak sądzę, zażąda się od ciebie, abyś się wyniósł chyłkiem w mrok, nie zauważony, nie wynagrodzony, nie opiewany. To słuszne, czyż nie? Cezar nie może tracić czasu na miernoty.

- Jest to i słuszne, i sprawiedliwe. Czy mam zacząć już dziś?

- Tak, zaczynasz dziś. Cesarz jest bardzo niecierpliwy.

Młody dworzanin przyjrzał się szczegółom stroju Bazylego.

- Pozostań lepiej w tym, co masz na sobie. Twój ubiór nie rzuca się w oczy, więc nie będziesz na siebie zwracał uwagi w tłumie jaskrawo upierzonych ptaków.

Szli przez wyniosłe sale, mijając zajętych czymś ludzi. Potem skręcili do słabiej oświetlonego skrzydła pałacu. W powietrzu unosiła się woń stęchlizny. Ściany straciły barwy, makaty były w strzępach, skąpe wyposażenie rozpadało się, ukazując bez osłonek swą nędzę.

Życzliwość Kwintusa Septimusa Rulianusa była na tyle szczera, że Bazyli czuł się z nim dobrze.

- Doradzono mi - odezwał się - żebym zawarł znajomość z Selechem. Czy zaprowadzisz mnie do niego?

- Ci, którzy udzielili tej rady, to ludzie o bystrych umysłach - oznajmił dworzanin. - Selech to jedna z wielkich osobistości na dworze. Za to, że jestem o dobry cal grubszy w pasie, od czasu kiedy tu przybyłem, należy mu się moja pełna szacunku wdzięczność. To Grek, o czym pewnie wiesz.

Bazyli potrząsnął głową.

- Niczego o nim nie wiem.

- Zapomniałem, jakie jest jego prawdziwe imię, ale wiem, dlaczego kazał się nazywać Selechem, kiedy powierzono mu opiekę nad stołem cezara. Opowiem ci tę historię.

Doszli do pokoju, który został przydzielony Bazylemu. Był mały i bardzo licho wyposażony. Łóżko z wyłamanymi nogami ustawiono na drewnianych klockach. Zasłony na jednym oknie były dziurawe, a przy tym zrobione z lichego materiału w krzykliwych kolorach. Dworzanin zrobił ręką przepraszający gest, kiedy stanęli w drzwiach i przyglądali się temu ubogiemu pomieszczeniu.

- Pałac cezarów to brudny stary barak - powiedział. - Kiedy Agrypina postanowiła zrobić swego syna, Nerona, cesarzem, chciała przede wszystkim przekonać ludzi, że jest bardzo oszczędna. Była żoną, drugą żoną, swego rodzonego wuja, cesarza Klaudiusza, i nie pozwalała robić żadnych wydatków na pałac. Cały Rzym się dziwił. Mówiono: "Jaka to wspaniała cesarzowa!" Zdobyła sukcesję dla Nerona odsuwając na bok rodzonego syna cesarza, po podaniu staremu Klaudiuszowi potrawy z trujących grzybów. Nigdy więcej od tamtej pory, mój nowy przyjacielu, nie podaje się w pałacu grzybów i mądrze zrobisz nie wymawiając tego wyrazu. Wielki Neron żywi do tego słowa zrozumiałą niechęć. Teraz, kiedy Agrypina już nie żyje, a u boku cesarza jest jego ukochana Poppea jako cesarzowa, pałac będzie niedługo przebudowany. Mają co do tego swoje plany. Sądzę, że chcieliby się pozbyć tej starej ruiny z przeciągami i zbudować coś nowego. Czy widziałeś cesarzową?

Bazyli potrząsnął głową. Dworzanin ściągnął wargi, szukając słów, które oddałyby jej należną sprawiedliwość.

- Czy przyjrzałeś się kiedyś różanej brzoskwini, która dojrzała pod osłoną marmurowej ściany i stała się miękka i ciepła w dotyku? Taka jest Poppea. - Teraz powrócił do zapowiedzianej opowieści. - Ale wracam do Selecha. To, co powiem, być może cię urazi. Weź wszystkich wielkich mężów Grecji: Solona, Peryklesa, Fidiasza, Sokratesa, Demostenesa, zwalcuj ich razem w jedną całość, podsumuj opinie o nich, a otrzymany wynik nie dorówna pod wieloma względami wielkości poprzedniego Selecha. Cześć ci, Selechu, największy z dobroczyńców ludzi!

- Myślę, że sobie ze mnie żartujesz - wtrącił Bazyli. - Kim był ten człowiek, którego chwalisz z taką przesadą?

- Ów pierwszy Selech był Fenicjaninem i zapewne również kucharzem. Nie miał żadnych uznanych osiągnięć i niczym się nie wsławił. Ale pewnego dnia ten skromny wytwarzacz zup i mięsiwa nasypał sobie trochę soli na koniec języka i pomyślał: "Czy nie należałoby dodawać soli do wszystkich potraw?" Zaczął to robić i poznał od razu, że dokonał wielkiego odkrycia. Jak dotąd,

wszystkie gotowane potrawy były mdłe i bez smaku, ale od tamtego czasu człowiek zaczął odczuwać przyjemność, kiedy zasiadał do jedzenia. Tak wykryto sekret przyprawiania. Było więc całkiem stosowne, aby człowiek wyniesiony na stanowisko kuchmistrza w pałacu cesarzów przybrał imię Selech.

Septimus machnął kciukiem przez ramię i służący, który wniósł szczupłe mienie Bazylego do pokoju, odwrócił się na pięcie i odszedł. Młody Rzymianin ruchem ręki poprosił Bazylego, aby podszedł z nim do okna.

- Możemy pomówić - powiedział tonem poufnym. - Chcę udzielić ci pewnych rad, zanim ugrzęźniesz w tym domu wariatów, który się nazywa dworem Nerona. Chodzi nie tylko o twoją szansę na sukces, lecz, być może, również o twoje życie. Jestem młody, ale mam oczy i uszy otwarte. Jestem dość przenikliwy, wystarczająco przenikliwy, aby nie starać się iść w górę, dopóki Neron jest cesarzem. To zbyt niebezpieczne. Lepiej poczekać na stosowną chwilę. Neron nie pożyje długo; w gwiazdach zapisany jest szybki koniec jego szaleństw. Może za czasów tego, który przyjdzie po nim, będę mógł wysunąć się do przodu, nie ryzykując głową.

Usiedli na krzesłach przed oknem. Wieczór był parny. Młody Rzymianin uwolnił swe kończyny spod fałdów zwierzchniego okrycia i westchnął z zadowoleniem. Księżyc jeszcze się nie ukazał i ogrody pałacowe spowijała ciemność. Nietoperze wirowały i zataczały kręgi na bezgłośnych skrzydłach. Z gęstwiny docierały ostrożne odgłosy zwierząt.

- Sytuacja tak się przedstawia - zaczął młody Rzymianin. - Są dwie partie zaciekle się zwalczające, każda nastawiona na wyparcie i zniszczenie tej drugiej. Pierwsza jest partią Tygellina, który ongiś był zwykłym ujeżdżaczem koni, a teraz jest prefektem gwardii pretoriańskiej i szefem policji. Tygellinus jest tak prostacki jak kciuk rzeźnika. To połączenie lizusa z zabójcą. Nazywa Nerona bogiem i mówi mu, że każdy jego czyn jest słuszny i doskonały. Tygellinus zna tylko jedną drogę do powodzenia: zabić przeciwnika. Najpierw używa kłamliwej obmowy i tka sieć fałszywych dowodów, potem uderza z nagła i z wielkim okrucieństwem. To zabójca, który wymierza cios w plecy, działa w ciemnościach, jest odrażający i gniewny, jak drapieżny ptak.

- Ci drudzy - ciągnął Septimus rozprostowując nogi w rzadko się nadarzającym luksusie chłodu - to partia “wyrafinowanych”, z niejakim Petroniuszem na czele. To ludzie dystyngowani, o subtelnych umysłach. Oni podchodzą do Nerona z drugiego krańca. Nie chwalą wszystkiego, co czyni, raczej go krytykują. Mówią mu, że jest geniuszem, lecz nie osiągnął jeszcze pełnej mocy twórczej. Kiedy go chwalą, wysuwają tak nieodparte dowody i przemawiają z takim znawstwem, że cezar wyżej to sobie ceni od pochlebstw Tygellinusa. Pęcznieje z satysfakcji i nadyma się z radości jak faun, którego poklepał po grzbiecie sam Bóg. To mądre postępowanie. Jak dotychczas, to oni mają przewagę.

- Czy cesarz ma rzeczywiście talent? - spytał Bazyli.

Septimus z emfazą skinął głową.

- Neron rzeczywiście ma w sobie zalążek geniuszu. Nie jest on wielki i ukrywa się w pułapce jego szaleństw, jak drogocenny kamień w macierzystej skale. Jednak istnieje. Neron jest dziwnym człowiekiem. Nic poza sztuką go nie interesuje. Szczegóły administrowania przyprawiają go o ataki furii. Lecz jeszcze słówko o partii Petroniusza. Nie wierzą w taką broń, jak siła. Gardzą uderzeniem sztyletem w plecy, ale nie przeszkadza im wpuszczenie paru kropli trucizny do pucharu z winem. Wolą jednak zabijać ośmieszaniem, triumfować raczej rozumem niż mięśniami. W końcu zwycięży Tygellinus. On stosuje proste metody. Brutalna siła zawsze weźmie górę nad przebiegłością. Walka jednak potrwa jeszcze długo. Tobie, Bazyli z Antiochii, dam taką radę: nie przyłączaj się do żadnej partii. Wytycz sobie prostą i wąską koleinę. Rozmawiaj jak najmniej. Wyrabiaj sobie własne zdanie, ale powstrzymuj się od jego wygłaszania. Postępując w ten sposób może ci się uda. W każdym razie dłużej pożyjesz.

- Komu zawdzięczam, że mnie tutaj wezwano?

- Znam całą tę historię - odparł Septimus, kiwając z zadowoleniem głową. - Zawdzięczasz to pewnej pani o pięknych, aksamitnych oczach i prostej, szczupłej figurze. Innymi słowy, tajemniczej Helenie, która tak czarująco asystuje Szymonowi Magowi.

- Tak przypuszczałem.

- Ona ma wpływ na kogoś, kto zajmuje wysokie miejsce w senacie. Nie była to najlepsza droga do zdobycia przychylności cezara, ponieważ on ma pogardliwy stosunek do polityki. Jednak ten senator jest na tyle głośny, że Neron się z nim liczy. To on zwrócił cesarską uwagę na fakt przybycia do Rzymu obiecującego rzeźbiarza. Neron wysłuchał go, być może tylko połową ucha, i postanowił wystawić cię na próbę. Przywilej dość niechętnie przyznany, jak widzisz. Fakt, że Neron ma tak złą opinię o politykach, spowodował, że zostałeś wysłany do bocznego skrzydła pałacu, najbardziej zniszczonej części tej nędznej budowli. Ale może to i dobrze. Nie należysz do żadnej partii, więc mogą cię zostawić w spokoju.

- Tak mówisz - wtrącił Bazyli z podziwem - jakbyś posiadł całą mądrość senatorów.

- Przyznaję, że jestem bystry. Urodziłem się na polityka i dworzanina. Pewnego dnia otworzy się przede mną szansa pójścia w górę, wolę jednak zaczekać, aż warunki będą nieco zdrowsze.

Młody Rzymianin wychylił się do przodu i wskazał ogród pogrążony w ciemności.

- Czy widzisz migotanie tam w dole, jakby światło odbijało się w wodzie?

Bazyli spojrzał we wskazanym kierunku i skinął głową. - Tak, widzę.

- To nieduży basen. Jest przeznaczony tylko dla zaokrąglonych bioder i ud uroczej Poppei.

Niełatwo go zlokalizować, gdyż jest dobrze osłonięty drzewami i krzewami, można jednak go odnaleźć, szukając półkola posągów na wysokich piedestałach, które go otaczają. Wskazuję ci to miejsce nie po to, abyś miał wtargnąć do tego szczególnie chronionego zakątka, lecz dlatego, że za basenem zaczyna się długi sznur drzew. Idąc wzdłuż nich dochodzi się do strategicznej części murów pałacowych. Tutaj akwedukt wchodzi na teren ogrodów i przez jakiś błąd inżynieryjny, który pewnego dnia przez przypadek wykryłem, rura się opuściła, a razem z nią grunt. Powstała dziura pod murem, dość duża, aby człowiek mógł przez nią przepełznąć. O ile wiem, jestem jedynym posiadaczem tej cennej informacji, gdyż mur jest w tym miejscu dobrze osłonięty zaroślami. Któregoś dnia, mój młody przyjacielu - ciągnął dalej - pójdź tam i odszukaj ten otwór pod murem. Może to być bardzo przydatna informacja. Gdybyś się wspiął do łask cezara, a potem z nich wypadł, możesz potrzebować drogi szybkiej ucieczki.

- Nie można być stale w łaskach imperatora?

- To jest tak nieprawdopodobne, jak dwukrotne przejście słońca po niebie w ciągu jednego dnia. Bo widzisz, Neron jest szalony. Jego szaleństwo przybiera najgroźniejszą formę: zawsze niszczy te rzeczy, które cenił najwyżej. Jest jak dzik uderzający najpierw w najbliższe otoczenie. Gdyby tak się zdarzyło, że będziesz w jego pobliżu, kiedy wpadnie w swoje krwiożercze rozpasanie, szybko wydostań się z pałacu. Przy pierwszej oznace czerwieni w cesarskim oku, pierwszych knowaniach i ryciu kłami, uchodź i biegnij co sił w nogach do otworu w murze.

Bazyli myślał o radach, których tak szczodrze udzielił mu jego nowy przyjaciel. Zdawał sobie sprawę, że wysłuchał uczciwego opisu warunków życia na dworze, i że mądrze postąpi, zapamiętując każde wypowiedziane słowo.

- Jeśli wyniosę z tych opresji całą skórę, tobie będę to zawdzięczał.

- Musimy być dobrymi przyjaciółmi - oznajmił młody Rzymianin. - Podobasz mi się. Podziwiałem cię od pierwszego wejrzenia i powiedziałem sobie: “Oto osobnik według twego gustu, Kwintusie Septimusie Rulianusie. Nie wolno pozwolić, by szedł na ślepo wprost do swej klęski, gdyż zabrakło twoich wskazań.” Tak właśnie pomyślałem i dlatego tak otwarcie rozmawiam z obcym mi człowiekiem. Od razu wiedziałem, że mogę polegać na twojej dyskrecji. A teraz - powiedział wstając z miejsca - mamy akurat dość czasu, żeby się spotkać z wielkim Selechem. Myślę, że chętnie zobaczysz, jak się przygotowuje cesarski bankiet. Ja sam uważam, że obserwowanie kucharza przygotowującego tak wspaniałe potrawy jest bardziej pouczające niż widok żarłoków, którzy je zjadają.

2

- Nadeszła pora na wypróbowanie nowego sposobu warzenia garum * - oznajmił Selech,

archimagirus * cesarskiej kuchni.

Garum - sos z krwi i wnętrzności ryb (przyp. red.).

Archimagirus - główny kucharz (przyp. red.).

Spojrzał w dół na obsonatora * Demetriusza, siedzącego na pomoście kilkanaście stóp poniżej.

Obsonator - urzędnik zaopatrujący w produkty żywnościowe (przyp. red.).

- Każ im, proszę, wnieść beczułkę. Wyznam ci, Demetriuszu, że odczuwam niepokój. Tym razem to eksperyment.

Demetriusz zaczął się niepokoić. Trzeba powiedzieć, że już i tak miał rozdygotane nerwy, bo wstał o świcie, by pójść na rynek przy Bramie Trigemina, gdzie z trudem mógł wytargować towary, jakich potrzebował. Potem nastąpił ranek pełny wykłócania się przy Drodze Subury, gdzie kupował kapłony i kaczki, wiejską kiełbasę i pawie jaja. Miał ostrą utarczkę z jedynym w Rzymie dostawcą, który sprzedawał drozdy karmione figowymi okruszkami i twardo domagał się wysokiej zapłaty. Demetriusz denerował się, ogryzał paznokcie i myślał o tym, czy nie pominął któregoś z tysiąca drobiazgów, jakimi było wypełnione codzienne życie głównego nabywcy żywności na cesarski stół.

Spojrzał w górę, gdzie siedział Selech na swoim imponującym pomoście i ściągnął brwi.

- Eksperyment, szefie? Nie rozumiem.

- Nikomu o tym nie powiedziałem, nawet tobie, Demetriuszu - oznajmił szef kuchni. - Uważałem, że nie należy obciążać cię moim niepokojem. Postanowiłem zastosować tym razem - zrobił pauzę dla większego efektu - wyłącznie wątrobę czerwonego kiełbia. Czy garum będzie miało taki smak, jakiego oczekiwałem? To mnie pozbawia snu od paru nocy. Oczywiście dodałem wszystkie zwykle używane zapachy: falernijskie wino, ocet, czosnek i słodkie zioła. Przetrzymałem go pełny tydzień ponad zwykłe dwa miesiące, aby mieć pewność, że całkowicie przefermentuje do stanu płynnego. No, a teraz zobaczymy, co z tego wynikło. Beczułka, Demetriuszu.

Beczułka, wniesiona przez niewolnika w chwilę później, była zrobiona z dobrze wysuszonego drewna i mogła pomieścić pięć lub sześć galonów. Nie chcąc, aby ręce mniej zręczne od jego własnych dokonały tego dzieła, Selech wziął wiertło i wbił je w drewniany bok. Przejmujący zapach zaatakował ich nozdrza, kiedy ciemnobrązowy płyn zaczął bulgotać, wydobywając się z małego otworka. Szef wąchał nerwowo, a potem zanurzył łyżkę w płynie, który spływał do niedużej miski. Przy pierwszym łyku pełen ekstazy uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Coś wspaniałego! - oznajmił. - Jeszcze nigdy, Demetriuszu, nie było nic takiego, co mogłoby temu dorównać. Z taką przyprawą wszystkie dania będą ucztą.

Selech usadowił się z powrotem na krześle i pozwolił oczom błądzić po swoim królestwie,

w którym dzierżył najwyższą władzę. Wiedział, że ogromne kotły z mosiądzu, stojące dokładnie pośrodku blatów kuchennych, parują i bulgoczą, zapewniając dostatek gorącej wody do różnych celów. Tuzin niewolników uwijał się przy kotłach, twarze mieli zaczerwienione od pary, a białe czapeczki już były wilgotne. Ta sceneria powtarzała się, gdziekolwiek spojrzał. Wszędzie zgrzani i udręczeni niewolnicy, którzy żyli w ciągłej obawie, że coś się nie uda i zostaną srogo ukarani. Dosłownie setki mężczyzn i kobiet pracowały pod czujnym okiem czarodzieja: cukiernicy, degustatorzy, piekarze i ci, którzy polewają pieczenie sosem, oraz mniej wprawni podkuchenni, którzy rozpalali ogień, przenosili ciężary, łapali drób i trudzili się w kieratach albo obracali rożny.

Jego oczy raz po raz spoglądały w stronę długiego stołu, gdzie cukiernicy przesiewali mąkę przez hiszpańskie sita z lnianych nici. Ta bardzo trudna czynność była dzisiejszego wieczoru szczególnie ważna. Imperator powiadomił, że chce mieć “wafelki”, a mąka używana przy wyrobie tego delikatesu musiała być tak drobno zmielona, jak niewidzialny pył unoszący się między planetami. Inni kucharze macerowali miód i mieszali go z mąką, a otrzymaną pastę skręcali w spiralę i rzucali na gorący tłuszcz w głębokim naczyniu. Cesarz był znany z tego, że potrafił zjeść tuzin “wafelków” przy jednym posiłku, zanurzając je własnoręcznie w winie i posypując cukrem ze złotego pojemnika; musiały jednak być akurat takie, jakie mu smakowały, w przeciwnym razie gniew władcy wybuchał z całą siłą.

Kwintus Septimus Rulianus poprowadził Bazylego poprzez kuchnie do góry, gdzie siedział na pomoście czarodziej.

- Selechu, to nowy gość cezara - oznajmił. - Nazywa się Bazyli, przybywa z Antiochii i pragnie mieć z tobą chwilę prywatnej rozmowy.

Po tym wyjaśnieniu młody Rzymianin wycofał się w dół po schodach do pomostu, gdzie Demetriusz wciąż szurał nerwowo nogami i przeczesywał rękami włosy.

- To młody Grek - szepnął. - Jest rzeźbiarzem.

- Cezar nigdy nie jest zadowolony z rzeźbiarzy, którzy do niego przychodzą - powiedział szef zakupów jeszcze bardziej strapiony. - Ufam, że ten okaże się lepszy od innych. Jeśli tak nie będzie, to jego boskość na pewno zacznie skarżyć się na jedzenie. To jego zwyczaj.

Selech obrócił głowę nie więcej jak o cal, żeby spojrzeć na swego gościa.

- Czego ode mnie pragniesz? - spytał. Głos jego był dobitny i raczej surowy.

- Zatrzymałem się w gospodzie starego Hannibala - odrzekł Bazyli. - Kiedy nadeszło wezwanie z pałacu, Kefas doradził, żebym ciebie natychmiast odszukał.

Wyraz twarzy głównego kucharza nie uległ zmianie.

- Kefas? - powiedział, unosząc brwi w górę. - Kefas? Ach tak, przypominam sobie. Ten starzec, który pracuje w gospodzie.

Jego oczy czujnie śledziły to, co się działo na dole.

- Czy to ciekawość, jak wyglądają cesarskie kuchnie, sprowadza ciebie do mnie, młody panie?

- Nie, to nie ciekawość.

Brak zainteresowania, z jakim się spotkał, sprawił, że nie wiedział, czy mówić dalej.

- Przybyłem do Rzymu z listem od Łukasza. Może to coś wyjaśni.

Po tych słowach zmieniła się postawa Selecha. Po raz pierwszy spojrzał wprost na Bazylego, a w jego oczach, uprzednio tak srogich, ukazała się życzliwość. Potarł ręką swój wysoko sklepiony nos, który można by uznać za prawdziwie majestatyczny, gdyby nie był z lekka spłaszczony. Po chwili się uśmiechnął.

- List od Łukasza! Więc widziałeś Łukasza? Na własne oczy? - Powiedział to takim tonem, jakby pytał: Czy przemierzyłeś niebiosa z Apollem?

- Dużo przebywałem z Łukaszem. Jest moim dobroczyńcą, zawdzięczam mu wszystko, co ma jakąś wartość w życiu. - Bazyli zrobił pauzę, zanim dodał: - Kefas przesyła ci wiadomość. “Pokój niech będzie z tobą dziś, gdyż jutro nadejdzie burza.”

Niepokój odbił się w oczach głównego kucharza.

- Jak to mądrze, iż Kefas ostrzega przed niebezpieczeństwem, które nam zagraża. Tak łatwo o tym zapomnieć, pozwolić sobie na beztroskie bytowanie bez zastanawiania się nad goryczą jutra. - Pozwolił sobie na głębokie westchnienie. - Czy długo będziesz gościem cezara?

- Tego nie wiem. Mam wymodelować popiersie cesarza. Septimus Rulianus mówił, że długość mego pobytu będzie zależała od tego, czy moja praca znajdzie uznanie.

Główny kucharz pozwolił surowemu wyrazowi twarzy rozluźnić się w powitalnym uśmiechu.

- Mam nadzieję, że mi wybaczysz moją ostrożność. Musimy być bardzo ostrożni. Jak sądzę, Kefasowi chodziło o to, że możesz potrzebować rady, a może i pomocy. Wszak wiesz, że są tutaj wśród nas tacy, którzy zawsze chętnie zrobią wszystko, co tylko jest możliwe. Nie wahaj się przyjść do mnie, jeśli zajdzie potrzeba. Pamiętaj jednak, proszę cię o to, zachowaj jak największą ostrożność. Wszędzie są szpiegujące oczy, uszy i umysły pełne złośliwości. Sam cesarz ciągle się boi spisków; ktoś nasączył jego umysł trucizną nienawiści do chrześcijan i nauki Jezusa.

W tym punkcie nastąpiła przerwa. Oczy Selecha zatrzymały się na czymś przy odległym stole. Zawołał szefa zakupów.

- Demetriuszu, idź do stołu z kapłonami. Przypomnij im, że w nadzieniu musi być dużo imbiru, ale niech nie przesadzają z pieprzem i alisandrem. Zeszłego wieczoru nasz pan uskarżał się na nadzienie. Uważa, iż brak nam niezbędnej finezji.

Demetriusz spurpurowiał z obrazy. Podszedł w górę do Selecha i powiedział mu do ucha:

- Uważa, że brak nam finezji w przyprawianiu, co? A cóż on wie o tych rzeczach, z wyjątkiem może - jego głos ściszył się do szmeru - finezji w przyprawianiu grzybów!

Selech znów zwrócił się do Bazylego.

- Nie dostąpiłem takiego szczęścia jak ty. Nigdy nie widziałem Piotra. On jest w Rzymie, o czym z pewnością wiesz, i miałem od niego wiadomości, lecz oczy moje nigdy nie spoczęły na tym boskim starcu. Wierzę, iż pewnego dnia dostąpię przywileju ujrzenia go i rozmowy z nim. Ty, mój młody przyjacielu, jesteś szczęśliwcem. Widziałeś Łukasza.

- Kiedy byłem w Jerozolimie, widziałem Pawła, Jakuba i Judę. W drodze z Antiochii do Rzymu zatrzymałem się w Efezie i słyszałem nauczającego Jana.

Podniecenie Selecha wzrosło.

- Widziałeś Pawła i Jakuba, i Judę! Młodzieńcze, jakże jesteś uprzywilejowany! I słyszałeś Jana, kiedy nauczał! Czy to robiło takie wrażenie, jakby się niebiosa otwierały i wielki głos dochodził do ciebie spoza gwiazd?

- Zaprawdę tak było, jakbym słyszał głos Jahwe. Jasne było dla nas, słuchających go, że prowadził rozmowę z Bogiem.

- A co powiesz o Pawle?

- Wciąż jest w więzieniu. Ostatnio słyszeliśmy, że odwołał się do cesarza.

Na twarzy Selecha ukazał się wyraz napięcia.

- To znaczy, że wcześniej czy później przywiozą go tutaj. Chociaż jest niewinny, skażą go na śmierć, jeśli będzie sądzony w Rzymie. Podburzają przeciw nam opinię publiczną. - Po chwili, poświęconej niespokojnym myślom, dodał: - Wydaje się, że przywódców Kościoła przyciąga tu jakieś oddziaływanie, jakaś siła pochodząca chyba od Boga. Bardzo się boję, że przybywają tutaj, aby umrzeć. - Obniżył głos do ostrożnego szeptu. - W pałacu znajdują się setki chrześcijan. Przeszło połowa moich ludzi to chrześcijanie. Widzisz, są niewolnikami, a nauki Chrystusa dają nadzieję i oczekiwanie życia wiecznego. Udzielę ci jednak rady, młodzieńcze, nigdy nie zdradź się z tym, że jesteś jednym z nas. W pałacu jest może trzech ludzi, na których dyskrecję można liczyć. Wymienię ci ich; nikomu innemu nie dowierzaj. Ludzie mogą się wygadać, nawet ci najlepsi i z dobrymi intencjami.

Na stole, tuż pod wysokim pomostem najwyższego autorytetu, ściągający wino szykowali się do otworzenia skórzanej butli tak wiekowej, że zdawało się, iż w każdej chwili może się rozsypać przy nieostrożnym dotknięciu palcem. Selech uznał, że trzeba im poświęcić całą swą uwagę. Na jego odkrytym, wysokim czole pojawiła się nerwowa bruzda.

- Uważajcie! - zawołał. - To nie jest świński pęcherz napełniony tłuczonym grochem. Ta

butla leżała w piwnicy przez dwieście lat, czekając na chwilę, kiedy głos cezara jej zażąda. - Westchnął strapiony i poinformował Bazylego: - Znajdą w niej już tylko osad gęsty jak miód. Trzeba go wyjąć nadzwyczaj ostrożnie, a potem powoli rozcieńczać wodą. Woda musi mieć znikomy posmak róży, nie więcej jak jeden płatek na kwartę i powinna być odpowiednio podgrzana. Jeśli będzie za gorąca, to bezcenne wino zostanie zepsute. Jest to dla nas dar minionych wieków i musimy go traktować z należnym szacunkiem. Kiedy przyjdzie pora cedzenia wina, zrobię to własnymi rękami.

- Czy to stare wino będzie bardzo mocne?

Selech potrząsnął głową.

- Będzie miało w sobie moc i delikatność. Kiedy cezar podniesie tę ambrozję do ust, pozna ich cały wykwint. Cała zebrana mądrość i światło dwóch stuleci spłyną na niego w tym jednym hauście.

Selech wyglądał na zbyt przejętego swymi obowiązkami, aby móc prowadzić dalszą rozmowę, więc Bazyli wstał. Główny kucharz skinął głową z aprobatą.

- Widzisz, już się szykują do wnoszenia pierwszego dania - wyjaśnił. - Jeśli masz wieczerzać z cezarem, lepiej ruszaj od razu do sali bankietowej i znajdź sobie miejsce. Lepiej niczego nie pominąć. - Pokiwał głową pełen dumy. - To będzie widowisko godne obejrzenia. A ja ci przyrzekam, że będziesz pamiętał tę ucztę aż do śmierci.

Po jednej stronie komnaty formowała się procesja. Na czele kroczyli muzykanci ubrani w czerwień i złoto, z liśćmi wawrzynu we włosach. Grali na lirach, kitarach i trygononach. Niektórzy trzymali przy ustach fletnie Pana z dziewięcioma piszczałkami, inni mieli w gotowości podwójne klarnety, jeszcze inni przewiesili przez ramiona trąby z brązu galackiego i napełnili płuca powietrzem na pierwsze triumfalne zadęcie. Cymbaliści trzymali swoje półkule przywiązane rzemykami do nadgarstków, dobosze ustawili pałeczki do pierwszego grzmiącego uderzenia w skórę mocno naciągniętą na tympanon.

Za muzykantami ciągnął długi sznur służących w nieskazitelnej bieli, z tacami na głowach. Na każdej tacy stał dymiący rondel z korynckiego mosiądzu, o podwójnym dnie. Płonął w nich ogień, dzięki któremu potrawy podawane na stół były gorące. W tych rondlach niesiono zdumiewającą różnorodność potraw na pierwsze danie: myszy polne w soku makowym, różnorodne płody morskie obłożone śliwkami-damaszkami, posypane kminkiem i korzeniem benzoesu, kiełbaski z jajek i piersi pawia; jajka uformowane z ciasta i pomalowane na niebiesko, z żółtkami, w których umieszczono, jak w gniazdku, tłuściutkiego, maleńkiego ortolona upieczonego na rożnie, koniki polne usmażone na jasnozłocisty brąz, osłodzone miodem, sałatę, duże, czarne oliwki, granaty przecięte na pół, przybrane pączkami róż.

Selech, z brodą wzniesioną do góry i uroczystym wyrazem twarzy, powstał. Wzniósł w powietrze batutę i objął wzrokiem cały pochód, aby się upewnić, że nie zaniedbano żadnego szczegółu. Machnął batutą, a potem ją opuścił. Natychmiast pałeczki dobosza poszły w ruch, cymbały wydały dźwięk, mosiężne trąby zagrzmiały mocną, ostrą nutą. Niewolnicy stanęli na baczność przy swoich stołach i paleniskach, przewracając oczami z podniecenia. Każdy miał coś, czym mógł pomachać: pogrzebacz, topór, warząchew. Podniecony Demetriusz skakał po platformie i wymachiwał nad głową rękami o krótko ogryzionych paznokciach. Wykrzykiwał przy tym cienkim głosem:

- Oto pierwsze danie! Wielcy tego świata, przygotujcie się na nie! Otwórz usta, cezarze, już niosą pierwsze danie!

3

Kiedy Bazyli dotarł do cesarskiej sali bankietowej, goście Nerona poukładali się już na sofach. Mieli ręce i stopy obmyte perfumowaną śnieżną wodą, którą niewolnicy roznosili między stołami. Odmówiono krótką modlitwę do Jowisza i wzniesiono toast winem z kryształowych pucharów. Każdy z pijących rozlał parę kropel na posadzkę dla niewidzialnych larów.

Septimus zaprowadził Bazylego do niedużego stołu, który najwyraźniej był dla niego przeznaczony. Chociaż ukryty za wysokim kwietnikiem, znajdował się zaledwie o dwadzieścia stóp od sofy, na której spoczywał Neron. Z tego miejsca mógł widzieć wszystko. Rzucił jedno spojrzenie na cesarza i zdziwił się, jak młodo wygląda, mimo wczesnej otyłości. Potem jego wzrok przyciągnęła Poppea siedząca obok władcy. Nowa cesarzowa była zjawiskiem o śnieżnobiałej skórze z delikatnymi różanymi odcieniami, miała rudawe włosy, które się wiły i lśniły w świetle wysokiego kandelabru, szczupłe, białe jak mleko ramiona w jasnej, jedwabnej palli oblamowanej złotem.

Położył swoją niebieską płócienną torbę na stole i rozplątywał jej sznurki z oczami wciąż utkwionymi w tę piękność delikatną jak płatek róży, którą już zaczęto nazywać Występną Cesarzową.

- Czy mam zaczynać od razu? - wyszeptał. Nie usłyszał odpowiedzi. Odwrócił się i zobaczył, że Septimus już odszedł.

Drugie danie wniesiono z takimi samymi fanfarami jak pierwsze. Na czele procesji akrobaci popisywali się swymi sztukami, stając na rękach i wywijając koziołki. Muzykanci piszczeli i szarpali struny, dobosze szaleńczo walili pałeczkami. Przed sofą cesarza stał długi na czterdzieści stóp stół przykryty złotym obrusem; na nim ustawiono w równych odstępach wysokie bukiety kwiatów. Jeden z maszerujących kuchmistrzów umieścił głowę dzika pośrodku stołu i wzniecił

płomień trzaskający dookoła niej, zaś jego pomocnicy paradowali przed władcą świata z półmiskami, żeby mógł je obejrzeć i wybrać coś dla siebie. Były tam kapłony i kaczki, pawie z ogonami rozpostartymi w pełnej glorii, dziczyzna, rzadkie ryby pikantnie przyprawione, upieczone w całości młode prosiaki, wielkie polędwice wołowe o różowych bokach, żeberka ociekające tłuszczem, ćwiartki saren i rogaczy.

Neron nie interesował się jedzeniem. Jakieś resztki pierwszego dania stały przy nim na półmiskach, ale zjadł niewiele. Od czasu do czasu odgryzał czubek jaja z ciasta i wygarniał zawartość, robił to jednak bez zapału. Cezar nie miał apetytu i - co wprawiało w niepokój siedzących najbliżej - najwyraźniej się nudził.

Bazyli przy swoim samotnym stole za kwietnikiem zaspokoił głód płatem wołowiny skropionym paroma kroplami nowej, pikantnej przyprawy oraz konfiturą z fig podawaną ze śliwkami-damaszkami. Nie przedłużał czasu posiłku. Opłukał ręce w naczyniu z aromatyczną wodą przyniesioną przez niewolnika, który ani na chwilę nie odrywał oczu od posadzki. Po głębokim hauście wina (jak to możliwe, aby wino było tak cudowne!) dał znak niewolnikowi, aby usunął wszystkie naczynia, i rozłożył zawartość niebieskiej torby na blacie stołu.

Ogarnęło go uczucie zadowolenia. Nucił cicho zabierając się do pracy.

Głowa cesarza była dla niego wyzwaniem. Spod masy sztywnych, rudych loków bacznie spoglądały wypukłe oczy pana świata, żądne podziwu, uważne, tak jakby wewnątrz brakowało mu pewności siebie. Nos miał niekształtny i bulwiasty. Kasztanowa broda była świeżo przycięta (ścięte pasma, złożone w złotej szkatułce wysadzanej perłami i drogimi kamieniami, zachowano dla potomności), co odsłoniło grube, wydęte wargi i okrucieństwo słabych ust. Była to twarz, w której zakłopotanie szło w zawody z dzikością, a przejawy łagodnej młodzieńczości tłumiła namiętność i ambicja.

Bazyli, tylko przez chwilę przyglądał się tej dość przerażającej twarzy i od razu zdecydował, co ma robić. Należało odrzucić konwencjonalny, rzymski styl, zgodnie z którym rzeźby miały puste oczy i sztywno ułożone włosy. Chciał pokazać cezara jako istotę ludzką, dokładnie tak jak go widzi, czyli trochę niezdarnego młodzieniaszka, jeszcze rozbrykanego jak leśny elf, lecz przemieniającego się szybko w złośliwego satyra. Postanowił, że musi sprawić, aby królewskie oczy patrzyły na świat z niepohamowaną zachłannością; nos i usta muszą odsłaniać narastające w nim apetyty. Być może, nie tego się cesarz po nim spodziewa, musi jednak zaryzykować. Jeśli podobieństwo, które już się rodziło przy pierwszym kontakcie palców z woskiem, okaże się niemiłe dumnemu Neronowi, zabierze się stąd jak można najszybciej i najdyskretniej. Miał nadzieję, że nie stanie się nic złego.

Był już dość zaawansowany w pracy, kiedy dojrzał Szymona Maga, który siedział sztywno

wyprostowany pośrodku wielkiej sali bankietowej i jadł z taką miną, jakby robił łaskę. Ubrał się w czerń i nad tym pogrzebowym strojem jego koścista twarz wydawała się złowroga i zamknięta w sobie. Inni goście nie zajęli miejsc i leżanek bezpośrednio przy nim, siedział więc w odosobnieniu, co wzmagało zamierzony przez niego efekt.

Obserwując go i pozwalając rękom spoczywać przez chwilę bezczynnie, Bazyli przypomniał sobie scenę z Domu Kokbena, kiedy sznur pociągnięty pod dywanikiem spowodował wylanie się wody z naczynia. “To oszust” - pomyślał, z trudem powstrzymując się od śmiechu. Niezwykły dar Szymona był tylko pozą, ale tak się zdarzyło, że ta poza oszukiwała cały Rzym.

Aż do tej chwili nie zwracał uwagi na zebranych, lecz teraz zaczął się rozglądać w nadziei, że zobaczy Helenę. Nie było jej widać i nic dziwnego, gdyż w sali znajdowało się paręset osób. Przypuszczał, że wszyscy wielcy Rzymu zebrali się, aby uczcić młodego imperatora; nie mógł wiedzieć, że towarzystwo było mieszane, że obok członków starych, rzymskich rodów znajdowali się tu parweniusze, którzy zdobyli pozycję dzięki aktywności politycznej i manipulowaniu państwowymi kontraktami. Była też grupa młodych ludzi, oddanych fałszywym bogom, wesoła, wyrafinowana grupa, której przewodził Petroniusz.

Widok nie był budujący. Goście cesarza nadmiernie jedli i pili. Rozmawiano krzykliwie, śmiano się zbyt głośno i niemądrze, flirtowano i rzucano zalotne spojrzenia. Mężczyźni polowali na zdobycz, odwiedzając na niepewnych nogach sofy, na których się ukrywały najmłodsze i najładniejsze kobiety, przysiadali obok nich i usługiwali im z oddaniem. Podnosili czary do ust zapraszających do czegoś więcej niż pieszczota złocistego wina.

Helena musi gdzieś być w tej sali. Nie zaniedbałaby sposobności, aby uczestniczyć w takiej uczcie, lecz Bazylemu nie udało się jej zobaczyć. W sztywnej postawie Szymona odgadywał urazę wywołaną jej nieobecnością. Czyżby pozwalała sobie na czułe przebywanie z nowym adoratorem gdzieś w tej sali?

Bazyli napomniał siebie: “Jestem tutaj, żeby utrwalić rysy cesarza, a nie obserwować figle jego gości.”

Z ulgą odwrócił się plecami od bachanaliów i powrócił do pracy.

4

Neron nie pił i zaledwie uszczknął nieco soczystych owoców, bogatych ciast i tortów podanych na deser. Jasne było, że uznał wieczór za nudny. Wargi ułożyły mu się w dąs, niskie czoło zachmurzyło, a jego oczy nie znajdowały przyjemności nawet w widoku niezmąconej urody Poppei. Rozglądał się wokół z miną, która mówiła wyraźnie: “Ci płytcy światowcy sycą swe prostackie apetyty, kiedy moja boskość przygląda się im z odrazą!”

Wreszcie palący cesarski wzrok spoczął na oazie, gdzie Szymon Mag siedział w cichej samotności. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- Szymonie Magu! - zawołał.

Szymon podniósł się z sofy i skłonił się wolno i głęboko trzy razy. Towarzystwo, znajdujące się w środkowej części sali, ucichło natychmiast, jednak, aby opanować odgłosy zabawy w odległych częściach sali, cesarz musiał podnieść głos.

- Czy masz jeszcze jakieś sztuczki do pokazania, mistrzu ciemnych matactw i diabelskich umiejętności?

Dni dociekań i badań w domu na Via Nova, ciągłe próby z nowymi pomocnikami, wykonywanie tajemniczych rekwizytów, wszystko to Szymon przygotowywał na dwie okazje, a ta właśnie była jedną z nich, czyli wstępem do wielkiego widowiska, którym Zły Samarytanin zamierzał zadziwić świat. Świadomy, że przeznaczenie unosi się nad nim, wielki mag postąpił kilka kroków do przodu.

- Boski cezarze - rozpoczął. - Mam w głowie raczej słowa niż czyny, słowa przeznaczone dla twego uczonego ucha i tych wszystkich siedzących przy tobie. Pragnę obalić pewne błędne pojęcia na temat tego, co się nazywa magią. Jeśli mam twoje dostojne zezwolenie, aby przemówić, postaram się powiedzieć w krótkich słowach to, co musi być powiedziane. A może podczas tej mowy moje ręce nie zapomną swego rzemiosła, lecz wykonają pewne nowe, pomysłowe sztuki i koncepty dla twej rozrywki.

Wyciągnął przed siebie prawą rękę gestem retora. Ręka była pusta, o czym wszyscy siedzący w pobliżu mogli się przekonać. Ale w tym momencie ujrzeli nagle zapaloną świecę na otwartej dłoni. Szymon opuścił rękę i popatrzył na migoczący płomyk, jakby on sam był równie zdziwiony jak wszyscy pozostali. Rozejrzał się wokół. Jego spojrzenie padło na grubego senatora, który właśnie podnosił do ust czarę z winem. Mag obojętnym gestem rzucił świecę do jego czary, gdzie zgasła z sykiem po jednym mrugnięciu.

Dobrze wybrał swą ofiarę. Urażony senator zaczął coś bełkotać, lecz uciszył się, kiedy cała sala wybuchnęła śmiechem. Zaskoczony Neron zarechotał krótko. POtem odkaszlnął i znów zarechotał, tym razem na wyższą nutę. Jego rozradowanie wzrastało i wyrażało się coraz głośniejszym śmiechem. Wreszcie odrzucił głowę do tyłu i poddał się całkowicie zadowoleniu, wybuchając cienkim, histerycznym śmiechem.

Szymon zrobił jeszcze parę kroków do przodu.

- O, cezarze - powiedział - mniema się, że magia to tylko kwestia zręcznej ręki i pewnych przyborów, które magik przy sobie ukrywa. To, o czym będę mówił, jest odmiennym rodzajem magii. To straszne moce, które wpadają w ręce tego, kto się odważy złamać pieczęcie ksiąg czarnej

magii. Będę mówił o tajnikach, które można poznać, zapuszczając się w wysokie sklepienia nieznanego, o dziwnej boskości, co wlewa się w żyły wtajemniczonych.

Podniósł rękę do góry i znów zapalona świeca zjawiła się na wyciągniętej dłoni. Po raz drugi udał zdziwienie, a potem zgasił płomień na odsłoniętych plecach niewolnicy, przechodzącej z pustymi naczyniami. Przestraszona dziewczyna wydała pisk i upuściła niesiony ciężar na posadzkę. I znów Neron przeszedł przez wstępne stadium zdławionych dźwięków uciechy, by dojść do kolejnego wybuchu nie kontrolowanego śmiechu.

- Daruję jej setkę razów, na jakie zasłużyła swoją niezdarnością - odezwał się, kiedy już mógł mówić - ponieważ rozśmieszyła mnie dzisiejszego nudnego wieczoru.

Sześć razy zapalane świece ukazywały się znikąd, podczas gdy mag ciągnął swą przemowę. Znajdował coraz to nowe sposoby na gaszenie ich w taki sposób, że zawsze wywoływało to śmiech. Między wybuchami śmiechu sala zachowywała milczenie, a wszystkie oczy wpatrzone były w cienkie palce Samarytanina, w których tak tajemniczo pojawiały się świece.

Po prawicy Nerona siedział mężczyzna w średnim wieku. Czubek jego głowy był łysy i tak biały, jak świeżo wydobyty marmur. Ciemne, inteligentne oczy błyszczały w pełnej twarzy. Ubranie wyróżniało się wybredną starannością.

- Ten Szymon to nędzny nikczemnik - zauważył mężczyzna przysuwając się bliżej do Nerona, którego rozbawienie jeszcze nie wygasło. - Jest tak brzydki, że ciarki mnie przechodzą. Ale jedno trzeba o nim powiedzieć: to artysta.

- Artysta? - Cesarz był zdziwiony takim punktem widzenia. - Opamiętaj się, Petroniuszu. Chcesz wypróbować jeden ze swoich dowcipów? Może paradoks? Przecież nie wierzysz, że ten człowiek jest artystą. Czy artyzm istnieje w tak podłym zawodzie, jak sztuki magiczne?

- Artyzm - oznajmił Petroniusz, przyglądając się cienkiej, jasnej żyłce w zielonym kamieniu pierścienia, jaki miał na palcu - można odnaleźć we wznoszeniu suchego muru, w wyginaniu łuku, w przyrządzaniu przekładańca, który łechce podniebienie cezara i zostawia ślady na policzkach jego żarłocznych stronników. - Przywódca partii sybarytów podniósł wzrok, aby spojrzeć przez salę na maga. - Przyjrzyj się, cezarze! Czyś kiedykolwiek widział coś bardziej podobnego do czarnych ptaków pustyni niż ta kreatura ze Wschodu, w swej ponurej szacie, o twarzy ubielonej, żeby wyglądała jak czaszka pozbawiona skóry? Wszystko, co robi, każdy ruch ciała został starannie zaplanowany i obliczony w czasie. Rozważ, jak zręcznie wywołuje najpierw twoje zdziwienie, a później śmiech. - Kiedy Petroniusz szeptał, Szymon mówił dalej, ale utracił już uwagę cezara. - Może napełnić strachem twoje serce samym sposobem, w jaki się porusza. Jego stopy przypominają okrutne mityczne ptaki, skradające się, wymykające, podchodzące ciebie. Nawet sposób, w jaki podgina palce u nóg, sugeruje zło. Spójrz, jak wymachuje ramionami. Przypominają

ostrza z hartowanego metalu, a ręce ma jak łby żmij podniesione i gotowe do ataku.

- Tak, tak, Petroniuszu - powiedział Neron przyglądający się w tej chwili Szymonowi wzrokiem, który w nim wykrył nowe fascynacje. - Masz jak zawsze rację, mój Petroniuszu. Zdumiewa mnie, jak niezawodnie wykrywasz te rzeczy.

Z tego, co nastąpiło potem, można było wnioskować, że Szymon usłyszał ich rozmowę. Zmienił taktykę, przestał zaskakiwać i rozbawiać widzów płonącymi świecami. Jego ręce, które przypominały Petroniuszowi łby żmij, usprawiedliwiały to porównanie, gdyż wysunęły się z szybkością jadowych zębów węża i w jednej chwili zagarnęły kwiaty stojące pośrodku jednego ze stołów. Pod bukietem leżał zwinięty wąż w opasce z korali wokół szyi. Podniósł się i zasyczał na przerażonych biesiadników. Szymon wskazał nań palcem, a wąż skurczył się i znikł. W chwilę potem mag zatrzymał służącego, który przemykał się pośpiesznie z zakrytym naczyniem. Szybkim ruchem ręki Samarytanin podniósł pokrywę i wtedy wszyscy zobaczyli, że w naczyniu nie ma strucli z obfitością śliwek ani kandyzowanych owoców, lecz jest w nim ten sam wąż w swojej koralowej opasce, a jego spłaszczony łeb ziejący złością miota się po brzegu naczynia.

Ciągnąc dalej przemowę, Szymon chodził po sali wpędzając gości w przerażenie, wykrywając węża w fałdach szaty, pod krzesłami, a raz nawet w trąbie muzykanta. Wreszcie nastąpił szczytowy punkt zabawy tego wieczoru. Mag wzniósł oczy na kolumnę, pod którą siedział pewien zarozumiały polityk ze swą otyłą żoną. Idąc za jego spojrzeniem towarzystwo zobaczyło, że wąż zaczął zsuwać się z kolumny wyrzucając głowę to w jedną, to w drugą stronę.

Para na dole była nieświadoma tego, co się dzieje. Nadal, jak przedtem, mąż popijał wino, a żona z przesadną elegancją zajadała winogrona. Wszyscy wpatrywali się w nich z napięciem, czekając na zabawny efekt.

Wreszcie żona usłyszała szelest, spojrzała w górę i zobaczyła głowę węża tuż nad sobą. Otworzyła usta i wydała okrzyk, jakby ktoś wyciągnął korek z butelki, a potem runęła na posadzkę utraciwszy przytomność.

Za każdym razem, kiedy ukazywał się wąż, Neron wpadał w histerię, przechodzącą w punkcie kulminacyjnym w dzikie salwy śmiechu. W tym momencie jego boki wznosiły się i opadały, tarzał się po leżance w prawdziwej orgii uciechy.

Szymon zaczekał, aż śmiech się uciszy. Rzucił okiem na kobietę leżącą bez pomocy na posadzce, z twarzą wciśniętą w kiść zgniecionych winogron, podniósł obie ręce w górę, zmuszając do milczenia chichoczących i śmiejących się rubasznie biesiadników. Potem ruszył do przodu i stanął na wprost imperatora, który jeszcze nie mógł złapać tchu.

- O, boski cezarze - zaczął - przedstawiam propozycję do twego łaskawego rozpatrzenia; robię to z należną uniżonością, ale i z przeświadczeniem, że wiele dobrego z tego wyniknie. Pragnę

dokonać próby.

- Cóż to za próba, Szymonie Magu? - spytał Neron.

Mag wzniósł do góry ramiona porywczym gestem. Jego twarz, starannie upudrowana, jak to wykryło baczne oko Petroniusza, jeszcze bardziej zbielała. W oczach pojawił się fanatyczny błysk.

- Próba mocy, cezarze! - zawołał. - Pozwól mi walczyć z chrześcijanami na arenie, tak jak walczą gladiatorzy. Ja, Szymon z Gitty, zwany Magiem, stanę przeciw tym ludziom, którzy bajdurzą o pokorze, lecz mówią, że potrafią czynić cuda na równi z Jezusem z Nazaretu.

Neron wychylił się do przodu z nagle rozbudzonym zainteresowaniem.

- Zawody z chrześcijanami?! - wykrzyknął. - Ale jak, jak? O jakiego rodzaju rozgrywce mówisz?

- Wezwij nas przed siebie, abyśmy pokazali, co potrafimy. Niech oni dokonają tych cudów, o których tyle słyszymy. Ty, cezarze, będziesz naszym sędzią. Czuję się zmęczony wrzawą, jaką oni podnoszą. Gdziekolwiek się zjawię, mówią do mnie: “Ty, Szymonie, jesteś zbyt śmiały, aby występować ze swoją magią tutaj, gdzie Jezus z Nazaretu dokonywał swych cudów, zbyt wielką zarozumiałość żywisz co do swojej osoby.” Zwą mnie Złym Samarytaninem i szydzą ze mnie. Nie spocznę, zanim nie udowodnię całemu światu, że Szymon z Samarii może dokonać większych cudów niż ich mistrz zmarły na krzyżu w Jerozolimie.

Palce cesarza skubały podbródek, jakby mu brakowało kasztanowej brody, którą przed niedawnym czasem poświęcił nożycom tradycji. Zwrócił wzrok na Petroniusza.

- Jak sądzisz? - spytał. - Czy jesteś za rozgrywką, mój Petroniuszu, której on tak zapamiętale się domaga?

Sybaryta nie wyglądał na bardzo przejętego.

- To może być nawet zajmujące, cezarze - odparł obojętnie.

Przysadzisty mężczyzna o smolistych brwiach, ubrany z jeszcze większą próżnością niż Petroniusz i nadmiernie obwieszony klejnotami, zjawił się po lewej stronie imperatora i zaczął mu szeptać do ucha.

- Trzeba dobrze wykorzystać ten zamysł, cezarze. Może to wyciągnąć przywódców tej kłopotliwej sekty z ich nor. Wiesz, jak bardzo się powiększa ich liczba, i jak potajemnie rozszerzają swe sieci.

- Masz rację, Tygellinie - cesarz nadal uciskał nerwowymi palcami wygoloną brodę. - Są wszędzie wokół nas. Ryją w ziemi jak krety. Przerażają mnie, bo nie wiem, czego chcą. Tak, wyciągnijmy ich z nor. Wybadaj, Tygellinie, tego osobnika, jak sobie wyobraża ową rozgrywkę.

Prefekt gwardii pretoriańskiej wystąpił do przodu i stanął przed magiem.

- Szymonie z Gitty - przemówił autorytatywnym tonem - powiedz nam, kim są ci

przywódcy chrześcijan?

- Ich uznany przywódca, człowiek z Galilei, jest tutaj w Rzymie. To ubogi rybak. Ma na imię Szymon, ale nazywają go Piotrem. Mówi się o nim, że gdziekolwiek padnie jego cień, chorzy są uzdrowieni, a chromi chodzą prosto. Mówi się, że w Liddzie wskrzesił z grobu kobietę imieniem Dorkas. Jest niby skromnym człowiekiem, lecz ma w głowie nader śmiały plan: uczynić z Rzymu ośrodek Kościoła chrześcijańskiego. Wezwij tego Szymona, zwanego Piotrem, aby się stawił przed cesarzem i udowodnił posiadanie tej mocy, jaką sobie przypisuje. Niechaj ożywi zmarłego.

Blisko osadzone oczy Tygellina były weń utkwione z głębokim namysłem.

- A czego ty możesz dokonać, Szymonie z Gitty? Czy też potrafisz ożywić zmarłego?

Szymon znów wzniósł ramiona.

- Oznajmiam wobec cezara i tych wszystkich, którzy siedzą u jego stóp: żaden człowiek nie może przywrócić życia zmarłemu. Ja, Szymon z Gitty, tego nie potrafię. Wyzywam owego chełpiącego się swą mocą człowieka, Piotra, aby wystąpił i dokonał tego czynu.

- Co zatem zamierzasz uczynić?

Szymon skierował odpowiedź wprost do cesarza.

- Czy ludzie potrafią latać jak ptaki? Żydzi wierzą w zgraję duchów zwanych przez siebie aniołami. Ci aniołowie mają wielką moc, ukazują się na niebie i znów znikają. Ich skrzydła są potężniejsze od skrzydeł najsilniejszego orła. Możliwe, że aniołowie istnieją i potrafią latać. Ale czy ludzie mogą latać?

Neron zwrócił się do Petroniusza po swojej lewicy:

- Powiedz mi, Petroniuszu, czy ludzie kiedykolwiek latali?

Przywódca sofistów najwyraźniej nie był zainteresowany całą tą sprawą.

- Opowiadano o ludziach, którzy latali, ale nie sądzę, aby to była prawda. Z całą pewnością nikt nie widział, jak wznosili się w powietrze.

- Ja będę latał! - zawołał Szymon. - To właśnie proponuję. Zbuduję wieżę, wieżę wyższą niż jakikolwiek budynek Rzymu. Zbuduję ją w miejscu, które będzie uznane za najlepsze. Jeśli cezar udzieli swego dostojnego pozwolenia, chciałbym ją umieścić w cesarskich ogrodach, aby władca całego świata mógł obserwować mój wyczyn bez żadnej fatygi. Z wierzchołka tej wysokiej wieży skoczę w przestrzeń i polecę nad Rzymem. - Przerwał i rozejrzał się wokół błyszczącymi oczami. - Wzywam Szymona, zwanego Piotrem, aby poleciał tak, jak ja polecę, na oczach całego Rzymu, wysoko w powietrzu, bez żadnych skrzydeł do podtrzymania, bez niczego poza boskim duchem ożywiającym ciało.

Młody cesarz wysłuchał tej przemowy z widocznym podnieceniem. Przechylił się do przodu, aby obserwować Szymona. Oczy zdawały się wychodzić mu z orbit, a ręce mocno ściskały

kolana.

- Buduj swą wieżę, Szymonie Magu! - zawołał. - Buduj ją tutaj, w ogrodach mego pałacu i zrób to szybko. Będę czekał na tę rozgrywkę z największą niecierpliwością.

5

Bazyli, wciąż zajęty swą pracą, zdawał sobie jednak sprawę, że zachowanie gości cezara stopniowo coraz bardziej się pogarszało. W sali bankietowej działy się rzeczy nie do wiary, gesty i pieszczoty, którym nikt, z wyjątkiem osób najbardziej cynicznych, nie mógł się przyglądać bez uczucia wstydu. Koncentracja na pracy, w tak niezdrowej atmosferze, stała się dla niego niemożliwa. Zebrał wszystko w niebieskie płótno i ruszył w stronę wyjścia. Zabłądziwszy kilka razy odnalazł wreszcie drogę do korytarza prowadzącego do jego pokoju.

Odkrył ze zdziwieniem, że pali się w nim światło. Przystanął w drzwiach i zajrzał do środka. Oliwna lampka na podstawce z brązu słabo oświetlała pokój, a w kątach zalegał cień. W mroku zobaczył Helenę przyglądającą mu się w napięciu.

- Czekam na ciebie - odezwała się.

Bazyli wszedł powoli do pokoju z uczuciem ogromnego zakłopotania. Miał nadzieję, że już nigdy jej nie zobaczy. Był pewny, że nic poza złym samopoczuciem i urazą nie może wyniknąć z tego spotkania, mającego pozór tajemnej schadzki.

Oczy Heleny były tajemnicze i uwodzicielskie. Podniosła rękę zapraszającym gestem, a rękaw palli opadł na ramię. Piękne było ramię, które odsłoniła, chociaż wydawało mu się może odrobinę mniej smukłe niż wtedy, kiedy ją pierwszy raz spotkał w Jerozolimie.

- Czy widziałeś mnie na dole? - spytała.

Zaprzeczył. Szymon był zawsze w kręgu jego widzenia, ale jej nie dostrzegł.

- Ja ciebie widziałam. Pilnie pracowałeś. Cały czas cię obserwowałam. Mój towarzysz zarzucił mi, że się nim nie interesuję. I tak było. Wcale się nim nie zajmowałam.

- Byłem tam tak długo, jak mogłem. - Bazyli położył płócienne zawiniątko na stole i wyjął z niego model głowy cesarza. Ustawił ją przy lampie. Helena podeszła bliżej, żeby się jej przyjrzeć.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że po raz pierwszy widzę jakąś twoją pracę? - Wstrzymała oddech. - Podobieństwo jest uderzające. Wprost czeka się, że przemówi albo zaśpiewa! - Znów przyglądała się uważnie przez chwilę. - Ciekawe, czy mu się spodoba. Nigdy nie można przewidzieć, co pomyśli, co powie albo zrobi.

W Bazylim z każdą chwilą narastało uczucie zakłopotania. Na każdy odgłos w westybulu wzdrygał się i odwracał. Nie chciał, by mówiono, iż zabrał do swego pokoju tę piękną i niebezpieczną kobietę.

Helena dostrzegła jego zmieszanie.

- Nie trzeba, by myślano, iż mamy tutaj schadzkę. Usunę niebezpieczeństwo, mój ty bojaźliwy, widzisz? - Wyciągnęła rękę ku lampie. Była to gliniana lampa, która miała szczelnie osłonięty knot. Jej palce umiejętnie zgasiły płomień i ciemności spowiły pokój.

- Tak będzie lepiej, miły Bazyli. - Jej głos brzmiał jakby z oddali, chociaż nie słyszał, by odchodziła. - Siedzę tutaj, na łożu, na twoim niepokalanym łożu. Chodź, jest tu i dla ciebie miejsce. Możemy usiąść wygodnie i rozmawiać tak cichutko, że nikt nas nie usłyszy.

Pozostał tam, gdzie był.

- Muszę ci o czymś powiedzieć. Wysłuchaj i postaraj się zrozumieć.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Potem ona się odezwała już zupełnie innym tonem, pozbawionym osobistych odczuć.

- Zanim porozmawiamy... o nas, jest coś, co chciałabym z tobą przedyskutować. Czy słyszałeś, co Szymon powiedział cezarowi?

Ponieważ Szymon przemawiał po łacinie, Bazyli nie zrozumiał ani słowa. Nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby mu pomóc, więc nie przerywał pracy podczas całej przemowy. Wyjaśnił to Helenie, ona zaś przedstawiła pokrótce istotę propozycji Szymona.

- Uważam, że Szymon zwariował - zakończyła. - On ma pewne plany związane z tym, co powiedział dzisiejszego wieczoru. Obawiam się, że to szalone plany. Musisz wiedzieć, że on naprawdę potrafi przelecieć z wierzchołka wieży na ziemię. Mamy to opracowane. Są na to sposoby. - Przerwała na chwilę, Bazyli słyszał, że oddycha ciężko, jakby była podniecona i rozgniewana. - Ale czy on zamierza posłużyć się tym, co zostało przygotowane? Mam wątpliwości i to doprowadza mnie do szaleństwa. On myśli, że uda mu się wzlecieć bez pomocy żadnego mechanizmu.

- Nikt, poza Jezusem i świętymi aniołami, nie może latać - oznajmił Bazyli.

Helena jeszcze dobitniej wyraziła swoją opinię w tym względzie.

- Nikt nie potrafi latać. Jeśli ten chorobliwy stan będzie się w nim umacniał, muszę poczynić pewne kroki. Nie mam zamiaru przyglądać się bezczynnie i patrzeć, jak on wszystko niszczy. Może zdobyć tutaj wielką fortunę dla siebie i dla mnie. Ale co mnie jeszcze więcej niepokoi, to obawa, że i ja będę wciągnięta w jego upadek. Jeśli ma przeprowadzić rozgrywkę z chrześcijanami, musi zwyciężyć albo narazi się na gniew cezara. Nie chcę być w pobliżu, jeśli Szymon przegra.

- On na pewno przegra! - powiedział Bazyli z przekonaniem. - Bóg to sprawi. Jahwe nie pozwoli, aby udał się ten niegodziwy zamysł. Musisz natychmiast stąd odejść. Uciekaj, zanim nie jest za późno.

- Mogę obrać inną drogę. Jeżeli Szymon nie odzyska rozumu, można go zdemaskować. Jestem gotowa w razie konieczności pójść do cesarza i powiedzieć mu, że Szymon przegra, o ile da mu się wolną rękę. Mogę też pójść do przywódców chrześcijan i opowiedzieć im wszystko... o zrobionym przez nas mechanizmie.

Bazylemu trudno było uwierzyć, że jest gotowa, bez żadnych skrupułów, zdradzić swego pana. Szymon podniósł ją z najgłębszych nizin, wykształcił, dał jej możność rozwinięcia umysłu i urody.

- Heleno! - zaprotestował. - Chyba nie mówisz tego poważnie. Nie wolno ci myśleć o zdradzeniu twego dobroczyńcy.

- Mój dobroczyńca? - roześmiała się gorzko. - Jesteś niewiniątkiem, nie znasz zwyczajów tego świata. Czy nie sądzisz, że zapłaciłam wysoką cenę za wszystko, co ten samarytański oszust dla mnie zrobił? Niczego mu nie zawdzięczam. Absolutnie niczego. Lecz nie o to tu chodzi. Jestem przekonana, że ogarnia go szaleństwo. Mówi dziwne rzeczy, a błysk w jego oczach przyprawia mnie o drżenie. Dlaczego miałabym płacić za skutki jego szaleństwa?

- Po co mi to wszystko mówisz?

- Bo chcę, żebyś zrozumiał. Może mi być potrzebna twoja pomoc. Może nadejść czas, kiedy będę musiała powiadomić chrześcijańskich przywódców. Ale... - dodała pośpiesznie - na razie nie chcę robić żadnych posunięć. Jest jeszcze szansa, że uda się go powstrzymać. Mogłabym bez ryzyka podsunąć cesarzowi myśl, że to ja polecę zamiast Szymona. Ależ tak, potrafiłabym to zrobić. Umiem posługiwać się zrobionym przez niego mechanizmem. Może nawet lepiej od niego. Czy kobieta nie może być wielkim magiem?

- Teraz ciebie podejrzewam o szaleństwo.

- Mój umysł nigdy nie był jaśniejszy ani pewniejszy. Istnieją oczywiście rzeczy, których ja nie mogłabym dokonać, a które są łatwe dla Szymona z racji jego silnych ramion i wielkiej wytrzymałości. Ale są też takie, które ja mogłabym wykonać o wiele lepiej. Mogłabym lepiej latać. Bazyli, ja mogłabym latać tak pięknie, jak te ciekawe istoty zwane aniołami, w które, jak podejrzewam, ty wierzysz. Mam jednak lęk wysokości. Moje ciało się kurczy, kiedy pomyślę o skoku w dół z wierzchołka wieży. To tak jakby umierać sto razy. Ale zrobiłabym to!

- Wybij sobie z głowy takie myśli!

- Czy nie zdajesz sobie sprawy, że miałabym do zaofiarowania publiczności coś, czego nigdy nie dał żaden magik? Urodę i powab. Mogłabym sprawić, że magię tworzyłaby romantyczność i czar, zamiast strachu i paniki. No, trochę strachu też by pozostało.

- Heleno, ty mnie przerażasz. Pojmą cię i ukamienują na śmierć jako czarownicę.

- Czy ukamienowano kiedykolwiek na śmierć piękną czarownicę? - roześmiała się

beztrosko. - Zachowują to dla starych i brzydkich. - Potem z jej głosu wyczytał, że jest niespokojna i mniej pewna siebie. - Ale ty, być może, nie uważasz mnie za piękną? Myślę, że tak właśnie jest, bo wciąż stoisz tak daleko ode mnie. A tutaj, w ciemności, jest miejsce obok mnie, czekające na ciebie. Bazyli, wysłuchaj mnie uważnie, proszę cię o to. Ponieważ zachowujesz się tak dziwnie i chłodno, zmuszona jestem ci coś wyznać. Dałam ci napój miłosny. Dwukrotnie. Czy coś podejrzewałeś?

- Zastanawiałem się.

- Tak bardzo pragnęłam zdobyć twoje oddanie! Wyznam ci wszystko. To były najmocniejsze eliksiry, jakie można przyrządzić. Wszystko było zgodne z sekretami, jakie posiada Szymon. Składniki drobiazgowo przygotowane i zmieszane z winem w najdokładniejszych proporcjach. Wypowiedziane nad nimi słowa miały wywołać czary. Robiłam wszystko z drobiazgową dokładnością. Żadne pasemko włosów na mojej głowie nie splątało się z innym. Miałam na sobie tylko ubiór z płótna o prostych fałdach, bez żadnych zagięć i węzłów. Bałym boso. Oba kielichy sama ci podałam, ujęłam je ciasno dłońmi mając nadzieję, że miłość, którą do ciebie czuję, przepłynie przez czubki moich palców do wina, i że ty poczujesz to samo do mnie. Czy myślisz, że eliksir zawiódł? Nie, on nie zawiódł. Widzę z każdą chwilą coraz jaśniej, kiedy tam stoisz sam jeden, że zawiódł, jeśli chodzi o ciebie, ale obawiam się, że czary zadziałały w odwrotnym kierunku. One odbiły się od ciebie, a ja stałam się ich ofiarą. To mnie uwięziły miłością do ciebie.

Zapomniała o potrzebie ostrożności, a jej głos stawał się coraz bardziej histeryczny.

- Bazyli, wszystko ci wyznałam, gdyż tęsknię do... przynajmniej cząstki twego przywiązania. Czy to nie zrobiło na tobie wrażenia? Postanowiłeś być chłodny i wyniosły i stać tam z dala ode mnie? Czy moje wyznanie, tak pokorne, nie sprawiło, że zapragnąłeś znaleźć się bliżej? Jest akurat dość miejsca, abyśmy mogli siedzieć obok siebie. - Zamilkła na chwilę. - Wygląda na to, że oczekiwałam zbyt wiele. Nie ruszasz się z miejsca. Nic nie masz mi do powiedzenia. Czy to znaczy, że chcesz, abym odeszła?

- Tak, chcę, żebyś odeszła. - Usiłował sformułować słowa, które sobie przedtem przygotował. - Heleno, chcę, żebyś zrozumiała jedno: wysiłek całego mego życia nie okupi tego, co zawdzięczam mojej żonie i pamięci jej dziadka, który tyle dla mnie uczynił. Moje wyzwolenie z niewolnictwa, danie mi szansy powodzenia, spokój umysłu, miłość i szczęście, to wszystko im zawdzięczam. Nawet gdybym nie kochał swojej żony, mam wobec niej zobowiązania na resztę życia. Ja jednak ją kocham. Kocham ją tak bardzo, że jej obraz będzie wypełniał moje serce, jak długo będę żył. Kocham ją tak bardzo, że nie chcę, aby w jej łagodnych oczach pojawił się choćby cień wątpliwości albo cierpienia.

Żaden dźwięk nie zakłócał ciszy. Wyciągnął rękę po ciemku i natrafił na lampę. Obok stał przyrząd do zapalania, dość skomplikowany, ale udało mu się trafić pręcikiem z wawrzynu w miękki rdzeń drzewa bluszczowego i naciągnąwszy łuk, wprawić go w ruch obrotowy. Powstała iskra, która wpadła do pojemniczka na rozpałkę z mieszaniną wysuszonych grzybów i zwęglonego płótna. Pojawił się płomyk, który podniósł do knota lampy.

Okazało się, że Helena już wyszła. Nie wiedział, czy była dość długo, aby usłyszeć, co mówił.

Rozdział XXVIII

1

Septimus Rulianus patrzył na popiersie Nerona, nad którym Bazyli pracował bez wytchnienia przez trzy kolejne dni, a potem powtórzył komentarz, jaki wypowiedziała Helena.

- Zastanawiam się, czy będzie zadowolony. Podobieństwo jest nadzwyczajne, ale rzeźba ma w sobie cień zła. Uchwyciłeś doskonale ten rys chytrości, który ożywia dostojne oblicze. Jednak jest w nim również i ślad geniuszu, co być może oczy cezara wykryją. Pod tym względem ma bystre oko. No cóż, zaniosę mu popiersie na oględziny, dopiero potem wszystkiego się dowiemy. Oto moja rada: wyjdź na powietrze i raduj się jedyną dobrą rzeczą w tej cuchnącej, walącej się, koszmarnej króliczej norze, mianowicie pięknem ogrodów.

Bazyli, zanim zastosował się do tej rady, odszukał Dariusza, który był jednym z nielicznych ludzi poleconych mu przez wielkiego Selecha. Dariusz kierował rozrywkami pałacowymi i Bazyli znalazł go w dużej, przewiewnej sali, która, jak wywnioskował, stanowiła ongiś salę przyjęć. Obecnie korzystali z niej młodzi, energiczni ludzie o ramionach jak u goryli i nogach koni wyścigowych. Huśtali się na linach zawieszonych u sufitu, przerzucali się w powietrzu z jednej poręczy na drugą albo wywracali podwójne koziołki i tarmosili się nawzajem z lubością. Byli tam i żonglerzy, utrzymujący w powietrzu miecze, metalowe dyski i talerze z porcelany oraz tancerze wykonujący skomplikowane ewolucje.

Dariusz, którego łysa głowa przypominała jajo wielkiego afrykańskiego ptaka, opowiadał Bazylemu o swych kłopotach.

- Niełatwo jest zadowolić cezara. Wciąż chce czegoś nowego. Ostatnim razem, kiedy wystąpili akrobaci, powiedział do mnie: “Na Tyberiusza” - on zawsze powołuje się na swych przodków: na Augusta, na Klaudiusza, na Kaligulę, a tym razem wybrał Tyberiusza - “na Tyberiusza, nie cierpię akrobatów. Mają świńskie twarze. Wolałbym już oglądać zapaśników o wielkich, pokrytych łojem brzuchach. Wyprowadź tych akrobatów i roztrzaskaj ich puste czaszki o najbliższy mur.” Na szczęście wciąż jeszcze lubi żonglerów, a ja mam akurat niezły zespół. Lubi tancerzy, a jest o nich trudno, bo sztuka taneczna wielce podupadła w Rzymie od czasu, jak Cycero powiedział: “Nikt trzeźwy nie tańczy.” Tańczą tylko zawodowi tancerze, ale oni poruszają się w sposób sztywny i nieciekawy. Odtwarzają w pantomimie sceny z historii. Spójrz na tych tam, w rogu. Czy widziałeś kiedykolwiek coś równie sztucznego i bez polotu?

Bazyli popatrzył we wskazanym kierunku i powiedział:

- Widzę tam jedną tancerkę, która tańczy ładnie i z polotem. Tamta dziewczyna.

Przyciągnęła od razu jego uwagę, ponieważ w całej grupie śniadych tancerzy ona jedna

miała włosy jak blask księżyca. “Pewnie ma niebieskie oczy”, pomyślał. Tańczyła radośnie, czego brakowało innym.

- To Juli-$juli - powiedział Dariusz. - Zaręczam ci, że jest inna i wiążę z nią wielkie nadzieje. Żadna Rzymianka nie tańczy zawodowo, musimy opierać się na mężczyznach, ale tak się składa, że Juli-$juli ma w sobie obcą krew i jej wolno tak... tak się poniżyć. Jakie szczęście! Odniesie kiedyś wielki sukces. - Podniósł głos: - Juli-$juli, chodź tutaj.

Dziewczyna zatrzymała się, znieruchomiała na chwilę na bosych palcach, a potem poszybowała w ich stronę. Uśmiechnęła się do Dariusza (Bazyli miał rację, jej oczy były zdumiewająco błękitne) i powiedziała coś miękkim, płynnym głosem. Szef rozrywek spoglądał na nią z serdecznym błyskiem w oczach.

- Chcę, żebyś zatańczyła dla tego młodzieńca. On ci nic nie powie, gdyż nie zna naszego języka.

Dziewczyna rzuciła spojrzenie na Bazylego.

- Żałuję, że nie mogę porozmawiać z tym młodzieńcem, panie. Tak miło wygląda!

- Jest bardzo miły, ale ma piękną żonę, a co więcej, jest bardzo poważnym, młodym człowiekiem. Znajduję u ciebie tylko jedną wadę Juli-$juli: powinnaś być trochę poważniejsza. Podejrzewam nawet, że jesteś zanadto zalotna.

- Tak, panie. Czy to źle?

- W niebie nie będzie flirtów - oznajmił mistrz rozrywek z nagłą powagą.

Juli-$juli wyglądała przez chwilę na zrozpaczoną. Potem skinęła głową i uśmiechnęła się. - Toteż, jeśli mogę być zalotna, to powinnam czynić to za życia. - Znów spoważniała. - Mistrzu, jestem młodą niewolnicą. Chyba należą mi się jakieś przyjemności?

Dariusz powrócił do rozmowy z Bazylim, przechodząc z powrotem na język grecki.

- Jej ojcem był Got. Matka była Rzymianką, bardzo miłą i delikatną kobietą. Dziewczyna należy...

Bazyli zniżył głos do szeptu.

- Czy chcesz powiedzieć, że jest chrześcijanką?

- Tak. Nadzwyczaj gorliwą. Jest naturalnie niewolnicą, a ponieważ wchodzi w skład służby dworskiej, nie może się spodziewać wolności. Ale brak nadziei na lepszą przyszłość nie wpływa na jej nastrój. Jest zawsze wesoła i tak z tego dumna, że tańczy, jak mały psiak z wielką kością w zębach. - Odwrócił się i pokiwał głową do dziewczyny. - Widzę, że ten młody człowiek uznał cię za ślicznotkę, Juli-$juli. Ale wróćmy do tańca. Pokaż mu, że masz zwinne nóżki i bystry wzrok.

Dziewczyna usiadła na podłodze i z dziecinną beztroską podpięła do góry spódnicę tuniki, ukazując przy tym bardzo zgrabne, białe nogi. Zaczęła naciągać pokrowce z naoliwionej skórki na

drobne, białe stopy. Były tak dopasowane, że wymagały wielu zabiegów, zanim dobrze ułożyły się na stopach. Bazyli spoglądał w dół na jasną chmurę jej włosów, które przyciągały jego uwagę. Wreszcie spytał:

- Ile ona ma lat?

- Piętnaście. Będą wkrótce nalegali, żeby ją wydać za mąż. Mówiono wprawdzie o tym, żeby ją przeznaczyć na nagrodę w walce gladiatorów, ale mam nadzieję uratować ją od tego losu, pokazując im, że jest zbyt cenną tancerką, aby ją obciążać macierzyństwem.

Dziewczynka skoczyła na nogi, szurnęła nimi, żeby się przekonać, czy pokrowczyki leżą jak trzeba.

- Cieszę się, że zatańczę dla niego, mistrzu. - Rzuciła Bazylemu spojrzenie na pożegnanie. - Vale! (łac. - żegnaj!) - zawołała i wpadła w taneczny rytm. W jej sposobie tańca nie było nic statecznego ani sztywnego. Lekka jak mgiełka, zdawała się unosić nie dotykając posadzki. Słońce, wlewające się przez jedno z okien, pochwyciło złociste błyski w jej włosach i sprawiło, że Bazyli powiedział:

- Jest jak pierwiosnek kołysany wiatrem.

Dariusz posłał jej ręką pocałunek.

- Ona tańczy - zadeklamował - jak promyk księżyca, jak nimfa leśna. Widzisz ją teraz w wyjątkowo poważnym nastroju. Stara się zrobić na tobie wrażenie, bo uznała ciebie za kogoś miłego. Ma też w sobie dryg do błaznowania i kiedy jest w dobrym nastroju, odtwarza awanturnicze scenki. Nikt się jej wtedy nie oprze! - Przerwał i popatrzył rozpromieniony na swego gościa. - Selech i ja planujemy jej pierwszy oficjalny występ. Nie, jeszcze nie tańczyła dla dworu, chroniłem ją. Musisz tam być, kiedy ona wystąpi.

Ogrody płonęły jaskrawą czerwienią wczesnej jesieni. Rosły tu potężne kanny, wysokie, szkarłatne i majestatyczne, jak prawdziwy kwietny symbol cesarstwa; dzikie jaskry, kwitnące pod murami albo w cieniu drzew, gdzie ostre słońce nie mogło ich dosięgnąć; pałające krzewy landamunu. Bazyli, spacerując po zacienionych ścieżkach, odnosił wrażenie, iż przy każdym krzewie pracuje jeden niewolnik, że na każdy kwadratowy metr powierzchni przypada jeden szpadel. Ci milczący robotnicy, noszący cesarskie krążki metalowe wokół szyi, spoglądali na niego z tlącą się w oczach nienawiścią, tak jakby i on należał do okrutnych właścicieli, trzymających ich w łańcuchach; nigdy jednak ani na chwilę nie odrywali się od pracy.

Szedł, rozglądając się za rzędem drzew, o których wspominał Septimus. Błądził wiele razy, idąc wzdłuż zielonych alejek wysadzanych oleandrami i jarzących się czerwienią kwiatu szałwi, przemierzał kolczaste labirynty, aż natrafił wreszcie na sznur wysokich drzew. Aleja zaczynała się, jak powiedział Septimus, zwartą masą krzewów osłaniających basen Poppei (który jeszcze lepiej

odgradzali paradujący eunuchowie z wyciągniętymi mieczami) i prowadziła wprost na wschód. Szedł z wolna w cieniu wysokich drzew co najmniej dobrą milę, aż wreszcie dotarł do punktu, skąd zobaczył mur z ciemnego, popękanego kamienia. Miał wysokość fortecy, a wzdłuż jego szczytu chodzili tam i z powrotem strażnicy z włóczniami na ramionach. Przy końcu rzędu drzew rosły zwartą masą krzaki, za którymi znajduje się zapewne ów otwór w murze, który opisał młody Rzymianin. Bazyli zaczekał, aż najbliższy strażnik odwróci się plecami, a potem skoczył w poszycie zarośli.

I rzeczywiście znalazł otwór u podstawy muru, niemal całkowicie ukryty pod wieloletnią stertą liści i wdzięcznym pióropuszem paproci. Uklęknął i odsunąwszy listowie wsadził w otwór głowę i ramiona. Ledwo się weń zmieścił i pomyślał, że jeśli konieczność szybkiej ucieczki wprowadzi go do tego tunelu, będzie dla niego szczęściem, że ma płaski brzuch. Po drugiej stronie zobaczył paprocie, brązowe liście i zaledwie odrobinę dziennego światła.

Wycofał się ostrożnie pod osłoną krzaków z uczuciem satysfakcji. Jak dobry generał, miał przygotowaną linię odwrotu. Wzdrygnął się myśląc: “Ciekaw jestem, czy w tym tunelu są węże?”

2

Septimus czekał już w sypialni, kiedy Bazyli wrócił z wędrówki po ogrodzie. Rzymianin podał mu nową tunikę, mówiąc:

- To dar od cezara.

Był to najwspanialszy strój, jaki Bazyli kiedykolwiek widział. Uszyty z mięsistego brokatu w kolorze ametystu, był obficie i wspaniale haftowany w jasnobłękitne i srebrzystoszare wzory. Jak się okazało, na całość stroju składał się jeszcze srebrny, rytowany pas i srebrzysta szarfa na ramiona. Były jeszcze nagolenniki z szarej skóry, która opinała nogi tak dokładnie, jak przylegający do ciała jedwab.

- Dlaczego tak mnie zaszczycono? - spytał Bazyli.

Septimus uśmiechnął się.

- Podejrzewam, że mu się spodobało to, co wykonałeś. Nie zwierzał mi się, ale łatwo to wywnioskować. Otrzymałem rozkaz, aby cię przystroić w to wesołe upierzenie i doprowadzić przed jego oblicze. Jest i bransoleta na twoje ramię. - Wydobył przedmiot, o którym wspomniał i z podziwem zaczął go oglądać. - Szeroka na trzy cale i z litego srebra! Nosi się ją na górnej części ramienia. Czy widzisz tę obwódkę z ametystów?

Kiedy Bazyli przystroił się w dary od cesarza, Septimus obejrzał go, uśmiechając się smutno.

- Teraz ta nędzna, stęchła wrona, czyli ja we własnej osobie, poprowadzi cię przed oblicze

Majestatu. Czy nie poczujesz się dotknięty, Artysto Wschodzącej Gwiazdy, że będziesz szedł w towarzystwie tak obskurnego osobnika?

Mówił dalej, kiedy przemierzali sale pełnego przeciągów pałacu, w których odbijało się echo.

- Co pomyśli sobie piękna Poppea o nowym pupilu swego męża? Mówią, że reaguje na atrakcyjnego mężczyznę jak pantera, która skacze wprost z drzewa. Idź ostrożnie, przyjacielu, w tych salach jest pełno pułapek. Zapamiętaj to sobie, szczęśliwcze - ciągnął dalej marszcząc się surowo - nigdy nie zwracaj się pierwszy do Wspaniałości Świata. Czekaj, aż on przemówi, a potem odpowiadaj, no i dobieraj słów, mój dobry chłopczyno, z roztropnością Seneki. Im mniej powiesz, tym mniej błędów popełnisz.

Wprowadził Bazylego do niedużego pokoju, przez który można było wejść do jednej z najokazalszych dworskich komnat. Skromne wyposażenie pokoju było bardzo stare, a na dywanie widniały dziury. Jedyną osobą znajdującą się w pokoju, o ile mógł dostrzec, był chudy, stary mężczyzna w prostej todze, stojący sztywno pod oknem. Zdawał się być czymś bardzo zajęty. Gdzież więc był wielki cezar? Za chwilę miał już odpowiedź: cesarz, wyciągnięty płasko na plecach, leżał na posadzce z rozpostartymi ramionami i nogami. Jego pierś uciskały dwa duże, płaskie kamienie, lecz mimo to oddychał głęboko i lekko.

- Jeszcze jeden kamień, Terpnosie - odezwał się płasko rozpostarty władca świata.

Terpnos, nauczyciel śpiewu, który obecnie zabierał Neronowi tak wiele czasu, popatrzył na swego ucznia z zatroskaną zmarszczką na mocno naciągniętej skórze czoła. - Wątpię w słuszność większego ucisku, dostojny Auguście. - Podszedł bliżej do postaci leżącej na posadzce z zamiarem usunięcia ciężarów, lecz niecierpliwy gest tłustego, nagiego ramienia zabronił mu tego.

- Jeszcze jeden kamień, Terpnosie.

Kamień dodano, a ciężary nadal wznosiły się i opadały zgodnie z cesarskim oddechem.

- Jeszcze jeden!

Głos, jakim odezwał się Neron, był już nie tak silny i równy. Mistrz śpiewu wiedział, kiedy powinien działać. Zamiast usłuchać żądania swego pupila i dodać czwarty kamień na klatkę piersiową jego boskości, usunął te, które już tam leżały.

- Twój głos osiąga doskonałość - powiedział z pedantyczną surowością. - Nie wolno jej popsuć, posuwając się za daleko.

Neron usiadł na posadzce. Był zasapany, a nawet drżał lekko. Nie zwrócił żadnej uwagi na Bazylego, który stał w zakłopotaniu z boku; wyglądało na to, że z rozmysłem starał się zrobić wrażenie, umyślnie zachowując się tak, jakby był nieświadomy czyjejś obecności. Dalej prowadził rozmowę ze starym nauczycielem, chociaż teraz używał języka greckiego.

- Masz rację Terpnosie. Skłonny jestem wpadać w krańcowość, to moja słabość. Tak, mam słabostki, Terpnosie, tak jest z całą pewnością. Muszę się nauczyć słuchać i nie kwestionować.

Po paru chwilach przyszedł do siebie na tyle, że stanął na nogi i zaczął powoli robić ćwiczenia ramion. Posapując z lekka, odezwał się:

- Jestem pewien, Terpnosie, że nikt na świecie nie dorówna mi, jeśli chodzi o prężność klatki piersiowej.

- Nie należy rozmawiać w czasie ćwiczeń - odparł z rozdrażnieniem nauczyciel śpiewu. - Czy wolno mi zwrócić uwagę, cezarze, że już wiele razy o tym wspominałem? - Dopiero potem dał pożądaną odpowiedź. - Dobrze byłoby zmierzyć obwód klatki piersiowej niektórych najsilniejszych gladiatorów. Skłonny jestem przypuszczać, panie, że prężność twojej przewyższa każdą inną, nawet Sisynnesa Niezwyciężonego.

Nauczyciel i jego królewski uczeń przeszli do kolejnej fazy dziennego rytuału. Terpnos szybkimi i nerwowymi ruchami starej kwoki wziął rozpylacz, żeby wpuścić aromatyczny płyn w dostojne gardło. Potem maścią wymasował gardło i pierś szybkimi, zręcznymi ruchami palców. Klaśnięcie w ręce sprowadziło do pokoju trzech muzykantów i dobosza. Terpnos nucił coś, aż pochwycił prawidłową wysokość tonu głosu cezara, a potem nasłuchiwał z przechyloną głową, podczas gdy flety i kitara towarzyszyły królewskiemu głosowi, przebiegającemu skalę głosową tam i z powrotem, zaś bęben włączał się z regularnym rat-tat.

Bazyli, godząc się z narzuconą sobie rolą widza, był zdumiony skalą i barwą głosu Nerona. Ludzie od dawna wyśmiewali się z tego cesarza, który chciał występować publicznie jako śpiewak. Mówiono, że może się jedynie popisać skrzekiem amatora. Było jednak oczywiste, że posiada głos, który gwarantuje osiągnięcie dobrych rezultatów przy tak usilnych ćwiczeniach. Mocny tenorowy głos o pełnym brzmieniu, czysty w górnych tonach, zabarwiony łagodną świeżością.

Neron, przebiegając gamy tam i z powrotem zgodnie z ruchem wyciągniętego ramienia Terpnosa, dał wreszcie do zrozumienia, że jest świadom swego jednoosobowego audytorium. Kątem swych małych i chciwych oczu obserwował Bazylego i brał pod uwagę jego reakcje. Kiedy wydobywał specjalnie wysoką nutę, w jego oczach pojawiał się błysk, i jasne było, że chciałby powiedzieć: “Co myślisz o tym, kolego artysto?” Świadomość obecności niemego słuchacza dała mu okazję do odgrywania roli, przybierania póz podczas śpiewu, malowniczego gestykulowania rękami. Głos dorównywał tym staraniom i wywoływał dodatkowy efekt. Naraz wypadł z tonacji i sfałszował. Chciał odzyskać ton i z wigorem wydał dźwięk, który się zakończył nieomal śmiesznym piskiem.

- Dosyć! - zawołał Terpnos. Stary nauczyciel był pełen skruchy i żarliwie przepraszał. - To z mojej winy. Zbyt długo przeciągałem pracę. Ale, cezarze, byłeś w tak wyjątkowej formie, że nie

mogłem się pogodzić z zakończeniem lekcji. Przeciągałem ją ponad miarę. Powinienem ponieść karę za mój egoizm.

- Część winy ja ponoszę - przyznał Neron. - Nazbyt jestem chętny. Spodziewam się zbyt wielu cudów po moim głosie. Mistrzu, przyznaję, że chciałem się popisać.

Po następnym klaśnięciu Terpnosa pojawiło się parujące naczynie, duża, srebrna łyżka i uperfumowany ręcznik. Zapach smażonej cebuli napełnił pokój.

- Czy to konieczne, Terpnosie, czy muszę?! - zawołał Neron żałosnym tonem. - Wiesz, jak bardzo nie cierpię cebuli. To wymaga takiego wysiłku woli, żeby ją przełknąć! Okrutny ciemięzco, czy nalegasz, abym zjadł tę wstrętną papkę, bo jest dobra dla mego głosu?

- Nalegam, cezarze.

- Bardzo dobrze. - Przyjmując to polecenie z nagłą i zupełną dobrodusznością, królewski uczeń usadowił się przed naczyniem z cebulami i zaczął zajadać, robiąc nawet wrażenie, że sprawia mu to skrytą przyjemność. Kiedy ostatni oleisty płatek przeszedł przez królewskie gardło, wstał i starannie wytarł usta i palce w perfumowany ręcznik.

Potem się odwrócił i pogroził Bazylemu palcem.

- Wyciągnij z tego lekcję dla siebie! - zawołał. Było w nim co wystudiowanego, tak jakby przygotował zawczasu w swym umyśle to, co zamierzał powiedzieć. - Jeżeli ja, cesarz, muszę się poddać tyranii ćwiczeń, ja, z moim głosem darowanym mi przez bogów, będąc tak bardzo obarczony troskami i odpowiedzialnością, które ciążą mi na karku nie mniej od kamieni ustawionych na mej piersi; jeśli ja się poddaję z takim poświęceniem, to na co ty powinieneś być przygotowany? Ty również posiadasz dar. Tak, masz cenny dar. Ty także możesz się przyczynić do rozwoju sztuki, jeśli jesteś gotów zapłacić odpowiednią cenę. Skorzystaj więc z tego, co dziś widziałeś.

- To, zaprawdę, była wielka lekcja, o cezarze, której nigdy nie zapomnę - powiedział Bazyli.

- A teraz - zawołał cesarz - wezwijcie Petroniusza. Mam coś do powiedzenia i chcę, aby to usłyszał.

Wejście Petroniusza poprzedzone było wniesieniem popiersia cesarza, które zrobił Bazyli. Ustawiono je na stoliku w rogu komnaty. Neron spojrzał na nie i zrobił władczy gest ręką.

- Mój przyjacielu, Petroniuszu - odezwał się do wchodzącego - polegam na tobie w sprawach bliskich memu sercu. Jesteś moim niezawodnym nauczycielem i cierpliwym przewodnikiem. Chcę ci teraz coś powiedzieć. Mam zwyczaj odwoływać się najpierw do twego sądu, czekać aż ty przemówisz. Ale ten jeden raz, Petroniuszu, przemówię pierwszy. Zwróć uwagę! Oznajmiam, że ta moja podobizna, wykonana przez młodego artystę ze Wschodu, jest arcydziełem! Jest w niej siła i wierność. Jestem ukazany nie jako boskość na wysokim piedestale, lecz jako

człowiek, żywy człowiek, Petroniuszu, człowiek, który kocha i nienawidzi, walczy i cierpi. Przyjrzyj się dobrze. Zabraniam ci sądzić inaczej.

Petroniusz stanął przed popiersiem i oglądał je pod różnymi kątami. Po kilku chwilach milczącego wpatrywania się, podczas których stojący za nim Neron, pewny siebie na zewnątrz, denerwował się w duchu, jego mentor i przewodnik obrócił się.

- Masz rację - oznajmił. - Twoje oczy, cezarze, uwydatniają na tym popiersiu wszystkie godne podziwu cechy. Nie jest ono doskonałe. Ma usterki zarówno w koncepcji, jak wykonaniu. Jest to jednak dzieło wybitne i to wpłynęło zarówno na mój przychylny osąd, jak i na twój. - Popatrzył raz jeszcze, ściągnąwszy z namysłem wargi. - Uważam to za rzecz ważną, gdyż może dać początek nowemu kierunkowi. Jest w tej pracy nowe podejście, przekaz zgodny z rzeczywistością, jak to wnikliwie oceniłeś. Tych cech nie znajdzie się w konwencjonalnych pracach innych rzeźbiarzy. Tak, cezarze, być może mamy przed sobą pierwszy egzemplarz nowej szkoły rzeźby.

- Wiedziałem, że tak jest! - zawołał cesarz. Był bezgranicznie uradowany aprobatą Petroniusza. Zdawało się, że za chwilę gotów jest puścić się w pląsy z radości. - Natychmiast to zauważyłem. Dostrzegłem to sam, własnymi oczami. Wiedziałem, że patrzę na coś nowego, istotnego, mającego wartość! - Wymachiwał w podnieceniu ramieniem w kierunku Bazylego, który był przyczyną jego zadowolenia. - Artysto, masz tu pozostać. Dar, jaki posiadasz, musi być rozwinięty. Musisz mieć zapewnione odpowiednie warunki. Dzięki twojej pracy pokażę światu, że Rzym staje się prawdziwym ośrodkiem kultury, stolicą artystycznych osiągnięć. Otrzymasz pokoje w skrzydle przeznaczonym dla domowników. Musisz też otrzymać uposażenie. - Wybuchnął głośnym śmiechem. - Byłoby źle, gdybym to przeoczył. Nawet artyści muszą z czegoś żyć! Masz zabrać się od razu do opracowania innych moich podobizn. Chcę siebie widzieć w różnych pozach. Chcę siebie poznać. - Potrząsnął głową z podnieceniem. - Zamierzam zasadzić cię do pracy. Tak, tak, artysto, będę wymagającym, ale sprawiedliwym nadzorcą.

- Nawet wyścigowy koń potrzebuje bata - odezwał się Petroniusz. - Natomiast artystom trzeba mocnej ręki.

- Będziesz czuł moją rękę - Neron rozpromienił się, patrząc na swego protegowanego. - Moje własne, osobiste odkrycie! Mój geniuszek! Już cię polubiłem.

3

Przez trzy tygodnie Bazyli unosił się na grzbiecie fali. Był jednak cały czas świadom tego, że każdy dodatkowy dzień na dworze może oznaczać, że zabraknie go u boku żony, kiedy będzie potrzebowała jego pomocy. Trapił się i wściekał, ale zachowywał swoje troski dla siebie, gdyż było

rzeczą oczywistą, że cesarz nie tylko jest zachwycony jego pracami, lecz z przyjemnością przebywa w jego towarzystwie i ani myśli z nim się rozstawać.

Wykonał jeszcze cztery podobizny Nerona, w tym dwie całej postaci, a cesarz nie żałował pochwał. Dano mu wysoki, przewiewny pokój do pracy, dobrze oświetlony od północy. Jego nowy pan okazał się tak wymagający, że Bazyli nie miał czasu na nic więcej poza pracą. Dwa razy dziennie królewski orszak zjawiał się u niego, by asystować przy pozowaniu: Neron, promieniejący oczekiwaniem, i towarzysząca mu różnorodna asysta specjalnych faworytów, sług, muzykantów i doboszów. Pewnego razu przemówił:

- Mój mały geniuszku, pragnę udzielić ci wszechstronnego poparcia. Musisz mi się odwdzięczyć, wykonując tak wielkie dzieła, żeby cały świat orzekł: “Neron miał rację. To on wynalazł nieznanego artystę. On odkrył w nim pierwiastki wielkości.”

Innym razem powiedział:

- Obaj jesteśmy młodzi, obaj jesteśmy artystami. Mamy aspiracje, cierpimy, dążymy; potrzeba nam pełnej zachęty, jaką możemy pozyskać. Musimy pomagać sobie nawzajem. Będę czerpał inspirację z podobizn wykonanych przez ciebie. Ja zaś natchnę ciebie, śpiewając ci moim złotym głosem podczas pracy.

W wyniku tego pracownię napełniał ustawiczny hałas i zamieszanie. Przebierając wprawnymi palcami po strunach lutni władca świata śpiewał wysokim, melodyjnym głosem, podczas gdy palce Bazylego urabiały wilgotną glinę. Muzykanci nigdy nie ustawali w swych wysiłkach, dobosze niestrudzenie wystukiwali swe rytmy. Wzywano żonglerów do wykonywania sztuk przed cezarem. Przynoszono jedzenie, podawano wino. Fleciści odkładali na krótką chwilę piszczałki, aby zjeść jakiś smaczny kąsek, albo, spragnieni, pociągali łyk wina z pucharów, dobosze zaś potrafili jeść i pić nie przerywając bębnienia. Pewnego razu Neron wezwał zespół tancerzy, aby go zabawili, a oni odtworzyli w pantomimie Bellicrepa Saltatio, oparte na porwaniu Sabinek. Bazylemu trudno się było skoncentrować, kiedy owłosieni tancerze sapali, pocili się i przybierali pozy.

Pewnego razu wszedł do pokoju Tygellin, a za nim jakiś nędzny okaz ludzki, rzucający ukradkowe spojrzenia. Tygellin wdał się w cichą rozmowę z Neronem, a kiedy cesarz przeciwstawiał mu się dość gwałtownie, wezwał tego osobnika, aby przedstawił dowody w omawianej kwestii. Mężczyzna zrobił to, nie ośmielając się podnieść wzroku ponad poziom cesarskich kolan, Neron zaś słuchał z niecierpliwością, która stopniowo zanikała. Na zakończenie rozmowy powiedział głośno do Tygellina:

- Niech więc tak będzie. Ustępuję ci. Ale jest mi ciężko, Tygellinie. Ten człowiek był moim przyjacielem. Lubiłem go.

Wracając do ławy, na której siedział podczas pozowania, cesarz wykazywał jakieś oznaki wzburzenia umysłu. Marszczył się, wciąż zmieniając pozycję, i wyglądał na nieszczęśliwego. W końcu wybuchnął:

- Żałujcie losu tego, kto jest zrodzony do rządzenia! Doniesiono mi, że jeden z moich przyjaciół, którego darzyłem pełnym zaufaniem, działał skrycie przeciw mnie. Jestem zmuszony przystać na propozycję Tygellina. Mój przyjaciel musi umrzeć. - Przerwał i nagle klasnął w dłonie z oznaką zadowolenia. - Muszę wyprzedzić zbyt gorliwego Tygellina! Poślę wiadomość memu przyjacielowi, aby podciął sobie żyły i sam doprowadził rzecz do końca. Tak, to właściwe rozwiązanie tej trudności. Od razu poczułem się lepiej.

Bez przerwy przybiegali i wybiegali sekretarze, zaś cesarz jęczał nad dokumentami, które przynosili i lamentował nad swym ciężkim losem. Czasami machnięciem ręki odrzucał dokumenty i odmawiał ich czytania. Bazyli zastanawiał się, jak państwo może funkcjonować przy tak wielu opóźnieniach. Pod koniec każdego pozowania cesarz odchodził potrząsając głową i narzekając na ciężkie życie tych, co noszą koronę.

- Jak to wszystko wytrzymać? - wykrzykiwał. - Ach, mój mały geniuszku, pożałuj mnie. Jestem człowiekiem nieszczęśliwym!

Bazyli nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo zasmakował we własnym powodzeniu. Trwało to aż do owego wieczoru, kiedy wódz imieniem Flawiusz, który wrócił z udanej kampanii na Wschodzie, zasiadł przy stole cesarza jako gość honorowy. Zwycięzca okazał się prostym żołnierzem w średnim wieku, o twarzy bez wyrazu i polotu. Jadł niewiele, za to pił bez przerwy i widać było, że zdumiewa go wystawność bankietu.

Tego wieczoru Bazyli i Septimus siedzieli obok siebie. Ten ostatni kręcił głową, obserwując zachowanie powracającego wojownika.

- To, co mówią o Flawiuszu, musi być prawdziwe - mruknął. - Mówią, że to człowiek ograniczony, rygorysta i mistrz w sprawach musztry, nic ponadto. Mówi się nawet, że w walce miał do czynienia z głupkami, więc musiał wygrać, nawet gdyby nie chciał.

Zaraz po zakończeniu wyszukanego i długo ciągnącego się posiłku, Neron, bez większego nalegania, zaśpiewał dla swych gości, akompaniując sobie na wielkiej lutni. Był w dobrej formie i ani na chwilę nie stracił panowania nad sobą. Oczywiście kiedy skończył, wybuchła burza oklasków. Królewski trubadur przyjął ten głośny hołd zadowolonym skinieniem swej nadmiernie dużej głowy, a nawet raczył użyć frazy, którą zwykle kwitowali oklaski zawodowi pieśniarze:

- Czcigodni panowie - rzekł z niskim ukłonem - artysta dziękuje wam za waszą uwagę.

Potem odłożył lutnię na bok i zaczął mówić głosem, w którym w miarę mówienia rosło podniecenie. Uwagi odnosiły się wprost do zwycięskiego wodza. Flawiusz słuchał, lecz na jego

twarzy, wypalonej słońcem Wschodu na kolor ciemnej gliny, nie odbiło się żadne wrażenie.

Bazyli nie rozumiał, o czym mówiono. Zaczynał coś niecoś pojmować z języka łacińskiego, ale ta jego znajomość nie dorównywała szybkości słów wychodzących z ust władcy. Zwrócił się więc do Septimusa z pytaniem, o co chodzi.

- Cesarz mówi Flawiuszowi, iż Rzym musi obecnie osiągnąć nowy rodzaj wielkości. Oznajmia, że świat jest już podbity, wodzowie nie mają więc już szansy powiększyć chwały cesarstwa. On, jako bądź co bądź cesarz, doprowadził do nowego podboju: opanowania sztuki i zogniskowania wszystkich twórczych wysiłków tutaj, w Rzymie. Wszystko to pusta gadanina i zjełczały olej cebulowy. Ten biedny Flawiusz ze swoim głupim móżdżkiem nic nie rozumie z tych wszystkich pięknych frazesów, które nasz cesarz przed nim rozwija.

- Wódz wygląda na zakłopotanego - skomentował Bazyli.

- Ja też jestem zakłopotany - przyznał Septimus. - Czy władca świata powinien przedstawiać publicznie tego rodzaju zamysły? Co pomyślą żołnierze na froncie?

Zapał cesarza wzrastał w miarę ciągnącej się bez końca oracji. Zwrócił się teraz w stronę, gdzie siedzieli Bazyli i jego towarzysz, aby wskazać ich palcem. Przez kilka chwil wpatrywały się w nich wszystkie oczy.

- Co on powiedział? - spytał Bazyli, kiedy zainteresowanie ich osobami opadło.

- Nie jestem pewien, czy powinienem ci mówić - odparł Septimus. - Podejrzewam, że jesteś czuły na pochlebstwo. Zresztą, możesz równie dobrze usłyszeć to ode mnie, jak od innych. Wygląda na to, że nasz cesarz uważa siebie za źródło inspiracji, które stworzy w Rzymie plejadę, tego właśnie słowa użył, plejadę wielkich artystów. Prześcigną oni osiągnięcia dawnych Greków. Mówi, że ty jesteś jego pierwszym odkryciem. Wskazał na ciebie, mówiąc, że pewnego dnia staniesz w szeregach wielkich mężów przyszłości.

Bazyli nic nie powiedział. Zdawał sobie sprawę, że pochwały, jakimi hojnie obsypywano jego prace, były mu nader miłe. Przez kilka chwil trwał w przyjemnym podnieceniu, oszołomiony odniesionym triumfem. “Dlaczegóż by cezar miał się mylić?” - pomyślał. - “Dowodził im, że mam w rękach przynajmniej odrobinę geniuszu. Dlaczego nie miałoby mi to przynieść uznania i poklasku?”

Potem jednak próbował odzyskać równowagę, mocno szarpnąwszy wędzidłami zdrowego rozsądku. Zawróciły mu w głowie pierwsze słowa publicznej pochwały. Gdyby nawet miał zamiar pozostać na stałe na dworze cesarskim, nie byłoby bezpieczne tak chciwie połykać dobre opinie, zaś on uznał swój pobyt w Rzymie za krótki okres przejściowy. Miał inne zadanie do wykonania. “Teraz, kiedy wiem, jak jestem czuły na pochwały - rozmyślał - muszę się strzec. To jasne, że muszę stąd uciekać, zanim moja próżność nie spłata mi gorszego figla. Muszę stąd ruszać.”

Trącił Septimusa w łokieć.

- Widzę, że za długo tutaj przebywam - wyznał szeptem. - Co mam zrobić, żeby stąd odejść? Czy muszę mieć zgodę Nerona?

Septimus, który miał minę dość ponurą, w tym momencie się rozjaśnił.

- Przez chwilę myślałem, że jesteś zgubiony. Widziałem błysk w twych oczach i pomyślałem sobie: “On nie potrafi się oprzeć tej przynęcie i zostanie wciągnięty w cały ten kołowrotek i huśtawkę starań o cesarską łaskę.” Teraz jednak widzę, że masz na to za sztywny kark. - Potrząsnął ostrzegawczo głową. - Byłoby szaleństwem dać poznać cesarzowi, co planujesz. Tak się zapalił do swojej wizji nowej chwały, że posądziłby cię o oszustwo, a może i zdradę.

- Czy to znaczy, że muszę siedzieć tutaj bez końca? - spytał Bazyli. - Czy jestem więźniem?

- W pewnym sensie. Więźniem własnego powodzenia. Wciąż jednak - wyszeptał jego towarzysz - istnieje ten otwór pod murem pałacu. To teraz jedyna twoja nadzieja na wyrwanie się stąd. Nie radziłbym ci jednak korzystać z tej drogi, jeśli nie masz pewności, że będziesz mógł natychmiast opuścić Rzym.

4

Podczas kiedy Bazyli pracował, a Neron śpiewał, drewniana konstrukcja wieży Szymona rosła w tej części ogrodów pałacowych, która się znajdowała na wprost głównego portyku. Nieliczne wolne chwile Bazyli spędzał obserwując wznoszenie tej złowieszczej konstrukcji.

Pierwszym jego odczuciem było zdumienie wywołane szybkością i wielką sprawnością, z jaką stawiano wieżę. Inżynier, któremu powierzono nadzór nad pracami, młody, opanowany Rzymianin, zdawał się wszystko wiedzieć. Mówił bardzo mało, ale kiedy się już odezwał, praca posuwała się naprzód z wielką szybkością. Bazyli z zainteresowaniem przyglądał się, jak przyciągano grube kłody drzew na podstawę budowli. Cztery albo sześć zaprzężonych w rząd koni ciągnęło taką kłodę, wznosząc przy tym chmurę kurzu, jak przy szarży rydwanów. Następną operacją było pośpieszne odhaczanie i już kleszcze skomplikowanych bloków porywały kłody i wciągały do góry jak słomki, na przeznaczone dla nich miejsca. Bazylego pasjonowało to widowisko, które się odbywało bez wywoływania jednej kropli potu na czołach zatrudnionych niewolników, kiedy wciągano na górę belki, słupki i ukośne podpory.

Tak bardzo go zainteresowało to wszystko, że obejrzał narzędzia używane przez robotników. Były mu nie znane i nieskończenie lepsze od tych, z którymi się dotychczas zetknął. Ogromne piły miały ukośne zęby, żeby uniknąć grzęźnięcia w drzewie, co było dlań absolutną nowością. Proste pudełka zwane heblami, zaopatrzone w rzemienny pasek na rękę, dawały się bardzo łatwo posuwać wzdłuż deski i zostawiały powierzchnię tak gładką, jak marmur. Wątpił, czy

Jezus w Nazarecie pracował tak wspaniałymi, jak te, narzędziami.

“Nic dziwnego, iż Rzym rządzi światem”, myślał wielokrotnie.

Z czasem zainteresowanie przerodziło się w niepokój, bowiem wieża rosła coraz wyżej i wyżej w niebiosa. Stała się teraz pogróżką, widoczną pogróżką dla chrześcijaństwa. Stawał i wpatrywał się w jej szczyt, mówiąc do siebie: “Jeśli Szymon uniesie się w powietrze z wierzchołka wieży, świat pomyśli, iż on potrafi uczynić wszystko to, co czynił Jezus.” Wiedział, że przywódcy Kościoła chrześcijańskiego nie dali żadnej odpowiedzi. Neron szydził z milczenia pogardzanych chrześcijan.

- Szymon Mag uczyni to, co potrafi - powiedział pewnego dnia do Bazylego. - Jeśli te szczwane psy nie wystąpią, aby się z nim zmierzyć, otrzymają karę, na jaką zasługują.

Bazyli nie wątpił, że Szymonowi się powiedzie. Pamiętał, co mu powiedziała Helena o nowym urządzeniu, które zostanie przyniesione w wielkiej - co nie ulega wątpliwości - tajemnicy i zainstalowane na szczycie wieży. Szymon wzleci wysoko w powietrze i nikt na dole nie będzie mógł dojrzeć, jak tego dokonał. Podniosą wrzawę i będą wołali, że dokonał się cud.

Pewnego dnia Bazyli niechcący trafił na potwierdzenie słów Heleny. Przechodząc tuż obok fundamentów wysokich, drewnianych ścian, pochwycił urywek zdania wymówionego po aramejsku przez robotnika pracującego wiertakiem wyposażonym w rzemyk, przypominający pociągiel. Zwracał się on do towarzysza, który pracował świdrem wydobywającym z łatwością i precyzją opiłki z drewna na zewnątrz.

- On to zrobi przy pomocy drutów - mówił pierwszy stolarz. - Mosiężne druty. Czy wiesz, jakie to są druty?

- Na ciosło Atlasa, wiem! - odparł ten drugi. - Widziałem te wielkie, ciężkie liny z mosiądzu, które mogłyby wydrzeć flaki z miedzianej góry.

- Ale to jest coś innego. To się nazywa drut wyciągany. Nie jestem pewny, co to oznacza, ale myślę, że to się wyciąga jakimś cudownym sposobem, znanym tylko Szymonowi, aż do momentu, kiedy zrobi się bardzo cienki. Powiedziano mi tylko tyle, że drut zachowuje całą swą moc bez względu na to, jak będzie cienki. Czy wierzysz w to, Jakubie?

- Nie wierzę. To zrozumiałe, że jeśli się zmniejsza jakiś wymiar, odbiera mu się moc.

- Ale z tym, jak mówią, jest inaczej, powiadam ci, mój Jakubie. Można go zrobić tak cienkim, jak pajęczyna, a nie utraci swej wytrzymałości. To swego rodzaju cud. Jak słyszę, ten wstrętny magik ma pasma tego drutu długie na piętnaście stóp.

“Oto wyjaśnienie” - mówił do siebie Bazyli odchodząc. Był nader poruszony tym, co usłyszał. Te druty jak pajęczyna zostaną pomalowane, aby nie błyszczały w słońcu, i żadne ludzkie oko nie będzie w stanie ich dostrzec z ziemi. Na czubku wieży zostanie ukryte koło, ono będzie

obracało Szymonem wokół niewielkiej przestrzeni, pozwalając mu na wznoszenie się i opadanie w powietrzu, jak jaskółka koło parapetów domu.

“Oto cała tajemnica” - mówił do siebie. - “Czy powinienem pójść do Nerona i wyjawić mu to wszystko? Czy on by mi uwierzył?” Zdecydował się po głębokim namyśle, że niczego nie dokona, udając się do cesarza. Neron chciał za wszelką cenę, by Szymonowi się powiodło, ponieważ pragnął poniżyć chrześcijan w oczach świata. Nie obchodziło go, jakie środki zastosuje mag. Zresztą jaki dowód miał Bazyli do przedstawienia? Żadnego, poza przypuszczeniami.

Wracając do pałacu spotkał w ogrodach Helenę. Nie widział jej od owego wieczoru, kiedy przybył do pałacu, i zauważył od razu, że się zmieniła. Trudno było nie dostrzec chłodu w jej oczach.

- Co o tym myślisz? - spytała wskazując na wieżę. - Ma wznieść się jeszcze wyżej. Szymon nie uznaje połowicznych sukcesów. Mówi, że będzie latał, a więc potrzebuje wyższych rejonów niebios dla swego lotu.

- Im wyżej poleci, tym mniejsza będzie szansa zobaczenia drutów - odparł Bazyli.

- Drutów? - Helena zmierzyła go zimnym spojrzeniem. - O czym ty mówisz?

Bazyli nawet nie próbował odpowiedzieć. Dziewczyna patrzyła na niego lodowatym wzrokiem. Potem zmieniła temat.

- I twoje loty są wysokie. Szybujesz pod niebiosa łask Nerona. Czy przyjemnie wznosić się tak szybko w górę, wiedząc, że zawdzięczasz tę szansę komuś innemu?

Na te słowa Bazyli przybrał równie chłodną postawę.

- Nie chciałem, żeby do tego doszło. Wiem, że to twoja zasługa, ale zrobiłaś to wbrew memu życzeniu. Wezwano mnie, abym się stawił, i nie miałem wyboru, musiałem być posłuszny. Nie pragnąłem tego wspinania się, które mi zarzucasz.

- Nie pragnąłeś się wybić? Nie wierzę w to. Moje ramiona są posiniaczone od ciężkich stąpnięć twoich sandałów. - Z każdym wypowiedzianym słowem jej postawa stawała się bardziej wroga. - Powiedziałam ci o Szymonie i jego złudzeniach. Czy wspomniałeś o tym komukolwiek?

- Nikomu nie powiedziałem ani słowa.

- Wybij sobie z głowy to, co powiedziałam! - Ton jej głosu był ostry. - Musiałam być niepoczytalna, kiedy ci o tym mówiłam. To była głupota z mojej strony. - Przez dłuższą chwilę trzymała wzrok utkwiony w ziemię i widać było, że się zastanawia nad powzięciem decyzji. Nagle podniosła oczy na Bazylego.

- W pałacu aż huczy od pochwał pod twoim adresem. Wszyscy mówią, że w twoich rzeźbach Neron jest jak żywy. Zajrzałeś mu w oczy i odczytałeś jego duszę. Zastanawiam się, Bazyli, czy pragnąłbyś zajrzeć w moje oczy i odczytać, co się kryje w moich myślach? Gdybyś to

zrobił, mógłbyś znaleźć coś bardzo niepokojącego. Ogromnie niepokojącego, mój ty chłopaczku!

Rozdział XXIX

1

Następnego wieczoru po rozmowie z Heleną Bazyli po drodze do sali biesiadnej wstąpił do królestwa Selecha. W kuchniach panował nastrój wyczekiwania, który Bazyli od razu przypisał dziwnemu obiektowi, stojącemu przed pomostem Selecha. Miał około sześciu stóp wysokości i podobny był do zamkniętej lektyki. Obiekt ten zaopatrzony był w uchwyty z dwóch stron, z przodu i z tyłu, za które można go było nieść. Przyglądając mu się z pewnym zaciekawieniem, Bazyli odkrył, że podstawę miał z drewna, ale reszta była zrobiona z ciasta. Wydzielał rozkoszny zapach, jakby przed chwilą został wyjęty z pieca, a ponieważ przed upieczeniem posypano go po wierzchu cukrem, nabrał ciepłego i kuszącego rumieńca. Na czubku znajdowała się ptasia klatka, również wykonana z ciasta i wypełniona kanarkami. Ptaszki, ćwierkając do siebie, usadowiły się na huśtawkach z twardego cukru. Wierzchołek klatki był obramowany cukrowymi dzwoneczkami, które cichutko dzwoniły.

- Co to jest? - spytał Bazyli, kiedy Selech pojawił się w pobliżu lektyki z ciasta.

- To będzie niespodzianka dzisiejszego wieczoru - odparł arcymistrz. - Zwróć uwagę, są tu drzwi, a po ich zamknięciu nikt nie będzie mógł zobaczyć, co się znajduje w środku. Lektyka zostanie wniesiona z wielkim ceremoniałem, przy muzyce, biciu w bębny i popisach akrobatów. Kanarki zaczną śpiewać jak oszalałe, a potem drzwiczki otworzą się szeroko i ktoś wyjdzie z lektyki.

Jasne było, kto z niej wyjdzie, gdyż w tej chwili tancereczka Juli-$juli zjawiła się w kuchni i już biegła w ich stronę. Ubrana była na zielono, a w ramionach trzymała pęk puszystych żółtych piór. Była bardzo podniecona. Uśmiechnęła się, pomachała ręką i sunęła do nich tanecznym krokiem, okrążając piece i stoły.

- Czy już gotowa? - spytała. - Jak cudownie! Jestem przygotowana, Selechu. Nie mogę się doczekać. Zapach jest tak wspaniały, że chyba nie wytrzymam i zacznę wygryzać dziurki w lektyce, kiedy będą mnie nieśli. - Uśmiechnęła się do Bazylego spoza masy piór. - Selechu, proszę, opowiedz temu młodzieńcowi wszystko, co ma nastąpić. To bardzo miły młody człowiek, który ma piękną żonę. Jest bardzo poważny, ale jeśli mu to powiesz, może się uśmiechnie.

- Wkrótce sam to zobaczy - zaprotestował kuchmistrz. - Czy mamy go pozbawić niespodzianki?

Dziewczynka znów uśmiechnęła się do Bazylego i rozciągnęła przed nim pióra, aby mógł się im przyjrzeć. Zobaczył, że trzyma dwa duże skrzydła i czapkę uformowaną na podobieństwo koguciego grzebienia. Włożyła czapeczkę na złociste włosy, naciągając ją szczelnie na uszy, a

potem zaczęła poruszać ramionami chcąc pokazać, że skrzydła będą do niech przymocowane.

- Powiedz mu, że moim pierwszym popisem jest taniec ptaka.

Selech przetłumaczył jej słowa, a potem dodał:

- Pod lektyką jest sprężyna. Kiedy się ją naciśnie, Juli-$juli wystrzeli przez drzwi w powietrze jak ptak w locie.

Dziewczynka tańczyła z podniecenia.

- Opowiedz mu o moim drugim tańcu, Selechu. Ach, ten drugi taniec! Chcę, żeby się o nim dowiedział. Wtedy na pewno nie wyjdzie wcześniej.

- Nie bój się, Juli-$juli. On będzie czekał.

- Zobaczymy bardzo pięknego ptaka - oznajmił Bazyli.

Tego nie trzeba było jej tłumaczyć. Wyczuła podziw z uśmiechu, jaki towarzyszył słowom, i oddała mu uśmiech, kiwając z zadowoleniem głową.

- Nie powtarzaj mu tego, proszę cię, Selechu, ale jaka to szkoda, że on jest żonaty!

- Ona wystąpi przy deserze - objaśnił kucharz. Zwrócił się do tancerki. - Cesarz pomyśli, że jesteś prawdziwym ptakiem, kiedy się drzwiczki otworzą i wyfruniesz. Musisz dziś wieczór przynieść chlubę swemu nauczycielowi. Musisz tak zatańczyć, Juli-$juli, jak jeszcze nigdy przedtem nie tańczyłaś. Ale teraz powinnaś powrócić do swojej kwatery. Dariusz będzie cię szukał.

Druga niespodzianka czekała na Bazylego, kiedy doszedł do sali bankietowej. Za sofą Nerona ustawiono stół, a na nim pięć wizerunków cesarza, które wyrzeźbił Bazyli. Po raz pierwszy wystawiono je na pokaz publiczny, więc zastanawiał się nad powodem pokazania ich tego właśnie wieczoru. Uświadomił też sobie uczucie dumy, jakie w nim drgnęło. Być może będzie obdarzony jakimś zaszczytnym wyróżnieniem...

Poczuł, że duch w nim rośnie, kiedy się rozglądał po wyniosłej, odbijającej głos sali o ogromnych kolumnach, wzniesionych na chwałę Augusta, pierwszego imperatora. Przez trzy tygodnie przebywał w tej atmosferze wielkości, wielkości, która zmalała, stała się zaśniedziała i wyświechtana. Odniósł sukces. Imperator nadal chwalił go z nieustającym zapałem. Wiedział, że ludzie o nim mówią, przytaczając słowa Nerona, nazywając go młodocianym geniuszem. Bez względu na to, co przyniesie przyszłość, będzie zawsze pamiętał, że zdobył uznanie dla swych umiejętności w pełnych ostrej zawiści salach Nerona.

Zdobywszy całkowite uznanie imperatora i otaczającej go “grupy wyrafinowanych”, Bazyli czuł, że już może spocząć na laurach. Pora pomyśleć o powrocie. Miał coś innego do załatwienia, co na nim ciążyło. Chciał wrócić do Debory, naprawić swój błąd. Zastanawiał się, czy nie byłaby to odpowiednia sposobność, aby poprosić Nerona o zgodę na wycofanie się z dworu. Postanowił, że jeśli się okaże, iż Neron jest w przychylnym nastroju, zaryzykuje tę prośbę.

Po raz pierwszy pozwolił sobie na ogólnie stosowany zwyczaj spacerowania po długiej, wielopoziomowej sali, poprzecinanej stopniami, gdzie goście spoczywali już na sofach. Towarzystwo było świetniejsze niż zwykle. Kobiety jakby wiedziały, że Poppea, o włosach koloru bursztynu, spoczywając nadąsana i znudzona obok swego cesarskiego małżonka, skorzysta z okazji, aby podkreślić swe gorące, brązowe oczy kolczykami o bajecznie drogich kamieniach. W każdym razie i one przystroiły się wspaniale. Ramiona miały pokryte klejnotami, ich palce były sztywne od pierścieni. Okazały się lekkomyślne o tej chłodniejszej już porze roku, gdyż wciąż jeszcze nakładały podwiązki na gołe nogi i starały się pokazać rubiny i opale wpięte w opaski z czarnego aksamitu lub jedwabiu.

Bazyli zauważył również, że prawie na wszystkich stołach były czary z ametystu, co znaczyło, że goście przynieśli ze sobą swoje naczynia. Zastawy stołowe pałacu utraciły blask świetności za panowania Klaudiusza i już nie podniosły się z tego stanu. Czary z ametystu chroniły pijących przed stanem nadmiernego upojenia i dlatego były uważane za bardzo ważne.

Szymon Mag zajmował jak zawsze swoje miejsce i milczał z sardonicznym uśmiechem na ustach. Bazyli musiał go unikać, nie chciał, aby ten go rozpoznał jako owego młodzieńca, który się doń zgłosił dla wypędzenia złego ducha. Dojrzał zwycięskiego generała Flawiusza na stosunkowo źle oświetlonym, bocznym szezlongu, co miało być karą za to, że był nudny i nietowarzyski. Helena znajdowała się obok przystojnego, młodego człowieka o nieciekawym spojrzeniu, przyodzianego w bogaty strój gwardii pretoriańskiej. Starannie unikała wzroku Bazylego, kiedy ten przechodził obok.

Neron, co od razu rzucało się w oczy, był w pogodnym nastroju. Podśpiewywał, ale nader powściągliwie, kiedy wniesiono pierwsze danie. Znów zaśpiewał, już z mniejszą powściągliwością, a nawet z pewną skłonnością do przesady, po drugim daniu. Wszyscy gorąco go oklaskiwali, on zaś promieniał satysfakcją i nadymał swą szeroką, grubą pierś. W sali panował nastrój swobody i zadowolenia, lecz jednocześnie wyczuwało się powiew niepokoju. Miejsce zarezerwowane dla Tygellinusa było puste. Bazyli zadał sobie pytanie, które wszyscy na sali zadawali: “Jakie to ciemne sprawy zatrzymały prefekta gwardii pretoriańskiej?”

Wniesiono deser, który składał się z owoców i orzechów na ogromnych, metalowych tacach, ze złotych, rozpływających się w ustach, miodowych ciasteczek, ułożonych kopiasto na półmiskach i torcików tak puszystych, że usta najedzonych już biesiadników znów się otworzyły w łapczywym oczekiwaniu. Nastąpiła przerwa. Dwóch gladiatorów weszło do sali i stanęło na otwartej przestrzeni pod kondygnacją złożoną z dwudziestu marmurowych stopni, wiodących do miejsca, gdzie siedział Neron. Trzymali w dłoniach krótkie tępe miecze i byli gotowi przystąpić do rąbania i cięcia się nawzajem. Jednak Dariusz, jako mistrz ceremonii, nie podniósł w górę pałeczki.

Stał na dole i miał oczy zwrócone w stronę wysokiego łuku, gdzie wahadłowe drzwi zamykały pasaż wiodący do części kuchennej.

Bez żadnego ostrzeżenia drzwi się rozwarły i popłynęła cała gama dźwięków: wysoki ton piszczałek, szalone szarpanie strun, bicie w bębny, głosy wzniesione w grzmiącym śpiewie. Pochód ruszył z miejsca. Na czele szli akrobaci, wywijali kozły na rękach i skakali wysoko w górę, wykrzykując "Hop! Hop!" podniesionymi głosami. Za nimi szli pojedynczo tancerze. Każdy przebrany był za jakąś wielką postać z rzymskiej przeszłości albo boga, który wymknął się z Olimpu; każdy przedstawiał jakąś pantomimę, żeby zrobić większe wrażenie. Dalej szli muzykanci i dobosze, a za nimi czterech niewolników, ubranych na czerwono i biało, z czerwonymi skórzanymi pasami przełożonymi przez ramiona, wniosło lektykę z ciasta. Na jej rogach paliły się wysokie świece, a w górze stała klateczka z kanarkami, które śpiewały w upojeniu. Cukrowe dzwoneczki dźwięczały przy każdym poruszeniu klatką.

Lektykę zaniesiono na wolną przestrzeń pod wzniesieniem przeznaczonym dla Nerona i ustawiono na posadzce. Z chwilą zetknięcia z marmurem drzwiczki z ciasta otworzyły się i wyfrunęła przez nie seledynowożółta Juli-$juli. Unosiła skrzydła w górę i opuszczała w dół szybkimi machnięciami naśladującymi lot. Kiedy siła, która wyrzuciła wesołą postać z klatki, wyczerpała się, dziewczynka stanęła bez ruchu na drobnych, bosych stopach u podnóża schodów.

Taniec, który nastąpił, w niczym nie przypominał sztywnej pantomimy zawodowych tancerzy. Używając swych kanarkowych skrzydeł, z wysoko uniesioną brodą, Juli-$juli unosiła się wokół lekka jak puch, podczas gdy muzykanci grali stosowną melodię, zaś dobosze tylko od czasu do czasu włączali się miękkim uderzeniem. Jej ruchy były tak lekkie, że nieomal fruwała. Niektórzy goście zadawali sobie pytanie, czy Szymon Mag lepiej by to zrobił. Tancerka zatrzymała się bez tchu przy Dariuszu, który pozostał u podnóża schodów.

Oklaski były głośne i długotrwałe, przerywane domaganiem się bisów. Chcąc lepiej widzieć, Neron uniósł się do pozycji siedzącej, co spowodowało złowieszcze trzeszczenie jego sofy, będącej w stanie równie opłakanym, jak całe umeblowanie pałacu. Odezwał się głosem pełnym zadowolenia:

- To była prawdziwa przyjemność.

Nawet obojętna Poppea przyłączyła się do oklasków.

Dariusz położył rękę na ramieniu tancereczki i czekał. Kiedy hałas ucichł, zwrócił się do imperatora:

- O, cezarze, ta młoda tancerka, która po raz pierwszy wystąpiła przed tobą, ma przygotowany jeszcze inny taniec. Całkowicie odmienny, boski cezarze. Jest on takim odstępstwem od przyjętych form, że może być tobie przedstawiony tylko jako eksperyment.

- Odstępstwo od przyjętych form? - bose stopy Nerona dotknęły posadzki i wyglądało, że zaraz powstanie. - To właśnie najbardziej lubię. Obejrzyjmy ten eksperyment, mistrzu Dariuszu.

- Tancerce będą potrzebne... - mistrz ceremonii przekazał gestem polecenie Juli-$juli. Ona pochyliła się, ujęła spódniczkę swej fałdzistej zielonej tuniki jedną ręką i uniosła ją w górę na parę cali, aby ukazać bose stopy. - Potrzebne będą sandały, o cezarze.

Neron spojrzał w dół na swe własne sandały, ustawione obok cesarskiej sofy po obmyciu mu stóp w perfumowanej, śnieżnej wodzie przez jednego z niewolników. Sandały były niewyszukane, może nawet najskromniejsze na tej sali, gdyż Neron nie ulegał modzie panującej w Rzymie i nie chodził na podeszwach ze złota i srebra, niekiedy nawet wysadzanych drogimi kamieniami. Spojrzał w dół na swe szerokie, drewniane obuwie i uśmiech zadowolenia rozlał się na jego twarzy, wywołany oryginalnością pomysłu, jaki mu zaświtał.

- Jej są potrzebne sandały? - królewski głos zabrzmiał wysoką tonacją, aby wszyscy na sali mogli uczestniczyć w zwiewnym locie jego fantazji. - Czy stopy tancerki poczują się niegodne, a jej krok się zachwieje, jeśli włoży sandały, które ochraniały stopy cezara? A może natchnie to jej stopy jeszcze większą zwinnością? To ciekawe zagadnienie. - Spojrzał w kierunku swego mentora. - Co o tym sądzisz, Petroniuszu?

- To zabawny koncept, cezarze - odparł uprzejmie Petroniusz. - Pewien jestem, że sandały, którym jest znany dotyk boskości, natchną stopy tancerki boskim ogniem.

- Zanieś je tancerce! - wykrzyknął Neron.

Natychmiast zjawił się służący, aby wykonać rozkaz. Juli-$juli usiadła u stóp marmurowych schodów i zabrała się do przywiązywania sandałów. Ludzie wstawali z sof i podchodzili bliżej, żeby to obejrzeć. Wydawała się bardzo maleńka u dołu imponujących schodów, tak maleńka, że wyglądała jak bawiący się ładny kotek. Żółty koguci grzebień spadł z jej głowy i leżał obok na posadzce.

Sandały Nerona były bardzo duże, zaś stopy Juli-$juli - bardzo maleńkie. Trzeba było dołożyć wielu starań, aby je bezpiecznie przymocować. Kiedy powstała i zrobiła krok na próbę, sandały zatrważająco klapnęły o posadzkę.

- Czy będziesz mogła w nich tańczyć? - szepnął Dariusz z niepokojem, obawiając się, że jego śmiały pomysł skazany jest na niepowodzenie.

- Tak, mistrzu - odszepnęła. - Im luźniejsze, tym głośniej będą klapać, a tego właśnie chcemy.

Przez chwilę stała nieruchomo, patrząc w górę, w stronę wzniesienia, na którym siedział wielki Neron. Ogarnął ją lęk. Co władca świata pomyśli o tym nowym tańcu, który miała odtworzyć? Czy wyda mu się mało dostojny, a może nawet prostacki i pospolity?

- Mistrzu - szepnęła, kierując na Dariusza swe bławatkowe oczy pełne niepokoju - boję się. Nie będę mogła poruszyć stopami.

- Co znowu, moje dziecko! - Dariusz był poważnie zaniepokojony. - Tańcz, tak jak to robisz w sali ćwiczeń, zapominając o wszystkim. Uśmiechaj się. Śpiewaj, jeśli potrzeba. Po prostu bądź naturalna, Juli-$juli.

Spróbowała. Jej stopy osiągnęły pierwszy stopień schodów. Spojrzała z żałosnym uśmiechem w górę, na mistrza ceremonii.

- A więc ruszam! Niewolnica, która może zdoła wstrząsnąć gośćmi cesarza. Módl się za mnie, mistrzu.

Wszelkie publiczne tańce wykonywano boso albo naciągano na stopy pokrowce z naoliwionej cieniutkiej skórki, jakich Juli-$juli używała do ćwiczeń. Toteż pierwsze klip-klip-klap jej stóp w sandałach na twardej posadzce zaskoczyło zebranych i obudziło ich uwagę. Było to coś nowego, dziwnego, a przy tym udzielającego się zebranym przez swą rytmiczną regularność dźwięku. Wszyscy zaczęli kiwać głowami w takt miarowego stukotu luźnych sandałów i wybijać rytm własnymi stopami. Było to tak zaraźliwe, że nawet cesarz wystukiwał na stojącym obok niego stole takt wybijany drewnianymi podeszwami, a pełna godności głowa Petroniusza kiwała się miarowo.

Opanowanie i precyzja filigranowej tancerki najbardziej się uwidoczniły, kiedy zaczęła pokonywać marmurowe schody, u wierzchołka których siedziała jego boskość. Jej stopy dotykały każdego stopnia w doskonałym rytmie: klip, klip, klop, klipu, klipu, klop. Kiedy jednak doszła do przedostatniego schodka, zawahała się, jakby świadoma, że nie jest tego godna, a potem zatańczyła do tyłu, na niższy stopień, wciąż zachowując rytm. Wywarło to wielkie wrażenie na zebranych, rozprawiających między sobą, że nigdy nie widzieli czegoś podobnego. Zaczęli ją głośno zachęcać, aby weszła na samą górę, a Neron przyłączył się do tych głosów.

Juli-$juli miała jednak inne plany. Gestykulując wesoło i figlarnie, wsunęła się tanecznym krokiem między stoły i sofy. Podpici mężczyźni wyciągali ramiona, aby ją złapać, ale zawsze udawało się jej wymknąć i ani razu nie zmyliła rytmu wybijanego drewnianymi podeszwami. W pewnej chwili pochwyciła czepiec jakiejś matrony z wetkniętą weń błyszczącą, wysadzaną kamieniami szpilką i nałożyła go sobie na głowę, aby przy następnym okrążeniu odrzucić go właścicielce. Złapała szal smagłej piękności i powiewała nim w tańcu nad głową, aby za chwilę odrzucić z powrotem. Głupkowaty senator, uśmiechnięty jak księżyc w pełni, zdjął z czoła wawrzynowy wieniec, aby jej ofiarować. Nałożyła go zawadiacko na bakier na swoje złociste włosy i przetańczyła wokół sali, zanim go zwróciła.

Wreszcie doszła do punktu kulminacyjnego swego tańca. Zatrzymała się prawie

niedostrzegalnie przy Dariuszu i szepnęła:

- Zaśpiewam. Chcę zaśpiewać dla wysokich bóstw ziemskich tam, wysoko w obłokach!

Potem zaczęła powtarzać wchodzenie po schodach, posuwając się z wahaniem do góry i cofając pośpiesznie, a podczas tańca przyśpiewywała dobrze słyszalnym głosem:

- Pe-tro-niu-szu! Pe-tro-niu-szu! Czy zganisz mnie za wyłamywanie się z nakazów etykiety? - Klip, klip, klap. - Ty-gel-li-nie! Ty-gel-li-nie! Czy osadzisz mnie w więziennej celi, jeśli wejdę na sam szczyt? - Klip, klip, klap. - Cesarzu Neronie; cesarzu Neronie! Wzniesiony nad nami jak słońce w górze na niebie, cesarzu Neronie! Cesarzu Neronie! Czy się poczujesz zbytnio znieważony, jeśli nowa, przerażona tancerka ośmieli się wejść aż tak wysoko? - Klip, klip, klap.

Potem nagle rzuciła się ku schodom i przemierzyła je w podwójnym rytmie klipu, klipu, klipu, klipu-klap! Wreszcie stanęła na najwyższym poziomie, z głową spuszczoną i opuszczonymi żółtymi skrzydłami, jak woskowa statuetka, która już zaczęła topnieć w wielkim świetle boskości, płonącym tam, w górze.

Neron nie potrzebował okrzyków uznania ze strony swych gości ani oznaczającego lekkie zadowolenie uśmiechu na twarzy Petroniusza, aby wyrazić swój własny sąd. Z twarzą zaczerwienioną podnieceniem, rozstawiwszy szeroko swe bose nogi, zawołał:

- Nigdy nie miałem lepszej rozrywki! - Potem rozejrzał się wokół, a jego oczy spoczęły na woskowatej łysinie Petroniusza. - Ten rodzaj tańca - oznajmił - jest tak nowy, jak niemowlęta rodzące się w Rzymie w tej właśnie chwili. Słuchaj, Petroniuszu. Słuchajcie, wy wszyscy. Niech słucha cały świat! Wymyśliłem nazwę dla niego. To będzie “Taniec cesarskich sandałów”!

Oklaski zerwały się na nowo, tym razem przeznaczone dla imperatora, w głośnym podziwie dla jego talentu w formułowaniu nazw. To go skłoniło do następnego gestu.

- Żądam - oznajmił - aby zanurzono te sandały w płynnym złocie i zawieszono na honorowym miejscu. Na pamiątkę - dodał - że to w nich dokonała się w obecności cesarza ta próba wejścia w nową fazę sztuki tanecznej.

W tym momencie coś się wydarzyło. Do sali wszedł nieobecny dotychczas Tygellinus, a za nim jeden z jego podwładnych. Bez chwili wahania pokonał mocnym krokiem dwadzieścia marmurowych stopni i stanął przed cesarską sofą.

- Zdarzyło się coś, o czym powinieneś być poinformowany, cezarze. Zamordowano Kwintusa Klariusa. Dziś wczesnym wieczorem znaleziono ciało w jego własnej, prywatnej łaźni. Został uduszony związanym na supeł ręcznikiem.

- Czy schwytano mordercę? - zapytał Neron.

- Jeszcze nie udało się nam znaleźć mordercy - odrzekł Tygellinus. - Wydaje się, że ten czyn popełnił jeden z jego niewolników. Zakuto wszystkich w łańcuchy i teraz będą przesłuchiwani. Bez

trudu dojdziemy prawdy. Możliwe, iż winowajca został opłacony, żeby pozbawić życia swego pana. Krążą różne pogłoski - rzucił znaczące spojrzenie w kierunku Petroniusza - które to potwierdzają.

Jeśli takie pogłoski krążyły, było więcej niż prawdopodobne, że to sam Tygellinus był odpowiedzialny za ich rozprzestrzenianie. Kwintus Klarius był jednym z najbogatszych ludzi w Rzymie i zarazem czynnym poplecznikiem prefekta pretorianów w walce dwóch frakcji. Wrogie, czarne oczy znów zwróciły się w stronę Petroniusza.

Ten ostatni, w pełni świadomy ukrytego znaczenia słów swego przeciwnika nie wykazał żadnego zainteresowania. Głosem, w którym brzmiała z lekka zawoalowana nuta rozbawionego szyderstwa z aluzji do jego uczestnictwa, odezwał się:

- Kwintus Klarius był znany jako srogi pan. Czy to nie jest klucz do motywów tej podłej zbrodni?

- Prawda wyjdzie na światło dzienne - oznajmił Tygellinus. - I motywy też, nie ma wątpliwości. Niewolnicy są poddawani torturom. - Potem dodał z pogardliwym gestem ręki: - To nędzne kreatury. Trudno wierzyć raportom, jakie o nich zbieram. Mówi się, że wszyscy bez wyjątku są chrześcijanami.

- Mówisz, że to sami chrześcijanie? - Neron, którego zainteresowanie sprawą było jak dotąd znikome, zapałał gniewem. - Czy to prawda, że miał ponad stu niewolników? Czyż to możliwe, żeby w jednym domostwie znajdowało się stu nawróconych na tę zdradziecką, tę nieczystą wiarę? Tygellinie, to naprawdę poważna sprawa. Czy mamy dać się udusić tej rosnącej fali, która się wznosi jak trujące gazy z bagien? - Jego twarz pokryła czerwień furii, oczy się rozszerzyły. - Masz zabić wszystkich tych niewolników! - rozkazał. - To jedyne, co należy zrobić. Wtedy będziemy pewni, że ten, który zawinił, poniesie karę za zbrodnię, a jeśli chodzi o pozostałych, lepiej się ich pozbyć.

Widać było od razu, że to oświadczenie nie znalazło aprobaty u zebranych. Niektórzy z gości byli zbyt pijani i siedząc z twarzami bez wyrazu ograniczyli się do wlepienia oczu w Nerona, ale widać było, że wszyscy pozostali wysłuchali słów cesarskich ze zdumieniem i zgrozą.

Tygellin był zbyt nieczuły lub zbyt obojętny, aby to zrozumieć, albo się o to zatroszczyć.

- To prawda, cezarze, iż trzeba coś zrobić, aby powstrzymać szerzenie się tej wiary. Wydałeś mi rozkaz, który może się wydawać drakoński. Trzeba jednak mieć na uwadze, że egzekucja tych niewolników posłuży jako ostrzeżenie dla całego świata, a zwłaszcza dla ludu rzymskiego. Nikt nie powinien przyjmować tej herezji.

Petroniusz był ostrożniejszy. Postanowił stać się rzecznikiem protestu.

- Twoje pragnienie, by zahamować szerzenie się tej dziwnej religii, jest naturalne i godne

zalecenia, cezarze! Nie jestem biegły w prawie, więc moja opinia niewiele tu znaczy. Niejeden Rzymianin odczuwa to samo co ja, że akurat ten występek nie usprawiedliwia tak surowego wymiaru kary. Ludzie będą mówili, że egzekucja całej setki ludzi, nawet jeśli są to niewolnicy, jest niezgodna z zasadami rzymskiej sprawiedliwości. To nie przestępcy, oni są tylko podejrzani. Trzeba jeszcze i to rozważyć, że niewolnicy są kosztowni. Oni bez wątpienia stanowią znaczną część spuścizny po zmarłym. Co powiedzą jego spadkobiercy? Czy mają być stratni, czy też wynagrodzi się ich za tę stratę z funduszów publicznych?

To wystarczyło, aby Tygellin stanął po stronie surowości.

- Niezwykłe sytuacje wymagają niezwykłych kroków - oznajmił. - Właśnie to miał na myśli cezar, nakazując egzekucję wszystkich podejrzanych. Ma on dar docierania wprost do jądra zagadnienia i podejmowania mądrych i słusznych decyzji. Jestem przekonany, że w tym przypadku to on ma rację.

Petroniusz nie miał zamiaru ustąpić. Podszedł do Nerona i odezwał się doń po cichu:

- Twój zamysł spotka się z wielką niechęcią ludzi. Twoja dawna pobłażliwość zyskała ci ogromną sympatię i ludzie, którzy cię za to podziwiają, nie będą mogli tego zrozumieć. Będą wstrząśnięci i przerażeni, będą mówili: “Co się stało naszemu ukochanemu panu?” Rozważ to dokładnie, nim podejmiesz decyzję.

- Ach, cezarze!

Kobiecy głos dobiegł ze środka auli. Kiedy wszystkie oczy zwróciły się w kierunku, z którego ten głos dochodził, zobaczono Helenę, która opuściła sofę i zbliżała się do wolnej przestrzeni u stóp schodów. Twarz miała pobladłą, ale malował się na niej wyraz niezłomnego postanowienia.

- Szerzenie się tej religii może słusznie zaniepokoić cezara - oznajmiła, zatrzymując się w miejscu, gdzie dwaj gladiatorzy wciąż jeszcze stali z wyciągniętymi mieczami. - Czy cezar zdaje sobie sprawę, w jakiej mierze przeniknęła ona do jego własnego domostwa? Czy wie o tym, że ta religia wciąż się umacnia, że niemal każdego dnia przybywa nawróconych? Powinien wiedzieć przynajmniej to, że wielu wyższych urzędników dworskich to chrześcijanie, którzy popierają się we wszystkim.

- Jakie masz dowody na to, co mówisz? - zapytał Neron.

- Prawdziwość moich słów jest znana wszystkim gościom, obecnym na tej sali - oznajmiła Helena. - Skoro ja ośmieliłam się przemówić, być może wystąpią teraz i inni, aby powiedzieć, iż znana im jest powaga sytuacji.

- Czy występujesz z oskarżeniem, że na moim dworze są spiskowcy? - Głos cesarza wskazywał, jak poważnie był zaniepokojony. - Czy mniemasz, że zamierzają użyć przemocy, tak

jak w przypadku Kwintusa Klariusa? Czy właśnie to chcesz mi zakomunikować? Mów dalej, kobieto! Nie musisz obawiać się żadnych konsekwencji.

- Jest tak, jak mówisz, cezarze. Co ma na celu ten spisek, tego nie wiem.

Neron był zaskoczony. Jego twarz najpierw poczerwieniała od gniewu, potem pobladła, a w wysadzonych na wierzch oczach pojawiła się panika. Rozejrzał się po twarzach zebranych, jakby obawiał się znaleźć na nich potwierdzenie alarmującego sygnału, że knuto spisek przeciw niemu w jego własnym domostwie.

- Tygellinie! - zawołał. - Tygellinie, czy to możliwe? Jeżeli sprawy tak rozpaczliwie wyglądają, powinno się mnie o tym powiadomić, powinno się mnie ochraniać. Dlaczego nie postawiłeś straży wokół mnie? Dlaczego każdy spiskujący zdrajca ma do mnie łatwy dostęp?

- Cezar nie ma powodu do niepokoju - odparł Tygellin patrząc na Helenę, jakby chciał ocenić jej wartość jako narzędzia, które będzie mógł wykorzystać. - Z największą pieczołowitością dbamy o ochronę twojej świętej osoby, panie. Wiem o tym, że wśród twojej służby jest wielu chrześcijan. Może paru z nich zajmuje bardziej odpowiedzialne stanowiska, ale większość to niewolnicy. Wydaje się, że ta wiara jest najbardziej stosowna dla ludzi żyjących w niewolnictwie. Jeśli chodzi o spisek, to sprawa ta będzie zbadana natychmiast z wielką dokładnością, ale jak na razie nie ma żadnych dowodów na to, że zaistniał jakiś faktyczny spisek przeciw osobie naszego ukochanego władcy.

- Musimy mieć pewność, nie możemy być zanadto ufni! - zawołał Neron. Obrócił się i wskazał palcem Helenę. - Musimy znać nazwiska. Wniosłaś poważne oskarżenie, a teraz musisz je podtrzymać, podając imiona zamieszanych osób. Muszę poznać całą prawdę.

- Nietrudno podać ich imiona, cezarze!

Helena rozejrzała się i jej oczy z rozmysłem spoczęły na Juli-$juli, która odeszła na bok i siedziała teraz na podłodze.

- Zadaj to pytanie niewolnicy, która dopiero co tańczyła dla twojej przyjemności.

Juli-$juli właśnie rozwiązywała rzemyki u sandałów. Kiedy to usłyszała, jej palce zesztywniały i oziębły tak, że nie mogła nimi poruszać.

Zapewnienia Tygellina nie rozproszyły trwogi Nerona. Uchwycił się tej pierwszej namacalnej informacji.

- Tygellinie! - zawołał. - Wybadaj tą dziewczynę. Musimy dojść prawdy. Nie wolno nam zwlekać. Jedna chwila zwłoki może nam przynieść klęskę.

Prefekt gwardii spojrzał z niechęcią w dół na drobną figurkę, ubraną w żółtozieloną suknię.

- Słyszałaś, o czym była mowa? Wstań i odpowiadaj. I to żywo. Stań do mnie twarzą.

Septimus, siedzący obok Bazylego, przekazywał mu wszystko szeptem. Bazyli obserwował

Juli-$juli z ogromną obawą. W myśli formułował rozpaczliwe błaganie: “O, Jahwe!” - modlił się bezgłośnie. - “Nie pozwól, żeby to odważne dziecko cierpiało. Spójrz na nią, o Panie, i ochroń!”

Tancerka podniosła się powoli i stanęła twarzą w twarz z Tygellinem, trzymając sandał w każdej ręce. Całe rozradowanie, z jakim tańczyła, opuściło ją, ale nie okazywała lęku. Wpatrywała się uważnie w oczy Tygellina.

- Słyszysz, pytam ciebie, czy należysz do chrześcijańskiej sekty? Czy to prawda?

Dziewczynka odpowiedziała wysokim, czystym głosem, w którym nie było ani śladu wahania czy niechęci:

- Jestem chrześcijanką. Wierzę, iż Jezus umarł na krzyżu dla zbawienia ludzi. Wierzę w żywot wieczny.

Szeroką twarz Nerona znów zalała łuna czerwieni. Wskazywał palcem cesarskie sandały i drżał z wściekłości.

- Zabierzcie je od niej! - krzyczał. - Zostały sprofanowane. Wszystko, czego ta dziewczyna dotykała, zostało sprofanowane. Dopilnuj, Tygellinie, żeby to było zniszczone! Niech rozniecą ogień tutaj, żeby wszyscy mogli zobaczyć.

Jego głos zabrzmiał tak wysoką nutą, jaką osiągał tylko w śpiewie.

- Dostojeństwo tronu musi być ochraniane. Zrób, co ci każę, Tygellinie.

Dowódca gwardii przystąpił do wykonywania rozkazów. Wyrwał brutalnie sandały z rąk Juli-$juli, potem odwrócił ją i zerwał skrzydła z ramion. W międzyczasie wydał rozkaz ponuremu pomocnikowi, żeby zebrał wśród biesiadników przedmioty, które tancerka brała do rąk. Matrona, od której zażądał toczka z broszą, zżymnęła się wołając:

- Nie wolno ci zabierać mojej broszy! Jest bardzo cenna. Kosztowała wiele tysięcy sestercji. Precz z rękami, słyszysz?

Jej mąż odezwał się przez zaciśnięte zęby:

- Nie rób sceny, głupia, niech biorą toczek, broszę i wszystko inne.

Przejrzysty szal i wieniec senatora zajęły się ogniem, kiedy podpalono stos na marmurowej posadzce. Salę wypełnił aromatyczny dym cytrusowego drewna, z którego zrobione były sandały. Wszyscy wiedzieli, że od tego momentu najmniejsza wzmianka o “Tańcu cesarskich sandałów” byłaby nader niebezpieczna.

- Oby wszelki ślad po tych ludziach w moim domostwie został równie łatwo i gruntownie usunięty! - wołał Neron. Znów zwrócił się do Tygellina.

- Przykuć tę dziewczynę kajdanami do ściany. Jak spędzi w nich noc...

Zwrócił się twarzą do zebranych i widać było, jak mu drgają nozdrza. Atak gniewu wywołał czerwone plamy na czole i policzkach.

- Cała noc w okowach usposobi ją do rozmowności. Rano aż nadto chętnie powie ci wszystko, co wie o tym spisku, o tajnych zmowach i knowaniach. Pamiętaj o jednym, Tygellinie. Potrzebne są imiona. Czy słyszysz? Musimy wykryć wszystkich. Żaden z winowajców nie może nam umknąć.

Tygellin wezwał dwóch podwładnych, żeby się zajęli Juli-$juli. Ci szorstkimi ruchami związali jej ręce na plecach, a potem sprowadzili po marmurowych schodach, po których tak niedawno schodziła tanecznym krokiem, pełna żywiołowej radości. Dopiero kiedy zebrani zobaczyli ją między dwoma krzepkimi strażnikami, zdali sobie sprawę, jak bardzo jest drobna. Szła z głową podniesioną, wpatrzona w wyniosły łuk sklepienia. Tam, gdzie reszta gości widziała jedynie przyćmione cienie i czerń zakurzonego kamienia, ona dostrzegała wielki blask spływający z góry i słyszała czyste tony niebiańskiej muzyki.

- Po nocy w okowach wyśpiewa nam wszystko, co chcemy wiedzieć - przyrzekł Tygellin. - Jeżeli nie zechce mówić, wiemy, jak ją do tego zmusić.

- Tak! - wykrzyknął Neron. - Musimy poznać imiona, Tygellinie. Wszystkie.

- O, cezarze!

To Helena znów się odezwała. Pozostała tam, gdzie była przedtem, a teraz postąpiła jeden krok do przodu i oparła jedną stopę o najniższy stopień schodów.

- Skoro pragniesz znać imiona, mam do zaofiarowania jeszcze jedno. Zapytaj artystę, który wykonał modele twej głowy i postaci, o cezarze! Tego rzeźbiarza, który przybył z Antiochii w jakiejś tajemnej misji. Zapytaj, po co zjawił się tutaj. Zapytaj, czy jest chrześcijaninem.

Na sali zapadła cisza. Neron był zaskoczony i całkowicie skonsternowany. Wreszcie odezwał się z urazą:

- Nie, nie! Nie ten młodzieniec, dla którego tyle zrobiłem! Nie, to moje własne odkrycie, mój mały ganiusz!

- Zapytaj go, cezarze.

Septimus wyjawił Bazylemu zrozpaczonym szeptem:

- Ona wymieniła ciebie!

W Bazylim serce się zatrzymało. Najpierw odczuł wielki lęk, ogarnęła go panika, był skłonny uciekać z sali i biec, nie zatrzymując się, aż pałac Nerona zostanie za nim daleko w tyle. Potem zląkł się własnego braku stanowczości i pomyślał: “Popełnię czyn tchórzowski. Skłamię dla ratowania życia. Brak mi odwagi tej nieszczęsnej, małej tancerki.”

Neron spoglądał w kąt, gdzie siedział artysta, którego odkrył i obdarzył zaszczytami. Wskazał nań palcem.

- Słyszysz?! - zawołał. - Wystąp i odpowiedz nam!

A wtedy dokonał się cud w sercu młodego rzeźbiarza. W nagłym przypływie uniesienia odrzucił precz wszystkie obawy i niepewności. Poznał w tym momencie, że jego wiara w nauki Jezusa przestała być luźnym wierzeniem, tak chłodnym i wyrozumowanym, jak zagadnienie matematyczne. Uwierzył całym sercem i ta wiara napełniła go szczęściem. Poczuł takie samo radosne uniesienie, jakie często widywał w oczach innych chrześcijan.

Wydawało się mu, że jego duch odpłynął daleko, do takiego miejsca, w którym słyszał przemawiające spokojne głosy, a wokół siebie czuł istnienie sił, które rządziły przeznaczeniem. Życie, które przeżywał i świat, w którym je przeżywał, skurczyły się do wielkości minionych godzin jednego błahego dnia; zaś obawy rodzące się w tej ulotnej chwili były tylko emocjami, przemijającymi równie szybko jak pędzące minuty.

Kiedy oprzytomniał, miał wrażenie, że salę zalało wielkie światło, jaśniejsze od światła słonecznego.

Powstając zdawał się słyszeć słowa Kefasa: “W takiej chwili otworzą ci się oczy. Iskra w twoim sercu zapłonie ogniem... Wyznasz pełnym głosem swą wiarę tak, aby wszyscy słyszeli.”

Było tak, jak przepowiedział Kefas. Płomień zapalił się w jego sercu. Chciał zawołać przed dworem Nerona, żeby go wszyscy słyszeli.

Usłyszał swój głos przemawiający spokojnie, mimo ogromnego podniecenia, jakie go ogarnęło:

- Jestem chrześcijaninem, cezarze! Wierzę w nauki Jezusa z Nazaretu.

Niewielu ludzi w sali zrozumiało te słowa, ale ich znaczenie było dla wszystkich jasne. Nastąpiła chwila ciszy. Potem Neron odkaszlnął i powstrzymał oddech, aby wybuchnąć burzą szaleńczego wprost śmiechu. Jednak w punkcie szczytowym tego wybuchu nagle zamilkł. W sali znów zapanowała cisza. Zwrócił oczy na rząd glinianych modeli.

- Popełniłem godny ubolewania błąd! - wykrzyknął. - Oszukałem siebie i tym samym oszukałem cały świat. Myślałem, że w tym człowieku kryje się geniusz. Chwaliłem jego prace. Teraz jednak otworzyły mi się oczy i widzę, że to wszystko - wskazał gniewną ręką na rząd modeli - jest również częścią spisku. Spójrzcie! Ograbił mnie z boskości, uczynił ze mnie po prostu człowieka. Teraz widzę jasno, jaki miał w tym cel. Ach, jakżeż był chytry, jak sprytnie odsłonił moje słabostki, ukazując moją chciwość i złość, i... i słabość! Uczynił to rozmyślnie, chciał poniżyć mnie w oczach moich poddanych i zniweczyć w oczach potomnych!

Obrócił się z nagłą furią i pochwycił najbliższy model, podniósł go i cisnął na posadzkę, rozbijając na kawałki.

Bazyli pomyślał: “To już koniec. Przykują mnie do słupa obok małej tancerki. Jutro umrzemy razem.” Nie czuł trwogi. Przed nim było parę ulotnych godzin, które tak szybko staną się

częścią przeszłości. To będą ciężkie godziny, może wypełnione agonią, ale po nich przyjdzie wieczność, pokój i radość, której błysk już dojrzał.

Nikt na niego nie patrzył. Wszyscy wpatrywali się w gestykulującą postać Nerona. Septimus wziął Bazylego za ramię i wskazał w dół na marmurowe schody za nimi. Tam, za rzędem filarów, stało czterech niewolników z klatką z ciasta.

- Wchodź do środka! - wyszeptał Septimus.

Bazyli rozejrzał się. Wszyscy patrzyli na scenę rozgrywającą się przy cesarskim stole. Zszedł ukradkiem po schodach i ukrył się w klatce. Nastąpiła chwila wahania, potem jeden z niewolników zamknął drzwiczki z ciasta. Bazyli znalazł się w ciemności. Znów nastąpił moment wahania i odgłos szeptów między niewolnikami. Potem poczuł, że podnoszą klatkę. Ruszyli powoli, obojętnie.

Bazyli słyszał, jak Neron wyładowuje swój gniew i zawód w nie kończącym się potoku słów. Usłyszał, jak drugi model został ciśnięty o ziemię. Potem rozległ się trzeci łoskot. Cezar nie zamierzał pozostawić nic, co by przypominało o jego ciężkiej, godnej ubolewania pomyłce.

Swobodny, nieśpieszny krok niewolników niosących klatkę nie był przez nikogo hamowany. Bazyli dosłyszał odgłos wahadłowych drzwi, kiedy go przez nie przenoszono. A potem czterej niewolnicy wzięli nogi za pas i pobiegli tak szybko, jak tylko mogli, przez korytarze i sale, aż chrupkie, zapieczone ciasto klatki zaczęło spadać płatami na jej lokatora siedzącego w napięciu, grożąc zawaleniem się ścian. Przestraszone kanarki milczały, świece pogasły od podmuchu powietrza, dzwonki z cukru urwały się i potoczyły na wszystkie strony po brudnej, marmurowej posadzce.

Rozdział XXX

1

- Zniszczcie ją! - rozkazał wielki Selech z paniką w głosie. - Wyrzućcie każdy, nawet najmniejszy kawałek ciasta do ścieków. Porąbcie i spalcie drewnianą podstawę. Nie może pozostać żaden ślad po tej klatce. A wy wszyscy macie zapomnieć o tym, jak i kiedy przyniesiono ją z powrotem. No dobrze, a gdzie jest ten młodzieniec?

Jeden z czterech niewolników odpowiedział niewyraźnie z akcentem, który wskazywał, że pochodzi z okolicy położonej u stóp wulkanu.

- W składzie z przyprawami, Selechu.

Bazyli siedział na worku soli, kiedy kuchmistrz wszedł do pokoju o niskim sklepieniu, gdzie składowano przyprawy. Ze wszystkich stron stały wory zawierające kminek, szafran, majeranek i różne korzenie, a powietrze napełniały przyjemne wonie rozmarynu, ruty i tymianku. Bazyli był blady, wyglądał na nieszczęśliwego. Selech spostrzegł jego bladość i smutek, ale nie zauważył ani śladu trwogi. To było zaskakujące, bowiem on sam czuł się głęboko wstrząśnięty, zaś czterech niewolników, którzy wynieśli klatkę, trzęsło się teraz ze strachu.

- Nie możemy dopuścić, żeby cię ujęli - powiedział Selech. - Dość już tej jednej tragedii. Nasza mała Juli-$juli trafiła na atak szaleństwa cesarza.

- Co się z nią stanie?

- Co się dzieje, kiedy jagniątko wpadnie w paszczę pytona? - Selech wykonał desperacki ruch. - Musimy cię stąd wydostać, ale nie mam pojęcia, jak to zrobić. Niewątpliwie Tygellin postawi straże w stan pogotowia. Jestem pewien, że już patrolują z latarniami szczyty obmurowań.

- Pod murem jest otwór - odezwał się Bazyli. - Wiem, gdzie jest, ale dokąd potem pójdę?

Selech zastanawiał się przez chwilę, a potem rzekł do Demetriusza, który mu towarzyszył.

- Eliszama ben Szeszbazar? - zapytał. - Dom Eliszamy jest tuż przy murze, pod wzgórzem. Czy sądzisz, że możemy go prosić o tak niebezpieczną przysługę?

Demetriusz ogryzał paznokcie w udręce niezdecydowania.

- Kupca handlującego klejnotami? Prosilibyśmy go o narażenie własnego życia, życia rodziny, fortuny, wszystkiego. A jego fortuna jest ogromna, musisz o tym pamiętać.

- Eliszama to jeden z najbardziej oddanych chrześcijan - oznajmił Selech. - Myślę, że musimy spróbować. Ale, Demetriuszu, idź z tym młodzieńcem. Wejdź pierwszy do Eliszamy, zostawiając Bazylego na zewnątrz. Opowiedz mu wszystko. Jeśli odmówi, spróbujemy znaleźć kogoś innego. Sądzę jednak, że się zgodzi. Jest łagodny, to człowiek pokoju, lecz w głębi serca odważny jak lew.

Później zwrócił się do Bazylego:

- Dużo zależy od twego sprytu. Postępuj rozważnie, mój młody przyjacielu, i zważaj na każdy swój krok. Tej nocy życie wielu ludzi zawiśnie na włosku.

Bazyli niezbyt się przejmował problemem, z którym zmagali się obaj dworzanie. Osobiste bezpieczeństwo wydawało mu się sprawą małej wagi. Nad wszystkimi myślami, wypełniającymi jego umysł, i emocjami, jakie wywoływały, górowało uczucie ulgi i radości. Wydostał się z doliny niezdecydowania. Trzeba było aż tak wielkiego zagrożenia, aby zdał sobie sprawę z pełni swej wiary. Teraz jego umysł był tak jasny, jak pokój zalany słońcem i chłodzony ożywczymi powiewami; znikły ciemne kąty i posępne cienie, pozostało samo światło, szczęście i nowy spokój ducha.

Selech patrzył na niego, kiwając głową z aprobatą.

- Zdajesz się nie żywić żadnej obawy. To bardzo dobry znak.

- Jestem pełen obaw! - zawołał Bazyli. - Chodzi o Juli-$juli. Co oni z nią zrobią? Czy nie możemy jej pomóc? Czy Neron wypuściłby ją, gdybym ja się w zamian ofiarował?

- Nie - odparł Selech stanowczo. - Byłby to zbędny gest. Imperator skazałby i ciebie. Stanąłbyś w okowach obok niej, a później byłbyś przesłuchiwany.

- Nie lękam się o siebie - wyjaśnił Bazyli. I tak było naprawdę. Kiedy już publicznie zajął stanowisko, perspektywa kary za wiarę nie była dlań straszna. - Przepełnia mnie jednak pragnienie, żeby nie umrzeć właśnie teraz. Jeśli umrę, moja żona nigdy się nie dowie, jak bardzo ją kocham.

Selech wyglądał na zaskoczonego, więc Bazyli uznał, że trzeba to wyjaśnić.

- Okoliczności tak się ułożyły, że miałem zapieczętowane usta. Nie zdawałem sobie sprawy, jak prawdziwie i głęboko ją kocham, zanim nie znalazłem się w Rzymie. Teraz jestem jej oddany całym sercem i nie chcę umierać, zanim nie wyznam, jakim byłem ślepcem i jak szeroko otwarły się moje oczy.

- Pewien jestem - odparł Selech - iż Pan doprowadzi cię do niej z powrotem. Chciałbym być równie pewny, że wszyscy chrześcijanie mieszkający pod dachem Nerona mają równie dobrą szansę uniknięcia jego gniewu. - Zwrócił się do swego pomocnika. - Musisz ruszać, Demetriuszu. Wyjdźcie przez podziemia. Idźcie ocienionymi alejkami, do których nie dociera światło księżyca. I nie zapomnij o moich wskazówkach, kiedy dojdziesz do domu Eliszamy ben Szeszbazara.

2

Kiedy Bazyli i Demetriusz przepełzli przez otwór pod murem, gdzie, jak się okazało, pełno było żywych stworzeń, które od nich uciekały, poszli do Eliszamy ben Szeszbazara. Jego dom stał u stóp Wzgórza Palatyńskiego. Spadek terenu był tutaj tak ostry, że zdawało się, iż stoją wprost nad

wysokim domem kupca klejnotów. Jeden nieopatrzny krok, a wylądowaliby na jego płaskim dachu. Bardzo ich zaniepokoiły światła we wszystkich oknach, co znaczyło, że mieszkańcy budynku nie śpią i do tego są bardziej czynni niż zwykle o tej porze. Kiedy zeszli do poziomu drogi na dole, Demetriusz przystanął i potrząsnął głową.

- Dom jest z pewnością pełen ludzi - wymruczał. - Eliszama nie będzie mógł cię przyjąć. Jednak wejdę, tak jak kazał Selech. Zostań tu, aż wrócę i ukryj się w ciemnościach. Zachowuj zupełną ciszę. Być może szykujemy sobie miejsce w lochach Mamertynu.

Jego nieobecność trwała bardzo długo. Bazyli był przekonany, że nigdy już nie powróci, a wizyta w domu kupca była tylko pretekstem, żeby go porzucić. Może Selech chciał pozbyć się go jak najszybciej i dlatego wysłał z Demetriuszem, dając instrukcje, że ma go zostawić, zdanego na własną pomysłowość? No cóż, w każdym razie uciekł z pałacu, a to był pierwszy krok do wolności.

Ale co ma robić dalej? Jakie są możliwości wydostania się z miasta? Przystań będzie pod ścisłą obserwacją i nie śmiał tam się pokazać. Równie niemożliwe było przedostanie się drogą lądową bez znajomości kraju, ludzi i języka. Uświadomił sobie wyraźnie, kiedy tak stał w cieniu kępy drzew eukaliptusowych, że jest w beznadziejnej sytuacji. Nie mógł wrócić. Zajazd starego Hannibala będzie bacznie pilnowany. Nie miał odwagi pokazać się w domu Kestera z Zantu. Zamiast czekać na to, że go złapią, czy nie lepiej wrócić do pałacu i poddać się gniewowi Nerona?

Jeszcze to rozważał, kiedy światła w domu zaczęły gasnąć, jedno po drugim. Zapanowała ciemność. Po chwili usłyszał zbliżające się kroki.

- Gdzie jesteś? - wyszeptał Demetriusz.

- Tutaj.

Nabywca żywności podszedł do niego i powiedział z ulgą, że mogą wejść.

- Eliszama zgodził się od razu, ale zajęło sporo czasu, zanim pozbył się wszystkich obecnych. Teraz droga wolna. Zaprowadzę cię i będę musiał wracać. Mam jeszcze coś do zrobienia przed pójściem na targ.

- Wiele dla mnie ryzykowałeś - odezwał się Bazyli z wdzięcznością. - Wszyscy byli ogromnie pomocni, ty i Selech, i tych czterech niewolników, którzy mnie wynieśli z sali bankietowej.

- Odpłać nam, nie dając się pojmać - szepnął Demetriusz. - Będę z tobą szczery. Niczego tak bardzo nie pragniemy, jak tego, żebyś zniknął. Mimo wszystko musimy myśleć i o własnej skórze.

Weszli do domu przez tylne drzwi. Bazyli nic nie widział i szedł za swym towarzyszem z rękami wyciągniętymi w ciemnościach. Z odgłosu ich kroków wywnioskował, że są w wielkim holu, co się potwierdziło, kiedy nagle w ciemności zabłysło światło. Ktoś zapalił lampę i wtedy

Bazyli zobaczył głowę i ramiona mężczyzny, wspaniałego starca o białych, spływających na ramiona włosach i długiej brodzie, z czołem szlachetnym i parą oczu pełnych dobroci i stanowczości. Lampa rzucała tak nikłe światło, że wydawało się, jakby mieli przed sobą otwarte okno, spoza którego spoglądała na nich głowa starca. Bazyli poczuł natychmiastową ulgę, gdyż było rzeczą oczywistą, że ta twarz, jakby oddzielona od ciała, jest pełna zarówno współczucia, jak i odwagi.

- Jestem Eliszama ben Szeszbazar - odezwał się właściciel domu, kiedy podeszli doń bliżej.

Głos miał równie ciepły i przyjazny jak oczy. Potem spojrzał wprost na Bazylego mówiąc:

- Chrystus zmartwychwstał!

Młody rzeźbiarz poczuł przypływ dumy, kiedy jego usta wypowiedziały przyjętą odpowiedź. Teraz miał prawo ją wymawiać, wierzył bowiem w Jezusa i otwarcie dał temu świadectwo. Czyniąc to odrzucił wszelką szansę nagrody ze strony dworu i naraził swoje życie. Nareszcie do nich należał.

- Siedzi po prawicy Boga.

Te słowa wywołały przyjazny uśmiech w oczach po drugiej stronie lampy i Bazyli poczuł, że więź została nawiązana. Pomyślał: “Gdziekolwiek się skieruję, potrzebna mi jest pomoc takich dobrych ludzi, jak ten; niczego jednak nie zrobiłem, aby na to zasłużyć.”

- Chodź ze mną - szepnął kupiec. - Powinieneś lekko stąpać, młodzieńcze, gdyż nie chcę, aby w tym domu usłyszano kroki obcej stopy. Moi ludzie jeszcze się nie ułożyli do snu.

- To już wszystko, co mogłem zrobić - wtrącił się Demetriusz. W jego głosie wyczuwało się wyraźnie nutę ulgi. - Toteż życzę ci dobrej nocy i powodzenia.

Zanim padła jakaś odpowiedź, odwrócił się i usłyszeli, jak ostrożnie stąpając ruszył w stronę tylnych drzwi. Bazyli z żalem słuchał jak odchodzi. Jeszcze jeden przyjaciel zjawił się na krótko w jego życiu, dopomógł mu, a teraz odszedł.

Właściciel domu wszedł przodem do pokoju przylegającego do holu i zamknął za nimi drzwi. Światło lampy wystarczyło Bazylemu, aby wywnioskować, że to tutaj kupiec prowadzi swoje interesy, chociaż nie było widać żadnego towaru. W niezbyt dużym pokoju stały szafy i stół z dwoma krzesłami. Jego uwagę przyciągnęła kopia Świątyni stojąca na stole, wysoka na dwie stopy i zrobiona z litego złota, tak wypolerowanego, że wspaniale błyszczała, nawet przy niewielkim świetle, jakie na nią padało.

- Siadaj - odezwał się kupiec.

Postawił przyniesioną przez siebie lampkę na stole i od jej płomyka zapalił większą lampę. Pokój ożył i Bazyli zobaczył, że jego gospodarz jest wysoki i przygarbiony. Był uprzejmy, ale można było wyczuć, że jest człowiekiem, który ceni własną godność. Na twarzy malowała się

dobrotliwość połączona z bystrą inteligencją. Na nieskazitelną szatę z białego płótna nałożył zewnętrzną tunikę w odcieniu ametystu, ze wspaniałym haftem i innymi ozdobami. Głowę przykrywała czarna jarmułka, a na szyi zwisał złoty łańcuch tak długi, że dałoby się go rozciągnąć przez całą długość pokoju. Na jednym z palców połyskiwał ogromny rubin.

- Wyrażam żal z powodu okoliczności, w jakich zaszła konieczność powitania ciebie w moim domu - powiedział Eliszama ben Szeszbazar. - Moi wszyscy pracownicy byli jeszcze przy swoich warsztatach, kiedy przyszedł Demetriusz. Służba domowa nie skończyła codziennych zajęć. Moja żona, która jest delikatnego zdrowia i nie wolno jej niepokoić, jeszcze się nie udała na spoczynek. Wszyscy moi domownicy to chrześcijanie i, jak sądzę, można na nich całkowicie polegać, ale jest to z pewnością równie jasne dla ciebie, jak dla mnie, że im mniej osób będzie wiedziało o twoim pobycie w tym domu, tym mniej będzie okazji do jakiegoś potknięcia czy błędu, a zatem więcej możliwości, żeby ci pomóc w trudnej sytuacji. Postaram się, aby o twoim pobycie w tym domu wiedział tylko jeden służący. Nawet moja żona ma o tym nie wiedzieć ani żaden z moich trzech udanych synów.

Usadowił się przy stole, składając na jego blacie ręce przyodziane w obszerne ametystowe rękawy. Chociaż obserwował swego gościa, model Świątyni pozostawał stale w polu jego widzenia.

- Sprawozdanie, złożone przez mego dobrego przyjaciela Demetriusza, jest nader niepokojące - przemówił poważnie. - Wiele cierpienia wyniknie z racji szalonych oskarżeń wysuniętych przez tę kobietę. Nie ulega kwestii, że wykazałeś wiele odwagi. Ludzie zdobywają się na nią, kiedy mocne przekonanie żywo zapłonie w ich sercach, zawsze jednak jestem pełen podziwu, kiedy stykam się z jej dowodem. No tak, w każdym z nas jest coś z wielkości naszego Pana w niebiosach. W jednych więcej, w innych - mniej.

W jego oczach było dużo ciepła, ale teraz ich wyraz uległ zmianie i pojawiła się w nich obawa.

- Tak, mój młody przyjacielu, dzisiejszej nocy troska i lęk zawisły jak czarna chmura nad pałacem Nerona. Wszystko, co powiedziała ta grzeszna, demoniczna kobieta, która się pokazuje publicznie na platformach razem z Szymonem, wszystko to fałsz. Nie ma żadnego spisku. Jednak z powodu jej oskarżeń zachodzi obawa, że wszyscy nasi ludzie zostaną wypędzeni z zajmowanych stanowisk. Imperator może nawet potraktować ich znacznie gorzej.

- Módlmy się, aby nic złego nie spotkało Juli-$juli - powiedział Bazyli z przejęciem. - Ja nie dokonałem niczego szczególnego. Poszedłem tylko za jej odważnym przykładem. Niestety, jej nie dopisało szczęście tak jak mnie. Dręczy mnie to, że uciekłem w klatce, w której ją wniesiono do sali, i w której miała być wyniesiona.

- Obawiam się, iż żądasz za wiele. - Wyraz największej powagi odbił się na szlachetnym obliczu Eliszamy ben Szeszbazara. - Gniew Nerona nieprędko minie. Będą ofiary. Ona może być pierwszą.

- Czy nie ma sposobu na jej uwolnienie?

- Trzeba by było doprowadzić do wybuchu rewolucji w pałacu.

Stary kupiec westchnął głęboko i spojrzał na swe niezwykłe ręce, spoczywające przed nim na stole. Były to ręce przyciągające uwagę, kształtne, o długich, delikatnych palcach zakończonych owalnymi paznokciami. Pozwolił sobie na chwilę namysłu, a potem znów się odezwał.

- Żydzi mieszkający w diasporze muszą walczyć o wiele rzeczy. Musimy znosić nienawiść, jaką sprowadza na nas powodzenie w handlu, nie lubią nas jako wybrańców jedynego, żywego Boga. Wygląda na to, że te uczucia nasiliły się od czasów przyjścia Jezusa z rodu Dawida, którego łagodne nauki są zbyt nowe i obce Żydom. - Wyciągnął rękę, żeby dotknąć pełnym czci gestem złotej kopii Świątyni i ciągnął dalej: - Żywimy pragnienie, które płonie w naszych sercach, aby kiedyś ujrzeć ten widok, tak drogi dla wszystkich dzieci Izraela, kiedy słońce połyskuje na tym wielkim dachu ze złota, pod który... pod który przychodzi Duch Boży dla obcowania ze swym narodem. - Podniósł wzrok i dodał: - Mówię to, ponieważ tak wiele służby pałacowej, na którą może spaść gniew Nerona, to Żydzi, którzy ujrzeli światło i wierzą w nauki jedynego Syna Bożego.

Zapanowała chwila ciszy, zanim Eliszama wyciągnął swą piękną rękę, żeby dotknąć okrągłego przedmiotu leżącego przed nim na stole.

- Zaryzykujemy przejście do innych części domu dopiero wtedy, kiedy moi młodzi domownicy zasną. Tymczasem, dla oderwania twego umysłu od trosk, które nad nami zawisły, wyjaśnię ci, co to za przedmiot.

Podniósł go do góry i Bazyli zobaczył, że jest to model tiary. Potem postawił go z powrotem na stole.

- Skoro jesteś rzeźbiarzem i pracujesz w srebrze, ten model cię zainteresuje. Czy uważasz, że jest dobry?

- Tak, jest naprawdę piękny. Podziwiałem wzór.

- Cenię sobie pochwałę z twoich ust, bowiem sam ją zaprojektowałem i sam wykonałem najbardziej skomplikowane części. To, co powiem, ma spełniać podwójny cel, gdyż ma zarazem posłużyć za wyjaśnienie, dlaczego moi młodzi ludzie pracowali do późna dzisiejszego wieczoru. Nie jestem nazbyt surowym pracodawcą. Żądam od nich nie więcej, jak siedmiu godzin pracy co dzień, chociaż w Jerozolimie pracowaliśmy o wiele dłużej. W Rzymie przyjmuje się zwyczaj takiego rozkładania godzin pracy, żeby większość popołudnia była wolna. W tej chwili ścigamy się z czasem. To jest model tiary, którą robimy dla cesarzowej. Przed paru dniami imperator zaczął

bardzo nalegać, żeby ją wykończyć w znacznie krótszym czasie niż tego pierwotnie żądał. Brak mu cierpliwości i nie zadowoli go nic, co nie będzie cudem z naszej strony. Nie może się wprost doczekać, żeby nałożyć ten wspaniały dar na głowę żony, która... no tak, musimy to przyznać, jest piękna i będzie w niej wyglądała uroczo. Z tej to racji moi pomocnicy i ja pracujemy dzień i noc.

Podczas tej przemowy Bazyli przyglądał się uważnie modelowi, podziwiając jego proporcje i delikatność rysunku. Tiara będzie na pewno wyglądała przepięknie na kasztanowych lokach Poppei.

- Być może wiesz o tym, że w Rzymie wielką popularnością cieszą się opale - ciągnął dalej kupiec. - Opal ceni się dziś wyżej niż wszystkie inne przeźroczyste kamienie. To nie jest mój najulubieńszy kamień. Wolę rubiny i szafiry, a w przyszłości, kiedy nauczymy się szlifować diamenty, one staną się najcenniejszymi ze wszystkich kamieniami. Tymczasem mężczyźni, którzy kupują klejnoty, i kobiety, które je noszą, wolą opale. Ulegam powszechnemu zapotrzebowaniu, więc znajdzie się w tiarze wiele pięknych, czarnych opali z Egiptu. Ich piękno uwydatni jeden doprawdy wspaniały okaz opala ognistego. Te czarne są wyjątkowej jakości.

Zawahał się, a potem wyjął z szuflady pod stołem kamień znacznych rozmiarów, który pokazał swemu gościowi.

- Tak, zasługuje na wielką pochwałę. Opal ma tyle ciepła i taką gamę kolorów!

Kamień był ciemny i połyskliwy, miał zielone błyski na czarnym jak chmura gradowa tle. Bazyli pomyślał, że przypomina zielone płomienie piekielne, niepokoi i fascynuje zarazem.

- Będą tu również rubiny - wyjaśnił kupiec. - Postanowiłem nie stosować turkusów, natomiast dam dużo szafirów.

Oczy rozbłysły mu entuzjazmem. Nic dziwnego, gdyż wszyscy Żydzi wprost kochali szafiry. Wierzyli, że poprawiają słabnący wzrok, a nawet posiadają moc hamowania upływu krwi z rany.

- Tak, wprawię kilka wspaniałych szafirów. Dam też kilka oliwinów i, naturalnie, ametystów.

- To będzie kosztowne.

- Podsumuj wartość złotej szachownicy Poppei i figur wyrzeźbionych w drogocennym kamieniu, dodaj do tego koszt złotej winorośli Arystobulosa i legendarny naszyjnik Lolli Pauliny, a jeszcze nie dorówna to kosztowi tej tiary, która ma spocząć na głowie naszej nowej cesarzowej. - Kupiec spojrzał poważnie na Bazylego. - Czy byłeś dość długo na dworze, aby się dowiedzieć, że Neronowi nie podoba się Rzym? Uważa go za przeludniony, brzydki i śmierdzący. Marzy o piękniejszej i czystszej stolicy. Człowieku, Neron mógłby zmieść z powierzchni ziemi całą Suburę i za cenę tej tiary zbudować tam szerokie ulice i czyste domy! No cóż, ta tiara przyniesie mi piękny

dochód. Znaczna część tego dochodu będzie przeznaczona na lepszy cel niż przyozdobienie ciała pięknej Poppei.

Czarny opal został złożony w szufladzie, a model przesunięty na bok. Kupiec wstał, podszedł do drzwi i otworzył je bardzo ostrożnie. Dom zapadł w sen, w każdym razie żadne odgłosy nie dotarły do ich uszu. Po chwili wrócił i zaczął mówić po cichu.

- Rozmawiałem dla zapełnienia czasu. Teraz jest chyba bezpiecznie. Zaprowadzę cię do pokoju, gdzie spędzisz noc. Myślę, że wszyscy moi pomocnicy posnęli, ale rozsądnie będzie, jeśli zdejmiesz sandały. Pozwól, że będę ci udzielał rad, dla naszego wspólnego dobra. Zamknij drzwi pokoju na zasuwę od środka i nie otwieraj, chyba że ktoś zastuka dwa razy wolno, a potem dwa razy szybko. Będzie to wybrany przeze mnie służący, z którym podzieliłem się tajemnicą. Kiedy otworzysz drzwi, odsuń się i pod żadnym pozorem nie podchodź do okna. Służący nazywa się Józef. Urodził się w Dolinie Serowarów. Jest głuchy i bardzo wierny.

- Będę bardzo ostrożny - przyrzekł Bazyli. - Tyle przynajmniej powinienem zrobić, podczas gdy ty tak wiele ryzykujesz.

Kupiec ścisnął go za ramię, dodając otuchy.

- Wystąpiłeś przed Neronem i oświadczyłeś, że jesteś chrześcijaninem. Ja, który muszę ukrywać mą wiarę, tyle przynajmniej mogę zrobić i robię to chętnie.

Przykrył lampę mosiężną pokrywą, aby nie rzucała szerokiego odblasku przy przechodzeniu przez sale.

- Przyjdę do ciebie rano i omówimy plan twojej ucieczki z Rzymu.

3

Pokój sypialny był duży, przewiewny i umeblowany z pewnym komfortem, który stanowił niespodziankę po spartańskim wyposażeniu pokoju na dole. Stało w nim szerokie łoże, a w rogu znajdowała się wpuszczona w posadzkę wanna. Na jednej ze ścian był szczegółowy plan Jerozolimy namalowany kolorowymi farbami. Znalazł tu również misę, pojemnik na wino, kilka butelek i kielichy do picia. W powietrzu unosiła się delikatna woń, a przez okna wpadał orzeźwiający powiew.

Tej nocy nie mógł zasnąć. Wypadki ostatniego wieczoru wciąż do niego wracały. W wielkim napięciu przemierzał bosymi stopami pokój zaciskając pięści. Obraz Juli-$juli przykutej łańcuchami do ściany nie opuszczał go ani na chwilę. “Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby przyjść jej z pomocą. Ale jaki, jaki?” Jego myśli wpadały w ślepą uliczkę, nie widział wyjścia.

Z lampą w ręku stał dłuższą chwilę przed planem Jerozolimy. Wskazującym palcem drugiej ręki odtwarzał trasę, którą on i Debora przemierzyli, uciekając z Dziedzińca Pogan, ściągając

pogoń do dzielnicy ubogich serowarów. Zanurzył się ostrożnie w wodzie wypełniającej wannę i leżał bez ruchu w nadziei, że tym sposobem przywoła sen. Ale i to nie pomogło. Po wyjściu z letniej wody był równie napięty jak przedtem. Wycierając się, wciąż sobie zadawał to samo pytanie: Co można zrobić, żeby dopomóc małej tancerce?

Dziwne było to, że nie mógł zasnąć, mimo ogromnego zmęczenia. Nogi się pod nim uginały, kiedy znów zaczął krążyć. Z ciężkim westchnieniem usiadł na krześle stojącym naprzeciw okna.

Miał wrażenie, że siedzi na widowni w teatrze. Ściana zaczęła się oddalać i znikać. Wtedy zobaczył dobrze znany obraz. Znany, bo już go kiedyś widział. Dwunastu mężów zebranych wokół długiego stołu w Ścianie Dawida. Wiedział, że tym razem nie był to sen. Nie mógł zasnąć w jednym mgnieniu oka, a obraz był zbyt żywy, zbyt wyraźny. Każdy szczegół rysował się tak, jakby to on sam siedział w tym pokoju w Ścianie Dawida. I znów zobaczył to samo, co ongiś: środkowe miejsce przy stole wciąż było puste.

Jego oczy spoczęły na mężczyźnie siedzącym po lewej stronie pustego miejsca i w radosnym podnieceniu poznał Jana. Nie można się było pomylić co do osoby ukochanego ucznia. Wypukłe czoło i szeroko rozstawione oczy, wrażliwe i krasomówcze usta były te same. Postać Jana z lat młodości miała w sobie wigor, którego już brakowało wyniszczonej postaci, nauczającej w kopalni koło Efezu, a jego twarz była twarzą młodego człowieka: młodzieńca wielkiej odwagi i łagodności.

- Piotr będzie po drugiej stronie - odezwał się Bazyli na głos, zwracając wzrok w tym kierunku. Od razu roześmiał się, podekscytowany tym, co zobaczył, gdyż postać na prawo od pustego miejsca była nikim innym, jak tylko Kefasem!

A więc stary sługa w gospodzie był przywódcą chrześcijan, jak się tego w połowie domyślał. Był wybranym uczniem Jezusa! Wyjaśniało to szacunek okazywany mu przez Hannibala i mężczyznę o imieniu Marek. Wyjaśniało również jego częstą nieobecność, bowiem obowiązki przywódcy wzywały go czasami gdzie indziej.

Piotr siedzący po prawicy bardzo się różnił od sympatycznego starca w gospodzie. Był milczący, a jego oczy wyrażały bunt i niechęć do pogodzenia się z rozłąką, jaka według słów Chrystusa miała wkrótce nastąpić.

Ale Bazyli nie miał czasu na przyglądanie się twarzy zatroskanego Piotra. Coś się działo z obrazem, coś bardzo odmiennego od wszystkiego, czego był dotąd świadkiem. Wywołało to u niego najpierw dreszcz lęku, a potem przeciwstawne odczucie błogiego oczekiwania. Puste dotychczas miejsce nie było już zupełną próżnią. Dostrzegł tam zarys jakiejś postaci!

Wysilał wzrok, aby ją dojrzeć i stopniowo obraz zaczął się rozjaśniać, tak jakby następował

proces materializacji. Z wolna cień nabierał ciała, aż wreszcie ukazała się twarz. Było to oblicze mężczyzny w kwiecie wieku, delikatne, łagodne, a zarazem zadziwiająco silne i mądre, chociaż w owej chwili udręczone tragicznym obowiązkiem i smutne ponad wszelkie ludzkie pojęcie.

- Widzę Jezusa! - wyszeptał Bazyli. - Widzę Jego oczy, jak to zapowiadała Debora...

W tym momencie oczy zdawały się patrzeć wprost na niego i krył się w nich uśmiech. Były to cudowne oczy, rozstawione szeroko pod szlachetnym czołem: oczy mądre, rozumiejące i współczujące, które mogły wyrażać radość i słodycz, chociaż opanował je wielki smutek.

Bazyli opuścił głowę, mówiąc do siebie: “Nie jestem godzien dłużej patrzeć.” Nigdy nie czuł się tak pokorny, tak pełny ludzkich przewin, tak świadomy swych grzechów. Jakież miał prawo do przyglądania się tej świętej scenie.

Kiedy jednak tak siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, przyszło mu na myśl, że ta wizja ma swoją rację bytu, że dlatego jej dostąpił, aby móc wykończyć Kielich. Musi przezwyciężyć uczucie pokory i skorzystać z tej podniosłej, ofiarowanej mu możliwości. Tak upewniony otworzył oczy i przyjrzał się twarzy Jezusa z przenikliwym zaciekawieniem artysty.

Z nowym zainteresowaniem przypatrywał się szczegółom. Nos Jezusa nie był ani wydłużony, ani wydatny, lecz prosty, a jego piękno polegało na delikatności wymodelowania. Usta ujawniały te wszystkie cechy, które były widoczne w oczach. Broda wyrażała zarówno siłę, jak łagodność.

- Doznałem tej wizji - mówił do siebie Bazyli z uczuciem przynaglenia i podniecenia - abym mógł wykończyć Kielich. Muszę się natychmiast zabrać do roboty.

W tym momencie zdał sobie sprawę, że jednak zasnął, bo nie od razu zdołał odzyskać świadomość. Wiedząc, że jego palce muszą rozpocząć pracę, dopóki wizja tej z niczym nie dającej się porównać twarzy jest tak wyraźna w jego umyśle, wysilił się, aby zrzucić z siebie okowy snu. Miotał się i jęczał. W końcu zdał sobie sprawę, że trzyma coś ciężkiego w prawej ręce i uderzył tym po nodze. Poczuł ostry ból, a opary snu natychmiast się rozwiały. Usiadł wyprostowany i wpatrywał się w puszystą czerń przed sobą, w której ledwie dostrzegalne były kontury okna za firanką.

Osłabł z wrażenia, a czoło miał pokryte kroplami potu.

- Panie Jezu! - odezwał się głosem cichszym od szeptu. - Dałeś Twemu słudze ten rzadki przywilej. Widziałem Ciebie, patrzyłem w Twe oczy, widziałem Twój uśmiech. Włóż teraz w moje palce moc przekazania po wszystkie czasy tego, co widziałem, aby inni ludzie też mogli zobaczyć.

Całe znużenie od razu go opuściło, poczuł się silny i zdolny do podjęcia zadania, które przed nim leżało. Szukał palcami zapalnika na stole, by wreszcie uzyskać światełko, migocące niepewnie, zanim nie objęło knota równym płomykiem. Było to bardzo niedostateczne światło do

pracy, ale zrobi, co będzie mógł. Na szczęście zabrał tego wieczoru jak zawsze swój niebieski worek z przyborami i trzymał go na ramieniu w czasie ucieczki przed strażą. Wyjął i rozłożył przybory przed sobą, a jego palce drżały z niecierpliwości i obawy, że nie stanie na wysokości zadania.

Pracował z ogromną koncentracją, powtarzając raz po raz, że spojrzał na twarz Syna Bożego, która na zawsze wryje się mu w pamięć, gdyby nawet jego ręce nie potrafiły ożywić jej w wosku. Nie zdawał sobie sprawy z późnej pory, chociaż był pewien, że godziny umykają. Przeszkadzał mu niedostatek światła, ale nie ośmielał się go poprawiać. Nawet gdy słabe, szare światło ukazało się za oknem, nie zaryzykował podniesienia zasłon, pomny na konieczność ograniczeń nałożonych na niego przez gospodarza.

Wiedział, że jeśli nie wykona od razu swego zadania, na nic się później zdadzą zmiany i poprawki. Powodowany tą myślą nie ustawał w gorączkowych próbach, dopóki światło wpadające przez szczeliny w zasłonach nie nabrało jasności i życia, ostrzegając go, że dzień już nadszedł.

Popatrzył na to, czego dokonał i powiedział na głos:

- To już wszystko, co mogę zrobić. - Wiedział, że to jest dobre. Oblicze, które na niego spoglądało we śnie, teraz spoglądało z modelu. Widział w nim dużo braków: przepadła tajemniczość oblicza i blask światła bijącego z oczu. - Lecz jestem tylko człowiekiem - mówił do siebie. - Zostawię to w tym stanie.

Zwrócił się w stronę okna ze słowami:

- Mamy już dzień - i jednocześnie wstał, aby dokładniej zaciągnąć zasłony. Kiedy się poruszył, znów odczuł ból w kolanie. Spojrzał w dół i zobaczył, że nogę ma spryskaną krwią. Trzymał w ręku jeden ze swych noży, kiedy konieczność otrząśnięcia się ze snu spowodowała, że uderzył nim w kolano. Na podłodze koło fotela też była krew.

4

W południe Józef przyniósł posiłek. W parę chwil po jego odejściu czterokrotne pukanie do drzwi powtórzyło się, oznajmiając nadejście Eliszamy ben Szeszbazara. Kupiec wyglądał na wypoczętego i był o wiele spokojniejszy. Usiadł blisko stołu, przy którym Bazyli kończył spożywanie posiłku, składającego się z duszonych w winie nereczek z dodatkiem afrykańskich fig.

- Zamieszanie na dworze nieco przycichło - oznajmił Eliszama. - Nie wykryto dowodów żadnego spisku, imperator się uspokaja. Wydaje się, że nikt nie podtrzymał zarzutów tej nikczemnej kobiety. Do uszu Nerona dotarły jakieś pogłoski na temat Selecha, ale tutaj zaprotestowała Poppea. Mówiono, że ostro się przeciwstawiła swemu cesarskiemu małżonkowi. Powiedziała mu, że te sale, w których muszą mieszkać, są w opłakanym stanie i ze wszystkiego

ogołocone. Wzdraga się na brzydotę i nieprzyjemne zapachy. Jedyne, co sprawia, że ich życie jest znośne, to najlepszy na świecie kucharz. Czy Neron zamierza pozbyć się go na podstawie podejrzeń? Petroniusz, który lepiej niż ktokolwiek inny zdawał sobie sprawę z istotnej wartości Selecha, poparł Poppeę. W końcu, po wielu narzekaniach i głośnych okrzykach, że jest sam jeden, kiedy zabójcy ostrzą na niego swe miecze - Neron ustąpił.

Bazyli odetchnął z ogromną ulgą.

- Jakie szczęśliwe wiadomości przyniosłeś! - wykrzyknął. - Obawiałem się, że wszyscy, którzy mi pomogli, będą za to prześladowani.

- Wygląda na to, że nikt nie wie, w jaki sposób wydostałeś się z sali - powiedział kupiec. - Wszyscy byli wpatrzeni w Nerona. Kiedy uspokoił się nieco, zaczęto cię szukać. Nikomu nie przyszło na myśl, że mogłeś być wyniesiony w klatce z ciasta.

Umilkł na chwilę, podsuwając Bazylemu nowe danie: kiełbaski z pawia w sosie z przyprawami.

- Nie wzywano Selecha na przesłuchanie. Natomiast Dariusz był przesłuchiwany i okazał się człowiekiem małego ducha. Głośno protestował, że nie jest chrześcijaninem. Słyszałem, że doszło do tego, iż Neron zaczął mówić o tobie z żalem. “Będzie mi brakowało mego geniuszka”, mówił. “Nieszczęsny ze mnie człowiek, zmuszony poświęcać przyjaźń dla interesów państwa!” Jeśli nadal będzie żywił podobne uczucia, mógłbyś z czasem odzyskać swoje stanowisko. Ale on ma usposobienie tak kapryśne, jak pantera z cierniem w łapie i nie radziłbym ci starać się o powrót, zanim on wyraźniej nie okaże, iż ci wybacza.

- Muszę opuścić Rzym przy pierwszej sposobności - wyjaśnił Bazyli. - Nigdy nie pociągało mnie życie na dworze, a teraz jestem całkowicie z tego wyleczony.

- Mądrze mówisz - odparł kupiec kiwając głową i głęboko wzdychając. - Mówisz, że nie pociąga cię dworskie życie. Mnie nie pociąga nic z tego życia, jakie tutaj prowadzę. Myślę, że wszyscy Żydzi żyjący w diasporze tak czują. Żyjemy w stanie melancholii, bynajmniej nie pogodzeni z przebywaniem w takim oddaleniu od Świątyni. Musimy nadal opuszczać Jerozolimę, to nieuniknione, bowiem geniusz dzieci Izraela jest zbyt wielki, aby się ograniczać do tego małego skrawka ziemi między Jordanem a morzem. Potrzeba mu całego świata, aby go wyrazić, tak więc przemieszczamy się i zakładamy kolonie. Zdobywamy powodzenie i majątek, jednak jesteśmy nieszczęśliwi przez wszystkie dni naszego żywota. Ja postępuję tak, jak postępuje wielu innych, którzy zdobyli bogactwo, otaczam się luksusem i w tym próbuję znaleźć rekompensatę. Drzwi mego domu są wykonane z szylkretu, klamki - ze srebra. Posilam się na talerzach ze złota i srebra. Ale to małe wynagrodzenie za to, co utraciłem. Myślę niekiedy, że czułbym się lepiej w Jerozolimie, gdybym nawet był nikomu nieznany i żył w ubóstwie. Jeślibym jednak powrócił,

wkrótce okazałoby się, że tęsknię do owoców mego trudu. Innymi słowy, po obu moich bokach stoi czart z widłami, więc nigdy nie będę szczęśliwy. - Na kilka chwil zatopił się w myślach. Potem zaczął mówić o innych sprawach.

- Dziś wieczór odbędzie się tutaj narada przywódców Kościoła z Piotrem. Zostało to ustalone, zanim ty się zjawiłeś. Chociaż bardzo niechętnie, muszę zgodzić się z tym, że dodatkowe ciekawe oczy znajdą się w tym domu, kiedy na szalach leży twoje bezpieczeństwo. Jest jednak za późno, żeby ją odłożyć. Chodzi jeszcze i o to, że narada została zwołana, aby omówić wyzwanie Szymona Maga. Dalsza zwłoka jest niemożliwa.

- Wczorajszej nocy widziałem Piotra we śnie - wtrącił Bazyli. - To, co zobaczyłem, potwierdziło podejrzenia, jakie żywiłem.

Widząc wyraz zdumienia w oczach swego gospodarza pośpieszył z wyjaśnieniem. - Wiem, gdzie on mieszka. Przebywałem przez tydzień w gospodzie, w której on pracuje, zanim wezwano mnie do pałacu. Nie mogę zrozumieć, dlaczego wybrał tak trudne warunki życia.

- Łatwo to zrozumieć, kiedy się wie, jak bardzo opinia publiczna w Rzymie jest nam nieprzychylna. - Eliszama z wielką powagą potrząsnął głową. - Piotr mieszkał najpierw na Zatybrzu, gdzie jest duża kolonia żydowska. Ale przed paru miesiącami Tygellin przyjął ostrzejszy kurs. Zaczął rozsyłać swoich ludzi po całym mieście, żeby zadawali pytania i robili spisy. Chciał mieć nazwiska wszystkich chrześcijan mieszkających w Rzymie. Uznaliśmy, że lekkomyślne byłoby pozostawienie Piotra tam, gdzie był. Musiał się ukryć albo zmienić nie do poznania, co być może uwolni go od podejrzeń. Poszedł na służbę u starego Hannibala, którego nikt nie podejrzewa o przynależność do wiary chrześcijańskiej. Przebywa tam do tej pory, zadowolony z roli służebnej i z tego, że musi spełniać wolę zmieniających się gości. Władze nie mają pojęcia o tym, że ten starzec pracujący z takim oddaniem to Piotr, nasz przywódca.

Napełnił czarkę swego gościa winem pachnącym i dobrze ochłodzonym.

- Wspomniałeś o swoim śnie. Bardzo mnie to zaciekawia, gdyż poświęciłem sporo czasu na badanie snów i stanów ekstazy. Czy jeszcze kogoś widziałeś w tym śnie?

- Widziałem wszystkich uczniów, łamiących chleb z Jezusem w czasie Ostatniej Wieczerzy - odparł Bazyli. - Był tam i Jan. Słyszałem go, jak nauczał w Efezie, dlatego mogłem go od razu rozpoznać. Najpierw jedno miejsce było puste, ale potem zaczęło się stopniowo wypełniać i ja... ja zobaczyłem Jezusa! Proszę cię, o, Eliszamo, nie sądź, że wymyślam jakąś historyjkę. Widziałem komnatę w Ścianie Dawidowej i widziałem oblicze Jezusa tak wyraźnie, jak teraz widzę twoje. Uśmiechnął się do mnie. Spojrzałem w Jego oczy, w Jego poważne i pełne zrozumienia oczy.

Bazyli przerwał. Chciał przekonać swego gospodarza o tym, że musi osobiście rozmawiać z Piotrem.

- Nie wiem, jak to wyrazić, ale ja muszę zobaczyć się z Kefasem, kiedy tu przyjdzie. Mam mu coś do powiedzenia. Coś bardzo ważnego.

Eliszama ben Szeszbazar starannie rozważał sprawę.

- Tyle mogę ci przyrzec, że go zobaczysz - oświadczył wreszcie. - Zebranie odbędzie się w mojej wystawowej sali, największej w tym domu. Posiada ona ukrytą galeryjkę. Widzisz, natura ludzka jest ułomna. Bogate kobiety wysokiego stanu nie mogą się oprzeć, kiedy widzą piękne klejnoty rozłożone przed nimi w wielkiej obfitości. Niektóre z nich na pewno ulegają pokusie ukrycia czegoś w fałdach sukni. Toteż kupcy posiadający duże zasoby klejnotów zawsze mają takie ukryte galeryjki, z których można obserwować te elegantki. Nad moją salą wystawową też jest taka galeryjka. Otrzymasz przywilej stania tam i obserwowania narady Piotra z przywódcami Kościoła w Rzymie. Szepnę mu do ucha o tobie, abyś nie miał uczucia, że podsłuchujesz. Jeśli zaś chodzi o rozmowę, decyzja należy do Piotra.

Jedno pytanie cisnęło się na usta Bazylego od chwili wejścia kupca. Bał się je zadać, lecz teraz zdobył się na odwagę, aby usłyszeć to, czego się tak bardzo obawiał.

- A co z Juli-$juli?

Twarz jubilera spoważniała.

- Tancerka wykazała odwagę i moc ducha, w przeciwieństwie do słabości charakteru jej nauczyciela. Nikogo nie wydała. Niczego od niej nie wydobyli, żadnego nazwiska, żadnej wskazówki.

- Ale... - zaczął Bazyli i przerwał. Nie był w stanie sformułować dalszego pytania. - Ale... czy wyszła cało z tej ciężkiej próby?

Eliszama potrząsnął głową.

- Nie. Tego nie można było oczekiwać. Nie poddała się. Umarła podczas tortur.

- Umarła! - zawołał Bazyli z przerażeniem. - Jak może istnieć tyle okrucieństwa na świecie?

- Jest pierwszą męczennicą. Z czasem będzie ich o wiele więcej. Przygotowujemy się na to.

Kiedy Eliszama wyszedł, Bazyli zrobił na ślepo kilka kroków w stronę okna. Niewidzącymi oczami patrzył w niebo nad dachami błyszczącymi w upale popołudnia. Wszystko wydawało się czarne i beznadziejne. Juli-$juli umarła, aby uchronić innych od losu, jaki ją spotkał. Nie ma już tego mężnego stworzonka. Lekkie stopy, które tak radośnie wykonały “Taniec cesarskich sandałów” - znieruchomiały na zawsze.

- O, Jahwe - wyszeptał zdławionym głosem - mam nadzieję, że nie pozwoliłeś cierpieć zanadto tej dzielnej małej dziewczynce.

Potem podniósł ramię gestem pożegnania i zawołał:

- Vale!

5

Spoglądając na dół przez wąską szparę w kamiennym murze, Bazyli dojrzał Piotra siedzącego u szczytu sali. Przestrzeń wokół Apostoła wypełniał wpatrzony weń tłum. Od czasu pamiętnego snu wiedział, że Kefas to Piotr, jednak wygląd przywódcy Kościoła sprawił mu niespodziankę. Włosy i broda były śnieżnobiałe i bardzo zadbane. Miał na sobie płócienne białe szaty. Ale najbardziej rzucała się w oczy zmiana w całej jego postawie. Nie był to już pokorny starzec z gospody; to był uznany przywódca, człowiek, który potrafił rozkazywać i narzucać swoją wolę. Ludzie zebrani na sali czekali z przejęciem na jego słowa i przysłuchiwali się im tak, jak gdyby Jezus, który zszedł z tego świata, przemawiał jego ustami.

Jak się okazało, dyskutowano nad wyzwaniem Szymona Maga, gdyż Piotr przemówił:

- Zanadto się przejmujemy tym niegodziwym człowiekiem. On i jego podłe sztuczki niedługo utracą znaczenie.

- Ależ, Piotrze - odezwał się głos z końca sali - musisz przyznać, że wyrządza nam wiele zła. Ludzie się dziwią, szepczą, zadają pytania. Niektórzy odstępują od nas. Jeśli pozwolimy na jego lot z wysokiej wieży i nie odezwiemy się w ogóle, ludzie zaiste zaczną pytać, czy ma on większą moc od tych, których Jezus ustanowił, aby działali w Jego imieniu.

Inny głos przemówił żarliwie:

- To ty, Piotrze, przemówiłeś do ułomnego żebraka siedzącego przy Pięknej Bramie: “Powstań i pójdź.” To ty przywróciłeś Tabitę do życia. Czy nie możesz dokonać cudu, aby pokrzyżować plany tego uporczywego gza, tego nikczemnego Szymona? Wiemy wszak, że gdybyś tylko wyciągnął rękę...

- Bracia moi! - przemówił Piotr. - Czy sądzicie, że jest wolą Pana, abym tak poniżył moc, która jest mi dana, i użył jej dla zawstydzenia zwykłego kuglarza przed obliczem cezara?

- Cały świat będzie tego oczekiwał! - Ktoś zawołał. - Oczekiwał, nasłuchiwał i wyciągał wnioski.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, zanim Piotr znów przemówił.

- Wiedzcie, bracia moi, że nigdy nie próbowałem użyć tej mocy, o ile Pan nie przemówił do mnie i nie nakazał, abym to uczynił. Od owego wieczoru, kiedy Szymon stanął przed Neronem i powiedział: “Postaw mnie przeciwko tym chrześcijanom” - nasłuchiwałem. Lecz Pan nie przemówił. Nie usłyszałem, aby mi powiedział: “Powstań, Piotrze i czyń to, co ci nakazuję. Niechaj ten człowiek z Samarii nie pyszni się dłużej.” Co więcej, przyjaciele moi, byłem szczęśliwy, że Głos nie przemówił. Jasno widzę, że nie byłoby słuszne stawać w zawody z człowiekiem, który wygłasza szkaradzieństwa i posługuje się grzesznym stosowaniem czarów i

eliksirów.

- Jednak - zaprotestował jeden ze słuchaczy - czy możemy pozwolić na lot z wieży, żeby cały Rzym to widział i podziwiał?

- Nie sądzę, moi dobrzy przyjaciele - odparł Piotr stanowczo - abyśmy mieli prawo kwestionować wolę Bożą. Naszej wiary powinno wystarczyć, abyśmy uwierzyli, że On będzie czuwał, kiedy Szymon Mag wejdzie na swoją Wieżę Babel. Powinniśmy uwierzyć, iż cokolwiek się zdarzy, stanie się to za Jego zgodą.

Patrząc i słuchając w napięciu, Bazyli poczuł wielkie zadowolenie. To była odpowiedź, jaką spodziewał się usłyszeć. Nie miałoby żadnego znaczenia, gdyby Piotr wiedział, że Szymon zdany jest na przyrządy i że byłoby łatwo zdemaskować go przed światem. Odpowiedziałby to samo: Pan będzie czuwał.

Dał się słyszeć głos Eliszamy ben Szeszbazara.

- Piotr ma rację, przyjaciele. Czy lew powinien odwracać głowę, słysząc wycie hieny?

Bazyli zaczął posuwać się wzdłuż ciemnego i ciasnego korytarzyka, w którym stał. Szedł po omacku od jednej szpary, którą sączyło się światło, do drugiej. W ten sposób mógł zobaczyć wszystkich zebranych na dole. Dojrzał ascetyczną twarz Selecha, nerwową i zgnębioną twarz Demetriusza, kształtną głowę Eliszamy, obok którego siedziała delikatna pani o łagodnej twarzy, będąca niewątpliwie jego żoną. Dojrzał również okrągłą głowę i nierówne ramiona Marka. Zdawał się on trochę nie pasować do tak dystyngowanego zebrania. Zmarszczka na jego czole świadczyła, że jest tego świadomy. Na wszystkich twarzach, które obserwował, malował się ten sam wyraz szacunku, ta sama gotowość podporządkowania się decyzji byłego rybaka.

Bazyli nie zauważył, kiedy zmienił się temat rozmów na dole, ponieważ w tej chwili zaczął rozmyślać o świeżej tragedii. Zaciskał gniewnie pięści mówiąc do siebie: “Dlaczego nie wracam na dwór i nie przypochlebię się Neronowi, aby odzyskać jego łaski? Może pewnego dnia znalazłbym się z nim sam na sam i powiedziałbym: “Cezarze, czy pamiętasz dziewczynkę Juli-$juli, która tańczyła w twoich sandałach i którą skazałeś na śmierć?” A potem rozciąłbym to jego podłe, grube gardło przez całą szerokość i głos, który uważa za tak słodki, zamarłby w nim, tak jak znieruchomiały jej lekkie stopy.”

Gdy tylko to pomyślał, ogarnęło go poczucie winy. “Moje nawrócenie nie jest jeszcze pełne - powiedział do siebie z niepokojem - skoro wciąż jeszcze mogę myśleć o gwałcie.” Dopiero kiedy doszedł do szpary na samym końcu galeryjki i spojrzał w dół, gdzie siedział ubrany na biało Piotr, poczuł się nieco lepiej. “Wszak to był Piotr - przypomniał sobie Bazyli - który wyciągnął miecz na Górze Oliwnej i odciął ucho Malchusowi. Nie może być wolą Pana, żeby Jego lud wstrzymywał się zawsze od gniewu.”

Takie myśli zaprzątały jego uwagę, kiedy usłyszał na dole głos zadający pytanie:

- Czy nic nie można zrobić dla niewolników Kwintusa Klariusa, którzy mają zginąć dziś rano?

W sali, gdzie przywódcy Kościoła w Rzymie siedzieli z plecami wspartymi o gabloty, w których Eliszama przechowywał swoje drogocenne kamienie, zapanowała tak kompletna cisza, że Bazyli słyszał najlżejszy szelest ocierającej się o ławę tuniki.

- Ta myśl tkwi w was wszystkich - odezwał się Piotr głosem, w którym było współczucie i smutek. - Pytacie: "Czy taka jest wola Boża, aby setka mężczyzn i kobiet, wierzących w Jezusa i usiłujących iść w Jego ślady, została stracona za zbrodnię nie popełnioną?" Myślicie teraz: "Z pewnością ręka Pana wyciągnie się, by ich obronić."

- Tak, Piotrze - wtrącił Eliszama - wszyscy o tym myślimy.

- Bracia moi - odparł Piotr żarliwie - nie mogę dać wam innej odpowiedzi poza tą, którą już usłyszeliście. Pan nie rzekł: "Powstań, Piotrze i uratuj ich". I zaprawdę, bracia i siostry w wierze, czy powinniśmy oczekiwać, że przemówi? Słuchajcie cierpliwie i ze zrozumieniem. Zawsze wiadomo w przededniu wielkiej bitwy, że następnego dnia tysiące szlachetnych młodych mężczyzn polegną na polu walki. Czy Pan uważa, że powinniśmy zapobiec krwawej rozprawie? Kiedy siły przyrody wzbierają i potężna rzeka zalewa ziemię lub kiedy powstają ruchy we wnętrznościach ziemi i wiedzą w niebiosach, że nadchodzi trzęsienie ziemi, Pan nie sięga w dół, aby usunąć ludzi stojących na ścieżce zniszczenia. Kiedy w nędznej dzielnicy miasta zaczyna się zaraza, Pan nie przychodzi ratować ludzi, którzy pomrą. Życie na tej ziemi jest okrutne z racji nieposkromionych sił przyrody i niegodziwości ludzi. I tak było od początku.

- Posłuchajcie mnie - ciągnął po przerwie. - To, co wam powiem, tkwiło w moim umyśle od bardzo dawna. Wygłaszam teraz te myśli, gdyż pewien jestem, iż Pan wkłada słowa w me usta, abyście poznali Jego wolę. Musi się dokonać próba wiary człowieczej, jeśli nauki Jezusa mają wziąć górę. Widać coraz wyraźniej, że ta próba będzie miała miejsce tutaj, w Rzymie, na którym spoczywają oczy świata i gdzie siedzi na doczesnym tronie ten dziwny i okrutny człowiek. Los tych biednych uwięzionych niewolników to tylko początek. Rzym zazna takich prześladowań, jakich dotąd nie widział! Zaprawdę, jest wolą Bożą, aby wielu chrześcijan poniosło śmierć. Wielu z nas, siedzących tutaj dzisiejszego wieczoru, będzie wśród tych, którzy zginą. Z ich męczeństwa powstanie wielka, zwycięska wiara.

Piotr odpoczął chwilę, a potem przemówił głosem, w którym zabrzmiała wysoka nuta tryumfu.

- Żywię nadzieję, że ja, który się wyparłem Jezusa w tę najczarniejszą z nocy, będę wśród tych wybranych, abym mógł ujrzeć chwałę nowej jutrzenki. I to wam powiem, że chrześcijanie w

Rzymie wykażą tak niezachwianą wiarę w obliczu cierpień, jakie nadejdą, że wszyscy się zadziwią i będą mówili: “Jaki on jest, ten człowiek - Jezus, jaki jest Jego sekret, że mężczyźni i kobiety gotowi są umrzeć na Jego skinienie?” I prawdziwa wiara rozszerzy się na cały świat, i wszyscy ludzie pokłonią się przed żywym Bogiem.

Bazyli wpatrywał się w twarz natchnionego rybaka i wiedział, że ziści się to wszystko, co on mówi. Dzięki Łukaszowi zrozumiał, iż większym cudem od zwolnienia niewolników z więzienia jest stworzenie takiej wiary w słabych sercach ludzi.

- Tyle uczynię dzisiejszego wieczoru - zakończył Piotr - że po zakończeniu naszych rozważań pójdę do Więzienia Mamertyńskiego, gdzie przetrzymuje się tych nieszczęśliwych ludzi. Być może, Pan nie pozwoli, aby mury tego okrutnego więzienia stanowiły barierę nie do pokonania. Może uda mi się wejść do cel, w których czekają na śmierć. Będę usiłował wlać w serca tych ludzi spokój i szczęście, dzięki czemu powitają poranek z odwagą, jaką wszyscy musimy mieć, żeby nas podtrzymała w momencie próby. Jutro będzie początek! - zawołał. - Zwrócimy nasze twarze ku przyszłości w przekonaniu, że nasze cierpienia rozszerzą Ewangelię na cały świat.

6

Było już późno, kiedy Piotr wszedł do pokoju Bazylego i usiadł przy młodym artyście na rzeźbionej ławie pod ścianą.

- Oczy Pana spoczęły na tobie, mój synu. On cię wyrwał ze szponów niegodziwego cesarza, tak jak nasi przyjaciele pragnęli, aby wyrwał skazańców z murów więzienia.

- Wydostałem się w klatce, w której wniesiono młodą tancerkę do sali - powiedział Bazyli z goryczą. - Wiedząc, że ona nie żyje, trudno mi się cieszyć moim powodzeniem.

- Nie ubolewaj nad tymi, których czeka nagroda. - Po chwili milczenia Piotr się odezwał: - Jesteś z całą pewnością przeznaczony do specjalnej pracy w winnicy.

Leciutki cień uśmiechu ukazał się w głęboko osadzonych oczach.

- Czyś bardzo się zdziwił, kiedy zobaczyłeś mnie na dole i dowiedziałeś się, że stary Kefas z gospody to Szymon zwany Piotrem z Galilei?

- Nie, ojcze Piotrze. - Bazyli potrząsnął głową. - Byłem przygotowany. Zobaczyłem cię we śnie.

Potem zaczął opowiadać, co dane mu było zobaczyć. Piotr przysłuchiwał się z natężoną uwagą, a kiedy Bazyli doszedł do momentu, w którym z ciemności wyłoniła się twarz Jezusa, pochwycił obu rękami dłonie swego młodego towarzysza.

- Synu mój, tyś zobaczył Jezusa! - zawołał. - Jak niewielu jest dzisiaj żyjących, którzy widzieli Jego twarz! Mimo że stanąłeś śmiało przed Neronem i dokonałeś wyznania wiary - a wiedziałem, że to zrobisz, kiedy nadejdzie czas - nie można było oczekiwać, że spotka cię taka

nagroda. Najwyraźniej jest wolą Boga, aby ten Kielich został dokończony.

Bazyli powstał z ławy i poprawił knot w lampie oliwnej, aby otrzymać więcej światła. Potem zaniósł ją do stołu, na którym stał owoc ostatniej pracy pod przykryciem z mokrego płótna. Podniósł płótno i cofnął się o krok.

Piotr wpatrzył się w odsłoniętą głowę, a potem złożył ręce, usta mu zadrżały ze wzruszenia i osunął się na kolana koło stołu.

- To oblicze Jezusa... - wyszeptał. - Doprawdy, mój synu, pracowałeś w natchnieniu. Często widywałem Go takim: z oczami świetlistymi, przenikliwymi, pełnymi litości i zrozumienia. Jego usta, tak łagodne i czułe... Tak właśnie wyglądał owego wieczoru, kiedy się dzieliliśmy chlebem w Ścianie Dawidowej. Tak wyglądał, kiedy przyszedł do nas po raz ostatni.

Zaczął się modlić cichym i żarliwym głosem:

- O Jezu, Panie mój, obym mógł wkrótce ujrzeć Twoje oblicze, jak ten młodzieniec przez chwilę we śnie. Tak jak raczyłeś przyjść do niego, przyjdź do mnie, abym miał Twoje przewodnictwo podczas tych dni ciemności, które są przed nami. Stary jestem i zmęczony, potrzebuję Twego pokrzepienia i pomocy, o Jezu, Panie mój, Zbawco!

Po chwili podniósł się z kolan.

- Przykryj z powrotem, mój synu. Zanim nie wykonasz modelu w trwałej formie i nie wykończysz Kielicha, musisz tego strzec, jak arcykapłan strzeże tajemnic miejsca Świętego Świętych. Jest to dar dla całych pokoleń wiernych, które po nas przyjdą.

Głos jego zabrzmiał teraz zwyczajnie.

- Statek z Rzymu na Wschód odpływa za parę dni. Jego kapitan jest chrześcijaninem i zabierze cię ze sobą. Rozmawiałem z Eliszamą. Zgadza się, że powinieneś skorzystać z tak dobrej okazji i odjechać stąd.

Znów skłonił głowę, aby popatrzeć na oblicze Chrystusa.

- Strzeż tego pilnie, mój synu, z narażeniem życia, jeśli to będzie konieczne.

Rozdział XXXI

1

Helena byłaby poważnie zaniepokojona, gdyby wiedziała, że Szymon wstał o świcie w dniu próby. Pierwsze zorze wschodzące na niebie zastały go na szczycie dachu, skąd obserwował marmurowe parapety wzdłuż wierzchołka Palatynu, ukazujące się kolejno, w miarę jak słońce je wyławiało. Jak zwykle, wzrok jego spoczął na domu, w którym kiedyś mieszkał Cyceron.

Wyciągając ręce zaintonował:

- O, najwymowniejszy z mężów! Gdybyś żył dzisiaj, mógłbyś w złotych słowach wyrazić podziw, jakim obdarzy mnie cały świat.

Potem zwrócił wzrok w stronę, gdzie ściany Palatynu połyskiwały bielą zza drzew.

- Zaiste, Neronie - wykrzyknął - zadowolę dzisiaj twoją nienawiść do tych świętoszków. Za parę godzin obaj będziemy mogli zasiąść i z dumą poklepywać się po brzuchach, mówiąc: “No i co, Piotrze, no i co, Pawle, co macie teraz do powiedzenia o waszych marnych cudeńkach?”

Kiedy się dostatecznie rozwidniło, zaczął studiować wschodni manuskrypt o magii i okultyzmie. Zakupił go przed wielu laty za znaczną sumę, ale nigdy nie pojął tego, co on zawiera. Teraz zdawał się czytać z wielką uwagą, tak jakby naraz została mu dana moc przyswojenia sobie tajemnicy wiedzy. Odwracając kartę pergaminu skwapliwymi palcami, mruczał do siebie:

- Tak, to prawda... Zawsze wiedziałem, że te siły istnieją i mogą być wezwane na pomoc każdego, kto się odważy spróbować. Nikt nie ma tak wiele odwagi, jak ja.

Jeszcze siedział nad manuskryptem, kiedy jeden z jego pomocników wsunął głowę przez klapę zapadową, prowadzącą na dach. Była to bezczelna głowa o zuchwałej gębie i chytrym wejrzeniu. W jego beztroskim powitaniu machnięciem ręki przejawiał się całkowity brak szacunku.

- Kosy się gnieżdżą w kapeluszu filozofa!

- Balchisie! - zawołał Szymon. - Co ty sobie wyobrażasz, przeszkadzając mi w moich badaniach? Zabieraj mi się z oczu razem ze swoimi głupimi uwagami na temat magii.

Zuchwały uśmiech pomocnika stał się pogardliwy.

- Przyszedłem ci powiedzieć, o mężu wielkiej nauki, że przed godziną zakończyliśmy instalację małego urządzenia pod szczytem wieży. Nie było żadnego wścibskiego oka, które mogłoby podpatrzyć, co robimy. Już jest ukryte tak przytulnie, jak wesz w koszuli żebraka. I działa dobrze, o mądry Szymonie. Uspokój swój wielki umysł. Będziesz mógł wylecieć i powrócić tak swobodnie i bezpiecznie, jak szczebiocząca papużka.

- Tak, będę latał - przytaknął wielki mag. - Ale nie posłużę się urządzeniem zainstalowanym przez was na wieży. Wielka moc napłynęła w moje żyły. Wzniosę się pod niebo bez żadnej

pomocy.

- Niech ci za to beknie apulejski poganiacz mułów, dzielny Szymonie! - odparł Balchis. Zaczął spuszczać klapę schodząc po schodach i po chwili znikł z oczu Maga.

Po krótkim czasie Helena podniosła klapę i weszła na kamienny dach, tupiąc niecierpliwie sandałami. Niosła przerzuconą przez ramię czarnożółtą szatę.

- Oto twoja szata. Szwaczka skończyła ją późnym wieczorem. Pamiętasz - jeśli w ogóle coś pamiętasz z tego, co ja mówię albo robię, bo czasami w to wątpię - przymierzaliśmy różne kolory i zdecydowaliśmy, że ta kombinacja barw najbardziej się uwydatni na błękicie nieba. Popatrz! To będzie stosowny strój dla ciebie.

Szymon spojrzał znad manuskryptu bez zainteresowania.

- Doskonale.

Helena rozłożyła szatę na stole obok niego. Usiadła na kamiennej listwie, biegnącej dokoła pod krawędzią parapetu i spoglądała z rosnącym oburzeniem na częściowo opróżnioną skórzaną butlę, stojącą przy jego łokciu.

- Piłeś - napadła na niego - i to w dniu próby.

- Tak, moja zadido - odparł. - W pełni zdaję sobie sprawę, że to dzień próby, toteż wstałem o świcie.

- I popijałeś przez cały ten czas! - krzyknęła. - Szymonie, zachowałeś się jak głupiec. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że potrzebne ci będą wszystkie siły dla dokonania tego wyczynu?

Szymon był bardzo dumny ze swojej krzepy. Wyciągnął ramię i napiął muskuły.

- Spójrz tylko! Jestem silny, jak gladiator.

- Twoje ramię jest cienkie. Jadłeś za mało, a piłeś za dużo. - Napadła na niego z nagłą furią. - Czy pomyślałeś o tym, że nie wolno ci zrobić zawodu? Cesarz chce poniżyć chrześcijan. Spodziewa się tego po tobie, więc nie możesz go zawieść. Myślisz, że jesteś w łaskach u młodego cesarza, ale nie pomyl się co do następstw, jeśli ci się nie uda!

Mag podniósł dumnie głowę, jakby czuł na sobie wzrok Cycerona z oddali.

- Nie zawiodę - oznajmił.

Wziął manuskrypt i zaczął czytać, spoglądając z ukosa na swą towarzyszkę, żeby zobaczyć, jakie to na niej robi wrażenie.

- To zdumiewający dokument, moja Heleno.

- Przedtem nie mogłeś pojąć ani jednego zdania, kiedy próbowałeś to czytać.

- Została mi udzielona moc zrozumienia. - Spojrzał na nią płonącym wzrokiem. - Dar języków, moja Heleno. On zstąpił na mnie.

- Dar jednego języka zstąpi na ciebie, jeśli będziesz dziś pił. I to ostrego, mój Szymonie. -

Helena zrzuciła bukłak ze stołu. - Powinnam zostać i mieć ciebie na oku, mój człowieczku. Ale muszę iść na wieżę i sprawdzić, czy... czy wszystko jest założone jak trzeba. Oni mi mówią, że wszystko w porządku, ale żadnemu z nich nie dowierzam. Muszę zobaczyć to na własne oczy.

Schodząc po schodach, rzuciła jeszcze przez ramię kilka uwag na zakończenie.

- Posiłek południowy podadzą na wieży, a bezpośrednio po nim nastąpi próba. Czy mogę mieć pewność, że przyjdziesz na czas i będziesz zupełnie trzeźwy? Nie zdążę wrócić tu po ciebie. Przyrzeknij, że nie będziesz więcej pił. Musisz być dzisiaj trzeźwy.

- Możesz na mnie liczyć - oznajmił Szymon z nagłym przypływem godności. - Czy masz pojęcie, jakie moce towarzyszą darowi języków?

2

Dolny poziom drewnianej wieży miał obudowane ściany, więc ludzie, którym była powierzona obsługa urządzenia, mogli go użyć jako głównej kwatery. Stał tam długi stół na kozłach, na którym trzymano rozłożone plany, żeby mieć je pod ręką, poza tym było kilka polowych krzeseł w rodzaju tych, jakich używa wojsko. Pod jedną ze ścian wąskie drewniane schodki prowadziły do klapy w suficie. Stosy wiórów, nagromadzone we wszystkich kątach, napełniały pomieszczenie przyjemnym zapachem świeżego budulca.

Kiedy nadszedł Szymon, stół uprzątnięto i rozłożono na nim posiłek. Szymon szedł z głową wysoko wzniesioną, a pod pachą miał starożytny manuskrypt. Jego ubiór był biały i sięgał tylko kolan, odsłaniając nogi tak krzywe, jak trąba z rogu, pokryte szorstkimi, rudawymi włosami.

- Neron zrobił gest wobec tłumu na moją cześć - oznajmił Mag z dumną miną. - Kazał otworzyć szeroko bramy i pozwolił ciżbie wejść do ogrodów, żeby zobaczyli mój lot. Wkrótce cały Rzym przybędzie na Wzgórze Palatyńskie. Oblepią mury, jak muchy tygielek po tłuszczu, i na każdym drzewie znajdzie się ich obfitość. Będzie to dzień, który pozostanie w pamięci ludzkiej.

Helena spojrzała na niego z przerażeniem.

- Szymonie! - zawołała. - Gdzie jest czarnożółta szata, w której masz wystąpić?

- Postanowiłem jej nie wkładać.

Zatoczył się nieco i oparł rękę o stół, chcąc odzyskać równowagę.

- Polecę tak, jak stoję. To jest bardziej stosowne, moja zadido. Niechaj to będzie biel, jeśli mam latać jak anioł. - Spojrzał na nią rozdymając nozdrza. - Pamiętaj, że zstąpił na mnie dar języków.

- Siadaj i jedz! - głos Heleny był ponury. - Nie zdążę już posłać po szatę. Zostało tylko dwadzieścia minut. Taki tłum nie może czekać, nie mówiąc już o cesarzu. Piłeś jednak, ty przewrotny głupcze. Żałuję, że tyle się natrudziłam, przygotowując twe ulubione dania. Jest

baranina, piękny płat turbota i świeże owoce z targu.

Mag zasiadł przy stole, ale po pierwszym kęsie duszonej baraniny poniechał dalszego jedzenia.

- Mój umysł zajmują wyższe sprawy, niż napełnianie brzucha - oznajmił. - Zjem, kiedy już będzie po wszystkim. I będę pił. Żądam, moja miła Heleno, żeby było dla mnie dużo wina po moim pójściu w zawody z aniołami Pana, bo będę tak spragniony, jak podróżny na pustyni.

Helena siedziała po drugiej stronie stołu. Na te słowa przechyliła się nad stołem, aby przyjrzeć się lepiej wyrazowi jego twarzy.

- Wciąż mówisz o lataniu jak aniołowie. Co przez to rozumiesz?

- Rozumiem to, że będę... że będę latał jak one, chociaż brak mi ich skrzydeł. Polecę - tu zrobił pijacki gest - daleko nad Rzym. Każdy w mieście mnie zobaczy i będą krzyczeli: “Oto Szymon, któremu bogowie dali niewidoczne skrzydła, Wielki Szymon z Gitty!”

- Nie polecisz dalej od czubka wieży, jak na piętnaście stóp - oznajmiła Helena.

- Ludzie w Rzymie będą dzisiaj zadziwieni - przerwał Szymon z nagłym błyskiem w oczach. - A ty najbardziej, moja zadido.

Przy stole było dwóch pomocników. Idbasz siedział po prawej, a bezczelny kuglarz, który był u Szymona z samego rana, po lewej stronie Heleny. Oderwała wzrok od Szymona i zwróciła się do nich.

- Widzicie? On się upił! Ale to nie jest takie ważne; widywałam go, jak zręcznie przeprowadzał cały występ, kiedy w brzuchu aż mu dudniło od wina. Niepokoi mnie natomiast co innego. Nabieram pewności, że on postradał zmysły. Może zajść konieczność zatrzymania go tutaj siłą. Ja mogłabym iść na górę i odbyć lot zamiast niego.

- Nie mówisz tego poważnie! - zawołał Idbasz.

Zdumienie napełniło jego oczy podobne do czarnych rodzynek.

- Mówię poważnie. Mam zamiar pójść do imperatora i powiedzieć mu, że konieczna jest taka zamiana.

Szymon przysłuchiwał się temu, a w jego oczach narastał gniew. Wstał i wpatrywał się w nich przez stół. Jego ręce zacisnęły się na kozłach. Naraz szarpnął nimi, wykonał nagły ruch i podniósł blat stołu do góry. Cała trójka upadła na podłogę razem z misą pełną baraniny, półmiskiem z rybą i różnorodnymi gatunkami owoców. Zanim zdołali się zerwać, wbiegł na schody. Usłyszeli głośny trzask opuszczanej klapy, a potem przyciąganie budulca i innych ciężkich przedmiotów na klapę, żeby uniemożliwić im pościg. Usłyszeli jego śmiech.

- Wejdę sam jeden na wierzchołek wieży! - zawołał do nich. - Nie potrzeba mi pomocników do kręcenia kołem. Polecę o własnych siłach, jak to robią aniołowie. Zadziwię cały świat. Tak,

moja Heleno, cały świat będzie podziwiał Szymona z Gitty!

- On zupełnie oszalał! - zawołała Helena, zrywając się na nogi i patrząc z wściekłą konsternacją na poplamioną sosem nową, błękitnozłotą suknię, w którą się przystroiła na ten doniosły dzień.

- Idę do pałacu. Trzeba go powstrzymać. To już do was należy.

Pomocnik wszedł na schody i usiłował przedostać się przez klapę. Słyszeli jak Szymon gromadzi coraz więcej ciężarów i śmieje się z maniakalną uciechą.

- Weźcie drabiny - nakazała, z trudem łapiąc oddech. - Na górze są otwarte przestrzenie. Możecie dostać się do środka i dotrzeć do niego na szczyt. Prędko, jeśli cenicie własną skórę! Kara Nerona spadnie na nas, o ile w porę nie powstrzymamy tego pijanego głupca.

Przyjazny gest Nerona wobec tłumu spowodował napływ welkich tłumów. Stłoczyli się ciasno dookoła wieży, a na terenach ogrodów pałacowych roiło się od ludzi aż po mury. Każde drzewo było oblepione widzami i każdy dach na Wzgórzu Palatyńskim zapełniony. Drogi na wzgórze były zatłoczone zawiedzionymi ludźmi, którym nie udało się dostać bliżej.

Helena po wyjściu przez drzwi wieży zobaczyła, że droga do pałacu była zablokowana, mimo wysiłków straży pretoriańskiej, żeby ją oswobodzić. Rzuciła się z desperacją w tłum, krzycząc z całych sił:

- Przepuśćcie mnie! Muszę się dostać do pałacu. Przepuśćcie!

Kiedy usiłowała zrobić sobie przejście, usłyszała, jak ktoś zawołał:

- Jest tam! - Inne głosy podchwyciły: - Tak, jest tam! Wspina się po szczeblach! Jest ubrany na biało!

3

Neron ze swoim najbliższym otoczeniem siedział w małym wydzielonym ogrodzie na froncie pałacu. To miejsce uznano za najodpowiedniejsze, gdyż stąd był doskonały widok, a ponadto ciżba w ogrodach miała szansę zobaczenia głowy ich młodego imperatora zwieńczonej wawrzynem. Bez przerwy wołano:

- Witaj, cezarze!

Neron od czasu do czasu odpowiadał ukłonem. Mimo satysfakcji, jaką odczuwał z powodu swej popularności, nie był w najlepszym nastroju. Wciąż jeszcze dręczył go niepokój rozbudzony podejrzeniem o spisek w jego pałacu. Rzucał podejrzliwe spojrzenia na wszystkie strony i dwukrotnie dał znak strażom, żeby podeszły bliżej.

- Zachowują podejrzane milczenie, ci chrześcijanie - odezwał się do Tygellina. - Jak sądzisz, dlaczego nie reagują? Co teraz knują?

- Teraz nic nie knują - oznajmił jego stronnik polityczny. - Szybkość naszej akcji odniosła skutek. Nawet jeśli uprzednio żywili jakieś zamiary, teraz nie mają żadnych. Są zbyt przerażeni, aby podnieść głowy. Zgładzenie tamtych niewolników dało im nauczkę, której nigdy nie zapomną.

Neron potarł białą, pulchną dłonią brodę pozbawioną zarostu.

- Ufam, że masz rację Tygellinie - zakończył. Potem inny powód do skargi owładnął jego niezrównoważonym umysłem. Odwrócił się w drugą stronę i pociągnął Petroniusza za rękaw ze zwykłego płótna. - Strasznie jestem nieszczęśliwy, mój przyjacielu - wyszeptał.

- Brak poczucia szczęścia, cezarze - powiedział Petroniusz - to cena genialności. Tylko mierni ludzie mogą się cieszyć spokojem ducha.

- Wobec tego muszę być wielkim geniuszem! - zawołał imperator. - Moja skłonność do przygnębienia nie ma granic. Za bardzo się pośpieszyłem ze zniszczeniem wszystkich popiersi, jakie on dla mnie wykonał, Petroniuszu. Zdaję sobie teraz sprawę, że były tak dobre jak początkowo sądziłem. Niszcząc je byłem szalony. Przyjemnie było na nie patrzeć. Siadałem, przyglądałem się im i mówiłem do siebie: “Oto cezar, cezar taki, jakim go widzą inni, cezar zachowany dla potomności!” A teraz wszystkie są rozbite i wyrzucone na śmietnik!

- Człowiek, który je wykonał, żyje nadal - odparł Petroniusz. - Nie oceniałem aż tak wysoko jego dzieła, jak ty to czyniłeś, cezarze, ale nie można mu odmówić talentu. Jest zawiły i może podstępny, ale bez wątpienia mądry.

- Petroniuszu, Petroniuszu, w nim jest geniusz! Coraz bardziej utwierdzam się w tym mniemaniu.

- Więc przebacz mu publicznie i wezwij z powrotem - doradził arbiter tonem, który wskazywał, że cała sprawa jest małej wagi. - Będzie szczęśliwy mogąc wrócić, bo już zakosztował słodyczy cesarskich względów. Przypuszczam, że ukrywa się gdzieś w Rzymie i natychmiast przyjmie twoje zaproszenie.

Lecz Neron potrząsnął głową.

- Nie, Petroniuszu. Nie mogę wezwać go z powrotem. Bardzo go lubiłem. Jesteśmy prawie w tym samym wieku. - Jego grube wargi zadrżały żałośnie. - Kiedy byłem chłopcem, nie miałem towarzyszy zabaw. Mimo jego zuchwałości, kiedy rzucił mi w twarz takie ohydne wyznanie, nadal myślę o nim z sympatią, której nie mogę się pozbyć.

- Wystarczy podnieść palec i będziesz go miał z powrotem.

- Nie, Petroniuszu, mój mentorze i przyjacielu. Wpadłbym we wściekłość, gdybym znów go zobaczył i posłałbym na taką samą śmierć jak tę tancerkę. Zresztą obraził mnie publicznie. Rzucił mi w twarz: “Jestem chrześcijaninem.” Nie mógłbym mu przebaczyć, bo to uwłaczałoby mojej godności. Nie, nie wolno mi przywołać go z powrotem.

Milczał dłuższą chwilę, a na jego twarzy odbijały się sprzeczne uczucia.

- Czasem mam nadzieję, że Tygellin go znajdzie i że będę mógł wybrać tortury, jakim będzie poddany przed śmiercią. Ale czasami żywię nadzieję, że uda mu się uciec.

Tłum wciąż gęstniał w cesarskich ogrodach, bo ludziom udawało się przecisnąć przez straże u bram. Hałas przybierał na sile, rozmowy stawały się coraz bardziej podniecone, coraz częściej wybuchano śmiechem. Wznoszono okrzyki: “Bądź pozdrowiony, cezarze!” Przerywały je teraz żądania, aby mag nie tracił więcej czasu i wzniósł się w powietrze.

Nagle rozległy się głośne i podniecone okrzyki:

- Oto on!

Neron siedział wyprostowany w fotelu z kości słoniowej, a więc jego głowa już nie wspierała się niedbale o złotego orła na oparciu. Rzucił okiem w kierunku wieży i krzyknął z takim samym przejęciem jak inni:

- Oto on!

Boki wieży nie były obudowane, toteż każdy mógł zobaczyć drabiny prowadzące z jednej platformy na drugą. Postać w bieli wspinała się ze spokojem i godnością. Z boku dostawiono drabinę, po której zuchwały pomocnik śpiesznie wchodził na górę. Helenie udało się wreszcie przedostać do wydzielonego ogrodu, gdzie u wejścia, niczym aniołowie-stróże, stali dwaj strażnicy z wyciągniętymi mieczami.

- Muszę zobaczyć się z cesarzem - powiedziała. - To sprawa... sprawa życia i śmierci! Błagam was, przepuśćcie mnie!

- Cofnij się! - burknął strażnik. - Nikomu nie wolno zbliżać się do cesarza.

- Muszę się z nim zobaczyć! - wykrzyknęła. - Muszę go widzieć natychmiast. - Kiedy jedyną odpowiedzią strażnika był brutalny szturchaniec, podniosła głos. - O cezarze! O cezarze! Muszę cię widzieć. Mam wiadomość przeznaczoną tylko dla twoich uszu!

- To kobieta, która pomaga magowi - odezwał się drugi strażnik z niepokojem.

Neron usłyszał wołanie i oderwał na chwilę oczy od białej postaci wchodzącej po drabinie, żeby spojrzeć w stronę Heleny. Poznał ją i zmarszczył czoło.

- To znów ta kobieta - powiedział do Tygellina. - Dlaczego robi tyle zamieszania? Idź do niej i dowiedz się, o co jej chodzi.

Prefekt gwardii cesarskiej podszedł do wejścia. Dwaj strażnicy odstąpili na krok.

- O co chodzi tym razem? Czy masz więcej pogłosek, którymi chcesz zmącić spokój cesarza? Mów szybko, co masz do powiedzenia. Nie mam do ciebie cierpliwości.

Helena powiedziała mu, co zaszło, dodając:

- On oszalał. Jeśli się go nie powstrzyma, będzie to wielkie zwycięstwo chrześcijan.

Wzmianka o ewentualnym triumfie chrześcijan przekonała Tygellina, że należy powiadomić jego pana. Neron słuchał, nerwowo gładząc ogoloną brodę.

- Musi zostać zatrzymany! - zawołał. - Nie wolno pozwolić, aby zginął z racji swego szaleństwa na oczach całego Rzymu.

Szymon był już teraz blisko szczytu i poruszał się wolniej, jakby długa wspinaczka usztywniła jego mięśnie. Tysiące oczu wpatrywało się w wieżę w głębokiej ciszy, która zadziwiała po zgiełku, z jakim oczekiwano na jego przybycie.

- Już za późno, żeby go zatrzymać - oznajmił Tygellin. - Mógłbym nakazać straży, by strąciła go strzałami, kiedy stanie na szczycie. Musieliby jednak wypuścić wiele strzał, żeby w niego trafić, a każda strzała lecąca w górę musi przecież spaść na dół. Spadłyby jak grad na wiernych obywateli Rzymu po drugiej stronie ogrodów.

- Skłonny jestem wydać taki rozkaz - oświadczył Neron.

Petroniusz, który się temu przysłuchiwał, rzekł pośpiesznie:

- Nie wolno ci tego robić, cezarze. Rzym przyjąłby to bardzo źle.

Górna część wieży była szczelnie osłonięta ze względu na znajdujący się tam sekretny mechanizm. Doszedłszy do tego punktu Szymon znikł na kilka chwil, by zaraz wyjść spokojnie na pustą platformę u góry. Przez krótki moment badał wzrokiem zatłoczone ogrody na dole, a potem skrzyżował ramiona na piersi i podniósł wzrok na niezliczone dachy miasta. Robił to wszystko z godnością i spokojem, tak jakby był bogiem spoglądającym dobrotliwie na tandetne rękodzieła ludzi.

- Jest artystą do samego końca - zauważył Petroniusz. Zwątpienie zdawało się go opuszczać, kiedy obserwował wysoką postać w bieli.

- Sądzę, że on wzleci! - wykrzyknął Neron. - Czuję to w kościach.

Jednak natychmiast dowiódł, że nie wyzbył się całkowicie swych wątpliwości, gdyż zwrócił się do Tygellina z rozkazem dopilnowania, aby ta kobieta nie uciekła.

Przeczucie, które miało przenikać masywny kościec cesarza, zawiodło. Tego dnia nie udowodniono istnienia nadludzkich możliwości.

Szymon Mag, Szymon z Gitty, największy sztukmistrz i mag, jakiego widział świat, zbliżył się do krawędzi małej platformy, obrócił się w kierunku pałacu i wzniósł w powietrze ramiona, pozdrawiając majestat tronu. Potem skłonił się kilka razy gęstym tłumom. Wzniesionymi ramionami wykonał gest na znak, że jest gotów. Przez chwilę stał nieruchomo, uniósłszy się na palcach, a potem, bez cienia wahania, Szymon Mag rzucił się w przestrzeń!

Przez króciutką chwilkę biało ubrana postać zdawała się utrzymywać w powietrzu, potem nastąpiły paniczne ruchy kończynami. Obrócił się w powietrzu, jak akrobata wykonujący salto.

Jeszcze raz zrobił pełny obrót i zaczął spadać. Szybkość spadania nabierała z każdą sekundą impetu. Szymon Mag runął głową do przodu, na ziemię.

Potężny okrzyk podniecenia i przerażenia wzniósł się w powietrze. Ludzie stojący pod wieżą wpadli w panikę. Usiłowali się usunąć, żeby ciało nie spadło na nich. Leciało szybko i z głuchym łoskotem zwaliło się na ziemię. Ten łoskot wyraźnie powiedział całemu Rzymowi, że Szymonowi Magowi nie powiodło się.

- Złamał sobie kark dokładnie - stwierdził spokojnie Petroniusz. A potem dodał: - I z pełnym artyzmem.

Neron przysłuchiwał się wrzawie ciżby ludzkiej. Zmarszczył czoło, a policzki poczerwieniały mu z gniewu.

4

- Źle się stało - wymruczał Neron. - Co powie lud rzymski? Czy zmienią zdanie o chrześcijanach?

- Można pokierować ich opinią - powiedział Tygellin. - Można rozgłosić, że przywódcy chrześcijan wezwali złe moce, aby sparaliżowały jego ciało, kiedy skoczył w przestrzeń.

Neron patrzył na dzikie zamieszanie w miejscu, gdzie członkowie gwardii pretoriańskiej otoczyli kołem leżące ciało i siłą zmuszali żądnych sensacji ludzi do odstąpienia. Słysząc tę propozycję zwrócił się do Tygellina.

- Sądzisz, że można obciążyć tym chrześcijan? Jeśli dałoby się powiedzieć, że to ich wina, można by ich ukarać. Musimy zastanowić się nad tym, Tygellinie. Muszą się znaleźć sposoby, żeby zapłacili za jego śmierć.

Oficer straży wszedł za ogrodzenie i skłonił się przed Neronem.

- Ten człowiek nie żyje - oznajmił.

Tygellin zaczął wydawać rozkazy.

- Usuńcie natychmiast ciało. Później postanowimy, co z nim zrobić. Zabierzcie je stąd jak najszybciej. - Odwrócił się i zaczął szeptać do ucha swego pana: - Można też rozgłosić, że Szymon padł ofiarą zdrady swoich ludzi. Wynikły spory. Była jakaś szarpanina, zanim zaczął się wspinać po drabinie.

- Czy są wśród nich chrześcijanie?

- Nie sądzę. Ale można oznajmić, że tak jest.

Niepowodzenie lotu Szymona tak rozczarowało Nerona, że zrodziło się w nim wściekłe pragnienie odwetu. Słowa Tygellina podsunęły mu pomysł.

- Uwięź ich wszystkich - rozkazał. - Lud rzymski okradziono z widowiska. Nie wolno nam

pozwolić, żeby wracali do domów sarkając. Daj im coś innego do oglądania, Tygellinie. Zabierz tych niewdzięcznych pomocników maga na szczyt wieży i zrzuć ich stamtąd. - Rozejrzał się dokoła dzikim wzrokiem: - To będzie słuszna kara. Nie trać czasu, Tygellinie. Trzeba to zrobić, dopóki trwa podniecenie.

- A co z tą kobietą?

- Zatrzymaj ją aż do końca, aby lud mógł napaść nią swoje oczy, kiedy będzie czekała na śmierć.

Helena stała u wejścia do ogrodzonej przestrzeni przed pałacem, kiedy Szymon wspiął się na szczyt i widziała całą grozę upadku. Zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa zdecydowała, że mądrze zrobi, uciekając jak najdalej od oczu cezara. Przy pierwszym jednak ruchu ręka jednego ze strażników opadła na jej ramię, kładąc kres tym zamiarom.

- Zostań na miejscu - rozkazał gburowato. - Skąd mam wiedzieć, jakie nadejdą rozkazy?

Tak więc była tam, kiedy nadszedł rozkaz. Dwóch strażników sprawnie skrępowało jej ręce i wzięło między siebie. Była wyższa od Juli-$juli, ale ci, którzy widzieli tancerkę wyprowadzaną z bankietowej sali, mogliby powiedzieć, że ta sytuacja niewiele się różni od tamtej. Mogliby również pomyśleć, że przeznaczenie kazało jej spłacić ten dług.

Helena z odwagą przyjęła wyrok. Nie wyrywała się ani nie płakała. Nie usiłowała odwołać się do jedynej władzy, od której mogło nadejść wybawienie. Wiedząc, że odwoływanie się jest daremne, nawet nie spojrzała w kierunku Nerona.

- Co mają ze mną zrobić? - spytała cichym głosem.

Jeden z wysokich strażników zrobił gest, wskazując szczyt wieży.

- Masz być zaprowadzona tam, na górę.

Helena cofnęła się do tyłu.

- Nie! - zawołała. - Nie, tylko nie to! Nie boję się śmierci, ale ja... ja mam lęk wysokości!

- To nie potrwa długo - odparł żołnierz rzeczowym tonem.

Pomocnicy Szymona wyczuli niebezpieczeństwo w chwilę po tragedii, toteż oficerowie posłani przez Tygellina wrócili tylko z jednym. Był nim Idbasz, który padł ofiarą własnej opieszałości. Był przestraszony, wyrywał się i opierał, głosząc swoją niewinność przenikliwym krzykiem. Doprowadzili go tylko do wejścia i tam czekali na rozkazy. Jego obawy wzrosły, kiedy zobaczył, że Helena również jest zatrzymana.

- Pani, łaskawa pani! - wołał. - Nie zrobiłem nic złego. Powiedz im, że jestem tylko sługą. O niczym nie wiem. Proszę, dobra pani, powiedz, że są w błędzie, że nic nie zrobiłem.

Twarz Heleny pobladła, drżała, ale odpowiedziała mu spokojnym głosem:

- Nikt z nas nie zawinił. Ale mamy być ukarani.

- Co z nami zrobią? - spytał Idbasz z przerażeniem. - Pani, dobra pani, zrób coś dla mnie. Powiedz im, że jestem niewinny. Powiedz im, że ja nic nie wiem.

- Nie mogę ci pomóc, Idbaszu. Nie mogę pomóc nawet sobie - w głosie Heleny zabrzmiała rezygnacja. - Powiedziałeś kiedyś, że jesteś gotów umrzeć za mnie. Twoje życzenie częściowo się spełni. Umrzesz wraz ze mną.

Księga czwarta

Rozdział XXXII

1

Bazyli przybył do portu w Antiochii bez grosza w sakiewce. Pieniądze otrzymane od Józefa z Arymatei szybko topniały w Rzymie i nieco wolniej w czasie długiej podróży morskiej. Teraz już nie miał nic, więc zmuszony był odbyć drogę do domu pieszo, co nie było rzeczą łatwą, gdyż Gaj Dafne był położony piętnaście mil od morza. Oprócz odzieży i narzędzi, które nosił w niebieskim worku, miał teraz duży i bardzo cenny tobół z trzema popiersiami naturalnej wielkości, solidnie opakowanymi w słomę. "To najdroższy bagaż, jaki kiedykolwiek wędrował na czyichś plecach" - mówił do siebie ruszając w stronę domu.

Była to męcząca droga, duża jej część wiodła pod górę. Słońce zaczynało zachodzić za drzewa Gaju, kiedy roztoczył się przed nim widok jego domu. Przystanął, złożył na ziemi wszystkie swoje pakunki i patrzył z uniesieniem na białe mury, za którymi znajdzie Deborę. Był przekonany, że czeka na niego z taką samą miłością, jaką on nagromadził dla niej w swoim sercu.

Przez całe popołudnie powietrze wypełniała jesienna mgiełka, a teraz odczuwało się przyjemny chłód. Białe ściany oznaczały miłość, wygodę, spokój i możliwość rozpoczęcia nowego życia, życia połączonych celów.

"Dzięki Ci, Panie" - modlił się bezgłośnie - "żeś doprowadził mnie bezpiecznie z powrotem po tylu niebezpieczeństwach i żeś mi dał nowe i czyste serce."

Kiedy tak stał i patrzył wyczekująco przed siebie, wysoki starzec z tacą słodyczy na głowie zrównał się z nim na drodze. Bazyli nie był świadomy jego obecności, dopóki nie usłyszał słów:

- Powodzenia, młody panie.

Bazyli odwrócił się i spojrzał na mówiącego. Miał wrażenie, że skądś go zna. Był pewien, że widział już przedtem tego starego człowieka.

- Czy może być coś piękniejszego - odezwał się sprzedawca słodyczy, wznosząc rękę i wskazując na zachód - albo coś tak bardzo znamionującego spokój, jak to światło nad drzewami?

Bazyli pomyślał: "Pewien jestem, że blask oczu Debory będzie jeszcze piękniejszy."

- Z wiekiem - ciągnął sprzedawca - dni jesienne są coraz cenniejsze. Symbolizują przemijanie i zbliżanie się celu, do którego zmęczone stopy tak długo podążają.

Bazyli nabrał pewności, że to ten sam sprzedawca słodyczy, który się zatrzymał pod wejściem do domu jego ojca na Kolumnadzie.

- Już cię kiedyś widziałem - odezwał się. - Było to przed wielu laty, ale pamiętam bardzo dobrze, bowiem wtedy zobaczyłem coś, co nie było przeznaczone dla niepowołanych oczu.

Mówił dalej o przekazaniu karteczki na tacy i Hananiasz uśmiechnął się, kiedy w jego

własnej pamięci ożył ten epizod. Po chwili Bazyli zdobył się na odwagę i powiedział:

- Chrystus zmartwychwstał.

Hananiasz obrócił się ku niemu tak ochoczo, że zawartość tacy znalazła się w niebezpieczeństwie.

- Teraz już wiem. Jesteś Bazyli, syn Ignacjusza, o którym tyle mi mówiono. Szczęśliwy jestem, że powróciłeś cało ze swoich podróży.

- Słyszałeś o mnie od Łukasza?

- Tak, młody przyjacielu. Widziałem Łukasza wiele razy od czasu jego powrotu do Antiochii.

- Czy jeszcze tu jest?

Hananiasz skinął głową.

- Tak, jest jeszcze tutaj. Właśnie idę do niego. Już raz tam byłem z poufną wiadomością, ale wtedy ciebie nie widziałem.

- Czyżby mnie wtedy nie było?

Starzec kiwnął głową.

- To miało miejsce przed twoim odjazdem.

- Nie powiedziano mi o twoich odwiedzinach. Nie wiem też, jaką wiadomość przyniosłeś.

- Byłem, aby powiadomić, że Minjamin zjawił się w Antiochii. Rozmawiałem z twoją żoną i Łukaszem.

Bazyli zaczął się niepokoić.

- Mówisz, że Minjamin przybył do Antiochii przed moim wyjazdem? Nie wiedziałem o tym.

Z nagłym niepokojem pochwycił kurczowo rękaw starca.

- Czy stało się coś złego? Co się dzieje z moją żoną, Łukaszem i innymi przyjaciółmi? A co z Kielichem?

- Wszystko w porządku. Myślę, że nie powiedziano ci o Minjaminie z obawy, że gdybyś o tym wiedział, nie chciałbyś wyjechać. Uważali, że nie należy zwlekać z wykończeniem Kielicha.

Bazyli zamyślił się i pokiwał głową.

- Pewien jestem, że o to chodziło. Wiedzieli również, jak niezbędna była moja podróż do Rzymu z innych powodów, nie tylko dla dokończenia Kielicha. - Głos jego przybrał na sile. - Moja żona to najdzielniejsza kobieta na świecie. Pozwoliła mi odjechać, a sama pozostała, narażając się na niebezpieczeństwo i słowa mi o tym nie powiedziała.

- Zasługuje na najwyższą pochwałę. Jeśli chodzi o Minjamina, tym razem jego pogróżki spełzły na niczym. Pilnowano zelotów, a ponieważ wywołał pewne zamieszki - wsadzono go do

więzienia.

- Więc Kielich jest bezpieczny?

- Kielich jest bezpieczny. - Sprzedawca słodyczy zniżył głos. - Ale dopiero teraz będziemy mieli powody do obaw. Minjamin zostanie zwolniony z więzienia za parę dni. To człowiek gotowy na wszystko, jak sam się przekonałeś. Musimy mieć się na baczności.

Bazyli sięgnął po pakunki i zarzucił je na zmęczone plecy.

- Nie traćmy czasu na rozmowy. Chodźmy! - zakończył.

Służący, który podszedł do drzwi, był nowy. Popatrzył z usprawiedliwioną podejrzliwością na zakurzoną, obciążoną bagażem postać Bazylego i na starca z tacą na głowie.

- Moja pani spożywa wieczerzę. Przyszliście o niewłaściwej porze.

- Powiedz swojej pani - odparł Bazyli - że zmęczony podróżny, wracający z Rzymu, bardzo pragnie zaraz ją zobaczyć.

Czekając u wejścia, Bazyli usłyszał stukot sandałków w auli. Debora prawie biegła, ale kiedy znalazła się bliżej, szybkość jej kroków zmalała. Zawahała się, a kiedy stanęła na progu, spojrzała na niego z powagą i pytaniem w oczach.

Po raz pierwszy zauważył, że miała obszyty dół szaty institą - wstęgą noszoną przez mężatki. Ale to nie dodało jej powagi. “Nie wygląda na matronę” - pomyślał powracający małżonek. - “Wygląda jak dziewczynka w przebraniu.”

Głowę miał nabitą tym, co jej chciał powiedzieć, ale teraz patrzył na nią w milczeniu. Słowa zdawały się nie tylko niemożliwe do wypowiedzenia, ale po prostu zbędne. Nie zdając sobie sprawy, że wykonał jakiś gest, pochwycił ją w ramiona i trzymał mocno, gładząc jedną ręką jej włosy, bo jej głowa spoczęła mu na ramieniu. Płakała cichutko, lecz wiedział, że te łzy są łzami szczęścia.

Stali tak przez wiele chwil, świadomi tylko siebie nawzajem. Potem Bazyli podsunął rękę pod jej podbródek i uniósł twarz w górę, aby zajrzeć w oczy i wyczytać potwierdzenie wszystkich swoich nadziei. Łzy trwały króciutką chwilkę i już się uśmiechała.

- Tyle mam ci do powiedzenia - wyszeptał.

- Czy powiesz mi wszystko to, o czym ci mówiłam, że muszę usłyszeć, zanim... zanim wszelkie nieporozumienia zostaną za nami? - Łzy wzruszenia obeschły, oczy błyszczały radośnie. - To już zbędne! Powiedziałeś mi wszystko, co chciałam wiedzieć. I to bez słów.

- Mam ci tyle do powiedzenia! - zawołał. - To zajmie dni, tygodnie i lata. A wszystkie słowa będą do siebie podobne. Będę wciąż powtarzał to samo, że cię kocham, kocham, że jesteś najdzielniejszą i najpiękniejszą kobietą na świecie, że cenię sobie ogromnie malutki płatek twego ucha i czubek noska tak ładnie zagiętego, i świetlistość oczu. Nic innego nie będzie miało dla mnie

znaczenia. Będę ci powtarzał to wszystko do końca życia.

- Będziesz miał chętną słuchaczkę - szepnęła. - Ach, Bazyli, będę tak chciwie słuchała. Jestem pewna, że nigdy nie będę miała dosyć takich słów.

Łukasz wstał od stołu i wyszedł za nią, zatrzymując się w dyskretnej odległości w cieniu dziedzińca. Czując jego obecność, Debora wysunęła się z objęć męża.

- Bazyli wrócił! - zawołała do niego. - A jak się opalił i zmężniał w tych podróżach. Jeszcze mi nie przekazał nowin, ale jest coś w jego oczach, co mi mówi, że powiodło mu się to wszystko, po co wyruszył.

Wtedy Łukasz zbliżył się do nich. Od razu było widać, że przytłaczał go wielki ciężar niepokoju, gdyż postarzał się i wyglądał na bardzo zmęczonego. Jego twarz była pokryta drobnymi zmarszczkami.

- Mój synu - odezwał się - ja również podejrzewam, że duży pakunek u twoich nóg wypełnia ziarno twoich zbiorów. Ale kiedy stałem tam na dziedzińcu, nie mogłem nie widzieć czegoś, co mi sprawiło nie mniejszą przyjemność. Czy mogę już być zadowolony ufając, że ty i moja najdroższa Debora jesteście w takiej zgodzie, na jaką wskazywało wasze zachowanie?

- Tak! - zawołali jednocześnie, a potem uśmiechnęli się do siebie.

Debora wsunęła rękę pod ramię Bazylego i oparła głowę na jego ramieniu.

- Myślę, że jesteśmy w doskonałej zgodzie, ojcze Łukaszu.

- Mam wiele do opowiedzenia o moim pobycie w Rzymie - oznajmił Bazyli. - To prawda, że mi się powiodło i wykonałem to wszystko, po co tam pojechałem. Ale są też inne rzeczy, o których powinienem wam opowiedzieć. Sytuacja jest bardzo poważna.

- Poważne wiadomości muszą poczekać, aż zjesz wieczerzę - odrzekł Łukasz i uśmiechnął się do nich z wielką czułością. - Niech was Bóg błogosławi, moje dzieci. Jesteście tak uszczęśliwieni.

Powiedziałby coś więcej, ale zdał sobie sprawę, że sprzedawca słodyczy stoi za bramą i wciąż trzyma tacę na głowie.

- Co tu robi Hananiasz? - zapytał. - Czy przyszedł z wiadomością?

Starzec przestąpił bramę.

- Macie, jak się okazuje, o wiele przyjemniejsze rzeczy do omówienia, niż wiadomość, którą przynoszę. Może pozwolisz mi, Łukaszu, że szepnę ci parę słów do ucha, a potem odejdę.

- Byłam bardzo niedbała - wtrąciła Debora. Szybko przeciągnęła ręką po ciemnych lokach, aby doprowadzić je do porządku. - Czy mi wybaczysz, Hananiaszu, że ciebie tam nie dojrzałam? To wielkie wydarzenie, kiedy mąż wraca do żony po bardzo długiej podróży i to mnie tłumaczy. Chodź, zjemy razem kolację.

- Nie jestem głodny - zawahał się stary sprzedawca u wejścia.

Zgodził się jednak uwolnić od tacy. Kiedy obaj z Bazylim umyli twarze i ręce, podeszli do stołu, przy którym siedziało kilku przywódców Kościoła w Antiochii.

- Mój mąż powrócił! - zawołała Debora. - Obawiam się, że nie będę uważną gospodynią przez resztę wieczoru. Chcę usiąść przy nim, słuchać tego, co mówi i cieszyć się szczęściem, że wrócił cały i zdrów. - Po chwili dodała wesoło: - A teraz, kiedy już z góry przeprosiłam, mam nadzieję, że mi wybaczycie i będziecie się czuli jak we własnym domu!

Wszyscy chcieli posłuchać nowin z Rzymu, więc Bazyli zaczął opowiadać, zachowując dla siebie tylko jedną sprawę, swoją wizytę u Kestera. Debora, siedząca tuż obok niego, wpatrywała się w męża z przejęciem, lecz spuściła wzrok, kiedy zaczął mówić o Szymonie Magu i Helenie, tak jakby nie chciała szpiegować jego myśli. Podniosła gwałtownie głowę, kiedy opowiadał, w jaki sposób zginęli.

- Tego, co zaszło w owym dniu, nie widziałem na własne oczy - powiedział Bazyli. - Musiałem się ukrywać. Wyjechałem nazajutrz, a w całym Rzymie aż wrzało od tych opowieści.

Wyglądał teraz na przygnębionego. Ściszył głos.

- Mówiono mi, że zginęła odważnie. Tak odważnie, jak mała tancereczka, za której śmierć była odpowiedzialna.

Debora pobladła, wstrząśnięta tym, co usłyszała. Po chwili szepnęła mu do ucha:

- Bardzo mi jej żal.

- Tak, ja też bardzo jej żałowałem. Namawiałem ją, żeby uciekła, ale ona zaczęła żywić w owym czasie bardzo nieprzyjazne uczucia wobec mnie i nie zważała na to, co mówiłem.

Najwięcej uwagi w grupie poważnych słuchaczy przy stole zyskała ta część jego opowiadania, w której Piotr przepowiadał prześladowania chrześcijan w Rzymie. Będzie to stanowiło potężny bodziec dla szerzenia się nauk Chrystusa w całym świecie. Dyskutowali o tym z powagą, tonem, który wyrażał zbudzone w nich obawy.

Po rozejściu się gości Debora poszła do swego pokoju i zaraz wróciła w ciepłym, ciemnoniebieskim pikowanym płaszczu, ślicznie haftowanym złotą nicią. W oczach miała ślady łez.

Bazyli był tak skonsternowany tym widocznym dowodem zmiany nastroju, że ujął jej twarz w dłonie i zajrzał w oczy, marszcząc się z zakłopotania.

- Łzy? - zapytał. - Płakałaś, moje kochanie? Nie jesteś szczęśliwa?

- Och tak, Bazyli - zawołała - jestem tak szczęśliwa, że nie mogę się zdecydować, czy się śmiać, czy płakać! Więc robię jedno i drugie. Ale łzy, które teraz widzisz w moich oczach, są z racji tych dwóch biednych dziewcząt, zabitych w tak okrutny sposób, i tych wszystkich kobiet w

Rzymie, które czeka śmierć. - Potem strąciła łzy mrugnięciem powiek i uśmiechnęła się. - Ubrałam się tak ciepło, byśmy mogli wyjść do ogrodu. Czy pamiętasz, mój mężu, że w wieczór twego wyjazdu siedziałam zupełnie sama przy stole, a ty podszedłeś i usiadłeś obok? Później wyszliśmy do ogrodu i pocałowałeś mnie, a ja poczułam, że mimo wszystko zaczynasz mnie kochać. Dopilnowałam, aby służba nie ruszała krzeseł, na których siedzieliśmy. Wszystko zostało tak jak było, niczym w kapliczce, i nikt nie miał prawa tam usiąść. Chodźmy tam teraz i usiądźmy na tych samych krzesłach i mówmy do siebie, mówmy, aż zaspokoję przemożną potrzebę słuchania twego głosu. - Powietrze ochłodziło się, kiedy doszli do dziedzińca. Debora, drżąc, wtulała brodę w ciepłe okrycie.

- To upominek - wyjaśniła. - Od tego starego, przemiłego księcia. Dostałam go przed jego odjazdem. Nie wiesz jeszcze o tym, że zmarł po dojechaniu do Mezopotamii. Jego ciało zabrano do Sin. Czymham przywiózł nam tę wiadomość.

- Żałuję, że tak nagle zmarł. Jego śmierć musiała przekreślić wszystkie plany Czymhama.

- Nie bardzo - roześmiała się Debora. - On mnie wprost rozśmiesza, ten zabawny Czymham. Myślę, że nie sposób wytrącić go z równowagi. Kupił tam towary, załadował na te dwa wielbłądy, które mu dałeś, a potem sprzedał to wszystko tutaj, w Antiochii, z bardzo dobrym zyskiem. Nie potrzebujesz martwić się o niego, będzie bogatym człowiekiem. Kiedy go widziałam po raz ostatni, szykował się do drogi na Wschód z dodatkowym wielbłądem i dwoma pomocnikami. Wyglądało na to, że dobrze mu się powodzi. Utył i nosił się bardzo, ale to bardzo dumnie. Zgadnij, co jeszcze przywiózł z Mezopotamii?

- Jeszcze jedną żonę! - wykrzyknął Bazyli.

Debora roześmiała się z zachwytem.

- Zgadłeś! Jeszcze jedną żonę. Pełniutką, rezolutną kobietkę, wciąż chichoczącą i kołyszącą biodrami. Pochodzi z Dalekiego Wschodu i mówi dziwnym językiem. Nie mogą zamienić ani słowa między sobą i wciąż jeszcze muszą porozumiewać się na migi. Kiedy Czymham chce powiedzieć, że jest zadowolony, to ją całuje. Kiedy jest rozgniewany, targa ją za uszy. Kiedy chce ją gdzieś posłać, wskazuje kierunek i klepie po... no po tej części, która się znajduje najbliżej. Ostatni raz, kiedy ich widziałam razem, wyglądało na to, że jest dość zmęczony całą tą pantomimą.

- Lubię Czymhama - dodał Bazyli. - Nie potrafię jednak zrozumieć, dlaczego naśladuje Salomona i zapełnia domy żonami.

Debora położyła mu dłoń na ramieniu, kiedy doszli do przestrzeni zasklepionej łukami.

- Musimy usiąść na tych samych krzesłach. Posadziłam krzew na zewnątrz w ogrodzie, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie mnie pocałowałeś. Codziennie go podlewam i pięknie się rozrasta.

- Co wieczór o tej samej godzinie będę przychodził tam z tobą, żeby cię znów pocałować. Będzie to rytuał, o którym nigdy nie zapomnimy.

Debora zawołała z podnieceniem:

- Dziwne, że ci to przyszło na myśl! Miałam właśnie wysunąć taką propozycję. Jaka jestem szczęśliwa, żeś pomyślał to samo... i pierwszy wypowiedział!

Bazyli zdjął kinnor Debory, który wisiał na ścianie za nimi i zaczął uderzać w struny.

- W drodze powrotnej poznałem na okręcie żeglarza pochodzącego z południa Galii - powiedział. - To kraina ciepła i łagodna, a żeglarz miał łagodny głos. Śpiewał piosenki ze swego kraju. Oto jedna z nich: “Zazdrościsz żeglarzowi, który patrzy na zielone wody i płynie z wiatrem, mając nad sobą szafir nieba. Zazdrościsz temu, kto oprawia klejnoty, bo wciąż spoziera na piękne dusze pochwycone i zachowane w przeźroczystym kamieniu. Zazdrościsz mnie, ponieważ wracam do mego domku na skraju lasu i znajduję tam ciebie.”

Debora wsunęła stopy pod spódnicę, żeby trzymać je w cieple i ukryła ręce w obszernych rękawach wschodniego okrycia.

- To urocza piosenka - pochwaliła radośnie.

- Napiszę moje własne strofy do tej samej melodii - oświadczył. - Pierwsza zacznie się od słów: “Zazdrość mi, bo wróciłem do domu i spojrzałem na ciebie, moja Deboro, nowymi oczami.” Będzie miała sto zwrotek, w których opowiem, co widzę tymi moimi nowymi oczami. W jednym będzie mowa o falistości twych włosów nad czołem, w drugim o śmiałym loku nad uszkiem, w trzecim o nieśmiałymloczku skrytym za uszkiem. Będą zwrotki o słodyczy twego uśmiechu, drobnych stopach i dołku w łokciu, który chciałbym ucałować natychmiast, gdybyś nie opatuliła się tak szczelnie.

- Mam nadzieję, że nigdy nie przestaniesz pisać coraz to nowych zwrotek - powiedziała Debora, wyciągając do niego rękę.

- Będę je pisał przez całą wieczność.

Kiedy wreszcie powrócili do domu, zaprowadziła go do jego pokojów na górze i pokazała, gdzie położono pakunki.

- Potrzebne ci będą nowe stroje - powiedziała potrząsając surowo głową. - Wszystko, co masz na sobie, jest bardzo zniszczone. Pierwszym obowiązkiem twojej żony będzie dopilnowanie, żebyś nie wyglądał jak żebrak u bram miasta.

Stali blisko siebie w milczeniu, patrząc sobie w oczy z powagą i przejęciem.

- Masz jeszcze dużo pracy nad Kielichem - szepnęła. - Czy zaczniesz dziś wieczór?

Skinął spokojnie głową, odpowiadając:

- To prawda, że wiele jeszcze mam do zrobienia. Ale...

Debora z uśmiechem przysunęła się trochę bliżej. Nie potrzebowała żadnych forteli, których ją nauczyły służki pani Antonii. Eliksir "Sekret Kirke" byłby zbędny w tym momencie. Oczy miała szeroko rozwarte i promienne, policzki zaróżowione, usta lekko rozchylone.

- Czy pamiętasz, kiedy przeżyliśmy pierwszą romantyczną chwilę? - zapytał.

Skinęła głową z przejęciem.

- To było wtedy, kiedy ścigali nas rzymscy żołnierze. Wsłuchaj się, Bazyli. Czy słyszysz? To stopy żołnierzy biegnących za nami i szczęk tarcz, i odgłos nawoływań. Ale nie złapali nas, prawda?

Mówiąc to odwróciła się i zaczęła uciekać przez pokój. Bazyli skoczył za nią. Kiedy pędzili razem przez górę Moria i zbiegli w dolinę, z trudem nadążał za nią, ale tym razem nie napotkał takich trudności. Kilkoma susami dogonił ją i pochwycił w ramiona. Podniósł ją wysoko nad posadzką, obejmując jednym ramieniem wokół talii, a drugim pod kolana.

- Czy myślałaś, że pozwolę ci odejść?

- Nie sądzę, żebym chciała odejść - odparła, tuląc twarz do jego ramienia.

Zatrzymał się, kiedy doszli do drzwi jej pokojów, a potem powoli i uroczyście przeniósł przez próg.

2

Kiedy się obudził, usłyszał, że Debora chodzi po swoim pokoju. Było to niezwykłe, gdyż zazwyczaj nie kwapiła się ze wstawaniem. Zawahał się. "Nie powinienem wchodzić - pomyślał - ale nie mogę dłużej czekać."

Wszedł więc i zastał ją przy umywalni. Myła właśnie twarz powoli i bardzo dokładnie. Była owinięta lekkim muślinem, miała odkryte ramiona i kark, a nawet w pełni odsłonięte kostki u nóg. Wyglądała tak młodziutko i wdzięcznie, że stał parę chwil, przyglądając się jej z podziwem i oddaniem.

- Nie powinienem wchodzić - odezwał się w końcu. - Czy mogę?

Oderwała ręce od twarzy i uśmiechnęła się do niego.

- Jesteś moim mężem i kocham cię - odparła. - Dlaczego miałabym mieć coś przeciw temu?

Na te słowa objął ją i ucałował.

- Dotychczas nie zdawałem sobie sprawy - wyszeptał - że najlepsza pora dla małżonka na pocałowanie żony jest wtedy, kiedy ma ona mokre policzki.

- Szorowałam policzki, żeby się całkowicie rozbudzić - oznajmiła Debora. - Jak wiesz, nie jestem sobą wczesnym rankiem. Ale dziś rano muszę być żwawa, żeby podtrzymać zainteresowanie i zadowolenie mego męża.

- Czy musiałaś wstać tak wcześnie? - zapytał z uśmiechem, widząc, z jaką powagą to mówi.

- Ależ tak, to naprawdę jest konieczne. Dzień zapowiada się wspaniale i nie chcę utracić ani jednej minuty.

Jednak wspaniały dzień rozpoczął się od tego, że Bazyli rozłożył swoje narzędzia i zaczął przygotowania do pracy. Debora spodziewała się tego, ale mimo to próbowała namówić go do lepszego spędzenia dnia.

- Miałam nadzieję - zaczęła - że nie będziesz pracował. Moglibyśmy wybrać się na cały dzień do lasu, zabrać psa ze sobą i spędzić bezczynnie cały dzień. Czy nie uważasz, że to byłoby przyjemne?

Bazyli potrząsnął smętnie głową.

- Dużo czasu straciłem na dworze Nerona. A i podróż powrotna do domu zdawała się ciągnąć w nieskończoność. To napełniło mnie poczuciem, że praca nagli. Czuję, że gdybym stracił choć jeden dzień, zostałbym ukarany i nie mógłbym wykończyć Kielicha.

Debora poniechała wysiłków.

- Nie będę ci przeszkadzała - przyrzekła.

Jednak późnym rankiem musiała mu przerwać. Stanęła w drzwiach i z ociąganiem zwróciła się do jego pochylonych pleców.

- Przyszło dwóch przyjaciół, Elidad i Iridża.

Od razu się odwrócił.

- Tych dwóch silnych, młodych ludzi? Czy musimy mieć strażników?

- Słyszałeś, że Minjamin ma być zwolniony z więzienia. Łukasz się obawia, że... że zaczną się kłopoty. Jak wiesz, Kielicha nie ma tutaj. Łukasz go zabrał zaraz po twoim wyjeździe, ale nie powiedział, co z nim zrobił. Zeloci próbowali go znaleźć i przeszukiwali domy chrześcijan w całej Antiochii. Było to bardzo dokładne przeszukiwanie. W ciągu jednej doby szli od domu do domu i wszystko przetrząsali. Niczego nie znaleźli, ale wyrządzili znaczne szkody.

- Słusznie będą uważali, że Kielich zostanie przeniesiony tutaj z powrotem, teraz, kiedy wróciłem, żeby nad nim pracować.

- Łukasz jest pewien, że Minjamin tak pomyśli. Ale nie chce, żeby Kielich tu wrócił, dopóki nie skończysz prac przygotowawczych.

Debora zwróciła teraz uwagę na przybyszów.

- To sympatyczni młodzi ludzie. Bardzo spokojni, łagodni i skromni. Gdybyś zobaczył węzełki z odzieżą, jakie ze sobą przynieśli. Tak tego niewiele i taka jest uboga... Żal mi ich bardzo.

Bazyli odłożył dłuto z poważną miną.

- Zeszłego wieczoru rozmawiałem z Hananiaszem. On i jego żona wszystko rozdali. Ona

jest już stara i słaba, ale jakoś żyją. Zamierzają nadal tak żyć, dopóki im sił wystarczy. Słuchając go miałem poważne wątpliwości. Czy można służyć Jezusowi, kiedy się jest bogatym i żyje się tak, jak ludzie bogaci?

Debora zastanawiała się nad tym z nie mniejszą powagą.

- Chciałabym powtórzyć to, co słyszałam od mego dziadka, ponieważ jestem pewna, że to uwolni cię od tych wątpliwości. Powiedział, że Kościół chrześcijański pod jednym względem stanie się taki, jak każda inna religia, to znaczy będzie musiał być zarządzany i utrzymywany. Muszą w nim być przywódcy, natchnieni przywódcy i misjonarze dla szerzenia Ewangelii, i muszą być męczennicy tworzący tradycję i budujący wiarę. I muszą być pieniądze - kończył dziadek z wielkim naciskiem.

- Czy wiesz - ciągnęła dalej - że Hananiasz i jego żona Dorkas mieszkają przez cały rok w szałasie? Nie mają piecyka na zimę i rozniecają ogień na ziemi. Palą kawałki drewna, wysuszony gnój wielbłądzi i odpadki, jakie Hananiasz zdoła zebrać. Mają po jednym kocu, po jednym talerzu i czarce do picia. Nie mają ani noży, ani łyżek. Ich łoże to sterta kamieni wyłożona suszonym mchem. Mają pustą skrzynię po skórach służącą im za stół.

Podeszła tak blisko, że oparła rękę o jego stół do pracy.

- Bazyli - powiedziała patrząc na niego z przejęciem - mnie na równi z tobą zależy na tym, żeby się oddać służbie dla Niego. Ale w jaki sposób my oboje możemy być dla Niego najbardziej pożyteczni? Żyjąc w podwórzu przy garbarni w małym szałasie? Młoda para, spodziewająca się mieć potomstwo, nie może tego zrobić. Wyruszając jako misjonarze do odległych części świata? Wcale nie jestem pewna, że bylibyśmy dobrymi kaznodziejami. Ale możemy nadal pracować z wielkim pożytkiem, pomagając zdobywać fundusze na Kościół. Taka była rola mojego dziadka i sądzę, że najbardziej się nadajemy do tego, aby iść w jego ślady. Kiedy ciebie nie było, myślałam o tym i robiłam plany. Mam pewne pomysły, jak moglibyśmy zabrać się do tego.

Bazyli spojrzał na nią i uśmiechnął się, widząc jej poważną minę.

- Sądzę, że masz rację. Odezwałem się bez głębszego namysłu. - Musisz okazać mi cierpliwość, moja mądra żoneczko. Jestem nowo nawrócony i czasami zapał we mnie aż kipi.

Zamilkł, a potem pokiwał głową.

- Tak, teraz widzę, że masz rację. Musimy znaleźć sposób, żeby z nas był jak największy pożytek.

Zbliżało się popołudnie, kiedy Bazyli poczuł, że ktoś mu się przygląda. Odwrócił głowę i zobaczył w drzwiach swą żonę.

- Stoję tutaj już od dłuższego czasu - odezwała się, robiąc nie więcej jak jeden krok do środka. - Czy jesteś bardzo niezadowolony, że ci przerywam?

Przeciągnął się wolno i z przyjemnością.

- Czuję się zmęczony. To dobrze, że mi przerwano. Że ty mi przerwałaś.

- Nie miałam zamiaru. Przez cały dzień podchodziłam do drzwi i odchodziłam, obserwowałam ciebie, a ty byłeś tak zajęty pracą, że nic nie widziałeś. Podchodziłam do drzwi - zaczęła liczyć - jedenaście razy.

Podniósł się, znów się przeciągnął i podszedł do umywalni w rogu pokoju.

- Na dziś dosyć. Daj mi trochę czasu na odświeżenie się, zaraz dołączę do ciebie. Przez resztę dnia możemy popróżnować według twego życzenia.

- Wspaniale! - zawołała Debora. - Miałam nadzieję, że tak będzie. Może w końcu odwróciłeś się tylko dlatego, że tak bardzo na to czekałam.

Zrzucił z siebie wierzchnią tunikę i opuścił do pasa koszulkę. Debora była zbyt zaskoczona, żeby się poruszyć.

- Nie wiem, czy powinnam pozostać.

Odpowiedział, cytując jej własne słowa:

- Jesteś moją żoną i kocham ciebie. Dlaczego miałbym mieć coś przeciw temu?

Skończył się myć i wyciągnął rękę po ręcznik.

- Nie, nie, to niesprawiedliwe! - zawołała. Zabrała od niego ręcznik. - Muszę mieć szansę wypróbowania tego odkrycia, którego dokonałeś dziś rano.

Podeszła blisko i objęła go ramionami za szyję.

- Miałeś rację! To cudowne całować swego męża, kiedy jego twarz jest mokra!

A potem, aż po sam koniec dnia, wszystko było cudowne. Poszli na spacer do lasu, biorąc psa ze sobą. Spędzili dwie godziny w tej części Gaju Dafne, która się rozciągała w dół, ku domowi. Byli zachwyceni bogactwem odcieni jesiennego listowia. Znaleźli późną odmianę gruszy i po pierwszym skosztowaniu jej owoców stwierdzili, że chociaż przyroda wydaje plony od wieków, żadne nie dorównywały tym właśnie gruszkom. Pies, szalejący z radości, że wolno mu było iść z nimi, ścigał zające, gonił dzikie zwierzątka i szczekał, aż wreszcie popadł w całkowite wyczerpanie.

- To wspaniały towarzysz - oznajmił Bazyli.

Kamyczek dostał się do sandałka Debory i Bazyli pochylił się, żeby go usunąć; tak długo pozostawał w tej pozycji, że roześmiała się i zapytała, o co chodzi.

- Zrobiłem jeszcze jedno odkrycie - oznajmił. - Masz najpiękniejsze nóżki na całym świecie.

Myśleli najpierw, że wraz z zachodem słońca ten dzień osiągnął swój szczyt. Obeszli wokół Gaj Dafne i doszli do wzniesienia, z którego rozciągał się widok na zachód, co wyglądało tak,

jakby Stwórca zachodów powiedział do siebie: “Dzięki mnie miliony młodych par znalazło drogę do siebie i do miłości, ale ta para jest jeszcze bardziej zakochana niż inne i ktokolwiek i kiedykolwiek. Muszę zrobić dla nich coś niezwykłego.”

Istotnie, był to niezwykły zachód słońca. Horyzont przybrał czerwień ognistych opali, tak bardzo cenionych przez rzymskie damy. Na obrzeżach chmur pokazała się barwa korali i ametystów, a przez wszystko przebijała wielka jasność, jakby ten dzień był godny zapamiętania i zasługiwał na blask aureoli na jego zakończenie.

Ale szczytowy punkt dnia nastąpił, jak się okazało, później, kiedy usiedli we dwoje do wieczerzy, a Debora ubrała się na różowo. Nigdy przedtem nie widział jej w różowym kolorze. Szata, którą włożyła, była wypracowana, na wierzchu miała nałożoną grecką trójkątną draperię w kolorze białym, oblamowaną z przodu na czarno i nie mniej, jak pięć przecięć na rękawach, przytrzymanych paskami z tego samego czarnego materiału. Taki właśnie strój był odpowiedni dla młodej mężatki na tego rodzaju okazję. Bazyli patrzył z zachwytem i mówił z dumą, że żaden kolor nie mógłby lepiej uwydatnić jej ciemnych włosów i łagodności oczu.

- Nie jestem dziś głodna - powiedziała ujmując podbódek w obie dłonie. - Powiedziałam służbie, żeby się udali na spoczynek, ja sprzątnę ze stołu i poprzycinam knoty w lampach. Będziemy sami, mój mężu.

Kot podszedł, skoczył jej na kolana i zaczął cicho mruczeć. Pies wsunął się ukradkiem, wiedząc, że to teren wzbroniony i położył się u jej stóp. Bazyli zdjął ze ściany kinnor, ale położył go na posadzce koło siebie, nie uderzając w struny.

- Nie chcę ani rozmawiać, ani śpiewać w tej chwili. Chcę tylko siedzieć tutaj w milczeniu i poić oczy twoim widokiem.

3

Gwałtowny wicher, który żeglarze zwą euroklydonem, zerwał się na morzu, a na Antiochię spłynęło z gór mroźne powietrze. Żebracy na targowisku i u bram miasta mieli purpurowe nosy. Mężczyźni, przenoszący na plecach cegły lub płytki, musieli często przystawać i “zabijali” ręce o boki dla rozgrzewki. Nawet w domu na brzegu Gaju Dafne, gdzie można by się spodziewać, że dzięki błogości małżeńskiego stanu dwoje jego mieszkańców nie zwraca uwagi na takie drobiazgi, jak zmiana pogody, wszyscy źle się czuli. Służący, z popękaną skórą na kolanach przykrytych czerwonymi, ciepłymi nakolannikami, roznosili piecyki po wszystkich pokojach i rozpalali w nich węgiel drzewny, ale bynajmniej nie zmniejszyło to przykrego chłodu. Służące, nieco trzpiotowate z racji swego młodego wieku, cieszyły się, że ich zimowe suknie są dość długie, aby ukryć źle dopasowane indusium, przylegające do nóg od pasa po kostki.

Bazyli kończył już swą pracę i bardzo siebie popędzał, musiał jednak dość często ją przerywać i ogrzewać zmarznięte palce nad piecykiem. Wreszcie z triumfalną miną pochwycił młotek i rozbił kopię Kielicha na drobne kawałki, na znak, że jej więcej nie potrzebuje. Debora w tej właśnie chwili weszła do pokoju, okutana w pallę z kapturem na głowę. Szata w całości okrywała jej stopy. Bazyli, który bez wahania nałożył wełniane nakolanniki, nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo ona marznie. Później, kiedy takie podniecające rzeczy przestały być tajemnicą, zdał sobie sprawę, że Debora nigdy nie nosiła brzydkich nogawic noszonych przez służące. Musiała zadowolić się spodnim ubiorem znacznie mniej chroniącym przed zimnem. Pod spodem miała lekką bieliznę, przytrzymaną na wysokości kolan luźnymi podwiązkami.

- Trochę zmarzłam! - powiedziała. - Nie porzuciłabym mego piecyka, żeby ci tu przeszkadzać, gdybym nie miała ci czegoś do powiedzenia: czegoś bardzo ważnego. Tak ważnego, że nie mogłam czekać.

Bazyli wyciągnął rękę i uszczypnął ją w czubek noska, który był zimny i, jeśli mamy być w zgodzie z prawdą, odrobinę czerwony.

- Mój biedny króliczek z ciepłego Południa nie wyhodował jeszcze zimowego futerka - zażartował. - Zawsze mamy kilka takich zimnych dni w Antiochii, moja ty, “drżąca panienko”. Czy żałujesz, że nadal musisz tutaj przebywać? - Potem oczy mu rozbłysły i podniósł głos do triumfalnego okrzyku. - Cieszę się, że przyszłaś, bo mam ci coś do powiedzenia! Skończyłem Kielich. Widzisz, rozbiłem wzorzec. Rzeźba nie wymaga już ani jednego pociągnięcia rylcem.

Wszystkie inne sprawy ulotniły się z pamięci Debory. Klasnęła w dłonie, a potem zarzuciła mu ramiona na szyję i uściskała z zachwytem.

- Naprawdę skończyłeś? - zawołała. - Tak długo to trwało i tyle się napracowałeś. Czy wolno mi teraz go zobaczyć? Taki byłeś skryty, że nawet nie rzuciłam na niego okiem od czasu twego powrotu z Rzymu.

Objął ją w talii ramieniem i obrócił tak, żeby stanęła twarzą do jego warsztatu pracy, na którym stała srebrna obudowa Kielicha, przykryta kawałkiem czystego płótna. Zdjął płótno i przez kilka minut stali w milczeniu patrząc na jego dzieło. Dwanaście niedużych figurek, z których każda była dokładną miniaturową kopią modelu naturalnej wielkości, zajmowało swoje miejsce na tle skomplikowanego rysunku zwojów winorośli. Brzeg został odwinięty i upiększony z niezmierną i czułą dbałością. Podstawa była rozwiązana doskonale. Dwunastu apostołów stało wokół ukończonego obramowania, jakby byli na straży. Sprawiało to wrażenie, że czuwają.

- To jest piękne! - wykrzyknęła Debora. - Ach, Bazyli, to najcudowniejsza rzecz na ziemi. Jestem pewna, że gdyby mój dziadek mógł to zobaczyć, powiedziałby, że zrobiłeś to, czego on pragnął, a nawet więcej.

Bazyli przypatrywał się swej pracy w zamyśleniu.

- Chciałbym być tak samo pewny jak ty.

Potem przypomniał sobie, że pierwotny cel jej przyjścia nie miał nic wspólnego z wykończonym Kielichem.

- Mowiłaś, że masz mi coś do powiedzenia.

- Tak - odparła Debora, odwracając oczy od srebrnego relikwiarza. - Mam na myśli nie to, co zostało ukończone, ale coś, co się dopiero poczęło.

- Nie rozumiem... - zaczął Bazyli. Potem przerwał. Wziął ją za ramiona i obrócił, aby przyjrzeć się jej twarzy. - Co powiedziałaś?

- Tak. - Debora kiwnęła głową i zaśmiała się króciutko. - Tak, będziemy mieli dziecko.

Teraz z kolei Bazyli zapomniał o wszystkim innym. Wziął ją w objęcia i przytulił jej policzek do swego. Stali tak przez długi czas, zbyt szczęśliwi i zatrwożeni wspaniałością swego szczęścia, żeby wymówić bodaj słowo. Debora zaczęła płakać cicho, a on czuł słony smak jej łez na ustach.

To Bazyli przerwał milczenie.

- Jestem bardzo dumny. Bardzo dumny i bardzo szczęśliwy. Pewien jestem, że książę Ping-$li, jeśli jego duch gdzieś tu przebywa, jest prawie tak samo dumny jak ja.

- Tak - szepnęła. - Kochany staruszek byłby zadowolony. A pomyśl, jaki Łukasz będzie szczęśliwy, kiedy się o tym dowie!

Bazyli znów umilkł, a potem oznajmił:

- Nazwę mego syna Józefem.

- Ja też chciałabym, żeby się nazywał Józef. Ale gdyby się zdarzyło, że trzeba będzie znaleźć imię dla córki, co byś zaproponował?

- Nie zastanawiałem się ani przez chwilę nad taką możliwością.

Łukasz odwiedził ich po południu i wtedy zdecydowali, że ukończony Kielich będzie nazajutrz pokazany przywódcom Kościoła. Stary lekarz był w kiepskim nastroju. Nadszedł list od Pawła, wciąż jeszcze trzymanego w więzieniu w Cezarei, który też był w złym stanie ducha z racji przedłużającego się uwięzienia.

- Jest tam nowy zarządca, nazywa się Festus - oznajmił Łukasz. - Ten Festus jest tak sprzedajny, jak cała reszta urzędników przysyłanych z Rzymu. Paweł zdaje sobie sprawę, że mógłby natychmiast uzyskać zwolnienie, gdyby zadbał o zaoferowanie stosownej łapówki. Ale on odmawia. Raczej umrze w swej celi, niż się ucieknie do takiego kroku. Jest przekonany, że mają go już dosyć i wkrótce odeślą do Rzymu na rozprawę sądową. Pragnie, żebym mu towarzyszył.

Popatrzył na nich z wyrazem najwyższej powagi.

- Jesteśmy już starymi ludźmi i możemy w każdej chwili usłyszeć wołanie. Może tak być, dzieci moje, że już was nigdy nie zobaczę.

Serce zamarło w Bazylim. Myśl o rozstaniu była dla niego ciężka, zwłaszcza że wiedział, na co przybysz w Rzymie może być narażony.

- Wy macie przed sobą całe życie - powiedział starzec rozpogadzając twarz. - Weszliście na dobrą drogę. Dożyjecie wielu zmian i nieraz będziecie narażeni na niebezpieczeństwo. Coś mi mówi, że przed wami długie lata wspólnego życia, w którym szczęście przeważy nad smutkiem. Wychowacie udanych synów i córki, uczestnicząc w budowie Wielkiego Kościoła.

Zmienił temat i położywszy dłoń na ramieniu Bazylego mówił z naciskiem:

- Nie wracajcie do Jerozolimy. Ludzie tam są bardzo podnieceni i nic nie powstrzyma wybuchu rebelii przeciw rządom rzymskim, który wkrótce nastąpi. Może to nie będzie w tym roku ani w przyszłym, ani za dwa lata. Ale to nadchodzi. Świadczą o tym znaki na niebie tak wyraźne, jak czarna chmura. Jerozolima ucierpi, jak to już często bywało w minionych latach. Pozostańcie tutaj, dzieci moje, gdzie będzie dla was dużo pracy do wykonania.

Przyniósł ze sobą duży pakunek i zaczął go rozwiązywać.

- Ponieważ tak prędko muszę wyjeżdżać - dokończył - nie widzę powodu, aby dalej zwlekać z wręczeniem wam darów księcia.

Oczy młodej pary się spotkały. Debora spłonęła rumieńcem, ale nie zaprotestowała, kiedy Bazyli zaczął wyjaśniać:

- Teraz możemy śmiało je przyjąć. Myślę, że... że warunek został spełniony.

- Widać wyraźnie - oznajmił rozpromieniony Łukasz - że Pan spogląda na was bardzo łaskawym okiem.

Dary były tak wspaniałe, że wszyscy troje wpadli w podziw. Dla Debory był wachlarz z jadeitu i pergaminu, z pięknym szmaragdem na rączce; pierścień ze smokiem, którego oczy były z rubinów, i pół tuzina jadeitowych filiżaneczek, delikatnych jak płatki kwiatów. Dla Bazylego był pierścień z zielonym kamieniem i pas z masywnej skóry pokryty mosiężnymi płytkami, wysadzanymi niezliczoną ilością drobnych, drogich kamieni.

Były jeszcze dwa dary bardzo starannie owinięte w skórę z łani.

- Dla pierworodnego syna - powiedział Łukasz zdejmując opakowanie.

W jednym było kimono z ciężkiego, czarnego jedwabiu i para maleńkich spodenek oraz okrągły, czarny kapelusik z wesołym, pawim piórem. W drugim - okropna maska nadzwyczaj pomysłowo wykonana z lekkiego materiału, jakiego żadne z nich nigdy nie widziało.

Zachwycona Debora nałożyła pierścień na palec, a potem rozłożyła wachlarz i zaczęła się nim wachlować. Ale nie trwało to długo. Odłożyła swoje podarunki na bok i zaczęła oglądać dary

przeznaczone dla pierworodnego syna. Wygładziła miękki jedwab kimona i podniosła do góry z rozradowanym uśmiechem.

- Będzie mu w tym ślicznie. To niezwykły strój, ale będzie w nim wyglądał jak mężczyzna w każdym calu! Ach, co za piękne pióro! Jestem pewna, że będzie z niego bardzo dumny i będzie się puszył jak paw. A pomyśl tylko, jak się będzie cieszył, nakładając tę okropną maskę i strasząc nią inne dzieci!

Spojrzała na męża oczami, w których można było wyczytać dumę i oczekiwanie.

- Z trudem się doczekam chwili, kiedy będzie dość duży, aby włożyć ten strój.

Rozdział XXXIII

1

- Wkrótce będziemy wiedzieli, gdzie Łukasz ukrył Kielich - powiedział Bazyli.

Chłód wciąż jeszcze dawał się we znaki, więc w każdym rogu pokoju ustawiono syczące żarem piecyki. Trzech starych ludzi, stojących z Łukaszem w drugim końcu pokoju, przebyło długą drogę przez miasto. Wyglądali na przemarzniętych do szpiku kości. Skupili się dookoła jednego z piecyków, ale wciąż jeszcze mieli zaczerwienione twarze, a ich okrycia były owinięte ciasno wokół szyi.

Na środku pokoju ustawiono stół. W jednym jego końcu stała świeżo ukończona srebrna oprawa świętego Kielicha, otoczona dwunastoma modelami naturalnej wielkości, według których Bazyli pracował. W drugim końcu przygotowano naczynia, noże i łyżki do posiłku, który miał być podany później. Dwaj młodzi strażnicy stali u drzwi.

- Nareszcie wielka tajemnica zostanie wyjawiona - odparła Debora.

Siedzieli razem na ławie cofniętej pod ścianę. Debora miała na sobie płaszcz w kolorze śliwkowym, nałożony na normalny ubiór, ale mimo to było jej zimno. Grzeczność nie pozwalała wsunąć stóp pod fałdy płaszcza, toteż wystawione były na dotkliwy ziąb panujący w pokoju.

Zwróciła uwagę Bazylego na mężczyznę, który właśnie wszedł, odsuwając z dumną miną strażników.

- To Harhas, naczelny prezbiter Antiochii. Ma opinię człowieka bardzo surowego i nieugiętego.

Przyglądała się bacznie gościowi. Harhas był niemłodym mężczyzną, który oblekał twarz w surowość, co miało świadczyć o jego zasługach. Był ułomny, a kiedy utykając szedł przez pokój z laską w ręku, rzucał bystre spojrzenia na wszystkie strony. Dostrzegał wszystko i wszystkich. Od czasu do czasu odchrząkiwał wojowniczo, co oznaczało, że jest gotów rozbić i zniszczyć wszelkie niezgodne z jego wolą sugestie. Zatrzymał się na chwilę przy stole, aby obejrzeć dzieło Bazylego. Bez żadnego komentarza, oprócz lekkiego zmarszczenia brwi, postąpił na sztywnych nogach tam, gdzie stał Łukasz z innymi prezbiterami.

- Mówi się - komentowała Debora szeptem - że bardzo trudno dogodzić Harhasowi. Jeśli nie może przeprowadzić swojej woli, wpada w gniew i mówi: “Umywam ręce.” Łukasz powiedział kiedyś, że umył ręce od tylu rzeczy, iż powinien mieć najbielsze dłonie na świecie. Oczywiście - dodała - to bardzo świątobliwy starzec.

- Kiedy przyjdzie do decydowania o losie Kielicha, czy będzie nam wolno wyrazić nasze opinie?

- Och, nie, nie. - Debora wyglądała na zgorszoną. - Harhas jest bardzo stanowczy, jeśli chodzi o tego rodzaju sprawy. Powiedział do Łukasza, że decyzję wydadzą prezbitrzy. Nawet Łukasza mogą nie dopuścić do głosu. Jestem pewna, że będziemy musieli wyjść z pokoju, jeśli dyskusja tutaj się odbędzie.

Spojrzała na Bazylego jakby niepewna, czy mądrze postąpi, mówiąc coś ponadto.

- Łukasz z trudem go przekonał, żeby pozwolono nam przebywać w tym pokoju, choćby po to, żeby wstawić Kielich w jego oprawę.

- Tan stary człowiek - nadmienił Bazyli - uważa siebie za tak ważnego jak arcykapłan, król Jerozolimy i cezar w jednej osobie.

- Patrz! - wykrzyknęła Debora. Z najwyższym zdumieniem wpatrywała się w drzwi. - Co to takiego?

Bazyli odwrócił się w tamtym kierunku z nie mniejszym zdumieniem, kiedy zobaczył, że stoi tam Hananiasz ubrany jak zawsze w brązową suknię (innej nie miał), tak często reperowaną i łataną.

O krok za nim przystanęła drobna kobieta, pomarszczona i siwa, która niosła na kiju przełożonym przez ramię duży tobołek ze starym przyodziewkiem. Za nią stanął młody mężczyzna, o przyjemnym i otwartym wyrazie twarzy, ubrany w najzwyklejszą szarą odzież. Ta trójka przystanęła w drzwiach rozglądając się niepewnie.

- Więc to prawda, on wyjeżdża! - zawołała Debora. - Ten młodzieniec to ich wnuk, Dawid. Mówiono o tym, że będzie misjonarzem, ale jego babka nie chciała, żeby wyjechał tak prędko. To dowodzi, że postanowienie zapadło. Pomyśl tylko Bazyli, ich jedyny wnuk!

- Dokąd go wysyłają?

- Zamierzano wysłać go na Wschód. Na bardzo Daleki Wschód, może tam, skąd pochodzi książę. To misja na całe życie. Pewnie ci biedni, wspaniali staruszkowie nigdy go już nie zobaczą i nie dostaną od niego żadnej wiadomości...

Łukasz postąpił do drzwi, aby powitać przybyszów.

- Hananiaszu, Dorkas i ty, Dawidzie! Wejdźcie! Wejdźcie, przyjaciele. Podejdźcie do ognia. Obawiam się, Dorkas, że to była dla ciebie długa droga. Powiedziałem temu dumnemu mężowi, że zadbamy o to, aby ktoś was przywiózł, ale on uznał to za zbędną wygodę dla grzesznego ciała.

- Dobrze mnie zna - odrzekła stara kobieta uśmiechając się i kiwając głową.

Trudno było ocenić jej wiek, bowiem wydawała się starsza po każdym spojrzeniu na jej twarz, prawie przeźroczystą i suchą jak kość słoniowa. Tylko jej oczy błyszczały inteligencją i pogodą ducha.

- Wolałam iść pieszo. To... to jest pielgrzymka.

Łukasz wziął od niej tobołek i położył ostrożnie na stole. Hananiasz już powierzył swoją tacę opiece jednego ze służących. Wobec nalegań Łukasza cała trójka usiadła przy piecyku. Od razu utkwili wzrok w zawiniątku leżącym na stole i popadli w nastrój najgłębszej zadumy. Łukasz popatrzył na wszystkich, a potem, zgodnie z przyjętą formą, zwrócił się do głównego prezbitra.

- Kiedy musiałem znaleźć odpowiednie miejsce dla Kielicha, rozważałem tę sprawę zanosząc modły i postanowiłem, że najlepiej będzie, jeśli powierzę go opiece Hananiasza. Uznałem za stosowne oddać go w ręce kogoś, kto tak wspaniale służy Panu i z tak wielką pokorą.

- A jak Hananiasz zabezpieczył ten cenny depozyt? - spytał Harhas ostrym, wymagającym głosem.

Porywisty wiatr wpadł z wyciem przez parapety domu, popędził gwałtownie w dół na zewnętrzny dziedziniec, porywając w górę liście z ziemi, tak, że wirowały, tańczyły, miotały się dokoła. Fale zimna przedostały się przez płótno naciągnięte na okna, wywołując u zgromadzonych osób dreszcze.

- Opowiedz nam, Hananiaszu - zachęcił Łukasz.

Stary człowiek nie przypisywał sobie zbyt wielu zasług.

- Wręczono nam Kielich zawinięty w wiele warstw jedwabiu. Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, iż to okrycie nie zostało zdjęte. Żadne oko nie spoczęło na Kielichu. Żadna ręka go nie tknęła.

Kiedy mówił, miał spojrzenie utkwione w posadzkę, ale teraz podniósł oczy i uśmiechnął się.

- Naradziłem się z Łukaszem - ciągnął dalej. - Obok pieca z cegły, w którym Dorkas wypieka słodkie łakocie, stoi blaszane pudło, w którym trzyma cukier. Ja... ja pozwoliłem sobie włożyć Kielich do tego pudła i przykryć cukrem - powiedział z wyraźnym zakłopotaniem.

Jeden z prezbitrów zapytał:

- A ci, co robili przeszukiwania, nie zajrzeli do blaszanego pudła?

Nastąpiła chwila milczenia.

- Słyszeliśmy, że przeszukują wszędzie, że włamują się do domów. Czekaliśmy z modlitwą na ustach. Ale nikt nie przyszedł. Pewno dlatego, że jesteśmy tacy ubodzy. Nie sądzili, że Kielich może być powierzony takim jak my.

- Ufajcie Panu! - zawołał Harhas głosem doniosłym i triumfalnym. - On wyciągnął dłoń przed siebie i wrogowie przeszli obok.

Łukasz wystąpił na środek pokoju.

- Józef z Arymatei pozostawił Kielich w moich rękach, jestem odpowiedzialny za niego, dopóki nie zostanie umieszczony w oprawie, którą tu widzimy. Później przejdzie na własność

Kościoła naszego Pana, Jezusa. Jego właścicielem stanie się każdy chrześcijanin na świecie, a do przywódców Kościoła będzie należała decyzja, co należy z nim zrobić. Może powiedzą, że już nie trzeba przetrzymywać go w ciemnościach, w tajemnym ukryciu przed tymi, których oczy pragną go oglądać. Być może powiedzą: "Wyślijcie go jawnie do Jerozolimy." My, którzy dzisiaj będziemy mieli przywilej oglądania Kielicha, nie wiemy, co postanowią przywódcy Kościoła.

Odwrócił się i wskazał palcem tobołek.

- Dorkas, rozwiąż to, proszę.

Żona sprzedawcy powstała. Podniósł się też jej mąż, kładąc opiekuńczą dłoń na jej ramieniu, kiedy szła do zawiniątka leżącego na stole. Wyciągnęła ręce i zaczęła powoli odwijać koc tak wytarty przez częste pranie, że był cienki niczym źdźbło trawy. Jeszcze wolniej odwijała jedwabne chusty, a jej palce drżały, gdy wreszcie doszła do końca. Kiedy Kielich ukazał się oczom zebranych, wydał się bardzo mały i zwyczajny. Gdyby można było przypisać mu ludzkie cechy, trzeba by powiedzieć, że był bardzo skromny.

Cisza zaległa w pokoju. Wszystkie oczy skupiły się na Kielichu. Wiatr ustał na chwilę, a wniesione przedtem świece, ustawione na stole, płonęły jasnym i równym światłem. Ciszę przerwał Łukasz.

- Hananiaszu, czy zechcesz umieścić teraz Kielich w oprawie dla niego przygotowanej?

Sprzedawca słodyczy był zaskoczony.

- Nie, nie! - zawołał. - Nie ja. Nie jestem wart, aby go dotknąć choćby koniuszkiem palca.

- Pewien jestem, że wyrażam życzenie prezbitrów i wszystkich członków Kościoła - oznajmił Łukasz - mówiąc, iż nikt nie uczynił więcej dla wiary od Hananiasza i jego żony Dorkas. Nie przychodzi mi na myśl nikt bardziej godny takiego wyboru.

Starzec stał z głową pochyloną, z oczami utkwionymi w posadzkę.

- To mnie zmusza do wyznania, że wybrałem taką drogę życia, aby odpokutować za popełniony wielki grzech. - Wyciągnął do nich ręce. - Są one nieczyste. Nie wolno im dotykać Kielicha. Nie mogę mieć nadziei, że oczyszczą się z grzechu przed śmiercią. - Uspokoił się teraz i spojrzał z uśmiechem na żonę. - Dorkas, która bez słowa skargi dzieli ze mną moją pokutę, nie ma żadnego grzechu na sumieniu. Jej ręce są czyste.

- Dorkas uczyni to za ciebie.

Żona Hananiasza wahała się przez chwilę. Potem drżącymi palcami podniosła Kielich, przytrzymała go przez chwilę nad srebrną oprawą i opuściła bardzo ostrożnie w ściśle dopasowane obramowanie kunsztownie wyrzeźbionej oprawy.

Wiatr wybrał ten moment, żeby uderzyć w płócienne zasłony na oknach tak gwałtownie, że wyrwał je z uchwytów. Uniosły się do góry, wpuszczając falę chłodnego powietrza. Świece

zamigotały i zgasły. W pokoju zrobiło się ciemno.

Dawid, który stał tuż za Łukaszem, wstrzymał oddech.

- Widzę Kielich! - wymówił pełnym napięcia szeptem.

Łukasz odwrócił się i położył rękę na jego ramieniu.

- Tak, mój synu - wyszeptał. - Dla tych, którzy patrzą oczami pełnymi wiary, Kielich nigdy nie jest ukryty. Ale nie mów o tym tutaj. Są w tym pokoju i tacy, którym brak gorącej wiary: dla nich Kielich nie świeci.

2

Przez następny tydzień dom był pełny odwiedzających. Wystawiono Kielich na widok publiczny i chrześcijanie Antiochii przychodzili gromadnie, żeby go zobaczyć. Niepozorni mężczyźni i kobiety przybywali tu z wyrazem oczekiwania na twarzach, a wychodzili z blaskiem zadowolenia w oczach. Inni prezbitrzy wzięli górę nad Harhasem, który znów umył ręce od wszystkiego. Tak więc dwóch strażników stało u szczytu schodów i wszyscy, którzy wchodzili do pokoju, żeby zobaczyć Kielich, musieli przechodzić między wyciągniętymi mieczami.

Trzeba było zachować ostrożność z powodu wiszącego nad nimi zagrożenia. Prezbitrzy na zmianę stawali przed wejściem do domu, żeby wybadać przychodzących i ustalić, czy można otworzyć bramę. Nie wpuszczano więcej niż trzy osoby naraz.

Od początku było wiadomo, że dom jest obserwowany przez wrogów. Raz ślepy żebrak poszedł za grupą przybyszów w górę stromizny, ostrożnie macając drogę długim kijem i wołając od czasu do czasu: “Jestem ślepy! Pożałujcie mnie i dajcie przejść”. Bazyli był akurat u wejścia i zauważył, że stopy żebraka, w chwili nieuwagi, starannie wyminęły wyboisty kawałek drogi. Podszedł znienacka i położył mu rękę na ramieniu.

- Nie przyszedłeś tu w dobrych zamiarach, przyjacielu. Radzę ci, nie posługuj się tym kijem odchodząc, bo z całą pewnością dobrze widzisz. Jeżeli chciałeś nas oszukać, trzeba było się przyjrzeć, jak chodzą ślepcy.

- Zabierz ręce! - warknął domniemany ślepiec, z wściekłością sięgając ręką za pas po ukryty sztylet. - Tak, mój śmiałku, mam oczy i przyszedłem tutaj, żeby z nich zrobić użytek. Jeśli nie będziesz ostrożny, użyję ich, żeby wypróbować tę moją zabaweczkę,może nawet na twoich plecach.

Odwrócił się i odszedł drogą w dół, miotając pogróżki i przystając od czasu do czasu, aby spojrzeć przez ramię na usytuowanie budynku.

Druga próba przeszpiegów była bardziej udana. Dostawa odbywała się przez tylną furtkę w murze. Kucharka niosąca kosz z rybami do kuchni czuła, że ktoś za nią idzie, ale kiedy odwróciła

głowę, sprzedawca znikł. Ukrył się na tylnych schodach, prowadzących do tej części domu, gdzie wystawiono Kielich. Kucharka była kobietą tęgą, o muskularnych ramionach, zaś intruz miał niewielki wzrost. Złapała go za kark i wypchnęła na dziedziniec, a potem chwyciła rybę z kosza i trzasnęła go po twarzy.

- Ty oczajduszo szpiegowska - syknęła. - Nie śmiej tu wracać, bo oddam cię w ręce tych, którzy będą wiedzieli, co z tobą zrobić.

Mężczyzna roześmiał się i odparł:

- Powrócę, a wtedy ci odpłacę za to, żeś napełniła moje oczy łuskami.

Mur miał sześć stóp wysokości, ale on położył rękę na górze i z łatwością przeskoczył na drugą stronę.

- Wrócę równie łatwo przez ten mur, kobieto o szorstkich rękach! - zawołał z drugiej strony.

Niewiele docierało do świadomości Bazylego, bowiem pogrążony był w sprawach prawnych. Zaraz po ukończeniu Kielicha wyszukał człowieka cieszącego się opinią najbardziej uczonego i biegłego ze wszystkich przedstawicieli prawa w Antiochii. Był nim bardzo sprytny i zaradny Żyd imieniem Jehoazaz. Temu to prawnikowi opowiedział swoje przygody na dworze Nerona i zakończył pytaniem:

- Czy byłoby bezpieczne wznowienie rozprawy sądowej dotyczącej spuścizny po moim ojcu? Czy robiąc to ściągnąłbym na siebie uwagę urzędników imperatora?

Jehoazaz zastanawiał się poważnie przez dłuższy czas.

- Przede wszystkim - powiedział w końcu - weź pod uwagę, że jesteśmy bardzo oddaleni od Rzymu. Do miasta cesarza dochodzi zaledwie słabe echo tego, co się tutaj dzieje. Uważają nas za ludzi pogranicza i nie interesują się nami. Jest prawie pewne, że w Rzymie nikt się nie dowie o tej sprawie. Stąd wyślą tylko sprawozdanie dla zaksięgowania w odpowiednim dziale na Wzgórzu Kapitolińskim.

- Co więcej - ciągnął dalej Jehoazaz - jesteś obywatelem rzymskim i nie złamałeś żadnego prawa przyznając się do chrześcijaństwa. Wobec tego, że nie wykryto spisku na cesarskim dworze, nie ma podstaw, aby tu ciebie niepokojono. Moim zdaniem, możesz śmiało wystąpić o wznowienie rozprawy.

Gdyby Bazyli mógł usłyszeć słowa Nerona skierowane do Petroniusza: “Mam nadzieję, że uda mu się uciec”, powziąłby decyzję z mniejszym wahaniem. W tej sytuacji odezwał się:

- Warto zaryzykować, żeby ustalić, iż Linus nie miał żadnego prawa sprzedawać mnie jako niewolnika. Czy zechcesz, Jehoazazie, podjąć konieczne kroki w tej sprawie?

Po tygodniu Jehoazaz, zadowolony z siebie, powiadomił go:

- Otrzymałeś zgodę na nową rozprawę. Co więcej, odbędzie się za tydzień od dnia

dzisiejszego. Bardzo mi pomogło to, że sędzia, który ją prowadził za pierwszym razem, został odwołany do Rzymu, gdyż jego nieuczciwość stała się powszechnie znana.

Prawnik zaczął od razu szukać świadków, przeważnie kupców, którzy znali Ignacjusza i cieszyli się jego zaufaniem. Wybrał się również do oblepionego brudem kamiennego budynku, gdzie miał główną kwaterę dowódca wojsk rzymskich w Antiochii i powrócił z dobrymi wiadomościami.

- Dowódca otrzymał kopię poświadczenia Kestera - oznajmił. - Wyraża chęć przekazania dokumentu prowadzącemu sprawę. - Prawnik przerwał i mrugnął porozumiewawczo. - Sędzia jest bez zarzutu. To surowy stróż zasad sprawiedliwości i uczciwości, który nigdy nie przyjął łapówki. Możemy polegać na jego całkowitej bezstronności, co spowoduje, że ta rozprawa będzie się różniła od pierwszej.

- A jak się Linus zapatruje na to wszystko?

- Jest obojętny, co wydaje mi się dziwne. Co usiłuje zrobić? Z pewnością nie próbuje kupić sobie tej drugiej decyzji. Dlaczego tak jest? Myślę, że brakuje mu pieniędzy na ten cel. W mieście pełno plotek na jego temat. Podobno przegrał dużo pieniędzy i stracił dwa okręty wypełnione towarami z Południa i Wschodu. - Obniżył głos do poufnego szeptu. - Trudno znaleźć odpowiedniejszy czas na rozprawę. Linus ma kłopoty. Będzie oczywiście walczył, ale już nie tak bezwzględnie.

Wieczorem w przeddzień rozprawy Bazyli poszedł do pokoju, gdzie był wystawiony Kielich. Ludzie wciąż jeszcze przychodzili i Łukasz, który wartował przy wejściu, powitał go zmęczonym uśmiechem.

- Jutro wieczorem przekazujemy Kielich starszym Kościoła. Będziemy trochę spokojniejsi, kiedy się znajdzie w ich rękach. Może zdołam odpocząć? - Po chwili dodał: - Za dwa dni wyjeżdżam do Cezarei.

Bazyli poczuł, że serce w nim zamarło.

- Tak prędko? Co poczniemy bez ciebie?

- Dostałem drugą wiadomość od Pawła. Nalega na wysłanie go do Rzymu.

Oczy Łukasza, spoczywające dotąd na Kielichu, przeniosły się z wyrazem smutku na twarz Bazylego.

- Ani on, ani ja nie powrócimy tutaj. Jesteśmy starzy, a piasek w klepsydrze przesypuje się szybko.

- Potrzebny jesteś tutaj - zaprotestował Bazyli. - Bardziej niż w Rzymie. Chrześcijanie we wszystkim polegają na tobie. Wiesz, jaka jest sytuacja w Rzymie. Czy powinieneś bez potrzeby narażać się na niebezpieczeństwo?

- Paweł mnie potrzebuje - odparł Łukasz po prostu. - On jest chorym i samotnym człowiekiem. Nie można pozwolić, aby odbył tę długą morską podróż sam jeden. Moje miejsce jest przy nim.

Kobieta stojąca przed Kielichem wybuchnęła w tej chwili głośnym lamentem. Biła się w piersi i płakała tak gorzko, że jej towarzyszki musiały ją wyprowadzić.

- Trudno nie poddać się żalowi, stojąc tutaj - powiedział Łukasz. - Ta biedna kobieta myśli o poniżającej śmierci zadanej Zbawicielowi. A jednak, mój synu, uważam łzy za objaw egoizmu. Kiedy ulegam temu impulsowi, wiem, że lamentuję sam nad sobą. To prawda, że Jezus płakał wielekroć, ale On litował się nad innymi. Nigdy nie widziałem łez w oczach Pawła. Ten wielki człowiek o logicznym umyśle wie, że płacz za tych, którzy się przenieśli do lepszego życia, jest słabością.

- Jesteśmy słabymi stworzeniami - ciągnął po chwili dalej - i uskarżamy się, kiedy coś tracimy. Mówię ci o tym, mój synu, ponieważ już wkrótce będę musiał cię pożegnać. Będzie mi ciebie brakowało i to bardzo. Smutek na twojej twarzy mówi mi, że ty również będziesz się czuł nieszczęśliwy. Wygładź czoło, mój chłopcze. Masz wspaniałą żonę i niedługo przybędzie wam stadko udanych dzieci. Będziecie się cieszyli pełnią pożytecznego życia. Zachowaj na zawsze w pamięci tego obcego, który przyszedł do Dzielnicy Handlu owej nocy, kiedy upadłeś na duchu. Jeszcze teraz uśmiecham się, kiedy sobie przypomnę, że wziąłeś mnie za anioła Mefatiela. To jeden z klejnocików w mojej koronie. Jeśli będziesz mógł, nazwij tym imieniem maleńki wieniec, na który może sobie zasłużyłem. - Przechylił się i objął Bazylego ramieniem. - Żadnych łez przy rozstaniu. Same uśmiechy i głowa do góry, chociaż wiemy, że to ostatnie pożegnanie.

Rozdział XXXIV

1

Kiedy Bazyli wszedł do sali sądowej, od razu poczuł, że Linus patrzy nań wilkiem. Uzurpator siedział po drugiej stronie, otoczony grupą świadków i prawników. Rozsiadł się w niskim fotelu, z wojowniczym wyrazem twarzy, rozstawiwszy szeroko stopy; był trochę pochylony, z twarzą pełną szorstkości. Nadal rzucał złe spojrzenia w kierunku Bazylego i coś mruczał ponuro do siedzących obok osób.

- Jest rozgniewany - zauważył Jehoazaz, który był pewny siebie, ufny i pogodny. - Nie na wiele mu się to przyda. Jedno jest pewne, nie przekupił niesprzedajnego Brutusa tam, w górze. Orestes Flaminiusz to młody, niezmiernie prawy człowiek. Ale rzadko się spotyka ludzi tak wybuchowych. Musimy postępować ostrożnie, aby uniknąć jego gniewu. Choć podejrzewam, że on i Linus niebawem skoczą sobie do gardeł.

Bazyli przyglądał się sędziemu z mieszanymi uczuciami. Orestes Flaminiusz był zadziwiająco młody, jak na takie stanowisko: szczupły, przedwcześnie wyłysiały, wyraźnie krótkowzroczny, bo mrużył oczy niecierpliwie patrząc na leżące przed nim dokumenty. Będzie bezstronny, to pewne, ale będzie też drażliwy i trudny.

Na pierwszej rozprawie Bazyli czuł się osamotniony. Nikt do niego nie przemówił. Dawni przyjaciele jego ojca, wiedząc, że na pewno przegra, unikali jego spojrzenia. Teraz atmosfera na sali sądowej była całkiem inna. Rzucano w jego stronę przyjazne spojrzenia, ludzie się uśmiechali i kiwali głowami. Ów dzień, w którym zaznał goryczy porażki, był ciemny i groźny; teraz słońce zaglądało radośnie przez okna sądu i błyszczało na wypolerowanych napierśnikach rzymskich żołnierzy, stojących po obu końcach ławy sędziowskiej.

Wszystko wyglądało inaczej, ale pogoda ducha Jehoazaza odbiegała od nastroju Bazylego. Okazało się, że Debora absolutnie nie mogła mu towarzyszyć. Tego ranka wstała razem z nim, ale jej ablucje trwały długo.

- Trudno mi być wesołą - wyjaśniła i nagle usiadła, patrząc na niego ze zbielałą twarzą. - Bazyli, źle się czuję. Może mi się zrobić niedobrze. Nie myśl o tym, najdroższy. Jestem pewna, że to po prostu zwykłe objawy.

Siedząc teraz w sądzie i oczekując na rozpoczęcie rozprawy, myślami był gdzie indziej. Myślał o bladej twarzy młodej żony i bał się, czy czegoś przed nim nie zataiła. Tak bardzo opadła z sił i z takim trudem zdobyła się na uśmiech, kiedy go żegnała.

Nieuchronnie jednak jego myśli zajęły się czymś pogodniejszym. Pomyślał o synku, który się wkrótce zjawi i z dumą będzie nosił piękne szaty ofiarowane przez starego księcia i będzie

straszył innych chłopców, chełpiąc się maską czarodzieja.

- Niewątpliwie Linus jest w tarapatach finansowych - szepnął Jehoazaz. - Teraz mnie obchodzi tylko to, czy bijemy się o padlinę?

Młody sędzia odezwał się donośnym głosem:

- Zaczynajmy.

Jehoazaz pogrzebał w papierach leżących przed nim i znalazł zeznanie Kestera z Zantu. Powstał i powiedział:

- Uczony sędzio! Mam dokument, który pragnę przed tobą złożyć. Jest to zeznanie jednego z pięciu świadków, o którym nic nie było wiadomo na pierwszej rozprawie. Nazywa się Kester z Zantu, jest dostawcą dla wojska. Zamieszkuje obecnie w Rzymie. To zeznanie zostało wręczone powodowi w czasie jego bytności w Rzymie.

Linus usiadł prosto i wpatrzył się w prawnika z ogromnym zdumieniem. Było oczywiste, że po raz pierwszy usłyszał o zeznaniu dostarczonym przez brakującego świadka.

“Teraz zacznie perorować i wydzierać się” - pomyślał Bazyli, ale człowiek, który wygrał pierwszą prawniczą batalię, nie odezwał się ani słowem. Rumieniec wystąpił na jego zwiotczałe policzki. Widać było, że owłosiona ręka, którą złapał się za poręcz fotela, drży spazmatycznie.

- Mam egzemplarz zeznania tego człowieka, Krzysztofa z Zantu - oświadczył sędzia podnosząc dokument leżący przed nim. - Dostarczył mi go komendant cesarskich wojsk, który otrzymał go od samego świadka. Jak się okazuje, istnieje między nimi wieloletnia znajomość.

Doradcy prawni siedzący przy Linusie zaczęli zawzięcie dyskutować między sobą. Przez parę minut trwała głośna gadanina, której towarzyszyło gwałtowne podnoszenie pięści w górę, aż zniecierpliwiony sędzia przerwał dyskusję, uderzając ręką w balustradę.

- Dosyć! - powiedział. - Nie potrzebuję żadnych instrukcji w świetle Dwunastu Tablic. To zeznanie, którego egzemplarze dotarły aż do sądu z dwóch źródeł, jest dopuszczalnym dowodem. - Zwrócił się w stronę Jehoazaza. - Jakich macie świadków!

Świadkowie, którzy podchodzili kolejno, aby stanąć przed obliczem przenikliwego sędziego, byli przeważnie kupcami, ludźmi, którzy dobrze znali Ignacjusza. Zaświadczali, że słyszeli, jak mówił o Bazylim jako o swym przybranym synu i spadkobiercy. Flaminiusz nie dopuszczał żadnego wtrącania się, kiedy mówili. Sam zadawał pytania dokładne, precyzyjne i rozstrzygające. W każdym przypadku zajmowało to nie więcej niż kilka minut i już machnięcie nerwowej ręki sędziego odsyłało świadka na miejsce.

Podczas tego przesłuchania Bazyli obserwował człowieka, którego kiedyś tak bardzo nienawidził i zdawał sobie sprawę, że nic z tego uczucia w nim nie pozostało. Odczuwał raczej litość dla uzurpatora. Linus był człowiekiem chorym, a do tego przestraszonym. Bazyli już nie

odczuwał pragnienia, żeby zniszczyć swego przeciwnika i radować się jego upadkiem.

2

Od początku sprawy było wiadomo, że oprze się ona na zeznaniu Hirama z Sylenu. Bazyli zapamiętał go jako otyłego, rozlanego osobnika z dużymi, żółtymi piegami na twarzy. Hiram był teraz jeszcze bardziej otyły i rozlany, a piegi rozmnożyły się, tworząc nowe skupiska na twarzy. Od chwili, kiedy wszedł na salę, widać było, że wolałby nie składać świadectwa po raz drugi i że przyszedł wyłącznie pod naciskiem prawa.

Sędzia wezwał świadka na stanowisko usytuowane bezpośrednio pod miejscem zajmowanym przez siebie i zaczął punkt po punkcie odtwarzać jego poprzednie zeznanie. Hiram, mocno spocony, odwracał się od czasu do czasu, rzucając ukradkowe spojrzenia na Linusa i maleńki krąg jego doradców. Potwierdził teraz, że zeznanie, które złożył na pierwszym przesłuchaniu, było prawdziwe. Nadal uważa, iż uroczystość, której był świadkiem, nie była ceremonią adopcji. Nie pamięta żadnego uderzenia w gong ołowianą sztabką, żadnego oświadczenia ze strony Ignacjusza, że uznaje chłopca za syna.

Wtedy sędzia wziął zeznanie Kestera z Zantu i odczytał je na głos, a potem zapytał, co Hiram z Sylenu ma na to do powiedzenia.

- Że pamięć zawiodła Kestera z Zantu - rzekł grubas.

- Czy ojciec chłopca ofiarował trzykrotnie swego syna na sprzedaż, zgodnie z literą prawa?

- Tak, lecz nie do adopcji.

- Czy nastąpił potem posiłek z pięciu dań, na którym podano pięć najlepszych gatunków wina, jak stwierdza zeznanie?

- Nie przypominam sobie w ogóle żadnego przyjęcia.

- Czy to prawda, że Ignacjusz ofiarował każdemu z pięciu świadków srebrną klamrę do pasa?

- Ja nie dostałem żadnego prezentu od Ignacjusza.

- Czy posiadasz srebrną klamrę podobną do opisanej przez Kestera z Zantu?

- Nie, nie posiadam żadnej takiej klamry.

W tym punkcie przesłuchania Bazyli wyprostował się w ławce, na której siedział ze swym doradcą prawnym, z nagle rozbudzoną uwagą. Kiedy Hiram wchodził do sali, było coś w jego ubiorze, co przyciągnęło wzrok Bazylego. Czyżby to była klamra na jego pasie?

Powstał i przecisnął się przez zatłoczoną przestrzeń do podium sędziowskiego. Stanął tuż obok niechętnego, a obecnie wprost znękanego świadka i wlepił oczy w klamrę u jego pasa. Była srebrna i miała pięć kresek, jednym słowem była identyczna z tą, jaką nosił Kester z Zantu.

“Ten zakuty łeb, ten przekupny wół - mówił do siebie Bazyli - popełnił takie głupstwo, że idąc do sądu włożył oznakę, która udowodni jego kłamstwo!”

Jaki będzie najbardziej skuteczny sposób, żeby na tę klamrę zwrócić uwagę młodego sędziego, który jest tak bystry, a wzrok ma równie ostry, jak szpikulce wbijane w bok wielbłąda? Bazyli przyjrzał się spoconej postaci niechętnego świadka i dostrzegł, że skóra pasa nadmiernie się naciąga, aby objąć brzuch, który zbytnio się uwydatnił. Pas przetarł się na plecach od ciągłego noszenia.

Bazyli miał przy sobie jeden ze swoich noży; wyjął go teraz lekko sprawdzając palcem ostrość. Był dobrze naostrzony. Przecisnął się za Hirama i ciachnął nożem zwinnie i szybko po najbardziej przetartej części pasa. Skóra puściła i pas upadł na podłogę.

Zanim zaskoczony Hiram mógł cokolwiek zrobić dla odzyskania pasa, Bazyli już go trzymał w ręku. Rzucił okiem na wewnętrzną część klamry, zaśniedziałej od długiego noszenia i zobaczył, że są tam wypisane dwa imiona i data. Podchodząc tuż do podium podniósł pas do góry.

- Oto dowód, uczony sędzio, że świadek nie powiedział prawdy. To jest klamra, którą otrzymał od mego ojca, Ignacjusza: taki sam upominek, jaki otrzymali czterej inni świadkowie.

Sędzia wyciągnął rękę nakazującym ruchem.

- Podaj mi go.

Podano mu pas do góry, a sędzia zbadał napisy; jego spojrzenie stało się zimne i oskarżycielskie. Potem wychylił się do przodu i pokazał klamrę świadkowi.

- Skąd ją masz?

- Nie pamiętam. Mam to od wielu lat.

- Czy zaprzeczasz, że dostałeś ją od Ignacjusza przy okazji, która stanowi podmiot tego dochodzenia?

- Nie przypominam sobie, żebym dostał jakikolwiek prezent.

- Jak wyjaśnisz napis na odwrocie klamry?

- Nie wiedziałem, że jest tam jakiś napis.

- A jednak mówisz, że pas jest w twoim posiadaniu od wielu lat. Czy nadal twierdzisz, że nic nie wiedziałeś o napisie?

- Tak.

- Zwracam ci uwagę, że na klamrze jest wypisane imię Ignacjusza oraz imię, jakie nadał chłopcu, a także data uroczystości.

Świadek nie miał nic do powiedzenia. Pocił się teraz tak obficie, że wydawało się, iż cały się roztopi, jak tłuszcz w promieniach słońca.

Sędzia podniósł rękę na znak ciszy. Wszelkie szmery rozmów na sali ucichły. Nie było

słychać żadnych odgłosów, nawet szelestu ubrań czy szurania sandałami po posadzce.

- Nie ma potrzeby, abym cię nadal przesłuchiwał - oznajmił sędzia.

Nie ulegało wątpliwości, jaki będzie werdykt. Bazyli popatrzył na Linusa. Wpółotwarte usta uzurpatora opadły, a twarz zbielała jak płótno. Bazyli pomyślał: “Łukasz miał rację. Zemsta nie daje żadnej satysfakcji. Ten człowiek nie zasługuje na litość, a jednak lituję się nad nim. Wygrałem, lecz muszę się zdobyć na wielkoduszność.”

3

Bazyli zauważył zmiany w domu na Kolumnadzie, jak tylko go tam wpuszczono. Sale nie były dostatecznie wietrzone. Wyczuł nozdrzami większą stęchliznę niż w pałacu Nerona. Jeszcze bardziej go zdziwiło, że na jego spotkanie wyszedł Kwintus Anniusz.

Rzymski urzędnik skłonił się przed nim uroczyście i ceremonialnie.

- Wiedziałem, że przyjdziesz - odezwał się. - Tak, jak on wówczas przyszedł.

- Czy mój pośpiech jest niewłaściwy?

Kwintus Anniusz potrząsnął głową.

- Bynajmniej. Inni już poprzychodzili. Jesteś ostatni.

Bazyli się zdziwił.

- Jacy inni?

Rzymski urzędnik zrobił zrezygnowany gest rękami.

- Wierzyciele.

Mnóstwo pytań cisnęło się na usta przywróconego do praw właściciela.

- Wierzyciele? Więc to prawda, co słyszałem. Czy Linus poniósł duże straty?

Posępny skłon głowy dostarczył odpowiedzi. Serce zamarło w Bazylim. Czy po to odzyskał swoją spuściznę, aby mu ją w chwili zwycięstwa znów wyrwano? Czy to znaczy, że jego nadzieja na zabezpieczenie i niezależność miała pozostać w sferze marzeń? Z przykrym uczuciem zdał sobie sprawę z ciszy i pustki panującej w salach. Większość umeblowania zabrano i, jak dotąd, nie widział nikogo ze służby.

- Gdzie są niewolnicy? - spytał.

- Powstał tumult, kiedy dotarła do nas wiadomość o decyzji sądu. Kazałem, żeby nie opuszczali swoich kwater.

- Jakiego rodzaju tumult?

- Linus był twardym i znienawidzonym panem. Kiedy usłyszeliśmy, że zostałeś przywrócony do swoich praw, wybuchły radosne demonstracje. Zupełnie ich poniosło.

Bazyli uśmiechnął się, ale nie czuł radości ani przyjemności.

- Mimo wszystko, ktoś mnie tu wita. Jednak przepadła jedyna prawdziwa satysfakcja, jaką mógłbym mieć, ponieważ nie ma już tutaj mojej matki, która cieszyłaby się razem ze mną.

Kwintus Anniusz skinął z powagą głową.

- Wielka to szkoda, że nie pożyła dwa miesiące dłużej. Była bardzo dobra, zwłaszcza kiedy zbliżał się kres jej życia. Dużo ze sobą rozmawialiśmy. Zawsze żywiła przekonanie, że zostaniesz przywrócony do swych praw. Kiedy ją widziałem po raz ostatni, powiedziała, że to wkrótce nastąpi, ale że jej nie będzie już tutaj, aby ciebie powitać. Jak się to sprawdziło! - Westchnął głęboko. - Dopóki ona żyła, udawało się nam zachować jakieś pozory porządku. Po jej śmierci dom popadł w haniebne zaniedbanie. Czasami pragnąłem nawet, żeby Linus miał żonę.

- Czy on jest tutaj?

Urzędnik wzniósł obie ręce do góry, zaciskając palce w przystępie nagłego gniewu.

- Zjawił się tu pierwszy. Powiedział, że będzie w swoim pokoju i żeby mu przez pół godziny nie przeszkadzać. Pomyślałem, że to oznacza, iż ma zamiar w jedyny honorowy sposób zakończyć całą tę godną pożałowania sprawę. Żaden dźwięk nie dochodził spoza drzwi, więc pomyślałem: “Podciął sobie żyły.” Przeczekałem pół godziny, a kiedy wszedłem, nie znalazłem go na posadzce w kałuży jego własnej nikczemnej krwi. Pokój był pusty i splądrowany od góry do dołu!

Twarz urzędnika, zwykle pozbawiona wyrazu, poczerwieniała z oburzenia.

- Zabrał wszystko, co miało jakąś wartość i wpadło mu w ręce: pieniądze, klejnoty, dokumenty i skorzystał z nieobecności służby, żeby wyjść tylną bramą. Stosowne zakończenie. Zrobił z siebie pospolitego złodzieja!

- Wszystko, co udało mu się ukraść - oznajmił Bazyli - ma mniejszą cenę niż to, że go tu nie ma. Nigdy nie ośmieli się tu powrócić. Ale skoro zostaliśmy tak bardzo okradzeni, czy ma jakieś znaczenie ta nieznaczna reszta?

Doszli do okrągłej sali. Kwintus Anniusz wskazał palcem na drzwi.

- Oni tam są. Czekają na ciebie. Proponuję, żebyś najpierw poszedł ze mną. Mam ci do przekazania pewne dokumenty.

W swoim pokoiku urzędnik zasiadł przed porządnie ułożonym plikiem dokumentów. Spojrzał na nie i ciężko westchnął.

- To są wszystkie spisy. Spis długów, na ile byłem w stanie je zestawić. Ich ogólna kwota będzie dla ciebie przykrą niespodzianką. A tutaj spis naszych aktywów. One się szybko kurczyły. Jakiż to był beznadziejny bałagan!

Bazyli spojrzał na liczby i ogarnęło go przygnębienie. Wyglądało to gorzej, znacznie gorzej, niż się tego obawiał.

- Niewiele zostanie.

- Bardzo mało. Ci wierzyciele są bardzo natarczywi. Krążyli tu nad nami jak sępy, bijąc skrzydłami i skrzecząc. - Pochwycił dokumenty i zmarszczył brwi. - Nic dla ciebie nie zrobiłem. Nie potrzebuję ci mówić, że się okazałem tchórzem. Odwróciłem się od ciebie na pierwszej rozprawie...

- Odmówiłem skorzystania z twojej rady.

- To prawda. Ale na drugą rozprawę nie poszedłem do sądu. Wiedziałem, że sędzia spojrzałby na mnie i spytał: "Dlaczego nie złożyłeś tego zeznania za pierwszym razem?" Jedyną odpowiedzią, jaką mógłbym dać, byłoby to, że się bałem. Zabrakło mi odwagi, aby stanąć przed sędzią, więc pozostałem tutaj z uczuciem upokorzenia. Nigdy mi nie przebaczysz. Nie zasługuję na to.

- Nie myśl o tym. Zapewniam cię, że nie żywię do ciebie żadnych wrogich uczuć.

Młody Rzymianin wystąpił z żarliwym zapewnieniem.

- Będę się starał odrobić to wszystko. Będę walczył o ciebie z tymi zgłodniałymi psami. Będę walczył o każdy kawałek. Może nawet mi się uda zagrzebać kilka drobiazgów, żeby ich nie znaleźli. - Potrząsnął głową z wielkim oburzeniem. - On od samego początku nie nadawał się do prowadzenia interesów. To komar, który chciał przywdziać buty olbrzyma. Przeżywałem męki patrząc, jak niszczy swymi niezdarnymi łapami te wspaniałe dobra, które przejął!

Nastąpiła długa chwila ciszy. Bazyli zdawał sobie sprawę, jak bardzo to wszystko nim wstrząsnęło. "To puste zwycięstwo" - pomyślał. - "Ale mam jedną satysfakcję. Stygmat niewolnictwa został usunięty z mego imienia. Może powinienem być zadowolony." Głośno zaś zapytał:

- Ilu jest niewolników?

Urzędnik sprawdził w spisie.

- Czterdziestu dwóch.

- Czy to, co mi pozostanie, wystarczy na zachowanie ich jako mojej własności?

Kwintus Anniusz z emfazą potrząsnął głową.

- Oni stanowią pokaźną część schedy. Te szakale liczą teraz, ile za nich dostaną.

Bazyli pomyślał o niedoli, jaka czeka niewolników, jeśli zostaną sprzedani dla zaspokojenia roszczeń wierzycieli. Sprzedano by ich na licytacji najwięcej dającym. Oznaczałoby to rozłąkę rodzin i zerwanie wszystkich więzi. Wielu z nich zostałoby bez wątpienia własnością okrutnych i wymagających panów. Przypomniał sobie własne cierpienia. "Jeśli pomnożyć to przez czterdzieści dwa - pomyślał - można sobie wyobrazić, co to oznacza."

Podniósł rękę ze słowami:

- Wejdę tam teraz. Myślę, że sam muszę stawić im czoła.

Kiedy wszedł do sali, zdał sobie sprawę, że gdyby szukano w całej Antiochii siedmiu najbardziej zakamieniałych serc i siedmiu najzimniejszych twarzy - wynik poszukiwań dałby tę właśnie grupę mężczyzn, których miał przed sobą. Rozpoznał tylko jednego z nich, bankiera, który od czasu do czasu przychodził do Ignacjusza. Pozajmowali wszystkie miejsca siedzące, jakie były w sali, pozostał więc przy drzwiach.

- Powiedziano mi, że wy wszyscy wysuwacie roszczenia odnośnie schedy. Jest więc stosowne, żebym się do was przyłączył. Jestem największym spośród wierzycieli.

Bankier, który zajmował fotel zawsze używany przez Ignacjusza, poruszył się zaniepokojony.

- Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć - spytał.

Bazyli czuł lodowate napięcie, z jakim tych siedmiu wpatrywało się w niego. Uciekł się do cichej modlitwy: “O Panie, spojrzyj na mnie i udziel mi swojej pomocy. Nie mam doświadczenia w tego rodzaju sprawach. Daj mi możność, o Panie, aby to, co im muszę powiedzieć, brzmiało bardzo przekonująco.”

Potem zwrócił się do zebranych.

- Ten wspaniały człowiek, który uczynił mnie swoim synem, umierając pozostawił wielką spuściznę. Składały się na nią: ten dom, wypełniony wówczas rzadkimi i bardzo cennymi dziełami sztuki, składy towarowe, okręty, gaje oliwne, duże zasoby pieniężne i towarowe. Miałem odziedziczyć to wszystko. Lecz, jak wiecie, prawo dopuściło do wielkiej niesprawiedliwości. Wszystko mi zabrano. Teraz ta niesprawiedliwość jest naprawiona. Prawo orzekło: “Ty jesteś prawowitym spadkobiercą.” Więc oto przychodzę, żeby się domagać tej wielkiej spuścizny, która od początku powinna była należeć do mnie.

Bankier pozwolił sobie na kwaśny uśmiech, mówiąc:

- Ile z niej pozostanie dla ciebie po zaspokojeniu wszystkich naszych roszczeń?

- Moje roszczenie jest ważniejsze! - wykrzyknął Bazyli. - Wy prowadziliście interesy ze złodziejem. Wasze roszczenia opierają się na układach z nielegalnym intruzem. Czy sądzicie, że ja jestem w jakimkolwiek sensie odpowiedzialny za błędy, które ten człowiek popełnił w czasie użytkowania mojej własności, zdobytej bezprawnym oszustwem?

Uśmiech bankiera przeszedł w głośny śmiech. Był to śmiech nieprzyjemny.

- Piękne słowa - odezwał się. - Czy nakłonią one jakiegokolwiek sędziego do wydania przychylnego wyroku?

- Jestem jednego pewny - oznajmił Bazyli - jeśli dojdzie do wyroku sądowego, będzie on wydany w Rzymie. Czy zdajecie sobie sprawę, moi dostojni współwierzyciele, co to oznacza? Za

mną stoi bogactwo i wpływy; jeśli to będzie konieczne, dotrę w tej walce aż do cesarza...

Sześć spośród siedmiu twarzy trwało w bezruchu i bierności, ale twarz bankiera poczerwieniała z oburzenia.

- Ta walka drogo by kosztowała! - wykrzyknął.

- Tak, nas wszystkich - odparł Bazyli.

Nastąpiło długie milczenie, po czym Bazyli ciągnął dalej.

- Jestem pewny, że wszyscy wiecie o wciąż rosnącej liczbie apelacji do Rzymu. Upłyną co najmniej dwa lata, zanim dojdzie do rozprawy sądowej. Co się tymczasem stanie z tym wspaniałym przedsiębiorstwem handlowym zorganizowanym przez mego ojca? Gdyby je natychmiast energicznie poprowadzić, byłoby jeszcze do uratowania. Można by je znów doprowadzić do pomyślnego stanu. Ale po dwóch latach procesowania się i niepewności nie będzie miało znaczenia, kto wygra. Nic nie pozostanie dla zwycięzcy.

Bankier przeczesywał brodę nerwowymi palcami.

- Do czego zmierzasz? Co proponujesz? - zapytał.

- Natychmiastowy podział - odparł Bazyli. - Oddacie mi niewolników i podzielicie się między sobą całą resztą.

Bankier szukał drżącymi z wściekłości rękami jakiegoś dokumentu wśród papierów leżących na marmurowym stole Ignacjusza.

- Niewolników! - wykrzyknął. - Jest ich czterdziestu dwóch. Patrz, oto spis. Oni są cenni. Co to za wymysł?

- Podałem moje warunki - odparł Bazyli. Natychmiast wszyscy zaczęli wykrzykiwać i wymachiwać do niego rękami. Wstali z miejsc i otoczywszy go gestykulowali, grozili, wrzeszczeli. On nawet nie drgnął, tylko skrzyżował ramiona na piersi. Milczał, odpowiadając uśmiechem na zniewagi, którymi go zasypywali. Kiedy wydostał się z okrągłej sali, znalazł Kwintusa Anniusza skulonego w zakłopotaniu na krześle.

- Myślałem, że rozszarpią cię na kawałki - odezwał się.

Bazyli trzymał w ręku dokument. Położył go teraz przed młodym Rzymianinem.

- Mimo tej wrzawy doszliśmy do porozumienia - wyjaśnił. - Oto podpisy ich wszystkich. Zgodnie z dokumentem, ja mam dostać niewolników. Resztę podzielą między sobą.

Kwintus Anniusz skoczył na nogi.

- To prawdziwy triumf! - wykrzyknął. - Postawiłeś na swoim. Nie sądziłem, że zdołasz się uporać z którymś z tych siedmiu w pojedynkę, a cóż dopiero z całą ich zgrają! - Sięgnął po arkusik pergaminu. - Spójrz, obliczałem właśnie wartość tych niewolników przy obecnych cenach. To pokaźna suma.

Bazyli nawet nie spojrzał na liczby.

- Chcę teraz odwiedzić ich kwatery. Czy pójdziesz ze mną, żeby usłyszeć, co mam do powiedzenia? Daję im wolność.

Rzymianin popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Na wszystkie prawa Dwunastu Tablic, nie mówisz tego poważnie! - zawołał. - Gdybyś to zrobił, ogołociłbyś się do cna. Nawet w szczodrości musi być jakiś umiar.

- Gdybyś kiedykolwiek był niewolnikiem, jak ja nim byłem, zrozumiałbyś powód. Zechciej przygotować papiery wyzwalające.

Kwintus Anniusz pomyślał: “On oszalał! Jak inaczej można sobie wytłumaczyć aż takie wariactwo?”

Nie wiedząc, że w umyśle towarzysza zrodziło się powątpiewanie co do stanu jego umysłu, Bazyli dał następny powód do podejrzeń. Po drodze do kwater niewolników nagle stanął, wzniósł oczy do sufitu i powiedział:

- Ojcze, to wszystko, co mogę dla ciebie zrobić. Mam nadzieję, że to wystarczy.

Rozdział XXXV

1

Zły nastrój, jaki ogarnął Bazylego podczas powrotnej drogi do domu, nie był spowodowany wyłącznie utratą spuścizny po ojcu. Rankiem niechętnie opuszczał dom. Był to ostatni dzień wystawienia Kielicha na widok publiczny. Wolałby zostać w domu i czuwać razem z dwoma strażnikami. Przed wyjściem poszedł do czuwającej pary i powiedział do Elidada stojącego przed drzwiami:

- Miej dziś oczy otwarte. To ich ostatnia szansa.

Rozmyślał o tym idąc żwawo ulicami miasta, które szybko pustoszały wraz z nadchodzącym zmierzchem. “Dobrze by było, żeby jakiś inny dzień został wybrany na rozprawę sądową.” Rozmawiał z Jehoazazem o możliwości odroczenia, lecz prawnik był zdecydowanie temu przeciwny, mówiąc: “Nie wolno nam niczego zmieniać. Mamy dobrą passę.”

Ciemności wieczoru już zaczęły gęstnieć nad białymi domami i małymi ogrodami, kiedy doszedł do swojej dzielnicy. Z każdym krokiem zapadał głębiej w mrok. Było coś złowieszczego w odcieniach nieba, przechodzących od szarości do czerni, w poszumie drzew w Gaju, w echu odgłosów z ulic miasta na dole, jakie mu towarzyszyły podczas wchodzenia pod górę. Miał pewność, że zaszło coś złego i to zwiększało niecierpliwość jego stóp. Przyśpieszył przed zakrętem drogi, gdzie była szersza przestrzeń, żeby wozy mogły zakręcać. Zwolnił jednak kroku widząc, że stoi tam spora liczba zaprzęgów. Powoźnicy czekali na powrót swych pasażerów. Stali skupieni na brzegu drogi, rozmawiając głośno i butnie o ostatnich wydarzeniach. Mówili po hebrajsku.

“Zeloci!” - pomyślał Bazyli. Jego obawy przerodziły się w pewność.

Wspinając się na wzgórze, usłyszał głośne wołanie spoza murów domu. Potem zauważył, że frontowa brama jest otwarta na oścież i nikt nie trzyma przed nią straży. Zobaczył dwóch ludzi, przełażących w wielkim pośpiechu przez boczny mur i znikających w lesie.

- Minjamin zaatakował! - zawołał, pędząc po stromej drodze w szalonym pośpiechu.

Kiedy dobiegł, zobaczył na wewnętrznym dziedzińcu oszołomioną grupkę wiernych i domową służbę. Pobiegł do ogrodu wewnętrznego, gdzie znalazł Łukasza pochylonego nad leżącym bez przytomności Elidadem. Strażnik odniósł poważne obrażenia, broniąc powierzonego sobie depozytu. Żywiąc najgorsze obawy, pełen rozpaczliwego buntu przeciw losowi, Bazyli wbiegł do domu kierując się na schody, u szczytu których powinni byli stać strażnicy. Ani śladu Iridżi. Schody i podest u góry były puste. Przeskakując po trzy stopnie naraz, wpadł do niedużego pokoju, gdzie przechowywano Kielich. I tam było pusto. Nie znalazł ani strażników, ani Kielicha.

Stał przez chwilę, wpatrując się w miejsce na stole, gdzie powinien stać święty Kielich. Był

zbyt oszołomiony, żeby zebrać myśli, zbyt zrozpaczony, żeby się zdobyć na jakąś logiczną reakcję wobec tego nieszczęścia.

“Zaniosą go do arcykapłana, a ten połamie go własnymi rękami” - mówił do siebie. - “Nic nie można już zrobić. Wszystkie nasze wysiłki na nic się zdały.”

Potem zaczął wiązać to, co się stało, ze swoimi osobistymi nieszczęściami. W czasie długiej wędrówki z domu na Kolumnadzie, po oddaniu go wierzycielom, zdążył się już pogodzić z utratą wszystkiego, co odzyskał w sądzie, lecz końcowe zwycięstwo zelotów podsunęło mu teraz myśl, że był jakiś zamysł w tych kolejnych ciosach. “Czy jesteśmy poddawani próbie?” - zastanawiał się. - “Tak jak Hiob w krainie Us?”

Coś jeszcze zniknęło ze stołu. Od początku zdawał sobie sprawę, że modele stoją inaczej. Obrócił się szybko, aby je policzyć. Jednego brakowało.

Podszedł do stołu z głęboką obawą, która po chwili się sprawdziła. Brakowało figury Jezusa.

Najpierw pomyślał, że to był tylko tragiczny przypadek, że jedna figura mogła być zniszczona i to właśnie ta najświętsza. Potem zdał sobie sprawę, że nie była to sprawa przypadku. Figurka nie została zniszczona w pośpiechu, w jakim napastnicy zabierali Kielich, ona też została zabrana. Wszystkie inne stały na swoich miejscach. Najwyraźniej Minjamin celowo ukradł zarówno figurkę, jak i Kielich.

Następną reakcją Bazylego było postanowienie, że wykona drugi model tej smutnej i cudownej twarzy, dopóki ma ją świeżo w pamięci. Tyle przynajmniej musi uratować z tej klęski. Wiedział, że w każdym chrześcijańskim sercu tkwi nieugaszone pragnienie wpatrywania się w oblicze Zbawiciela. Musi zabrać się do pracy, jak tylko znikną kłopoty i zamieszanie.

Potem ogarnęło go uczucie obawy i zawodu. Wspomnienie świętego oblicza już się stawało mgliste! Czy potrafi przywołać tę jasność widzenia, z jaką pracował po zbudzeniu się z tamtego snu? Czy mu się uda zastąpić utracony model nowym, równie wiernym? Nie miał takiej pewności.

Próbował pocieszać sam siebie, mówiąc, że niedokładność pamięci jest wywołana niepokojem, jaki go przepełnia. Później zdoła odtworzyć obraz świętego oblicza. Odczuł tak wielki niepokój, że nie mógł zwlekać. Chciał wiedzieć od razu. Z wielkim wysiłkiem próbował przypomnieć sobie pokój w Ścianie Dawidowej.

Obraz z wolna powracał. Nie przyniósł mu jednak ulgi, bowiem scena, jaka stopniowo ukazywała się w jego pamięci, zachowała wszystkie szczegóły z wyjątkiem jednego. Tak jak podczas dwu pierwszych widzeń, miejsce pośrodku stołu było puste! Czekał w ogromnym napięciu z nadzieją, że zobaczy wyłaniające się oblicze Jezusa, ale wkrótce stało się oczywiste, że to nie będzie mu dane.

Wiedział już, że to nieodwołalne. “Dlaczego - zapytywał sam siebie - miałbym się spodziewać, że będzie mi dane ujrzeć jeszcze raz Jego oblicze? Już raz tego dostąpiłem. Tak wielka nagroda nie może być powtórzona.” Potem znaczenie tej drugiej straty powróciło doń w całej pełni. “To ogromna strata, gdyż byłem jedyną osobą, która mogła zachować dla ludzkości wierną podobiznę Jezusa. Ci ludzie w Jerozolimie wszystko zniszczą i pamięć Jego twarzy zaginie na wieki.”

Pozostał tylko parę chwil w pokoju. W stanie głębokiej rozpaczy zbiegł po schodach na wewnętrzny dziedziniec, gdzie Łukasz opatrywał rany Elidada. Ręce lekarza już poplamione ciemnoczerwoną krwią, pracowały pewnie i z ogromnym pośpiechem. Pociął na kawałki miękką gąbkę i przykładał ją do licznych ran.

- Muszę działać szybko, żeby utrzymać go przy życiu - odezwał się do Bazylego, nie pozwalając sobie na przerwę w pracy. - Może trzeba będzie zastosować kataplazmy, nie jestem jeszcze tego pewny. Może mi się uda powstrzymać upływ krwi bez nich. Mam taką nadzieję, bo bez nich to i czyściej, i większa pewność wydobrzenia. Kataplazmy czasami zatykają ranę i przeszkadzają w jej gojeniu.

W tym momencie usłyszano podniecony głos na zewnętrznym dziedzińcu.

- To Iridża - wyjaśniła jedna ze służących. - Widziałam, jak przeskakiwał przez mur w pogoni za nimi. Może wraca z Kielichem.

Bazyli wszedł na zewnętrzny dziedziniec i zobaczył, że Iridża, otoczony paru pozostałymi osobami i pełną niepokoju służbą, również mocno ucierpiał w walce. Był poraniony na policzkach i szyi, krew spływała mu na ramiona. Tunikę miał tak poszarpaną, że był prawie nagi aż do pasa.

- Uciekli - powiedział. W oczach pokazały się łzy zawodu i żalu. - Ścigałem ich za murem, ale się rozproszyli po lesie i zgubiłem ich ślad.

- Czy mieli ze sobą Kielich? - spytał Bazyli.

- Nie widziałem go. Ale któryś z nich musiał go mieć. - Oczy Iridżi płonęły samooskarżeniem. - Oddano go pod naszą opiekę, a my zawiedliśmy. Bóg nas za to ukarze.

- Opowiedz, jak to się stało.

- Nie widziałem, jak to się zaczęło, gdyż byłem na górze, na swoim zwykłym stanowisku. Podobno do frontowej bramy podeszła kobieta, mówiąc, że chce zobaczyć Kielich. Podała znane imię. Starszy Kościoła stojący przy bramie był krótkowzroczny i pewnie za stary, żeby się zorientować. Zdawało mu się, że ją rozpoznał i wyszedł przed bramę, aby się lepiej jej przyjrzeć. To wcale nie była kobieta. Był to Minjamin. Jest niskiego wzrostu i włożył na siebie kobiece suknie. Przycisnął rękę do ust starszego Kościoła, a wtedy dwóch innych wyskoczyło z zarośli i opanowało bramę. Potem wpadła cała reszta.

Iridża unikał wzroku Bazylego, opowiadając tę historię.

- Moglibyśmy utrzymać się na schodach, Elidad i ja, gdyby Minjamin nie zrobił pętli na końcu długiego powrozu, którą udało mu się zarzucić na szyję mego przyjaciela. Zacisnął mocno pętlę i ściągnął po schodach Elidada, który wylądował na głowie i stracił przytomność.

- Ilu ich było?

- Myślę, że dziewięciu albo dziesięciu. Roiło się od nich, gdzie tylko spojrzałem.

Iridża rzucił szybkie i zawstydzone spojrzenie na Bazylego, a potem spuścił oczy.

- Zrobiłem tyle, ile mogłem. Nadal walczyłem i niektórzy z napastników będą nosili do końca życia ślady mego miecza. Ale nie mogłem utrzymać schodów sam jeden przeciw nim wszystkim. Dostali się do pokoju, dwóch z nich zabrało Kielich i wyskoczyli przez okno. To już mi opowiedziano. Nie mogłem widzieć, co się działo poza mną. W pokoju było dwóch przybyszów i oni opowiadali, co zaszło. Jednego jestem pewny, wybacz mi Jahwe, że nikt już nie zobaczy Kielicha.

Bazyli skinął na jednego ze sług, który stał z otwartymi ustami.

- Zaprzęgnij dwa konie do rydwanu i podjedź jak najśpieszniej do frontowej bramy.

Wrócił do wewnętrznego ogrodu i powiedział do Łukasza.

- Jadę do straży miejskiej. Muszą być powiadomieni o tym, co zaszło. Już raz położyli ręce na Minjaminie. Może znów zdołają go schwytać. Bramy miasta muszą być obserwowane, a wszystkie statki opuszczające port - przeszukane.

Łukasz podniósł głowę, odrywając się od pracy. Twarz miał bladą i ściągniętą, widać było, że jest bardzo wstrząśnięty.

- Jeśli jest wolą Pana, aby zabrano od nas Kielich, musimy się pogodzić z Jego postanowieniem i niczego już nie kwestionować. Ale nie wolno nam spocząć i narzekać. Musimy podjąć każdy wysiłek, żeby naprawić klęskę, jaką ponieśliśmy. Zrób wszystko, co możesz, mój synu. Poślę też wiadomość do Jabeza, który może zdoła zachęcić policję do większych starań w naszej sprawie. - Wyprostował plecy, co świadczyło o jego ogromnym zmęczeniu. - Harhas powie, że Bóg nas karze, bo siłę odpieramy siłą. Podniesie przeciw nam swój głos z zawziętością i triumfem.

- Nie sądzę, żebyśmy potrzebowali przejmować się jego uporem - stwierdził Bazyli. - Powiedz Deborze, że wkrótce wrócę. Nie mogę teraz tracić ani chwili na rozmowę z nią.

2

Minęło sporo godzin, zanim Bazyli powrócił. Konie były zmęczone, a on z trudem utrzymywał równowagę, kiedy rydwan brał zakręty na wzniesieniach prowadzących do Gaju

Dafne. Rzucił lejce służącemu, który go spotkał przy bramie, i ruszył przez dziedziniec. Łukasz wyszedł mu na spotkanie.

Bazyli od razu zaczął składać sprawozdanie z tego, co zrobił.

- Okazuje się, że policja nakazała Minjaminowi opuścić Antiochię, jak tylko został zwolniony. Są rozgniewani, że zlekceważył nakaz, możemy na nich polegać. Dołożą wszelkich starań, aby go pochwycić. Ustawiono straże u wszystkich bram miasta. Obawiam się jednak, że już za późno, aby coś zdziałać. - Osunął się sztywno na fotel i wyciągnął nogi przed siebie. - Minjamin starannie wszystko planuje. Mieliśmy wiele tego dowodów. Zawczasu zapewnił sobie drogę ucieczki. Sądzę, że dotarli do najbliższej bramy i są już daleko poza miastem. - Przetarł ręką oczy i westchnął zupełnie wyczerpany. - Pojechałem do portu z przedstawicielem władzy, który miał przekazać rozkazy. Byliśmy na każdym statku w zatoce, przekazując instrukcje kapitanom, aby ich tropili. Jednego możemy być pewni: nie uciekną morzem.

- Jesteś bardzo zmęczony, mój synu - powiedział Łukasz. Zawahał się i dodał: - Muszę ci powiedzieć o Deborze.

Bazyli skoczył na równe nogi.

- Debora! - zawołał. - Co z nią? Czy jest zraniona?

- Znaleziono ją po twoim odjeździe. Wygląda na to, że podejrzewała, co zrobią zeloci i ustawiła się pod oknem pokoju, w którym był Kielich. Zaatakowała ich, kiedy skoczyli przez okno. Użyła twego miecza. Wypytywałem ją, ale niewiele potrafi powiedzieć o tym, co zaszło. Ponieważ czubek miecza jest poplamiony krwią, najwyraźniej musiała zrobić z niego jakiś użytek. Kiedy ją znaleziono, była jeszcze nieprzytomna od uderzenia w tył głowy.

- Co ona o mnie pomyśli! - wykrzyknął Bazyli. - Wie, że wróciłem i znów pojechałem, nie starając się z nią zobaczyć.

- Podjąłeś zadanie, które trzeba było wykonać. Debora wie o tym i rozumie. - Łukasz z podziwem potrząsnął głową. - Ona rzeczywiście została stosownie nazwana, ta mała, dzielna Debora! Ja cały dzień źle się czułem i spałem w pokoju na tyłach domu, gdy wynikło to zamieszanie. Nie widziałem tych wydarzeń na własne oczy, ale pozbierałem informacje. Jak wspaniale się zachowała! Kiedy zeloci walczyli zdobywając schody, ona zebrała służących, żeby ich zaatakować od tyłu. To mogłoby się udać, gdyby mieli jakąś broń, ale łopaty i miotły nie mogły przeważyć wobec mieczów w rękach zaciekłych mężczyzn. Pobito ich brutalnie i kilku służących zraniono. Potem nie mogła na nich wymóc nowego wysiłku i sama zajęła miejsce pod oknem.

- A podczas tych zajść ja wracałem po całym dniu nieobecności, spędzonym na załatwianiu własnych spraw! Nigdy sobie tego nie wybaczę!

- Ona chce ciebie zobaczyć, mój synu. Lepiej idź do niej teraz.

Debora leżała wsparta na poduszkach z głową opasaną szerokim bandażem. Widać było, że cierpi z powodu zranienia w głowę. Twarz miała białą jak kreda. Z największym trudem zwróciła oczy w jego stronę.

- Cieszę się, że wróciłeś - szepnęła.

Bazyli objął ją ramieniem i przytulił policzek do jej twarzy.

- Moja słodka żono! Czy możesz mi przebaczyć?

- Przebaczyć! - zaprotestowała. - Nie ma w tym twojej winy.

- Opuściłem cię, kiedy mnie potrzebowałaś.

- Bazyli - powiedziała dość słabym głosem, potrząsając głową - nic nie mógłbyś zrobić, żeby nie dopuścić do tego, co się stało.

- Powinienem być tutaj. Zawsze będę siebie oskarżał o to zaniedbanie.

- Wszak musiałeś stawić się w sądzie. - Teraz poczuł, że sztywnieje w jego objęciu. - Bazyli, jak się to odbyło? Jaki jest wyrok?

Zanim zdążył odpowiedzieć, ciągnęła dalej tonem samooskarżenia:

- Potępiałeś siebie za swoją nieobecność, ale ja mam więcej powodów, żeby siebie ganić. Tak byłam wstrząśnięta, że wcale nie pomyślałam o rozprawie w sądzie. Jak to niełądnie z mojej strony. To przecież tyle dla ciebie znaczy.

- Są rzeczy ważniejsze. Utrata Kielicha... i ty, moja najdroższa, walcząca tutaj, sama, podczas kiedy ja byłem nieobecny.

Zaczęła łkać.

- Nic nie mówisz, więc się domyślam, że... że przegrałeś sprawę.

Potrząsnął głową.

- Nie, ja wygrałem. Zostałem uznany za legalnego spadkobiercę. A jednocześnie straciłem.

Zaczął jej opowiadać o wszystkim, co zaszło w domu na Kolumnadzie.

- Jak widzisz - zakończył - chociaż wygrałem, ta wygrana nie wniesie ani miedziaka do mojej sakiewki.

Debora słuchała z mieszanymi uczuciami.

- Nie umiem ci powiedzieć, jak się czuję szczęśliwa, że uznano cię za legalnego spadkobiercę - odezwała się na zakończenie. Po chwili zastanowienia skinęła głową. - Miałeś rację dając wolność swoim niewolnikom. Bez względu na koszta, należało to zrobić. Jestem z ciebie bardzo dumna. Jak dobrze musiałeś przemawiać do wierzycieli, że się na to zgodzili. - Potem zaszła zmiana w jej nastroju i potrząsnęła gniewnie głową. - Wpadam w wielki gniew, kiedy pomyślę, że głupi i nieuczciwy człowiek przejął taki kwitnący interes i tak szybko go zrujnował. Ach, mój Bazyli, jaki to dla ciebie zawód! Jaki pech!

- Przyznaję, że na początku byłem bardzo przybity. Tyle planów roiło nam się w głowach! Ale... - objął Deborę mocniej ramionami - bardziej mnie martwi ta rana na twojej głowie niż utrata mojej spuścizny.

Z wysiłkiem usiadła na łożu.

- To mnie tak gniewa - powiedziała przyciskając obie ręce do skroni - że w mojej głowie zaczęło jeszcze bardziej tętnić. Och, Bazyli, to okropne! Nasz świat rozpada się w gruzy wokół nas, a ja nie mogę zebrać myśli. Na pewno jest coś, co należałoby zrobić. Nie powinniśmy poprzestać na mówieniu o naszym złym losie, powinniśmy pomyśleć, jak temu zaradzić. Ale w głowie mi się mąci. Ach, gdybym tylko mogła zebrać myśli!

Bazyli usiadł na brzegu łóżka.

- Moja najdroższa, nic więcej nie możemy zrobić. Czy pamiętasz opowieść o Hiobie? Jak Sabinowie podeszli go i zabili wszystkie sługi, a potem Bóg zesłał ogień i ogromną wichurę i jego dzieci zostały zabite, a wszystko, co posiadał, zniszczone? To, co nas spotyka, może być próbą naszej wiary. Spuścizna przepadła. Podpisałem dokument, że się jej zrzekam i nic na to nie można poradzić. Chyba zaczynam się z tym godzić. Pan daje i Pan zabiera. Jeśli chodzi o Kielich, to czy sądzisz, że stary Harhas ma rację? Że powinniśmy być gotowi pozostawić go w rękach Boga? Jedno jest pewne, teraz nic więcej nie możemy zrobić w tej sprawie. - Znów ją objął. - Moja najsłodsza, nie zadręczaj się. Mogło być gorzej. Mogli cię zabić. Wkrótce poczujesz się lepiej, a ja niczego więcej już nie pragnę.

W tym momencie do pokoju wszedł Łukasz, niosąc czarkę napełnioną jakąś miksturą. Przyłożył rękę do żyły na gardle Debory, potrzymał parę chwil i potrząsnął głową.

- Za wiele mówiłaś - napomniał ją. - Masz, wypij to. Lekarstwo zmniejszy ból i pozwoli ci zasnąć.

Zwrócił się do Bazylego i dodał:

- Potrzebny jej sen. Długi, głęboki sen. Myślę, że powinieneś już odejść i sam też odpocząć.

Debora wysunęła rękę z błaganiem.

- Jeszcze nie odchodź, pobądź chwilkę, dopóki nie zasnę.

Bazyli wstał i podszedł do okna, żeby rozsunąć zasłony i wpuścić więcej powietrza. Kiedy wyjrzał w ciemność, niebo nagle tak się rozświetliło, jakby świat stanął w ogniu. Widział każdy kamień w murze otaczającym dom, a dalej drzewa w Gaju Dafne, a gdzieś bardzo daleko - dach Świątyni. Był pewny, że nigdy przedtem nie było tak wielkiego światła. Trwało to nie dłużej jak ułamek sekundy, a jednak miał uczucie, że gdyby potrwało odrobinę dłużej, wzrok jego sięgnąłby daleko poza gwiazdy. Światło zgasło równie gwałtownie jak się pojawiło i znów zapanował mrok i cisza nocna.

Najdziwniejsze było to, że ten nagły blask na niebie przyniósł uczucie spokoju. Troski, które napełniały jego myśli w ciągu dnia, uleciały chyżo. Widział przed sobą wszystkie piękne rzeźby, jakie wykona, kielichy i puchary, piękne półmiski i imponujące misy ze złota i srebra z obfitością drogich kamieni, a poza nimi posągi z brązu i marmuru, niektóre ogromnych rozmiarów. Widział to wszystko z tak nadzwyczajną wyrazistością, że gdyby nie brak czasu, mógłby rozpoznać każdą z tych figur i przyjrzeć się artyzmowi ich wykonania. Opanowało go podniecenie. Wiedział, że dozwolono mu zajrzeć w przyszłość. Wiedział, że z biegiem czasu stworzy te wszystkie piękne rzeczy. Podniósł ręce i wpatrzył się w nie.

- Muszę was zatrudnić - odezwał się głośno.

Poczuł się zawstydzony, gdyż te słowa zabrzmiały prostacko i chełpliwie, a w tej duchowej egzaltacji, która go opanowała, chciał mówić głosem donośnie brzmiącym i stylem kwiecistym. Wtedy zorientował się, że Debora usiadła, a oczy jej rozbłysły.

- Bazyli, zaszło coś bardzo dziwnego! - zawołała. - Ból ustąpił.

- Czy ustąpił zupełnie? - zapytał. Pytanie było zbędne, pewny był zawczasu odpowiedzi.

- Zupełnie, i to nagle. Czuję się szczęśliwa i zadowolona. Wiem, że nie wolno nam sarkać ani starać się zmienić biegu rzeczy. Wszystko jest w rękach Pana. Czuję się bardzo skruszona z racji tego, co ci powiedziałam i zarazem bardzo szczęśliwa. - Wyciągnęła do niego ręce. - Są jednak rzeczy, których możemy dokonać, mój mężu. Widzę to bardzo wyraźnie. Możemy na swój własny sposób wynagrodzić ci utratę twojej spuścizny. Wiem, że to jest nasz obowiązek. Znów jestem zdolna do myślenia i pełna pomysłów.

- Jestem pewny - odezwał się Bazyli uroczyście - że byliśmy świadkami cudu.

- Ależ tak, z całą pewnością. To dziwne światło zostało nam zesłane, abyśmy mogli zobaczyć prawdę. Zostało zesłane, aby pokierować naszymi krokami.

- Pewien jestem, że anioły unosiły się wokół domu. Nie dane nam było widzieć ich ani słyszeć szumu skrzydeł, ale one tu były.

Łukasz nic nie powiedział. Jego oczy były zwrócone ku oknu; trwał w bezruchu od chwili ukazania się światła, które tak szybko zgasło. Widać było, że jego myśli uleciały wraz z tym światłem i pozostały w owych przestrzeniach, o których oni nie mieli wyobrażenia.

Kiedy się odwrócił, ujrzeli, że ogarnął go nastrój największego uniesienia.

- Wiele razy mówiłem i tak myślałem z całą pokorą, że nie otrzymałem daru proroczego widzenia. Jednak kiedy to światło ukazało się na niebie, byłem w stanie zajrzeć na jedną krótką chwilę w przyszłość, tak krótką, że w żadnym języku nie ma słów, aby to wyrazić. A to, co zobaczyłem, przyniosło mi wielką radość. Wiem, że wszystko będzie dobrze. Kielich nie zostanie zniszczony. Ten człowiek, który ma go w swoich rękach, już jest szarpany wątpliwościami. Czuje,

że to, co zabrał, jest świętością i nie wie, co ma począć. Jego umysł będzie tak udręczony, że porzuci sprawę, dla której walczył i odniesie nam Kielich. Wkrótce rozstrzygnie całkowicie wszystkie swoje wątpliwości.

Stary lekarz mówił cichym głosem, lecz teraz jego głos zabrzmiał żarliwym przekonaniem.

- Tak, moje dzieci, Kielich zostanie zwrócony. Jutro? Za miesiąc? Za rok? Tego nie wiem. Wiem tylko tyle, że go nam zwrócą i będziemy mogli spokojnie go zachować. Być może, kiedy Jerozolimę ogarną walki i miasto pójdzie z dymem, ręce naszych nieprzyjaciół nie będą już w stanie nas dosięgnąć.

- Lecz to nie wszystko! - zawołał. - Tym jednym spojrzeniem, którego mi łaskawie udzielono, zajrzałem daleko w przyszłość. Kielich zostanie zabrany po raz drugi. Nie stanie się to za sprawą złych ludzi. Nastąpi powódź, trzęsienie ziemi, jakieś potężne wstrząsy. Kielich, zagrzebany głęboko, będzie tam spoczywał w ciemności przez długie lata, może nawet przez stulecia. Kiedy znów ujrzy światło dzienne, świat będzie zupełnie inny niż teraz. Ziemię zapełnią nowe rasy ludzi, wysocy mężczyźni, przeważnie bez zarostu, mówiący nieznanymi językami. Zbudują wielkie miasta, potężne mosty, wieże wyższe od Wieży Babel. Ale zło będzie spuszczone ze smyczy, nastąpią długie i zajadłe wojny przy użyciu nowych, straszliwych mocy zniszczenia. W takim świecie mały Kielich będzie wyglądał dziwnie, zagubiony i osamotniony. Być może jednak w owym świecie, w którym człowiek będzie władał błyskawicami i przemierzał niebo, jak starał się tego dokonać Szymon Mag, będzie on jeszcze bardziej potrzebny.